

# Stawka większa niż życie cz.2

Andrzej Zbych



calibre 0.9.27

**ANDRZEJ ZBYCH**

**STAWKA WIĘKSZA  
NIŻ ŻYCIE**

**II**

**W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ**

Kloss miał tego ranka załatwić parę spraw w dowództwie garnizonu, skorzystał więc z okazji i wyszedł z biura wcześniej. Jego szef, gderliwy oberst von Ossetzky, suchy jak tyka, z wiecznie skwaszoną miną człowieka cierpiącego na woreczek żółciowy, wyjechał do Lwowa na odprawę szefów oddziałów Abwehry „Ost”, więc Kloss nie musiał się przed nikim opowiadać.

Machnięciem ręki odpędził kilka riks, pragnących zaofiarować mu usługi, z nawyku raczej niż z potrzeby przyjrzał się każdemu z riksarzy, aby się upewnić, czy nie ma wśród nich przypadkiem twarzy skądś mu znanych, oznaczałoby to bowiem, że jest śledzony. Zanotował w pamięci, że żadnego z tych ubranych we włóczkowe czapeczki chłopaków nigdy dotychczas nie widział, więc spokojnie już skręcił w Koszykową.

Zatrzymał się przed wystawą z obuwiami, żeby przyrzeć się ludziom idącym za nim, ale także niczego podejrzanego nie zobaczył. W witrynie stała jedna para eleganckich butów z cholewami, zwanych „oficerkami”, ulubiony strój męskiej młodzieży z tych lat. Smukła linia butów zniewalała nawet niemieckich oficerów. Wielu z nich paradowało w „oficerkach” roboty warszawskich szewców. Kloss przypomniał sobie, że nawet nowo mianowany zastępca szefa Sonderdienstu w Warszawie, hauptsturmfuehrer Neumann, przyodział swoje krzywe nogi w polskie buty - i uśmiechnął się do tego obrazu. On sam jednak nigdy nie pomyślał o tym, żeby zmienić wysłużone regulaminowe obuwie oficera Wehrmachtu, zwijające się nad kostką w przepisową harmonijkę. Nie lubił munduru, który musiał nosić, mierzila go myśl przyozdabiania nienawistnego stroju.

Przeszedł na skos Mokotowską. W tej części Koszykowej ruch był niewielki, nieliczni cywile przesuwali się w pobliżu ścian domów, jakby w każdej chwili gotowi do skrycia się w bramie. Umundurowanych Niemców—choć było to przecież centrum zajętej przez Niemców dzielnicy Warszawy — też było niewiele, o tej porze siedzieli pracownicy przy biurkach w licznych w tej dzielnicy „Amtach”, wypełniając z niemiecką pedanterią niezliczone rubryki pism, sprawozdań i wykresów, których ciągle było mało nie nasyconemu Berlinowi.

Drzewa w Alejach Ujazdowskich już się zazieleniły, Kloss z przyjemnością nabrał w płuca świeżego powietrza. Coś go zdumiało w obrazie pustej zupełnie o tej porze ulicy. Przez chwilę nie mógł sobie uświadomić przyczyny swego zdumienia. Dopiero gdy z rykiem swoich sześciu cylindrów przemknął koło niego czarny mercedes z zatkniętym na błotniku hitlerowskim proporczykiem, Kloss zrozumiał, że czar prysł. Po prostu przez chwilę w polu jego widzenia nie było ani jednego munduru feldgrau ani jednej flagi, nie słyhać było tupotu podkutych żandarmskich butów. Aleje były tak jak dawniej - ciche, piękne, spokojne. Dopiero ten mercedes, który zazgrzytał właśnie hamulcami u wlotu w aleję Szucha, przypomniał, w czyich rękach jest Warszawa. Kloss odwrócił się w tamtą stronę; powoli unosił się czarno-czerwono-biały szlaban, trzech SS-manów w opadających na oczy hełmach sprawdzało dowody pasażerów mercedesa.

Wzmocnione środki ostrożności po ostatnim udanym zamachu - stwierdził, i ta myśl sprawiła mu przyjemność, bo akurat on, Kloss, wie na pewno, że żadne środki ostrożności nie pomogą, że wyroki wydane przez polskie podziemie będą nadal wykonywane.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, już z daleka zobaczył na ławce starego, kiepsko ubranego człowieka z niedopałkiem przylepionym do wargi. Podlasiński był zawsze punktualny. Nikomu z obserwujących Klossa w tej chwili nie mogłoby przyjść do głowy, że ten biedny stary Polak, usiłujący bez powodzenia utrzymać w jakim takim stanie wytarte ubranko - typowy urzędnik na emeryturze - i ten wymuskany, sprężysty oficer o twarzy, która mogłaby figurować w obłąkanych książkach teoretyków rasizmu jako najidealniejszy przykład czystej rasy nordyckiej, mogą mieć ze sobą coś wspólnego.

Cóż, stary człowiek zauważył zapewne, że niemiecki oficer zapalił papierosa, dlatego wstał z ławki i poszedł za nim w odległości, jaką nakazywał respekt i strach. Pewnie ma nadzieję, że młody oficer nie dopali do końca papierosa, że ciśnie gdzieś niedbale niedopałek zgnieciony butem. Czy najbardziej szczywany szpicel mógłby przypuścić, że niedopałek, który właśnie podniósł stary człowiek i włożył do blaszanego pudełeczka po tytoniu z wymalowanym na wieku portretem marynarza, zawiera kilka informacji, których ujawnienie naraża zarówno oficera, rzucającego nie dopalonego papierosa, jak i starego człowieka na zarzut zdrady głównej?

Ale na szczęście nikt nie obserwuje tej sceny, a nawet gdyby obserwował, trudno byłoby skojarzyć, że owych dwóch ludzi może coś ze sobą łączyć.

Kloss przyspieszył kroku, jakby teraz nagle zaczęło mu się spieszyć, a przecież właściwe zajęcia oficera Abwehry dopiero go czekały. Będzie musiał przesłuchać paru żołnierzy, których przyłapano na tym, że gdzieś po pijanemu przeklinali wojnę, narodowy socjalizm i ukochanego wodza. Cóż może pomóc tym biednym, oszukany chłopcom, którym zaczynają się, niestety zbyt późno, otwierać oczy? Od czasu do czasu zniszczy jakieś bardziej obciążające zeznanie gorliwego szpicla, w protokole przesłuchania zasugeruje okoliczności łagodzące. Niewiele to zresztą pomoże tym żołnierzom, wiadomo, co ich czeka - sąd polowy i karna kompania na froncie wschodnim.

Pomyślał, że Podlasiński doszedł już pewnie do brzydkiej secesyjnej kamienicy przy ulicy Mokotowskiej, wysypał na kuchenny stół garść niedopałków, wśród których tylko jeden, porzucony przez Klossa, jest ważny, a pozostałe spełniają jedynie rolę kamuflażu, przecina właśnie delikatnie bibułkę, wyjmując skrawek cieniutkiego papieru i pochyła się nad wypisanymi maczkiem informacjami. Pierwsza dotyczy łodzi podwodnej U-265, której udało się przedostać na Morze Północne.

A może Podlasiński minął obojętnie narożny dom przy ulicy Mokotowskiej, skręcił w Wilczą i tam dopiero wszedł na schody, żeby jednym z czterech kluczy otworzyć drzwi, na których przyśrubowano elegancką mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Feliks Żytogniewski?

Podlasiński? Dlaczego właściwie Podlasiński? — zastanowił się. - Czy to jest prawdziwe nazwisko? Ilekroć o nim pomyślał, zawsze nazywał go Podlasińskim. Czasem Józefem. A ten człowiek, ten niepozorny staruszek z Alej Ujazdowskich, zbierający niedopałki rzucone przez niemieckich oficerów, używa aż czterech nazwisk i to w czasach, kiedy zdobycie lipnych papierów na inne nazwisko stało się dla wielu ludzi sprawą życia. Podlasiński to biedny emeryt, człowiek korzystający z zapomóg RGO, pobożny, mały eks-urzędniczek, który z regularnością nabytą w czasach, gdy był podreferentem w magistracie, przychodzi codziennie na wczesną mszę do kościoła Zbawiciela.

Natomiast całkiem kim innym jest Feliks Żytogniewski, wynajmujący mieszkanie przy Wilczej (a nikt nie mógł wiedzieć, że między mieszkaniami Podlasińskiego i Żytogniewskiego istnieje zamaskowane szafą przejście).

Lekkomyślny ziemianin, któremu powodzi się wcale nieźle, który nie gardzi handlem z niemieckimi intendentami i przy każdym pobycie w Warszawie korzysta z usług kasyna, zorganizowanego przez okupanta dla takich właśnie jak on.

Żytogniewski z kolei stanowi oczywiste przeciwieństwo Franciszka Buły, właściciela czterech platform dwukonnych, nazywanych przez niego szumnie przedsiębiorstwem spedycyjnym.

Codziennie od dziesiątej do czwartej Buła siedział w kantorku przy telefonie, przyjmował zgłoszenia na przewóz mebli albo kontyngentowych ziemniaków. I choć może się to wydać dziwne, te zlecenia jego przedsiębiorstwo, czyli czterech wiecznie podrajcowanych bimbrem wozaków, realizowało całkiem sprawnie. Czy ten solidny drobnomieszczanin, patriota zapewne, ale właśnie w drobnomieszczańskim stylu, nienawidzący Niemców, ale bogacący się na ich obecności, która unieruchomiła w Warszawie inny transport poza konnym, czy ten człowiek, dumnie pokazujący grubą dewizkę wyzierającą z kieszonki kamizelki, może mieć coś wspólnego ze zdrajcą i renegatem, Witalisem Kazimirusem?

Niegdyś Polak - teraz szybko stał się nacjonalistą litewskim i wysługuje się Niemcom jako konsultant Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy do spraw okupowanych terenów litewskich. Przynajmniej tyle można wyczytać z jego papierów. A papiery są autentyczniejsze chyba od rzeczywistych, bo wyprodukowane przez najlepszych specjalistów w branży, którzy uznali, że powołanie Kazimirusa na stanowisko, o jakim Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy nawet się nie śniło, będzie bezpieczniejsze niż zaopatrzenie go w papiery któregoś z istniejących niemieckich urzędów. W skomplikowanej machinie hitlerowskiej biurokracji gubią się sami Niemcy.

Kloss po każdym spotkaniu z Podlasińskim czuł przyptyw podziwu dla tego człowieka. On sam przeistoczył się co prawda w Niemca, z powodzeniem grał rolę od dobrych paru lat, zespolił się z nią tak ściśle...

Ale Podlasiński gra cztery role naraz i w każdej jest autentyczny.

Wartownik zastąpił mu drogę.

- Bardzo przepraszam, przepustka, panie poruczniku.

Zatopiony w myślach nie zauważył, że doszedł do budynku komendy garnizonu warszawskiego. Żołnierz zsalutował, otworzył przed nim drzwi.

Było, jak Kloss przewidywał. Józef Podlasiński wszedł do brudnej bramy obskurnej kamienicy przy ulicy Mokotowskiej, minął pierwsze i drugie podwórze, dopiero w trzecim, pogawędziwszy najpierw z dozorcą, spojrzął na okna swego mieszkania. Firanka zaciągnięta, wszystko powinno być

w porządku.

Na dzisiejsze spotkanie z Klossem nie zabrał Mundka, osiemnastoletniego cwaniaka z ulicy Ludnej, który zwykle towarzyszył mu w bezpiecznej odległości trzydziestu metrów, gotów w każdej chwili sięgnąć po ukrytą w kieszeni spodni parabelkę. Rzecz w tym, że przed południem miał przyjść Adam, nie byli umówieni dokładnie, Józef bał się, że nie zastanie go w domu, przyjdzie dopiero po południu, a to skomplikowałoby sprawę dalszego przekazania zawartości maleńkiej kartki papieru. Zostawił więc Mundka, żeby zatrzymał Adama w razie potrzeby, dlatego zanim wszedł do domu, odruchowo spojrzął na firankę w oknie, ponieważ wiedział, że Mundek, gdyby znalazł się w sytuacji niebezpiecznej, zrobi wszystko, aby go o niebezpieczeństwie uprzedzić. Mundka nie było w maleńkiej kuchni, do której wchodziło się wprost ze schodów. Wsadził rozczochraną głowę w drzwi dopiero wtedy, gdy Podlasiński, znalazłszy w stosie niedopałków ten jeden potrzebny, wyciągnął z kuchennej szafki starego Underwooda i rozpoczął zamianę informacji o ruchu jakiejś łodzi podwodnej na rządęk cyfr, wśród których przeważały jedyńki, trójki i siódemki.

- Nie było Adama? - zapytał.

- Był - powiedział Mundek. - Za pół godziny odwiedzi hrabiego Żytogniewskiego.

- Dobra. Możesz spać dalej.

Wysłał chłopaka do pokoju, bo choć znał go dobrze i codziennie powierzał jego refleksowi, oku i sprawności swoje życie, to jednak nie chciałby, aby chłopiec zauważył, że książka, którą Podlasiński rozłożył na stole obok zapisanej wyraźnym maczkiem Klossa kartki, znalezionej w niedopałku, nosi tytuł „Prokurator Alicja Horn”. Ta modna przed wojną powieść była w tym miesiącu kluczem szyfrowym całej siatki działającej w Warszawie. Im chłopak mniej będzie wiedział, tym lepiej. Już i tak wie dość dużo, choćby to, że Podlasiński i Żytogniewski to ta sama osoba. Tego nie dało się uniknąć.

Jeszcze więcej wie Adam. Zna wszystkie cztery jego wcielenia; ale Adamowi Józef ufa bezgranicznie. Dwa lata spędził z nim w jednej celi w Rawiczu. Dwa lata sam na sam z człowiekiem we dnie i w nocy - to wystarczy, żeby człowiekowi ufać.

O jego wcieleniach wie jeszcze Kloss, ale to już zupełnie inna historia. Nie Józef decydował, czy może ufać Klossowi, za niego zadecydowała centrala. Po prostu któregoś dnia, osiem miesięcy temu, otrzymał pilny szyfrogram centrali, z którego dowiedział się, że od dziś począwszy został wraz ze swymi ludźmi oddany do wyłącznej dyspozycji oficera wywiadu, kryptonim J-23.

A w parę dni później, gdy we wcieleniu Franciszka Buły odpoczywał w ulubiony sposób: karmił łabędzie w Parku Ujazdowskim, młody człowiek w mundurze hitlerowskiego oficera, usiadł obok niego i najniespodziewaniej w świecie najczystszą polszczyzną wypowiedział trójczłonowe hasło. Od tej pory są w nieustannym kontakcie. Każdy dzień przynosi mu jeśli nie bezpośrednie spotkanie, to przynajmniej telefony lub kartkę w którejś ze skrytek albo, tak jak dziś, w niedopałku papierosa.

Właśnie skończył szyfrowanie meldunku, gdy dobiegł go stłumiony odgłos dzwonka. Nie budząc



Mundka otworzył drzwi przepaścistej szafy, wszedł do środka, odsunął jej tylną ścianę i znalazł się w podobnej, choć z pewnością bardziej eleganckiej i stylowej szafie w sypialni Feliksa Zytogniewskiego. Kwiecisty, jedwabny szlafrok narzucił w locie i ten nowy strój jakby go przeobraził wewnątrz. Zgarbiony emeryt został gdzieś tam za ścianą, a tu ku drzwiom zmierzał stary dżentelmen, człowiek, który zawsze miał pieniądze, ma je teraz i spodziewa się, że będzie je miał w przyszłości.

W okularze judasza dostrzegł otok magistrackiej czapki Adama, potem jego oczy. Spojrzał w głąb, judasz umieszczony był w ten sposób, że można było swobodnie zobaczyć zarówno górny podest, jak i ten pół piętra niżej. Wszystko w porządku, Adam był sam.

- Rachuneczek za gaz, panie hrabio - uśmiechnął się szelmowsko, wchodząc w otwarte drzwi. Nigdy nie zanieczywał tej formuły, choć przeznaczona była dla kogoś, kto mógłby w jednym z sąsiednich mieszkań stać przy drzwiach. Oświetlił elektryczną latarką gazomierz, porządnie wypisał na kwicie ilość zużytego gazu, przyjął pieniądze, wprawnie odłączając od nich małą karteczkę, którą wsunął za otok czapki.

-Jak leci, Adam?

- Wszystko w porządku, szefie. Kiedy mnie wyślesz do lasu, jak obiecałeś? Dostanę żyłaków od tego łożenia po schodach.

- Jesteś mi potrzebny. Pamiętasz, gdzie za tydzień?

- Przedsiębiorstwo spedycyjne. Pamiętam.

Mocno uścisnęli sobie dłonie. Wizyta inkasenta z gazowni nie trwała dłużej, niż powinna była trwać. Obaj byli doświadczonymi konspiratorami i wiedzieli, że nawet taki drobiazg, jak przeciągnięcie wizyty inkasenta może stać się przyczyną nieszczęścia.

Na dobrą sprawę - pomyślał Podlasiński - nie mam nawet czasu z chłopakiem pogadać. - I przez chwilę żal mu się zrobiło celi numer 311 w więzieniu karnym w Rawiczu.

### 3

Kloss szybko skończył robotę w areszcie komendy garnizonu. Była jeszcze głupsza, niż przewidywał. Trzech urlopowanych z frontu żołnierzy nawymyślało sierżantowi, dowódcy patrolu żandarmerii, od brudnych pruskich świń, z czego ten postanowił uczynić sprawę polityczną, jako że żołnierze byli wiedźczykami.

Kloss musiał go przywołać do porządku. Podoficer aż poczerwieniał z wściekłości, kiedy oberleutnant Kloss w krótkich słowach wyjaśnił mu, jaka jest różnica między frontowymi żołnierzami, którzy na krótki tydzień wyrrywają się z piekła wschodniego frontu, a szcurem żandarmskim, który od początku wojny tkwi na głębokim zapleczu i wyżywa się w prześladowaniu

żołnierzy przelewających krew za fuehrera.

Chłopaków oczywiście kazał zaraz wypuścić, podoficerowi zapowiedział, że za samowolne przetrzymywanie urlopowanych żołnierzy w areszcie zostanie postawiony do raportu, dla siebie zaś całkiem niespodziewanie, w toku badania żołnierzy (nie bohaterów bynajmniej, jak Kloss sugerował żandarmowi, ale typowych frontowych cwaniaków, co to z niejednego kotła wcinali kaszę) uzyskał informacje o dyslokacji dwóch pułków pancernych i jednej dywizji piechoty.

Nie były to zapewne rewelacje, być może centrala zdołała to już ustalić wcześniej, ale Kloss nigdy nie rezygnował z przekazywania nawet takich, niewiele znaczących drobiazgów, ponieważ zdawał sobie sprawę, że w najgorszym razie będą stanowiły potwierdzenie wcześniej zdobytych danych, a zsumowane z innymi podobnymi drobiazgami pozwolą sztabowcom na stworzenie sobie prawdziwego obrazu sił niemieckich na poszczególnych odcinkach, co umożliwi im zaplanowanie nowego dotkliwego uderzenia, które przybliży koniec wojny.

Jaki udział, jaką część w nowym sukcesie będzie miał Kloss? Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Wiedział, że takich jak on jest więcej. Czuł swoją przydatność po każdej udanej ofensywie, po każdej zatopionej łodzi podwodnej. Wiedział oczywiście, że najważniejsi są ci na froncie, twarz w twarz z wrogiem. Ale wiedział też, że dzięki niemu mogą strzelać celniej.

Wyszedł na oświetlony słońcem plac przed budynkiem komendy garnizonu i zastanawiał się właśnie, co ma ze sobą zrobić. Do biura zbyt późno, zresztą szef wróci dopiero wieczorem. Ponury pokój w hotelu oficerskim też go nie nęcił. Postanowił pójść do kasyna.

- Panie poruczniku - odezwał się ktoś za nim. Odwrócił się. Stał przed nim jeden z żołnierzy, których kazał wypuścić.

- Czego chcecie?

- W imieniu swoim i kolegów - zająknął się żołnierz. - Koledzy bardzo się spieszyli, mają teraz pociąg, ja dopiero za dwie godziny, więc zostałem, żeby panu porucznikowi podziękować.

- Nie pojechaliście z nimi? Wydawało mi się, że pochodzicie z Wiednia.

- Tak, pochodzę - powiedział chłopak - ale od trzydziestego ósmego mieszkam w Gdańsku na Horst Mayerstrasse i wydawało mi się...

- Co wam się wydawało? - zapytał z uśmiechem.

Ale nie potrzebował słuchać odpowiedzi.

W trzydziestym ósmym, kiedy Frau Bildtke, wdowa po radcy gdańskiego senatu, wypowiedziała mu mieszkanie, doszedłszy do wniosku, że pobieranie słonego komornego w gdańskich guldenach od Polaka przynosi jej ujmę, musiał szukać nowego lokum. Trudno było znaleźć. Gdańskie gazety całkiem otwarcie judziły przeciwko Polsce i Polakom. Wreszcie udało mu się znaleźć pokoik na poddaszu w domu starego kolejarza, który mimo szalejącego brunatnego terroru, nie zdjął ze ściany w swoim saloniku wyciętego z gazety portretu Karola Liebknechta. To było właśnie na ulicy Horsta



Mayera.

- Cóż wam się wydawało? - powtórzył i poczuł kropelki zimnego potu spływające wzdłuż kręgosłupa. Czyżby prowokacja? Wiedzą już o nim? Może dlatego von Ossetzky tak nagle wyjechał?

- Bardzo przepraszam, to chyba pomyłka - powiedział żołnierz. Miał miłą, piegowatą, inteligentną twarz. - Po prostu wydawało mi się, że pana porucznika już gdzieś widziałem. Ale to niemożliwe! Tamten był przecież Polakiem!

-Jaki tamten, mówcie wyraźniej! - uśmiechnął się do żołnierza i poczuł, że zniknęło napięcie. Chłopak najwyraźniej widywał go z daleka, bez trudu da się przekonać, że oberleutnant Hans Kloss nie ma nic wspólnego z jakimś Polakiem, na którego facjatce późno w noc paliło się światło.

Pozwolił chłopakowi opowiedzieć o tym Polaku, tak „niezwykle podobnym do pana porucznika", wzruszył go ten obraz młodego studenta, który za wszelką cenę, nawet za cenę poniżeń, chciał od niemieckich profesorów nauczyć się budowy okrętów.

- Rzeczywiście takie zadziwiające podobieństwo? -zapytał, a gdy tamten skinął głową, dodał: - To złudzenie. Gdybyśmy stanęli obok siebie, dostrzegłby pan masę różnic. - Powiedział właśnie tak: „pan", zamiast użyć regulaminowej formy „wy". Chwila słabości wywołana wspomnieniem tego chłopca, który widział go pochylonego do późnej nocy nad niemieckimi skryptami i książkami. Na szczęście żołnierz nawet tego nie zauważył.

- A wie pan porucznik - powiedział już na odchodnym - tego kolejarza, który wynajmował pokój Polakowi, zaraz potem zabrali. Więcej nie wrócił.

- Kto zabrał? - nie rozumiał Kloss.

- We wrześniu trzydziestego dziewiątego, po powrocie Gdańska do Rzeszy. Gestapo.

- Widocznie zasłużył — powiedział zimno Kloss. Bez uśmiechu odsalutował żołnierzowi i spieszenie przeciął jasny plac.

Przez całą drogę do kasyna nie opuszczało go wspomnienie chudego staruszka w drucianych okularach, nieustannie poruszającego ustami. Stary kolejarz zwykł był bowiem żuć tytoń.

#### 4

Adam Pruchnał doszedł do wniosku, że nadeszła pora obiadu. Minął jasno oświetlony plac przed budynkiem komendy garnizonu. Nie lubił tędy chodzić, bo zawsze kręciło się tu pełno Niemców, dzisiaj także, na środku placu jakiś piegowaty żołnierz tłumaczył coś wysokiemu oberleutnantowi, a grupa żandarmów ładowała się właśnie do ciężarówki. Ale magistracka czapka i prawdziwy Ausweiss gwarantowały bezpieczeństwo, przynajmniej względne bezpieczeństwo.

Jadłodajnia, do której kierował się Pruchnał, nie wiadomo dlaczego nosiła miano „Klubowej".

Klientami jej nie byli bowiem członkowie ekskluzywnych klubów, chociaż menu, wypisane kredą na czarnej tablicy u wejścia, oferowało klientom zestaw obfity, nieco tylko monotony. Pyzy, placki ziemniaczane, kotlety z ziemniaków, kartoflanka, kopytka. Na osłodę na samym końcu listy figurował kapuśniak. Ale Adam nie czytał jadłospisu, zresztą nie potrzeba zjedzenia porcji pyzów go tu przygnała. Chociaż pyzy postanowił jednak zjeść. Dopiero płacąc rachunek pannie Stasi, wsunął jej wraz z pieniędzmi małą karteczkę, wyjętą z ręcznika zza otoka magistrackiej czapki. Nie musiał jej mówić, co ma zrobić z tą karteczką, ponieważ Stanisława Zarębska, pseudo „Zięba”, znała dokładnie adres, pod który od kilku miesięcy dostarcza zapisane cyferkami kartki. Nie narzucając nawet płaszcza na kelnerski fartuszek, wybiegła na ulicę, przemknęła się za nadjeżdżającym, oblepionym ludźmi tramwajem do kamienicy przy Polnej 26. Od jadłodajni „Klubowej” trzysta metrów najwyżej. Szyld zawieszony po prawej stronie bramy głosił, że krawiec damski, Marian Skowronek, przyjmuje reperacje i nicowanie odzieży, ale gotów jest także szyc na zamówienie, jeśli klient dostarczy materiał.

Dziewczyna nie musiała czytać tego szyldu, aby wiedzieć, że z bramy należy skręcić w prawo i do drzwi na parterze zadzwonić trzy razy - dwa razy krótko i raz długo. Otworzył jej po chwili, zapytała go, czy kostium został skrócony i uzyskała odpowiedź, jakiej oczekiwała, że będzie gotowy za tydzień. Wetknęła kartkę w dłoń krawca, przez chwilę spotkała się z nim wzrokiem, wydał jej się czymś przerażony...

Musiało mi się przywidzieć - tłumaczyła sobie biegnąc w stronę restauracji.—Przecież, gdyby się czegoś bał, gdyby groziło jakieś niebezpieczeństwo, zniknąłby wymalowany kredą napis K+M+B, tymczasem symbol trzech króli tkwił ciągle na drzwiach pracowni Mariana Skowronka. Biegła spiesznie, właściciel „Klubowej”, pan Warchoń, nie powinien w ogóle zauważyć jej nieobecności.

Gdyby, zgodnie z zasadami konspiracji, które poznawała ubiegłej zimy w tajnej szkole podoficerskiej, obejrzała się choć raz, dostrzegłaby bez trudu dwóch ludzi podążających za nią krok w krok.

## 5

W dwie godziny później hauptsturmfuehrer Neumann pogwizdując szedł korytarzem gmachu gestapo w alei Szucha. W windzie przyjrzał się sobie z zadowoleniem w wielkim lustrze, niecierpliwiał się, że winda zjeżdża zbyt wolno, chciał jak najszybciej znaleźć się w gabinecie standartenfuehrera Luetzke.

Standartenfuehrer nie okazał radości, jego blada twarz z podkrążonymi oczyma nie wyrażała, jak zwykle, niczego. Spokojnie wysłuchał relacji Neumanna o zidentyfikowaniu łączniczki, dostarczającej zaszyfrowane meldunki do pracowni krawieckiej Mariana Skowronka, przez cały czas rozmowy bawił się automatycznym ołówkiem.

- Co pan proponuje? — zapytał, gdy Neumann wreszcie skończył.

- Szukać następnego ogniwa.

- Ile może być jeszcze tych ogniw? - Grafit wyciśnięty ze złotego ołówka standartenfuehrera upadł na gładką powierzchnię biurka i powoli toczył się w stronę zaciśniętej w pięść dłoni Neumanna. Podał szefowi czarny sztyfcik, ten nawet nie podziękował, patrząc na podwładnego bezbarwnym spojrzeniem ryby.

-Trudno powiedzieć - zaczął ostrożnie. -W zeszłym roku w Berlinie udało mi się rozbić dużą siatkę komunistyczną. Niestety, szef siatki umknął nam, popełniając samobójstwo, ale od łącznika, którego przypadkiem chwyciliśmy, do zastępcy szefa siatki było ni mniej ni więcej), tylko dwanaście ogniw. Przyzna pan, panie standartenfuehrer, że to była spora robótka...

- Do rzeczy — przerwał Luetzke. — Za berlińskie sukcesy otrzymał już pan awans, chciałbym, żeby pokazał pan, co pan potrafi na moim terenie.

-Nie przypuszczam... - zaczął.

-Nie mamy czasu na przypuszczenia, Neumann. Mnie nie chodzi o szefa, diabli zresztą wiedzą, może on jest szefem. Pan wie, o kogo mi chodzi? O nieuchwytnego „J-23”. Kilkakrotnie byliśmy już o krok i zawsze udało mu się wymknąć. Od dwóch tygodni ma pan radiostację wrogiej agentury. Teraz wreszcie znalazł pan dziewczynę, którą mógłby pan mieć wcześniej po poddaniu tego krawca małej obróbce. I wymaga pan ode mnie, żebym się z pana cieszył.

- Obawiam się - zaczął Neumann. Przyzwyczajony był do tego właśnie sposobu wystawiania. Nawyk dwudziestu lat pracy w przyzwoitej policji politycznej. Jego szefami byli dotychczas starsi panowie o nieskazitelnych manierach, z tytułami naukowymi, zdobytymi w Bonn lub Heidelbergu. Teraz musi pracować z tym półinteligentem, który patrzy zimnym wzrokiem ryby, a za jedyną robotę godną policjanta uważa „wycisk”, czyli „obróbkę”. Postanowił zmienić ton. Żadne „obawiam się”. Z takim trzeba wprost. — Nie, panie standartenfuehrer, że Skowronka nie wycisnęlibyśmy z tej prostej przyczyny, że Skowronek nawet nie znał nazwiska dziewczyny, która raz na tydzień przynosiła mu zaszyfrowane meldunki.

Luetzke zatrzepotał białymi rzęsami. Na jego bladych wargach ukazało się coś w rodzaju uśmiechu.

- Więc dobrze - powiedział cicho. - Daję panu wolną rękę, jeśli idzie o metody. Ale muszę mieć tego J-23. Proszę jednak pamiętać, że czasu mamy niewiele. Na ile właściwie planuje pan tę akcję?

- Dwa miesiące - powiedział Neumann - to minimum.

- Dwa tygodnie - Luetzke zastukał dwukrotnie ołówkiem w blat biurka. - Ze względu na sympatię, jaką żywię do pana, dorzucę panu - stuknął ołówkiem o blat - jeszcze tydzień. Razem trzy tygodnie. I ani dnia dłużej.

Neumann wracał jednak zadowolony. Co prawda tempo, jakie pragnie narzucić sprawie standartenfuehrer, jest szaleństwem. Neumann wie, że takie sprawy trzeba załatwiać delikatnie, nieustannie mając przed oczyma dewizę: „Spiesz się powoli”. Nadmierny pośpiech może tylko spłoszyć grubego zwierza, na którego Neumann miał ochotę zapolować.

Natychmiast po powrocie od Luetzkego zwołał naradę całego wydziału. Gra, którą zamierzał podjąć z nieuchwytnym agentem J-23, wymagała skupienia wszystkich sił na tym właśnie zadaniu. Na naradę ściągnął więc nawet małych łapaczy, kręcących się nieustannie po mieście, podsłuchujących rozmowy w zatłoczonych tramwajach czy kolejkach po kartkowy chleb.

- Moi panowie - powiedział, gdy ustało wreszcie szuranie kilkudziesięciu krzeseł ścieśnionych w jego niewielkim gabinecie. - Moi panowie - powtórzył i z uśmiechem potoczył wzrokiem po zwyczajnych, pospolitych twarzach, jakie powinny charakteryzować tajniaków dla łatwiejszego wtopienia w tłum, a które przez swoją nijakość i bezbarwność właśnie ich z tłumu wyróżniają, co pozwala bystremu obserwatorowi rozpoznać tajmaka.

Kilkudziesięciu ludzi, niezbyt bystrych co prawda, ale oddanych, potrafiących strzelać w razie potrzeby i bić bez skrępowań. Część z nich to reichsdeutsche i volksdeutsche, którzy choć wykarmieni na polskim chlebie, gotowi są na wszystko dla nowej ojczyzny. Na nich Neumann liczył najbardziej. Znajomość polskiego, stosunków, zwyczajów, względna łatwość w dotarciu do hermetycznie zamkniętych przed Niemcami środowisk polskich.

W stosunku do nich Neumann miał rozliczne plany. Postanowił, że po sukcesie tej sprawy zaproponuje szefowi plan, który hołubił w sobie od chwili przyjazdu do Generalnej Guberni. Zamierzał zorganizować prowokację na skalę dość niezwykłą, stworzyć z reichsdeutsche i volksdeutsche tajną polską organizację, wciągającą spragnioną czynu młodzież polską. Po paru sukcesach, sprytnie przez Neumanna wyreżyserowanych, mogłaby się ona zintegrować z którąś z wielkich podziemnych organizacji polskich.

Ale o tym będzie jeszcze czas pomyśleć. Na razie jest sprawa tej przeklętej radiostacji, na której ślad wpadł przypadkiem niedawno, niedługo po sprowadzeniu się do Warszawy.

Krawiec Marian Skowronek był człowiekiem rozsądnym. Tak głośno określał Neumann ludzi, którymi w gruncie rzeczy gardził. Skowronek miał przy sobie cyjanek, który mógłby użyć, ale oddał fiolkę Neumannowi, żeby, jak się wyraził, „nie kusilo go”. Chciał przeżyć za wszelką cenę. Zgodził się poinformować Neumanna o istocie szyfru, jakim się posługiwał, chociaż i bez tego znalezienie w jego pracowni książki „Prokurator Alicja Horn” pozwoliłoby specjalistom w parę godzin szyfr zgłębić. Ważniejsze jednak, że zgodził się pracować dalej pod kontrolą Niemców.

Luetzke był zdania, że należy postawić na miejscu krawca kogoś innego, ale Neumann przekonał go bez trudu, że uderzenia palca radiotelegrafisty w klucz są dla doświadczonego ucha tak samo indywidualne jak charakter pisma i najbezpieczniej będzie, jeśli Skowronek pozostanie na swoim miejscu. Oczywiście nie odstępowało go nigdy dwóch ludzi Neumanna, ale poza tym w życiu Mariana Skowronka, na pozór przynajmniej, nic się nie zmieniło. Neumann obiecał mu życie, zamierzając zresztą dotrzymać obietnicy. Wiedział bowiem, że Skowronkowi nie uda się ująć. Rodzaj wyroku z prolongatą. Wcześniej czy później organizacja, dla której Skowronek pracował, dowie się prawdy, a wtedy...

Tak więc miał Skowronka. Teraz doszła do tego ta dziewczyna, Stanisława Zarębska. Już pierwsze dni obserwacji ustaliły ponad wszelką wątpliwość, że jedynym możliwym punktem kontaktowym jest restauracja „Klubowa”, gdzie dziewczyna pracowała w charakterze kelnerki.

Mieszkała kątem u dozorca domu naprzeciw restauracji, nigdzie nie bywała, obserwacja nie ustaliła, aby spotykała się z kimkolwiek poza pracą. Dozorca, u którego mieszkała, był sparaliżowany, nie wychodził z domu, jego funkcje spełniała małżonka, ogromne babsko o tubalnym głosie i prymitywnej umysłowości.

Neumann znany był z tego, że niczego nie zaniedbywał, poddał więc dyskretnej obserwacji żonę dozorca, ale obserwacja, jak się tego spodziewał, nie przyniosła żadnych efektów. Pozostała zatem jedynie jadłodajnia. Neumann obstawił więc garkuchnię tajniakami, którzy chcąc nie chcąc wcinali pyzy, placki kartoflane dla dobra sprawy i fuehrera, żeby zaś mieć pewność absolutną, osobiście odwiedził w mieszkaniu właściciela „Klubowej”, pana Warchoła i bez większych trudności, ponieważ wizytę złożył o piątej rano, skłonił grubasa do zatrudnienia jednego z ludzi Neumanna w charakterze kasjera, którą to funkcję spełniał do tej pory pan Warchoł osobiście. Parę wypowiedzianych cichym, spokojnym tonem gróźb powinno przekonać Warchoła, że piśnienie komukolwiek z personelu, kim naprawdę jest „kuzyn” siedzący przy kasie, zakończy ziemską wędrówkę restauratora.

Teraz pozostało tylko czekać. Więc Neumann czekał, zbierając tymczasem informacje o dziewczynie. Była córką rolnika spod Wrześni, wysiedlona wraz z rodzicami, którzy zmarli podczas ciężkiej zimy czterdziestego roku. Nic więcej nie udało się ustalić.

Do wtorku nic się nie zdarzyło i hauptsturmfuehrer zaczął się obawiać, że restaurator Warchoł jest facetem szczwanym, który usiłował jego, Neumanna, wyprowadzić w pole, ale we wtorek zaraz po drugiej zadzwonił telefon i Neumann usłyszał w słuchawce zadyszany szept jednego ze swoich agentów z obstawy jadłodajni: „Mamy go!”.

Teraz sprawa była prosta. Komplikacje zaczęły się dopiero później, kiedy okazało się, że młody człowiek w czapce pracownika magistratu jest naprawdę pracownikiem tej instytucji. Po ustaleniu nazwiska Adama Pruchnała sięgnięto do ocalałych kartotek granatowej policji, gdzie Pruchnał figurował na liście karanych za działalność wywrotową.

Neumann poczuł się jak łowczy pies, który natrafił na właściwy trop. Wiedział, że śladu tego nie puści.

## 6

Mocno znudzony wyszedł Kloss z gabinetu obersta von Ossetzky'ego. Stary Prusak, świeżo naszpikowany na lwowskiej odprawie pouczeniami berlińskiej centrali, blisko trzy godziny męczył Klossa, a wraz z nim kierowników pozostałych referatów „Abwehrstelle Warschau”, że należy wzmocnić działalność „na odcinku walki z coraz liczniejszymi agenturami bolszewickimi”.

Von Ossetzky'ego poinformowano o sformowaniu w Rosji polskiej dywizji, wywiad hitlerowski zdobył też informacje o powstaniu przy dywizji sztabu, koordynującego działania lewicowej partyzantki.

Po referacie Ossetzky'ego wywiązała się dość niemrawa dyskusja, z której wynikało, że warszawska Abwehra dysponuje zbyt małą liczbą sprzętu radiopelengacyjnego, zbyt małą liczbą pieniędzy i agentów. Przy okazji oberleutnanta Klossa spotkało wyróżnienie, szef pochwalił go za zorganizowanie punktu kontaktowego dla agentów.

Gdyby wiedział, do czego służyło naprawdę to brudne, czteropokojowe mieszkanie w na pół wypalonym domu, tuż przy granicy getta... Gdyby wiedział, że w mieszkaniu wynajętym za pieniądze Abwehry pod podłogą łazienki przechowywane były papiery, za które Abwehra i gestapo dałyby każdą sumę w „młynarkach"! Oczywiście oberleutnant Kloss przyjmował tam niekiedy zwerbowanych przez Abwehrę pracowników niemieckich biur i instytucji, ale spotykał się także z ludźmi, za których głowy wyznaczano w Generalnej Guberni nagrody po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Kilkakrotnie w lokalu, pozostającym pod opieką Abwehry, przyjmował wysłanników centrali, ustalił nawet, że w wypadku utraty kontaktu właśnie tam znajdzie go ktoś, kto będzie chciał kontakt nawiązać powtórnie.

Ale Kloss bez zmruczenia oka przyjął pochwałę szefa. Każde takie wypowiedziane przez zwierzchników słowo umacniało jego bezpieczeństwo, odsuwało odeń groźbę zdemaskowania. Oficer, którego chwali nieskory do głaskania po główce von Ossetzky, nie może być przecież przez nikogo podejrzany.

Wynudzony więc setnie, wyszedł z gmachu Abwehry, skonstatował, że liście na drzewach rozwinęły się bardziej, czuć było zbliżające się lato. Z rozkładu dnia Józefa Podlasińskiego wynikało, że powinien o tej porze siedzieć w kantorze jako Franciszek Buła. Zadzwoił tam z pierwszego ulicznego automatu.

— Chciałbym przewieźć dwie tony węgla pierwszego gatunku - powiedział w słuchawkę, choć usłyszał głos Józefa. Tamten także był ostrożny, choć z pewnością również poznał Klossa po głosie.

- Jaki adres? - zapytał.-Aleja Róż 127.

To nic, że ta krótka uliczka, licząca zaledwie kilkanaście domów, nie mogła mieć kamienicy oznaczonej tak wysokim numerem. Cała rozmowa miał znaczyć, że Kloss pragnie spotkać się z Józefem w zwykłym miejscu nad stawem w Parku Ujazdowskim, a cyfra ponad sto oznaczała, że spotkanie powinno się odbyć natychmiast, w ciągu najbliższej godziny. Gdyby Kloss wymienił numer domu niższy niż sto, znaczyłoby to, że pragnie spotkać się dopiero nazajutrz, ale wtedy trzeba byłoby określić godzinę za pomocą liczby wiązek drewna, które mają być przywiezione.

„Buła" siedział, tak jak było ustalone, na skraju ławki tuż nad stawem, ubrany solidnie, lecz nieelegancko, tak jak powinien być ubrany właściciel czterech platform konnych, nazywający siebie nieco na wyrost przedsiębiorcą spedycyjnym. Z papierkowej torebki wybierał skórki chleba, kruszył je w palcach i rzucał wygłodniałym łabędziom.

- Czy nadałeś mój poprzedni meldunek o łodzi podwodnej U-265? - zapytał Kloss patrząc w przestrzeń.



- Oczywiście - odparł, nie przestając drobić chleba.

- Coś mi się nie zgadza - powiedział Kloss. - To było tydzień temu, a wczoraj łódź oznaczona tym numerem storpedowała kilka statków z konwoju płynącego do Murmańska. To nie żadne przechwałki, to nie z komunikatu dla prasy, tylko z wewnętrznego biuletynu Abwehry.

- Może nie udało im się zniszczyć.

- W każdym razie sprawdź, czy dostali tę informację. W razie potrzeby powtórz ją jeszcze. Ta łódź ma bazę w północnej Norwegii.

- W porządku, przekażę. Masz coś jeszcze?

- Parę drobiazgow. Weźmiesz, kiedy się oddalę. Przekaż to dzisiaj.

- Co z radiostacją?

- Na razie bezpieczna - odpowiedział Kloss wstając i popychając w stronę Podlasińskiego pudełko zapalek. - Ciągłe nie mogą złapać systemu nadawania o różnych porach. Gdyby były jakieś polecenia dla mnie...

- Proponuję kawiarnię w samo południe. Jeśli nie będzie padało, na tarasie. Tam zawsze o tej porze jest tłok. Przysiądę się do ciebie, jeśli będę coś miał.

Kloss nie spiesząc się wstał z ławki i z wolna podążył ku głównej alei. Z którejś z bocznych drózek wybiegł mu wprost pod nogi czteroletni może berbec. Byłby upadł, gdyby go Kloss nie pochwycił. Malec dopiero teraz dostrzegł mundur Klossa. Grymas płaczu wykrzywił mu buzię. Wyrwał się z objęć oficera i z rykiem pobiegł w stronę matki.

Kloss przywykł do tego, że jego mundur budził strach i pogardę dorosłych, tym boleśniej odczuwał zachowanie dzieciaków.

Najgorsze są takie przypadkowe sytuacje, najtrudniej wtedy utrzymać się w roli - myślał Kloss idąc do kasyna, gdzie umówił się z leutnantem Tietschem. Przypomniało mu się spotkanie z żołnierzem sprzed paru dni, może dlatego, że ten chłopczyk w parku był piegowaty jak tamten żołnierz.

Jeśli kiedy wpadnę - pomyślał - to stanie się to właśnie dzięki jakiemuś głupiemu przypadkowi. Głupiemu i pozornie bez znaczenia.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak wielu ludzi nas zna. Każdy z nich był dla Klossa groźny. Ten żołnierz, który wymienił Horst Mayerstrasse na środku rozświetlonego placu przed komendą garnizonu, wytrącił go z równowagi na dobre parę godzin. Ale bywają gorsze spotkania. Na przykład zdarzenie sprzed pół roku.

Umówił się ze sturmfuehrerem Brunnerem i paroma innymi gestapowcami w Alejach Jerozolimskich przy Dworcu Głównym. Mieli jechać z jakimś świeżo przybyłym z Berlina bonzą

partyjnym na polowanie do Puszczy Białowieskiej i Kloss czekał niecierpliwie na Brunnera, który jak zwykle nie grzeszył punktualnością.

Zły i zmarznięty, w krótkim myśliwskim półkożuszku, przestępował z nogi na nogę - od czasu do czasu demonstracyjnie przywdziewał cywilne ubranie. Jego praca w Abwehrze w charakterze rzeczoznawcy spraw polskich dostatecznie usprawiedliwiała tę maskaradę, a chciał przyzwyczaić swych przyjaciół z gestapo na wypadek, gdyby kiedyś jakiemuś szpiclowi wpadł w oko oberleutnant Kloss w cywilu. Stał więc i marzył, gdy nagle usłyszał tuż za sobą okrzyk: „Janek!”

Jak przez mgłę przypomniał sobie tę dziewczynę. Na imię miała Krystyna, ale kazała mówić do siebie Krycha. Poznał ją, kiedy po ucieczce z Kościerzyny w jesieni trzydziestego dziewiątego roku szukał w Warszawie kontaktu z jakąś organizacją. Krycha, daleka kuzynka właścicieli willi, w której znalazł schronienie, marzyła o tym samym. Kiedy wszelkie próby zawiodły, postanowili przez Słowację i Węgry przedrzeć się do Francji, gdzie generał Sikorski formował polską armię. W końcu jednak całkiem przypadkowo udało mu się trafić do jednej z dopiero co powstałych organizacji patriotycznych i z rozkazu organizacji powrócił do Kościerzyny, utraciwszy wszelki kontakt z Krycha.

Zostało mu wspomnienie niejasne i zatarte przez czas. Dwa czy trzy tygodnie, kilkanaście wieczorów poświęconych snuciu planów przedarcia się na Węgry, cień zaledwie jakiegoś romansu, dwa czy trzy przelotne pocałunki, ale więcej podniosłych patriotycznych rozmów.

I właśnie teraz, kiedy czeka na ludzi ubranych w czarne mundury, musiała się napatoczyć. Chciał się z nią natychmiast pożegnać, powiedział, że bardzo się spieszy, ale w tym momencie nadjechał samochód z Brunnerem i jego kamratami.

Kloss dostrzegł zdumienie pomieszane ze wstrętem, gdy samochód zatrzymał się tuż przy nich i Brunner z okrzykiem: „Hans, nie podrywaj Polek!” wciągnął go niemal do auta.

Dziewczynie wydawało się, że zrozumiała wszystko. Gdyby miała broń - tyle wyczytał w jej wzroku - zastrzeliłaby go na miejscu. Długo prześladowało go spojrzenie Krychy, bał się, że nigdy więcej jej nie spotka i że w jej oczach na zawsze pozostanie sprzedawczykiem i zdrajcą.

Tak. Możliwość takich spotkań przerażała go najbardziej. We Francji czy w Rosji, gdzie od czasu do czasu przerzuca go kapryśny rozkaz dowództwa, czuje się znacznie bezpieczniej. Ale tu przydaje się najbardziej i dlatego z uczuciem ulgi wita każde wezwanie do powrotu.

Tietscha jeszcze w kasynie nie było. Powoli ciągnął kiepskie piwo, łowiąc uchem strzępy rozmów przy sąsiednich stolikach. Jedna zainteresowała go szczególnie.

Czerwony na twarzy - czy to od upału, czy od nadmiernej ilości wypitego alkoholu - major z naszymi czołgisty opowiadał coś blademu jakby dla kontrastu kapitanowi intendenty, którego Kloss znał z widzenia.

- Wiesz, bracie, ilu naszych zginęło w samej tylko Chorwacji? Dwadzieścia procent stanów osobowych. To tak, jakby co piątego postawić pod ścianę i... tratatata - zaczął imitować strzelanie. —

Ale to jest średnia, bracie, średnia statystyczna, niech ją szlag... Z niektórych batalionów piechoty nie ocalał ani jeden człowiek. Wystrzelali do nogi.

Dalej Kloss nie dosłyszał, bo zmitygowany - widać przez kapitana - czerwonołocy major ściszył głos.

Kloss doszedł do wniosku, że nadarzyła się okazja, aby podtrzymać o sobie opinię służbisty. Podszedł do stolika, przy którym siedzieli major i kapitan, odwołał majora na bok.

- Oberleutnant Kloss z Abwehry - przedstawił się. -Chciałem panu majorowi zwrócić uwagę, że zbyt głośno mówi pan o sprawach, będących służbową tajemnicą. Na szczęście ja siedziałem najbliżej pańskiego stolika, ale mógł przecież siedzieć ktoś inny.

- Wydawało mi się - wybąkał major - że w klubie oficerskim...

- Mógł siedzieć - przerwał mu w pół słowa Kloss -ktoś, kto sporządziłby raport. Nie muszę panu mówić, że sianie defetyzmu i wyolbrzymianie naszych strat oceniane jest bardzo surowo...

-Ależ...

- Proszę słuchać. - Kloss ani myślał zrezygnować ze swojej przewagi. Był to rodzaj jego prywatnego odwetu. - Mógł tu także siedzieć wróg. Wróg jest wszędzie. Zapomniał pan, co doktor Goebbels powiedział na ten temat? - zauważył, że twarz majora spąsowiała jeszcze bardziej i zaczyna nabierać odcienia sinego.

- Tym razem daruję panu majorowi. Rozumiem, że oficer, który dopiero co wrócił z frontu, ma ochotę wygadać się, pochwalić sukcesami, ale o sukcesach także — dodał tonem nauczyciela — proszę mówić ciszej.

Odwrócił się na pięcie i zostawił ogłupiałego, lekko chwiejącego się na nogach majora. Oczywiście informacja o stratach w Chorwacji zostanie przekazana, gdzie należy.

Dostrzegł wchodzącego Tietscha, machnął mu ręką wskazując stolik. Kątem oka dostrzegł, że major przywołał gestem kapitana i obaj pospiesznie opuszczają kasyno. Prawdopodobnie major zapytał intendenta, kim jest ten młody, bezczelny porucznik, tamten wysłucha, jakiej to reprimendy udzielono majorowi i utwierdzi się w przekonaniu, że oberleutnant Kloss to niebezpieczny, zapalony nazista. Być może podzielił się z kimś tą opinią, a na tym przecież Klossowi zależało najbardziej.

Myślał o tym, słuchając monotonnego jak ciurkanie wody z kranu głosu leutnanta Tietscha, w cywilu aptekarza z małej bawarskiej miejsciny. Tietsch skarżył się, że jego sekcja ciągle nie może złapać radiostacji, która przyprawia dowództwo o wściekłość, ale cóż on może zrobić, kiedy radiostacja działa w kwadracie kilkunastu najgęściej zaludnionych ulic śródmieścia. Co prawda każdego wtorku, ale zawsze o innej godzinie, a Tietsch nie może przecież posłać tych swoich marnych pięciu wozów pelengacyjnych na cały dzień, bo po pierwsze -potrzebne są gdzie indziej, a po drugie - gdy raz zorganizował taką sekcję, radiostacja, jakby kpiąc zeń w żywe oczy, w ten właśnie wtorek, kiedy za wstawiennictwem oberleutnanta Klossa udało mu się ściągnąć kilkanaście

wozów z prowincji, najbezpieczniej w świecie w ogóle się nie odezwała.

Tietsch ożywił się nieco, gdy zjawił się kelner i zaproponował panom oficerom baraninę, ponieważ mimo niepozornej postury był okropnym żarłokiem, i zawsze wprawiał Klossa w zdumienie ilością pochłanianego jadła. Kloss imponował mu przede wszystkim wojskową postawą, której sam, mimo usiłowań, nie potrafił nabyć, a także ujmującym sposobem bycia, zjednującym oberleutnantowi przyjaciół. Życzliwe koleżeństwo, okazywane przez Klossa, przyjął jako dar. Kloss nigdy zresztą nie wyzyskiwał tej przewagi, przeciwnie — podsuwając Tietschowi rady i sugestie starał się to uczynić w taki sposób, aby Tietsch mógł myśleć, że wylęgły się w jego głowie. Kloss w zamian zyskiwał dostęp o każdej porze do pomieszczeń zajmowanych przez referat Tietscha, a to pozwalało mu chronić własną radiostację.

- Powiedz, Hans, co ja mam robić, żeby mi nie zabierano ludzi - żalił się swoim płaczącym głosem, pochłaniając trzecią porcję budyniu, polanego sokiem malinowym. - Co ja mam zrobić, żeby mi nie zabierano ludzi? Dzisiaj znowu musiałem dać czterech swoich chłopaków do dyspozycji gestapo. Ten Neumann strasznie się tam szarogęsi, a nasz Ossetzky ulega Luetzkemu, jakby był jego fagasem.

- Po co Neumannowi twoi ludzie? - zapytał bez zainteresowania Kloss.

- Diabli go wiedzą - prychnął Tietsch znad budyniu. - Szykuje jakąś gigantyczną policyjną akcję. Interesują go abonenci elektrowni czy gazowni, już nie pamiętam.

Zamglonym wzrokiem spoglądał na kelnera zbierającego talerze. Klossowi się zdawało, że Tietsch zastanawia się, czy nie zamówić jeszcze czegoś. Ale widać uznał, że ma dość, bo zamówił tylko piwo.

- Wiesz, Hans - powiedział zgarniając pianę - cholernie mnie denerwują ci byli policjanci, wyspecjalizowani w łapaniu drobnych złodziejasków i alfonsów. Przyodziali teraz czarne mundury i rzną wielkich asów wywiadu.

- Masz rację - powiedział bezmyślnie, bo zastanawiał się właśnie, cóż to za wielką akcję policyjną szykuje krzywonogi hauptsturmfuehrer. Choć przyznał Tietschowi rację, bynajmniej nie lekceważył Neumanna. Znał ten gatunek funkcjonariuszy powolnych, cierpliwych, upartych jak muły. Wiedział, że właśnie tacy bywają najtrudniejszymi przeciwnikami

7

Głos standartenfuehrera Luetzkego w telefonie nie wróżył nic dobrego.

- Zaraz schodzę — powiedział Neumann.

Tym razem nie skorzystał z windy, nie spieszył się do obejrzenia rybich, bezbarwnych oczek swego szefa. Głównymi schodami dwóch podoficerów SS ciągnęło w dół pokrwawioną dziewczynę.

Musiła być kimś znacznym, jeśli przesłuchiowano ją na górze. Normalne przesłuchania odbywały się w piwnicy, w gmachu byłego polskiego Ministerstwa Oświecenia i Wyznań Religijnych. Dziewczyna uczepliła się kurczowo poręczy. Jeden z podoficerów zaczął wyłamywać jej rękę. Neumann odwrócił się z niesmakiem.

Stosują swoje ulubione metody - pomyślał z sarkazmem. - Z tej dziewczyny nie wycisną już nic.

Gdyby sprawa dotarła do niego, wiedziałby, jak postąpić. Po pierwsze nie aresztowałby dziewczyny...

Ten obraz nasunął mu myśl o akcji, którą właśnie prowadzi i za chwilę zrelacjonuje standartenfuehrerowi, który, gdyby nie jego rozbiegane ręce, bezustannie obracające jakiś przedmiot, wyglądem przypominałby nieboszczyka.

Dla Neumanna sprawa była prosta. Ustalono, że z kelnerką z restauracji „Klubowa” kontaktuje się niejaki Adam Pruchnal, lat dwadzieścia osiem, notowany w kartotekach polskiej przedwojennej policji jako osobnik karany za działalność komunistyczną. Od tygodnia jest pod nieustanną inwigilacją. Jednocześnie drobiazgowemu badaniu poddawana jest przeszłość ludzi, z którymi się stykał poza pracą.

Ale najważniejsza jest praca tego Pruchnala. Neumann czuje, że inkasent gazowni otrzymuje meldunki w którymś z mieszkań w rejonie swego inkasa. Rejon znajduje się w śródmieściu i obejmuje kilka przyległych ulic. Skromnie licząc, trzy i pół tysiąca mieszkań. Gdyby udało się stwierdzić, w którym z tych mieszkań Pruchnal bywa cztery razy w miesiącu, meldunki napływają bowiem regularnie co tydzień, sprawa byłaby prosta... Luetzke zaproponuje oczywiście zdjęcie tego inkasenta. W zeszłym tygodniu wysunął taką sugestię.

- Czy ma pan do mnie zaufanie, szefie? - zapytał wtedy Neumann. — Oczywiście, możemy mieć w sieci płoćkę, ale wtedy szczupak się wymknie, a on jest naprawdę groźny. Rozszyfrowałem tekst ostatniego meldunku. Nasz szczupak już wie o sukcesie łodzi U-265, chociaż ostatni komunikat OKW jeszcze o tym nie wspominał. W meldunku jest informacja, że do wyposażenia plutonu piechoty ma wejść CKM ze specjalnym chłodzeniem, przygotowany do warunków afrykańskich, i obiecuje dostarczyć dane dotyczące tego CKM-u.

- Nie musi mnie pan przekonywać - rzekł wtedy Luetzke - że J-23 jest groźny i niebezpieczny. Nie będę się wtrącał, ale niech się pan pośpieszy.

Neumann skorzystał z okazji i wymógł na szefie, żeby ten załatwił wypożyczenie paru ludzi z Abwehry; akcja, którą prowadził, nie miała bowiem precedensu. Trzy i pół tysiąca ludzi, będących głównymi lokatorami, plus członkowie rodzin i sublokatorzy? Nawet po wyłączeniu dzieci, pozostaje około dziesięciu tysięcy osób. Należało ustalić personalia tych osób, prawdziwe personalia, bo muszą się wśród nich znaleźć ludzie z fałszywymi papierami, poszukać wśród nich oficerów rezerwy, zwolnionych z oflagów, bądź też ludzi, którzy ukrywają się przed władzami niemieckimi. Przedwojenna działalność Pruchnala zdaje się wskazywać, że J-23 ma powiązania z kręgami skrajnej lewicy, a więc należy wśród tych dziesięciu tysięcy osób znaleźć takich, którzy przed wojną zamieszani byli w działalność komunistyczną.

Tak jak przewidywał, sekcja CI, zajmująca się badaniem kontaktów pozaurzędowych Adama Pruchnała, nie wniosła nic nowego. Instynkt Neumanna nie mylił - tego był pewien. Kontakt musi odbywać się w którymś z tych trzech i pół tysiąca mieszkań. Na podstawie badania rachunków usiłowano dociec, czy inkasent odwiedza któreś z tych mieszkań częściej niż raz w miesiącu. Nic na to nie wskazywało.

Wtedy Neumann uczepił się innej koncepcji. Radiostacja pracuje co wtorek, tego samego dnia Stanisława Zarębska przynosi meldunki do krawca Skowronka, a przedtem, ale także zawsze we wtorek, spotyka się z Adamem Pruchnałem. Jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby Pruchnał chodził z tak niebezpiecznym materiałem po mieście lub przechowywał go gdzieś. Prawdopodobnie także wrogiej agenturze zależy na maksymalnej aktualności nadsyłanych materiałów, wynikałoby więc z tego, że inkasent otrzymuje meldunki w każdy wtorek.

Ta hipoteza pozwoliłaby zacieśnić krąg do czterystu mieszkań, ale jeśli Neumann by się pomylił, zaprowadziłoby go to na manowce. Na wszelki jednak wypadek trzech ludzi po piętnaście godzin na dobę ślęczało nad kartotekami osób mieszkających w owych czterystu lokalach, usiłując za wszelką cenę znaleźć między nimi jakieś powiązania.

Neumann wiedział, że jest to jedyna możliwa metoda, ale zdawał sobie sprawę, że brak mu czasu.

Stanął przed obitymi materacem drzwiami standartenfuehrera. Ilse, krótkonoga, piersiasta sekretarka Luetzkego, bez słowa wskazała drzwi gabinetu szefa.

Kiepski znak - pomyślał Neumann. Idealnej sekretarce zawsze udzielał się nastrój standartenfuehrera.

## 8

Luetzke bawił się tym razem zapalniczką. Jego chude palce obracały mały przedmiot ze złota, kładły i podnosiły. Neumann z trudem oderwał wzrok od tych rozedrganych rąk.

- Zbyt długo trwa ta zabawa, Neumann - powiedział prawie szeptem. Tym razem nie wskazał Neumannowi krzesła, więc hauptsturmfuehrer stał wyprężony. - Czytałem pański ostatni raport. Duża praca, a właściwie duże pozory pracy. Listy, nazwiska, papierki, a ten J-23 ciągle nieuchwytny. Czego pan tak sterczy? Niech pan siada! Jego ostatnia informacja, zarówno ta o stratach, jakie ponieśliśmy w Jugosławii, jak i ta o przerzuceniu grup specjalnych na południe, jest zgodna z prawdą.

-Zwracam panu uwagę, standartenfuehrer - Neumann z ulgą wyprostował nogi - że żadna z tych informacji nie przyda się bolszewikom, nie dotrze do nich, ponieważ korzystając ze zdobytych szyfrów, przekazaliśmy ich centrali materiały spreparowane przez nas.

Ale Luetzke nie pozwolił mu zaliczyć tego punktu.



- On żyje, on działa. Dopóki nie będziemy go mieli w garści, nie możemy spać spokojnie. W tej wrogiej centrali nie siedzą idioci, Neumann. Zrozumieją pewnego dnia, że podsuwamy im fałszywe informacje i wtedy koniec. Albo też ten J-23 zorientuje się, że coś jest nie tak i przestanie korzystać z radiostacji zainstalowanej u tego krawca. A czy może pan zagwarantować, że nie ma drugiej rezerwowej radiostacji - i co wtedy? Co nam zostanie w garści? Ten radzista, z którego już nic więcej nie da się wydusić? Ta kucharka czy kelnerka, która wie pewnie tyle samo co my, to znaczy, że ma odebrać kartkę papieru zapisaną cyframi i dostarczyć ją do pracowni krawieckiej? Wierzę, że chce pan złapać szczupaka, ale na szczupaki nie poluje się stojąc godzinami z wędką na brzegu. Wie pan, co to jest spinning?

- Są trudności — udało się wreszcie wtrącić Neumannowi. — Ten inkasent nie odwiedził w ciągu ostatniego miesiąca ani jednego mieszkania dwukrotnie. Siatka musi być zakonspirowana głębiej, niż myśleliśmy. Ale to tylko kwestia czasu. Muszą wpaść.

- Wie pan, Neumann, że brak nam właśnie czasu. Dlatego musi pan sprawę przyspieszyć. Jeśli złapiemy J-23, pośrednie ogniwa wpadną nam same w ręce, a jeśli nawet komuś się uda wymknąć, nie ma tragedii - jedna płotka mniej czy więcej. On jest zbyt dobrze poinformowany. Albo sam ma coś wspólnego z niemiecką administracją wojenną, albo ma tam dobrych informatorów. Będziemy ich mogli chwycić, gdy złapiemy jego.

- Ależ... - chciał powiedzieć, że zbyt pospieszne działanie może tylko zepsuć sprawę, urwać nitkę od kłębka, nitkę, za którą, chociaż powoli, Neumann się jednak posuwa. Standartenfuehrer nie pozwolił mu jednak powiedzieć ani słowa. Zastukał palcami w biurko.

- Pytałem, czy wie pan, co to jest spinning? Lubię, kiedy moi podwładni odpowiadają na pytania. Szczupaka, mój drogi Neumann, łowi się na błysk. Rzuci mu się z wędką małą wirującą rybkę, inaczej nie chwyci haczyka. A potem szybciotko ściąga się korbką linkę.

- Przynęta? - zapytał, a Standartenfuehrer uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia i Neumann pomyślał, że chyba omylił się w ocenie swego szefa. „Szczupaka łapie się na błysk”, to nie jest wcale głupie. - Mam pomysł - powiedział Neumann - pomysł rzucenia szczupakowi małej wirującej rybki. Dość ryzykowny, co prawda. Tego J-23 można by wezwać na spotkanie z funkcjonariuszem z ich centrali, w celu udzielenia pilnych instrukcji.

- Rozwija się pan, Neumann. Lubię, kiedy moi ludzie rozwijają się. - Postukał zapalniczką w polerowany blat biurka.

- Ryzykujemy zdemaskowanie naszej akcji. Niewykluczone, że ma umówiony ze swoją centralą jakiś specjalny sposób na takie okazje.

- Gdyby w trzydziestym szóstym nasz fuehrer nie zaryzykował i nie wkroczył do Nadrenii - powiedział sentencjonalnie Luetzke - nie bylibyśmy dziś panami Europy.

Neumann zrozumiał, że właśnie w tym momencie jego samodzielność się skończyła, że może teraz jedynie wstać, stuknąć obcasami i wyjść. Decyzję podjął za niego ktoś inny.

Kloss wiedział już wszystko. To znaczy rozumiał w najogólniejszych zarysach mechanizm gry prowadzonej przez Neumanna i, jak zwykle w chwilach największego zagrożenia, układał sobie plan działań na najbliższe godziny. Neumann się naciął - to pewne, ale zagrożenie nie przestaje być aktualne.

Dopił swoje wino, zostawił na stoliku pieniądze i wyszedł z „Cafe Clubu”. Szatniarze komentowali widocznie wypadki z ostatnich minut, bo zbyt gwałtownie zaczęli mówić o pogodzie, gdy stanął przed ladą i poprosił o swą czapkę. W lustrze zobaczył, że czarny opel Neumanna ruszył właśnie sprzed klubu, za nim półciężarówka z kilkoma SS-manami.

Postanowił pójść piechotą. Do spotkania z Podlasińskim miał blisko pół godziny, mógł jeszcze raz przemyśleć wydarzenia ostatniego tygodnia.

Kiedy spotkali się w ubiegłą środę, jak zwykle w Parku Ujazdowskim koło łabędzi, zdziwił go niepokój opanowanego zazwyczaj Józefa. Przyniósł właśnie otrzymane zwykłą drogą polecenie centrali, żeby J-23 zjawił się określonego dnia w „Cafe Clubie” z białym goździkiem jako znakiem rozpoznawczym.

- Gdzie mam wpiąć ten kwiatek? - zapytał Kloss, gdy przeczytał wezwanie napisane na marginesie gazety pozostawionej na ławce. - Ten kwiatek nie pachnie mi najładniej - dodał, nie uznał bowiem za stosowne wyjaśnić Podlasińskiemu, że umówionym od dawna hasłem do spotkania z centralą miało być żądanie podania dokładnego składu osobowego 33 pułku grenadierów pancernych.

Postanowił jednak pójść do „Cafe Clubu”, naturalnie bez goździka, bo gdzież oficer może wpiąć goździk? Chciał zobaczyć, z kim ma do czynienia, kto jest jego przeciwnikiem. Myślał oczywiście, że sprawa skończy się na niczym, nie przypuszczał, że napatoczy się właśnie jakiś stary Niemiec z kwiatkiem w klapie, który chwycony przez dwóch tajniaków, będzie krzyczał, że jest doktorem Mayerem z organizacji Todt i osobistym przyjacielem ministra Schachta.

Zaraz po wejściu do „Cafe Clubu” dostrzegł Neumanna i wtedy wiedział już wszystko. Więc na tym polega ta gigantyczna operacja w berlińskim stylu. Ale co ma do tego gazownia czy elektrownia, coś, o czym mówił mu w kasynie leutnant Tietsch? Nie mógł tego skojarzyć. Postanowił, że zapyta o to Józefa.

Są dwie możliwości - myślał chłodno - albo wpadł Józef, albo radiostacja. Gdyby Józef, Kloss nie mógłby iść dziś spokojnie ulicą. Prawdopodobnie siedziałby w lochu w alei Szucha, a w najlepszym razie w więzieniu Abwehry. A może już by nie żył, zgniółszy zębami wprawioną w plombę mikroskopijną fiolkę z cyjankali, przygotowaną na taką okoliczność.

Pozostaje więc radiostacja. Służba bezpieczeństwa dysponuje własnym radionasłuchem, mogli więc wpaść na ślad radiostacji, niezależnie od sekcji Tietscha. Co prawda powinni powiadomić o tym Abwehrę, ale Kloss nieraz był świadkiem, że zazdrosny o sukcesy Luetzke ukrywał, jak długo się

dało, informacje o niezwyklejym znaczeniu.

A może wpadli na ślad radiostacji przypadkiem? Tego, niestety, nigdy się nie dowie. Nie widział na oczy radzisty, kiedyś tylko, gdy przechodził z Józefem ulicą Polną, Podlasiński pokazał mu szyld Skowronka. Ofuknął go wtedy. Starał się zawsze wiedzieć tylko to, co niezbędne. Kontakt z radiostacją miał utrzymywać Józef, a właściwie jego siatka, o której Kloss także nic nie wiedział, bo nie chciał wiedzieć. Więc jeśli radiostacja wpadła przypadkiem - niespodziewana rewizja w poszukiwaniu radioodbiornika lub ukrywających się Żydów — to cała siatka musi być pod obserwacją gestapo.

Jedno jest pewne - nie dotarli do Józefa. Będzie musiał zwinąć swoje cztery mieszkania i poszukać sobie piątego albo jeszcze lepiej — na jakiś czas ulotnić się z Warszawy, a jeśli mu się uda — ostrzec ludzi z siatki.

Kloss usiadł na tarasie kawiarni, rozejrzał się - Józefa nie było. Spojrzał na ulicę, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzi, i zmartwił. Ubrany elegancko Józef, wymachując parasolem, przecinał plac, gdy trzech żandarmów zagroziło mu drogę.

Czyżby już go mieli? - zląkł się widząc, jak Podlasiński podsuwa żandarmom papiery. Nagle ulga. Żandarmi przepuścili Józefa, podoficer dowodzący patrolem podniósł rękę do hełmu.

- Zląkłem się o ciebie - powiedział Kloss, gdy Podlasiński siadł wreszcie, odkładając porządnie kapelusz i parasol na wolne krzesło.

- Niepotrzebnie - uśmiechnął się - Witalis Kazimirus, konsultant RSHA do spraw okupowanych terenów litewskich, jest człowiekiem, któremu podoficer żandarmerii może tylko zaszalutować. Czy wiesz, że oni bledną na widok legitymacji Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy? Tylko udają, że czytają, to już tylko formalność, żeby jakoś wyjść z twarzą, bo naprawdę zupełnie im wystarcza ta ciemnozielona okładka z gapą. Co w „Cafe Clubie”? - zapytał.

- Bardzo niedobrze. Aresztowali jakiegoś doktora Mayera, który był na tyle nieostrożny, że wpiął sobie goździk w klapę. Sam krzywonogi Neumann był przy tym.

- To znaczy - zaczął Józef - że mają naszą radiostację i szyfr?

Powinien się tego wcześniej domyślić. Wtedy, kiedy nie dotarła do naszych informacja o łodzi podwodnej bazującej w północnej Norwegii.

- O mnie jeszcze nie wiedzą - z uśmiechem skłonił się niebrzydkiej dziewczynie, uczeptionej ramienia jakiegoś sturmfuehrera SS. Józef o niczym nie zapomniał. Ten ukłon przeznaczony dla kobiety wiadomej profesji oznaczał, że ani na chwilę nie przestawał być starym birbantem i lekkoduchem, za jakiego uchodzić powinien Witalis Kazimirus. Nikomu, patrzącemu z daleka na tych dwóch mężczyzn ucinających, jakby się zdawało, swobodną pogawędkę, nie mogło przyjść do głowy, że są to ludzie śmiertelnie zagrożeni.

-Wiesz, że mam obstawę - powiedział Józef. - Mundek to pistolet, jakich mało. Gdybym był

śledzony...

- Wiem - odparł Kloss. - Ty nie wchodzisz w rachubę. Te cztery mieszkania na cztery różne nazwiska pozwolą ci zniknąć niepostrzeżenie.

- To znaczy - powiedział Podlasiński - że Adam nie sypnął. Nie mają jeszcze Adama. On zna wszystkie moje cztery wcielenia. Właściwie głównie dla ułatwienia pracy Adamowi urządziłem się pod czterema nazwiskami.

Dzięki temu może mnie odwiedzać raz na tydzień i brać pocztę razem z pieniędzmi za gaz.

- Za gaz? - zapytał Kloss, to przypomniało mu, co mówił Tietsch o jakiejś akcji Neumanna wśród abonentów gazowni.

- Jest inkasentem. To zresztą jego prawdziwa praca jeszcze sprzed wojny.

-Więc go mają - powiedział Kloss. Zrelacjonował Józefowi rozmowę z Tietschem o gigantycznej akcji Neumanna. - Musisz go ostrzec, niech pryska do lasu.

- A dziewczyna?

- Następne ogniwo. Musi zdecydować Adam. Jeśli ma do niej zaufanie.

- Będzie u mnie jutro.

-Więc mech uciekają jutro. Ale przedtem pošlecie jeszcze jeden meldunek od J-23.

- Oszalałeś? Jeśli radiostacja jest spalona...

- Właśnie. Meldunek nie dotrze do centrali, jak nie dotarł żaden z wysyłanych w ciągu ostatnich trzech tygodni. Otrzyma go Otto Neumann. To będzie rodzaj listu prywatnego. Nadacie, że J-23 nie mógł zjawić się w umówionym miejscu, ponieważ w wyznaczonym dniu był służbowo w Szczecinie. Prosi o podanie następnego terminu i miejsca.

- Chcesz go zająć na parę dni?

- Tak. Musicie mieć czas na zmycie się z Warszawy. Nie zapomnij zabrać ze sobą kopii moich meldunków z ostatnich trzech - czterech tygodni. Przekaż je Bartkowi, powinien mieć jakiś nowy szyfr i radiostację.

- A ty? - zapytał Józef.

- Muszę pomóc biednemu Tietschowi. Chłopak nie może wpaść na system, według którego pracuje wroga radiostacja.

Wstał i lekko skłonił się Podlasińskiemu. Nie zamienili ze sobą ani słowa pożegnania, chociaż obaj myśleli o tym samym - czy zobaczą się jeszcze kiedykolwiek?

Bartek nie był zachwycony rozkazem, który otrzymał ubiegłej nocy. Musiał nagle odwołać ludzi z zaplanowanej kolejówki, na gwałt szykować lądowisko. Na szczęście w pobliżu nie było dużych oddziałów niemieckich, mógł zorganizować wszystko w ciągu dnia. Ale cóż! Z rozkazami się nie dyskutuje, a rozkaz był wyraźny: przygotować lądowisko, przyleci wysłannik z centrali.

Czekali od zmroku na wielkiej polanie w środku puszczy Kozienickiej. W wykopanych dołach leżał już chrust polany benzyną, przygotowany do podpalenia, gdy usłyszą nadlatujący samolot. Ale samolot nie nadlatywał. Noc była chłodna. Adam, nie przyzwyczajony do lasu, szcząkał zębami.

- Martwię się o Józefa. Co mu się mogło stać? Dlaczego jeszcze go nie ma?

- Nie kracz! - powiedział Bartek ze złością. - Nie kracz, bo wykraczesz! Czwarty raz to już powtarzam dzisiejszej nocy.

- Powiedział mi, że spotkamy się u ciebie. Myślałem, że już jest. Czyżby nie zdążył?

- Znowu zaczynasz - mruknął Bartek i podał Adamowi tłący się niedopałek. - Masz, pociągnij, zajmij czymś gębę, nie będziesz plótł głupstw.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Gdzieś nad nimi pohukiwała sowa. Do Bartka podkradł się nieznany Adamowi młody partyzant.

- Obywatelu dowódcu, jeśli w ciągu pół godziny nie nadleci... Zaraz będzie świtać.

Wtedy właśnie usłyszał terkot nadlatującej maszyny. Chłopak, nie czekając na rozkaz, pobiegł ku zrzutowisku. W wykopanych dołach, ułożonych tak, że tworzyły gigantyczną literę „T”, błysnął w górę ogień. Pilot musiał dostrzec znak, bo schodził do lądowania.

Bartek podszedł do samolotu i pomógł wygramolić się otyłemu mężczyźnie w długim kożuchu, który krepował mu ruchy. Partyzanci wyładowali broń i amunicję, przynosili ją na przygotowane chłopskie furmanki, a on prowadził wysłannika w stronę leśniczówki.

- Nie macie kogoś, kogo chcecie przerzucić? - zapytał otyły mężczyzna. - Samolot zaraz startuje.

- Wy zostajecie? - zdziwił się Bartek.

Tamten mruknął potakująco i nic więcej tej nocy Bartek się od niego nie dowiedział. Nazajutrz dopiero mężczyzna przedstawił się.

- Kapitan Antoni - powiedział - w sprawie wsypy.

- Szybko reagujecie — rzekł Bartek. — O tym, że znaleźli się ludzie z siatki warszawskiej,

poinformowałem was zaledwie cztery dni temu. Mam dla was niespodziankę. Do Adama i „Zięby” dobił radzista.

- To interesujące - odezwał się wysłannik. - Chcę go przesłuchać w pierwszej kolejności.

- Niestety to niemożliwe. Chłopak jest nieprzytomny. Raniono go podczas ucieczki. Cudem dotarł do wójta w Kozienicach. Martwię się o Józefa i Mundka - dodał. - Powinni już być. Wtedy siatka byłaby w komplecie.

- Nie bardzo - rzekł Antoni. - Brak J-23.

## 11

Zaraz po śniadaniu rozpoczął przesłuchania. Z obowiązku Bartek w nich uczestniczył, nie bardzo jednak rozumiejąc sens podchwytliwych pytań. Prawdę mówiąc, wysłannik centrali nie przypadł do serca Bankowi. Oschły, czujny, nieufny... Bartkowi wydawało się, że i na sobie czuje uważne, świdrujące spojrzenie tamtego. Cóż - myślał - taka robota. Wysłannik pochylał się właśnie nad Stasia Zarębską, pseudonim „Zięba”. Dziewczyna starała się odpowiedzieć możliwie precyzyjnie na zadawane pytania, ale widać było, że deprymuje ją ton Antoniego.

- Twierdzisz, że ostrzegł cię Adam?

- Tak - odpowiedziała.

- Mówił, że jesteś śledzona. Czy dodał, od jak dawna?

- Nie. Kazał mi przyskać. Umówił się ze mną na stacji w Pyrach.

-Kogo znałaś?

- Tylko Adama i Skowronka.

-Wiesz, kim jest J-23?

- Nie wiem.

- Czy sama nie zauważyłaś, że jesteś śledzona? A może - podniósł głos - nie chciałaś zauważyć?

- Nie! - krzyknęła histerycznie dziewczyna. - Nie jestem... Wiem, że to był błąd, powinnam była bardziej uważać, ale spieszyłam się, wyskakiwałam z meldunkiem w czasie pracy. Ustaliliśmy z Adamem, że tak będzie najbezpieczniej.

- A u Skowronka wszystko było w porządku?

- Zawsze sprawdzałam. Na drzwiach był wypisany kredą znak K+M+B. W razie



niebezpieczeństwa byłby przecież starty.

Dziewczyna zawahała się i Antoni zauważył to wahanie.

- Więc był znak czy nie?

- Był na pewno, tylko wydawało mi się... ale musiało mi się wydawać... Odniosłam wrażenie, że Skowronek się czegoś boi, miał takie oczy.

- Kiedy powstało w was to wrażenie?

- Dwa, nie, trzy tygodnie temu.

Podziękował dziewczynie, kazał jej poprosić Adama. Gdy wychodziła już, przypomniał, co zdaniem Bartka było zupełnie zbędne, że nie wolno jej się oddalać z obozu.

- Czy nie przesadzacie? - zapytał po jej wyjściu Bartek.

- Człowieku! - tamten popatrzył nań przenikliwie. -Każdy z nich jest potencjalnym zdrajcą. Od pięciu tygodni radiostacja nadaje fałszywe meldunki. Rozumiesz? Trzeba oczyścić siatkę, wyeliminować tego, kto zdradził. Co ze Skowronkiem? - zapytał.

- Był u niego felczer. Po południu będziecie go mogli przesłuchać. Siadaj, Adam - rzekł do wchodzącego Pruchnała. Chciał uprzejmością zatrzeć nieprzyjemną scenę przesłuchania, która zapewne teraz nastąpi.

- Kiedy Józef zawiadomił cię o alarmie? — padło pierwsze pytanie.

- W ubiegły wtorek. Zgłosiłem się do mieszkania, w którym zameldowany był jako Witalis Kazimirus. Jak zwykle pobrałem opłatę za gaz.

- Czy Józef powiedział, że jesteś śledzony?

- Kazał mi pryskać i zabrać dziewczynę, jeśli jej ufam. Nie miałem powodu, by jej nie ufać.

- Czy powiedział ci o rodzaju zagrożenia?

-Józef nigdy nie mówił za wiele.

- A nazwisko? Nie wymienił żadnego nazwiska?

-Nie. Powiedział tylko, że istnieje niebezpieczeństwo wsypy.

- A jednak kazał wam przedtem nadać jeszcze jeden meldunek. Co wiesz o treści tego meldunku?

- Zawsze otrzymywałem teksty zaszyfrowane.

- W gestapo mają chyba szyfrantów...

- Wy mnie podejrzewacie! Wypraszam sobie! Ja nie jestem zdrajcą! .

- O nic cię jeszcze me podejrzewam.

- Gdybym ja był wtyczką gestapo, sypałbym Józefa. Tylko ja jeden z całej siatki... - przerwał, bo uświadomił sobie, że Józef nie zjawił się dotąd w oddziale.

- Tak - powiedział Antoni - tylko ty jeden z całej siatki znałeś wszystkie cztery jego adresy i nazwiska.

- Jeśli mnie podejrzewacie...

- Adama znam od ośmiu lat - powiedział Bartek. -Jeśli ma to dla was jakieś znaczenie, ręcę za niego.

Adam już wyszedł. Siedzieli nad glinianymi miseczkami ze zsiadłym mlekiem, które postawiła przed nimi gospodyni.

- Coś mi się nie zgadza w tej historii - powiedział Antoni. -Józef ich ostrzega, a potem znika bez śladu. Radiostacja przez miesiąc faszeruje nas kłamstwami, a radzista zjawia się u was cały i zdrowy.

- No, nie bardzo zdrowy - wtrącił Bartek.

- Tu gdzieś tkwi jakiś fałsz. Logiczne byłoby tylko jedno wytłumaczenie, że zdradził ktoś, kto znał wyłącznie Podlasińskiego. Ktoś, komu udało się później zdobyć adres radiostacji. Nie, chwileczkę, szyfr znał Józef, więc jeśli wierzymy Józefowi, to musimy założyć, że otrzymywał informacje już spreparowane.

- Proponuję nie spieszyć się z wnioskami. Poczekajmy, co powie krawiec...

Skowronek wreszcie odzyskał przytomność, ale ciągle był jeszcze słaby.

- Właśnie nadawałem - mówił cichym głosem - kiedy usłyszałem łomot do drzwi. Nie mogłem się mylić, to byli Niemcy. O tym, żeby zetrzeć umowny znak, nie było co marzyć. Usiłowałem, zgodnie z instrukcją, zniszczyć przede wszystkim szyfry. Wrzuciłem książkę pod kuchnię, także meldunek, który dostałem tego dnia. Jak na złość, nie chciało się palić. Musiałem podlać naftą. Otworzyłem drzwi na schody kuchenne, ale usłyszałem, że tędy idą także.

- To był Wehrmacht?

- Tak - zawahał się Skowronek. - Kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów. A potem przyszedł jeszcze jeden w czarnym mundurze.

- Gestapo i Wehrmacht jednocześnie?

- Nie wiem - oddychał z trudem. - Nie zastanawiałem się nad tym. - Zamknął oczy na chwilę, potem znów je otworzył. - Kiedy wpadł ten gestapowiec, to jeden z tych oficerów zaczął mu meldować. Zapamiętałem nawet nazwisko oficera: oberleutnant Kloss. I wtedy ja skorzystałem z zamieszania i skoczyłem przez okno. Pod moim oknem jest szopa, pół piętra zaledwie. Nie słyszałem strzałów, dopiero później zobaczyłem, że jestem ranny.

-Jak się nazywał ten niemiecki oficer? Powtórz - zażądał Antoni.

- Kloss. Oberleutnant Kloss.

Bartek, kiedy wrócili już do drugiej izby, chciał powiedzieć Antoniemu, że to niemożliwe, że stykał się z Klosssem, że zna go i ceni. Tamten, jakby uprzedzając jego argumentację, powiedział:

- Każdy agent w końcu wpada i wtedy ma do wyboru - albo zginąć, albo zdradzić. Pracować dalej pod kierownictwem wroga.

- Nie wierzę, żeby J-23...

- Teraz wszystko komponuje się w jedną całość. Niemcy zorientowali się, że wcześniej czy później spostrzeżemy, że J-23 wprowadza nas w błąd. Co robi centrala w takich wypadkach? Zrywa, kontakty z agentem. Chcieli temu zapobiec, wobec czego wkracza oberleutnant Kloss, nakrywając radiostację. Aranżują to w ten sposób, żeby umożliwić ucieczkę radziszcie, bo wiedzą, że radzista dotrze do nas i wymieni nazwisko oficera, który wkroczył do radiostacji. Jeśli Kloss likwiduje dezinformującą nas radiostację, nie mamy powodu mu nie ufać. Rozumiecie teraz perfidny plan?

Bartek pokiwał głową, choć pewność, z jaką ten grubas wypowiadał swoje sądy, cokolwiek go przeraziła. Ucieszył się, że wejście Adama przerwało im rozmowę, że nie będzie musiał potwierdzić, że rozumiał, że akceptuje ten tok myślenia Antoniego.

Adam przyniósł wiadomość, że właśnie zjawił się Mundek, obstawa Józefa. Wezwali chłopca, ale nic nie potrafił powiedzieć. Z Józefem rozstali się blisko tydzień temu i od tamtej pory go nie widział. Myślał, że Józef będzie już w lesie. Przychodzi dopiero teraz, bo w Karczewie, gdzie zatrzymał się na noc, wpadł w kocioł, żandarmi otoczyli wieś i przetrząsali ją w poszukiwaniu rąbanki.

- Czy widzieliście tego niemieckiego oficera, z którym niekiedy spotykał się Józef?

- Tak - odparł chłopak.

- Potrafilibyście go rozpoznać? - Z pewnością.

Jutro pojedziecie do Warszawy.

Bartek zrozumiał nareszcie, co tamten miał na myśli.

- Chcecie, żeby Mundek zastrzelił J-23?

- Mamy prawo decyzji w takich wypadkach - odparł Antoni. - A ten Mundek, sami

powiedzieliście, dobry w strzelaniu.

- Ale dowody, dowody?! - krzyknął Bartek.

- Jest wojna. Poszlaki są bardzo silne. Nie możemy ryzykować. W imieniu sądu podziemnego Rzeczypospolitej Polskiej...

## 12

Neumann gotów jest zgodzić się ze swoim szefem. Jest idiotą, dał się wodzić za nos. Myślał, że miał w ręku tego J-23, a tymczasem to J-23 zakpił z niego. Luetzke jakby nagle ożył, chodził, tupiąc, po gabinecie i tłumaczył Neumannowi, że jeśli uda mu się z tej całej afery wykreślić wschodnim frontem, to i tak może się uważać za w czepku urodzonego, bo on - Luetzke sądzi, że dla takich ludzi jak Neumann jedynym właściwym miejscem jest obóz koncentracyjny.

A całe to piekło oczywiście o Ilse, krótkonogą sekretarkę standartenfuehrera. Skąd na Boga Neumann miał wiedzieć, że ta dziewczyna jest siostrzenicą gauleitera?

Kiedy dostał ostatni przeznaczony do nadania meldunek, że J-23 nie mógł się zjawić na spotkanie, bo był służbowo w Szczecinie, zrozumiał, że wpadła mu w ręce gratka, o jakiej marzył. Potwierdziła się koncepcja, że owym tajemniczym J-23 musi być ktoś na służbie niemieckiej, nikt inny bowiem nie jeździłby służbowo.

Ustalenie, kto z pracowników niemieckich w Warszawie był w tym dniu w Szczecinie, to dla ludzi Neumanna sprawa paru godzin. Jedyną osobą w delegacji służbowej była właśnie Ilsa Kempke. Wyobrażał już sobie minę standartenfuehrera, gdy od niego dowiedział się, że nieuchwytny J-23 i jego sekretarka to ta sama osoba.

Oczywiście dał się nabrać. Ten J-23 zorientował się, że historia z kwiatkiem jest prowokacją szytą grubymi nićmi i postanowił dać Neumannowi prztyczka w nos. Ale to przecież nie Neumann wymyślił „łapanie szczupaka na błysk”, Neumann chciał spokojnie, powolutku, jak należy.

W dodatku przyplątało się to idiotyczne nieporozumienie z Abwehrą. Trzeba trafić, że Neumann osobiście przyniósł spreparowany meldunek do mieszkania krawca i przyglądał się właśnie szybkim ruchom palca Skowronka na kluczu telegraficznym, śledząc, czy nadaje właściwy tekst, gdy rozległo się walenie w drzwi i zaraz potem wpadli dwaj oficerowie z Abwehry.

Musiał w dodatku od tego smarkacza Klossa wysłuchać pouczeń, że SD pracuje jak na prywatnym folwarku, że nie zawiadamiając Abwehry powodują rozpraszenie wysiłków, co nie było całkiem pozbawione racji.

A jeszcze do tego ucieczka radiotelegrafisty! Wydawałoby się, że facet jest już całkiem zeszmacoony, że nie zdobędzie się na żaden ruch, a tymczasem...

Teraz wroga centrala nie uwierzy nawet, gdyby nadawać tym samym szyfrem na tej samej fali. Już przerwanie nadawania w połowie musi obudzić ich czujność, a co dopiero zmiana radiotelegrafisty!

- Przysłano pana, Neumann, z Berlina - standartenfuehrer znów mówił cicho - aby postawił pan na nogi naszą robotę kontrwywiadowczą. Nie przeczę, udało się panu osiągnąć pewne sukcesy na wstępie - złapał pan wrogą radiostację. Już wtedy sugerowałem, żeby oddać radzistę chłopcom z alei Szucha. Wydusiliby z niego cokolwiek. Ale pan wolał stosować swoje metody, a Warszawa nie jest miejscem, gdzie można stosować berlińskie metody.

- Pan zaakceptował mój plan - powiedział Neumann.

- Nadaliśmy cztery dezinformujące meldunki, a to także jest pewnym zyskiem.

-Jeśli nie zorientowali się dotychczas, że podsuwaliśmy im padlinę, to wpadną na to jutro. A J-23 będzie działał dalej.

- Gdyby nie to idiotyczne nieporozumienie z Abwehrą... - powiedział Neumann i czuł, że za chwilę padnie to, czego obawiał się najbardziej.

- Trzeba było przewidzieć - powiedział Leutzke i Neumann jakby odetchnął, że najgorsze odwlokło się jeszcze. Postanowił właśnie grać na zwłokę. Idealny sposób

- okrągle zdanie, unizona forma.

- Pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę, standartenfuehrer, że nalegałem, aby poinformować Abwehrę o rozpracowaniu radiostacji.

Lekki grymas na twarzy Luetzkego wskazywał, że zrozumiał, co miał na myśli Neumann.

- Nie przypominam sobie. A jeśli nawet. Panu też wydawało się, że potrafimy to załatwić sami, bez pomocy tych elegancików z Wehrmachtu. Co z radiotelegrafistą? Nie złapaliście go?

- Ukaralem Lepkego, który stracił głowę.

- Nic mnie to nie obchodzi! Dość tej zabawy! Musicie zwinąć resztę siatki, to znaczy tę kelnerkę i inkasenta gazowni.

Więc jednak nastąpiło. Przecież musiało nastąpić. Dlaczego się dziwię - pomyślał Neumann.

- To niemożliwe - wykrztusił z trudem.

- Znów chce mi pan zaproponować swoje metody? Nic z tego! Muszą coś wiedzieć na temat tego J-23.

- Oni uciekli! - powiedział patrząc wprost w krąglejące ze zdumienia, blade oczy Luetzkego. - Zdołaliśmy ustalić, że Pruchnal wsiadł do rikszy prowadzonej przez naszego agenta, potem

znaleźliśmy naszego człowieka zamordowanego, a dziewczyna wydostała się tylnym wyjściem z restauracji.

- Rozumiem - odezwał się Luetzke po długiej chwili ciszy. - Zostało panu w garści powietrze. Precz! - wrzasnął nagle nieswoim głosem, wyciągniętą ręką wskazując drzwi.

- Heil Hitler! - powiedział Neumann, tym samym gestem wznosząc rękę do góry.

## 13

Kloss był niespokojny. Od dziesięciu dni, od ostatniej rozmowy z Józefem żadnego znaku życia. Oczywiście Józef nie może zadzwonić do niego do biura i powiedzieć: „Wszystko w porządku. Mam nowe mieszkanie i nowe papiery”, nie może także przysłać widokówki z pozdrowieniami. Ale są skrzynki, kilkanaście miejsc w różnych punktach miasta, gdzie można przekazać wiadomość. Jest wreszcie to mieszkanie na Bonifraterskiej, tuż przy granicy getta, w którym Kloss zorganizował punkt kontaktowy dla agentów Abwehry. Ciotka Zuzanna wie, że w każdy dzień nieparzysty, między siódmą a dziewiątą wieczór, można tam zastać oberleutnanta Klossa, więc dlaczego centrala nie daje znaku życia?

Mniejsza już o te kilkanaście nowych informacji, które udało mu się zebrać. Najważniejszą sprawą jest poinformowanie Józefa, że krawiec Marian Skowronek, pozostający niewątpliwie na usługach gestapo, zdołał uciec, kiedy Kloss na prośbę Tietscha towarzyszył mu w nalocie na radiostację.

Kloss zobaczył pustą budkę ulicznego automatu telefonicznego i przyspieszył kroku. Postanowił, że spróbuje jeszcze raz, który to już raz, zadzwonić do Józefa. Wrzucił monetę do automatu i kolejno w czterech mieszkaniach monotonne brzęczenie w aparacie raz jeszcze potwierdziło, że nikt nie podniesie słuchawki.

Znów ruszył przed siebie. Powinien dziś zajrzeć do jeszcze jednej skrzynki kontaktowej. Skrzynką była ściana wypalonego domu z głębokimi wyrwami po pociskach. W trzeciej wyrwie, licząc od bramy, mógł znaleźć kartkę. Rozejrzał się - ulica była pusta.

Sięgnął ręką udając, że poprawia sobie mundur, ale w skrzynce nic nie znalazł. Znów się rozejrzał, bo instynkt mówił mu, że jest obserwowany.

Czyżby nerwy? Opustoszała ulica, po jednej stronie ceglany mur bez żadnej wnęki czy załomu, gdzie mógłby się ktoś skryć. Głośno klaskały o nierówny bruk kopyta chudej szkapki ciągnącej dorożkę. Odwrócił się na pięcie i skierował w stronę śródmieścia, ale uczucie, że jest obserwowany, nie opuszczało go.

Biedny Tietsch - pomyślał, żeby odwrócić uwagę od tego idiotycznego, niczym nie umotywowanego przeczcucia - biedny Tietsch nie dostanie upragnionego urlopu, a tak bardzo chciałby pojechać i pokazać się w swoim bawarskim miasteczku z orderem nad kieszenią munduru. Łatwo

pozwoił sobie podsunąć myśl, że wroga radiostacja nadaje według pory wschodu i zachodu księżycy. Bez trudu uwierzył, że sam wpadł na to. Oczywiście za skandal, który wybuchł, kiedy okazało się, że Sonderdienst kontroluje radiostację, nikt nie mógł obwiniać Klossa.

Zresztą awantura nie była zbyt wielka. Na twarzy obersta von Ossetzky'ego pojawiło się nawet coś w rodzaju uśmiechu, gdy oberleutnant Kloss meldował mu o tragicznej w skutkach pomyłce. Ale oczywiście o urlopie dla Tietscha trudno było w tych warunkach marzyć, będzie się musiał, biedak, pocieszyć paroma dodatkowymi porcjami budyniu.

Kloss zachichotał do tej myśli i w tym momencie usłyszał strzał. Odwrócił się, padł za załomem muru, zobaczył sylwetkę chłopaka, przecinającego na skos ulicę i niknącego w gruzach spalonego domu, obok którego Kloss przed chwilą przechodził.

Zza zakrętu wypadło kilku żandarmów z bronią gotową do strzału. Wachmeister z rudym wąsikiem pomagał Klossowi się podnieść.

- Pan jest ranny, panie oberleutnant?

- Nie, na szczęście nie.

- Do pana strzelali.

- Być może - odparł Kloss. - Uciekł w tamtą stronę. Ubrany w czerwony sweter - pokazał kierunek przeciwny niż spalony dom.

Mam nadzieję - pomyślał - że nikt o tej porze nie chodzi w czerwonym swetrze.

Usłyszał tupot oddalającego się patrolu. Otrzeptał mundur, zatrzymał przejeżdżającą riksę.

- Bonifraterska! - rzucił. Postanowił jechać do meliny jak w każdy nieparzysty dzień, chociaż poznał chłopca, który strzeliwszy do niego, przebiegał na skos ulicę.

To był Mundek, chłopak, o którym Józef mówił: „Mój pistolet” albo „Moja obstawa”. Kloss widział go parokrotnie z daleka. Nie mógł się mylić.

Obszedł wpółzrzurowany dom przy Bonifraterskiej i na klatkę schodową przedostał się przez piwnicę.

W jednej chwili zrozumiał, co się stało. Józef prawdopodobnie wpadł, a tylko on wiedział, kto jest zdrajcą. Ciotka Zuzanna zorientowała się, że była wprowadzana w błąd. Kloss wie, że w takich sytuacjach rozkaz może być tylko jeden - zabić. Wie, że sam w podobnej sytuacji postąpiłby tak samo.

Ale wie także, że on nie jest zdrajcą i za wszelką cenę musi to udowodnić. Gdyby stanął przed sądem... Ale nikt nie odczyta mu wyroku. Na to nie ma czasu. Najwyżej potem przyczepią kartkę: „W imieniu Rzeczypospolitej sąd Polski Podziemnej...”

Starając się iść bezszelestnie, wspinał się na schody. Nadśłuchiwał przez chwilę. Nikogo za nim nie było. Ale nie jest nigdzie powiedziane, że chłopak działa sam. Może ktoś inny czeka już w tym mieszkaniu? Z podestu schodów nie było nic słyszeć, ale Kloss wiedział, że człowiek za drzwiami, jeśli tam jest, stoi teraz bez ruchu, wstrzymując nawet oddech.

Specjalnie głośno zaczął otwierać drzwi sąsiedniego mieszkania. Zamknął je z trzaskiem.

Teraz już działał błyskawicznie. Kilka kroków, balkon łączący się z balkonem tamtego mieszkania. Przesadził balustradę, wypchnął szybę i z okrzykiem: Hande hoch! znalazł się w stołowym.

Odpowiedziała mu cisza. Szybko omiół pokój spojrzeniem. Był sam. Teraz przedpokój, kuchnia i alkowa, pozostałe pokoje.

Wszystko w porządku. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte. Tak, wszystko było, jak zostawił. Odsunął zasuwkę. Ustalono, że drzwi w dni nieparzyste muszą być otwarte. Co będzie, jeśli ten chłopak tu przyjdzie? A raczej pewne, że nie zrezygnuje po jednej nieudanej próbie z wykonania rozkazu, który otrzymał.

Mógłby z łatwością zastrzelić tego chłopca. I tak by zrobił, gdyby był tym, za kogo go uważają. Ale on przecież nie jest zdrajcą. Nie zabije, ale nie może też dać się zabić. Liczył się z tym, że przyjdzie kiedyś zginąć. To ryzyko wkalkulowane jest w grę, jaką prowadzi od lat. Ale żeby tak głupio, z ręki towarzysza? Polaka?

Powoli zaczął odpinać mundur, potem poszedł do alkowy i wyciągnął z szafy koc. Po namyśle wziął drugi.

W pół godziny później, wstrzymując oddech, doszedł do podestu drugiego piętra młody człowiek w skórzanej kurtce i butach z cholewami. Chwilę nadśłuchiwał pod drzwiami, potem wyjął rewolwer i wsunął tłumik na lufę. Mechanizm był dobrze naoliwiony, nawet nie skrzypnął. Nie skrzypnęły także drzwi, gdy chłopak nacisnął klamkę.

Przedpokój był pusty, światło elektrycznej latarki nie wydobyło z mroku niczego podejrzanego. Półuchylone drzwi prowadziły do wnętrza mieszkania. Zobaczył sylwetkę na tapczanie; strzelił wprost w widoczne z daleka dystynkcje munduru kogoś, kto leżał przykryty kocem. Strzały były cichutkie i brzmiały nie głośniejsz niż pstryknięcie elektrycznego wyłącznika.

Chłopak nie zdążył się jeszcze zdziwić, że ciało leżącego nawet nie drgnęło, gdy silny cios w podbródek rzucił go na drzwi. Broń wypadła Mundkowi z ręki, podniósł ją tamten człowiek, podszedł do kontaktu i zapalił światło.

Mundek zobaczył teraz mężczyznę ubranego tylko w spodnie i koszulę. Nie mógł się mylić - to był Niemiec, którego miał zabić.

Człowiek ten podszedł doń, pomógł ogłuszonemu podnieść się i powiedział najczystszą polszczyzną:



- Nie mogłem postąpić inaczej. Muszę ci wyjaśnić parę rzeczy; przede wszystkim powiedz, co z Józefem?

Ale chłopiec nie wiedział. Podobnie jak Kloss, nie miał pojęcia, że Józef po wielu perypetiach dotarł wreszcie do lasu, że wymógł na kapitanie Antonim decyzję natychmiastowego wyjazdu do Warszawy w celu odwołania wyroku śmierci na Hansa Klossa, agenta o kryptonimie J-23, i że znajdował się właśnie w drodze.

## ŻELAZNY KRZYŻ

### 1

Szarak stulił uszy i rzucił się w gąszcz, ale nie zdążył dobiec. Któraś z drobin śrutu dosięgła go w skoku. Stał na tylnych nóżkach, zakręcił się w miejscu i upadł. Oberst Herbert Reiner przewiesił strzelbę przez ramię: i włożył w oko monokl.

- Szósty— rzekł, nie ukrywając zadowolenia. Ruszył w stronę ustrzelonego szaraka. Hrabia Edwin Wąsowski powstrzymał go ruchem dłoni.

- Chłopi zabiorą, panie pułkowniku.

Z zarośli wysunął się standartenfuehrer Dibelius, pomachał im ręką z daleka.

- Jak zwykle, mój Herbercie, niezawodne oko i ręka.

W długim futrze, sięgającym niemal ziemi, wyglądał jak niedźwiedź. Zwaliste cielsko, kołyszący się krok i podniesione w geście pozdrowienia ramię, którego Dibelius nie opuścił pewnie dlatego, by nie stracić równowagi w sięgającym kolan śniegu.

Jak tańczący niedźwiedź - pomyślał Wąsowski.

-Jest pan, pułkowniku, królem dzisiejszego polowania - powiedział głośno. - Ale chyba dość, przemarzliśmy.

-Pan jest gospodarzem, drogi kuzynie. Nie ma mi pan za złe, że zwracam się do pana w ten sposób? Czy mówiłem ci już, Maks - Reiner zwrócił się do Dibeliusa, który wytoczył się właśnie z zasy i tupiąc otrzepywał ze śniegu swoje wysokie buty - czy mówiłem ci już, Maks, że jesteśmy z panem Wąsowskim skoligaceni?

- Pan pułkownik czyni mi zaszczyt - powiedział Wąsowski.

- Mówiłeś, mówiłeś wielokrotnie - prychnął Dibelius. - Robi się późno - zwrócił się do Wąsowskiego.

- Pan hrabia proponuje właśnie, żeby skończyć. Już mi pachnie pański sławny bigos.

Wąsowski kiwnął dłonią ku grupce chłopów stojących opodal przy saniach. Rozległ się dźwięk myśliwskiego rogu. Z zarośli wyszli zapóźnieni myśliwi.

- Proszę bardzo do sań, panowie - rzekł Wąsowski. — Ja pojedę wierzchem, muszę przecież dopilnować, żeby bigos się nie przypalił.

Wskoczył lekko na konia. Mimo pięćdziesiątki na karku, zachował sprężystość ruchów zwycięzcy kilku międzynarodowych zawodów hippicznych. Machnął im dłonią i spiał gniadego ostrogą. Ruszył na przełaj przez las. Chciał być przed nimi nie tyle może ze względu na bigos, co na spodziewaną wizytę. Kiedy przed pałacykiem myśliwskim zeskoczył z konia i pieszczotliwym klepieniem w parujący zad skierował go ku stajniom, sań z niemieckimi oficerami jeszcze nie było widać, nie docierał nawet przenikliwy, niosący się daleko dźwięk dzwonek uwiązanych koniom do uprzęży.

W wielkim hallu, obłożonym ciemną dębina i ustrojonym myśliwskimi trofeami gospodarza, siedział już młody człowiek, z którym hrabia Wąsowski miał się zobaczyć. Lokaj Franciszek Zrebko - pod takim nazwiskiem i w takiej funkcji występował od dwóch lat major Ruciński, przed wojną odpowiedzialny pracownik referatu „Zachód” drugiego oddziału Sztabu Generalnego, wieloletni przełożony rotmistrza Wąsowskiego z tegoż oddziału - podawał właśnie ogień młodemu oberleutnantowi Wehrmachtu.

- Nieźle się panu żyje, hrabio — powiedział Kloss, gdy ujrzał Wąsowskiego.

-Ma pan to dla mnie? - zapytał Wąsowski ściskając mu dłoń. - Musi się pan pospieszyć, za parę minut tu będą.

- Nie muszę - odparł Kloss. - Jestem tu służbowo. Mam zabrać jednego z pańskich gości. - Wyciągnął z teczki maleńką paczkę, podał ją Wąsowskiemu. - Tu są pieniądze, tyle, ile pan prosił. Ciotka Zuzanna okazała się tym razem hojna.

- Mam coś dla pana - powiedział Wąsowski - coś, co bardzo ucieszy ciotkę Zuzannę. Może pan zabrać ze sobą. Parę rodzinnych fotografii z zimowego leża... wilka. -Czekał na efekt. Nie zawiódł się, Kloss gwizdnął.

- Ma pan wilczą jamę? Siedzibę naszego ukochanego wodza?

- Zaraz... - zaczął Wąsowski, ale właśnie usłyszeli dzwonki, a w chwilę potem parskanie koni, głośnie gardłowe krzyki, tupot nóg. -Trudno -powiedział Wąsowski. - Pojutrze w zwykłym miejscu.

- Proszę to dobrze schować, licho me śpi.

- Niech pan będzie spokojny, w tym domu szuka się tylko wódki, a jej nie zbraknie.

Franciszek rzucił się, by pomóc gościom wysupłać się z kozuchów naciągniętych na wojskowe płaszcze. Kloss odszukał wzrokiem Reinera, przepisowo trzasnął butami. Remer nawet nie starał się

ukryć, że treść rozkazu przywiezionego przez oberleutnanta Klossa nie budzi w nim entuzjazmu.

-Trudno - mruknął, a potem, przekrzykując gwar wielu głosów, zawołał: - Przykro mi, moi panowie, przykro mi szczególnie wobec pana, drogi gospodarzu i kuzynie - poszukał wzrokiem Wąsowskiego - ale siła wyższa...

- Generał? - zapytał półgłosem Dibelius. - Nie umiesz sobie wychować tego starego capa? Zapowiadała się całkiem niezła pijatyka.

- Bardzo was proszę, moi panowie - ciągnął Reiner -nie przeszkadzajcie sobie, ale sami wiecie, że nasi zwierzchnicy potrzebują nas najbardziej wtedy, gdy nam to najmniej odpowiada. Służba nie druźba.

- Trudno - rzekł Wąsowski, wyciągając ku Reinerowi obie ręce, jakby chciał go objąć uściskiem. - Wiem, co znaczy rozkaz, sam przecież służyłem w armii Jego Cesarskiej Mości Franciszka Józefa, notabene w jednym pułku z pańskim szefem, generałem Wierlingerem. Niech pan go przy okazji pozdrowi ode mnie, mam nadzieję, że mnie pamięta.

- Bardzo ciepło pana wspomina - powiedział Reiner. - Chodźmy, Kloss, nie powąchamy nawet sławnego bigosu pana hrabiego.

- Więc może strzemiennego? - gospodarz otworzył szeroko drzwi wiodące do jadalni. Na widok uginającego się pod ciężarem półmisków stołu zabłyśły oczy paru oficerom, nie przywykłym do oglądania takich widoków w czwartym roku wojny.

- Niestety, drogi Wąsowski - Reiner potrząsnął głową.

- A więc, panie oberst, do następnego polowania. Sezon dopiero się rozpoczął.

- Ba! - prychnął po swojemu Dibelius. - W tym kraju nie mamy zbyt wiele czasu, by polować na zające, polujemy na ludzi - roześmiał się zadowolony ze swego dowcipu. - Przepraszam - dodał - na podludzi. Wypijemy zatem twoje zdrowie, Reiner.

Już idąc w stronę drzwi Kloss zauważył, jak Wąsowski, wzięwszy Dibeliusa pod ramię, prowadzi go w stronę jadalni. Ten poufaly gest w stosunku do szefa SD i policji na cały dystrykt, człowieka, którego dźwięk nazwiska zdolny był przyprawić każdego w tej części kraju o atak przerażenia, towarzyszył Klossowi w drodze do Warszawy. Rozleniwiony ciepłem panującym we wnętrzu puł-kownikowskiego mercedesa, milczeniem Reiner drzemiącego na tylnym siedzeniu, cichym szmerem silnika, trwał w stanie pół snu, pół jawy, ale widok byłego pracownika drugiego oddziału, a obecnie członka tej samej co Kloss grupy, noszącej kryptonim „Wanda”, w czułym uścisku z osławionym Maksem Dibeliusem, nawet przez SS-manów nazywanym „krwawym Maksem”, tkwił mu pod powiekami. Niezły aktor, myślał walcząc z ogarniającą go sennością. Ciekawe, czy jest naprawdę hrabią.

Kloss nie mógł wiedzieć, że ten, którego nazwał w myślach niezłym aktorem, jest w przededniu odegrania największej roli w swoim życiu. Nie wiedział też, że właśnie jemu, Klossowi, przypadnie

Mróz chwycił mocno, śnieg, który przyprószył koleiny wyżłobione przez odjeżdżający samochód obersta Reintera, chrząścił pod butami dwóch bahnschutzów strzegących niewielkiej stacyjki i teoretycznie przynajmniej dziesięciokilometrowego odcinka torów przebiegających opodal myśliwskiego pałacyku Wąsowskiego. Klęli swego zwierzchnika, ospowatego gefreitra, który w taki ziąb wysłał ich na obchód torów. Ale oni nie są idiotami, nie są zresztą młodzikami ślepo wykonującymi rozkazy. Obaj mają sporo po czterdziestce, pochodzą z sąsiednich wsi w Schwarzwaldzie, mają do siebie zaufanie i wiedzą, że jeden drugiego nie sypnie. Wiedzą też, że z chodzenia wzdłuż toru nic dobrego nie wyjdzie, zarobić można co najwyżej kulkę od jakiegoś przyczajonego w krzakach partyzanta, a z pewnością chcą wrócić do swoich bab w Turynii, by ryzykować nocne spotkania z uzbrojonymi ludźmi. Nie umawiając się skręcili z nasypu, gdy tylko oddalili się na odległość, z jakiej dziobaty Peter nie mógłby ich zza skarpy wypatrzeć. Wieś była o kilometr i obaj wiedzieli, że nocna wycieczka, o ileż mniej niebezpieczna od bezsensownego spaceru po torach, których i tak we dwóch upilnować nie zdołają, jest znacznie bardziej owocna. Ludzie rozbudzeni w środku nocy waleniem kolbą w drzwi nie zastanawiają się, czy strażnicy kolejowi mają prawo rekwirować żywność i bimber. Zresztą cóż tu mówić o prawie, kiedy ma się dwa schmeisery, umie się wrzeszczeć i nie trzeba się tłumaczyć z wystrzelonych naboju. Obaj byli chłopami i bez trudu rozszyfrowali chłopskie schowki, zawsze znajdując to parę jaj, to gęś, to połec tłustego szpeku. Wrzeszcząc swoje: „Baba, dawaj szpek, schnell!”, mścili się za to, że zamiast leżeć u boku swojej kobiety pod ciepłą pierzyną, muszą łązić po nocy w tym zimnym, nieprzyjaznym kraju, bać się humorów ospowatego gefreitra, który w każdej chwili może napisać raport, w wyniku czego znajdą się na wschodzie, w kraju, gdzie ludzie są przynajmniej tak samo nieprzyjaźni, a zimno jeszcze dotkliwsze.

-Jutro wyślę mojej paczkę — powiedział niższy z bahnschutzów. - Trochę słoniny i te pończochy.

Drugi skinął głową. Wiedział, o co chodzi. Pohandlowali niedawno z kolejarzami. Za pół wieprzka dostali parę kartonów francuskich pończoch. Jest ich tyle, że kobiety będą mogły do końca życia chodzić co niedziela do kościoła w jedwabnych pończochach. Nagle zatrzymał się.

- Czego stoisz? - zapytał ten niższy. - Czy pamiętasz, że Peter chce gęś? Przecież po to nas dzisiaj wysłał. Trzeba dać łobuzowi, bo...

- Cicho - zgromił go drugi. - Słuchaj, muzyka.

Przeszli kilkadziesiąt metrów i usłyszeli ją jeszcze wyraźniej. Po paru chwilach zobaczyli niczym nie zasłonięte okna, dobiegł ich gwar wielu głosów.

- To ten hrabia - powiedział niższy bahnschutz. - Czuję, że się dzisiaj obłowimy.

Stukając buciskami wtargnęli na ganek, załomotali kolbami, ale ci w środku pewnie nie słyszeli, co już było bezczelnością. Wyższy z rozpędu kopnął drzwi i omal się nie przewrócił wpadając do hallu. Mieli pecha. Otwierające się drzwi zasłoniły wieszak obładowany oficerskimi płaszczami i czapkami z trupa główką. Ten widok by ich otrzeźwił. Teraz rozwścieczeni, że nikt nie pofatygował się, by wyjść do nich do hallu, idą do drzwi, zza których dobiega ryk śmiechu i chrapliwy dźwięk patefonu. Niższy otwiera je szeroko.

- Cicho! - krzyczy i nagle milknie. Drugi, jeszcze w hallu, nie wiedząc, dlaczego tamten zamilkł, wrzeszczy:

- Zasłonić okna, jest Befehl, zasłonić okna! - Przekroczył próg i zamarł.

Standartenfuehrer Dibelius podniósł się chwiejnie, zrobił krok w ich kierunku, ale wypity alkohol uderzył mu do głowy, bo aż musiał się oprzeć o ramię któregoś z siedzących oficerów.

- Panie Standartenfuehrer - wybełkotał bahnschutz, który wszedł pierwszy - myśmy nie wiedzieli...

- Milczeć! - wrzasnął Dibelius. - Nie pozwoliłem wam gadać! Teraz już wiecie! Tam, gdzie ja jestem, obowiązuje mój rozkaz, rozumiano?

Równocześnie niemal szczeknęli swoje: jawohl, robiąc krok do tyłu.

- Kto wam pozwolił odejść? - wrzasnął Dibelius. - "Wyślę na wschód!... - zakrztusił się krzykiem.

- Ależ drogi Dibelius - mitygował go Wąsowski, - Ci żołnierze nie mieli złych intencji. W końcu to dobrze, że niemieccy żołnierze dbają, by przestrzegano zarządzeń niemieckich władz. To moja wina. Tak rzadko używam tego pałacyku, że nie poleciłem, by zrobiono zasłony na okna. Franciszku - zwrócił się do lokaja - dopilnuj, aby następnym razem...

- Tak jest, panie hrabio.

- Precz! Wynoście się! - krzyknął Dibelius.

- Chwileczkę - powiedział Wąsowski. Bahnschutze zatrzymali się niezdecydowanie. - Franciszku - zwrócił się Wąsowski do lokaja - zaprowadź tych chłopców do kuchni, niech im dadzą coś do jedzenia i sznapsa na rozgrzewkę, żeby mogli wypić za zdrowie pana standartenfuehrera Dibeliusa.

- RozBrolleś mnie, drogi Wąsowski, rozBrolleś mnie kompletnie. Idźcie - szerokim gestem wskazał żołnierzom drogę - i nigdy więcej nie interesujcie się światłem w tym domu ani moim przyjacielem, panem Wąsowskim. Czy wiecie głuptaki, że przed chwilą ustaliliśmy z panem hrabią, iż w roku tysiąc dziewięćset jedenastym pan hrabia i ja mieszkaliśmy w Monachium przy jednej ulicy, jadaliśmy w tej samej restauracji, chodziliśmy do jednego burdelu i wcale się nie znaliśmy? - Pijackim gestem usiłował objąć Wąsowskiego.

Oficerowie wstali wznosząc kieliszki. Dibelius chwycił szklanę, nalał do pełna, z rozmachem stuknął w kieliszek Wąsowskiego. Któryś z młodszych oficerów zaintonował burszowską pieśń. Dibelius nie puszczał ramienia Wąsowskiego.

- Przyjacielu - bełkotał - zdaje się, że wypilem kapin-kę za dużo. - Czknął głośno. - Prowadź - powiedział - prowadź do toalety - dodał na pytające spojrzenie Wąsowskiego.

Bahnschutze wyprowadzeni przez Franciszka zniknęli gdzieś w zakamarkach hallu. Dibelius puścił ramię Wąsowskiego i biegiem rzucił się w stronę wskazanych drzwi. Puścił szeroki strumień wody na twarz, paroma kłapinięciami pomasował obrzękłe policzki. Potem przeglądał się chwilę w lustrze, mętnie konstatując, że włosów ma coraz mniej, a wory pod oczyma coraz większe i bardziej brunatne. Nie odwracając się sięgnął w stronę półki z ręcznikami i pośliznął się na mokrej posadzce. Upadł. Poczul nieprzewartą ochotę wyciągnięcia się choćby tu, na tej podłodze, gwałtowną potrzebę snu. Może się nawet zdrzemnął i otrzeźwiła go dopiero kapiąca z niedokręconego kranu woda. Postanowił się podnieść i walcząc z ogarniającą go sennością, szukał wzrokiem punktu zaczepienia dla rąk. Wreszcie znalazł — umywalka. Chwycił za jej brzeg, ale przewrócił się powtórnie,

bo umywalka, jakby nie przytwierdzona do ściany, odjechała pod naciskiem jego ciała, ukazując ciemną niszę. Po dobrej chwili dopiero zrozumiał, że to, co widzi, nie jest początkiem delirium. Wstał nadspodziewanie łatwo. Z rozmachem wałnął się kilkakroć po twarzy, by otrzeźwieć, ale nisza nie zniknęła. Jeszcze sobie nie wierząc, sięgnął ręką. Poczul pod dłonią jakiś przedmiot, wyciągnął to, co znalazł. Zobaczył gruby plik studolarowych banknotów, przepasany banderolą, jakby prosto z banku. Sięgnął do wnętrza powtórnie, trzymał teraz paczkę papierosów juno. Paczkę otwartą, ale w środku nie było papierosów. Kilka rolek wążiuteńkiej taśmy fotograficznej zdziałało cud. Dibelius natychmiast otrzeźwił. Przysiadł na skraju wanny, zastanowił się chwilę, spoglądając na banknoty i paczkę po papierosach. Wstał, położył znalezione przedmioty tam, gdzie były przedtem, pociągnął brzeg umywalki - wróciła na swoje miejsce nadspodziewanie łatwo.

-Nie Reiner jest królem dzisiejszego polowania, tylko standartenfuehrer Maks Dibelius - powiedział swemu odbiciu w lustrze. Odbicie zamrugało doń małymi, ale teraz już prawie trzeźwymi oczami.

W hallu nie było nikogo — to ułatwiało sprawę. Podeszedł do zawieszzonego na ścianie staroświeckiego telefonu, zażądał błyskawicznego połączenia z Warszawą. Służbista Lohse, który pełnił dziś dyżur, chyba nie spał, bo odezwał się prawie natychmiast.

— Sześciu ludzi — warknął - jak najszybciej! — i odłożył słuchawkę na widelki. Nie chciał słuchać pytań Lohsego ani udzielać mu wyjaśnień. Niech myśli, że jego szef boi się po prostu wracać po nocy bez obstawy.

Goście hrabiego zbierali się już do odjazdu. Kolejno podchodzili do Wąsowskiego, ściskali mu dłonie, a on każdemu z jednakowo ujmującym uśmiechem mówił, że to on jest winien wdzięczność za zaszczyt, jaki mu sprawili. Dibelius zapadł w głębokim fotelu koło kominka. Wyciągnął przed siebie nogi i gryzł nie zapalone cygaro.

- Nie jedzie pan, panie standartenfuehrer? - zwrócił się doń chudy pułkownik saperów z długą,

pomarszczoną szyją obskubanego indora, pod którą dyndał żelazny krzyż.

- Zepsuł się mój wóz - skłamał naprędce Dibelius.

- Chętnie pana zabierzemy - zaproponował major lotnictwa.

- Dziękuję - odparł. - Zadzwoiłem, żeby mi przysłali drugi. Poczekam. Oczywiście, jeśli nasz gospodarz pozwoli.

- Naturalnie, panie standartenfuehrer - powiedział hrabia. - Jeśli pan się źle czuje...

- Czuję się znakomicie. Dawno nie czułem się tak dobrze.

- Miałem na myśli - wyjaśnił Wąsowski - pokoje gościnne. Franciszek dobrze napalił. Prześpi się pan, a rano przyjemniej jechać. Ośnieżone lasy pięknie wyglądają o świcie.

- Dobrze panu, Wąsowski — rzekł Dibelius, podając równocześnie dłoń majorowi z zawieszoną na temblaku ręką. - Dobrze panu - powtórzył. - Ma pan czas, by kontemplować uroki natury. Zresztą nie mogę sobie pozwolić na spanie dzisiejszej nocy, nawet w pokoju świetnie ogrzany przez pańskiego Franciszka. Muszę jeszcze popracować.

Za oknem zawarczały silniki samochodów odjeżdżających oficerów. Wąsowski odprowadził gości aż do drzwi wejściowych. Dibelius wyciągnięty wygodnie w fotelu ćmił cygaro, które wreszcie zapalił, podnosząc rozżarzoną główkę z kominka.

- Pan jest nadzwyczajny, Dibelius - powiedział Wąsowski zapadając w drugi obity skórą fotel. - Po takim dniu będzie pan jeszcze pracował? Ale wierzę panu, choć pół godziny temu dałbym głowę, że pójdzie pan spać. Oto cecha prawdziwego Niemca: obowiązki na pierwszym miejscu. Gdybyż moi rodacy zastosowali tę dewizę, może historia byłaby dla nich łaskawsza... Ale cóż, my lubimy gadać, wiewcować...

- Lubicie jeść i pić, to mi się u was podoba.

- Więc rnoże jeszcze po kapince świetnej nalewki. Robił ją Franciszek według receptury swojej matki, która była ochmistrzą w majątku mojej matki, hrabianki von Eckendorff. Skusi się pan?

- Nalewki z tak dobrym rodowodem chętnie skosztuję.

Franciszek, jakby tylko na to czekał, pochylił się ku nim z tacą, na której była już kryształowa karafka pełna połyskliwie rubinowej cieczy i dwa ciężkie, kryształowe kieliszki.

- Prosit, mój Wąsowski - Dibelius wznosił kieliszek. Posmakował alkoholu, mlasnął z uznaniem. - Więc to przez swoją matkę de domo von Eckendorff jest pan spokrewniony z oberstem Reinerem?

- Ściśle biorąc - powiedział Wąsowski - to tylko uprzejmość pana pułkownika każe mu nazywać mnie kuzynem. Dziesiąta woda po kisielu mówi się po polsku o takim pokrewieństwie.

- Ale jednak w pana żyłach płynie połowa krwi niemieckiej. Zastanawiam się, czy to dużo, czy mało.

- Akurat tyle, by zyskać życzliwość i zaufanie niemieckich oficerów. Gdyby nie fatalny wynik wojny światowej, być może służylibyśmy w jednym pułku. Już wtedy, pamiętam, w dwunastym - trzynastym roku, już wtedy wielu świątłych oficerów myślało o zjednoczeniu wszystkich Niemców pod berłem jednego cesarza.

- Dopiero naszemu fuehrerowi udało się zrealizować marzenia pańskich kolegów. Czy także pańskie? Te pięćdziesiąt procent krwi niemieckiej...

- Obawiam się - przerwał mu Wąsowski - że najwyżej czterdzieści dziewięć. Dzisiaj płynie w moich żyłach co najmniej jeden procent alkoholu. Ale przerwałem panu.

- Głupstwo, Wąsowski. Wrócimy do tej rozmowy nieraz, mogę dać na to panu słowo. Jeszcze pana znudzą rozmowy ze mną.

Usłyszeli narastający szum motorów.

- No, wreszcie! - powiedział Dibelius. - Przyjechali. Jeszcze chwila, a gotów byłby pan stracić do mnie cierpliwość.

Energicznym ruchem wziął Wąsowskiego pod ramię. SS-hauptsturmfuehrer Adolf Lohse otrząpywał się właśnie ze śniegu, gdy stanęli w drzwiach hallu. Twarz Dibeliusa, łagodna i dobroduszna do tej chwili, stężała w jednej sekundzie.

- Pójdziemy teraz, mój Wąsowski, zwiedzić pańską łazienkę. - Odpiął kaburę, wyjął broń. - Chodź, Lohse, zobaczysz coś ciekawego. Pan hrabia pójdzie z nami -skłonił się szyderczo. Nie zauważył na szczęście lokaja Franciszka, który wyłaniał się właśnie z pomieszczeń wiodących do kuchni i w samą porę zatrzymał się w cieniu schodów.

Tymczasem Dibelius, jak rutynowany cyrkowy sztukmistrz, powoli zbliżał się do umywalki. Jednym ruchem, ale powolnym, celebrowanym pociągnął brzeg umywalki.

- Zaskakujące, co, Wąsowski?

- Skrytka? - Wąsowski przybliżył do oka pincenez, jakby sobie nie dowierzał.

- Pan niby nie wie?

-W pałacyku myśliwskim rzadko bywam, mam mieszkanie w Warszawie. To zabawne, te stare domy kryją zawsze jakieś tajemnice.

- Rzeczywiście, bardzo zabawne - mówił Dibelius spokojnie. - Szczególnie, że na tych banknotach - wetknął rękę do skrytki i z triumfem podsunął paczkę pod oczy Wąsowskiego - jest data emisji: 1939, 1938, o, jest nawet 1940. Jakież tajemnicze potrafią być te stare, rzadko używane myśliwskie pałacyki. - Z paczki papierosów junco wysypał na dłoń zwitek mikrofilmów. - Prawda,



Wąsowski?

- Sporo pieniędzy, sądząc na oko - rzekł Wąsowski. Wyciągnął papierosa, zapalił.

Ale Dibelius ma już dość udawania.

- Bierz go! - wrzasnął. Mocno pchnął Wąsowskiego w stronę SS-mana, który zwabiony hałasem stanął w drzwiach łazienki.

- Dziwny sposób dziękowania za gościnę. —Wąsowski strzepnął z kłapy popiół. - Myślę, że mogę wziąć futro.

- Milcz! Jeszcze ci podziękuję. Babcia von Eckendorff niewiele ci pomoże. Lohse - przypomniał sobie nagle -tu jest jeszcze lokaj.

- Właśnie - rzekł Wąsowski. - Do tej pory nie pozwolił pan sobie powiedzieć, że tej łazienki używa służba, moja jest na górze.

Lohse z wyciągniętą z kabury bronią rzucił się w stronę kuchni. Wrócił po chwili. Otwarte na oścież okno wyjaśniło mu wszystko.

- Uciekł - powiedział. - Sądząc po zimnie, jakie tam panuje, musiało się to stać dobre parę minut temu.

- Więc to Franciszek? - zdziwił się Wąsowski. - Nie do wiary. Ale dlaczego w przeciwnym razie by uciekał? Przykro mi, panie standartenfuehrer, że w moim domu znalazł się człowiek...

- Milcz - powiedział Dibelius cicho. - Pogadamy w Warszawie. - I nie patrząc na Wąsowskiego ruszył ku drzwiom.

Dwaj bahnschutze, obładowani prowiantem, dalekim łukiem ominęli tym razem myśliwski pałacyk.

- Popatrz, Horst - odezwał się niższy, wskazując głową słaby poblask bijący z okien dworku. - Pan z panem zawsze się dogadają. Jak się jest hrabią, to można być nawet Polakiem.

Ale wyższy z bahnschutzów nie podjął tematu. Zajęty był poskramianiem gęsi, która tłukła skrzydłami, usiłując wyrwać mu się ze zgrabiałych z zimna rąk.

### 3

Oberst Reiner trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami zapinał guziki bluzy i jednocześnie głośnymi przekleństwami (w stosunkach z innymi oficerami, nawet młodszymi, był zawsze wzorem powściągliwości, w domu jednak się nie krępował) popędzał ordynansa, tłustego feldfebla, który grzebał się z przygotowaniem mu porannej kawy. Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że

nie był przyzwyczajony do przyrządzania pułkownikowi kawy o tak wczesnej porze.

Reiner podszedł do okna, odsunął storę, na ciemnym zimowym niebie iskrzyły się gwiazdy. Pseudoantyczny zegar na biedermeierowskiej komodzie (Reiner odziedziczył to mieszkanie wraz z meblami po jakimś adwokacie, którego wysiedlono do getta) wskazywał piątą piętnaście.

- Klaus, ty leniwa świni!

- Tak jest, panie oberst — powiedział ordynans. W wyciągniętej ręce trzymał talerzyk, na którym pomieścił filiżankę i parę herbatników. Spod narzuconego na długą nocną koszulę płaszcz wojskowego wзираły całkiem cywilne ranne pantofle. Ordynans wyglądał jak stara tłusta baba.

- Mogę już odejść, panie pułkowniku?

Odejść, to znaczy wrócić do ciepłego łóżka w służbówce za kuchnią, gdy tymczasem on, pułkownik Reiner, przez ten idiotyczny telefon i przez pijackie urojenia oszalałego Dibehusa będzie tłukł się na drugi koniec miasta, zajmie mu to co najmniej pół godziny, następne pół godziny powrót, a co najmniej godziny trzeba, żeby wybić z upartego łba standartenfuhrera SD jego obłądne pomysły, czyli nie ma mowy o drzemce, czasu wystarczy tylko na to, by się ogolić i zejść do biura.

- Nie - warknął mściwie - dość się wyspałeś, Klaus. Wytrzep wszystkie dywany, zapastujesz podłogę. Sprawdź po przyjściu.

-Tak jest-powiedział Klaus bez entuzjazmu i szurnał nogami, jakby dla zademonstrowania, że chętnie trzasnąłby po żołniersku butami, gdyby nie to, że ma na nogach ranne pantofle.

Parząc sobie usta Reiner wypił czarną kawę, bo zaspany Klaus zapomniał mu jak zwykle dolać skondensowanego mleka.

Pewnie od wypijania mojego przydziału mleka tak się roztył - pomyślał zbiegając ze schodów.

Przed bramą ryczał motor jego mercedesa. Szofer, nie bacząc na zalecenie oszczędzania benzyny, grzał silnik na wysokich obrotach. Dopiero opadłszy na miękkie poduszki i rzuciwszy szoferowi adres alei Szucha, pułkownik Reiner zaczął zastanawiać się, co by było, jeśliby ta wiadomość, zakomunikowana mu przed kwadransiem przez Dibeliusa, okazała się prawdą, a nie makabrycznym żartem standartenfuhrera. Przeraził się tej myśli. Zęby zagłuszyć strach, pochylił się ku szoferowi.

- Nie mógłbyś pospieszyć?

-Jest ślisko, panie oberst, jadę osiemdziesiątką - powiedział szofer, ale posłusznie dodał gazu.

Wbiegając na trzecie piętro po szerokich marmurowych schodach byłego polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gdzie mieściło się biuro Dibeliusa, Reiner miał jeszcze nadzieję, że stary opój zakpił sobie z niego, że pragnie u siebie w biurze kontynuować pijaństwo zaczęte w majątku Wąsowskie-go. Ale gdy nacisnął klamkę obitych skórzonym materacem drzwi sekretariatu i spotkał się wzrokiem z zimnymi, rybimi oczami

hauptsturmfuehrera Lohsego, który uczepony słuchawki telefonu nie pofatygował się nawet, by wstać na powitanie pułkownika, a tylko ruchem brody dał mu do poznania, że Dibelius czeka w gabinecie, zrozumiał, że trzeba się przygotować na najgorsze. Twarz standartenfuehrera Dibeliusa także nie wróżyła niczego dobrego: głębokie cienie po nieprzespanej nocy, ale wyraz absolutnej trzeźwości.

Reiner ciężko opadł we wnętrze skórzanego fotela naprzeciw biurka.

- Zwariowałeś, Dibelius, zupełnie zwariowałeś. Powiedz, że to nieprawda — rzekł cicho i bez nadziei na potwierdzenie.

Dibelius bez słowa podsunął mu kasetkę z cygarami. Podał Reinerowi ogień.

- To niemożliwe - powiedział Reiner czując nagle, że kołnierz jego szytego na miarę munduru staje się w jednej chwili zbyt ciasny. — To nie mieści się w głowie.

- A jednak - były to pierwsze słowa Dibeliusa. Przez szerokość biurka podał Reinerowi kartkę maszynopisu. - Przeczytaj.

Był to lapidarny, napisany dość podłą niemczyzną, protokół zajścia w pałacu myśliwskim niejakiego Edwina Wąsowskiego. Drobiazgowy opis łazienki i wnęki za uchylającą się umywalką. Reiner uśmiechnął się w duchu na widok sformułowania: „niejakiego Wąsowskiego”. Dibelius nie mógł się pozbyć nawyków byłego komisarza pruskiej policji - ale spostrzegł natychmiast, że ten wewnętrzny śmiech jest tylko pozą mającą ukryć prawdziwy strach. Wyjął cygaro z ust, dostrzegł drżenie ręki.

- Może istotnie ten służący...

- Obudziłem naszych techników - powiedział Dibelius, nie pozwalając mu skończyć. - Teraz mogę już z całą pewnością stwierdzić, że zarówno na banknotach, jak i na ebonitowych osłonkach filmu są odciski palców Wąsowskiego.

- Tylko jego? - chciał wiedzieć Reiner.

- Inne także. W każdym razie nie tego lokaja. Kazałem wziąć odciski z karafki i tacy. On sam nam co prawda umknął, ale wyciągnąłem już jego kartę rozpoznawczą.

- Więc przy tym wszystkim nieostrożny?

- Skrytka była świetnie zamaskowana. Tobie mogę powiedzieć, że odkryłem ją całkiem przypadkowo. A co do lokaja, to sprawa wcale nie jest taka czysta. Jeden z moich ludzi z archiwum przysięga, że widział już gdzieś twarz tego lokaja. Zresztą jego ucieczka mówi sama za siebie, prawdopodobnie wspólnicy.

- A filmy? Co zawierają filmy?

- Zapewniam cię, że nie są to amatorskie zdjęcia z wycieczek. Jakies plany i fragmenty systemu umocnień. Nie zdołaliśmy jeszcze ustalić, czy przedstawiają jeden obiekt, czy więcej. W każdym

razie - umocnienia. Ponadto schemat organizacyjny policji berlińskiej, sfotografowany fragment listy pracowników upoważnionych do specjalnego deputatu żywnościowego, wykaz nazwisk oficerów SD pracujących w grupach specjalnych. Niemało, jak widzisz.

- To wyglądałoby dość jednoznacznie - powiedział Reiner. Zrozumiał właśnie, że jego obawy były nieco przesadzone. W końcu sprawa znalazła się w rękach Dibeliusa, któremu zapewne nie będzie zależało na nadawaniu jej nadmiernego rozgłosu. U Wąsowskiego bywali przecież...

-Jednoznacznie i niewesoło dla nas. — Głos Dibehusa przerwał mu tok rozmyślań. - Co prawda ja nie jestem jego kuzynem, żadne hrabiowskie koligacje nie wchodzi w rachubę - nie usiłował nawet kryć ironii - ale... - zawiesił głos. - Powiem ci, Reiner, po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwy, że mój ojciec był masarzem, a nie baronem...

- Nasze powinowactwo...

- Wiem, wiem - przerwał mu Dibelius. - Zresztą nie chodzi o pokrewieństwo, wystarczą stosunki, jakie z nim utrzymywałeś. I nie tylko ty.

- Właśnie - powiedział chłodno Reiner - ty także. Przypomnij sobie, właśnie ty mi go przedstawiłeś.

- Nie zapomniałem - wyduł wargi w grymasie - nie ma się co licytować. Jeśli jesteś ciekaw, poznałem go na przyjęciu u gubernatora. Przedstawiła nas sobie jego żona.

- Ja widywałem go jeszcze wcześniej w Berlinie. Nie poznaliśmy się wówczas osobiście, ale on mnie zapamiętał. Zapewniam cię, że w bardzo dobrym domu.

-Tym lepiej - powiedział Dibelius. Wstał i przeciągnął się jak człowiek, który wykonał jakąś ciężką robotę. A na pytające spojrzenie Reintera dodał: - Tym lepiej, że nie tylko my jesteśmy wbabrani w tę marmoladę. Większość przebywających w Warszawie wyższych oficerów bywała na urządzanych przez niego przyjęciach albo w tej willi na Żoliborzu, albo w pałacyku w Wąsowie. Te nasze snobizmy oficerskie! Wiedeński hrabia, psiakrew! Jego dziadek kupił pewnie tytuł wzbogaciwszy się na dostawach jutowych onuc dla wojska. Ale nasi oficerowie, szczególnie ci, którzy uważają się za wychowanków starej szkoły...

- Dajmy temu spokój — uciął Reiner. Sam się zdziwił pewnością w brzmieniu swego głosu. W tym, co mówił Dibelius, znalazł parę punktów, które pozwolą mu wy-leźć z całej afery. Powiedział to głośno:

- Wybrnąć z tego z honorem? - powtórzył Dibelius. -Zastanówmy się więc... Wiemy już, że Wąsowski znał wielu postawionych wyżej od nas. Mam informacje z absolutnie pewnego źródła, że wzywano go nawet na Wawel, wiesz, wtedy, gdy myślano jeszcze o utworzeniu czegoś w rodzaju rządu w tym kraju. Będzie więc zależało nie tylko nam na tym, żeby ukręcić łeb tej idiotycznej sprawie.

- A konkretnie? - zapytał Reiner.

- Proponuję - powiedział Dibelius - proponuję ci współpracę. Chcę też, abyśmy dali szansę młodzieży. Mój zastępca, Lohse, aż się pali do roboty. Ty także wspominałeś mi o jakimś inteligentnym oficerze. Ten twój, jak mu tam Kloss, powinien być wystarczająco inteligentny do rozszyfrowania siatki Wąsowskiego, a jednocześnie dość sprytny, aby dojrzeć swój interes w nie mieszaniu naszych ludzi w tę aferę. Mojemu Lohsemu ufam. To wierny pies.

- Nie mogę tego powiedzieć o Klossie - rzekł Reiner. - Jest samodzielny, bardzo samodzielny, ale na szczęście jego postawa nie budzi żadnych zastrzeżeń.

- Najważniejsze - powiedział Dibelius - żeby nie był zbyt ambitny. Rozumiesz, co mam na myśli? - Nie oczekując odpowiedzi na to pytanie, przeszedł naokoło biurka i zapadł w drugi obity skórą fotel, naprzeciw Reiner. Z rozmachem klepnął go w kolano. — Proponuję, żebyś sprawę przedstawił mu tak...

#### 4

Co panu dolega, panie oberleutnant? - zapytał Kurt, stawiając obok łóżka Klossa wyczyszczone do połysku buty. — Może pójść do apteki?

- Dziękuję - odparł - nic mi nie jest. Przynieś śniadanie, zaraz wstaję. Była jakaś poczta?

- Zapomina pan, oberleutnant, że dziś niedziela.

- A tobie nigdy nie zdarzyło się mieć kaca? - skrzywił usta w udawanym uśmiechu.

- To może postarać się o kwaśne mleko? - Kurt tak ochoczo chciał spełniać nie wypowiedziane nawet pragnienia swego przełożonego, że najwidoczniej zaplanował sobie wolne popołudnie. Kloss zapytał go o to wprost.

- Rzeczywiście, chciałem pójść do kina, jeśli pan oberleutnant nie ma nic przeciwko temu. Ale jeśli idzie o kaca, to moim zdaniem najlepsze jest kwaśne mleko, chociaż kiedy byłem w Rosji, nauczyłem się, że oni tam na kaca...

Kloss gestem wyprosił Kurta z pokoju. Opowieści o leczeniu się z kaca kwasem z ogórków słuchał już parokrotnie. Postanowił, że pozwoli pójść Kurtowi do kina, ale powie mu to dopiero po obiedzie, niech się chłopak choć przez parę godzin postara. I niech myśli, że oberleutnant Kloss poprzedniej nocy za dużo wypił.

To nie była prawda. Kloss ma zmartwienie, kłopot, z którym nie wie, jak sobie poradzić.

Zaczął się w nocy z piątku na sobotę. Spał w najlepsze, była trzecia czy czwarta nad ranem, gdy zaterkotał telefon, który ustawił na podłodze koło tapczanu.

- Ciotka Wanda ciężko zachorowała - usłyszał w słuchawce - Odwieziono ją do szpitala w Warszawie.

- Was? - ryknął, jak powinien był ryknąć niemiecki oficer wyrwany ze snu w środku nocy.

- Odwiedzić ją można w niedzielę w szpitalu Dzieciątka Jezus - powiedział ktoś po polsku, jakby nie zauważył tego ryku.

Więc Kloss musiał znowu wrzasnąć po niemiecku, że to pomyłka i polska bezczelność, a potem z rozmachem trzasnął słuchawką o widelki. Dla kogoś z podsłuchu sprawa musi być oczywista. Jakiś Polak przez pomyłkę połączył się z mieszkaniem niemieckiego oficera i otrzymał należytą odprawę. Ale Kloss nie zmrużył już oka tej nocy. Kryptonim „Wanda” nosił rotmistrz Wąsowski, z którym widział się kilka godzin temu. Wyjazd do szpitala do Warszawy mógł oznaczać tylko jedno: aresztowanie. Głos majora Rucińskiego, który występował w towarzystwie Wąsowskiego jako jego kamerdyner, poznał Kloss od razu. Informacja o odwiedzinach oznaczała kontakt. Liczba liter ostatniego usłyszanego w słuchawce słowa wyznaczała godzinę. Więc w niedzielę o piątej w miejscu od dawna ustalonym spotka się Kloss z kimś, kto dostarczy mu dalszych szczegółów aresztowania

Wąsowskiego. Dopiero w niedzielę o piątej po południu, a był świt sobotniego dnia. Przypomniał sobie Wąsowskiego, który niemalże czułym uściskiem obejmował standartenfuhrera Dibeliusa i teraz ten sam Wąsowski... Nie, to się nie mieści w głowie. W jaki sposób mogła nastąpić wpadka? Czyżby Dibelius przyjeżdżając na polowanie planował, że zabierze ze sobą gospodarza? Co wpadło w jego ręce? Czy także dwie paczki studolaro-wych banknotów, które przywiózł Kloss? Z uczuciem ulgi przypomniał sobie, że dolary podał Wąsowskiemu owinięte w gazetę. Był chyba w rękawiczkach, więc prawdopodobnie uniknął pozostawienia śladów. Ale mają Wąsowskiego, który go przecież zna. Co prawda to twardy i doświadczony oficer wywiadu, ale czy się nie załamie? Dibelius, zwany „krwawym Maksem”, chełpił się, że łamie najtwardszych. Jednocześnie druga zagadka: jak udało się wymknąć Rucińskiemu? A może Dibelius aresztował także kamerdynera i ten sprzedał mu Klossa, a telefon to właśnie cena, jaką Ruciński wpłacił Dibeliusowi za ratowanie głowy? Odepchnął od siebie tę myśl, bo w końcu jedyną podstawą do snucia tych czarnych myśli była osobista niechęć do Rucińskiego. Właściwie nie wiadomo, dlaczego go nie lubił. Jego robota była bezbłędna, znajomość rzemiosła znakomita. Może ton wyższości, jaki niekiedy Ruciński przybierał wobec niego, on, stary fachowiec, wobec amatora, za jakiego uważał Klossa; może to usposobiło doń Klossa nieprzyjaźnie?

Ale nie może przecież teraz, w chwili śmiertelnego zagrożenia, opierać się na własnych ulotnych animozjach. Można nie czuć szczególnego nabożeństwa do sanacyjnego dwójkarza, ale cenić jego pracę, fachowość, odwagę i zimną krew.

Postanowił odłożyć tę sprawę do niedzielnego popołudnia, nie myśleć o niej więcej, dopóki nie dowie się szczegółów. Na wszelki wypadek oczyścił, jak mógł, mieszkanie, korzystając, że Kurt jeszcze śpi, spalił nad popielniczką parę bibulek z notatkami, których treści nauczył się przedtem na pamięć, i poszedł do biura. Tu dopiero okazało się, że będzie jednak musiał myśleć o sprawie, którą rozpoczął nocny telefon, i to dzięki oberstowi Kelnerowi.

Sierżant Patschke, szef tajnej kancelarii, dopadł Klossa w korytarzu.

- Szef chce pana natychmiast widzieć, poruczniku, dwa razy już pytał o pana.

Kloss ze zdumieniem spojrzął na zegarek. Sierżant zrozumiał ten gest.

- Nie, nie spóźnił się pan, to Reiner zjawił się o świcie.

Kloss zapukał do masywnych, wykładanych dębowym fornirem drzwi. Wyprężył się przed biurkiem pułkownika.

- Proszę siadać, poruczniku. Chcę z panem porozmawiać dłużej.

Uprzejmy ton, jak zwykle nienaganne maniery, tylko jakiś popłoch w oczach, skonstratował Kloss. Czyżby on też się bał? Reiner podsunął Klossowi fotel, uczynił gest, jakby chciał pomóc porucznikowi w zajęciu miejsca. Do takiej uprzejmości nigdy się jeszcze nie posunął.

- Daruję sobie wstępny typ: bardzo pana cenię etc. Zacznę od konkretów. Misja, którą chcę panu powierzyć, jest ważna i niesłychanie delikatna. Właśnie dlatego postanowiłem dać panu szansę. Pomyślnie zakończenie tej sprawy może panu przynieść żelazny krzyż, klęska -kosztowałaby dużo. Nie tylko pana. Ale pana także kosztowałaby wiele - powtórzył.

- Lubię hazard - powiedział Kloss szczerze.

- Aresztowaliśmy niebezpiecznego agenta, porucznika. Samego aresztowania dokonał resort naszego przyjaciela Dibeliusa, ale sprawę postanowiliśmy ze względu na jej wagę poprowadzić wspólnie. Dotyczy tak samo resortu bezpieczeństwa, jak i Abwehry. Chciałbym tę sprawę powierzyć panu i doświadczonemu, posiadającemu długoletnią praktykę kryminalną oficerowi SD, hauptsturmfuehrerowi Lohse. Zna go pan?

- Znam. Kogóż to aresztowano? - zapytał przeczuwając odpowiedź.

Reiner potwierdził jego przypuszczenia. Nie odrywając wzroku od papierów, zrelacjonował Klossowi historię przypadkowego znalezienia skrytki w łazience. Pozwolił sobie nawet na pewne uszczypliwości pod adresem standartenfuehrera, który tylko dzięki swemu stanowi zamroczenia odkrył skrytkę, jakby w ten sposób chciał między sobą a Klosssem zadzierzgnąć jakieś porozumienie. „Ten stary pijak ma piekielne szczęście i zdolność do nawarzenia piwa, które musimy wspólnie wypić” - zdawał się brzmieć podtekst uszczypliwości Reiner. Potem pokrótce zrelacjonował ucieczkę lokaja i podał zawartość skrytki, ale w pewnej chwili urwał w pół słowa.

- Wszystkie szczegóły znajdzie pan w papierach. Teraz chciałbym panu, poruczniku, zwrócić uwagę na delikatne i subtelne aspekty sprawy. Edwin Wąsowski jest arystokratą, skollgaconym z paroma dobrymi familiami niemieckimi. Byłoby ze wszech miar godne ubolewania, gdyby... - zawiesił głos.

Kloss skinął głową, że zrozumiał.

- Wybacz pan, panie oberst - zaczął powoli, jakby chciał dobrać właściwe słowa i przychodziło mu to z trudem — kiedy wczoraj przyjechałem po pana z rozkazem generała Wierlingera, odniosłem wrażenie, że Wąsowskiego łączy ze standartenfuehrerem Dibeliusem pewna, powiedziałbym, zażyłość. Jeśli moje wrażenie było fałszywe...

- Nie było, Kloss. Bywaliśmy u niego wszyscy, ja także. Wąsowski bywał także w domu warszawskiego gubernatora, raz zaproszono go nawet na Wawel. Jeśli powiem panu jeszcze, że widywałem go w Berlinie w domu... -zawahał się. - Mniejsza o to. Żadna z tych wizyt nie może mieć związku ze sprawą Wąsowskiego, nie może, rozumie pan? Jeśli ma pan jakieś wątpliwości w tej sprawie, proszę powiedzieć mi teraz. Mogę jeszcze zwolnić pana z prowadzenia jej.

- Nie mam żadnych wątpliwości - odparł Kloss - jeśli idzie o wierność pana pułkownika wobec naszego fuehrera.

- To mi wystarczy. Od poniedziałku weźmiecie się razem z Lohsem za sprawę. Nie spieszcie się, pracujcie powoli i ostrożnie. Pragnę, żeby mnie pan dobrze zrozumiał, nie chcemy z Dibeliusem oszczędzać wrogów Rzeszy bez względu na ich stanowiska i związki rodzinne. Ale nie możemy pozwolić, żeby brud tej sprawy zbrukał ludzi niewinnych, którzy może zbyt lekkomyślnie ulegli czarowi osobistemu Wąsowskiego, ale pozostali uczciwymi Niemcami i hitlerowcami. Sprawa metod śledztwa zależy tylko od was. Jedno jest pewne: musi być skuteczne, bezlitosne wobec wrogów, dyskretne...

Zadzwonił telefon. Reiner podniósł słuchawkę. Kloss dostrzegł, że w miarę słuchania z twarzy obersta odpływa krew.

-Jest właśnie u mnie, drogi Dibeliusie, zaraz mu przekażę. - Odłożył słuchawkę na widełki. Stał naprzeciw Klossa, zmuszając jego tym samym do przyjęcia postawy zasadniczej. Spojrzał mu prosto w oczy. — Kloss - powiedział - bardzo dużo od pana zależy. Są chwile przełomowe w karierze młodego oficera. Biada temu, kto nie dostrzeże ich w porę. Standartenfuehrer Dibelius poinformował mnie właśnie, że plany znalezione w myśliwskim pałacyku w Wąsowie zawierają usytuowanie stanowisk obronnych wokół głównej kwatery naszego fuehrera...

To było w sobotę. Po wyjściu od Reintera Kloss tylko na chwilę wrócił do biura, zlecając swemu pomocnikowi, młodemu leutnantowi Geislerowi bieżące sprawy.

Postanowił się przejść, by przemyśleć to, co się stało. Nie mógł sobie darować, że podczas ostatniej wizyty w pałacyku myśliwskim nie zabrał mikrofilmów. Oczywiście istnieje szansa, że Klossowi uda się skopiować je we wstępnej fazie śledztwa, ale zadanie może utrudnić fakt, że Dibelius, a więc zapewne i Lohse, wiedzą już, co przedstawiają plany w maleńkich klateczkach mikrofilmu. Ale o tym będzie czas myśleć później, teraz pozostaje sprawa najważniejsza: Wąsowski.

Kloss niemal nic o nim nie wiedział. Kiedy kilka miesięcy temu wysłannik z centrali poinformował go o przejściu przez ciotkę Zuzannę jednej z przedwojennych berlińskich siatek polskiej „dwójki” wraz z jej ekspozyturami w Warszawie, Wiedniu i Krakowie, nie krył swoich obaw. Ale kilkumiesięczna współpraca z Wąsowskim, który kierował właśnie wraz z majorem Rucińskim warszawską ekspozyturą, przekonała go, że opłaciło się podjąć to ryzyko. Od Wąsowskiego dostał już kilkakrotnie duże, dobre materiały, nieraz całościowe opracowanie problemu, którego złożenie z poszczególnych informacji agenturalnych trwałoby znacznie dłużej, nie mówiąc już o tym, że Wąsowski dzięki swym stosunkom potrafił dotrzeć do środowisk, wśród których łatwiej było o niedyskrecję, często bardzo ważną nie tylko dla działań militarnych, ale także



dypłomacji aliantów.

Wpadka Wąsowskiego będzie więc poważnym ciosem dla ciotki Zuzanny. Szansę wydostania go z łap Dibeliusa są prawie żadne, a zresztą bez względu na sympatię, jaką Kloss żywił osobiście do Wąsowskiego, nie jego osoba jest tu najważniejsza, lecz działalność, a ta jest raz na zawsze spalona.

W grę wchodzi także bezpieczeństwo osobiste Klossa. Prawdopodobnie tylko jego, chociaż tego również nie może być pewien, ale to też zupełnie wystarczy. O Wąsowskim mógł wydać tylko jak najlepszą opinię, instynktownie wyczuwał w nim człowieka, który pod dobroduszną jowialnością skrywa upór i niezłomność.

Istnieje jednak małe „ale”... Wąsowski był zawodowcem, od lat grał rolę bogatego utracjusza, żarłoka i birbanta, o tyle dlań łatwiejszą, że istotnie wywodził się z hrabiowskiej, dość mającej rodziny... Lecz to właśnie stwarza niebezpieczeństwo identyfikacji roli z życiem. Może Wąsowskiemu żal będzie rozstawać się ze swoim wcieleniem i za cenę zachowania statusu zgodzi się sprzedać Dibeliusowi wszystkich, a może tak utożsamiał się z grą, że będzie chciał ją ciągnąć nawet pod kontrolą Niemców? Kloss zbyt dobrze poznał arkana swojej roboty, by nie zdawać sobie sprawy z groźby, jaką niesie ta gra. Nieraz stykał się z agentami pracującymi dla dwóch, trzech lub więcej panów, którzy w pewnym punkcie swego życia nie indentyfikowali się już z żadnym mocodawcą — prowadzili swoją własną grę.

Z najbliższej apteki zadzwonił do Lohsego. Ten wiedząc, że mają współpracować, potraktował Klossa nieco z góry. To Klossowi nawet odpowiadało, rola pomocnika hauptsturmfuehrera niesie ze sobą jakieś możliwości.

Nie zauważył nawet, kiedy się zdrzemnął. Obudził go Kurt, wnosząc parujące talerze. Dochodziła czwarta. Kloss czym prędzej zjadł obiad, dał Kurtowi przepustkę na popołudnie i pierwszą riksą pojechał na Mokotowską. W małej kawiarience dostrzegł siedzącą pod oknem nie znaną mu dziewczynę, która popijając ersatzową herbatę spoglądała na leżący przed nią „Kurier Warszawski”, stojącą na nim zieloną torebkę i parę skrzyżowanych zielonych rękawiczek. Począł, aż dziewczyna wypije, i kiedy wstała, ruszył w parę chwil po niej. Szła nie oglądając się, a Kloss postępował kilkanaście metrów za nią. Skręciła w Wilczą, przecięła Kruczą i Marszałkowską, zatrzymała się, jakby sprawdzając adres, przed burym domem koło Poznańskiej. Na drugim piętrze przystanęła przed jakimiś drzwiami, otworzyła je kluczem i pozostawiła uchylone.

Major Ruciński czekał na niego w dużym, mrocznym, zagraconym pokoju. Bez słowa podsunął Klossowi krzesło, z którego poduszki wyłaziła morska trawa.

-To się musiało kiedyś stać - powiedział. - Chce pan wiedzieć, jak to było?

- Wiem - odparł. - Od poniedziałku wraz z haupt-sturmfuehrerem Lohsem przejmuję tę sprawę.

- Bogu dzięki! - powiedział tamten.

- Niby dlaczego? - zaperzył się Kloss. - Chyba nie wyobraża pan sobie, że będę mógł go

oszczędzać. Być może będę musiał patrzeć, jak go biją i słyszeć, kiedy sypnie pierwsze nazwisko. Nie wykluczani, że będzie to moje nazwisko.

- Edwin nie powie, Edwin nic nie powie.

Kloss uśmiechnął się tylko. Widział ludzi zdawałoby się silnych i uczciwych, którzy błagali, by ich zabić, a kiedy śmierć nie nadchodziła, sypali najbliższych krewnych i przyjaciół, skazując ich na takie same tortury.

- Znam go od piętnastu lat, jeszcze z Berlina i Hamburga. Jeśli nie będzie mógł wytrzymać, zgniecie fiolkę ukrytą w plombie zęba. Mogę panu obiecać, że Edwin nie straci zimnej krwi. Jeśli moglibyśmy coś dla niego zrobić...

- Co? - roześmiał mu się Kloss w twarz. Ten Ruciński działał mu na nerwy. - Zorganizować akcję na aleję Szu-cha? Odbić go może?

Ruciński milczał. Klossowi zrobiło się go żal, a jednocześnie poczuł coś w rodzaju zawstydenia. Tamten jakby tego nie zauważył.

- Wie pan - powiedział - Edwin Wąsowski to zadziwiający człowiek. Jak pan myśli, dlaczego on to robił? Kariera? Gwizdał na karierę. Nigdy mi tego nie mówił, ale zdaje się, że w ogóle nie lubił wojska. Pieniądze? Śmieszne. Edwin na placówce berlińskiej wydał więcej pieniędzy swoich niż rządowych. Więc i to odpada. Nie lubił Niemców, a szczególnie Prusaków, ale mój Boże, sama niechęć do przedstawicieli innego narodu, żeby nie wiem nawet jak wielka, nie wystarczy. On to robił, i to znakomicie, mogę panu powiedzieć, ponieważ był aktorem, był aktorem, któremu nie dane było nigdy zagrać na scenie. Grał w życiu, przygotowywał się do swych ról niezwykle starannie. W trzydziestym piątym potrzebowaliśmy, po zlikwidowaniu naszej poprzedniej siatki, jakiegoś punktu zaczepienia. Utworzyliśmy takie fikcyjne przedsiębiorstwo: hambursko-południowoamerykańskie towarzystwo obrotu kawą. To miała być pokrywka dla naszej prawdziwej działalności. I była. Ale Edwin... Pan nie zna Edwina. On naprawdę zaczął handlować kawą. Mało tego. Stał się jednym z czołowych fachowców w branży. Mógłby szybko zrobić majątek. Czy rozumie pan, do czego zmierzam?

- Nie - przyznał szczerze Kloss.

- Nie możemy uratować Edwina. Zresztą nie wiem, czy on by tego chciał. W trzydziestym siódmym, kiedy w każdej chwili groziła wsypa, Edwin wybłagał na mnie obietnicę, że w razie wpadki nie wymienimy go. Czy oni wiedzą — zmienił nagle temat — co zawiera mikrofilm?

- Tak - powiedział Kloss.

- Tym lepiej - mruknął tamten. - Nie możemy uratować Wąsowskiego, ale możemy mu umożliwić zagranie jeszcze jednej roli, największej roli w jego życiu.

- Rozumiem — powiedział Kloss i rzeczywiście zaczynał rozumieć. — Chce pan, żeby Wąsowski zaczął sypać.

- Tak - powiedział tamten. - Sypać wspólników, których pan mu podsunie. Wielka, gigantyczna siatka szpiegowska, w której będzie paru ich dygnitarzy, niech się zaczną żreć nawzajem.

- Mam coś lepszego - powiedział cicho Kloss. Poczł nagły przyptływ sympatii do Rucińskiego.  
- Mam coś znacznie lepszego - powtórzył. - Coś, co chwycą łatwiej. Spisek, wewnętrzny spisek. Co pan na to?

- Pamięta pan meldunek Edwina sprzed trzech miesięcy? Ten o próbie grupy generałów berlińskich szukania kontaktów via Sztokholm?

- Może się pan nie obawiać, nie myślę o prawdziwym spisku. Tych, którzy próbują spiskować przeciw Hitlerowi, zostawimy w spokoju, a dla Dibeliusa i Reinerja przygotujemy coś ekstra.

- W porządku - tamten ożywił się. - Zawiadomię centralę. Poproszę o akceptację planu i listę kandydatów. - Odmłodniał w jednej chwili. - Najważniejsze, żeby Edwin zrozumiał, o co panu chodzi, żeby nie powiedział ani za wiele, ani za mało.

Kloss wracał z Wilczej podniesiony na duchu. Plan, który kilka minut temu skrytalizował się w jego umyśle, tylko na pozór wyglądał szaleńczo. Mechanizm terroru Trzeciej Rzeszy był tak skomplikowany, powiązania między poszczególnymi ogniwami tak zagmatwane, a podział kompetencji tak niejasny, że gra, jaką zamierzał podjąć, dawała szansę. Wąsowski już bezbronny, zamknięty w ciasnej celi, pozbawiony przyjaciół i stosunków, zdemaskowany jako wróg Rzeszy, może jeszcze razić nieprzyjaciół i będzie to robił.

Poczł przyptływ energii i postanowił, że choć od jutra dopiero ma przejąć współdział w śledztwie, nic nie stoi na przeszkodzie, by już dziś rozejrzeć się w sprawie. Złapał riksę i kazał się wieść na Żoliborz. Zwolnił riksarza na placu Inwalidów i sam ruszył w dół ku Wiśle wąskimi, ciemnymi uliczkami dzielnicy willowej. Rychło zauważył, że tu nic nie działa. Przed płaską, modernistyczną willą, która jak wiedział, należała do Wąsowskiego, dwóch granatowych policjantów grzało sobie ręce pod koszem z płonącym koksem. Zawrócił na pięcie, udało mu się złapać dorożkę, kazał się wieść pod budynek Abwehrstelle Warschau.

W pół godziny później półciężarową skodą z sześcioma ludźmi obstawy jechał w kierunku Wąsowa. Zostawił ludzi na folwarku a sam, uzbrojony tylko w pistolet i elektryczną latarkę, ruszył ku pałacykowi. Wyciągnął z kuchni przestraszona babę i kazał się prowadzić do gabinetu hrabiego. Ucieszyła go informacja, że odkąd zabrano pana hrabiego, nikt się jeszcze nie pojawił w pałacu. Prawdopodobnie Dibelius, każąc pilnować willi żoliborskiej, wychodził z założenia, że jedynie tam Wąsowski przechowuje interesujące go przedmioty.

Ogromne chippendalowskie biurko, także fotele i szafy. Jedywym dysonansem w tym wnętrzu było proste amerykańskie krzesło obrotowe stojące przy biurku. Sprawdził, że szuflady biurka są nie zamknięte. Ich zawartość postanowił przejrzeć potem. Teraz chciał znaleźć przede wszystkim miejsce, gdzie Wąsowski przechowywał papiery godne, jego zdaniem, zabezpieczenia. Odsunął szafy od ściany, szukając jakiegoś schowka, kolejno podnosił obrazy, potem zwinąwszy dywan, przyświecając sobie latarką, metr po metrze lustrował podłogę, ale wszystko na próżno.

Kiedy już niemal zrezygnowany, usiadł na amerykańskim obrotowym krześle, gotów zabrać się do przeglądania zawartości szuflad - w końcu trzymanie wszystkiego na wierzchu pasowałoby nawet do niefrasobliwego stylu życia hrabiego Edwina Wąsowskiego - przypomniał sobie o dysonansie, który go uderzył zaraz po wejściu do gabinetu. Wstał, postawił krzesło na biurku, obmacał wyściełone skórą oparcie i siedzenie, ale tam nic nie było. Przewrócił krzesło do góry nogami, dostrzegł wkręty przytrzymujące stalową tarczę, do której przymocowana była śruba obracająca fotel. Wiedział, że jest na włamógł się ogolić, bielizny i odzieży na zmianę, a także przyzwoitego odżywiania. Bez spełnienia tych podstawowych warunków wszelkie próby przeprowadzenia ze mną jakichkolwiek rozmów skazane są z góry na fiasko. Zechce pan to powiedzieć mojemu przyjacielowi, standartenfuehrerowi Dibeliusowi. - Wstał i skłonił się lekko, jakby uznał rozmowę za skończoną. Za wszelką cenę chciał wyprowadzić tego małego grubasa z równowagi.

-Wstać! - ryknął Lohse. Zdaje się, że stracił już panowanie nad sobą. -Ty myślisz, świniou, że my tu z tobą na rozmowy! Przekonasz się zaraz, że to pomyłka. Pałki

moich chłopców zmiękczają nawet hrabiowskie tyłki! - nabrał powietrza, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie otworzyły się drzwi, stanął w nich oberleutnant Kloss.

To nagłe wejście tak zaskoczyło Lohsego, że dobrą chwilę stał jeszcze z półotwartymi ustami. Wąsowski odwrócił się i spotkał się wzrokiem z młodym oficerem Abwehry.

Nie drgnęła mu nawet powieka - pomyślał Kloss z satysfakcją.

- Nie denerwuj się, Adolfie - powiedział Kloss. Odwrócił wzrok od twarzy Wąsowskiego, jak od jakiegoś obojętnego przedmiotu. —Widzę, że zaczęłaś robotę beze mnie. Mówiłem ci już, że bardzo się ucieszyłem, kiedy Reiner zakomunikował mi, że będziemy pracować razem. Jak twój pacjent? Sądząc z niezbyt dobrego humoru, nierozmowny, co? - Plotąc trzy po trzy, przechadzał się po pokoju. - Myślę jednak, iż pan Wąsowski zrozumie, że niekiedy jest lepiej mówić, niż milczeć. - Ostatnie zdanie wypowiedział w ten sposób, by znów na dłuższą chwilę spotkać się wzrokiem z Wąsowskim.

- Może spróbujesz ty? - Lohse nie ukrywał drwiny.

- Marzę o tym - rzekł Kloss. - Zechce pan spocząć, panie hrabio - zwrócił się do Wąsowskiego, wskazując

mu stojący w rogu pokoju wygodny fotel. Kątem oka dostrzegł, że twarz Lohsego nabiegła krwią.

- Co Wehrmacht, to Wehrmacht-powiedział Wąsowski siadając. - Od razu poznać.

- Nie zapomnij mnie zawołać, kiedy zaczniesz śpiewać — powiedział Lohse. Nie usiłował nawet kryć rozsadzającej go wściekłości. Z rozmachem zamknął za sobą obite materacem drzwi. Nareszcie zostali sami.

- Kieliszek koniaku, panie hrabio? - Kloss otworzył stojącą przy oknie szafę. Bał się, że Lohse

podśłuchuje, a być może także obserwuje ich rozmowę. Zbyt dużo opowiadano o tajemnicach pokojów przesłuchań w alei Szucha, by wszystko miało być nieprawdą. Wąsowski powinien to zrozumieć.

- Na czczo? - zapytał Wąsowski.

- Nie dostał pan śniadania?

- Przynieśli jakąś bryję, me próbowałem nawet wziąć do ust. Usiłowałem właśnie wytłumaczyć pańskiemu przyjacielowi, poruczniku, że dopóki nie będę należycie traktowany...

- Sprytna postawa, przyznaję. I myślę, że można załatwić panu należyte traktowanie. Pańskie stanowisko społeczne, niedawne jeszcze wpływy, szerokie, bardzo szerokie znajomości upoważniają nas chyba do specjalnego trybu postępowania. Zresztą nie jest pan tuzinkowym szpiegiem.

- Posądzenie o szpiegostwo trzeba udowodnić nawet w Niemczech.

- Myli się pan, nie trzeba, nawet w Niemczech. Ale w skrytce w pańskiej łazience na znalezionych tam banknotach dolarowych i rolkach filmu „Agfa” (to bardzo dobrze, że nawet do celów wrogich Rzeszy używa pan niemieckich filmów) były odciski pańskich palców, hrabio. Bardzo nieostrożnie. Czy nikt pana nigdy nie ostrzegał?

- Tak - powiedział Wąsowski. - Byłem nieostrożny. - Uśmiechnął się. Wciągała go ta gra. Jeszcze nie wiedział, do czego zmierza ten człowiek ubrany w niemiecki mundur, którego odwagę i inteligencję zdołał być nieraz poznać, ale czuł, że tamten wciąga go w jakąś grę, swoją, a więc także i jego grę.

- Dwukrotnie użyliśmy słowa szpiegostwo. Czy to dobre słowo?

- Nie rozumiem - uniósł brwi Wąsowski. - Czyżby moja niemczyzna budziła pańskie wątpliwości?

- Pewne sprawy z pozoru wyglądają podobnie - zamyślił się Kloss. - Użyję porównania medycznego. Dwie zupełnie różne choroby mogą wywoływać bardzo podobne objawy. Niewprawy lekarz, stawiając diagnozę, wybierze oczywiście chorobę częściej spotykaną. Sądząc po objawach, powiedziałby taki lekarz, mamy do czynienia ze szpiegostwem.

- A co powiedziałby dobry lekarz? - Wąsowski poczuł, że zbliża się bardzo ważna chwila w ich rozmowie.

- Nie wykluczałby tej możliwości, ale wziąłby pod uwagę także inną. Zastanowiłby się, czy ta choroba nie nazywa się „spisek wewnętrzny”.

- Bardzo interesujące - przyznał Wąsowski szczerze. - Bardzo - powtórzył.

- Szczególnie - kontynuował Kloss - jeśli weźmie się pod uwagę hardość pacjenta, jego postawę, z której wynikałoby, że liczy na czyjąś pomoc. Pomoc jest niemożliwa, panie hrabio. -

Pochylił się ku Wąsowskiemu. Uznał, że nadszedł czas, by poinformować Wąsowskiego, iż akcja została uzgodniona z Rucińskim. - Pańskiemu lokajowi i zapewne współnikowi w zbrodniczych działaniach udało się co prawda zbiec, ale nie liczy pan chyba, że potrafi on pana wyciągnąć z alei Szucha. Żaden z pańskich wpływowych przyjaciół nie kiwnie palcem w pana obronie. Przeciwnie, postara się jak najszybciej zapomnieć, że pana znał. Pomoc z zewnątrz jest niemożliwa - powtórzył. - Jediną osobą, która może panu pomóc, jest pan sam. - Mocno zaakcentował to zdanie, potem roześmiał się bez przymusu. - Oczywiście trzeba się liczyć z faktem, że niczego na naszym ponurym świecie nie dają za darmo. Myślę, że mógłbym panu obiecać dobre traktowanie, godne pańskiej pozycji i należne pańskiemu wiekowi, gdyby pan mi obiecał, że nie będzie dłużej krył swoich współników w spisku zawiązanym dla obalenia władz Rzeszy i naszego wodza Adolfa Hitlera. Czy wyraziłem się jasno?

- Zdaje się, że tak.

-Nie wymagam odpowiedzi natychmiastowej. Musi pan przemyśleć sprawę i wiele sobie przypomnieć. Pomożemy panu w miarę naszych sił i możliwości. Pojechałem wczoraj wieczorem do pańskiego pałacyku w Wąsowie, zwiedziłem pański gabinet. Ma pan bardzo ładne meble. To biurko to prawdziwy Chippendale, a amerykańskie obrotowe krzesło też ma wiele uroku, choć pozornie nie pasuje do pozostałych mebli; jest bardzo funkcjonalne... Niech pan przemyśli sprawę. Dla nas pańskie zeznania są ważne o tyle, o ile będą szczegółowe.

- Zastanowię się, panie poruczniku.

- Wystarczy, jeśli odpowiedź da pan jutro - powiedział Kloss. Podeszedł do drzwi, otworzył je szeroko. Dwóch SS-manów poderwało się na jego widok.

- Wyprowadzić aresztowanego - rzucił im i opadł na fotel, na którym jeszcze przed chwilą siedział Wąsowski. Musi poczekać na Lohsego, zorientować się, czy tamten czegoś nie zwietrzył, bo Wąsowski zdaje się rozumiał rzecz bezbłędnie.

Nie wstając z fotela Kloss sięgnął do pozostawionej na biurku Lohsego paczki papierosów, bezceremonialnie wyjął jednego i zapalił. Musi jeszcze raz przemyśleć wszystkie elementy czekającej go gry.

Kiedy wczorajszej nocy zobaczył czarnego mercedesa, a po chwili samego pułkownika gramolącego się z auta, zrozumiał, że sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowana. Kiedy zaskoczył Reinera błyskiem latarki prosto w oczy i dopiero potem, udając, że właśnie poznał obersta, przeproszał go za to oślepienie, dostrzegł w jego twarzy ten sam strach, którego pierwsze objawy zaobserwował sobotnim rankiem w gabinecie swego szefa.

- Nastraszył mnie pan, Kloss - powiedział oberst, gdy wreszcie ochłonął. Nie myślałem, że pan już tu jest.

- Serio traktuję swoje obowiązki, panie pułkowniku - odparł wtedy. - Jak pan widzi, kierowała nami wspólna myśl. Prawdopodobnie pan także chciał przyjrzeć się papierkom zalegającym przepastne szuflady tego biurka. Myślę, że warto by również obejrzeć willę Wąsowskiego na

Żoliborzu.

- Tym zapewne zajął się Dibelius - powiedział Reiner, ale Kloss wyczuł, że pułkownik, podobnie jak on, usiłował dostać się do willi przy wąskiej, cienistej uliczce niedaleko placu Inwalidów. — Odkrył pan coś interesującego?

- Zamierzam przejrzeć to dopiero w Warszawie. Po uporządkowaniu i wyrzuceniu rzeczy niepotrzebnych resztę przekażę oczywiście panu. Chyba że wolałby pan pułkownik zapoznać się z tym wcześniej?

Zapadło krótkie milczenie. Reiner zastanawiał się.

- Nie, Kloss, mam do pana całkowite zaufanie. Ale chciałbym pana o coś prosić. Nie urzędowo - zawahał się - prywatnie - wykrztusił wreszcie to słowo.

Kloss czuł, że Reiner czeka teraz na jego pomoc, jakieś pytanie, które pozwoli mu wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Postanowił tego nie zauważyć. Czekał w milczeniu bez najmniejszego ruchu.

- Gdyby znalazł pan wśród tych papierów jakąś korespondencję z Wiednia, szczególnie z kimś z rodziny von Eckendorff... - znów zawiesił głos.

- Mam nadzieję - Kloss postanowił się nad nim zlitować - że nie będzie to nic ważnego dla śledztwa, a w takim wypadku nie ma potrzeby włączania tych rzeczy do akt sprawy.

- Właśnie, Kloss. Nie zawiodłem się na pańskiej inteligencji. Nie chciałbym, żeby rodzina, z którą przypadkiem spokrewniony jest ten łajdak, a zapewniam pana, że to bardzo przyzwoita niemiecka rodzina, oddana bez reszty Rzeszy i fuehrerowi, miała jakieś kłopoty

- Przepraszam - powiedział Kloss - ale chyba lepiej, jeśli zapytam wprost. To także rodzina pana obersta, prawda?

- Mniejsza o to. Nie możemy pozwolić, żeby uczciwi ludzie cierpieli tylko dlatego, że ten szpieg...

Kloss uznał, że nadszedł właściwy moment dla zasugerowania Reinerowi pewnej myśli.

- Więc pan, pułkowniku - wykorzystał chwilę ciszy, gdyż Reiner zapalał właśnie cygaro — jest całkowicie przekonany, że w grę wchodzi szpiegostwo?

- Czyżby pan wątpił? - prychnął weń dymem.

- Nie chciałbym formułować zbyt pospiesznych wniosków, zawsze mnie pan przed tym przestrzegał, panie pułkowniku, ale...

- Więc jeśli nie szpiegostwo, to co?

- Myślmy o tym samym, panie pułkowniku — powiedział po dłuższej chwili, jakby chciał dać

tamtemu czas na samodzielne sformułowanie tej myśli. - Kto wie, czy nie wpadliśmy na ślad zbrodni zdrady stanu. Te plany umocnień wokół kwatery fuehrera, te tłumy niemieckich oficerów wysokich stopni...

- Niech pan przestanie! - zawołał histerycznie Reiner. - Niech pan przestanie! - A potem cicho dodał: - Oby się pan mylił.

Z zamyślenia wyrwał Klossa głos Lohsego:

- Udało ci się, Hans?

- Myślę, że się uda, ale trzeba zacząć od tego, żeby dać mu porządną celę, przywieźć ubranie, bieliznę na zmianę, obiady z restauracji.

- Musiałby się na to zgodzić Dibelius - powiedział Lohse niepewnie.

- Jeśli za tę cenę uzyska informacje...

- Słuchałem, jak go badasz. Od Abwehry też się można czegoś nauczyć. Nie wiedziałem, że masz zacięcie lekarskie.

- Każdy z nas ma swoje metody, Adolfie - powiedział, patrząc mu prosto w oczy. Lohse nawet nie usiłował ukryć, że podsłuchiwał jego rozmowę z Wąsowskim. — Widzisz, Lohse - powiedział po chwili - chcę się z tobą podzielić pewnym podejrzeniem. A zresztą - machnął ręką, jakby nagle zmienił decyzję - może się mylę, może dopiero jutro, po przesłuchaniu Wąsowskiego...

- Mówisz to tak, jakbyś wiedział na pewno, że Wąsowski będzie śpiewał.

- Mam nadzieję, po prostu mam nadzieję, mój Adolfie.

## 5

Lohse wyszedł z gabinetu standartenfuehrera niezwykle zdumiony nowym, nie znanym mu dotychczas obliczem swego szefa. Dibelius był nadzwyczajnie słodki. Nie do wiary! On, który potrafił koszarowym żargonem zbesztać jego, hauptsturmfuehrera, w obecności prostych SS-manów, dzisiaj chodził wokół Lohsego jak koło najdroższego gościa.

- Niech pan pamięta, Lohse - wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie, gestem wskazując hauptsturmfuehrerowi, by nie wstawał z fotela - że nie wybrałem pana przypadkiem. Chcąc nie chcąc, musimy współpracować z Abwehrą. Wiem, wiem, co mi pan powie, że nie najwygodniejsze, ale cóż zrobić. Na szczęście oberleutnant Kloss, którego Reiner wyznaczył do prowadzenia tej sprawy pod pańskim kierownictwem, jest oficerem zdyscyplinowanym i jak zapewnia Reiner, umiejącym dostrzec granicę, poza którą nawet najlepszy oficer wywiadu nie powinien się posunąć.

- To żółtodziób, panie standartenfuehrer - wtrącił Lohse - wie pan, z gatunku tych inteligentnych,



co mają „swoje metody”.

- Tak, tak, Lohse, chyba trafnie pan go określił. Poznać starego fachowca. Nas - bo my obaj z panem jesteśmy starzy policyjni rutyniarze - ci smarkacze, nawet najinteligentniejsi smarkacze, nie potrafią wyprowadzić w pole. Pan się na przykład nie da wyprowadzić w pole, co, Lohse? - poklepał go poufale po ramieniu.

- Klossowi? - prychnął. - Może pan być spokojny, panie standartenfuehrer.

- Zgódźmy się - kontynuował Dibelius rzeczowo - że wszystkie metody są dobre dla osiągnięcia oczekiwanych efektów. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Wąsowskiego golono i odżywiano. Nie rozumiem co prawda, po co nieboszczyk ma być dobrze odżywiony, a on chyba nie jest takim idiotą, by nie zdawać sobie sprawy, co go czeka. Ale niech mu tam! Byle gadał! Waszą sprawą, a właściwie pańską Lohse, jest oddzielenie ziarna od plew. W aktach, którymi z pewnością zainteresuje się Berlin, nie powinny znaleźć się nazwiska ludzi, których oddanie fuehrerowi i narodowi niemieckiemu jest powszechnie znane. Ale nie znaczy to, że mamy pobłażać wrogom Rzeszy. Musicie za wszelką cenę wydusić z Wąsowskiego nazwiska jego informatorów, kontakty z wywiadem alianckim. Jak pan myśli, pracuje dla Amerykanów czy dla Anglików?

- Myślę, że raczej nie dla bolszewików - Lohse uznał, że może sobie pozwolić na dowcip.

-Ja także tak myślę - roześmiał się Dibelius. - I jeszcze jedno, Lohse, tak między nami, SS-manami. Naszym przyjaciółom z Abwehry trzeba uważnie patrzeć na ręce. Oni chętnie przyznają się do naszych zwycięstw, a jeszcze chętniej na nasze konto wpisaliby własne porażki.

- Dziękuję za zaufanie, panie standartenfuehrer.

- A propos zaufania - Dibelius jakby nagle sobie przypomniał. - Myślę, że mogę już panu powiedzieć w tajemnicy, że po zakończeniu tej sprawy pchnę do reichsfuehrera wnioski o pański awans. Od dawna się panu

należy.

Tyle łaskawości za jednym razem nie spotkało Lohsego od Dibeliusa jeszcze nigdy. Z portierni głównego gmachu zadzwonił do swego kancelisty, by sprowadzono z aresztu Edwina Wąsowskiego, ale dowiedział się, że pół godziny temu zarządzenie to wydał oberleutnant Kloss, który właśnie rozpoczął przesłuchanie aresztowanego. Lohse przeklął w duchu w gorącej wodzie kąpanego szczeniaka, zamierzał bowiem jeszcze przed przesłuchaniem Wąsowskiego zjeść porządne śniadanie, ale cóż było robić? Ruszył na skos przez dziedziniec, który kilku aresztantów, pilnowanych przez SS-mana, usiłowało właśnie oczyścić ze śniegu.

A oberleutnant Kloss rzeczywiście rozpoczął już przesłuchanie hrabiego. Edwin był ogolony, spod kraciastej sportowej marynarki wyzierała śnieżnobiała koszula. Czerstwa, ogorzała twarz, słowiańskie wąsy i brak krawata przy koszuli czyniły go podobnym do Witosa.

-Mam nadzieję, że śniadanie smakowało panu hrabiemu? - powiedział Kloss.

- Tak - odparł Wąsowski. - Po dobrym śniadaniu i cygarze lepiej się myśli.

- Czyżby wymyślił pan coś interesującego? -podsunął mu skórzane etui z cygarami. Wąsowski wziął jedno, odgryzł koniuszek, poczekał na zapałkę, którą podawał mu Kloss. Zaciągnął się wonnym dymem.

- Spróbuję zaspokoić pańską ciekawość, poruczniku.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem w pański rozsądek -postanowił czym prędzej, korzystając z nieobecności Lohsego, przejść do rzeczy. Ponieważ jednak mógł przypuszczać, że jeśli nie Lohse, to kto inny poddaje go ciągłej obserwacji, nie mógł zmienić sposobu rozmowy. -Wspomniałem panu już wczoraj, że przejrzałem zawartość szuflad pięknego biurka w stylu Chippendale. Wśród wielu interesujących dokumentów, o których na pewno jeszcze nieraz pomówimy, znalazłem masę wizytówek. -Wyciąga z kieszeni plik kartoników i jakby od niechcienia rzuca je na biurko w ten sposób, by Wąsowski mógł odczytać nazwiska.

- Tak - odpowiada machinalnie Wąsowski - bywały u mnie piękne nazwiska. —Jego wzrok ślizga się po kartonikach, których przesuwaniem zabawia się oberleutnant Kloss.

- Te wizytówki zawierają tylko niektóre nazwiska, bywało przecież u pana znacznie więcej osób.

- Kiedy pan będzie w moim wieku, także będzie pan znał wiele osób.

- Szczególnie dużo znajomych miał pan wśród oficerów niemieckich, wysokich oficerów - dodał - i to nie tylko Wehrmachtu, ale także SS i policji. Nie wszyscy przecież byli pańskimi dawnymi znajomymi. - Kloss zauważył, że przy słowach „wysokich oficerów” Wąsowski uczynił gest, jakby chciał sprostować. Wzrok Klossa sprawił, że uśmiechnął się tylko.

- Wielu poznałem później, już w czasie wojny, z niektórymi się nawet zaprzyjaźniłem.

- I dlatego uznali pana za znakomitego pośrednika w spisku, który knuli przeciwko naszemu fuehrerowi?

- Zapewne dlatego - szeroko uśmiechnął się Wąsowski.

Właśnie wtedy w drzwiach ukazał się Lohse. Był nieco zasapany.

- No i jak, Hans? Jak twoje znakomite metody? Porozmawiałeś z panem hrabią o medycynie?

- Nie było potrzeby, mój Adolfie. Hrabia Wąsowski zdecydował się właśnie, że powie wszystko.

-Tak, panie hauptsturmfuehrer - potwierdził Wąsowski - powiem wszystko, co wiem. Ale zanim zacznę zeznawać, proszę o kawę.

- Stenograf! - krzyknął Lohse otwierając drzwi do pomieszczenia obok. - Dajcie mi natychmiast

stenografa! Stenografa i filiżankę kawy!

- Dzbanek kawy - poprawił Kloss. - Obawiam się, mój Adolfie, że pan Wąsowski będzie miał nam dużo do powiedzenia.

## 6

Kiedy Kloss przyjmował plan majora Rucińskiego, kiedy sam uczestniczył w przygotowaniu scenariusza, kiedy wreszcie spostrzegłszy, że Wąsowski zrozumiał, o co idzie, podsunął mu listę osób godnych „rozpracowania”, nie przypuszczał, że piekielna maszyna z jego woli puszczona w ruch rozkręci się w tak błyskawicznym tempie.

Na co liczył rozpoczynając tę grę? Przede wszystkim na przedłużenie śledztwa, wplątanie węg osób niewinnych z punktu widzenia interesów wielkich Niemiec, co sprawę zagmatwa, spowoduje szereg interwencji z wysokiego szczebla, utopi istotę rzeczy w stosach wpływających i wychodzących papierów, sprzecznych instrukcji, cichych nacisków. Nie mogąc podjąć żadnej akcji dla uratowania Wąsowskiego, chciał przynajmniej zapewnić mu kilkumiesięczne odroczenie nieuniknionego wyroku, przyzwoite traktowanie do tego momentu, a w najgorszym razie - choć tej myśli nigdy nie sformułował świadomie - zapewnić mu lekką śmierć: ktoś postawiony gdzieś wysoko mógł nie wytrzymać nerwowo i zarządzić dla ukłęcia łba sprawie dyskretną likwidację zbyt gadatliwego więźnia. Mógł mieć nadzieję, że jedną z ubocznych korzyści, uzyskanych w wyniku tej ryzykownej przeciw akcji, będzie dymisja paru oficerów, wprowadzenie między nimi atmosfery zagrożenia i niepewności, co dla morale zmęczonej wojną i dostrzegającej pierwsze oznaki nieuchronnej klęski kadry wyższych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i wysokich oficerów Wehrmachtu nie mogło pozostać bez znaczenia.

Dlatego tak wielką wagę przywiązywali obaj z Rucińskim do sporządzania listy, którą za pomocą triku z wizytówkami Kloss przedstawił Wąsowskiemu. Niemal wszyscy istotnie u niego bywali, ale Kloss świadomie wybrał takich, których działalność predestynowała do wciągnięcia na przyszłą listę zbrodniarzy wojennych... Skojarzywszy to, co sam wiedział, z materiałami różnych odłamów ruchu oporu, które dostarczył mu Ruciński, i z danymi otrzymanymi drogą radiową z centrali, podsunął Wąsowskiemu listę sześciu osób, zagorzałych hitlerowców, godnych, by właśnie oni zrobili początek.

Oto pułkownik von Weiszecker, który w pierwszych dniach września trzydziestego dziewiątego roku wydał rozkaz rozstrzelania trzystu katowickich harcerzy, oto major Stuckhardt, wsławiony bestialstwami w Belgii i Holandii, generał Wierlinger, o którym doniesienie centrali brzmiało krótko: kat Bośni, oto Hans Lipkę, obersturmbahnfuhrer SD, organizator zagłady ludności żydowskiej na Białostocczyźnie, podobnie jak dwaj następni: Gruber i Keller; obaj sturmbahnfuhrerzy SD, dowódcy znanych z okrucieństwa grup specjalnych na zachodnich rubieżach Ukrainy i Białorusi...

Wąsowski nie zawiódł nadziei Klossa. Już podczas pierwszego przesłuchania, popijając małymi łydkami kawę, zeznawał:

- Pana pułkownika von Weiszeckera poznałem w Grazu w sanatorium dla wyższych oficerów. Było to w lutym, nie, przepraszam, na początku marca czterdziestego pierwszego roku. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo szybko i któregoś dnia, mniej więcej po tygodniu znajomości, pan pułkownik zaprosił mnie do swego pokoju. Było już tam kilku oficerów. Rozmawialiśmy o możliwości korzystnego zakończenia wojny. Pan pułkownik był zdania, że usunięcie Hitlera stworzy szansę porozumienia z Anglosasami. Przypominam sobie jego sformułowanie - powiedział: - „Po usunięciu tego durnego gefreitra Anglicy zechcą z nami rozmawiać”. Pytano mnie wówczas, czy mógłbym ewentualnie pośredniczyć w nawiązaniu stosunków z rządem brytyjskim. Planowaliśmy, że w tym celu udam się do Budapesztu, gdzie korzystając z pomocy swych znajomych z kręgów węgierskiej arystokracji, spróbuję wysondować opinię Churchilla...

Kloss pochylony nad biurkiem, gdzie rozłożył stertę maszynopisów, będących zeznaniami Wąsowskiego (każdy arkusz miał u dołu wymyślną, choć czytelną sygnaturę: „Edwin hr. Wąsowski”), potarł czoło, jakby w ten sposób chciał sobie pomóc w zrozumieniu czegoś, czego pojąć niepodobna. Zaledwie dziesięć dni temu stenograf pospiesznie notował zeznania dotyczące pułkownika Weiszeckera, a już w trzy dni potem Kloss wszedłszy przypadkiem do sali przesłuchań, gdzie urzędował Lohse, zobaczył zmasakrowaną, bezzębną twarz człowieka, który bezradnie mrugał powiekami, gdy SS-man wylewał mu na głowę wiadro wody.

- Weiszecker zaczyna śpiewać - powiedział mu wtedy Lohse.

Tak, ten zmasakrowany człowiek to był właśnie pułkownik Weiszecker, którego elegancką sylwetkę Kloss znał z widzenia.

Przewrócił kilkanaście arkuszy i znalazł zeznanie pułkownika, który chlubił się tym, że jest najstarszym hitlerowcem wśród oficerów, brał udział w monachijskim puczu. A teraz istotnie „śpiewał”. Nie tylko przyznawał się do winy, obciążał innych.

Przez chwilę Klossowi zrobiło się jakby żal tego kłęбка pokiereszowanych mięśni, jakim stał się wymuskany jeszcze niedawno pułkownik, ale przypominał sobie o trzystu czternaste- i piętnastoletnich chłopcach z Katowic, o masowych wyrokach sądu wojskowego, któremu von Weiszecker przewodniczył. Skazanych było wielu, ale wyrok zawsze ten sam: śmierć przez powieszenie.

Kloss, który, zdawałoby się, dość się napatrzył i dosyć nauczył, zadrzał. Wszyscy: Stuckhardt, Lipkę, Keller, wciągnięci w tryby maszyny „krwawego Maksa” Dibeliusa, przyznawali się do wszystkiego. Sypali „wspólników”, akta pęczniały od wymienianych przez nich nazwisk osób, które staną się już jutro albo pojutrze przedmiotem „obróbki” specjalistów typu Lohsego. Tylko Gruberowi się upiekło — zginął w przeddzień aresztowania z ręki żołnierza jednej z podziemnych organizacji. Najdziwniejsze, że nawet ta przypadkowa z punktu widzenia ich roboty śmierć odegrała swoją rolę. Dibelius mianowicie uznał, że uczestnicy szeroko rozgałęzionego spisku zdecydowali o śmierci Grubera, by uniemożliwić jego aresztowanie. Gorączkowo poszukiwano zamachowców, żeby znaleźć potwierdzenie tej hipotezy, ale na szczęście wśród wielu przypadkowo zatrzymanych nie znaleziono nikogo, kogo można by powiązać z wykonaniem egzekucji.

Pracowali gorączkowo. Teraz już tylko Kloss zajmował się przesłuchaniem Wąsowskiego, co

prawda nigdy sam na sam, zawsze w obecności stenografa, ale mimo wszystko ułatwiało mu to podsuniecie hrabiemu różnych sugestii. Lohse tymczasem zajmował się „wyciąganiem prawdy” z aresztowanych na podstawie zeznań Wąsowskiego i następnych, których z kolei sypnęli tamci.

Kiedy na drugi czy trzeci dzień w zeznaniach Wąsowskiego padło nazwisko generała Wierlingera, Kloss zląkł się, że przeholował. Co prawda Lohse (wówczas jeszcze przesłuchiwali Wąsowskiego razem) zaczął głośno po-sapywać, ale Klossowi udało się na chwilę spotkać wzrokiem z sierżantem-stenografem. Chłopak, który do tej pory z precyzją i bezmyślnością automatu notował wszystko, nie objawiając żadnej reakcji, teraz był wyraźnie przestraszony. Złamał po kolei trzy ostre ołówki i musiał poprosić o chwilę przerwy, żeby znów być gotowym do pracy. Któż nie słyszał o generale Wierlinge-rze, o którym hitlerowskie gazety pisały per „bohater kampanii bałkańskiej”, któremu sam fuehrer przypinał dębowe liście do krzyża z diamentami? Kloss przestraszył się w tym momencie, że cały misternie opracowany scenariusz akcji rozsypie się, ponieważ ktoś na górze zrozumie, że jest rzeczą mało prawdopodobną, by ten stary pruski generał, militarysta od paru pokoleń, mógł spiskować przeciwko naczelnemu wodzowi, z którego rąk spotykały go tylko łaski. Kiedy raportując Dibeliusowi wyraził swoją opinię, dezawuuując zeznanie Wąsowskiego, a tym samym stawiając pod znakiem zapytania cały swój plan, ponieważ ogarnęła go chwila nie dającego się odsunąć zwątpienia, usłyszał, że nie powinna go o to boleć głowa.

- Im bliżej fuehrera, tym więcej jego wrogów - powiedział sentencjonalnie Dibelius.

W cztery dni potem wszystkie niemieckie gazety, a także szmatławy „Nowy Kurier Warszawski”, przyniosły na pierwszych stronach obwiedzioną czarną ramką fotografię kościstego starca z monoklem wciśniętym w oko. Generał Wierlinger - jak to z głębokim bólem donosił specjalny komunikat OKW - zginął zastrzelony przez rosyjskich bandytów gdzieś pod Smoleńskiem. Machina pracowała na pełnych obrotach.

Kloss zamknął teczkę akt i spojrział na zegarek. Lohse się spóźniał, coś go musiało zatrzymać. A Klossowi zależało na tym, by przy dzisiejszym przesłuchaniu Wąsowskiego hauptsturmfuehrer był jednak obecny. Dowiedział się właśnie, jaką rolę odegrał jego szef w likwidowaniu greckiego ruchu oporu i postanowił zrobić użytek z paru dokumentów znalezionych pod stalową tarczą amerykańskiego krzesła obrotowego w gabinecie pałacyku w Wąsowie.

Drzwi otworzyły się - stanął w nich Lohse. Po chwili, jakby tylko czekano na Lohsego, SS-man wprowadził Wąsowskiego. Drugi, ogromne chłopisko, wniósł dzbanek i filiżankę. Kloss wskazał Wąsowskiemu stałe miejsce - głęboki fotel w rogu pokoju, słuchając równocześnie wyjaśnień Lohsego. Przed chwilą wezwał go Dibelius i zarządził, że Wąsowski ma być przewieziony do aresztu Abwehry.

- Tak? - zdziwił się Kloss. - Nic o tym nie wiem.

- Podobno uzgodniono z Reinerem - mruknął Lohse. Też był zaskoczony decyzją swego szefa; nie był przyzwyczajony, by Dibelius dobrowolnie wypuszczał kogoś z rąk. - Zresztą tylko ty się teraz nim zajmujesz, będziesz miał go pod ręką.

Zapukał stenograf, po chwili siedział już przy swoim stole, ostrząc ołówki w oczekiwaniu na

przesłuchanie.

- Pierwszy raz spotykam się z taką troską o moją wygodę - powiedział Kloss, nie ukrywając zaskoczenia. Nie udawał. Naprawdę nie podobała mu się ta decyzja jego mocodawców. Czyżby przeczuwali? - zastanowił się. Więc dobrze, zdecydował, tym lepiej, pójdziemy zatem na całego. - Mniejsza o to - powiedział głośno. - Jak ci leci? - zwrócił się do Lohsego.

- Lipkę jest twardy. Kiedy oprzytomniał, odwołał poprzednie zeznania. Ale bądź spokojny...

- Jestem spokojny - Kloss spojrzał na Wąsowskiego. Hrabia siedział w swoim fotelu, trzymał w ustach zgasłe cygaro i patrzył w skrawek szarego, zimowego nieba za oknem. Czyżby chciał uciekać? - przestraszył się Kloss.  
- Zapomniał, że jest na czwartym piętrze?

Ale Wąsowski, jakby czując, o czym myśli Kloss, odwrócił wzrok od okna, nalał do filiżanki odrobinę kawy, posmakował.

- Poprzednim razem była lepsza - powiedział. Swoim spokojem jeszcze raz wprowadził Klossa w zdumienie.

- Mówiłeś przez telefon, że chcesz coś wyjaśnić - odezwał się Lohse. - Zaczynamy, jestem cholernie zmęczony.

- Właśnie - odparł Kloss. Wzrokiem dał znak stenografowi i zwrócił się do Wąsowskiego: - Zainteresowała mnie, hrabio, jedna sprzeczność.

- W moich zeznaniach? — zdumiał się Wąsowski. — To dziwne — coś w rodzaju porozumiewawczego uśmiechu zabłysło na jego twarzy - dobrze je przemyślałem.

- Sprzeczność między pańskimi zeznaniami - Kloss opuścił wzrok na papiery - a protokołem rewizji przeprowadzonej w pałacyku w Wąsowie w dniu pańskiego aresztowania. Otóż standartenfuehrer Maks Dibelius i obecny tu hauptsturmfuehrer Adolf Lohse stwierdzają w protokole, że w skrytce w pańskiej łazience znaleźli dolary oraz rolki filmów.

- Potwierdziłem to.

- Wiem - odparł Kloss. - Idzie o sumę. Kiedy zdecydował się pan mówić, zeznał, że było tam dziesięć tysięcy dolarów i filmy.

- Tak - powiedział hrabia - dwie przewiązane banderolami paczki po pięć tysięcy dolarów każda. W banknotach studolarowych.

- Nieprawda - wtrącił Lohse. - W obu paczkach było pięć tysięcy. Musi się pan mylić, Wąsowski.

- Ja nie mogę się mylić. Obie paczki przywiózł w dniu aresztowania człowiek, do którego mogę mieć pełne zaufanie. To nie pierwsza przesyłka, jaką z jego rąk otrzymałem. Dlatego mógłbym mieć

do niego pełne zaufanie, ale dla dopełnienia formalności przeliczyłem jedną z paczek. Zawierała pięćdziesiąt studolarowych banknotów.

- Nie mogę się mylić - powiedział Lohse. - Kiedy zaraz po przyjeździe do Warszawy przeliczyłem obłe paczki, zawierały łącznie pięć tysięcy dolarów. Przedtem -zawahał się - chwilę przedtem były w mojej teczce, którą miałem cały czas przy sobie.

- Zostawmy na razie tę sprawę - powiedział Kloss. Dostrzegł chwilę wahania u Lohsego, ziarno zostało zasiane, trzeba mu dać czas, by zakiełkowało. -Tu mam drugą niejasność, panie Wąsowski. Trzy dni temu zeznał pan, że wiadomość do Wiednia, do szefa sztabu tamtejszego garnizonu przesłał pan we wrześniu za pośrednictwem jednego ze swych przyjaciół. Następnego dnia sprecyzował pan poprzednią wypowiedź mówiąc, że przesyłka zawierała dokładne instrukcje dla grupy spiskowców w Wiedniu w wypadku udania się zamachu na życie naszego fuehrera. Przeoczył pan jeden szczegół.

- Powiedziałem wszystko.

- A jednak nie. Pomiął pan milczeniem nazwisko posłańca. Kiedy podczas rewizji pańskiego gabinetu, siedząc na pańskim znakomitym obrotowym krześle, przeglądałem papiery, wpadło mi w ręce parę kopert z adresami. Czy mam panu pomóc?

- Ten człowiek - zaczął wolno Wąsowski, wpatrując się w twarz Klossa, jakby w niej szukał odpowiedzi - ten człowiek - powtórzył - nie wiedział, co wiezie. -Wyraźnie zwlekał. Prawie niedostrzegalne dla obserwatora z zewnątrz, wydawałoby się machinalne skinienia głową wykonywane przez oberleutnanta Klossa sprawiły, że się zdecydował. Ale to był naprawdę dobry gracz i dobry aktor. Postanowił chwilę podroczyć się z Klosssem.

- Wolałbym - powiedział Wąsowski - pominąć to nazwisko milczeniem.

- Kiedy się powie „a” - warknął Lohse - trzeba powiedzieć...

- A ile jest wart dla ciebie prawdziwy plan, ten, który sfotografowała Ewa Fromm?

- Masz? - zapytała. - Więc to ty? Ile chcesz?

- Dużo - odparł Kloss. -Twoją przyjaźń. - Otworzył klamrę pasa z napisem „Gott mit uns”, wyjął małeńki zwitek owinięty w cieniutką bibułkę.

- Anglia pana tego nigdy nie zapomni - rzekł Konrad, odbierając z nabożeństwem od Hanny malutki rulonik.

- Jesteśmy sojusznikami - Kloss wznosił szklankę z płynem koloru słabej herbaty. - A poza tym żał by mi było, gdyby robota Ewy Fromm poszła na marne. Ta dziewczyna drogo zapłaciła...

O tej małej, niepozornej dziewczynie myślał jeszcze przez chwilę, gdy na leśnej polance czekał na Hannę, z którą Konrad chciał porozmawiać na osobności. Wyszła wreszcie, ale była chmurna i milcząca. Dopiero w drodze powrotnej wzięła go poufałym gestem pod rękę.

- Powiem ci coś, czego me powinnam ci mówić.

- Nie fatyguj się - odparł. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Konrad kazał ci mnie zwerbować. Przy następnej okazji zakomunikujesz mu, że ci się to nie udało i więcej nie będziemy wracali do tego tematu.

- Może to i lepiej — uśmiechnęła się znowu.

- Musimy się zastanowić nad prezentem dla twego szefa - rzekł Kloss. W paru słowach opowiedział jej wszystko, co dotyczyło Gebhardta. Wspólnie opracowali scenariusz: ktoś z nich zmusi Gebhardta do akcji. Gebhardt oczywiście zginie, bo ten tłuścioch z ministerstwa propagandy, mający swobodny dostęp do ministerstwa wojny, spełnia wszystkie warunki, by w oczach Langnera stać się znakomitą namiastką zdemaskowanego szpiega.

Wieczorem tego samego dnia do stolika, przy którym nadradca Gebhardt kończył rozszarpywać piezzonego kurczaka, podszedł oberleutnant Kloss. Bez pytania usiadł przy jego stoliku i nim grubas zdołał ochłonać ze zdumienia, że widzi człowieka, którego zabił był wczoraj, zapytał:

- Czy ma pan chwilę czasu, by porozmawiać ze mną o paru skrzynkach starej porcelany i paru żołnierzach, którzy zginęli przy ich konwojowaniu?

Gebhardt nie miał czasu. Odepchnął stolik i wyciągnął rewolwer. Ale strzał padł, nim zdążył nacisnąć spust. Kapitan Boldt, który siedział przy sąsiednim stole razem z Hanną Bosel, nie bez słuszności uchodził za znakomitego strzelca. A za przeszkodzenie w ucieczce groźnemu szpiegowi, nadradcy Gebhardtowi, otrzymał pochwałę w rozkazie od samego obersta Langnera.

- Dobrze, panie poruczniku - rzekł Wąsowski - ale ostrzegam, że pożałuje pan swego pytania. Posłańcem był pański bezpośredni przełożony.

- Kto? - zerwał się Kloss. Miał nadzieję, że nieźle odegrał zdumienie i przerażenie.

- Tak - potwierdził Wąsowski - oberst Herbert Reiner.

Lohse bez słowa wstał, otworzył drzwi, gestem przywołał SS-mana i kazał mu odprowadzić aresztowanego. Stenograf, jakby przestraszony tym, co zaszło, pospiesznie zbierał swoje papiery.

Dopiero po jego wyjściu Lohse usiadł, a raczej opadł na krzesło naprzeciw Klossa.

- Dla mnie sprawa jest jasna. Zrozumiałem nareszcie, czego on szukał w tym pałacyku myśliwskim nazajutrz po aresztowaniu Wąsowskiego i gratuluję ci, Hans, że zdołałeś mu przeszkodzić w znalezieniu tej rzeczy.

- Nie wierzę - powiedział Kloss - żeby także oberst Reiner był zdrajcą.

- Jesteś bardzo młody, Hans, a ja jestem starym policjantem. Fakty przemawiają za tym. Nie wolno nam ulegać sentymentom.



- Masz rację, ale nie wiem, jak teraz postąpić. Przecież powinienem meldować Reinerowi o każdym nowym elemencie śledztwa.

- Proponuję wyłączyć Reintera ze śledztwa - powiedział Lohse. - Zameldujemy o wszystkim Dibeliusowi, niech on zdecyduje.

- Tak - powiedział Kloss - tylko Dibelius nam pozostał. Tylko że - zawahał się - nie wiem, czy mogę ci o tym powiedzieć. Idzie mi o tę sprzeczność: pięć czy dziesięć tysięcy dolarów. Jestem pewien, że kiedy ty sięgnąłeś do skrytki było w niej pięć tysięcy. A Wąsowski upiera się, że było dziesięć. Nie ma żadnego powodu kłamać. Początkowo myślałem, że to po prostu jakieś przeoczenie, błąd stenografa albo moja nieopatrna sugestia, ponieważ bałem się wypowiedzieć głośno pewne przypuszczenia. Wśród papierów Wąsowskiego znalazłem między innymi te trzy kartki.

- Przez szerokość biurka podsunął je Lohsemu. - Podpis jest identyczny, wydaje mi się skądś znajomy.

- To podpis Dibeliusa, daję głowę - powiedział Lohse.

- Zaczekaj, przecież to są rewersy. Sześć tysięcy marek -przeczytał półgłosem - dwadzieścia tysięcy złotych. To niemożliwe!

-Teraz ty używasz słowa „niemożliwe”. Więc jednak się nie myliłem.

- Rozumiem teraz przemówienie Dibeliusa, jakie wygłosił do mnie, kiedy rozpoczynaliśmy śledztwo, i to, że był tak słodki dla mnie. Po prostu był zadłużony u Wąsowskiego. Słuchaj, Hans, nie rozumiem jednego, przecież on musiał pamiętać o tych rewersach. Dlaczego aresztował Wąsowskiego? Dlaczego nie zastrzelił go po prostu tam, na miejscu? Po co mnie wzywał?

- Wąsowski nie był byle kim. Trudno byłoby to załatwić po cichu. Poza tym me zapominaj, sam mi o tym mówiłeś, że Dibelius był wtedy bardzo pijany. A może nie wypuszczając sprawy z rąk liczył, że odzyska te rewersy? Przecież w willi na Żoliborzu pruto ściany i zrywano podłogi w poszukiwaniu skrytek. Pałacyk w Wą-sowie także został gruntownie przetrząśnięty, tylko na szczęście ja byłem pierwszy. Widzisz, mój Adolfie, bałem się tego i dlatego na wszelki wypadek nie włączyłem tych pokwitowań do akt. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Teraz przekazuję ci je, zrób z nimi, co zechcesz. Zdaję się na twoje doświadczenie. Jeśli zdecydujesz się złożyć raport na mnie za ukrywanie dowodów rzeczowych...

- Bądź spokojny, Hans, raportu nie złożę, ale będę wiedział, co z tym zrobić. Jeszcze dziś zwrócę się wprost do reichsfuehrera.

- Z pominięciem drogi służbowej? - zapytał z przerażeniem Kloss. - A jeśli się mylimy? Jeśli poszlaki wprowadziły nas w błąd? Jeśli podpisy Dibeliusa są sfalszowane? Jeśli wreszcie, bo przecież i taka istnieje możliwość, Wąsowski z nie znanych nam przyczyn po prostu kłamie? Co wtedy?

- Dlaczego miałby kłamać?

- Nie wiem - bezradnym gestem rozłożył ręce. -Jego zeznania obciążąły kilkunastu oficerów.

- Ależ oni się przyznali, wszyscy się przyznali - roześmiał się Lohse — a ty masz jeszcze jakieś wątpliwości.

- Tak - powiedział cicho Kloss - przyznali się.

Przyglądając się tłustej twarzy Lohsego, zastanawiał się właśnie, na którym przesłuchaniu przyznałby się Lohse, gdyby dostał się w łapy takiego specjalisty jak on sam. Kloss gotów byłby dać głowę, że po pierwszym tłusty Lohse powiedziałby wszystko, co wie, a może nawet więcej. Zęby uniknąć trzeciego przesłuchania, zeznałby, że osobiście zamierzał zasztyletować Hitlera.

- Chyba rzeczywiście nie ma innego wyjścia - powiedział głośno.

Zadzwonił telefon. Lohse, który siedział bliżej, podniósł słuchawkę. Z wyrazem bezgranicznego zdumienia odłożył ją na widelki.

- Dzwonił Dibelius. Zażądał, byśmy obaj uczestniczyli w konwojowaniu Wąsowskiego do aresztu Abwehry. Mamy strzec jego bezpieczeństwa. Rozumiesz coś z tego?

- A ty nie? - odparł Kloss. - Radzę ci sprawdzić, czy masz pełen magazynek i nie trzymać broni w kaburze.

## 7

SS-man wyprężył się na widok przepustki okazanej przez oberleutnanta Klossa, drugi otworzył przed nim ciężkie dębowe drzwi. Znalazł się w ogromnym hallu. Wzdłuż kolumnady SS-mani w stalowych hełmach, z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału, znieruchomieli jak posągi.

Sturmbahnführer w czarnym mundurze uważnie przeczytał jeszcze raz jego przepustkę, sprawdził coś na trzymanej w ręku liście.

- Zgadza się, panie oberleutnant - powiedział - proszę oddać broń. Zechce pan przejść do tamtej sali. Inni już czekają. To nie będzie trwało długo.

Kloss podał mu kaburę i poprzedzany przez SS-mana ruszył we wskazanym kierunku. Znalazł się w dużej sali bez okien. Proste kolumny z szarego marmuru wzdłuż ścian, ciemna granitowa podłoga, centralna ściana z jedyną dekoracją: czarnym orłem dzierżącym w szponach swastykę. Wszystko to kojarzyło się raczej z grobowcem niż z salą audiencji. W kącie sali, usadzeni jeden za drugim, jak pacjenci oczekujący w kolejce do dentysty, siedzieli już inni oficerowie, których, podobnie jak Klossa, wezwano tu w celu nadania im odznaczenia. Wszyscy milczeli.

Kloss usiadł obok majora z Luftwaffe z obwiązaną bandażem głową. Miał ochotę zapalić, ale w pobliżu nie dostrzegł żadnej popielniczki, zresztą moment i miejsce nie były najstosowniejsze. Jeszcze raz przebiegł myślą wydarzenia, które doprowadziły go do tej sali, gdzie za kilka minut

któryś z hitlerowskich marszałków przypnie mu do munduru Żelazny Krzyż.

Kiedy zdecydował się wpłacić obersta Reintera w sprawę Wąsowskiego, odczuwał coś na kształt wyrzutów sumienia. Co prawda nie miał żadnych złudzeń co do osoby swego szefa, informacja centrali o jego wyczynach w Grecji była dostatecznym powodem, by nie patyczkować się z eleganckim i dystyngowanym oberstem. Ale już w parę godzin później nie miał żadnych skrupułów. Kiedy dowiedział się, że nikt inny jak właśnie Reiner postanowił zgładzić jego i Lohsego...

Rozgrywka przygotowana była zapewne w pośpiechu, stąd pretekst szyty grubym ścięciem i wykonanie nie-oreczyzynie. Kiedy zajęli miejsca w karetku więziennej, Lohse obok szofera, Kloss z Wąsowskim i dwoma SS-manami w środku, nie spuszczał wzroku z tylnego okienka, przez które widać było maskę jadącego za nimi półciężarowego opła z drużyną żandarmerii. Wiedział, że jeśli opel się gdzieś „zgubi”, będzie to znaczyło, że postanowiono ich zlikwidować. Od początku liczył się z tą możliwością, ponieważ zdawał sobie sprawę, że stojąc zbyt blisko Wąsowskiego, wiedzą zbyt wiele.

Na chwilę odwrócił wzrok od okienka, by zbliżywszy się nieznacznie do Wąsowskiego szepnąć mu po polsku, żeby w razie jakiejś strzelaniny próbował ratować się ucieczką. Kiedy spojrzął w okienko znowu, opła za nimi nie było.

A potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Jakiś wózek z warzywami pchnięty z chodnika wprost pod koła ich samochodu, zygzakowata jazda kierowcy, równocześnie parę serii z broni maszynowej. W tej samej chwili dostrzegł kierowcę padającego na tablicę rozdzielczą i Lohsego zwiniętego nienaturalnie w kłębek na siedzeniu obok. Wybił szybę dzielącą go od kabiny szofera, przedostał się tam w momencie, gdy wybuch granatu wyrwał tylne drzwi więziennej karetki. Impet wybuchu wyrzucił go z szoferki na jezdnię, zobaczył rozkraczanego człowieka w jasnym płaszczu i przekrzywionej cyklistówce, który opierając pistolet maszynowy o biodro, siekł we wnętrzu karetki. Rzucił się za nim, jakaś kula gwizdnęła mu koło ucha, skoczył, gdy tamten odwrócił broń w jego stronę. Zwarli się w uścisku na środku jezdni. Kiedy myślał, że już z nim koniec, poczuł, że tamten słabnie. Pozostali cywile, którzy zaatakowali więzienną furgonetkę, gdzieś zniknęli, spłoszeni strzelaniną przechodnie skryli się w bramach, a na środku jezdni pozostał tylko on i chłopak w białym płaszczu.

- Donnerwetter! Puść! - jęknął tamten po niemiecku.

Wtedy Kloss ścisnął jeszcze mocniej. Dopiero w pięć minut potem nadszedł opel z ich obstawą. Kloss mógł się wreszcie przekonać, że Reinerowi nie wszystko się udało. Co prawda zginął Wąsowski i nic już nigdy nie powie, ale ocalał on, Kloss, i hauptsturmfuehrer Lohse, który został tylko ranny.

W dwie godziny później mógł przynieść Lohsemu do szpitala zeznanie rzekomego partyzanta. To było prawdziwe zeznanie. Jedyne prawdziwe zeznanie w tej sprawie: młody mężczyzna, volksdeutch na usługach policji i Abwehry, otrzymał rozkaz zaatakowania z grupą takich jak on więziennej furgonetki i zastrzelenia trzech osób: Wąsowskiego, Lohsego i Klossa. Rozkaz wydał mu oberst Reiner. Zanim jednak Kloss pojechał do szpitala SS, by pokazać Lohsemu to zeznanie, nie odmówił sobie małej przyjemności. Zadzwonił do adiutanta obersta Reintera i kazał zameldować, że

oberleutnant Kloss za kwadrans przyniesie panu pułkownikowi zeznanie schwytanego partyzanta. Ale nie musiał tam iść. W pięć minut później zatelefonował adiutant. Skrzypiącym ze zdenerwowania głosem oznajmił Klossowi, że oberst Reiner przed chwilą strzałem w usta pozbawił się życia...

Otworzyły się drzwi, te same, którymi Kloss wchodził do sali. Poprzedzony przez dwóch SS-manów wszedł jakiś nie znany Klossowi SS-man z dystynkcjami gruppenfuehrera. Wszyscy oficerowie, jak uczniowie na wejście nauczyciela, zerwali się z miejsc na jego widok. Zatrzymał się przed nimi.

- Panowie - powiedział - spotkało was wielkie szczęście i zaszczyt dostępny tylko nielicznym. Sam nasz fuehrer - Adolf Hitler postanowił wręczyć wam odznaczenia. Proszę za mną.

Ruszyli w stronę wielkich drzwi umieszczonych pod czarnym godłem...

## PODWÓJNY NELSON

### 1

Otworzył okno. Dym wdarł się do przedziału, firanka spuchła jak balon wypełniony powietrzem, a gazety i papierosy sfrunęły ze stolika na podłogę. Nic oczywiście nie zobaczył; nawet konturów domów, tylko wątle światełka latarek, gdy koła pociągu zastukały na rozjazdach. Zatrzasnął natychmiast okno, zły teraz na siebie, że uczynił coś zbytecznego, uległ potrzebie, której ulegać nie powinien, jakby istotnie wierzył, że zobaczy inny krajobraz, bo to już Polska, że w ogóle coś zobaczy oprócz ciemności. Spojrzał na dziewczynę wtuloną w miękkie oparcie. Poprawiła włosy i odłożyła książkę. W skromnej, brązowej sukni wyglądała znacznie lepiej niż w mundurze. Poczuł na sobie jej uważny wzrok i natychmiast pomyślał, że popełnił już drugi błąd w ciągu tych paru godzin, które spędzili razem w przedziale pociągu pospiesznego, idącego z Berlina przez Poznań, Warszawę i dalej, na Lublin i Lwów, przecinając z północy na południe okupowany kraj.

Pierwszy błąd — to było kilka minut po opuszczeniu Berlina. Kloss stał przy oknie i zobaczył nagle pasma reflektorów krzyżujące się na niebie, a potem usłyszał głuchy łoskot lotniczych bomb. Pociąg rwał przez pustą przestrzeń okrążając miasto, którego granice wyznaczały teraz ognie pożarów i światła opadających powoli rakiet. Chłonał to widowisko, a nie zauważył, że ona stoi obok niego bardzo blisko i nie patrzy w szybę, tylko obserwuje jego twarz.

Dostrzegła coś? Czyżby udało się jej to, co nie udało się dotychczas nikomu: zaskoczyć Hansa Klossa w chwili, gdy niedostatecznie panuje nad własną twarzą. A przecież posiadał tę umiejętność niemal w stopniu doskonałym: ukrywał tyle lat nienawiść, wstręt, rozpacz, umiał obojętnie trwać na naradach sztabowych oprawców i nie sięgał po broń, gdy ręka sama wędrowała w stronę kabury. A teraz ta dziewczyna? Nic nie powiedziała, nie powiedziała także nic później, gdy zamykał okno. Oczywiście, gdyby zaczęła cokolwiek podejrzewać, milczałaby także. Powinien, patrząc na nią, na

jej gładko uczesane włosy, wąskie usta, powtarzać sobie nieustannie: to Hanna Bösel - niebezpieczny przeciwnik. Nie ładna dziewczyna, z którą przyjemnie podróżować w pustym przedziale, ale oficer niemieckiego wywiadu. Nie kobieta, która podoba mu się od chwili, gdy ją zobaczył w sztabie berlińskiej Abwehry, ale wróg, szczwany i doświadczony agent, może jeden z najniebezpieczniejszych przeciwników, z jakimi on, Kloss, miał do tej pory do czynienia. Paliła papierosa.

- Duszno ci było, Hans? - zapytała. - Jeśli chcesz, możesz nieco uchylić okno.

-Nie, dziękuję... Posłuchaj, Hanno...

- Znowu! – przerwała niecierpliwie. - Zapominasz, że jestem Ewą, nie Hanną.

Wchodzi w rolę, pomyślał. I przypomniał sobie natychmiast tamtą, prawdziwą Ewę, zakatowaną w berlińskim gestapo. Jakże choćby przez chwilę mógł traktować major Hannę Bösel jako kobietę? A tamtej Ewy przecież prawie nie znał; widywał ją tylko niekiedy na korytarzu ministerstwa wojny w Berlinie i nie przypuszczał... To znaczy, domyślił się za późno, dopiero wówczas, gdy zobaczył ją późnym wieczorem pod portretem Fryderyka Wielkiego, wiszącym na korytarzu niedaleko drzwi prowadzących do intendencji, gdzie królował pułkownik Luft. Ewa, Ewa Fromm, pracowała u Lufta. Była sekretarka, sprawdzoną przez SD i dopuszczoną do spraw tajnych. Młodsza nieco od Hanny, należała do dziewcząt, na które nie zwraca się uwagi. Drobną, szarą, nijaką, siedziała godzinami pochylona nad maszyną, nie podnosząc oczu także wówczas, gdy ktoś wchodził do pokoju. Dlatego nie zapamiętał nawet dobrze jej twarzy.

Dopiero tamtego wieczoru... Pracował do późna nad jakimiś wykazami, miał zresztą dosyć tej roboty, bo dostęp do ważnych informacji okazał się w centrali Abwehry mniejszy, niż przypuszczał, więc rozważał możliwość uzyskania innego przydziału... Uporządkował starannie papiery i uchylił drzwi na korytarz. Wówczas zobaczył Ewę. Stała pod portretem Fryderyka... Gdy po paru minutach zbiegał na dół, zobaczył ją znowu. Dwóch drabów, których funkcje umiał rozpoznawać bezbłędnie, trzymało ją pod rękę. Była blada, gdy otwierali przed nią drzwiczki samochodu. Nieco dalej stało drugie auto. Przy kierownicy siedziała kobieta w mundurze. Nie wiedział wówczas, że nazywa się Hanna Bösel.

O dalszych losach Ewy dowiedział się po paru dniach. Wezwany do pułkownika Langnera, jednego z zastępców Canarisa, zastał w jego gabinecie właśnie Hannę Bösel i kapitana Boldta, którego znał zresztą dobrze, bo pracowali razem w wydziale „Wschód” Abwehry.

— To właśnie jest porucznik Kloss, majorze — powiedział Langner, zwracając się do Hanny. —Jeden z naszych zdolniejszych oficerów. Dlatego przydzielam go do dyspozycji pani na czas tej trudnej akcji.

Kloss milczał. Wiedział już, że pruscy oficerowie, a Langner był Prusakiem, nie lubią, gdy podwładni zadają im pytania. Podwładny ma milczeć i słuchać, od czasu do czasu przypominając o swym istnieniu krótkim, brzmiącym jak warknięcie: „Tak jest.”

- Pracował pan w Polsce, pojedzie pan do Polski -zaczął Langner. Zwięźle, ale dokładnie

wyjaśniał zadanie. - Otóż przed paroma dniami aresztowano obserwowaną od dłuższego czasu Ewę Fromm. —Na twarzy Langnera pojawił się wyraz niesmaku i pogardy. -To Niemka i do tego córka oficera - rzucił. - Ustalono, że Fromm pracowała dla obcego wywiadu. Od paru miesięcy. Przepisując tajne dokumenty, robiła o jedną kopię więcej i zostawiała ją w skrytce mieszczącej się, co za bezczelność, za portretem Fryderyka Wielkiego na korytarzu ministerstwa wojny. Niestety, przesłuchania nie dały zadowalających rezultatów. Ewa Fromm nie powiedziała ani dla kogo pracuje, ani też kto opróżniał skrytkę. - Nie powiedziała - powtórzył generał, a Kloss pomyślał o tej dziewczynie, która musiała przejść przez wszystkie kręgi piekieł... - Twierdziła, że nie wie. Że spotkała jakiegoś mężczyznę, który dał jej instrukcje i pieniądze. Potem nie widziała go już nigdy. Od czasu do czasu w skrytce za portretem znajdowała polecenia dla siebie. To kłamstwo oczywiście - rzucił oberst - ale niestety, Ewa Fromm już nic więcej nie powie. Przesłuchujący był niezbyt sprawny — znowu na twarzy Langnera pojawił się wyraz niesmaku. - Rozumiecie chyba, co to znaczy - ciągnął. -Tylko ktoś pracujący w ministerstwie, a w każdym razie ktoś, kto miał dostęp do naszych biur, mógł opróżniać skrytkę.

Kloss zapytał o pozwolenie i zapalił papierosa. Było to jedyne pytanie, jakie zadał.

- Otóż w dniu aresztowania Ewa Fromm została sama w gabinecie pułkownika Lufta. Jakieś dodatkowe przepisywanie. Jej zwierzchnik był tak nieostrożny, powiedzmy sobie zresztą szczerze - dodał generał - że nie miał powodów, by nie ufać sekretarce, i nie zabezpieczył kasy pancерnej. Ewa Fromm miała dosyć czasu, by wykonać mikrofilmy naszych umocnień na wale zachodnim.

W gabinecie zapanowała cisza. Boldt spoglądał obojętnie w przestrzeń, Hanna Bösel przyglądała się Klossowi, a czyniła to tak ostentacyjnie, że porucznik poczuł się niezręcznie.

- Ten mikrofilm - pułkownik podniósł głos - znajduje się według wszelkiego prawdopodobieństwa w posiadaniu obcego wywiadu, bo chociaż nasi ludzie natychmiast po aresztowaniu Fromm spenetrowali skrytkę, planów tam już nie było.

Znowu cisza. Kloss przymknął oczy i zobaczył Ewę stojącą przed portretem Fryderyka. Któż mógł przypuszczać, że w tej nijakiej, szarej dziewczynie było tyle siły. Któż lepiej od niego rozumiał, co to znaczy nie załamać się w gestapo. Nie wiedział oczywiście, czy Ewa pracowała dla Amerykanów, czy dla Anglików, myślał wówczas o niej jak o żołnierzu, który padł w walce.

- Właśnie w związku z tą sprawą - ciągnął Langner - major Bösel i porucznik Kloss pojedą do Polski. Jest w GG taka miejscowość - Lisko-Zdrój, mieści się tam dom wypoczynkowy dla oficerów. Otóż sądzimy, a nawet wiemy na pewno, że w najbliższym czasie w Lisku zjawi się agent aliancki, pułkownik Konrad, i że celem jego podróży jest spotkanie z berlińskim eksponentem ich wywiadu, który miał dostarczyć mikrofilmy planów wału zachodniego.

Skąd wiecie? - chciał zapytać Kloss, ale milczał. Rozumiał już, że oto ma do czynienia z jedną z tych ważnych gier podziemnych, które decydują często o wyniku bitew.

- Mamy dokładne informacje - powtórzył Langner. -W Lisku od piętnastu lat pracuje nasz agent. Znakomicie zasymilowany. Jest członkiem polskiej siatki podziemnej. Nazywa się Plusz, proszę zapamiętać to nazwisko, Kloss: Plusz.

-Tak jest - odezwał się wreszcie Kloss. I potem dodał: - Rozumiem, mamy zdjąć Konrada i jego siatkę. - Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie po to tam jada, ale wiedział także, że Prusacy lubią, gdy ich oficerowie nie okazują się zbyt domyślni.

- Pan nie pracuje w gestapo - rzucił wzgardliwie Lan-gner. - Major Hanna Bösel odegra rolę Ewy Fromm, nawiasem mówiąc, ta Fromm miała pojutrze wyjechać do Liska, i wręczy Konradowi plany wału zachodniego. Ten mikrofilm - rzucił na stół paczuszkę. - Pan, Kloss, będzie oficerem ubezpieczającym. Skontaktuje się pan z naszym agentem i dopilnuje, by Konrad wrócił spokojnie do Londynu z tą zdobyczą. - Wybuchnął śmiechem. - Będą mieli nareszcie nasze plany! Oczywiście mikrofilm ma na celu dezinformację przeciwnika -dodał, wyjątkowo widać nisko ceniąc domyślność swoich oficerów.

Akcja była więc pomyślana zreżymie - Kloss musiał to przyznać, a gdy zapadło znowu milczenie, zaryzykował jednak pytanie:

- A jeśli zjawi się ich prawdziwy łącznik? Jeśli uprzedzi o aresztowaniu Ewy Fromm...

- Na tym właśnie polega sztuka — odparł generał. — Trzeba go zdjąć, zanim dotrze do Konrada. Trzeba odebrać mu prawdziwe plany. Od tego zależy powodzenie naszej akcji i bezpieczeństwo majora.

Była naprawdę ładna ta Hanna Bösel, która w polskiej konspiracji miała odegrać tę samą rolę, jaką Kloss grał w Abwehrze, a on musiał jej przeszkodzić i zrobić to tak, by nie padł na niego nawet cień podejrzenia...

- Zamyśliłeś się, Hans - usłyszał jej głos - a miałeś mi coś do powiedzenia.

Pociąg hamował przed stacją, koła znowu zaturkotały głośno na rozjazdach.

-Podróż przez GG - stwierdził - nie należy ostatnio do najbezpieczniejszych. - Było to pierwsze zdanie, jakie przyszło mu na myśl.

- Czyżbyś się bał?

Nie odpowiedział; Hanna Bösel snuła zresztą swój własny wątek, wygłaszała zdanka, które - tak przynajmniej sądził - miały do czegoś prowokować, były zbyt natarczywe, na pokaz, a jednocześnie brzmiały w nich jakiś fałsz. Czyżby go podejrzewała? Czy może podejrzewano go już w Berlinie? Zawsze zadawał sobie to pytanie i usiłował znaleźć odpowiedź możliwie beznamietną, opartą wyłącznie na analizie faktów, wiedział bowiem, że w grze, którą prowadził, nie ma nic niebezpieczniejszego ponad uleganie panice; człowiek zaczyna wówczas robić głupstwa i najczęściej wpada...

- To pasjonująca gra - usłyszał. - Wiesz, co pasjonuje mnie najbardziej? Ze przynoszę więcej pożytku niż wielu mężczyzn na froncie, a jednocześnie życie mam wypełnione, ryzykuję i nie czuję lęku, gdy podwajam stawkę. Opłaca się żyć!

Prowincjonalna Mata Hari - pomyślał z pogardą, dobrze bowiem wiedział, jaką cenę płaci się

za tę grę, i codziennie przeklinał mundur, który musiał nosić, i swoją robotę w tej wojnie, marząc o karabinie i okopie, o prostej żołnierskiej czynności, gdy chodzi tylko o to, by wroga zabić i zniszczyć.

- Lubisz współzawodnictwo z mężczyznami? - powiedział, żeby coś powiedzieć.

- To także. Chętnie bym na przykład zagrała z tobą.

- Ale my gramy po jednej stronie - odrzekł natychmiast czując, jak rośnie w nim napięcie. — Dawno pracujesz w wywiadzie ?

- Takich pytań zadawać nie należy, ale mogę ci powiedzieć. Od trzydziestego ósmego - roześmiała się. - Zapewne dłużej niż ty. W trzydziestym ósmym przyjechałam do Rzeszy. Jestem Niemką z Argentyny, stąd moja znajomość języków...

- Przydaje ci się?

- Oczywiście. Mam wyjątkowe zdolności do języków, mój drogi. Znam nawet polski.

Pomyślał, że bez znajomości polskiego trudno byłoby jej wykonać zadanie powierzone przez Langnera. I pomyślał także, że jego zadanie jest jednak znacznie trudniejsze. W skomplikowanej płataninie okopów wojny podziemnej musi znaleźć ścieżkę prowadzącą do Konrada, i to ścieżkę omijającą niemieckiego agenta Plusza, a zrobić to dostatecznie szybko, by zdążyć obrócić wni-wecz plany Abwehry.

Pociąg zwolnił. Kloss znowu odsunął firankę i ujrzał kontury kamienic i ruiny, widoczne teraz dobrze w świetle księżyca. Oparł czoło o szybę, by nie mogła zobaczyć jego twarzy. Nie był jednak pewien, czy nie zdradzi go skurcz warg, wyraz oczu...

- Co to? - zapytała Hanna Bösel.

- Warszawa - odpowiedział.

- Ach tak! Była stolica byłej Polski. Miasto, które pozostanie na zawsze prowincją. Czy sądzisz, że długo tu postoiemy?

- Mam nadzieję, że krótko - rzekł, tym razem najzupełniej szczerze.

## 2

W Warszawie musiał zaryzykować, chociaż myśląc o tym później, gdy dojeżdżali już do Liska, osądził, że spotkanie na dworcu należało zorganizować jednak inaczej... Zresztą po paru minutach popełnił trzeci błąd: nie docenił czujności i sprytu „prowincjonalnej Maty Hari”.



Maciej miał czekać na peronie. Wysłał z Berlina kartkę, której tekst był umownym szyfrem, zawierającym datę i godzinę przyjazdu pociągu. Musiał więc wyjść z wagonu; peron był niestety pusty. Rozpoznał natychmiast Macieja, chociaż ten specjalista od maskowania objawił się teraz w postaci starszego pana w czarnym płaszczu i takimż kapeluszu. Kloss włożył do ust nie zapalonego papierosa i po chwili Maciej bardzo usłużnie, nawet zbyt usłużnie, podawał mu zapałkę. Mieli dla siebie dosłownie parę sekund.

-Jadę do Liska - zdążył powiedzieć Kloss. - Czekam pojutrze. Chodzi o kontakt z Konradem. Nie wiem, kto to jest...

Maciej skinął głową i niespiesznie ruszył wzdłuż pociągu. Kloss wrócił do wagonu, ustępując miejsca w przejściu barczystemu jegomościowi w tyrolskim kapeluszu. Jegomość obładowany był walizkami, pot spływał mu po twarzy, a jędrne niemieckie przekleństwa natychmiast przywodziły na myśl pruskie koszary.

- Ani jednego tragarza w tej Warszawie - pieklił się ładując bagaż na pomost. Kloss pomógł mu wciągnąć potężną skórzaną torbę i w ten sposób zawarł znajomość z nadradcą Gebhardtem, który, jak się okazało później, także jechał do Liska.

Pociąg ruszył. Kloss został na pomoście i mógł zobaczyć jeszcze, gdy wyjeżdżali z tunelu, skrawek alei Trzeciego Maja; a potem z mostu spojrzeć na Wisłę i Pragę.

- Pasjonuje cię jednak ta Warszawa? - usłyszał za sobą. Odwrócił się gwałtownie: Hanna Bösel zaskoczyła go po raz trzeci.

- Spędziłem tu parę miesięcy — rzucił.

- Polacy to, jak widać, grzeczny naród - ciągnęła tymczasem dalej Hanna - wystarczy zeskoczyć na peron, aby zjawił się natychmiast ktoś, kto poda ogień niemieckiemu oficerowi.

- Zapewne także Niemiec - powiedział obojętnie. - Jesteś niezwykle spostrzegawcza.

-Jestem... - rzekła poważnie: - A teraz słuchaj: w Lisku nie znamy się. Oboje przyjeżdżamy do domu wypoczynkowego. Pamiętaj, że tam w każdej chwili może się zjawić ich prawdziwy łącznik z Berlina. I żeby nie było wątpliwości: ja kieruję całością akcji.

Kloss odpowiedział, że nie ma żadnych ambicji dowódczych, przynajmniej jeśli chodzi o Lisko. Mówiła coś jeszcze, ale nie słuchał. Stali przy drzwiach. Wystarczyło przesunąć klamkę na „otwarte”, a potem... Gdyby ją zlikwidował teraz, czy uwierzą, że to wypadek? Może uwierzą... Ogromne ryzyko, ale przynajmniej pewność, że jeszcze jedna prowokacja Abwehry spali na panewce... Należało natychmiast podjąć decyzję. Podjął decyzję. Przesunął klamkę na „otwarte”, był pewien, że nie mogła dostrzec tego drobnego ruchu dłoni...

- Musimy być czujni, Hans - mówiła - bo każda pomyłka może nas bardzo drogo kosztować... - Odsunęła się od drzwi, a potem gestem równie szybkim przesunęła klamkę na „zamknięte”.

Intuicja? Przeczucie? A może jednak spostrzegła? Nie przestawał o tym myśleć, gdy wrócili do

przedziału. Rozlokował się tu już w najlepsze nadradca Gebhardt, jegomość z walizkami. Dokonał prezentacji krzykliwie, informując natychmiast, że kolejarze w Berlinie wprowadzili go w błąd: dlatego musi podróżować do tego przekłętego Liska z przesiadką w Warszawie. Czy zresztą w ogóle należy spędzać urlop w GG? Dziwi się już sam sobie, że on, mając możliwości, jako wysoki urzędnik ministerstwa propagandy, wyjazdu w góry Harzu, albo nawet, kto wie, na francuskie wybrzeże, pojechał jednak do Liska. Wspomnienia wojenne? Bo muszą wiedzieć, że brał udział w blitzkriegu trzydziestego dziewiątego roku i część kampanii odbył niedaleko Liska. Te najmocniejsze męskie przeżycia są naprawdę niezapomniane...

Zasypywał ich lawiną słów, Kloss był nawet rad, że może milczeć, ograniczając się od czasu do czasu do uprzejmych półodpowiedzi na pytania pana Gebhardta. Bo pan Gebhardt był także ciekawy; oświadczył na przykład, że widział Klossa na Friedrichstrasse, uzyskał potwierdzenie i natychmiast oznajmił, że on sam był

częstym gościem w ministerstwie wojny. To zainteresowało wyraźnie Hannę Bösel, spojrzała uważniej na nad-radcę, a potem zechciała nawet roześmiać się z jakiegoś żartu, może nieco ryzykownego, ale przecież sami swoi... Przesiadła się trochę bliżej Gebhardta, a Klossa zaczęła traktować obojętnie i jakby z góry, zwracając się do niego per „panie poruczniku”.

Jechali więc w najlepszej komitywie. Gebhardt wygrzebał z walizki butelkę francuskiego koniaku i metalowe kubki, sączyli powoli słuchając pana nadradcy, który zdążył opowiedzieć o sobie wszystko albo niemal wszystko, oraz oznajmić, że na dworcu w Lisku czekać będzie na niego samochód miejscowego amsleitiera.

- To mój dobry przyjaciel - informował Gebhardt -a przyzwoity Niemiec ma teraz przyjaciół w każdym okupowanym kraju. - Roześmiał się hałaśliwie. - Pojedziecie razem ze mną i zobaczycie, jaki ze mnie kierowca. To moja pasja.

Samochód istotnie czekał. Był wczesny ranek bardzo pogodnego dnia. Jechali z dworca szeroką szosą wysadzaną drzewami, potem, bardzo nagle, pojawiło się miasteczko schowane w kotlinie i łagodne wzgórza pokryte lasem. Na polach stały świeże snopy, a ścierniska ciągnące się aż do stoków wzgórz przypominały o nadchodzącej jesieni. Dom wypoczynkowy, sanatorium, mieścił się za miasteczkiem, trzeba było przejechać krętymi uliczkami wśród parterowych drewnianych domków, osiadających już w ziemi i bezwstydnie prezentujących nędzę oraz starość.

Gebhardt dodał gazu, wyskoczyli na pustą przestrzeń, po paru chwilach dostrzegli okazały piętrowy gmach, pięknie położony u stoku wzgórza w gęstym parku.

- To właśnie tu - powiedział Gebhardt - tu będziemy odpoczywać. - I nacisnął klakson.

Najmniej przypominało to oczywiście odpoczynek. Przypuszczał, że Hanna Bösel podzieli się z nim posiadanymi informacjami, że będzie traktowany jako pełnoprawny partner w tej grze. Już

pierwsze godziny pobytu w domu wypoczynkowym dowiodły jednak, że wyznaczono mu funkcje znacznie skromniejsze: wykonywanie konkretnych poleceń bez wprowadzania w całość akcji. Miał więc nawiązać kontakt z agentem Abwehry Pluszem, ale nie wiedział, w jaki sposób Hanna zamierza trafić do Konrada i do oddziału AK, który przyjmował zrzutka z Londynu. On musiał czekać na Macieja, bez Macieja nie miał żadnej możliwości przeciwdziałania akcji Abwehry. A przecież czasu było ogromnie mało: dzień, może dwa...

Kloss nie należał do ludzi skłonnych do rezygnacji. Wykorzystywał każdą szansę, a jeśli szansy nie było - sam ją stwarzał. Jeśli Hanna mu nie powie, będzie śledził każdy jej krok. Myślał o tym idąc korytarzem domu wypoczynkowego, schludnym i czystym, o ścianach obwieszonych obrazkami, przedstawiającymi niemieckie zwycięstwa na wszystkich frontach. Nie mógł już patrzeć na te kicze. .. Stał przed drzwiami pokoju panny Bösel, rozważając raz jeszcze, jaka postawa będzie najwłaściwsza, jaką gębę powinien sobie tym razem przyprawić...

Siedziała przed lustrem i czesała włosy. Nie spojrzała nawet na wchodzącego Klossa.

- Miło, że przyszedłeś - w jej głosie usłyszał drwinę i ten ton, ton nader rzadki u Niemców, z którymi miał do czynienia dotąd, niepokoił go coraz bardziej. - Zapewne chciałeś troskliwie zobaczyć, jak się urządziłam. Wolałabym jednak, abyś nie afiszował zbytnio naszej znajomości.

- Przykro mi - rzekł - twój stosunek do mnie sprawia mi przykrość. Rozumiem, że chcesz mnie widywać jak najrzadziej...

Spojrzała na niego łagodniej. Widocznie ten ton był właściwy.

- Muszę cię widywać tyle, ile powinnam.

- Wolałbym częściej.

- Cóż to? - major Hanna Bösel patrzyła na niego bez uśmiechu. - Oświadczyń?

Milczał.

- No dobrze już, dobrze... Zachowujesz się jak dzieciak, który nie dostał na kino. Mówiłam ci już, że jesteś przystojny chłopak, ale ja przypominam sobie, że jestem kobietą na ogół tylko wówczas, gdy tego wymaga służba.

-Wolałbym, żebyś to robiła także... poza służbą.

- A ty? - zapytała nagle. - Nie jesteś żonaty?

- Nie.

- Masz narzeczoną?

-Nie.

- Dziwne. Znam niewielu oficerów w twoim wieku nie mających dziewcząt w ojczyźnie.

Wolał jednak zmienić temat.

- Kiedy tam pójdziesz? - zapytał. Nie wiedział oczywiście „dokąd”, ale musiała mieć przecież jakiś kontakt, jakiś adres, który umożliwi jej dotarcie do Konrada.

- Kiedy tam pójde? - powtórzyła. I roześmiała się. - Oczywiście jak najszybciej, mój drogi. Mamy bardzo niewiele czasu, bo ten trzeci, ten ktoś, dla kogo pracowała Ewa Fromm, może zjawić się w każdej chwili.

- Mógł przyjechać razem z nami.

- Biorę to pod uwagę - odpowiedziała chłodno. - Jeśli przyjechał, zna to samo hasło co ja i wie, że prawdziwa Ewa Fromm została aresztowana...

Więc znasz jakieś hasło - pomyślał Kloss - i masz kontakt. Zapewne te informacje pochodzą także od Plusza.

- Nawiąż jak najszybciej kontakt z Pluszem - poleciła.

- Wolałbym cię ubezpieczać - powiedział Kloss. - Możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Roześmiała się.

- Nie trzeba. Daję sobie na ogół znakomicie radę sama. A teraz pozwól mi się ubrać.

Nic więc nie uzyskał. Pozostawało tylko śledzenie Hanny i oczekiwanie na Macieja. Zakładał, że panna Bösel postara się nawiązać kontakt z ludźmi Konrada w ciągu najbliższych godzin. Miał szczęście, bo z okna swojego pokoju widział wejście do domu wypoczynkowego, był to więc znakomity punkt obserwacyjny, którego nie wolno mu było opuścić nawet na minutę. Ruch był duży, oficerowie w mundurach, oficerowie po cywilnemu, sporo kalek, bezrękich i beznogich, jak tutaj mówiono: „bohaterów niemieckiego zwycięstwa”. Zobaczył okazałą figurę radcy Gebhardta, który utknął przed wyjściem, zawierał nowe znajomości i co chwila wybuchał tubalnym śmiechem. Po raz pierwszy pomyślał o Gebhardcie z zawodowym zainteresowaniem, chociaż wydawało się mało prawdopodobne, by polski lub angielski wywiad mogły zwerbować kogoś takiego. Maski? Widział już tylu ludzi noszących maski... I znowu pomyślał o Hannie; nie ufała mu, co do tego nie miał wątpliwości. Chciałby tylko wiedzieć, czy nie ufała, bo takie było polecenie Berlina, czy też sama zaczęła podejrzewać?

Mrok już zapadał. Kloss cofnął się nieco w głąb pokoju i zapalił papierosa. Może jednak panna Bösel nie spieszy się tak bardzo, jak sądził? I wtedy ją zobaczył. Zbiegła po schodkach i szybkim krokiem szła w kierunku bramy parku. Coś go zaskoczyło w jej stroju i wyglądzie. Gdy znalazł się na dole i ruszył za nią ciemną alejką prowadzącą do miasteczka, wiedział już, dlaczego Hanna wydała mu się zmieniona; wyglądała po prostu tak, jak tysiące polskich dziewcząt. Nie ulegało więc wątpliwości, że szła „do pracy” starannie ucharakteryzowana, w dobrze przylegającej masce. Należało iść za nią tak, by tego nie spostrzegła, a było to zadanie niełatwe, bo przecież miał do czynienia z doświadczonym agentem... Liczył tylko na to, że Hanna nie spodziewa się i nie może się

spodziewać, by ktokolwiek ją śledził...

Ulice miasteczka były oczywiście nie oświetlone. Wąskie i czarne przypominały korytarze z fantastycznego filmu. Pięty się pod górę, spadały krętymi przejściami w dół, kończyły się nagle na zagraconych podwórzach. Zorientował się, że Hanna kluczy, że jednak zachowuje ostrożność i jeszcze raz doszedł do wniosku, że ma do czynienia z wyjątkowo szczwanym przeciwnikiem. Wreszcie przystanęła, rozejrzała się uważnie. Kloss miał ledwo tyle czasu, by odskoczyć w cień parterowego domku, gdy zniknęła w mroku jakiegoś podwórza. Począł chwilę i podszedł bliżej... Cofnięta nieco od ulicy drewniana rudera. Hanna zastukała i zobaczył ją po chwili, gdy otwarto drzwi, w świetle padającym z wnętrza domu.

- Dobry wieczór - usłyszał. Mówiła świetną polszczyzną bez akcentu. - Przychodzę od Józefa.

Była to zapewne pierwsza część hasła i wszystko czego się dowiedział, bo drzwi natychmiast zamknięto i zaryglowano. W zasłoniętym oknie zobaczył tylko dwa cienie — panny Bösel i pochylony, zgarbiony — zapewne jakiejś starszej kobiety. Opanowała go bezsilna wściekłość. Cóż z tego, że zna adres kontaktowy? Panna Bösel rozpoczęła już swą grę, przeniknęła do polskiej organizacji podziemnej, nawiąże łączność z wysłannikiem z Londynu, a on, Kloss, nie ma żadnej szansy, by jej w tym przeszkodzić. Nie pójdzie przecież do ludzi, których nie zna i nie powie: „Strzeżcie się, to niemiecka agentka”. Nie zaryzykuje zdemaskowania, bo tego mu nie wolno ryzykować, bo ma jeszcze przed sobą szmat roboty, zanim wojna się skończy.

W uliczce zaterkotał wóz z ogromną beczką; stara część Liska nie miała wodociągu, jego rolę spełniał woziwoda. Kloss słyszał ściszone głosy zza ścian, miasteczko jednak żyło, w ciemnych podwórzach, w domach o zasłoniętych szczelnie oknach byli ludzie z niepokojem słuchający odgłosów z ulicy. Nadchodził patrol i wszystko nagle ucichło, potem rozległ się gardłowy niemiecki krzyk. Oczekiwanie na pannę Bösel nie miało już sensu. Kloss ustalił wszystko, co mógł ustalić; zapalił papierosa i spojrzął na zegarek. Powinien zdążyć jeszcze poznać tego Plusza, „naszego agenta od piętnastu lat”, jak mówił Langner.

Plusz pracował w jedynej dużej knajpie Liska, „Zdrojowej”. Kloss trafił tam bez trudu, sala restauracyjna była obszerna i pustawa, kelnerzy kręcili się ospale między stolikami. Jeden z nich... Siadł przy stoliku, wyjął z kieszeni fotografię Plusza, którą wręczył mu w Berlinie Langner, i jeszcze raz przyjrzał się tej twarzy. Łysawy mężczyzna, zapewne już po czterdziestce, grube wargi, okulary... Zobaczył go po chwili i rozkazująco skinął głową. Podszedł natychmiast.

- Słucham, panie poruczniku. - Jego niemczyzna była niemal bezbłędna.

Kloss bawił się papierośnicą.

- Pan się nazywa Plusz, prawda?

Tamten potwierdził i niespokojnie spojrzął na sąsiedni stół, przy którym siadło właśnie dwóch niemieckich oficerów. Rozprawiali krzykliwie o sytuacji na froncie wschodnim.

- Jestem od Kurta z Berlina - powtarzał Kloss hasło przekazane mu przez Langnera.

- Tu nie możemy rozmawiać - szeptał Plusz. - Zaraz podam kawę. A może coś mocniejszego?

- Może być kieliszek koniaku.

- Koniak mamy także francuski, panie poruczniku. Przyjechał już Konrad. Boję się, że zaczynają mnie podejrzewać. Mamy dobre befsztyki, jeśli chce pan poświęcić kartki... Jutro o ósmej na starej przystani. Wie pan, gdzie to jest?

- Znajdę - odpowiedział Kloss.

#### 4

Do starej przystani szło się ścieżką przez łąki, wzdłuż wąskiej, krętej rzeczulki, która płynęła z gór i wiosną stawała się rwącym, groźnym potokiem. Kloss wyszedł wcześniej z miasteczka i miał teraz sporo czasu, by spenetrować dokładnie miejsce spotkania, obejrzeć podłużny drewniany barak, gdzie przechowywano kajaki, zajrzeć przez wąskie okienka do szatni, a potem usiąść na zmurszałej ławeczce, ukrytej pod drzewem, skąd można było widzieć dokładnie dróżkę wiodącą z miasteczka. Postanowił wycisnąć z Plusza możliwie jak najwięcej, także hasło i kontakt, którymi posługiwała się Hanna Bösel. Plusza trzeba będzie później zlikwidować, myślał o tym obojętnie i chłodno, zresztą zajmą się tym ludzie Konrada. Jeśli do nich dotrze... Bo sytuacja stawała się coraz trudniejsza, a ubiegły dzień nie przyniósł nic, co ułatwiłoby zadanie...

Zaraz po śniadaniu poszedł na dworzec, o ile można tak nazwać drewniany barak postawiony na gruzach spalonego budynku. Maciej był, jak zwykle, punktualny, stał pod rozkładem jazdy, w tym samym, co w Warszawie, kostiumie starszego pana... Kloss pomyślał, że to jednak nieostrożność, że należało przybrać inną postać, ale nic nie powiedział, zresztą nie mieli czasu na rozważania teoretyczne. Maciej oznajmił, że sprawa okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Do Konrada można dotrzeć tylko za pośrednictwem centrali, musi potrwać dwa - trzy dni, zanim uzyskają hasło i kontakt. Kloss odpowiedział z goryczą, że Bösel zdołała już rozszyfrować Konrada i jego ludzi w miasteczku, a oni muszą czekać...

Maciej oczywiście wysłuchał tego bez słowa, a potem oświadczył, że przyjedzie za dwa dni.

- Tylko ubierz się inaczej - rzucił ze złością Kloss. - Aha... I postaraj się dowiedzieć wszystkiego, co można, o niejakiu radcy Gebhardcie z Berlina. Podobno był tu kiedyś...

Nie spojrzął nawet na Macieja i ruszył ku wyjściu. Gdy otwierał drzwi, w oknie wychodzącym na peron zobaczył twarz Hanny Bösel. Zniknęła natychmiast. Wtedy poczuł niepokój, który tym razem był w pełni uzasadniony. Hanna Bösel go śledziła. Na peronie w Warszawie było co prawda dość ciemno, ale charakterystyczną postać starszego pana mogła zapamiętać. A teraz zobaczyła go znowu tutaj... Gra stawała się niebezpieczna i Kloss poczuł, że wzrasta w nim napięcie.

W domu wypoczynkowym, nie zaglądając nawet do siebie, zastukał do pokoju Hanny. Była już, wróciła wcześniej. Wskazała mu krzesło, sama usiadła na poręczu fotela. Wyglądała bardzo ładnie,

ale Kloss dostrzegł w niej już tylko niebezpiecznego przeciwnika, którego jeśli trzeba będzie...

-Jak ci poszło wczoraj? - zapytał.

- Poszło - odpowiedziała chłodno. - Hasło i kontakt były w porządku, przyjęto mnie za swoją. Niedługo dotrę do Konrada.

- Sądziś, że tamten się jeszcze nie zjawiał?

- Na pewno nie. Ale bądź spokojny, ustalę, kto to jest. - Powiedziała „ustalę”, a nie „ustalimy”. Kloss skwitował to skinieniem głowy. - A ty? - zapytała. - Co możesz mi zameldować?

- Umówiłem się z tym agentem Langnera - Pluszem. Na dziś na ósmą wieczorem.

-Gdzie?

- Na starej przystani.

- Dobrze. I nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Wahał się chwile. Jak zagrać? Pozorowanie szczeroci bywało opłacalne, ale... Nie zdążył podjąć decyzji.

- Dlaczego mnie wczoraj śledziłeś?

Kiedy spostrzegła? Wówczas, gdy wchodziła do domku? A może spojrzała przez okno? Za długo sterczał pod tą rudera przy ulicy Rybnej 4.

- To chyba mój obowiązek - powiedział. - Ktoś cię musiał ubezpieczać. Jeśli sama tego nie rozumiałaś...

- Mówiłam ci już - ucięła - żebyś robił tylko to, co ci polecam.

- Pomyśl - jego głos był również chłodny. - Langner nie wybaczyłby mi nigdy, gdyby cię zlikwidowano. A mogło się zdarzyć, że tamten, ich prawdziwy agent, nawiązałby łączność wcześniej... Bałem się o ciebie...

Milczała, a Kloss czekał, czy powie o spotkaniu na dworcu. Nie, ani słowa... Było gorzej, niż przypuszczał.

Usłyszeli pukanie.

- Idź do łazienki - rozkazała Hanna. - Nie chcę, żeby cię u mnie widziano.

Wejście do łazienki było z korytarzyka. Kloss zamknął za sobą drzwi i niemal natychmiast usłyszał głos Gebhardta.

- Obiecała pani wypić ze mną kieliszek, panno Bösel.

- Obiecałam i jestem gotowa. Niech pan zejdzie na dół, za chwilę przyjdę.

Interesowała się więc Gebhardtem, ale jemu, Klosso-wi, nie napomknęła o tym ani słowa. Czy zdążyła już posłać jakiś meldunek do Berlina?

Rozwagał to wszystko czekając na Plusza. Chmury zasłoniły księżyc i stara przystań pogrążona była w ciemnościach. Zerwał się wiatr, szumiały drzewa nad rzeką. Kloss zapalił papierosa i wiedział, że jego twarz, oświetlona teraz, widoczna jest zapewne ze ścieżki. Plusz nie nadszedł jednak ścieżką. Zjawił się obok niego nagle, widocznie istniała jakaś inna droga między kępami drzew. Podali sobie ręce, dłoń agenta była wilgotna i śliska.

- Generał wyraża panu podziękowanie - powiedział Kloss. - Pańskie informacje się sprawdziły i oddał pan duże usługi Niemcom. - Znowu zaszumiały drzewa. Kloss usłyszał szelest, rozejrzał się niespokojnie, ale wróciła cisza, przystań była pusta i ciemna.

- Muszę panu powiedzieć - zaczął nerwowo Plusz -coś bardzo ważnego...

W tej chwili padły dwa strzały, jeden za drugim, oddane z tak bliskiej odległości, że Kloss zobaczył płomień w krzakach nad rzeką... Plusz krzyknął i osuwał się na ziemię, najpierw jakby przykłękał, potem uderzył twarzą w piasek... Kloss również padł na ziemię, wyrwał z kabury broń, strzelił nie celując, zresztą strzelanie było czynnością bezsensowną, podobnie jak pogoń, nawet jeśli Kloss zamierzałby ścigać napastnika. Stali obok siebie, Plusz i on, obaj palili papierosy, obaj byli widoczni, celowano do Plusza, nie do niego. Kto? Ludzie Konrada? Nie mogli wiedzieć o spotkaniu na przystani. Chyba że śledzili Plusza, że podejrzewali go o zdradę... Mało prawdopodobne.

Pochylił się nad niemieckim agentem, namacał puls. Plusz nie żył i zapewne dobrze zasłużył na śmierć swą piętnastoletnią wiernością wielkiej Rzeszy, ale sytuacja Klossa stawała się teraz jeszcze trudniejsza. W jego obecności zamordowano agenta niemieckiego wywiadu. Trzeba się będzie gęsto tłumaczyć, a jeśli dodać podejrzenia Hanny Bösel!... Obmacał kieszenie Plusza, wyjął portfel, papierosy, nawet blok kelnerski - wszystko to trzeba będzie dokładnie zbadać. Ciało zostawił na ziemi, tak jak leżało, skręcone, z podkurczonymi nogami. Wyjrzał znowu księżyc i wydobył z nocy rzekę, łąkę, martwą przystań...

## 5

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do swego pokoju. Był zmęczony, ale nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek, oczekiwała go rozmowa z Hanną, tej rozmowy nie wolno było odkładać do jutra. Nie zapalając światła usiadł na łóżku. Jakie ma szansę w tej grze? Chodziło już nie tylko o Konrada i pokrzyżowanie planów Abwehry, chodziło o niego.

Przymknął oczy i w tej chwili usłyszał:

- Zapal światło, Hans. - Głos Hanny Bösel. Więc była tutaj? Zanim zerwał się, by przekręcić kontakt, pomyślał o walizkach. Czy nie było nic kompromitującego? Nie, chyba nie. Oczywiście



szperała w jego rzeczach. W kieszeniach ubrań także. Pudełko junco. W bibułce jednego z papierosów znajdował się szyfr. Było nierozsądne rozstawanie się z tym pudełkiem: to nowy szyfr, nie zdążył się jeszcze nauczyć go na pamięć. Gdyby ją teraz zastrzelił? To oczywiście koniec, można by już tylko iść do partyzantki...

Przymrużył oczy, gdy zabłyśły żarówki. Hanna Bösel stała w rogu pokoju, podchodziła do niego powoli. Była w szlafroku...

- Nie witasz mnie zbyt uprzejmie, Hans. Jesteś tylko zaskoczony.

- Wybacz, jestem bardzo zdenerwowany.

- Co zameldował Plusz?

- Plusz nic me zameldował — odpowiedział Kloss. — Plusz nie żyje...

- Co? Jakim cudem?

Zreferował dokładnie wydarzenia na przystani.

- Nie miałem żadnej szansy. Rozumiesz? Sprawca zniknął w krzakach, znał zapewne znakomicie teren.

- I to mówi oficer Abwehry! - krzyknęła Hanna. -Zabijają agenta w jego obecności. Komu powiedziałaś o spotkaniu z Pluszem?

-Tobie.

-Komu jeszcze?

- Nikomu, Hanno, ty mi nie ufasz.

- Ewo, nie Hanno! Naucz się wreszcie. Nie, nie ufam. Pracuję nie od dzisiaj w niemieckim wywiadzie...

Sięgnęła do kieszeni szlafroka i położyła na dłoni małe pistolet. Bawiła się nim jak zabawką.

-To mógł zrobić ten trzeci. - Kloss starał się zachować spokój. - Ten ich prawdziwy łącznik z Berlina, który miał dostęp do ministerstwa wojny. Tylko on.

Hanna milczała.

- Schowaj tę pukawkę - podniósł głos. - Nie cierpię, gdy kobiety bawią się pukawkami.

- A ja lubię. Niemieckim kobietom z tym do twarzy. A może mi jeszcze powiesz, Hans, co robiłeś dzisiaj na dworcu?

Wybuchnął śmiechem. Była to jedyna możliwa reakcja i ten śmiech mu się udał.

- Lubię prowincjonalne dworce. Czy coś w tym złego?

- I bardzo lubisz starszych panów na dworcach. Radzę ci, Hans, bądź ze mną szczery.

- Jestem szczery. O co ci właściwie chodzi? - Teraz on atakował. - Wolałbym, żebyś przychodziła do mnie prywatnie bez zabawek w kieszeni szlafroka.

-Nie lubię tracić zaufania do swoich współpracowników. Teraz krzyk, tylko krzyk.

-Jakim prawem mówisz mi takie rzeczy?! Dlatego, że jesteś kobietą?

Zmusił ją jednak do odwrotu. Jej podejrzenia widocznie były jeszcze dość mgliste.

- No dobrze, już dobrze - mruknęła. - W sprawie Plusza przeprowadzimy dokładne śledztwo.

- Kiedy umówiłaś się z Konradem? - atakował dalej.

- Dowiesz się we właściwym czasie, mój drogi. Usłyszeli pukanie do drzwi.

- Teraz ty schowaj się do łazienki - powiedział Kloss. Był to przynajmniej jakiś drobniutki rewanż.

W drzwiach stał kapitan Boldt, ten sam Boldt, który brał udział w ich berlińskiej naradzie u Langnera. Więc Langner nie ufa nawet Hannie, pomyślał Kloss, jeśli przysyła jeszcze jego, a może Boldt... Nie, to wydawało się zupełnie nieprawdopodobne.

Heil Hitler Boldta było przyjazne i radosne. Kloss nauczył się w Berlinie odczytywać rozmaite odcienie faszystowskiego powitania.

- Dziwisz się, Kloss, co?

- Dziwię się - odpowiedział natychmiast. Przyjechałeś mnie zastąpić? A może nowe zadania?

- Ani jedno, ani drugie, mój drogi. Przyjechałem po prostu na wypoczynek.

-Taki sam jak mój?

- Nie bądź zbyt podejrzliwy, Hans. A gdzie piękna panna Bösel? Nie zastałem jej w pokoju. Hanna wypłynęła z łazienki.

- Jestem tutaj. -W jej głosie nie usłyszeli zakłopotania. Boldt pochylił się nad jej ręką.

- Piękny szlafroczek, widać, że naprawdę wypoczywacie... Mam z tobą do pogadania, Hanno... Wybacz, Kloss, że zostawimy cię samego.

Został nareszcie sam. Usiadł przy oknie i patrząc na wejście do domu wypoczynkowego, pomyślał, że może to ostatni wieczór w niemieckim mundurze... Wiedział jednak, że nie zrezygnuje tak łatwo, a ucieknie dopiero wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia. Jeśli oczywiście ucieczka okaże się jeszcze możliwa. Po co przyjechał Boldt? Może Hanna złożyła już jakiś meldunek i, nie ufając Klossowi, prosiła generała o pomoc? Dlaczego Boldt chciał rozmawiać tylko z Hanną, a nie z nimi obojgiem? Jak Bösel przedstawi Boldtowi wydarzenia na przystani?

Minęły dwa dni, a on ponosił same porażki. Wiedział niewiele więcej niż w momencie przyjazdu do Liska. A Maciej? Zaklął. Znał ostrożność ludzi prowadzących wojnę podziemną i pojmował, ile trzeba czasu, aby skontaktować dwie siatki.

Na pustej teraz alejce prowadzącej w kierunku miasta zobaczył nagle znaną sylwetkę. Nadradca Gebhardt maszerował wielkimi krokami. Za chwilę zniknie w ciemnościach. Dokąd późnym wieczorem wybiera się pan Gebhardt?

Kloss chwycił czapkę i po chwili zbiegał już ze schodów. Szedł za nim ostrożnie, dziwiąc się coraz bardziej, bo pan nadradca nie zamierzał wcale iść do miasta. Z szosy skręcił na polną drogę wiodącą wzdłuż łąk i ściernisk prosto do lasu. Była to naprawdę zaskakująca odwaga. Niemiec idący samotnie nocą do lasu w Generalnej Guberni, tego Kloss jeszcze nie widział. A on znał widać drogę znakomicie, bo szedł naprzód śmiało, na skrzyżowaniu nie przystawał, skręcił w prawo, a potem piaszczystą ścieżką biegnącą wzdłuż linii drzew dotarł do paru mogił zapomnianych w polu i dopiero tutaj skręcił w las. Kloss mógł iść teraz bardzo blisko Gebhardta, słyszał nawet przyspieszone sapanie radcy, przesunął kaburę na brzuch i zapomniał o zmęczeniu, bowiem cel wycieczki urzędnika ministerstwa propagandy wydawał się coraz bardziej tajemniczy.

Ścieżka zniknęła chwilami wśród krzaków, objawiała się znowu wyłobieniami kolein, aby wreszcie doprowadzić ich do obszernej polanki, gęsto porośniętej wysoką trawą. Księżyc wychylił się zza drzew i Kloss, stojący na skraju polanki, widział sylwetkę pana Gebhardta, który, wydawało się, odprawiał tutaj jakiś tajemniczy rytualny obrządek. Doszedł do samotnego rozłożystego drzewa, przyklęknął, zrywał korę z pnia, potem wyprostował się i starannie odmierzoną krokiem poszedł wprost na Klossa. Pod kątem prostym skręcił w lewo, wreszcie przystanął i spod płaszcza wyciągnął przedmiot, w którym Kloss w ciemności rozpoznał dopiero po chwili zwykłą łopatkę saperską. Nadradca z ministerstwa propagandy zrzucił płaszcz, kapelusz, marynarkę i dziarsko zabrał się do kopania. Sapał przy tym głośno i pracował tak niezręcznie, że Kloss z trudem wstrzymywał śmiech. Co pewien czas przerywał, klękał na trawie, grzebał w ziemi rękoma, jakby czegoś szukał... Zaczynał znowu kopać nieco dalej, pracował nawet coraz sprawniej, ale widać - bezskutecznie.

Zdaje się, że rozumie - pomyślał Kloss. I doszedł do wniosku, że pan nadradca będzie musiał jeszcze nieraz powrócić na tę polankę, a on, Kloss, powinien o tym wiedzieć. Osoba bowiem pana nadradcy wydała mu się teraz nader interesująca.

Tańczyli. Nic nie zostało mu darowane tego wieczoru. Gdy wracał ze swego leśnego spaceru i przechodząc przez hali zobaczył otwarte drzwi wypełnionej po brzegi sali dancingowej, nie przyszło mu nawet do głowy, że będzie za chwilę przytulał na parkiecie pannę Bösel. Tak się jednak stało. Czekąca chyba na mego, bo gdy odbierał klucz od portiera, zobaczył ją przy sobie - miała szczególną zdolność zjawiania się niespodziewanie - w mocno wydekoltowanej sukni balowej. W niczym nie przypominała skromnej dziewczyny, która poprzedniego wieczoru szła ciemnymi ulicami miasteczka na Rybną 4. Głos miała łagodny i miękki, nie poznawał jej.

- Mam ogromną ochotę zatańczyć z tobą, Hans - powiedziała.

Spojrzał na swoje buty, potem na nią i zrezygnował ze słów, które już cisnęły się na usta.

Przytulała się do niego nawet zbyt ostentacyjnie. Tańczyła zresztą doskonale, wydawała się tkliwa i czuła, ale Kloss wiedział, że to jej wcielenie jest równe niebezpieczne, jak tamto sprzed paru godzin.

- Lubisz wieczorne spacery - szeptała, ale w jej głosie nie było drwiny. - Szkoda, że nie przyszło ci na myśl, by wziąć mnie ze sobą.

- Szkoda - burknął Kloss, zastanawiając się właśnie, o czym też mogła rozmawiać z Bołdtem. Boldt był zresztą także tutaj, dostrzegł go po paru chwilach, siedział samotnie przy stoliku i uśmiechał się do nich.

- O czym myślisz? - usłyszał głos Hanny.

- Że nie masz do mnie zaufania - odpowiedział natychmiast.

- Ach, ty znowu o tym! Jesteś niemożliwy... Nie lubię takich pamiętliwych mężczyzn... Czy nie rozumiesz?

-Czego?

- Ze mi się podobasz, Hans...

- Jako partner?

- Może jako przeciwnik - przez chwilę była to znowu tamta Hanna sprzed paru godzin.

- Nie przyszło ci na myśl - przeszedł do ataku - że wykonuję tylko rozkazy Langnera? - Brzmiało to dostatecznie dwuznacznie, a on przecież już dość długo nosił niemiecki mundur, by wiedzieć, że w tym świecie nikt nikomu nie ufa i wszyscy toczą nie kończące się podjazdowe wojny, których stawką bywa czasem Żelazny Krzyż i jeszcze jedna gwiazdka, a czasem życie.

Nie patrzyła mu w oczy.

- Nie mówmy o tym - wyszeptała. - Jest przecież ładna noc. I dobra muzyka.

- I ładna dziewczyna... - dokończył tym samym tonem.

- Dziękuję ci, Hans. Może więc stać cię na małą pauzę.

- Może. Jeżeli oczywiście zechcesz...

- Gdybyś tylko powiedział mi, gdzie byłeś na spacerze.

- Dlaczego o to pytasz?

- Może jestem zazdrosna.

- Znowu brak zaufania.

- Przestań! Przytul mnie...

Nie zdążył jednak wykonać tego rozkazu, bo muzyka umilkła nagle i oni wrócili do stolika, do uśmiechniętego Boldta, który już pospiesznie nalewał kieliszki. Pili, a Boldt rozpiął guzik przy kołnierzu, twarz miał czerwoną, nabrzmiałą i prawił o ogromnym zaufaniu, jakie generał Langner żywi właśnie do Hanny i do Hansa, do obojga, wierząc, że nie tylko dotrą do Konrada, ale zdemaskują także

Tańczył i nie rozumiał, na co ona naprawdę liczy i dlaczego jest teraz taka. Tylko gra? Grę czasami łatwo rozszyfrować, ale bywa i tak, że zacierają się granice; nagle, może podczas tańca, a może gdy siedzieli przy stoliku przytuleni do siebie i pili któryś tam kieliszek z rzędu, zaczął ją traktować jak ładną dziewczynę, z którą przyszedł na dancing i zapomniał, że to Hanna Bösel, że jeszcze w przedziale kolejowym powtarzał sobie: nie kobieta, tylko szczywany, doświadczony agent niemieckiego wywiadu.

Zapomniał, a może jednak chciał zapomnieć, gdy stali na korytarzu, a potem ona otworzyła drzwi swego pokoju i powiedziała:

- Pocałuj mnie, Hans, pocałuj mnie teraz, bo może potem już nigdy nie będę miała na to ochoty...

W słonecznym świetle dnia, który się właśnie zaczął, wszystko wyglądało inaczej. Kloss wiedział, że zbliża się decydująca rozgrywka, agent Hanna Bösel wykonała dobrze swoje zadanie i uzyskała z całą pewnością możliwość dotarcia do Konrada. On nie uzyskał nic... Maciej miał zjawić się najwcześniej dopiero po obiedzie; do tego czasu Hanna mogła zakończyć swoją robotę: przekazać Konradowi dezinformujące materiały i rozszyfrować jego organizację. Wówczas także los trzeciego, prawdziwego łącznika z Berlina, był przesądzony. Kloss wiedział już, że tym trzecim, nieznanym towarzyszem broni, nie jest nadradca Gebhardt. Więc kto?

Pozostawało tylko jedno: nie spuszczać Hanny ani na minutę z oczu. Podjąć każde ryzyko, bo teraz każde ryzyko było dozwolone, żeby pokrzyżować jej plany. Zajął swój postereunek obserwacyjny przy oknie. Na ławce w łagodnym słońcu tkwił nadradca Gebhardt i palił cygaro. Inwalidzi wynosili leżaki, a pielęgniarki w białych czepkach okrywały ich pledami. Minęło sporo czasu, zanim zobaczył Hannę... Znowu ta skromna sukienka i prawie zupełna rezygnacja z makijażu. Zagryzł wargi aż do bólu i patrzył na nią chwilę z chłodną nienawiścią. Przystanęła przy panu nadradcy, rozmawiali zapewne o pogodzie, bo nadradca wskazywał gazetą słońce i rżał jowialnie, ale i tym razem była to jowialność na pokaz.

Kloss wyszedł z pokoju, gdy panna Bösel skręcała już na drogę prowadzącą do miasta. Musiał być teraz bardzo ostrożny: Hanna to nie Gebhardt... Nie może spostrzec, że jest śledzona. Szedł za nią, kryjąc się w cieniu drzew, i nie przyszło mu na myśl, że jego tropem, w przyzwoitej odległości, idzie jeszcze ktoś trzeci. Pan nadradca Gebhardt, ciągle z gazetą w ręku.

Dopiero gdy dziewczyna skręciła w wąską, niewidoczną niemal ścieżkę tuż przy zbudowanym z kostropatych odłamów piaskowca murze cmentarza, uznał, że może ją spuścić z oczu. Tą drogą można było dojść tylko do lasu. A Kloss znał już sposób, aby dotrzeć tam przed nią: pójdzie stromym zboczem, porośniętym zrudziałą trawą i kępkami jałowca, niewidoczny dla niej, bo ścieżka biegła niżej, wzdłuż koryta wyschniętego potoku. Znał tę drogę i wiedział, że pokonanie jej zajmie Hannie przynajmniej kwadrans, ma więc przed sobą tyle czasu, by wyciągnąwszy się wygodnie w cieniu cmentarnego muru, pomyśleć chwilę nad sytuacją, zastanowić się nad swoim przyszłym postępowaniem.

Wyjął papierosa i gniotąc go w palcach zastanawiał się, czy Hannę Bösel należy zastrzelić zaraz w lesie, czy pójść jej tropem, dzięki jej pomocy odkryć Konrada i wspólnie z nim podjąć decyzję co do losów Hanny. Ale to oznaczałoby konieczność dekonspiracji przed Konradem, dekonspiracji być może nawet usprawiedliwionej obecną sytuacją, ale przecież piekielnie niebezpiecznej, bo jeśli sam Konrad stał się już tylko narzędziem w rękach Abwehry (ma bowiem dostarczyć Anglikom plan umocnień spreparowany w wydziale dezinformacji), to jednak fakt, że wiedzą o nim tyle, świadczyłby, że Abwehra zdołała spenetrować jego otoczenie. Czy tylko Plusz rozpracowywał Konrada? Znowu zagadka. Kto zabił Plusza? Kloss był zbyt wytrawnym pracownikiem wywiadu, by nie powiązać ze sobą trzech faktów. O jego spotkaniu z Pluszem wiedziała Hanna, Plusz był tą osobą, która mogłaby ułatwić Klossowi dojście do Konrada, i właśnie Hanna czekała w jego pokoju, ubrana dość skąpo, jakby tym strojem chciała go przekonać, że nie opuszczała pensjonatu... Ale chociaż wniosek nasuwa się sam, Kloss nie może przyjąć, że Hanna strzeliła do Plusza, ponieważ brak tu

jakiegokolwiek wytłumaczenia, motywu. Musi niejako automatycznie Hannę wykluczać. Istnieje oczywiście możliwość - całkiem teoretyczna - która śmierci Plusza nadałaby sens. Gdyby to Hanna Bösel była polskim agentem, a on, Hans Kloss - zdeklarowanym hitlerowcem, jej postępowanie musiałoby być właśnie takie. Ale jest akurat odwrotnie...

Usłyszał szelest czyichś kroków, spojrzął w tamtą stronę i dostrzegł nadradcę Gebhardta. Grubas rozglądał się, jakby kogoś szukał, jakby nagle zgubił czyjś ślad. Kloss uświadomił sobie, że zbyt dużo czasu upłynęło od przejścia Hanny, by Gebhardt mógł śledzić właśnie ją. Jeśli zatem nie Hanna Bösel była przedmiotem obserwacji pana nadradcy z ministerstwa Goebbelsa, to mógł nim być tylko on sam - Hans Kloss. Ale czy obserwacji? Tłusta, porośnięta białą szczeciną dłoń Gebhardta spoczywała wpółwsunięta w kieszeń marynarki. Kieszeń była wypchana, a kształt, jaki jej nadawał przedmiot tkwiący w środku, eliminował przypuszczenie, że spoczywa tam zawinięte w serwetkę drugie śniadanie, które nadradca zamierza spożyć w głuszy leśnej.

Kloss odczuł jakże mu znajome wrażenie chłodu. Sygnał niebezpieczeństwa, a równocześnie znak, że coś zaczyna się wreszcie dziać, że amorficzna, otaczająca go zewsząd pustka zaczyna przybierać kontury. Pora oczekiwania - czuł to przez skórę - dobiegała końca. Nadchodził czas akcji. Przyspieszył ją nieco, teraz wie już to na pewno, tymi paroma dwuznacznymi zdaniami wypowiedzianymi w pensjonatowej restauracji. Gdyby Kloss jeszcze wiedział, czego się Gebhardt boi. Dopiero o zmroku jest zaplanowane spotkanie z Maciejem, gdyby Maciej potrafił mu wyjaśnić powód strachu jowialnego nadradcy...

Gebhardt ruszył ścieżką, Kloss odczekał jeszcze chwilę, aż tamten zniknie we wgłębieniu wyżłobionym przez wyschnięty potok. Potem wstał, otrzepał mundur ze ździebeł trawy, cisnął papierosa, którego nie zdołał nawet zapalić, i ruszył stromizną pod górę. Przez chwilę jakby zapomniał, po co tu jest, dlaczego wspina się pod górę, wysiłek sprawiał mu przyjemność, przenosił go w czasy, gdy jako harcerz zdobywał sprawności w Wysokich Tatrach i to nieświadomione skojarzenie pomagało mu w marszu, odczuwał satysfakcję przy każdym kroku postawionym we właściwym wgłębieniu skały, radość, że jego ciało jest mu posłuszne, że jest młody, że żyje. Dopiero gdy wspiąwszy się na górę zajął upatrzoną pozycję, skąd będzie mógł obserwować Hannę, i oddychał głęboko, rzeczywistość przytłumiła poprzednie odczucia. Nie jest siedemnastoletnim harcerzem, Staszkiem z Kościerzyny, szczycącym się wyszytymi na lewym rękawie bluzy wszystkimi możliwymi do zdobycia „sprawnościami”, jest agentem o kryptonimie J-23, dorosłym człowiekiem, który być może za chwilę zastrzeli młodą, ładną kobietę, nie odczuwając przy tym żadnych wyrzutów sumienia, a jedyną troską, jaką będzie miał po celnym strzale, stanie się problem, jak pokrzyżować jej plany, a jednocześnie odsunąć od siebie niebezpieczeństwo, że ktoś mógłby go o to podejrzewać.

Zobaczył ją po chwili. Szła wolno, zmęczona widać, choć przecież ścieżka wzdłuż potoku nie była znowu aż tak stroma. Widocznie Hanna Bösel nie zdobywała harcerskich „sprawności”. Gdzież je zresztą mogła zdobywać? W Argentynie? Argentyńska Niemka zwerbowana przez admirała. Skąd jej znajomość polskiego? Same pytania bez odpowiedzi.

Zatrzymała się niemal naprzeciw jego kryjówki. Czyżby go dostrzegła? A może tu ma dojść do spotkania z owym mitycznym Konradem? To by Klossowi nie dogadzało. Gebhardt jest zbyt blisko...

Hanna usiadła na obalonym przez burzę pniu, zdjęła sandałki, wysypała z nich piasek. Potem wyjęła z

małej torebki puderniczkę, przejrzała się, przypudrowała nieco nos. I dopiero ten jakże bezsensowny i jakże kobiecy gest kazał mu spojrzeć na Hannę innymi oczyma. Oczywiście wiedział, że Hanna Bosel jest młodą, atrakcyjną kobietą, spędził z nią miły wieczór, ale nawet podczas tego wieczoru ani przez moment nie zapomniał, kim jest ta dziewczyna, zaufaną generała Langnera, oddaną fuehrerowi nazistką, a więc jego śmiertelnym wrogiem. Czuł zresztą, że ona także, nawet w chwilach zbliżenia, poddaje się nieustannej kontroli, tak jakby i ona czuła w nim wroga. Dopiero teraz, gdy - jak jej się wydawało - przez nikogo nie obserwowana, na kilka minut przed wykonaniem ważnego zadania zabrała się do poprawiania makijażu, poczuł do niej sympatię. Mały, śmieszny, kobiecy gest odjął jej nieco diaboliczności, dodał wdzięku.

Wrzuciła puderniczkę do torebki, będącej miniaturą torby konduktora, energicznym gestem przerzuciła pasek przez ramię, podniosła się i ruszyła spiesznie, jakby nagle spostrzegła, że straciła zbyt dużo czasu. I znów była Hanną Bösel, jaką Kloss znał od paru dni.

Pozwolił jej odejść kilkadziesiąt metrów, jej jasna sukienka zbyt rzucała się w oczy, by mógł ją zgubić w tym lesie.

Zresztą Hanna nie oddalała się pewnie zbyt daleko od Liska, bo przecież na dłuższą wyprawę ubrałaby się inaczej. Doszedł do wniosku, że zanim rozprawi się z Hanną, musi najpierw pozbyć się Gebhardta, który lada chwila powinien się pojawić. I rzeczywiście po chwili usłyszał jego posapywanie. Grubas z trudem znosił wspinaczkę. Stał przy balustradzie drewnianego mostku przerzuconego nad potokiem i wielką kraciatą chustką ocierał pot z twarzy.

Kloss, starając się zrobić jak najwięcej hałasu, ruszył jedną z rozwidlających się tu ścieżek. Wybrał najbardziej stromą, licząc, że zniechęci nadradcę z resortu kulawego Józefa do wspinaczki. Wybór tej drogi miał także inny cel: choć oddalała go nieco od trasy, jaką wybrała Hanna, stwarzała dla Klossa dodatkową szansę. Szedł pod ostre, przedzierające się przez drzewa słońce i Gebhardt w rozmigotanym świetle z trudem wyodrębniłby jego sylwetkę z zielonego, drgającego łą. Więc chyba nie zdecyduje się strzelać, a raczej sądząc, że Kloss go nie zauważył, zaczął się tu gdzieś w pobliżu, by poczekać na jego powrót. Tacy jak Gebhardt, tłuści, starsi mężczyźni, mają dużo cierpliwości i lubią czekać. To ich między innymi różni od Klossa.

Przeszedłszy jakieś pięćdziesiąt metrów Kloss skrył się za sągiem okorowanego drzewa i dopiero teraz zdecydował się spojrzeć w dół. Przecucie, ów zimny powiew, gdy kilkanaście minut temu dostrzegł dłoń Gebhardta wsuniętą w wypchaną kieszeń marynarki, nie omyliło go. Gebhardt chował właśnie rewolwer do kieszeni. Bał się strzelać pod słońce, bał się chybić. Jakimż więc zagrożeniem musi być dla niego Kloss tylko dlatego, że wypowiedział parę zdań, z których wynikało, iż mógł widzieć tęgiego nadradcę rozkopującego ziemię saperską łopatką?

Te myśli przebiegały Klossowi przez głowę, gdy spiesznie teraz przedzierał się przez gąszcze, by jak najszybciej zobaczyć jasną plamę sukni Hanny Bösel.

Była już na niewielkiej polance. Stała przy niskiej szopie ze zbitych byle jak desek i rozglądała się, jakby na kogoś czekała. Przez chwilę Klossowi wydawało się, że właśnie na niego i zaniepokoiło go to przypuszczenie, bo oznaczałoby, że Hanna Bösel zdawała sobie sprawę, iż może być przez Klossa śledzona. Odrzucił tę myśl jako nieprawdopodobną. Przypadł do ziemi. Postanowił pod-czołgać się



jak najbliżej budy, w której drzwiach zniknęła właśnie Hanna. Chciał doczołgać się skrajem polany do ustawionych niedaleko szopy sągów, by potem jednym skokiem znaleźć się przy jej tylnej ścianie. Starał się to robić cicho, słyszał monotonne bzyczenie leśnych pszczoł i nic poza tym. Jeszcze dwadzieścia, jeszcze dziesięć, jeszcze pięć metrów do sągów, gdzie będzie względnie bezpieczny. Wreszcie skok. Był już tam. To, co najpierw zobaczył, to były sandałki na bosych stopach Hanny Bösel. Dopiero potem dwie wymierzone w niego lufy automatów i młodych chłopców, którzy je dzierżyli. Ręka, którą machinalnie skierował ku kaburze, zawisła w pół drogi.

- Masz rację, Hans - powiedziała Hanna - za późno. -A po chwili dodała: - Byłam pewna, że pójdziesz za mną i zdziwiłam się, że zrezygnowałeś z tego zamiaru.

Jeden z chłopców odłożył pistolet maszynowy, przyparł Klossa do pni i powoli, nie spiesząc się, wyjmował mu z kabury rewolwer. Drugi, trzy metry dalej, ze skierowaną w Klossa lufą peemu aż przygryzał wargi z emocji. Tylko czekał na jakiś ruch niemieckiego oficera, by nacisnąć spust. Hanna Bösel także trzymała w ręku parabelkę. W jej drobnej dłoni ciężka broń wyglądała nieco groteskowo. Miał ochotę to Hannie powiedzieć. Ale zamiast tego rzekł:

- Chciałbym z tobą pomówić, Hanno.

- O czym? - wzruszyła ramionami. Nie oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie. - Zlikwidujecie go - zwróciła się do chłopców ubranych w buty z cholewami i mimo upału w półwojskowe kurtki. - Zlikwidujecie go - powtórzyła - ale - spojrzała na zegarek - dopiero w jakąś godzinę po moim wyjściu stąd. - Odwróciła się na pięcie.

- Chodź, frycu - powiedział jeden z chłopców i popchnął Klossa pistoletem.

Przechodzili koło szopy. „Posłuchaj, Hanno... - dobiegł Klossa strzępek zdania wypowiedzianego męskim głosem. Pomyślał, że to zapewne Konrad. Dużo by dał za to, żeby być teraz w środku tej zbitej z paru desek szopy.

- Nie zatrzymuj się, szybciej — odezwał się drugi. Z jego głosu Kloss wywnioskował, że chłopak jest niesłuchanie przejęty swoją misją.

Może - pomyślał z melancholią- mam być jego pierwszym trupem?

Odeszli na skraj polany, trzydzieści metrów, nie dalej.

- Tutaj - powiedział pierwszy. Miał chłopięcą twarz z ledwie sypiącym się wąsem. Stąd będzie widać, jak ona wychodzi. Wtedy spojrzysz na zegarek.

Ten drugi o wąskiej, nerwowej twarzy (wygląda na studenta historii sztuki - pomyślał Kloss) i zwężonych oczach krótkowidza kiwnął tylko głową.

A więc Hanna Bösel okazała się sprytniejsza od niego - pomyślał. Wyciągnął z kieszeni papierosa, chłopcy nie spuszczała go z oka. Odmówili zdecydowanym gestem, gdy podsunął im paczkę. Starał się myśleć chłodno, choć sytuacja temu nie sprzyjała. W każdym razie ma przynajmniej godzinę życia, ponieważ Hanna zastrzegła sobie, że chce być w tym czasie w Lisku. Czy chodzi jej tylko o alibi, czy

ma też inne sprawy do załatwienia? Przypomniawszy sobie strzępek zdania, który udało mu się uchwycić, gdy przechodził koło szopy, i poczuł jakże mu znany sygnał wewnętrznego alarmu. Nie potrafił na razie zrozumieć, dlaczego wypowiedziane przez mężczyznę słowa „Posłuchaj, Hanno” wywołały w nim ten stan alarmu. Kazała go zabić - to logiczne. Musiała rozszyfrować jego grę, oczywiście grę tylko w tej sprawie, ale to jej zupełnie wystarczyło. Kontakty z Maciejem były zbyt ostentacyjne, a Hanna („Posłuchaj, Hanno” - znów tłuką mu się w mózgu te słowa) jest zbyt inteligentnym przeciwnikiem, by nie powiązać ze sobą jego usiłowań wyciągnięcia z niej informacji, spotkań z Maciejem, a wreszcie sprawy mikrofilmu, który zaginął spod portretu Fryderyka Wielkiego. Czyżby o to go także podejrzewała? A jeśli nawet tak, to dlaczego postanowiła go zabić rękami polskich partyzantów? Dlaczego nie zrobiła tego sama w sytuacji dla siebie wygodnej i przynoszącej jej w oczach obersta Langnera wyłącznie honor i zaszczyt? W końcu zdemaskowanie Klossa byłoby jej poczytane za plus. Wszystko to się jakoś nie klei i Kloss czuje, że z kilkunastu klocków, jakie ma do swojej dyspozycji, nie ułoży żadnego sensownego obrazka, ponieważ dwóch albo trzech klocków mu po prostu brak.

Zatopiony w myślach nie zauważył nawet wyjścia Hanny z baraku. Dopiero głos chłopca wyrwał go z zamyślenia.

- Spójrz na zegarek - powiedział.

-Jedenasta piętnaście - odezwał się ten drugi.

Hanna, nie spojrzawszy nawet na Klossa, zagłębiła się w gączu. Jeszcze przez parę chwil jej jasna sukienka prześwitywała między pniami.

- Powiedz mu po niemiecku, że wykończymy go za godzinę - odezwał się ten z rudawym meszkiem nad wargą. Ten drugi usiłował skłecić zdanie szkolną niemieczyzną. Przerwał w pół słowa, gdy Kloss odezwał się po polsku:

- Daj spokój, rozumiem. Ale nie zabijecie mnie. Nie można powiedzieć, żeby to zdanie, wypowiedziane bezbłędną polszczyzną przez człowieka w mundurze oficera Wehrmachtu, nie zrobiło na nich wrażenia. Ale mimo to żaden nie opuścił wymierzonej w Klossa lufy.

- Rozumiesz - zapytał ten z twarzą studenta - rozumie pan - poprawił się - po polsku?

- Chłopcy - powiedział poważnie Kloss - muszę się zobaczyć z pułkownikiem Konradem,

- Mamy rozkaz - odparł.

-Wiem, ale musicie go zawiadomić, że chcę z nim porozmawiać. Ta sprawa dotyczy czegoś ważniejszego niż moje życie albo nawet wasze. Zdażycie mnie jeszcze zastrzelić, na to jest zawsze czas. Zaprowadźcie mnie do pułkownika.

- Uważaj - powiedział ten drugi - on chce zobaczyć, co jest w środku.

- Na nic mi się to nie przyda, jeśli zginę. Zresztą domyślam się, co jest w środku, zapewne

radiostacja.

- Jesteś dobrze poinformowany.

- Dobrze - przyznał Kloss. - Jeżeli nie chcecie mnie tam prowadzić, poproście pułkownika Konrada do mnie. Niech jeden z was pójdzie i go zawoła. Gorzko zapłacicie, jeśli...

- On myśli, że z jednym da sobie radę – powiedział drwiąco ten z sypiącym się wąsem.

- Możecie mnie przedtem związać – odpowiedział im Kloss.

Jeden z chłopców zaczął odpinać pas i Kloss już wiedział, że przynęta chwyciła. Postąpił krok w stronę chłopca, zakładając jednocześnie ręce na plecy, jakby przygotowując je do związania. Naprężył mięśnie. Instruktor w obozie pod Erywaniem nazywał ten sposób „chwyt samuraja”. Gdy poczuł dłonie chłopca na swoich rękach, dokonał błyskawicznego przysiadu, wyrzucając równocześnie ręce w górę. Ciało chłopca zatoczyło łuk i padło uderzając w kolana tego drugiego. Kloss zdążył odbiec już ze trzydzieści metrów, gdy usłyszał, że w leśną ciszę wdarła się seria peemu. Był bezpieczny. Na razie bezpieczny.

## 8

Zmierzchało. Maciej wstał z kamienia, na którym przysiadł, otrzepał porządnie spodnie, wziął parasol. Wyglądał w końcu tak, jak powinien wyglądać starszy pan zażywający wywczasów w Lisku-Zdroju.

- Teraz już wiesz wszystko - powiedział - o nadradcy Gebhardtzie. Pamiętasz hasło dla Konrada?

- Przysyła mnie do pana Żuk - powtórzył Kloss. - Gdybym znał je wcześniej... - westchnął. Maciej wzruszył ramionami.

-Wiesz, że to niełatwe. Co zamierzasz?

- Spać - odparł Kloss. - Miałem bardzo burzliwy dzień. Muszę się wśliznąć do swojego pokoju, doprowadzić do ładu nieco wymiętoszony garniturek feldgrau i muszę się zastanowić, jak skończyć tę grę.

Przyszedł pod pensjonat, gdy przez żadne niemal okno nie wyzierała smuga światła zza czarnych, przeciwlotniczych zasłon. W hallu też było ciemno, a portier drzemał pod tablicą z kluczami.

Minał go, nie biorąc klucza. Jego uniwersalny wytrych, wyprodukowany przez artystę z Wiesbaden, otwierał trudniejsze zamki niż ten, do jego pokoju. A Kloss wołał, by dwie osoby, mieszkające jak on w tym pensjonacie, dwie osoby, które nie umawiając się, próbowały pozbawić go dziś życia, myślały, gdy wzrok ich padnie przypadkiem na tablicę z kluczami, że Hansa Klossa nie ma w jego pokoju.

Już u siebie, kiedy wyczyściwszy mundur i wykapawszy się, położył się wreszcie na szerokim tapczanie, zaczął myśleć o tej drugiej osobie, która chciała go dzisiaj uśmiercić. Po rozmowie z Maciejem Kloss wie, dlaczego nadradca Gebhardt, zaczajony koło mostku nad strumieniem, oddał w jego kierunku dwa strzały z bliskiej odległości.

Prawdę mówiąc, Kloss pokpił sprawę. Zapomniał, najzwyczajniej zapomniał o Gebhardcie, a przecież przedtem wiedział, że ten będzie nań oczekiwać. Zajęty myślami, jak wyrwać się z rąk partyzantów, odsunął, jako mniej pilną, sprawę Gebhardta. Uratował go chyba znowu instynkt. Gdy dobiegał do mostku, jaskrawa smuga światła słonecznego oślepiła go na moment, przypominając mu tym okoliczności, w jakich oślepiało go słońce półtorej godziny temu. Przeskoczył barierę mostu dokładnie w chwili, gdy rozległ się strzał. Jeden, potem drugi. Nadradca Gebhardt jest widać pedantem i lubi sprawy załatwiać do końca. Inna rzecz, że ten drugi strzał był niemal celny. Już przy czyszczeniu munduru dostrzegł Kloss sporą dziurę pod pachą. Kolejna próba morderstwa w obronie paru skrzynek z cackami z porcelany, paru skrzynek, których na dokładkę, Gebhardt nie potrafił odszukać. Z tego, co powiedział Maciej, i z tego, czego Kloss domyślił się sam, historia wyglądała w skrócie tak: wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. Batalion piechoty 202 pułku zajmuje miejscowość Lisko-Zdrój. Porucznik Gebhardt, szukając kwatery, trafia przypadkiem do domu, w którym mieści się wspaniała kolekcja porcelany. Gebhardt jest też kolekcjonerem, nie mówiąc już o tym, że zbiory przedstawiają milionową wartość. W kilka dni potem znaleziono kolekcjonera z całą rodziną w piwnicy ich domu. Wszyscy zamordowani strzałem w tył głowy. Po kolekcji ani śladu. Ustalenie nazwiska porucznika Gebhardta zajęło Maciejowi trochę czasu, ale jest to informacja na wagę złota.

Kloss przypomniał sobie teraz, że Gebhardt bodajże jeszcze w pociągu opowiadał jakąś bohaterską historię o swoich wyczynach w trzydziestym dziewiątym roku w lasach koło Liska, że sam z niewielką grupą starł się z przeważającymi siłami Polaków i tylko on zdołał wyjść z tego z życiem. Czyżby elementy bohaterskiej legendy były zaczerpnięte z rzeczywistości? A w takim razie ta grupka ludzi, z którymi Gebhardt przedzierał się przez okoliczne lasy, nie musiała zginąć w walce z polskimi żołnierzami. Zaraz, zaraz... Maciej opowiadał, że widziano skrzynie wynoszone z domu kolekcjonera i że doglądał tego sam generał. To nawet logiczne. Tłumaczyłoby wiele.

Poczuł ogarniającą go senność i już zasypiając przypomniał sobie, nie wiadomo zupełnie dlaczego, słowa, jakie usłyszał, gdy prowadzony przez partyzantów przechodził obok szopy w lesie: „Posłuchaj, Hanno...” Czemu: Hanno? - zdążył jeszcze pomyśleć, nim zmęczenie wzięło nad nim górę.

## 9

Była chyba siódma lub niewiele po siódmej, gdy się obudził, tak przypuszczał, bo zapomniał wczoraj nakreślić zegarek. Gołąc się i ubierając, obmyślał drobne szczegóły planu, jaki za chwilę zrealizuje.

Nacisnął kławkę jej pokoju. Ustąpiła bez trudu.

- To ty, Boldt? - usłyszał głos Hanny Bösel. - Dobrze, że przyszedłeś. Nie wiesz, czy wrócił Kloss?

Niepokoję się o niego.

Stanął nad łóżkiem z rewolwerem wymierzonym w jej stronę.

- Niepotrzebnie się niepokoisz - odezwał się wreszcie.

Zerwała się, a potem opadła na poduszkę. Ręka wykonała drobny gest, a właściwie jakby tylko sygnalizowała zamiar wykonania gestu. Ale Kloss nie zamierzał już ryzykować. Chwycił róg poduszki, jednym ruchem wyszarpnął spod jej głowy. Duża, zbyt duża jak dla kobiety parabelka spoczywała tam, gdzie się spodziewał. Wziął ją do ręki i z rozmachem cisnął pod szafę.

-Jesteś brutalny. Szkoda, że od początku taki nie byłeś. Lubię brutalnych mężczyzn.

- Ubieraj się - rzucił.

-Przytobie? -próbowała jeszcze grać.-Krępuje mnie to.

-Jak chcesz - rzekł. Wyjął z kieszeni tłumik i nałożył go na lufę rewolweru. - Jeśli chcesz, to poczekamy, aż zacznie bić ten duży zegar w hallu. Jego dzwonienie z łatwością zagłuszy trzask.

Energicznym ruchem zrzuciła z siebie kołdrę. Po chwili stanęła obok niego w tej samej co wczoraj sukience i lekkich sandałkach. Sięgnęła po torbę, ale pozwolił ją wziąć dopiero, gdy sprawdził zawartość.

W porządku - powiedział. - Narzuc teraz na ramiona płaszcz, ja będę prowadził cię pod rękę, a to cacko będę trzymał dokładnie na wysokości twego litościwego serduszka, jakże zaniepokojonego nieobecnością Hansa Klossa. I nie zawaham się strzelić, gdybyś uznała, że moje towarzystwo ci się znudziło.

- Dokąd mamy pójść? - chciała wiedzieć.

- Zobaczysz - rzekł. Objął ją w pól, musiała czuć ucisk metalu pod płaszczem. Przeszli tak hali i korytarz, nie spotykając nikogo poza portierem i sprzątaczką. Na ulicy minęli woziwodę i staruszkę księdza, który spojrzał z niesmakiem na kobietę przytuloną do niemieckiego oficera. Sądzi prawdopodobnie, że to Polka, pomyślał Kloss. Koło muru z piaskowcowych głazów zatrzymała się.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Dlaczego chciałaś, żeby ci ludzie mnie zabili? - zapytał zamiast odpowiedzi.

- Nie miałam innego wyjścia. Omal mi nie zepsułeś roboty. Moja misja jest ważniejsza od życia jakiegoś tam porucznika Abwehry.

- Następnie - powiedział Kloss - oskarżyłabyś mnie przed Langnerem i uznano by mnie za szpiega, który wyciągnął spod portretu mikrofilm z prawdziwymi danymi.

- Zapewne musiałabym to zrobić - odparła. - Nasi szefowie lubią, kiedy sprawca zbrodni zdrady

stanu ponosi zasłużoną karę.

- Ale nie pomyślałaś, że to ja na przykład mogłem być mocodawcą Ewy Fromm i wyjąć ten mikrofilm?

- Nie pomyślałam - rzekła - i nie pomyślę.

Byli już przy mostku nad strumieniem. To tu nadradca Gebhardt usiłował zastrzelić Hansa Klossa.

Zrobię mu piekielną niespodziankę - pomyślał - kiedy mnie znowu zobaczy.

Głośno zaś odezwał się:

- Teraz wiesz już, dokąd idziemy.

- Mogłeś mnie zastrzelić wcześniej.

- Nie domyślasz się, naprawdę? Idziemy do pułkownika Konrada.

- Oszalałeś? Prowadzisz mnie do nich?! - powiedziała z przestachem, ale ten przestach był jakby udawany, bo Kloss dotykając jej czuł, że się odprężyła, jak gdyby nagle przestała się bać. - Jesteś przystojny, Hans, i coraz bardziej interesujący - powiedziała.

- Zachowujesz się tak, jakbyś me wiedziała, co cię tam czeka.

Roześmiała się krótko, nerwowo.

- Hasło! - usłyszeli tuż przed sobą.

Zza drzew wyszedł uzbrojony partyzant, Kloss z ulgą skonstatował, że me jest to żaden z jego dwóch wczorajszych znajomych. Teraz i partyzant dostrzegł mundur Klossa.

- Powiedz chłopcu hasło i wytłumacz, że nie mogę podnieść rąk do góry.

- Do Konrada - rzekła. - Prowadź do Konrada. Powiedz, że przysłała Hanna.

- Hanna? - powtórzył głośno Kloss. - Chyba Ewa?

Milczała.

I nagle Klossowi zaczęło świtać. Było to nieprawdopodobne, ale jednak...

- Hanna? Ty znów tutaj? - Przed nim stał łysy mężczyzna, ubrany w pumpy i skarpety w kratkę.

Zamiast odpowiedzi odrzuciła z ramion płaszcz.

- Przysłała mnie do pana Żuk - powiedział Kloss.

- Żuk mówił mi o panu - odparł Konrad.

Tym razem Hanna nic nie rozumiała. Patrzyła na Klossa okrągłymi ze zdumienia oczyma. Konrad gestem odesłał chłopca z pistoletem maszynowym.

- Ta dziewczyna - powiedział Kloss, gdy chłopak zniknął za drzewami - nazywa się Hanna Bösel i jest... - urwał, bo nagle wszystko stało się jasne. Hanna się śmiała. Konrad kpiąco spoglądał na Klossa.

- Niech pan schowa broń, na razie nie będzie panu potrzebna. Chodźcie do mojej budy, napijemy się przed odlotem. Za dwie godziny odfruwam... Muszę panu powiedzieć - kontynuował już w szopie, gdy wysączyli po szklance prawdziwej „White Horse”, którą Konrad zapewne przywiózł wprost z Londynu. — Muszę panu powiedzieć, jak to było naprawdę. Hanna została zwerbowana w Argentynie, a ściślej rzecz biorąc, pozwoliliśmy jej zostać zwerbowaną przez Abwehrę, ponieważ już od dwóch lat była kadrowym pracownikiem Intelligence Service. To zdolna dziewczyna, stała się więc bliską współpracowniczką Langnera, a przy okazji oddała nieocenione usługi Zjednoczonemu Królestwu. Hanna ma stopień majora wojsk Jego Królewskiej Mości.

- Powinienem wpaść na to wcześniej.

- Miałeś za mało danych - powiedziała Hanna.

- Wszyscy pracujemy po omacku - dodał Konrad. - Omal pana nie zlikwidowaliśmy. Miał pan zginąć razem z Pluszem.

- Więc jednak dostał pan prawdziwy mikrofilm? - zapytał Kloss.

- Niestety - wyręczyła go w odpowiedzi Hanna. - Ewa Fromm była rzeczywiście naszą agentką, ale w skrytce pod portretem nic nie było. W każdym razie nie daj się nabrać na falsyfikat. To też coś.

- A ile jest wart dla ciebie prawdziwy plan, ten, który sfotografowała Ewa Fromm?

- Masz? - zapytała. - Więc to ty? Ile chcesz?

- Dużo - odparł Kloss. - Twoją przyjaźń. - Otworzył klamrę pasa z napisem „Gott mit uns”, wyjął maleńki zwitek owinięty w cieniutką bibułkę.

- Anglia panu tego nigdy nie zapomni - rzekł Konrad, odbierając z nabożeństwem od Hanny malutki rulonik.

- Jesteśmy sojusznikami - Kloss wznosił szklankę z płynem koloru słabej herbaty. - A poza tym żał by mi było, gdyby robota Ewy Fromm poszła na marne. Ta dziewczyna drogo zapłaciła...

O tej małej, niepozornej dziewczynie myślał jeszcze przez chwilę, gdy na leśnej polance czekał na Hannę, z którą Konrad chciał por o zmawiać na osobności. Wyszła wreszcie, ale była chmurna i milcząca. Dopiero w drodze powrotnej wzięła go poufałym gestem pod rękę.

- Powiem ci coś, czego nie powinnam ci mówić.

- Nie fatyguj się - odparł. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Konrad kazał ci mnie zwerbować. Przy następnej okazji zakomunikujesz mu, że ci się to nie udało i więcej nie będziemy wracali do tego tematu.

- Może to i lepiej - uśmiechnęła się znowu.

- Musimy się zastanowić nad prezentem dla twego szefa - rzekł Kloss. W paru słowach opowiedział jej wszystko, co dotyczyło Gebhardta. Wspólnie opracowali scenariusz: ktoś z nich zmusi Gebhardta do akcji. Gebhardt oczywiście zginie, bo ten tłuścioch z ministerstwa propagandy, mający swobodny dostęp do ministerstwa wojny, spełnia wszystkie warunki, by w oczach Langnera stać się znakomitą namiastką zdemaskowanego szpiega.

Wieczorem tego samego dnia do stolika, przy którym nadradca Gebhardt kończył rozszarpywać pieczonego kurczaka, podszedł oberleutnant Kloss. Bez pytania

usiadł przy jego stoliku i nim grubas zdołał ochłonąć ze zdumienia, że widzi człowieka, którego zabił był wczoraj, zapytał:

- Czy ma pan chwile czasu, by porozmawiać ze mną o paru skrzynkach starej porcelany i paru żołnierzach, którzy zginęli przy ich konwojowaniu?

Gebhardt nie miał czasu. Odepchnął stolik i wyciągnął rewolwer. Ale strzał padł, nim zdążył nacisnąć spust. Kapitan Boldt, który siedział przy sąsiednim stole razem z Hanną Bösel, nie bez słuszności uchodził za znakomitego strzelca. A za przeszkodzenie w ucieczce groźnemu szpiegowi, nadradcy Gebhardtowi, otrzymał pochwałę w rozkazie od samego obersta Langnera.

## CAFE ROŠĚ

### 1

Pachniało rybą. Każdy powiew wiatru, ciepłego i wilgotnego, przynosił ten odór z dołu, z płataniny ciasnych uliczek, zabudowanych domami o ścianach frontowych pozbawionych okien.

Kloss zatrzymał się przy wąskich schodach z wyszczerbionymi stopniami, spojrzął w dół na płaskie dachy dzielnicy nadbrzeżnej, między którymi z rzadka błyskała plama zieleni, a potem z miną znudzonego turysty powiódł wzrokiem dokoła. Ten facet także stanął, nie bardzo się nawet kryjąc. Oparty o mur okalający jakąś rudere, ocierał spocone czoło jaskrawozieloną chustką. Przez chwilę Kloss miał ochotę wypróbować jego sprawność fizyczną. Gdyby pobiegł w dół schodami, zdołałby umknąć tajniakowi, skryć się w krętych uliczkach, pachnących rybą, czosnkiem, potem zmęczonych



ludzi. Odrzucił tę myśl. Tajniak, prawdopodobnie funkcjonariusz tureckiej policji politycznej, wcale mu nie przeszkadzał, przynajmniej na razie, a gdy zajdzie potrzeba, da sobie radę, jak wczoraj, gdy wystrychnął na dudka tego łażącego za nim krok w krok chudeusza o sterczących jak u foki wąsikach.

Ruszył pod górę w stronę, skąd dobiegał pisk skręcającego tramwaju. Kątem oka dostrzegł, że jego anioł stróż ruszył za nim. Ulica z każdym metrem zmieniała wygląd, domy były jakby czystsze, miejsca po odpadającym tynku zasłonięte reklamami w języku, z którego Kloss nie rozumiał ani słowa. Wyszedł na plac z fontanną; tu ruch, mimo że była pora sjeisty, ożywił się nieco. Nie oglądając się wiedział, że tajniak przybliżył się do niego w obawie, by nie stracić śladu; przed sobą widział budy targowiska, gdzie wczoraj udało mu się zgubić kolegę po fachu towarzysza jego dzisiejszych wędrówek. Żal mu się zrobiło tego spoconego grubasa, postanowił dać mu trochę odpoczynku. Rozsunął zasłonę z nanizanych na sznurki koralików i znalazł się w mrocznym, pozbawionym okien pomieszczeniu. Ubrany tylko w spodnie mężczyzna, z włochatym torsem pokrytym kropelkami potu, przekręcał rożny nad płonącym rusztem. Kloss usiadł przy niskim stole pod wentylatorem obracającym się powoli, jakby rozgarnianie gęstego od upału powietrza sprawiało mu trudność. Włochaty mężczyzna zastawił pieczone własnemu losowi i rzucił się w stronę jedynego klienta. Strzepał ze stołu okruszki, których nie było i zastygł w unizonym oczekiwaniu. Kloss zapytał po angielsku, co mógłby dostać do jedzenia, ale tamten tylko potrząsnął głową, więc powtórzył to samo po francusku i po niemiecku, ale włochaty mężczyzna tylko rozkładał bezradnie wielkie łapska. Nie rozumiał i Kloss przez chwilę miał pokusę, aby zapytać go o to samo po polsku. Ale wtedy właśnie zasłona z koralików rozsunała się, w drzwiach stanął znajomy tajniak, któremu widać znudziło się czekanie na skwarze. Opadł na zydel w drugim końcu tego samego stołu, przy którym siedział Kloss i rzucił kilka zdań przypominających brzmieniem tokowanie głuszca. Zaraz też otrzymał kufel pianistego piwa i cynowy talerz ze skrawkami mocno spieczonego mięsa, pajdą pszennego chleba i pęczkiem małych cebulek.

Gdybym teraz wstał - pomyślał Kloss - facet machnąłby na mnie ręką. Z jego miny wynika, że nic nie zmusi go do zostawienia dymiącej baraniny i pokrytego rosą kufła.

Właściciel znowu stanął przed nim. Kloss pokazał cynowy talerz i kufel swego sąsiada, właściciel klepnął się po udach i radośnie zagadał po swojemu.

Potem przy bardzo mocnej, słodkiej i aromatycznej kawie, którą pił samotnie, widać środki tajniaka były ograniczone, bo raz po raz łakomie spoglądał ku miedzianej czarce przed Klossem, przypominał sobie, że obiecał standartenfuehrerowi Resmannowi przywieźć kilogram kawy z Istambułu. I prawie natychmiast wróciła doń raz jeszcze rozmowa ze standartenfuehrerem.

Znalazł się w tym wielkim gabinecie, którego całe umeblowanie stanowiły cztery głębokie fotele klubowe i ustawiony między nimi stolik do kawy, w parę godzin po rozmowie z generałem Eberhardtem. Zresztą słowo „rozmowa” nie najlepiej pasuje tu do treści, ponieważ jedyną kwestią, jaką pozwolono wówczas Klossowi wygłosić, było: Jawohl, Herr General. Eberhardt zaś bez żadnych wstępów zakomunikował oberleutnantowi, że na prośbę SD przekazuje Klossa do dyspozycji standar-tenfuehrera Resmanna.

- Oni potrzebują kogoś - dodał - kto włada obcymi językami i ma jakie takie maniery.

Maniery... właśnie. Odkąd to SD potrzebuje ludzi z kindersztubą? Pierwsze pytanie, jakie zadał mu Re-smann, zmierzwszy go najprzód od stóp do głów, brzmiało:

- Czy nosił pan w życiu smoking, oberleutnant?

- Tak jest - odparł słuźbiście.

- A frak? - zapytał tamten.

- Raz w życiu - odrzekł i musiał się ugryźć w język, by nie powiedzieć, kiedy. Frak, oczywiście pożyczony, miał podczas ostatniego przed wojną balu sylwestrowego na Politechnice Warszawskiej, gdzie przeniósł się parę miesięcy przedtem, gdy życie w Gdańsku stało się nie do zniesienia. Tańczył ze Stenią, ładną, choć trochę zbyt chudą córką właścicielki mieszkania, w którym wynajmował pokój do spółki z kolegą. Stenia była właściwie dziewczyną tego kolegi, kończącego studia medyka, ale

wypadł mu właśnie dyżur w szpitalu. Z wrażeń tego balu najbardziej utkwily mu w pamięci lakierki - również pożyczone - były piekielnie ciasne.

- Wystarczy - powiedział Resmann. - Po naszej rozmowie wybierze pan sobie w magazynie kilka cywilnych ubrań. A teraz do rzeczy...

Propozycja (czy można to zresztą nazwać propozycją?), jaką uczynił mu standartenfuehrer, o którym Kloss wiedział, że jest szarą eminencją w wydziale zagranicznym SD, kierowanym osobiście przez Kaltenbrunnera, była nadzwyczaj interesująca. Wyjechać do neutralnego kraju, gdzie nie padają bomby, gdzie ludzie nie wiedzą, co to zaciemnienie, gdzie można pójść do sklepu i kupić wszystko bez kartek. Czy naprawdę są jeszcze takie miejsca na świecie? Wreszcie padła nazwa kraju: Turcja. I miasto: Istambuł.

— Sprawa jest delikatna, oberleutnant — ciągnął Resmann, popijając małymi łydkami włoski wermut - delikatna, ale i pilna. Do naszej placówki istambulskiej, formalnie jest to konsulat, ale spełnia większość funkcji misji handlowej, wkradł się wróg. Masa ważnych informacji dotarła do Anglików, zanim ustaliliśmy, gdzie tkwi zaraza, gdzie jest źródło przecieków. Teraz wiemy z całą pewnością, że właśnie w Istambule. Oczywiście mógłby pan zapytać, dlaczego nie odwołamy całej istambulskiej placówki do Berlina. Nie muszę panu odpowiadać, ale odpowiem. Po pierwsze dlatego, że zdrajca oczywiście odmówiłby powrotu, a powinna spotkać go zasłużona kara. Ale mniejsza o niego. Wcześniej czy później sprawiedliwość niemieckiej Rzeszy dosięgłaby go w każdym miejscu kuli ziemskiej. Rzecz w czym innym: Turcy niesłuchanie przywiązani są do swojej neutralności, ale ta neutralność miewa różne odcienie. Jakiś większy sukces Niemiec sprawia, że mamy wśród nich najlepszych przyjaciół. Niestety, sukcesu dawno nie było, a nieszczęście

stalingradzkie wywołało wzrost nastrojów antyniemieckich. Turkom wystarczy byle pretekst. Odwołanie Grandella (nie powiedziałem panu jeszcze, oberleutnant, że tak nazywa się szef placówki istambulskiej, przepraszam) wraz z całym zespołem mogłoby spowodować trudności w akredytacji kogoś innego, a Istambuł jest nam potrzebny, nie tyle może ze względu na sprawy polityczne, co gospodarcze. Rzadkie metale z Afryki Południowej czy Ameryki Łacińskiej... Skąd byśmy je mieli, gdyby nie Istambuł?

Tak więc zadanie Klossa miało polegać na zidentyfikowaniu agenta Intelligence Service i - jak to subtelnie określił Resmann - unieszkodliwieniu go. Co do pierwszego punktu nie było rozbieżności między Hansem Klosssem, oberleutnantem Wehrmachtu, oddelegowanym do dyspozycji standartenfuhrera SD, a agentem o kryptonimie J-23. Na pewno trzeba będzie znaleźć współpracownika Anglików, choćby po to, by go skutecznie ochronić, by ostrzec, że jego działalność jest przedmiotem śledztwa. Dopiero w drugim punkcie programu, jaki wyznaczył mu Resmann, interesy obu wcieleń Hansa Klossa były całkowicie rozbieżne.

Zgodził się, zresztą Resmann dał mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie oczekuje innej odpowiedzi. Zgodnie z jego poleceniem, Kloss miał w ciągu trzech, czterech dni zapoznać się z aktami personalnymi pracowników konsulatu w Istambule, z setkami agenturalnych raportów, czyli mówiąc po prostu, donosów, spoczywających w teczkach akt osobowych placówki istambulskiej, z tej gmatwaniny złośliwości i głupoty, insynuacji i lizusostwa wyłowić rzeczy, które mogłyby się przydać w nowej roli. A poza tym oczekiwała go lektura raportów i sprawozdań misji handlowej dotyczących handlu jută, jako że Resmann postanowił wysłać go właśnie w charakterze eksperta do spraw włókiennictwa.

Dobre parę wieczorów strawił na studiowaniu notowań giełdowych, sposobów poznawania rozmaitych gatunków surowego włókna, myśląc, że pozostanie mu to w pamięci na zawsze, jak szkolne consecutio temporum, równie jak tamto bezużyteczne, bo przecież juta to tylko pretekst, a jego podwójna rola polegać ma na zupełnie czym innym. Inna rzecz, że studiowanie tych cen i porównywanie ich z aktualnymi notowaniami giełdy dało mu sporo do myślenia. Łańcuszek pośredników, dzięki którym Trzecia Rzesza zdobywała deficytowe surowce, nieźle się obławiał na każdej transakcji. Czy tylko pośrednicy zarabiają na trudnościach materiałowych? Czy pracownicy istambulskiej placówki należą do ludzi, których ręce nie są ani trochę lepkie? Sytuacja przecież wymarzona. Wobec częściowego embarga pewne transakcje załatwia się z ręki do ręki, a spore sumy w twardej walucie przepływają przez te ręce. Trzeba się będzie przyjrzeć temu mechanizmowi - postanowił. Doświadczenie kazało mu przypuszczać, że tam, gdzie w grę wchodzi nielegalnie zdobyte pieniądze, łatwiej znaleźć sprzedajnego informatora. Granica między ordynarną kradzieżą na dużą skalę a zdradą główną jest płynna, niekiedy niedostrzegalna.

Dopił ostatni łyk mocnej i bardzo słodkiej kawy, jeszcze raz rzucił okiem na tajniaka w drugim końcu stołu. Tamten zauważył to spojrzenie, ale nie zmieszał się ani trochę. Zjadł już swoje mięso, do czysta wytarł cynowy talerz białym, pszennym chlebem i teraz modli się zapewne do swego Allacha, żeby człowiek, którego kazano mu śledzić, jak najdłużej siedział w tej chłodnej, półpiwnicznej restauracyjce, żeby nagłym zamiarem wyjścia nie przerwał rozkoszy trawienia. Klossa ogarnęło coś w rodzaju poczucia koleżeństwa z sąsiadem. Mógłby mu właściwie powiedzieć: „Wiesz, bracie, posiedź tu sobie ze trzy godziny, ja tymczasem pozłatwiam swoje sprawy

i przyjdę znowu. Nikt przecież nie sprawdzi, czy wychodziłem z tej restauracji”.

Miał właśnie postukać w cynowy talerz dla przywołania restauratora o owłosionym torsie, gdy ten zjawił się sam. Kloss zapłacił dość wygórowany rachunek. Widocznie cudzoziemcy byli rzadkimi gośćmi w tej restauracyjce i jej właściciel postanowił odbić to sobie teraz. Już rozgarniając zasłonę z nanizanych na sznurki koralików, dostrzegł kątem oka, że grubas nerwowo gmera w portmonetce. Kloss ruszył powoli pod górę. Miał jeszcze przynajmniej godzinę czasu, a przed południem nie

obawiał się, że policja turecka będzie znała jego marszrutę. Cóż bowiem naturalniejszego nad to, że wysłannik niemieckiego ministerstwa gospodarki odwiedzi niemiecką misję handlową. Jeśli coś może tu wydać się podejrzanym, to jedynie, że czyni to dopiero na drugi dzień od swego przyjazdu, zamiast zacząć od tego.

Stał przed żelazną balustradą. Pod nim huczała ulica; przedłużona mostem nad zatoką Złotego Rogu łączy zachodnią dzielnicę, po której od rana włókł za sobą grubego tajniaka, z europejskim Istambułem — nazywanym BeVoglu, przekształci się w ulicę nie będącą ani Champs Elisees, ani Unter den Linden, ani Oxford Street, a będącą zarazem każdą z tych trzech ulic równocześnie. Tam właśnie, w pobliżu przystani, skąd odpływa prom do Uskudar, starej, prawdziwie azjatyckiej części miasta, w dzielnicy zamieszkałej przez bogatych greckich kupców, właściciele wielkich magazynów przy głównej ulicy, ulokowała się niemiecka misja handlowa. Kloss wyciągnął z futerału swoją laikę, pstryknął kilka zdjęć.

Schodząc w dół zauważył, że gruby tajniak zapisuje coś pośpiesznie w zielono oprawnym notesie. Kloss pomyślał o Marcie Kovacs. Może dlatego, że miała ciemnozielony płaszcz, a jej torebka i buty były w tym samym odcieniu zieleni, co notes tureckiego policjanta. Pomyślał o niej jako o Marcie Kovacs - choć mógłby przysiąc, że ani imię, ani nazwisko nie są prawdziwe - po prostu tylko dlatego, że znał to jedno - nieprawdziwe. Nie była piękna, o nie, wyróżniała ją spokojna elegancja, jakże rzadka u kobiet ze środkowej Europy w trzecim roku wojny. W tej chwili mógłby przysiąc, że mignęła mu na peronie warszawskiego Dworca Głównego, nim jeszcze zajął miejsce w wagonie pierwszej klasy pociągu Warszawa - Sofia. A może tylko mu się wydaje? Stał na peronie wpatrując się w czerwone oko semafora, spokojny na pozór, niezbyt pewnie czujący się w cywilnym ubraniu, od którego odwykł. Starannie ukrywane zdenerwowanie miało swoje poważne powody. Przydzielony do dyspozycji Resmanna, poddany został - wiedział o tym -szczegółowej inwigilacji. Raz tylko udało mu się niepostrzeżenie zadzwonić do Ludwika, który spełniał ostatnio funkcję łącznika Klossa z centralą, i zawiadomić go prymitywnym szyfrem o decyzji swoich przełożonych. Nie wiedział, czy uda mu się jeszcze raz skorzystać z telefonu, a raczej wiedział, że będzie to niemożliwe. Znał tylko dzień i godzinę swojego odjazdu. Na wypadek takich sytuacji mieli kilkakrotnie wypróbowany system. Ktoś sprzedający gazety lub papierosy kręci się po peronie, a nie ma przecież nic nienaturalnego w tym, że człowiek szykujący się do podróży kupuje prasę albo papierosy. Moment płacenia jest niesłychanie dogodny do rzucenia mimochodem paru słów lub wręczenia (co bardziej niebezpieczne) maleńkiej, gęsto zapisanej kartki. Tym razem, jak na złość, na peronie nie było nikogo, kto zechciałby go poinformować, czy w miejscu, dokąd posyła go rozkaz jego niemieckich zwierzchników, może liczyć na pomoc swojej centrali. Parokrotnie już zdarzyło mu się pracować w warunkach pozbawienia łączności z centralą i wiedział, że nie ma nic gorszego dla agenta, jak taka sytuacja. Nie chodziło w tym wypadku o instrukcję co ma robić w Istambule, ponieważ sama sytuacja narzucała zadania. Jeśli służbie zagranicznej SD zależy na zdemaskowaniu brytyjskiej wtyczki w niemieckiej misji handlowej, to rola Klossa musi oczywiście polegać na jego ochronie, ostrzeżeniu o niebezpieczeństwie, bacząc równocześnie, by służba Kaltenbrunera otrzymała pięknie opakowany prezent w postaci człowieka z punktu widzenia hitlerowskiej Rzeszy niewinnego, najlepiej jednak łajdaka sporego kalibru. Ale przecież fakt delegowania go do tego miasta przez Niemców mógłby zostać wykorzystany także dla dobra naszej roboty - myślał, nie chcąc przyznać się nawet przed sobą, że idzie mu przede wszystkim o to, by czuć obok siebie obecność ludzi, którym w sytuacjach najcięższych można bezwzględnie zaufać. By nie korzystając nawet z ich

pomocy wiedzieć, że taka pomoc jest możliwa. Stąd z trudem ukrywano zniecierpliwienie.

Już od paru chwil zgasło czerwone, a zapaliło się zielone światło nad torem pociągu, którym miał odjechać, a na peronie nie pojawił się nikt, kto mógłby przypominać człowieka, na którego czekał. Rozległ się przeciągły gwizd, z łomotem trzaskały drzwi pospiesznie zamykanych wagonów, lokomotywa szarpnęła i z wysiłkiem ruszył pociąg. Kloss stał na stopniu gotując się do zatrzaśnięcia za sobą drzwi, gdy zobaczył wybiegającego z tunelu szesnastoletniego chłopaka w kraciastej cyklistówce. Nie mógł się mylić, to musiał być ten, na którego czekał. Może zatrzymała go łapanka, może w ostatniej chwili dostał instrukcje? - przemknęło mu przez myśl. Chłopak nie dawał za wygraną, choć pociąg nabierał szybkości. Biegł wzdłuż wagonów krzyknąć „Cafe Rosé”, jakby był to tytuł najbardziej sensacyjnego artykułu z codziennej warszawskiej gadzinówki. Dostrzegł widać Klossa zatrzaśniętego za sobą drzwi, bo krzyknął jeszcze raz swoje „Cafe Rosé”, zwolnił, a potem jakby z rezygnacją zawrócił ku wyjściu.

Nie wiedząc jeszcze, co znaczą słowa wykrzykiwane przez ulicznika, ale nie mając wątpliwości, że przeznaczone były właśnie dla niego, ruszył korytarzem, szukając przedziału, w którym wcześniej zostawił był swoją walizkę. Może dlatego, że zaglądając do przedziałów patrzył przede wszystkim na wysoko umieszczone półki, nie od razu zauważył dziewczynę w zielonym płaszczu. Siedziała wtulona w kąt ławki, wpatrzona w przesuwane się wolno za oknami mury jakichś kolejowych magazynów, na których ktoś odważny wymalował ogromne znaki stylizowanej kotwicy, i niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy skwitowała jego głośne powitanie. Tak, Marta Kovacs (dowiedział się jej nazwiska po kilkugodzinnej jeździe w tym samym przedziale, już w protektoracie Czech i Moraw) była sprytną dziewczyną. Nie manifestowała bynajmniej pragnienia nawiązania znajomości z przygodnym współtowarzyszem podróży, co musiałoby niewątpliwie wzbudzić jego czujność, przeciwnie, czyniła wszystko, by zniechęcić go do prób podejmowania rozmowy. Sprytna dziewczyna i niezła aktorka. Dopiero kilkadziesiąt kilometrów przed granicą węgierską, gdy zaczęło w niej narastać zdenerwowanie, a raczej, jak wie to już teraz, poczęła udawać narastające zdenerwowanie, utraciła swój chłód, jakby chciała niwelować przepaść między nimi, wytworzoną długą jazdą w milczeniu. Ale wtedy Kloss był czujny. W drodze bowiem do restauracyjnego wagonu zobaczył (czego ona nie wiedziała) za niedokładnie zasuniętą firanką jednego z sąsiednich przedziałów człowieka, który nie miałby powodu ukrywać przed Klosssem swojej twarzy, gdyby nie zamierzał działać przeciwko niemu, samego standartenfuhrera Resmanna...

Scenariusz obmyślony był precyzyjnie. Narastający strach Marty Kovacs, w miarę jak zbliżali się do granicy węgierskiej, musiał się rzucać w oczy. Wreszcie wyznała, jękając się, że wiezie nieco za dużo papierosów, więcej niż pozwalają na to przepisy celne i gdyby pan Kloss był tak uprzejmy...

Domyślił się, co teraz będzie. Jeśli zgodzi się na przewiezienie paru paczek papierosów przez granicę, stanie się jej współnikiem, ponieważ na terenie Węgier pani Kovacs wyzna, że jest czyjąś tam agentką, a w paczce przewiezionej przez Klossa było coś kompromitującego - dokument albo mikrofilm. Prosta droga do szantażu: „musi mi pan dalej pomagać, bo inaczej...”

Obecność Resmanna w szczelnie zasłoniętym przedziale i fakt, że Marta podróżuje z bronią (gdy wyszła na chwilę z przedziału, wprawnie obmacał spoczywającą na półce mufkę i wyczuł znany kształt damskiej „piątki”), wykluczył możliwość, iż Marta Kovacs jest naprawdę pracownikiem któregoś z alianckich wywiadów lub organizacji podziemnej jakiegoś okupowanego kraju. Więc

sprawa jasna. Mógł oczywiście odmówić Marcie Kovacs tej drobnej uprzejmości, likwidując cały misternie sklecony plan, ale po pierwsze — korciło go, aby się przekonać, czy się nie myli, po drugie zaś — wiedział, że jeśli SD istotnie postanowiło go jeszcze raz sprawdzić, to znajdzie wkrótce inną okazję poddania go próbie. A on wolał mieć to już poza sobą.

Więc „był tak uprzejmy” i przyjął od Marty Kovacs parę paczek papierosów. Wypatrzył jedną, w której celofan przyklejony był nierówno, pokazał ją Marcie.

- Czy to pudełko mam otworzyć, czy będziemy szukali we wszystkich?

Nie odpowiedziała, więc zerwał celofan i nie spuszczać z niej wzroku, wyjmował kolejno papierosy Wewnątrz jednego wyczuł twardość.

- Mikrofilm - stwierdził raczej, niż zapytał. - Dla kogo pani pracuje? Ostrzegam, że jesteśmy jeszcze na terenie Rzeszy i na najbliższej stacji wezwę policję... No, więc?

Roześmiała się bez przymusu.

- Nie udało się, Kloss - powiedziała. - A miałam już nadzieję, że uda mi się zwerbować pana do Intelligence Service - znów się roześmiała. - Chodźmy do standartenfuehrera Resmanna, czeka na nas... Zabawna sytuacja, co?

Udał zdziwienie, też się roześmiał. Idąc za nią korytarzem myślał, że sytuacja byłaby naprawdę zabawna, gdyby Marta Kovacs, podobnie jak on, występowała w podwójnej roli. Ale tego chyba nigdy nie sprawdzi.

Kiedy stanąwszy przy balustradzie mostu, by popatrzeć chwilę w mętne wody zatoki, odwrócił się, zobaczył swojego prześladowcę barzo już zmęczonego. Widać porwany własnymi myślami szedł za szybko. Do umówionego spotkania z konsulem Grandelem brakowało jeszcze dwudziestu minut. Postanowił dać tajniakowi pięć minut odpoczynku.

## 2

Radca Witte w nie najlepszym humorze wspinał się schodami myśląc, że wezwanie do szefa nie wróży mu nic dobrego. Kiedy trzy miesiące temu Grandel - tak samo jak dziś, zaraz po rozpoczęciu urzędowania - wezwał go do siebie, miał mu do zakomunikowania, że ministerstwo w ramach oszczędności dewiz postanowiło odwołać do Niemiec rodziny swoich zagranicznych pracowników. Ledwie zdołał przekonać szefa, by zezwolił przynajmniej do wakacji pozostać żonie i dzieciom Wittego w Istambule. Oczywiście dodatek rodzinny Witte-mu obcięto, ale dobre przynajmniej i to, że nie musi wracać do bombardowanego kraju właśnie teraz, kiedy alianckie naloty wzmogły się, kiedy triumf niemieckiego oręża, oczywisty dla Wittego jeszcze trzy lata temu, nie jest tak całkiem pewny, a gdyby Witte miał odwagę przyznać się przed sobą samym do nurtujących go wątpliwości, musiałby stwierdzić, że w zwycięstwo wielkich Niemiec nie wierzy nic a nic, a jedyną niewiadomą pozostaje

termin krachu marzeń o podboju świata. Czyżby więc Grandel pragnął wrócić do tamtej rozmowy sprzed trzech miesięcy? Może dostał ponaglenie z ministerstwa? Przecież teraz pobyt rodziny Wittego w Istambule nie kosztuje Rzeszy ani feniga. Więc może te oszczędności dewizowe były jedynie pretekstem, może chcą, by odesłał żonę i dzieci do Niemiec w charakterze zakładników, może wywęszyli już, że prowizja za dostawę pilnego ładunku rudy manganowej była zbyt wysoka, nawet jak na Istanbuł i biorąc pod uwagę okoliczności wojenne... Trudno. Jeśli rzeczywiście będą chcieli to zrobić, postara się odwlec decyzję maksymalnie, a potem sprzedawszy wszystko, co wie, jakimkolwiek wywiadem, ukryje się gdzieś możliwie najdalej od Europy i cierpliwie doczeka końca wojny.

Ta decyzja, a może i myśl, że za chwilę otaksują go badawcze oczy Elzy von Tilden, sekretarki szefa, zimnej starej panny, oddanej bez reszty nazizmowi („nie ma nic gorszego niż nazistki pozostające w staropanieństwie” — zwykł mawiać do swojej żony, gdy był absolutnie pewien, że nikt go nie może usłyszeć), poprawiła mu nieco samopoczucie, bo, nacisnąwszy klamkę drzwi wiodących do sekretariatu konsula, minę miał prawie wesołą.

- Heil Hitler, Elzo - powiedział pogodnie. - Nie wie pani, czego stary chce ode mnie?

- Czeka na pana od pięciu minut - odparła chłodno.

Otworzył obite ceratowym materacem drzwi gabinetu konsula. Grandel bez słowa wskazał mu fotel naprzeciw biurka i chwilę jeszcze pochylał się nad poranną pocztą. Skreślił jakąś uwagę na marginesie ostatniego listu, zdjął okulary, starannie zakręcił swojego Watermanna i dopiero wtedy spojrzał na Wittego.

- Czy załatwił pan wszystko w związku z przyjęciem?

- Oczywiście - odparł skwapliwie Witte, zadowolony, że rozmowa toczyć się będzie na gruncie, na którym czuł się dość pewnie. - Kucharze i kelnerzy, panie konsulu, zamówieni, zaproszenia wysłane... Ale... - urwał i spojrzał w wodniste oczy konsula. Była w tym spojrzeniu zarówno wierność i oddanie podwładnego, jak i propozycja pewnej konfidencji. - Boję się o gości - skończył zdanie. - Dzwonił do mnie sekretarz prezydenta miasta, że prezydent właśnie tego dnia musi być w Ankarze. Oczywiście przyjdzie garstka naszych przyjaciół, przedstawiciele firm, z którymi utrzymujemy stosunki handlowe. Ze strony oficjalnej przyjdą zapewne mali urzędnicy.

- Dziwi się pan, Witte? - Grandel uniósł brwi nad krótkowzrocznymi oczami. - Ja nie. Każda zmiana na froncie na naszą niekorzyść i natychmiast Turcy przysyłają czwartorzędny garnitur. Drogi radco, jestem pewien, że już niedługo prezydent miasta i najwybitniejsi notable będą nas prosić o audiencję. Wystarczy jedna zwycięska ofensywa. Zna pan tych handlarzy, ten - prychnął z niesmakiem - wschodni jarmark. A na razie trzeba się zachowywać tak, jakbyśmy tego nie zauważyli. Przyjęcie musi być skromne, to zrozumiecie, nasz kraj walczy, nie możemy sobie pozwalać na luksusy, ale w najlepszym tonie. Rozumie pan, co mam na myśli? Niech pan prosi, kogo się da. Niżsi funkcjonariusze wiedzą czasem więcej od swoich szefów i nie nauczyli się jeszcze trzymać języka za zębami.

-Jestem tego samego zdania, panie konsulu - wtrącił pospiesznie Witte.

- Jeszcze jedna sprawa - zawiesił głos Grandel. Zabębnił palcami po szklanym blacie biurka. Wpatrywał się, zmrużywszy oczy, w swego rozmówcę.

Milczenie trwało krótko, ledwie parę sekund, ale Witte poczuł pełną wzdłuż ciała strach. Najpierw sztywne, jakby nagle sparaliżowane stopy, potem wyżej, nogi aż do kolan; gdyby nie to, że siedzi w fotelu, upadłby zapewne. W jednej sekundzie pożałował wszystkiego: zarobków, swego przyjazdu do Istanbuhu, nawet tego, że stawił się na żądanie konsula w jego gabinecie. Zaraz wejdzie Peters - przemknęło mu przez myśl. Peters był oficjalnie szefem służby bezpieczeństwa konsula, ale nikt w konsulacie nie miał wątpliwości co do tego, kim naprawdę jest ten niski mężczyzna o kwadratowej szczęce i spłaszczonym nosie byłego boksera, nie wyjmujący niemal ręki z wiecznie wypchanej kieszeni. Nieraz Witte zastanawiał się, kto rządzi w konsulacie: Grandel czy szef służby bezpieczeństwa, Peters, bez którego nie mógłby się przecież obyć ten skrawek niemieckiego terytorium w środku obcego miasta. Na szczęście nie otworzyły się drzwi, nie stanął w nich Peters.

- Jeszcze jedno, panie radco - powtórzył Grandel. - Czy pan nadal utrzymuje stosunki z Christopulisem?

- Pan przecież wie, że to należy do moich obowiązków - odparł, mając nadzieję, że konsul nie wyczuje w jego głosie drżenia. — Przecież dzięki niemu udało mu się załatwić tę pilną dostawę manganu.

- Nieżle sobie policzył za tę usługę - mruknął konsul i machnął ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie o to mu idzie. - Spotykacie się tam, gdzie przedtem?

- W „Cafe Rosé” - odparł Witte.

- To świetnie - powiedział konsul. - Mam nadzieję, że będzie pan tam jeszcze przed naszym przyjęciem. Byłbym bardzo rad, gdyby panna Rosé chciała być na naszym przyjęciu. Zaproszenie wręczy pan jej osobiście. Osobiście - powtórzył. - Odnoszę wrażenie, że znajomość z tą panią będzie przydatna w naszej pracy...

Akurat - pomyślał Witte. Wiedział już od Christopulisa, że stary Grandel ma ogromną chrapkę na piękną właścicielkę nocnego lokalu. Ale cóż znaczy wieloletni trening niemieckiego urzędnika. Z kamienną twarzą potakiwał długim a mętnym wywodom szefa o korzyściach, jakie przyniesie ich placówce rozszerzenie kręgu znajomości o pannę Rosę. A równocześnie miał ochotę zbić się po twarzy za to przekłete paraliżujące uczucie strachu, jakie go ogarnęło parę minut temu. Odprężony i lekki, jakby ubyło mu kilka lat, zerwał się z fotela, gdy Grandel skończył swoją tyradę.

- Oczywiście, panie konsulu, nie tylko dyskretnie wręczone jej zaproszenie, ale szepnę jej, że panu konsulowi specjalnie zależy...

Dopiero gdy otwierał obite materacem drzwi gabinetu, dosięgnął go cios, którego przecucie towarzyszyło mu dziś od rana. Aż zachwiał się pod słowami konsula, rzuconymi mimochodem i jakby od niechcenia.

- Jeszcze jedno, Witte, zapomniałem panu powiedzieć, że ministerstwo gospodarki przysłała tu



kogoś na inspekcję, zjawi się lada dzień. Pan będzie się musiał nim zająć.

- Oczywiście, panie konsulu - rzekł i zamknął za sobą drzwi.

W sekretariacie spotkał się wzrokiem z chłodnym, badawczym spojrzeniem panny von Tilden.

Przypomina entomologa, przyglądającego się nadzianemu na szpilkę owadowi - pomyślał. - To ja jestem tym owadem - uświadomił sobie już na schodach.

### 3

Miał pokój na pierwszym piętrze, z dużym oknem i wyjściem na balkon. Hotel był niewielki, usytuowany w zacisznej dzielnicy, niedaleko centrum europejskiej części miasta, a jednak nie dobiegały tu zgrzyty przejeżdżających dwie ulice dalej tramwajów. Ze swojego balkonu mógł dostrzec wąski, błękitnawy skrawek Bosforu, daleko na skraju horyzontu policzyć wysmukłe wieżyczki minaretów i kopuły bizantyjskich kościołów, zamienionych na meczety. Mógł też, wychyliwszy się nieco, zobaczyć wysypyany grubym żwirem podjazd do hotelu i rząd rozłożystych kasztanów. Pod jednym z nich tkwił teraz wymuskany młody człowiek o aparycji fryzjera najprzystojniejszego w miasteczku liczącym nie więcej niż dwa tysiące mieszkańców. Palił papierosa z długim ustnikiem i machinalnie rozgarniał szpicem jasnożółtego trzewika żwir u swych stóp. Kloss zauważył 20 zaraz po wyjściu z konsulatu. Widocznie zmienił grubasa, w czasie gdy on bawił u Grandela.

Kloss odwrócił wzrok od okna, jeszcze raz przyjrzał się pokojowi, spenetrował wszystkie kąty. Choć nie przewidywał żadnych ważnych dla siebie spotkań w hotelu, nie lubił mikrofonów i kamer poukrywanych w hotelach dla cudzoziemców z typowym dla policji brakiem wyobraźni. Jednakże nie znalazł nic ani w żyrandolu, ani pod żadnym z obrazów na ścianach, ani nawet w kinkiecie zwisającym u wezłowia łóżka. Spojrzał na walizki -eleganckie, z wytłaczanej cielęcej skóry, prosto z magazynu od Resmanna. Stały dokładnie w tym samym miejscu, gdzie je pozostawił. A jednak coś wzbudziło jego podejrzenie. Zamek walizki, który zwykle nieco odsta-wał, teraz wciśnięty był bardzo mocno. Więc jednak, jak było do przewidzenia, ktoś już zainteresował się pobytem w Istambule wysłannika niemieckiego ministerstwa gospodarki. Czegóż innego mógł oczekiwać - nawet wówczas, gdyby naprawdę był przedstawicielem ministerstwa gospodarki? Wczoraj natychmiast po wyjściu z dworca, wśród przekupniów natrętnie podsuwających towary, tragarzy gotowych zanieść jego walizki i naganiaczy oferujących przyjezdnym znakomite i mniej znakomite hotele, dostrzegł faceta z wymierzonym weń obiektywem aparatu. Facet oczywiście chciał uchodzić za zwykłego ulicznego fotografa, zagadkowe było tylko to, że wręczając Klossowi firmową wizytówkę, odezwał się do niego całkiem niezłą niemczyzną. Wczorajsze i poranne wędrówki z tajnikami za plecami też o czymś świadczyły.

Podszedł do mniejszej walizki, obejrzał ją najpierw, nim otworzył wieko. Wszystko było w najzupełniejszym porządku, przynajmniej na pozór; koszule, skarpetki i chustki do nosa poukładane jak przedtem starannie. Tylko zniknął gdzieś kawałek włosa włożony między drugą a trzecią chusteczkę w stosie. Więc jednak. Był już pewien, do drugiej walizki nie musiał nawet zaglądać.

Zresztą wiedział, że ktokolwiek dokonał rewizji, nie znalazł niczego. Jediną rzecz, której znalezienia mógłby się obawiać, mały rewolwer z tłumikiem, przewiózł spokojnie przez kontrolę celną w futerale swojej laiki, po przyjeździe zaś i ulokowaniu się w tym hotelu nie rozstawał się z nim ani na chwilę.

Mógł oczywiście dać za wygraną i udawać, że nic nie wie o rewizji, postanowił jednak skorzystać z okazji i poznać zarządzającego. Zadzwoił po pokojówkę i kazał jej poprosić kierownika hotelu. Stał po chwili w drzwiach, lekko schylając głowę w ukłonie.

- Pan mnie wzywał; sir? - zapytał kanciastą angielszczyzną.

- Jeśli pan jest zarządzającym...

- Jestem właścicielem - ukłonił się tamten jeszcze raz. — Czy ma pan jakieś zażalenia?

- Owszem - odparł. - Przyjeżdżam z kraju prowadzącego wojnę. Jestem co prawda busnessmanem, zdaję sobie jednak sprawę, że będę narażony w tym mieście na wścibstwo rozmaitych ludzi i instytucji. Chciałbym jednak uniknąć prowokacji, chciałbym przynajmniej tu, w tym hotelu, wiedzieć, że jestem bezpieczny. Czy może mi pan to zapewnić, czy mam sobie poszukać innego hotelu?

- Nie wydaje mi się, bym pana rozumiał - powiedział tamten uśmiechając się słabo.

- Ktoś grzebał w moich rzeczach - walnął prosto z mostu.

Mam nadzieję, że pan się myli, sir.

-Nie mylę się.

- Być może służba sprzątajac - uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie - przesunęła jakieś przedmioty należące do pana, ale zapewniam, że to się nie powtórzy. Wydam odpowiednie polecenia. Nawiasem mówiąc, w innych hotelach policja także obserwuje cudzoziemców. Trudno się jej dziwić, nieprawdaż, sir? - Ukłonił się i nie powiedziałszy ani słowa więcej, cicho zamknął za sobą drzwi.

Szczerze mówiąc, właściciel nie bardzo podobał się Klossowi. Za jego ugrzecznieniem kryło się coś, czego Kloss na razie nie potrafiłby określić, chociaż jeśli idzie o ciekawość policji pewnie miał rację. Może sam zresztą pracował dla policji? W każdym razie jego zainteresowanie gościem, który miał najdroższy i najładniejszy pokój w hotelu, „Orient” przekraczało nieco granicę uprzejmości właściciela hotelu wobec gościa. Wczoraj, w parę godzin po przyjeździe, kiedy Kloss udawał, że szuka w książce telefonicznej, umieszczonej na ladzie w recepcji, numeru niemieckiego konsulatu, chociaż właściwie chciał znaleźć adres lokalu, którego nazwę wykrzykiwał ulicznik na warszawskim dworcu, cały czas czuł na sobie badawcze, choć ukradkowe spojrzenie tego człowieka. Wziął go wówczas za recepcjonistę, nie wiedział, że ma do czynienia z samym właścicielem.

Jeszcze wczoraj znalazł na planie Istambułu nazwę ulicy, przy której powinna znajdować się „Café Rosé”, i ruszył na miasto. Stracił jednak sporo czasu na zgubienie wczorajszego tajniaka,

chudzielca o sterczycach w rękach, przypadkiem trafił na bazar i dopiero tam między rozwieszonymi dywanami udało mu się zniknąć z oczu swemu prześladowcy. Znalazł wreszcie budynek koloru ochry w jednej z przecznicy głównej ulicy wiodącej do dworca, nie dalej niż kilometr od jego hotelu, ale w pierwszej chwili pomylił, że pomylił adres. Nic nie wskazywało na to, że w budynku mieści się kawiarnia przynajmniej w europejskim tego słowa znaczeniu. Dopiero widok małej emaliowanej tabliczki z napisem „Café Rosé” potwierdził, że to jednak to, czego szukał, a mniejsze literki tkwiące pod nazwą lokalu na emaliowanym szyldzie wyjaśniały nieco ten niezwykły wygląd: „Privat Club”. Zastukał drewnianą kołatką, umieszczoną przy dębowych drzwiach i po chwili zobaczył ogromne babsko w rozchełstany szlafroku, z dużym nosem i siwym wąsem nad górną wargą. Już wtedy zaczął podejrzewać, że słowo „Privat” w szyldzie niespecjalnie ściśle oddaje charakter instytucji.

Babsztyl zagadał szybko po turecku, usiłując mu coś wytłumaczyć, po czym dostrzegłszy, że wysiłek to daremny, chciał z rozmachem zamknąć mu drzwi przed nosem. Ale tego właśnie Kloss się po niej spodziewał, przytrzymał drzwi i najpierw po angielsku, a potem po francusku próbował wyjaśnić babie, która była tu zapewne cerberem, że chce się widzieć z mademoiselle Rosé. Prawdopodobnie na nic by się nie zdały jego słowa, starucha machała rękami, trajkocząc coś bez przerwy, gdyby na szczycie schodów nie pojawiła się młoda kobieta o wysoko upiętych blond włosach.

- To jest nocny lokal, monsieur, teraz nieczynny - powiedziała płynną francuszczyzną z cudzoziemskim akcentem. - Moja konsjerżka usiłuje to panu wytłumaczyć. Poza tym jest to prywatny klub, tylko dla członków.

- Przepraszam - powiedział. - Mój przyjaciel, który polecił mi „Café Rosé”, nic mi o tym nie wspominał.

- Pański przyjaciel? - przeciągnęła sylaby. - Czy jest członkiem naszego klubu? Można wiedzieć, kto to taki?

- Mój przyjaciel Teodor - rzekł.

- Ach tak! - ucieszyła się. - Jest pan przyjacielem Teodora, to co innego. Proszę bardzo. - Wskazała mu ręką, by poszedł za nią.

Imię męskie, zmieniane przez centralę co miesiąc, było pierwszym hasłem, niejako wstępnym tekstem, służącym do sprawdzenia, czy rozmówca jest tym, za kogo się podaje. Zasada ta obowiązywała wszystkich agentów centrali i ta jej uniwersalność oddała Klossowi nieraz nieocenione usługi. Nieważna była bowiem treść wypowiedzianego zdania, nawet język, w jakim to zdanie zostało wypowiedziane. Ważne było tylko imię, w tym miesiącu właśnie Teodor.

Pokój, do którego go wprowadziła, był typowym, można powiedzieć, aż nazbyt typowym, buduaem kokoty. Różowe ściany obite adamaszkiem, także zasłony, wielkie owalne lustro z ramą, która chciała udawać, że jest co najmniej o sto lat starsza, niż była w istocie. Stos kolorowych poduszek na niskim i szerokim francuskim łożu. Tylko ciemnoorzechowe biurko, zbyt wielkie dla kobiety, stanowiło obcy wręt w tym pokoju.

Podsunała mu puf przykryty skórą jakiegoś zwierzęcia. Podeszła do lustra, poprawiła niesforny kosmyk włosów. Dopiero teraz mógł się jej przyjrzeć. Nie była piękna, trudno chyba nawet byłoby o niej powiedzieć, że jest ładna. Miała jednak w sobie coś, co musiało się podobać mężczyznom. W typie starszych panów - pomyślał.

- A więc? - odwróciła się w jego stronę. Były to pierwsze słowa, jakie wymówiła po wejściu do pokoju. Nie chciała wypowiedzieć pierwszego członu hasła, czekała na niego.

- Teodor nie jest moim przyjacielem - rzekł.

- Jest zapewne pańskim kuzynem.

- Ciotecznym bratem mojej matki.

- W porządku, J-23 - odpowiedziała. - Dostaliśmy wiadomość, że przyjedziesz. Szef powiedział, że mam ci służyć wszelką pomocą. - Otworzyła dolne drzwiczki biurka, wyjęła butelkę i szklanki. - Odrobinę whisky?

- Dlaczego odrobinę?

- Możesz dostać, ile chcesz, ale chyba nie przyjechałeś do Istambułu, żeby pić scotcha. Potrzebujesz czegoś? Może pieniędzy?

- Na razie nic mi nie trzeba, może potem. - Krótko, bez zbędnych szczegółów, objaśnił jej swoją misję. Zapytał, czy wie coś o niemieckim konsulacie.

- Kilku panów z konsulatu Rzeszy jest członkami naszego klubu, a sam pan konsul raczy mnie nieco adorować. Jeśli chcesz, żebym poznała go bliżej...

- Nie, na razie nie - powiedział to chyba zbyt szybko. - Może - dodał - będę potrzebował jakiegoś dościa do Anglików. Ale najpierw chcę się rozejrzeć.

- Zamelduję szefowi. On już wie, że przyjechałeś. Oczywiście zapowiem, żeby wpuszczano cię do klubu, chociaż lepiej byłoby, gdyby wprowadził cię któryś z twoich niemieckich przyjaciół. Tutaj nigdy za dużo ostrożności. W Istambule działa niezależnie od siebie przynajmniej sześć wywiadów, nie licząc tureckiej policji i kontrwywiadu wojskowego. Niedawno Turcy z wielkim hukiem wyrzucili konsula Mandzuku. Nigdy byś się nie domyślił - roześmiała się swobodnie - dla kogo jeszcze pracował poza tym, że oczywiście pracował także dla Japończyków. Zaraz, zaraz... — zawołała — przypomniałam sobie coś, co cię powinno zainteresować. Dostałam cynk z Banku Centralnego, że ktoś z konsulatu niemieckiego ma u nich własne konto. Prawdopodobnie pracuje dla siebie, nie muszę ci mówić, prowizje, łapówki i tak dalej. Postaram się dowiedzieć, kto to i jeśli się uda, dostarczę ci wyciąg z jego konta. Dobrze zawsze mieć w takich okolicznościach faceta, którego można cokolwiek podusić.

- Widzę, że żadna z tajemnic rzemiosła nie jest ci obca. A co do duszenia...

- Kochanie - przerwała mu - dwanaście lat w tym zawodzie...

- Niemożliwe! - zdziwił się szczerze, a potem dodał: - Co do duszenia, to trzeba być z tym ostrożnym. A nuż to jest właśnie facet, który pracuje dla Anglików i ciuła w banku zarobione u nich pieniądze, ewentualnie uzupełniając sobie na boku wpływami ze swoich interesików?

- Raczej nie - odparła po krótkim namyśle. - Anglicy są na to zbyt ostrożni. Wolą deponować honoraria w Bank of England.

Musiał jej przyznać rację. Postanowił zapytać jeszcze o jednego człowieka, którego nazwisko przewijało się dość często w raportach radcy Witte, z którymi miał okazję zapoznać się przed wyjazdem do Istanbuhu.

- Mówi ci coś nazwisko Christopulis?

- Poznasz go zapewne, stały gość naszego klubu. Czarujący chłopak - uśmiechnęła się. - Grek z obywatelstwem tureckim - uzupełniła. - Nie praktykujący prawnik, zresztą kto go tam wie. W każdym razie tytułują go mecenasem. Prawdopodobnie powiązany z policją turecką, pośrednik, faktor, czy jak to chcesz nazwać, zawsze ma pieniądze, jest właścicielem najnowszego modelu jaguara, otoczony wianuszkami najładniejszych w tym mieście dziewcząt. Od czasu do czasu dysponuje ciekawymi informacjami, które gotów jest sprzedać każdemu za odpowiednio wysoką cenę. Mówi znakomicie paroma językami. Krążą o nim plotki, że jest rezydentem Anglików, ale to mało prawdopodobne. Chłopak ma powierzchowność zbyt rzucającą się w oczy.

Odprowadziła Klossa do schodów, skinęła mu głową na pożegnanie.

- Do wieczora - powiedziała.

Kloss spojrział na zegarek. Dochodziła siódma. Upał za oknem nieco zelżał. Co prawda klub pani Rosę rozpoczynał działalność już o ósmej, on jednak zamierzał przyjść tam później. Zgodnie z radą Rosę, podczas pobytu w konsulacie wciągnął radcę Wittego w rozmowę o możliwościach męskiej zabawy w tym mieście i sprowokował go do wypowiedzenia nazwy „Cafe Rosë”. Ugrzeczniony radca natychmiast zaproponował Klossowi wprowadzenie do klubu.

Tajniak tkwił ciągle pod kasztanowcem, ale Kloss nie miał już powodów, żeby ukrywać, dokąd zamierza wybrać się wieczorem. Lokal panny Rosę zapewne także pozostaje pod stałą obserwacją. Podniósł słuchawkę telefonu, zawiadomił recepcjonistę, a właściwie chyba właściciela hotelu, bo nikogo poza nim Kloss nie widział jeszcze w recepcji, że zamierza się nieco zdrzemnąć i prosi o obudzenie oraz przywołanie taksówki przed dziesiątą.

- Jeśli chce się pan zabawić, sir - powiedział tamten swoją trzeszczącą angielszczyzną — to mogę polecić znakomity lokal w pobliżu naszego hotelu. Nie musi pan nawet brać taksówki. Nazywa się „Cafe Rosë”, ale niech pana nie zmyli nazwa, to nie jest...

— Dziękuję — przerwał mu sucho Kloss. — Dam sobie radę.

Położył się, ale nim usnął, zdążył jeszcze pomyśleć, że coraz mniej podoba mu się właściciel hotelu „Orient”.

Radca Witte dostrzegł srebrzystoszary wóz Christo-pulisa opodal tarasu modnej kawiarni niedaleko Muzeum Mozaik, wszedł nawet do wnętrza, niemal pustego o tej porze, ale Greka nigdzie nie dostrzegł. Skreślił więc parę słów na kartce i włożył ją za wycieraczkę jaguara. Chciał się zobaczyć z Grekiem wcześniej, niż dojdzie do zetknięcia się wysłannika ministerstwa gospodarki z pośrednikiem. Witte odsuwa od siebie myśl, że ten młody człowiek, z którym przed paru godzinami rozmawiał w gabinecie konsula, przyjechał specjalnie po to, by jemu, Wittemu, udowodnić drobne w końcu malwersacje, jakich dopuścił się na szkodę państwa niemieckiego. Ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Christopulis co prawda nie należy do ludzi zdolnych do wygadania się, chyba że zdradzenie jakiegoś sekretu leży akurat w jego interesie, ale lepiej dmuchać na zimne. Konsul Grandel, niezwykle nadskakujący gościowi z Berlina, polecił Wittemu, by udzielił „wszelkiej pomocy doktorowi Klossowi”. Młody człowiek z uśmiechem sprostował, że nie przysługuje mu ten tytuł, ale już po wymienieniu paru ogólnych zdań Witte zorientował się, że jest całkiem nieźle poinformowany w sprawach handlu, trudności ze zdobywaniem deficytowych surowców lub obłożonych embargiem materiałów, rozliczeń, kredytów, prowizji i temu podobnych.

Chociaż więc z Klossem umówiło się póniej, przyszedł do „Cafe Rosë” zaraz po otwarciu lokalu. Zauważył zaparkowany opodal wóz Christopulisa. Zaczył to, że Grek znalazł pozostawioną za wycieraczką kartkę. Wszła baba przy wejściu powitała go jak starego znajomego, pomogła mu zdjąć płaszcz, wyraziła radość, że znów ma szczęście widzieć „pana ambasadora”. Tak nazywała nieodmiennie wszystkich zagląających tu pracowników zagranicznych placówek. W dużej sali, nazywanej przez bywalców „lustrzaną”, senna dziewczyna w szarawarach, z na wpół zakwieconą twarzą serwowała trunki, druga, także z zasłoniętą twarzą, lecz za to z nagim pępkiem, wyginała się dość leniwie na małej estradzie w takt jakiejś monotonicznej wschodniej melodii, wydobywającej się z małej wnęki, w której trzy stłoczone dziewczyny szarpały struny instrumentów nie znanych Wittemu nawet z nazwy. Jakby dla zrównoważenia faktu, że w lokalu tym pracowały jedynie kobiety, klientami byli wyłącznie mężczyźni. Zresztą „klientami” to złe słowo - poprawił się w myśli. Rosę miałyby mu za złe. Ona powiedziałyby: gośćmi lub członkami klubu...

Witte rozejrzał się. Przy niskim stoliku grupka zażywnych mężczyzn o orientalnym typie urody śmiała się głośno z czegoś, ale Christopulisa między nimi nie było. Także w sali karcianej było zupełnie pusto. Domyślił się, że Christopulis jest na górze; w prywatnych apartamentach właścicielki lokalu. Był jednym z nielicznych znajomych Wittego, który miał prawo wstępu na piętro. Bo lokal panny Rosę, wbrew pozorom, był instytucją całkiem przyzwoitą. Oczywiście wszystko było tak pomyślane, by stworzyć atmosferę erotyzmu, ale i na atmosferze się kończyło. Chyba żaden z bywalców nie mógłby się pochwalić bardziej intymnymi stosunkami z którąś z uroczych tancerek czy kelnerek, a tylko nielicznym udawało się wejść na górę.

Witte aż drgnął - ktoś niespodziewanie dotknął jego ramienia. Odwrócił się raptownie.

- Kłopoty? - zapytał Christopulis. - Ma pan minę człowieka, którego Allah doświadcza kłopotami.

Przysunął sobie niski puf i siadł obok Wittego. Ale nim to uczynił, radca miał możliwość zauważyć, że marynarka Greka jest jeszcze o pół cala dłuższa, a spodnie troszeczkę szersze, niż nakazuje tegoroczny żurnal. Christopulis położył wąską, wypielęgnowaną dłoń na kolanie Wittego. W nastrojowym półmroku błysnął wszystkimi kolorami tęczy ogromny brylant na jego palcu. Kiedyś, gdy Witte zapytał go, ile wart jest ten pierścień, Christopulis odpowiedział niedbale, że dwie - trzy dobre kamienice w śródmieściu.

- Allach zsyła kłopoty, Allach uwalnia od kłopotów. -Odebrał z tacy kelnerki, która pochyliła się nad ich stolikiem, dwie kryształowe szklanki napelnione do połowy brązowym płynem. Zadzwończyły kostki lodu. -Napije się pan? Nic lepszego nie wymyślono dotychczas na zmartwienie.

- Allach zabrania picia - zauważył cierpko Witte.

- Przymyka oko - błysnął białymi zębami Christopulis - jeśli pije się dla uczczenia dobrego interesu.

- Myślałem, że pan robi wyłącznie dobre interesy. Czyżby ten był wyjątkowy?

- Słyszał pan starą opowieść o facecie, który sprzedawał wiernego psa? To był bardzo dobry pies. Wracał. I można go było sprzedawać znowu.

- Dajże pan spokój dykteryjkom, Christopulis. Ile razy zaczyna pan opowiadać orientalne bajki, odnoszę wrażenie, że pan kogoś udaje.

- Wszyscy kogoś udajemy. Pan na przykład...

- Christopulis - powiedział ostro Witte - chce pan, żebyśmy się pogniewali?

- Skądże - roześmiał się Christopulis. - Nie chciałbym stracić swojego najlepszego klienta. Może uda mi się i panu sprzedać swojego psa. Muszę się zastanowić.

- Niech pan nie żartuje. Musimy się na jakiś czas wstrzymać z interesami. Pan wie, Christopulis, że pan ma ze mną niezłe życie. Nie wiadomo, czy z moim następcą...

- Chcą pana odwołać do Rzeszy? — zapytał poważnym tonem.

-Jeszcze nie, ale przyjechał tu ktoś, kto może zechce węszyć, ktoś, kto nie wygląda na faceta znającego się na żartach.

- Ale może zna się na wartości pieniędzy? - zapytał Christopulis, a na pytające spojrzenie Wittego dodał: -Jak pan myśli, odróżniłby studolarówkę od banknotu dolarowego?

- Dla pana jest wszystko proste, Christopulis. Myśli pan, że wszystkich można kupić. Nie mogę mu przecież zaproponować łapówki. To młody chłopak, wygląda na — zawahał się, jakby szukał słowa — ideowego — skrzywił wargi w ironicznym grymasie. - Tacy nie biorą.

Christopulis zaśmiał się.

- Ach, ta wasza europejska mentalność. - Przysunął się do Wittego jeszcze bliżej. - Niech pan zapamięta raz na całe życie. Wszyscy biorą. Jedyne niejasne kwestie to... ile. - Podsunął w kierunku Wittego złotą papierośnicę. - Niech pan zapali. - Błysnął ognikiem zapalniczki i dodał: - Pewno, że nie może mu pan wetknąć forsę w kieszeń, ale na wszystko znajdzie się sposób. Allah zabrania picia, Allah zabrania palenia. Czego jeszcze zabrania Allah, Witte? No, niechże się pan zastanowi. Wskazał głową zasłoniętą kotarą drzwi do sali karcianej. - Tak, Witte, gier hazardowych. Czy nie mógłby pan do niego przegrać trochę forsę? Niech go pan tutaj zaprosi. Jeśli pan chce, włączę się do tej zabawy. Chętnie zrobię panu małą przysługę.

— Już go zaprosiłem. Będzie tu - Witte spojrzał na zegarek — za niecałą godzinę.

Poczuł odprężenie. Nie pierwszy raz zauważył, że obecność tego cynicznego Greka działa nań kojąco. Uniósł kryształową szklankę, kostka lodu roztopiła się niemal zupełnie.

— Pańskie zdrowie, Chirtopulis. Oby pan zawsze miał dobre pomysły.

Kątem oka dostrzegł schodzącą z góry mademoiselle Rosę. Była w długiej, dyskretnie eleganckiej sukni bez dekoltu. Szła już w stronę ich stolika. Witte zerwał się, przypomniał sobie bowiem w samą porę polecenie konsula. Ucałował jej ładną dłoń, zapytał, czy dostała zaproszenie. Skinęła głową.

— Pan konsul kazał mi powiedzieć, że pani obecność sprawiłaby mu osobistą radość. Czy możemy liczyć?...

— Wybieram się — odpowiedziała. — Mam nadzieję, że nic nie stanie mi na przeszkodzie.

Usiadła na brzeżku podsuniętego jej przez Christopulisa pufu, jakby chciała tym dać do zrozumienia, że zamierza ich sycić swą obecnością jedynie przez chwilę. Witte zaczął właśnie mówić, że pozwolił sobie zaprosić do klubu wysłannika niemieckiego ministerstwa gospodarki, który przybył w interesach do Istanbuhu, gdy jedna ze skąpo ubranych dziewcząt stanęła koło ich stolika, trzymając na tacy telefon.

- Do pana radcy Wittego - powiedziała.

Bez zdziwienia wziął z jej rąk słuchawkę. Nie pierwszy to raz odbierał telefony w tym lokalu. Sam konsul wiedział, gdzie najłatwiej znaleźć radcę o tej porze. Ale tym razem to nie był konsul. Witte usłyszał tylko jedno zdanie, ale to wystarczyło, by poczuć, że ogarnia go częsty ostatnio, coraz bardziej znajomy, strach.

- Źle się pan czuje? - zapytał Christopulis.

- Założę się - Rosę uśmiechnęła się do niego promiennie - że dzwoniła kobieta. Tylko kobieta może zrobić tak piorunujące wrażenie.

- Tak — odpowiedział na jej uśmiech — to była kobieta.

— I nie skłamał. Ale to, co usłyszał, nie miało nic wspólnego ze sprawami, o których zapewne



myślała Rosę. Kobieta ta powiedziała bowiem tylko jedno zdanie: „Wiem, do kogo należy konto w Banku Centralnym numer 115/185”. Nic więcej, ale to wystarczyło, ponieważ Witte także wiedział, kto jest właścicielem niebagatelnej sumki pięćdziesięciu paru tysięcy funtów szterlingów, spoczywającej na tym koncie. Skąd dowiedziała się ta kobieta, że to właśnie konto Wittego? Dlaczego mu o tym powiedziała? Początek szantażu?

-To chyba ten pański znajomy, na którego pan czeka?

-wyrwał go z zamyślenia głos Christopulisa; wskazywał na rozglądającego się w drzwiach młodego człowieka w nienagannie skrojonym garniturze.

- Tak - powiedział Witte. - Halo, Kloss! - zawołał.

Młody człowiek podszedł do ich stolika, pochylił się szarmancko nad wyciągniętą ku niemu dłonią mademoiselle Rosę, ucisnął rękę Christopulisa i przyjaźnie klepnął Wittego po ramieniu.

- Miło tu - rzekł, a potem zwrócił się wprost do Christopulisa: - Więc to pan jest tym Christopulisem, dzięki któremu radca Witte załatwił tę pilną dostawę manganu.

-Zawsze służę moim niemieckim przyjaciółom, czym mogę i jak mogę najlepiej.

- Niech pan postara się zaprzyjaźnić z panem Christopulisem - zaszcebiotała Rosę. - To człowiek, który zna wszystkie tajemnice tego miasta. - Wstała prędko i skinąwszy im głową podeszła do stanowiska barmanki w szarawarach. Kloss powiódł za nią wzrokiem, a potem, przypalając podanego mu przez Christopulisa papierosa, powiedział:

- Wie pan, tajemnice nie bardzo mnie interesują. Natomiast chętnie nawiązałbym jakieś stosunki w tutejszych sferach handlowych.

- Christopulis zna tu wszystkich - wtrącił Witte.

- Znam — uśmiechnął się tamten — jeśli to korzystne, nie znam, jeśli nie trzeba.

- Myślę, że się dogadamy - powiedział Kloss.

- Wszystko zależy od tego, jaki towar pana interesuje. Ale proponuję odłożyć tę rozmowę do jutra. Chyba nie co dzień ogląda pan tancerki z nagim brzuchem? Czy pan wie, że Rosę musiała uzyskać specjalne zezwolenie policji?

- Na ten nagi brzuch? - chciał wiedzieć Kloss.

- Skądże, na to me trzeba zezwolenia. Na taniec z zasłoniętą twarzą. W Turcji od dwudziestu lat nie wolno kobietom zasłaniać twarzy, ale mademoiselle Rosę wszystko potrafi załatwić.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że Rosę ma siuchty z policją?

Christopulis uśmiechnął się tylko po swojemu i zamiast odpowiedzi zmusił ich do wysłuchania

długiej, orientalnej historii, z której wynikało prawdopodobnie, o ile Kloss dobrze zdołał zrozumieć, że nie ten człowiek jest zły, który ma siuchty z policją, ale ten, który pracuje tylko dla policji.

Ostrzega mnie, informuje czy drwi? - zastanawiał się Kloss, wpatrując się w ruchliwą twarz eleganckiego Greka.

## 5

Kloss potraktował dosłownie informację wydrukowaną na czerpanym papierze zaproszenia na garden party do konsula niemieckiego i przyszedł o piątej. Był oczywiście pierwszym gościem. Konsul, ściskając mu wylewnie dłoń, nie dał nic po sobie poznać, ale jego sekretarka, kościasta panna von Tilden, ubrana w szary kostium, przypominający krojem mundur, ze znaczkiem partii hitlerowskiej w klapie, nie kryła ironicznego uśmiechu.

-Punktualność to cecha niemieckich oficerów prychnęła na koniec w jego stronę.

Pod pretekstem, że pragnie obejrzyć ogród, uwolnił się od jej towarzystwa, znalazł zaciszną altankę w oddalonym od budynku konsulatu kącie ogrodu i spróbował zsumować obserwacje, jakich dokonał w ciągu trzech dni pobytu w Istambule.

Trzykrotne odwiedziny w konsulacie pozwoliły mu poznać wszystkich pracowników placówki. Poza Gran-delem, Wittem i panną von Tilden, w grę wchodził jeszcze Peters, osobnik małomówny, patrzący spode łba, podejrzliwy. Z tej czwórki musiał Kloss wybrać człowieka, który dla Resmanna odegra rolę zdemaskowanego szpiega. Z czwórki, bo piąty pracownik konsulatu, radca Beitz, już trzeci miesiąc leżał w istambulskim szpitalu, chory na żółtaczkę. Można było go zatem spokojnie wykluczyć, ponieważ sądząc z informacji Resmanna, brytyjski agent działał w konsulacie jeszcze przed dwoma tygodniami. Teoretycznie agentem Intelligence Service mogło być każde z tej czwórki, wszyscy mieli jednakowo łatwy dostęp do informacji, ale rola Klossa miała przecież polegać na wyeliminowaniu przede wszystkim prawdziwego agenta, a więc już tylko trzy osoby pozostały mu jako kandydaci do zagrania roli angielskiego szpiega.

Do tej pory udało mu się jako tako poznać jedynie Wittego. Niemań rolę odegrał w tym poker w „Cafe Rosë”.

Po kilku pierwszych rozdaniach zauważył, że Witte postanowił przegrać do niego pieniądze. Zgniewało go to. Lubił pokera, lubił moment powolnego odsłaniania swoich kart, chwilę decyzji, czy kontynuować grę, czy się z niej wyłączyć, moment, w którym decydował się na bluff. I właśnie dlatego bez trudu rozumiał, że Witte i Christopulis chcą mu dać to, co on lubił brać sam. Postanowił zrobić Wittemu kawał. Nim tamten zdołał się zorientować, wyrosła przed nim spora górką dużych banknotów, która w jednej chwili stała się własnością radcy konsulatu.

Zgarniając pieniądze Witte miał naprawdę nieszczęśliwą minę, tylko to mogło dać Klossowi pewną satysfakcję, ponieważ nieco poniewczasie zorientował się, że przyjemność sprawienia Wittemu psikusy kosztowała go niemal połowę przydzielonych mu na pobyt w Istambule diet.

Kiedy na moment udało mu się zetknąć z Rosę przy barze, na jej pytanie, czy przypadkiem nie zwariował przegrywając tyle pieniędzy do Wittego, palnął bez namysłu, że to właśnie było jego celem od początku gry, ponieważ wiadomość o jego przegranej rozniesie się i Anglicy nie przepuszczą okazji, by zaproponować mu pożyczkę. Ponieważ uczynią to zapewne przez swojego człowieka z konsulatu, pozbędzie się kłopotu, bo będzie mógł wyeliminować tego człowieka z kręgu kandydatów na zdrajcę. Rosę wzruszyła tylko ramionami, powiedziała, że zna już nazwisko człowieka, który ma konto w Banku Centralnym, ale nim zdołała zaspokoić ciekawość Klossa, zrobiło się wokół nich ciasno i musiała zmienić temat. Już przy wyjściu szepnęła mu, gdy pochylał się, by ucałować jej rękę:

- Dam ci to jutro w konsulacie.

Tak więc dziś za parę minut dowie się przynajmniej nazwiska właściciela konta. A może Rosę przyniesie mu także jakiś znak życia szefa tutejszej placówki jego centrali, którego obowiązkiem jest przecież pomóc Klossowi w zidentyfikowaniu prawdziwego pracownika Anglików. Bo chociaż stosunki między wywiadami alianckimi nie zawsze układały się sielankowo, to jednak w sytuacjach prawdziwego zagrożenia niejednokrotnie dochodziło do współdziałania. Inna rzecz, że dotarcie do rezydenta Anglików nawet dla szefa, a może bardziej dla niego niż dla Klossa, nie było sprawą prostą, ponieważ wiązało się z możliwością dekonspiracji własnej roli, a na to - o czym Kloss doskonale wiedział — centrala nigdy by się nie zgodziła.

Przez rzadkie gałęzie dostrzegł schodzących do ogrodu gości. Ruszył w tamtą stronę.

W parę minut później znał już pana Tsi Funli, małego, okrągłutkiego Chińczyka, reprezentanta cesarstwa Mandżukuo, i jego śliczną japońską żonę. Odpowiadał im właśnie zdawkowo na ich pytania dotyczące nastrojów w Niemczech, a oni z uprzejmą uwagą wysłuchali komunałów, gdy podszedł ku nim konsul Grandel, prowadząc poufale pod rękę wysokiego, przystojnego mężczyznę o smagłej cerze i wydatnym nosie.

- Pozwoli pan, Kloss - powiedział - że przedstawię pana naszemu wypróbowanemu przyjacielowi, księciu Mżawanadze.

- Cieszę się, naprawdę się cieszę, że pana poznaję - powiedział książę. - Miło mi uścisnąć dłoń człowieka, który przyjeżdża z kraju dźwigającego na swych barkach ciężar walki z bolszewizmem.

- Musi pan wiedzieć, Kloss, że książę jest potomkiem carów gruzińskich i jedynym legalnym pretendentem do tronu.

- Sam fuehrer obiecał księciu, że wkrótce obejmie tron Gruzji - szepnęła panna von Tilden z uwielbieniem w głosie, jakby dopiero obietnica wodza nobilitowała Gruzina.

Kloss mruknął, że poznanie księcia to dla niego prawdziwy zaszczyt, Grandel skinąwszy im głową wrócił na swój posterunek przy drzwiach, by witać nowych gości, książę zaś odwrócił się do stojącego za nim mężczyzny, który przed chwilą przyglądał się bacznie Klossowi, jakby chciał zapamiętać jego twarz, a teraz półgłosem powiedział coś do księcia, prawdopodobnie po gruzińsku. Ubrany był w jaskrawoczerwoną rubaszkę przepasaną szarfą z frędzlami, czarne spodnie i buty z

cholewami. Wyglądał, jak powinien wyglądać wierny sługa księcia z operetki.

- Przepraszam — powiedział książe — Pauli dostrzegł ambasadora Japonii. Muszę pójść się z nim przywitać. Myślę, że zobaczymy się jeszcze, panie Kloss. Proszę do mnie zajść któregoś dnia - skinął na mężczyznę w ru-baszce, a ten podał Klossowi maleńki kartonik - wizytówkę księcia.

I znowu Kloss znalazł się w towarzystwie suchej jak wiór panny von Tilden.

- Japonia dała do zrozumienia księciu - powiedziała bez uśmiechu — że wyłącznie jego uznaje za pretendenta do tronu przyszłej, wolnej od bolszewizmu Gruzji.

- Naprawdę pani wierzy, panno von Tilden — postanowił się z nią podreczyć - że ten błazen zasiądzie kiedyś na tronie?

- Fuehrer mu to obiecał - podkreśliła z naciskiem. - Fuehrer dotrzymuje słowa, czyżby pan w to wątpił?

- Nie rozumiała mnie pani, panno von Tilden, i obawiam się, że nie rozumie pani naszego fuehrera. Tylko angielscy skauci dotrzymują słowa i to nie jest całkiem pewne! A nasz fuehrer nie jest angielskim skautem, dotrzyma słowa, jeśli będzie to leżało w interesie Rzeszy, a złamie je, jeśli tak będzie wygodniej. Czyżby naprawdę pani nie rozumiała, na czym polega nasza nowa narodowosocjalistyczna moralność?

Panna von Tilden spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem. To, co mówił Kloss, mogła odczytać dwojako: albo jako cyniczne wyznanie wiary zatwardziałego hitlerowca, albo... Wołała o tym nie myśleć. Tyle przynajmniej mówiła gra jej twarzy. Był to jedyny moment ich kilkudniowej znajomości, w którym Kloss poczuł do niej odrobinę sympatii. Z głębi ogrodu nadchodził Witte. Przyjaźnie pomachał Klossowi ręką. Panna von Tilden wykorzystała tę szansę natychmiast.

- Przepraszam, muszę już iść, mogę być potrzebna panu konsulowi.

- Dam sobie radę - uśmiechnął się do niej Kloss, a potem zapytał: - Czy przyszła już panna Rosę? - zawahał się, ponieważ uświadomił sobie, że do tej pory nie zna nazwiska właścicielki klubu.

- Czyżby pan także był jej wielbicielem? - skrzywiła usta swoim zwykłym uśmiechem. - Owszem, parę minut po panu. — Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę willi.

- Poznał pan już księcia? - zapytał Witte. - Ciekawa postać, co?

- Przekrzywił się panu krawat - powiedział Kloss i pomógł Wittemu przesunąć węzeł we właściwe położenie. - Nie tyle książe, co ten jego...

- Myśli pan o Paulim? To obstawa księcia. Jest jego szoferem, kamerdynerem i przyjacielem. Podobno także pochodzi z wysokiej, gruzińskiej arystokracji. Książe wziął go ze sobą na specjalną prośbę konsula. Pauli będzie atrakcją dzisiejszego wieczoru. O - wskazał kilkunastoosobowy tłumek gości zbity w drugim kącie ogrodu. - Zdaje się, że już zaczął. Musi pan to koniecznie zobaczyć. - Ruszył w stronę tej grupy i nagle, jakby sobie coś przypomniał, zatrzymał się. - Byłbym zapomniał,

Kloss. Bardzo mi przykro za wczorajsze.

- Nie rozumiem - powiedział, choć rozumiał doskonale.

- Przegrał pan wczoraj dużo pieniędzy.

- Nie ma o czym mówić - odparł niedbale.

- Przecież wiem, jak mało dają wam pieniędzy. Ograniczenia dewizowe... - zamilkł, jakby czekał, że Kloss mu pomoże. Wczoraj, kiedy Kloss wstał od stolika mówiąc, że patrzenie na goły brzuch tancerki jest jednak mniej kosztowne, Witte, zgarniając stos banknotów, z wyrzutem spojrzął na Christopulisa. „No i co pan narozrabiał? - mówiło to spojrzenie. - Zamiast przegrać, wygrałem”. Christopulis zrozumiał niemy wyrzut.

- Jest jeszcze lepiej, niż było przedtem — powiedział cicho. - Ten człowiek sporo przegrał, ma więc kłopoty pieniężne, ale przecież dobry przyjaciel może mu pożyczyć. Powinien mu pożyczyć, i wziąć pokwitowanie -dodał wstając od zielonego stolika.

Witte czekał teraz na potwierdzenie Klossa, że przydziały dewiz są rzeczywiście skąpe, stworzyłyby mu to szansę zaofiarowania pożyczki. Ale Kloss milczał, patrząc nań pytającym wzrokiem. Więc Witte zaatakował frontalnie:

- Proszę mi powiedzieć szczerze, jak pan stoi z pieniędzmi?

- Uczciwie mówiąc, nie najlepiej — odparł Kloss myśląc, że jego rzucona na odczepnego sugestia, iż ktoś z konsulatu będzie się starał pożyczyć mu pieniądze, znajdzie potwierdzenie z najmniej spodziewanej strony.

Więc to Witte - pomyślał - jest człowiekiem, którego trzeba chronić.

- Proszę - powiedział Witte, podając Klossowi zwitek banknotów.

- Co to jest? - zapytał udając, że nie rozumie.

- Pięćset funtów, mniej więcej tyle pan przegrał.

- Nie mogę - powiedział Kloss - chyba nie mogę... -zawahał się.

- W porządku - jakby ucieszył się tamten. - Nie traktujmy tego jako zwrotu przegranej, lecz jako pożyczkę. Przewidziałem i to, przygotowałem nawet kwit. Nie wyznaczam żadnego terminu, odda pan, kiedy będzie panu wygodnie. A może potrzeba panu więcej? - Odkręcił wieczne pióro i podał Klossowi.

- Zgoda - rzekł podpisując podsunięty mu papierek nieczytelnym zygzakiem. — Chodźmy do tej atrakcji wieczoru.

- Tak, tak - rzekł skwapliwie Witte. Na jego twarzy malowała się wyraźna ulga.

Sądzi, że mnie kupił - pomyślał Kloss. Zbliżając się do grupki gości otaczających pień rozłożystego dębu, wypatrywał, czy nie dojrzy gdzieś panny Rosę. Ale nie było jej w tym tłumie.

Natomiast rzecz, którą Witte zapowiedział jako atrakcję wieczoru, była naprawdę godna obejrzenia. Maleńka, śliczna żona posła Mandzukuo stała oparta o pień drzewa, a oddalony o dziesięć metrów Pauli ciskał w jej stronę nożami. Stalowe ostrza otaczały już niemal połowę ciała małej Japonki, kolejny, lecący ze świstem nóż wbił się w pień drzewa najwyżej o pięć centymetrów od prawego ucha skośnookiej konsułowej. Burzliwe oklaski skwitowały ten wyczyn. Trzy następne noże, pędzące jeden za drugim w odstępach parosekundowych, wbijały się w pień z precyzją ścięgu maszyny do szycia obok szyi i ramion dziewczyny. I dopiero teraz Kloss zauważył coś, co było clou całej imprezy: Pauli rzucał na ślepo, miał zawiązane kolorowym szalikiem oczy.

-Ma pan odważną żonę - zwrócił się do grubego Chińczyka o pomarszczonej jak pieczone jabłko twarzy. Konsul zamiast odpowiedzi uśmiechnął się tylko w swój nie-odgadniony, azjatycki sposób.

- Pani konsulowa jest całkowicie bezpieczna - odezwał się szeptem Mżawanadze. - Pauli nigdy nie chybia. Wiedzą coś o tym moi wrogowie.

- Nie chciałbym być zatem pańskim wrogiem - odparł Kloss.

- To zależy tylko od pana - odpowiedział mu Mżawanadze znowu cichym szeptem.

Kloss nie zdążył się nawet zastanowić, co znaczą te słowa, gdyż uwagę jego zwróciła panna von Tilden, idąca pospiesznie w stronę oklaskującej celne rzuty Paulego gromadki.

- Panie konsulu - szepnęła nerwowo, a potem, jakby przestraszona, jeszcze bardziej ściszyła głos. Kloss usłyszał tylko słowa: „ta Rosę” i „w altance”, ale to mu wystarczyło. Ruszył pospiesznie za wysuwającym się z tłumku konsulem. Panna von Tilden biegła przodem.

W altance, niemal w tym samym miejscu, w którym on szukał skupienia zaraz po przyjeździe na przyjęcie, leżała teraz Rosę. W świetle zawieszzonego u sufitu lampionu wyglądała upiornie. Sposób zadania jej śmierci nie mógł budzić wątpliwości. Pętla szala nadal zaciskała długą szyję dziewczyny. Obok niej leżała otwarta torebka. Szminka, puderniczka, portmonetka z pieniędzmi, francuski paszport. Machinalnie spojrzął na nazwisko: Rose-Marie Laurin, urodzona w roku 1908. Miała więc w takim razie trzydzieści pięć lat. Wyglądała młodziej - pomyślał i skrawkiem szala zakrył jej twarz.

- Mój Boże! - lamentował Grandel. - Tak starałem się uniknąć skandalu. Co my teraz zrobimy?

- Myślę, że trzeba wezwać policję — rzekł Kloss.

- Na eksterytorialny obszar konsulatu? Pan oszalał! — odezwała się panna von Tilden.

Kloss przyjrzał jej się z podziwem. Ta hitlerówka musiała mieć mocne nerwy. Zachowywała się tak, jakby znajdowanie zwłok uduszonych niewiast należało do jej stałych obowiązków.

- Obawiam się - powiedział zdławionym głosem Grandel - że nie uda się uniknąć zawiadomienia policji. Ale obawiam się także, że będą mieli piekielnie trudną sprawę, bo niemal

wszyscy obecni na przyjęciu cudzoziemcy legitymują się immunitetem. Czy zechce pan nam pomóc, Kloss, w tej trudnej chwili? My z panną von Tilden pójdziemy - brodą wskazał kierunek, skąd śmiechy i oklaski nagradzały talent Paulego i odwagę konsulowej -i spróbujemy przygotować ich do tego, co się stało. A pan zadzwoni na policję, dobrze?

Kloss zajęty był właśnie przysuwaniem zmiętego papieru, który leżał na podłodze, po czym udając, że upuścił chusteczkę, schylił się po papier, którego, mógłby przysiąc, nie było, gdy godzinę temu siedział samotnie w altance. Schował znalezisko razem z chusteczką do kieszeni i dopiero wtedy powiedział, że oczywiście staje do dyspozycji pana konsula i gotów jest pomóc mu we wszystkim.

Panna von Tilden wyszła pierwsza, oni szli kilka kroków za nią.

- Kloss - konsul chwycił go boleśnie za łokieć - proszę mi powiedzieć, czy to z pańskiego polecenia, a może pan sam...

- Posądza mnie pan o zamordowanie kobiety, którą widziałem drugi raz w życiu?

- Jestem starym człowiekiem i starym pracownikiem służby zagranicznej, Kloss - zatrzymał się na środku alejki. — Mogę oczekiwać najgorszego, dymisji albo czegoś w tym rodzaju. Być może Turcy zażądają, abym opuścił Istambuł. Gotowi są uczepić się każdego pretekstu. Ale ja jestem w tym mieście reprezentantem Niemiec. Dlatego proszę pana o szczerość. Nie znam pańskiego stopnia ani celu pańskiego przyjazdu. Zdaję sobie też sprawę, że w robocie SD czy gestapo zdarzają się różne rzeczy, ale ja muszę wiedzieć...

- Gdybym nawet był przysłany przez instytucje, których nazwy wymienia pan tak nieostrożnie — odparł zimno — to zapewniam pana, Grandel, że nie przyszedłbym panu wypłakać się w kamizelkę. Prywatnie panu powiem, że jej nie zabiłem. I dość aluzji do mojej misji w Istambule.

-Jesteśmy przecież sami - powiedział Grandel i, jakby teraz dopiero dostrzegł pannę von Tilden stojącą kilka metrów przed nimi, zwróconą do nich tyłem, rzekł: -Ona jest...

- Dosyć! - ostro uciął Kloss i ruszył w kierunku oświetlonych okien willi.

Bez trudu znalazł pokój, w którym urzędowała panna von Tilden, gdzie była, jak pamiętał, zainstalowana centralka telefoniczna. Najpierw wyjął z kieszeni zmięty papier znaleziony w altance, rozprostował go. Była to żółta koperta z firmowym nadrukiem: „Bank Centralny - Istambuł”. Zawartość tej koperty przeznaczono dla niego. Ale teraz koperta była pusta. Kloss wiedział, że w środku musiał być wyciąg z rachunku bankowego wraz z nazwiskiem właściciela. Rosę zginęła dlatego, że znała to nazwisko. Ale czy była na tyle nieostrożna, iż dała do zrozumienia człowiekowi, którego to dotyczyło, że wie?

Wstał i wyrwał z gniazdka wszystkie przewody. Zrozumiał, że musi się spieszyć. Potem zbiegł do ogrodu i zameldował konsulowi, że ktoś uszkodził telefon.

- Zadzwonię z pierwszego napotkanego telefonu w mieście - dodał tonem nie znoszącym

sprzeciwu. I nie czekając na odpowiedź konsula wybiegł.

## 6

Nagła śmierć Rosę nadała sprawie oszałamiające tempo. Pierwszą rzeczą, jaką Kloss musiał załatwić, to znaleźć się w „Cafe Rosé”, a właściwie w pokoju właścicielki klubu na piętrze, zanim dotrze tu policja. Przez rzadkie sztachety ogrodzenia dostrzegł swojego anioła stróża - pogrążonego w pogawędce z yandarmem koło budki wartowniczej. Teraz nie miał czasu, by gubić po drodze prześladowcę. Przeszedł wzdłuż płotu do najbliższego zakrętu i rozejrzawszy się uważnie, wspinał się na sztachety. Miał obojętnie zaparkowane przy krawężniku taksówki, dopiero na głównej ulicy wsiadł do którejś z nadjeżdżających pod knajpę. Kazał się wieść pod swój hotel ale przed skrótem w uliczkę pnieć się ku górze zatrzymać wóz oświadczając, że resztę drogi przejdzie na piechotę. Dopiero gdy taksówka zniknęła z oczu, wrócił w stronę „Cafe Rosé”.

Zagadał przyjaźnie do wąsatej baby przy wejściu, wypił dwa koniaki przy barze i dopiero gdy zgasło światło, a zapalił się punktowy reflektor oświetlający miniaturową estradkę, na której dziewczyna z nagim brzuchem czyniła swoje wygibasy, ruszył przez nikogo, jak mu się zdawało, nie dostrzeżony ku schodom. Drzwi pokoju Rosę, trzecie po lewej stronie korytarza, jak zapamiętał, były zamknięte, ale poradził sobie z nimi bez trudu za pomocą swojego kompletu wytrychów rodem z Wiesbaden. Skierował się od razu do biurka i w takt dobiegającej z dołu, monotonnej melodii zaczął, przyklękawszy, przymierzać swój wytrych do górnej szuflady. I w tym momencie poczuł na karku zimny dotyk stali. Nie zdążył jeszcze powziąć decyzji, co powinien zrobić, gdy ucisk nagle zelżał.

- Ach, to ty - usłyszał za sobą. - Czego tu szukasz?

Odwrócił się. Zobaczył na wysokości swej twarzy nagi brzuch dziewczyny. Spojrzał wyżej. Dziewczyna zdjęła już z twarzy zasłonę. Nie mierzyła z rewolweru w jego stronę, ale nadal trzymała go w ręku.

- Przepraszam, zdaje się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni — powiedział z niezbyt mądrą miną.

- Znam cię — powiedziała dziewczyna. — Rosę pokazała mi ciebie. -Wypowiedziała pierwszy człon hasła.

- Ty jesteś szefem? - zapytał zdumiony.

- Och, nie - roześmiała się - ale szef zna cię także. Co się stało?

Musiał jej opowiedzieć o wydarzeniach w konsulacie.

- Zaraz tu będzie policja - zakończył. - Uprzątnij wszystko i zawiadom szefa.

Skinęła głową w milczeniu, otarła zapłakane oczy.



- Biedna Rosę - powiedziała, a potem dodała: - Ona tu nie trzymała nic. Miała safes w banku. Opróżnię go jutro z samego rana. Zresztą szef zadecyduje.

- Czy mogłabyś mnie skontaktować z szefem? Bardzo chciałbym z nim pogadać.

- Przekażę mu twoją prośbę. To on musi zdecydować, czy chce się z tobą zobaczyć.

Zdażył wrócić do konsulatu przed przybyciem policji. Goście nieudanego przyjęcia, skupieni w małych grupkach, szeptali coś między sobą. Osowiały kelner w milczeniu roznosił kieliszki. Konsula zastał Kloss w jego gabinecie. Razem z sekretarką wrzucali do rozpalonego kominka jakieś papiery. Pokój był pełen dymu. Kloss bez słowa otworzył okno.

- Chciałbym z panem pogadać sam na sam — szepnął. Konsul skinął w milczeniu głową. Po chwili pod jakimś pretekstem odesłał pannę von Tilden z pokoju.

- Coś pilnego, Kloss? - zapytał konsul.

- Tak - odparł - to sprawa niezwyklej wagi. Proszę, oto moje pełnomocnictwo - podał Grandelowi niewielki kartonik - wydane przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Grandel założył okulary, obejrzał kartonik ze wszystkich stron. Chyba kilkakrotnie przeczytał krótki tekst.

- Słucham - powiedział. - Wynika, że nie myliłem się co do pańskiej misji. Mam panu udzielić wszelkiej możliwej pomocy. Jestem gotów. Czego pan potrzebuje?

- Muszę pana poinformować, że na terenie konsulatu działa agent wywiadu brytyjskiego.

- To wykluczone! - zerwał się Grandel. Po chwili powoli opadł na swoje krzesło. Ukrył twarz w dłoniach.

- Ufam moim ludziom - powiedział cicho, ale z jego tonu Kloss wywnioskował, że konsul już wierzy.

-Należałoby powiedzieć: ufałem. Stwierdziliśmy z całą pewnością, że agent działa właśnie tutaj. Nie będę pana informował, w jaki sposób do tego doszliśmy. Agent działa u pana, w pobliżu pana albo... - zawiesił głos.

- Albo... — powtórzył jak echo Grandel.

- Albo brytyjskim agentem jest pan - powiedział i widząc gwałtowne zmiany w twarzy konsula, zląkł się, że Grandel dostanie ataku serca. Jeszcze mu tego brakowało! Roześmiał się. — Proszę się uspokoić, panie konsulu, to był tylko żart. Wróćmy do sprawy najważniejszej. Wiem, raczej domyślam się, kto jest brytyjskim agentem. Nie mam jeszcze kompletu dowodów, ale to sprawa najbliższych dni.

- Proszę mi szybko powiedzieć. Peters czy Witte? A może radca Beitz? — powiedział z

nadzieją w głosie.

- Radca Beitz od trzech miesięcy przebywa w szpitalu, a działalność angielskiego agenta trwała jeszcze dwa tygodnie temu.

- Więc który z nich dwóch? - zapytał konsul.

- Którego by pan wolał? - odpowiedział pytaniem, ponieważ chciał zyskać na czasie. Po pożyczce udzielonej mu przez Wittego, która tak znakomicie wyjaśniała sytuację, nie miał zbyt wielkiego wyboru. Kompromitacji Grandela, który może mieć mocne plecy w Berlinie u Ribbentropa, mogliby nie przełknąć. Zostawała więc dwójka: Peters i sekretarka. W pierwszej chwili kusila go kandydatura Petersa — jednego gestapowca mniej. Jednak na jego obronę przemawiała nieudolność. Peters będąc na miejscu nie wpadł na ślad agenta. Ktoś przysłany zamiast niego mógłby swoją robotę wykonywać inteligentniej, a to niebezpieczne. A więc ona.

- Niechże pan mówi - w głosie Grandela było już zniecierpliwienie.

- Dobrze. Żaden z nich. Agentem brytyjskim jest według wszelkiego prawdopodobieństwa pańska sekretarka.

- Pan bredzi - odpowiedział spokojnie Grandel. - Czy zdaje pan sobie sprawę, że rzucając to idiotyczne podejrzenie na pannę von Tilden, uderza pan we mnie? Czy naprawdę pan nie wie, że od półtora roku, to znaczy od śmierci mojej żony Matyldy, ja i panna von Tilden... -Przysłoniwszy sobie usta zaczął kasłać.

Tego Kloss nie wiedział. Wyznanie konsula psuło mu szyki. Oczywiście można zawsze starszego pana nieco postraszyć, ale nie znajdują się w Niemczech, tylko w neutralnym kraju, w którym niemiecki urzędnik, nawet taki, jak Grandel, poddany wieloletniej tresurze, może me uwierzyć.

- Nie muszę panu mówić, panie konsulu, że mimo bliskich stosunków z tą kobietą, nie wolno panu niczym dać poznać, że wie pan o moim podejrzeniu. Bo to jest jedynie podejrzenie. Mam pewne powody sądzić, że jest tak, jak powiedziałem. Ale być może zostałem wprowadzony w błąd. Sprawdzę to z całą sumiennością i jeśli okaże się, że popełniłem błąd, będę pierwszą osobą, która panu to powie. Obiecuję też panu, że jeśli się pomyliłem, w moim sprawozdaniu skierowanym do właściwych władz nie wspomnę słówkiem o moich wcześniejszych przypuszczeniach. Ale jeśli moja pierwsza wstępna ocena znajdzie mocne, niepodważalne potwierdzenie, mimo przyjaźni, jaką żywię do pana konsula...

- Musi się pan mylić, Kloss. Ona przewodniczy naszej narodowosocjalistycznej organizacji w konsulacie. Przedtem była zaufaną osobą naszego ambasadora w Ankarze. Od trzydziestego czwartego roku w służbie zagranicznej, wielokrotnie sprawdzana przez służby bezpieczeństwa... Pan się musi mylić, Kloss.

- Chciałbym się mylić - odparł. - Chciałbym ze względu na pana.

Ktoś zapukał do drzwi, uchyliły się, stanęła w nich panna von Tilden.

- Panie konsulu, inspektor policji chciałby się z panem widzieć.

- Już idę - zerwał się. Powoli podeszła do biurka, usiadła w fotelu swego szefa. Wyjęła z kasetki papierosa, zapaliła.

- Szykuje nam się wesola noc - powiedziała do Klossa. - Inspektor naczytał się romansów kryminalnych i ma ochotę szukać motywów. Motywów zamordowania szefowej tego... - zmeła w ustach jakieś słowo - tego wesołego lokalu w Istambule w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Trzeba być kompletnym idiotą.

- Wszyscy policjanci szukają motywów.

- Niechýe pan nie udaje naiwnego, Kloss. Jest pan tu wystarczajýco dýugo, ýeby wiedzieå, ýe „Cafe Rosë” to centrum tutejszego szpiegostwa. Czy trzeba wiýcej? Im wczeýniej ten policjant to zrozumie, tym lepiej. Ale, ale... chciaåm pana o co zapytaå. Czy ten żółty papier, który pan podniósł w altance, to była koperta? Koperta z nadrukiem banku? - gýęboko zaciågnęła się papierosem.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi. Jeśli sýdzi pani, że zamierzam ukrywaå jakie dowody rzeczowe, proszę zameldowaå o tym inspektorowi.

- Och - obruszyå siå - nie sýdzi pan chyba, ýe býdå nasze niemieckie sprawy wynosiå na ten wschodni jarmark. Widzi pan, tå kopertå szefowa wesoåego domku, zwanego „Cafe Rosë”, miaå w torebce, kiedy przyszå na przyýecie. Poprawiaå makija przed lustrem, torebka staå otwarta obok. Znam takie koperty, dlatego rzuciå mi siå to w oczy. Kiedy potem zagådalimy do jej torebki, koperty nie byå.

- Kto jeszcze prócz pani mógł widzieå tå kopertå?

- Jak na przedstawiciela ministerstwa gospodarki -umiechnęła się kpiåco - jest pan do ciekawy. - Spowaniaå. - Wszyscy. Peters byå w szatni, odbieraå okrycia od goci. Pan konsul komplementowaå piýknå paniå. Radca Witte razem ze swym przyjacielem zatrzymali się przy niej chwilę. I jeszcze kilkanacie innych osóby, których nie zna pan nawet z nazwiska, bo mademoiselle Rosę duo czasu powiåciå temu makijaowi. Moe to jå zgubiå. A propos, czy zauwayå pan, że radca Witte byå nie w humorze dzisiejszego wieczoru? Ze nie oglådaå pasjonujåcych wyczynów Paulego?

- Pani take nie oglådaå. Poza tym pani pierwsza znalazå zwåoki.

- Tak, byåm pierwsza. Parę minut po mordercy. A sztuczki Paulego widziaåm wielokrotnie. Nie bawiå mnie tanie emocje.

- Umie pani obserwowaå, panno von Tilden.

- To nawyk starej sekretarki, panie Kloss. Uchodzę za bardzo dobrå sekretarkę. Aha, jeszcze jedno. Uzgodniåm z konsulem, żeby nie wymieniaå pañskiego nazwiska wśród goci dzisiejszego

wieczoru. Osoby posiadające immunitet dyplomatyczny już wyszły. Tymi drzwiami - wskazała małe drzwiczki koło biblioteki - wyjdzie pan z konsulatu niepostrzeżenie. Dobranoc, Kloss.

## 7

Pomyliłem się, popełniłem błąd. - Ta myśl przyszła Klossowi do głowy po raz pierwszy w gabinecie Gran-dela. Oczywiście nie była to myśl sformułowana tak kategorycznie, był to raczej stan jakiegoś niepokoju, cień przypuszczenia. Dziwna rozmowa z panną von Tilden i jej propozycja, żeby opuścić konsulat niepostrzeżenie, unikając zetknięcia z inspektorem tureckiej policji, który mógłby przecież bez trudu pokrzyżować plany Klossa, odbierając mu po prostu jako niepożądanemu cudzoziemcowi prawo pobytu - wszystko to razem pogłębiło niepokój Klossa. Przez żelazne sztachety ogrodu zobaczył zaparkowany wóz policyjny i swego anioła stróża opartego o podmurówkę płotu.

Wrócił i skryty w cieniu domu ruszył ku przeciwnemu skrajowi ogrodu znaną już sobie drogą. Wychylił się, ale tam też zobaczył policjanta opartego o słupek z tablicą oznajmiającą, że miejsce to przeznaczone jest na postój taksówek. Więc jeszcze raz zawrócił, przeszedł koło dębu, przy którym kilka godzin temu stała malutka, śliczna żona tłustego Chińczyka. Dalekim łukiem ominął altankę, przy której dostrzegł sylwetkę umundurowanego funkcjonariusza. Znalazł się przed wysokim, ceglany płotem. Jeden skok, mocne odbicie i już był na górze. Po tamtej stronie także był ogród, ale zapuszczony, nie pielęgnowany.

Zorientował się, że jeśli pójdzie na lewo, dojdzie do uliczki z postojem taksówek, ale w punkcie dostatecznie odległym od tamtego policjanta. Skoczył i upadł jak długi. Zawadził nogą o jakiś przewód biegnący tuż przy murze. Na szczęście nie złamał ani nawet nie zwichnął nogi.

Ruszył kulejąc w stronę, gdzie spodziewał się znaleźć wyjście. Dla pewności wyjął rewolwer z tylnej kieszeni spodni, odbezpieczył. Niespodziewanie szybko dotarł do niskiego murku, za którym była znana mu już ulica. Otrzeawszy ubranie z ceglatego pyłu ruszył ku swemu hotelowi. Przypomniał sobie, że rewolwer ma nadal odbezpieczony, więc zaciągnął rygiel i schował go na powrót do tylnej kieszeni spodni. Nie wiedział, że już za kilka minut będzie przeklinał ten swój gest.

Stało się to, gdy od zwirowanego podjazdu hotelu dzieliło go nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Zastanawiając się nad istotą błędu, który popełnił, jakiejś pomyłki, szedł zamyślony wąską uliczką, obwiedzioną z dwóch stron wysokim, prawie dwumetrowym murem. Uliczka była niemal ciemna. Dopiero w miejscu, gdzie skręcała pod prostym kątem w prawo, sterczała jedna samotna latarnia, rzucająca mdły poblask. I właśnie wtedy, gdy znalazł się w tym narożniku, pożałował swej nieprzeżor-ności, która kazała mu schować broń. Powinien się był spodziewać, że rozgrywka się już zaczęła, że błąd, jaki popełnił, sprowokuje do błędu kogoś, kto wcale nie chciał być jego przeciwnikiem. Ale te refleksje przyszły znacznie później.

Gdy dochodził do miejsca, w którym dwa białe, wysokie mury spotykały się tworząc niemal kąt prosty, potknął się o jakąś nierówność bruku i to pewnie uratowało mu życie. Srebrzysty kształt przemknął tuż nad jego karkiem, ostrze metalicznie uderzyło o tynk białego muru i ześliznęło się z

chrzęstem. Rzucił się do przodu, kątem oka dostrzegł mężczyznę oddalonego o dziesięć, dwanaście metrów, który ciskał właśnie następny nóż. Nie było wątpliwości: Pauli. Uchylił się, padł i prawie natychmiast zerwał się na równe nogi, trzymając w dłoni garść żwiru. Cisnął tym żwirem w tamtego, ale widocznie w momencie, gdy musiał uskakiwać przed kolejnym ostrzem, bo drobne kamyki poszły w bok. Gorączkowo zastanawiał się, ile noży może mieć Pauli. Do tej pory rzucił przynajmniej siedem, aż dziw, że żaden go nie trafił. Był przecież znakomitym celem. Czarny smoking na tle białej ściany. Wszystko to trwało niesłychanie krótko, ale Kloss czuł, że słabnie, noga nadwerżona przy skoku z wysokiego muru, kiedy zawadził o jakiś nie wiadomo po co tam sterczący przewód, dawała o sobie znać. Skakał jak pajac na tle muru, noże z metalicznym chrzęstem padały na bruk. Jeden rzucony szybciej, niż Kloss zdążył się uchylić, utkwił mu w przedramieniu i kiedy instynktownie chwycił zranioną rękę, zobaczył, że tamten już na pewniaka postępuje ku niemu, ale wtedy stało się coś, czego Kloss nie rozumiał. Pauli z uniesionym do góry ramieniem, w którym trzymał nóż, nagle zwiotczał i runął na bruk. Dopiero teraz Kloss dostrzegł plecy oddalającego się mężczyzny.

Ściskając zranioną rękę pobiegł do hotelu. Na szczęście recepcjonisty nie było na zwykłym miejscu, nie musiał więc odpowiadać na żadne pytania, a w tej chwili zaspokajanie ciekawości właściciela hotelu „Orient” było rzeczą, na którą nie miał wcale ochoty. Wziął klucz od swego pokoju i ruszył na górę. Teraz, gdy bezpośrednio zagrożenie życia minęło, z całą jasnością uświadomił sobie, że przed chwilą omal nie padł ofiarą własnego błędu. Fakt, że człowiek księcia Mżawanadze usiłował go zabić bezpośrednio po tym, jak rzucił podejrzenie na pannę von Tilden, mogło oznaczać tylko jedno: panna von Tilden jest naprawdę agentem Intelligence Service, a zatem jej szefem jest książę Mżawanadze.

Jedna sprawa była dla Klossa nie całkiem jasna: szybkość reakcji. Powiedzmy nawet, że panna von Tilden podsłuchiwała jego rozmowę z konsulem i zameldowała o niej księciu. Jeśli książę jeszcze był w konsulacie, mogła to uczynić bez trudu, powiedzmy nawet, że książę mógł wydać rozkaz Paulemu. Tylko jeśli inspektor tureckiej policji przesłuchiwał osoby będące gośćmi konsulatu, a pozbawione dyplomatycznego immunitetu, to jest rzeczą mało prawdopodobną, by zezwolił na wyjście Paulego. Oczywiście panna von Tilden wymieniając osoby uczestniczące w przyjęciu mogła pominąć księcia i Paulego, tak jak pominęła Klossa, lecz wówczas skąd książę wiedziałby o jego rozmowie z konsulem? Błędne koło.

Myśli te tłoczyły mu się do głowy, gdy opatrywał swoją ranę. Była na szczęście powierzchowna. Pomagając sobie zębami, owinał bandażem zranione przedramię. Pomyślał, że ta niewielka rana jest stosunkowo niską ceną za informację, którą uzyskał. Inna rzecz, że gdyby nie pomoc nieznanego, mógłby zapłacić cenę znacznie wyższą. Zastanawiał się właśnie, kto jest jego wybawcą, gdy zadzwonił telefon.

- Dzwonię w imieniu Teodora - usłyszał głos w słuchawce i dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że słowa te zostały wypowiedziane po polsku. Zaniemówił, dosłownie zaniemówił z wrażenia. - Halo, czy mnie słyszysz?

- zapytał tamten głos. - Źle się czujesz? Jesteś ranny? Ten sam lekko chrapliwy głos. Nareszcie zrozumiał:

- Nic groźnego - odparł. - Czy możesz przyjść do mnie na górę? Weź ze sobą jakąś butelkę, chcę

się napić z radości, za znowu mogę mówić po polsku.

- Dobra - powiedział tamten. - Przyniosę ci nie tylko butelkę.

Kloss otworzył drzwi, gdy rozległo się ciche pukanie. Właściciel hotelu „Orient” rzeczywiście przyszedł z butelką, ale przyniósł też jakieś środki opatrunkowe.

- Przede wszystkim pokaż swoją ranę, J-23.

Dopiero po godzinie bezładnych pytań i odpowiedzi, rzucanych sobie nawzajem przez dwóch ludzi, którzy wreszcie mogli wypowiedzieć swoje myśli w ojczystym języku, szef istambulskiej placówki przystąpił do rzeczy.

- Rosę popełniła błąd, a właściwie dwa błędy. Lubiła łatwe efekty. Dlatego, kiedy zdobyła wiadomość, że właścicielem konta w Banku Centralnym numer 115/185 jest radca Witte, postanowiła natychmiast sprawdzić wrażenie, jakie ta wiadomość wywrze na radcy. W tym celu podeszła do jego stolika, żeby jej pomocnica (dziewczyna z nagim brzuchem) mogła mu powiedzieć przez telefon, że wie, do kogo należy to konto. Druga nieostrożność polegała na tym, że zdecydowała się przyjść na przyjęcie, zamiast dostarczyć ci wyciąg z banku w inny sposób albo po prostu przekazać go mnie. Nie przypuszczała, że Witte odkrył jej prawdziwą grę.

- Obawiam się, że było trochę inaczej - wtrącił Kloss.

- Witte mógł początkowo nic nie wiedzieć o roli Rosę, a jej drugi błąd polegał na tym, że nie zamknęła torebki w momencie, gdy poprawiała makijaż w hallu konsulatu. Pokrótko opowiedział mu o spostrzeżeniach panny von Tilden.

- Witte - kontynuował Kloss - musiał dostrzec kopertę z nadrukiem Banku Centralnego w torebce Rosę, skojarzył to z telefonem w jej lokalu, a kiedy zbyt pewna siebie poszła z nim do altanki, zamordował ją. Ja zaś -ciągnął- zasugerowany skwapliwością, z jaką udzielił mi pożyczki, nabrałem pewności, że on właśnie jest tym człowiekiem, którego mam chronić. Gdybym wcześniej wiedział, że książę jest szefem tutejszej siatki Anglików...

- Gdybyś z „Cafe Rosë” przyjechał do hotelu zamiast wracać do konsulatu... — spojrzaj na zegarek. — Pojedziesz teraz do księcia. Na wszelki wypadek zawiozć cię moim samochodem.

- Teraz, po nocy? - zdziwił się Kloss.

- Książę został uprzedzony o twojej wizycie, czeka na ciebie.

Auto zatrzymało się przed willą w pseudowschodnim stylu, która wydała się Klossowi skądś znajoma. Oświetlone okna na piętrze wskazywały, że istotnie gospodarz jeszcze nie śpi.

- Przyjadę za jakąś godzinę, mam jeszcze coś do załatwienia - powiedział właściciel hotelu. - Nie wychodź wcześniej, nim przyjadę.

- A konsul? - zapytał Kloss. - Muszę go wyprowadzić z błędu, uspokoić jego wierne fuehrerowi

sumienie.

- Zdążysz to zrobić jutro.

-Na jutro zostawiłem sobie Wittego.

-Niech cię o to głowa nie boli, Wittem zajmę się sam. On zabił Rosę - powiedział, jakby to miało wyjaśnić wszystko. - Więc za godzinę.

Począł, dopóki Kloss nie wejdzie na ganek, dopiero potem gwałtownie ruszył.

Drzwi uchyliły się. Kloss dostrzegł mężczyznę, który kilka godzin temu omal go nie zabił. Nie bez satysfakcji zauważył, że tamten ma głowę owiązaną bandażem. Szef musiał mu nieźle dołożyć - uśmiechnął się w duchu Kloss.

- Księżę czeka na pana - powiedział tamten, jakby zobaczył Klossa pierwszy raz w życiu.

Mżawanadze stał w drzwiach swego gabinetu w narzuconym na frakową koszulę kwiecistym szlafroku. Bez słowa przepuścił Klossa przodem, bez słowa wskazał mu głęboki fotel pod dużą lampą, w tej chwili zgaszoną. Starannie zamknął za sobą drzwi, nalał do dwóch szklanek ze stojącej opodal butelki i dopiero wtedy usiadł naprzeciw Klossa.

- Zapraszając pana, nie przypuszczałem, że dojdzie do tej wizyty tak prędko. - Wzniósł szklanę.

- Przepraszam, że pora nie jest zbyt stosowna na wizytę - odpowiedział mu unosząc swoją.

- Cieszę się, że Paulemu nie udało się pana zabić.

- Zęby pan wiedział, jak ja się cieszę.

Roześmieli się równocześnie.

- Obu nas poniosły nerwy - powiedział Mżawanadze.

- Omal drogo nie zapłaciłem za swoją pomyłkę. O mały włos, a pański Pauli przygwoździłby mnie do ściany, bo pan odpowiedział błędem na mój błąd. Sądziłem, że to Witte jest pańskim człowiekiem, więc żeby go osłonić...

- Kiedy pan przyjechał, kiedy dostałem to - rozsypał przed Klosssem plik fotografii; wszystkie przedstawiały Klossa przed istambulskim dworcem - znałem tylko połowę pańskiej roli. Domyślałem się, że nie jest pan tym, za kogo chce uchodzić, ale też nie mogłem wiedzieć -uśmiechnął się - że ma pan osobowość tak skomplikowaną. Skąd mogłem wiedzieć, że pan zamierza osłaniać mojego człowieka.

-Jeden do jednego - zgodził się Kloss. -Jesteśmy na remis. Oczywiście wycofam wszystkie oskarżenia pod adresem panny von Tilden, doszedłem bowiem do wniosku, że osobą, która znacznie lepiej nadaje się na angielskiego agenta, jest radca Witte. Ale panna von Tilden musi zamilknąć.

Przynajmniej na jakiś czas. Po prostu centrala w Berlinie musi zrozumieć, że zniknięcie Wittego oznacza koniec agentury w konsulacie.

- Rozumiem - powiedział ksiązę. - Zabawne jest jedynie to, że panna von Tilden od bardzo długiego czasu nie zameldowała mi niczego, o czym bym sam nie wiedział. Nie zdziwiło pana, skąd tak szybko dowiedziałem się o pańskiej rozmowie z Grandelem, w której padło nazwisko panny von Tilden?

- Podśluchiwała?

- Ona? Nie. Szkoda, że jest już za późno, ale spróbujemy. — Podeszedł do wyłącznika, przekręcił go. Zapłonęła stojąca obok fotela Klossa duża lampa. Równocześnie Kloss usłyszał jakieś dźwięki, których pochodzenia nie potrafił sobie wyjaśnić. Jakieś skrzypy, jakby odgłosy kroków, coś, co przypomina ciężki oddech człowieka.

- Pan konsul jest zdenerwowany, nie może spać i to wszystko przez pana. - A potem tonem wyjaśnienia dodał: -W sumie jednaście mikrofonów, trzy w samym gabinecie konsula. Rozumie pan teraz?

- Kiedy to zrobiliście?

- Och, jeszcze przed wojną. W całej dzielnicy montowano instalacje gazowe. Proste, prawda? Oczywiście urządzenie ma swoje wady, ponieważ konsul Grandel nie ma zwyczaju odczytywania na głos ściśle tajnych dokumentów. Dlatego potrzebujemy także panny von Tilden.

- Urządzenie ma jeszcze jedną wadę - uzupełnił Kloss. - Omal przez nie nie złamałem nogi. Jeśli nie każe pan zakopać przewodów w swoim ogrodzie, może je znaleźć nawet głupi Peters.

Dopiero przed chwilą Kloss uświadomił sobie, skąd wydał mu się znajomy ten dom w pseudoorientalnym stylu.

Dzisiejszej nocy przechodził koło niego dwukrotnie. Był jedynym budynkiem po prawej stronie w uliczce obok postojów taksówek. Tylko zapuszczony ogród dzielił go od konsulatu.

- Zabijecie Wittego? - zapytał Mżawanadze.

-Jestem tu sam - powiedział z naciskiem.

- Więc dobrze, zamierza go pan zabić?

- Czyżby miał pan coś przeciwko temu?

-Nie - odparł. - Chcę panu oddać przysługę. Po prostu zwykły handel. Pan zostawia w spokoju pannę von Tilden, a w zamian otrzyma pan kompletne dossier Wittego. Pańscy szefowie otrzymają kompletny materiał. Wtedy jego śmierć będzie miała jakiś sens. Nie pytam, kim pan jest naprawdę. Chcę tylko mieć gwarancję, że panna von Tilden...



- Drogi księżę, człowiek, który przywiózł mnie do pana samochodem, a przedtem zapowiedział moją wizytę, wie o panu tyle, że...

Księżę nie pozwolił mu skończyć.

- Zapomniał się pan. Przecież pan jest tutaj sam, zupełnie sam - roześmiał się głośno, potem wznosił swoją szklankę. - Za sojusz, aliancie!

Wypili. Księżę podszedł do okna, spojrzął na jaśniejące niebo.

- Długo pan zabawi w Istambule?

- Kilka dni. Moja misja jest właściwie skończona. Muszę tylko kupić kilogram kawy dla standartenfuhrera Resmanna, może nawet kupię mu dwa kilogramy...

## **KUZYNKA EDYTA**

### **1**

Koła pociągu stukały monotennie. Niebieskawy odblask lampy zachęcał do spania, ale sen nie przychodził. Edyta zamknęła oczy udając, że śpi. Może młody porucznik przestanie nareszcie mówić? Przerzucają go na front wschodni i teraz gadulstwem usiłuje zagłuszyć swój strach przed niedługim już spotkaniem z „Iwanem”.

- Zapali pani? - zapytał nie zrażony jej milczeniem. Widocznie jednak dostrzegł, że nie śpi.

- Dziękuję - powiedziała Edyta i czym prędzej przymknęła powieki, otuliła się szczelnie czarnym płaszczem wojskowego kroju. Wiedziała już, dlaczego nie ma ochoty rozmawiać z miłym przecież, dość przystojnym nawet chłopakiem, siedzącym naprzeciw w przedziale pierwszej klasy pociągu Berlin-Lwów. Berlin-Lwów - powtórzyła w myślach, bo taka nazwa nadal figuruje na tablicach zawieszonych na każdym wagonie. Ale pociąg już dawno nie dojeżdża do Lwowa. Została tylko nazwa stacji docelowej, która od kilku miesięcy jest przecież w rękach wroga. Edyta zrozumiała w tej chwili, że podobnie jak młody leutnant - boi się, zwyczajnie się boi.

Dopadł ją ten lęk, kiedy dwa tygodnie temu szef, urzędujący w pomieszczeniu zawiadowcy na maleńkiej stacyjce niedaleko Wiednia, wręczył jej zalakowaną kopertę.

- Musimy się rozstać, Edyto - powiedział. Obleczoną w brązową rękawiczkę protezą prawej ręki podrapał się po nie golonym dawno policzku. - Bardzo żałuję; jedzie pani na wschód, do GG. - Zaczerwienione od niewyspania, bladoniebieskie oczy wyrażały naprawdę smutek.

- Rozkaz jest rozkazem - powiedziała wtedy Edyta, rozerwała kopertę, znalazła nazwę miasta w

samym środku Polski, gdzie dnia tego a tego ma się zgłosić w charakterze telefonistki sztabu zgrupowania. I wtedy zaczęła się bać. Był to strach dość irracjonalny. Co prawda Rosjanie oparli się już o prawy brzeg Wisły, ale Edyta Lausch wierzyła, że po niepowodzeniach ostatnich miesięcy znowu przyjdą chwile radośniejsze. Edyta Lausch nie bała się frontu. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku zgłaszała się do służby pomocniczej, chciała być właśnie bliżej frontu. Zmroziła ją nazwa tego miasta. Bo Edyta Lausch była już w tym mieście blisko cztery lata temu.

Nagle zobaczyła to jeszcze raz: wchodzi w ciemną bramę jednego z najelegantszych domów w mieście. Polaków wysiedlono stąd dawno, w kamienicy mieszkają tylko Niemcy. Edyta jest niskim funkcjonariuszem, zajmuje niewielki pokój na trzecim piętrze, prawdopodobnie jakąś dawną służbówkę. Tej nocy wracała ze służby, była zmęczona, chciała jak najprędzej położyć się do łóżka. To najgorsze zdarzyło się, gdy skręciła z bramy w prawo na klatkę schodową, wyłożoną sztucznym marmurem, z pretensjonalnymi figurami gipsowych kobiet na podestach. Zrobiła krok w kierunku schodów i usłyszała strzały. Na pierwszym piętrze ktoś trzasnął drzwiami i wtedy rozległ się drugi strzał. Instynktownie przywarła do muru. Dostrzegła cień mężczyzny, zmierzającego wielkimi susami w jej stronę. Wyszarpnęła rewolwer z kabury.

- Ręce do góry! - krzyknęła histerycznie.

Mężczyzna rzucił się w jej stronę. Pchnięta przez niego upadła. Przestraszony, podobnie jak ona, człowiek w jasnym prochowcu zniknął w bramie. Edyta uniosła się na łokciach, chciała biec za tantym, ale w tym momencie drugi zbiegający ze schodów mężczyzna wytrącił jej broń. Przez ułamek sekundy Edyta widziała jego skrzywioną z wściekłości czy ze strachu twarz; poły ceratowego czarnego płaszcza, takiego, jakie noszą funkcjonariusze SS, chlasnęły ją po twarzy. Chciała sięgnąć po upuszczony rewolwer, ale but mężczyzny przygniótł jej dłoń do schodów. Krzyknęła z bólu i dopiero w długą chwilę po tym, jak mężczyzna zniknął w ciemności, Edyta mogła się podnieść. Chwiejąc się na nogach, przywarła do najbliższych drzwi. Tłukła w nie pięściami. Nie mogła zrozumieć, że człowieka mieszkającego za tymi drzwiami nie zbudziły strzały ani jej krzyk. Dopiero kiedy otworzył jej drzwi, kiedy poznała w zaspanym mężczyźnie w rozchełstanej na piersiach piżamie małego kapitana saperów, Schneidera, dopiero wtedy nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Z płaczem padła mu w ramiona.

Nie, to wspomnienie jest zbyt przykre. Edyta odgoniła je od siebie jak natrętną muchę. Otworzyła oczy. Młody porucznik jakby na to czekał.

- Mam kawę w termosie, może napijemy się?

- Zapaliłabym — powiedziała Edyta i gdy podawał jej ogień, starając się przysunąć jak najbliżej, ona wciąż jeszcze miała przed oczyma tamtą scenę sprzed blisko czterech lat.

- Pani śpi z papierosem - powiedział młody porucznik, dotykając delikatnie jej dłoni. Edyta drgnęła, jakby rzeczywiście spała. Zrobiło jej się żal tego chłopaka, który wkrótce pojedzie na front, może zginie, może wróci pozbawiony ręki albo nogi, z odmrożoną twarzą czy z poparzonym ciałem. Zawstydziała się, że od paru godzin unika rozmowy z tym chłopcem, któremu — wie to od pierwszej chwili - bardzo się podoba i dla którego, być może, ta rozmowa jest ostatnią rozmową z kobietą przed najgorszym, co może go spotkać, co może spotkać ich wszystkich, co na pewno ich wszystkich

spotka. Ta myśl znów ją przeraziła, więc na przekór swemu przerażeniu, uśmiechnęła się do młodego oficera.

- Z domu? - zapytała.

- Tak - powiedział porucznik i spochmurniał. Edyta знаła już tę pochmurność. W piątym roku wojny wiedziała, co ona oznacza.. Zbombardowany dom rodzinny, brat albo ojciec, którzy zginęli gdzieś na wielkiej równinie rosyjskiej. Nie pytała o szczegóły, nie była ich ciekawa. Położyła swoją dłoń na ręce porucznika i powiedziała, wierząc w to mniej niż kiedykolwiek. - Znów ruszemy naprzód.

Gwałtowny wstrząs pociągu rzucił ich ku sobie. Edyta znalazła się nagle w ramionach oficera. Pociąg szarpnął raz jeszcze i stanął. Chłopak puścił ją, stał teraz naprzeciw z rękami wyciągniętymi wzdłuż szwów spodni. Był zawstydzony i bardzo chłopiący w swoim zawstyżeniu.

- Coś się stało - powiedział - pójde zobaczyć. -I wybiegł jakby zadowolony, że nareszcie wie, co ma robić. Edyta ułożyła się wygodnie na kanapie. Rozbawił i trochę wzruszył ją ten nieporadny chłopak. Wygląda jak uczeń przed maturą — pomyślała i wydała się sobie nagle starą, choć młody oficer mógł być młodszy od niej zaledwie o dwa, trzy lata. Machinalnie wzięła do ręki ilustrowany magazyn. Na pierwszej stronie fotografia żołnierza ściskającego dzieci pod choinką. Piąte wojenne Boże Narodzenie. Tłustym drukiem cytaty z niedawnego przemówienia fuhrrera: „Zwyciężymy albo zginiemy”. Edyta uświadomiła sobie, że to „albo” pojawiać się zaczęło w oficjalnych przemówieniach zupełnie niedawno. I to znów ją przeraziło.

- Zaraz ruszamy - powiedział młody porucznik. Odzyskał już pewność siebie, a może tylko nadrabiał miną. - Znowu ci bandyci. Usiłowali wysadzić w powietrze wiadukt. Na szczęście im się to nie udało. Chociaż ja osobiście - uśmiechnął się szeroko, po chłopięcemu - nie miałbym nic przeciwko temu - a na jej pytające spojrzenie dodał: - Dłużej byłbym z panią, a do „Iwana” tak bardzo się nie spieszę.

Rzeczywiście - pomyślała Edyta. - Wygląda jak uczeń wyrwany do odpowiedzi i zupełnie do niej nie przygotowany.

## 2

Sierżant z ochrony wiaduktu mówił nieco bezładnie. Kołnierz kurtki miał nieregularnie rozpięty, a wokół głowy, pod czapką, zawiązany szalik zakrywający uszy. Wyglądał jak stara baba, ale ani oberleutnant Kloss, ani major Broch nie zwracali na to uwagi.

- To było nad ranem — powiedział sierżant — akurat podczas zmiany posterunku. Diabli wiedzą, skąd znali godzinę zmiany. Zabili feldfebla Troschke, ciężko ranili strzelca Grubera. Na

szczęście chłopaki na stacji usłyszeli strzały, dreżyna stała w pogotowiu, byliśmy tu w trzy minuty po ich ucieczce. I właśnie wtedy, kiedy myślałem, że już po wszystkim, nastąpił ten wybuch. Żołnierze zeskoczyli z dreżyny, rozbiegli się, rzuciłem komendę „Padnij!”, bo myślałem, że wiadukt się zwali albo nastąpi drugi wybuch.

- Był tylko jeden wybuch - powiedział Kloss - część ładunków nie wypaliła. Lekkie uszkodzenie jednego przęsła, ale ruch może odbywać się normalnie.

- Czy nie zastanawia pana, Kloss, w jaki sposób udało im się przejść przez pola minowe? Przecież jedyne dojście do wiaduktu od strony rzeki powinno być zaminowane. Natrę uszu Schneiderowi. Na szczęście skończyło się na strachu. Inaczej musiałbym go oddać pod sąd polowy.

- Przepraszam, majorze - powiedział Kloss - Schnei-der nie zawinił. Przedwczoraj lustrowałem teren - był zaminowany.

- Chce pan powiedzieć, że znali układ pola minowego?

- Nie mogę wykluczyć - zachmurzył się Kloss. Zamilkł, bo z zatrzymanego przed chwilą pociągu wyszedł jakiś młody porucznik i podszedł do rozmawiających. Spozstrzegłszy Brocha, zaczął już formułkę: „Panie majorze...”, ale Broch machnął ręką.

- Co się stało?

- Może pan wracać - powiedział Broch. - Zaraz odjeżdżacie. - Gestem posłał sierżanta w stronę lokomotywy. Sierżant biegł niemrawo, jakby był spętany, prawdopodobnie miał na sobie kilka warstw odzieży. Pociąg gwizdnął cicho, jakby w obawie, że głośniejszy gwizd może wywabić z okolicznych lasów inne oddziały groźnych polskich bandytów.

Broch wziął Klossa pod ramię, podprowadził do terenowego samochodu. Silnik dygotał rytmicznie, szofer bał się widać trudności z uruchomieniem samochodu.

- To już druga próba wysadzenia wiaduktu - rzekł Broch. - Bardzo im na tym zależy.

- Dziwi się pan? Najkrótsza linia komunikacyjna z frontem.

- Coraz bliżej ten front, Kloss - zmarkotniał Broch. - Czy wierzy pan jeszcze, że kiedyś byliśmy pod Moskwą?

- Nie ma powodów do niepokoju - stwierdził Kloss, wskazując głową przysłuchującego się rozmowie szofera, który ćmił ogarek papierosa, skrywając go w półprzy-mkniętej dłoni.

- Jazda! — rzekł Broch do szofera. I dopiero gdy samochód nabrał szybkości, a łoskot pracy silnika zagłuszał ich słowa, powiedział: - Dziękuję, Kloss.

- Abwehra musi czuwać nad morale armii - odpowiedział z uśmiechem Kloss. Samochód wjechał już na wybrukowane kocimi łbami uliczki miasta.

- Zatrzymaj się - klepnął szofera w ramię - mam tu coś do załatwienia.

- Nie zapomniał pan o przywitaniu Nowego Roku? Szykuję niespodziankę.

- Czekam, majorze. Tak, jak się umówiliśmy, koło jedenastej możemy zacząć nasze wielkie picie.

- Tak — pokiwał głową Broch — możemy się jeszcze tylko upić. - Dał znak kierowcy. Samochód ruszył ostro.

Broch - myślał Kloss, mijając biedne domki przedmieścia. - Smutno ci, Broch. Jesteś inteligentny, nie szukają cię dęte komunikaty OKW, jesteś zbyt dobrym oficerem, żeby wierzyć w „skracanie frontu” i „zwycięskie odrywanie się od nieprzyjaciela”. Czujesz, że wszystko zdycha., że coraz bliżej końca, ale nie potrafisz nic zrobić.

Kloss lubił nawet Brocha, cenił jego lojalność, jakąś -rzec by można - skautowską przyzwoitość. Broch jest bezpośredni, chętnie przestaje z młodymi oficerami. W jego wieku, z jego wiedzą powinien być już generałem. Był kiedyś w OKW, zapowiadał się na tęgiego sztabowca, ale różnica zdań, jakaś krytyka decyzji genialnego wodza, którą ktoś usłużny natychmiast zakomunikował gdzie trzeba, skończyła błyskotliwie zapowiadającą się karierę oficera. A przy tym wszystkim Kloss wie, że Broch jest ślepy. Ślepy jak oni wszyscy, młodzi oficerowie z pierwszej wojny, późniejsza kadra Reichs-wehry, dziś trzon niemieckiego dowództwa. Jeśli się zdobędą wreszcie na spóźniony odruch buntu - Kloss przypominał sobie zeszłoroczne wydarzenia lipcowe - to ma on na celu jedynie pozbycie się głupiego gefreitera; jakby generałowie niemieccy mieli jakąkolwiek szansę uratowania Trzeciej Rzeszy przed ostateczną klęską.

Minął placyk ze sterczącymi w górę ruinami spalonej synagogi, wszedł w wąską uliczkę, pustą o tej porze; choć zaczynało już świtać, jeszcze obowiązywała godzina policyjna. Minął drewniany, niegdyś pomalowany na żółto dom z szyldem zegarmistrza, rozejrzał się, zrobił ze trzy kroki wzdłuż wysokiego płotu ze szczelnie zbitych desek i nacisnął furtkę, która ustąpiła, mimo że wielka, zardzewiała kłódka zdawała się wskazywać, że furtka nie używana jest od lat. Znalazł się na tyłach żółtego domu, przez szparę w okiennicy prześwitywała blada smuga światła. Trzykrotnie zapukał w okiennicę; a kiedy drzwi uchyliły się, wszedł pewnie w mrok wielkiej sieni, minął jeden i drugi ciemny pokój, by znaleźć się w izbie przylegającej do sklepu zegarmistrza, oświetlonej migotliwym płomyczkiem karbidówki. Mężczyzna o ziemistej cerze i głęboko wpadniętych oczach zdjął słuchawki, położył je obok oksydowanego pudła krótkofalówki i pytająco spoglądał na Klossa.

- Znowu nic - powiedział Kloss ze złością. - Co za idiotów posyłacie na ten wiadukt! Wybuch zerwał trochę tynku z filara, to wszystko.

- Ciotka Zuzanna - mężczyzna przejechał dłonią po powiekach, jakby chciał z nich zdjąć senność - ciotka Zuzanna żąda, żebyśmy uporali się z tym wiaduktem najpóźniej do siódmego stycznia.

Kloss uśmiechnął się. Uśmiecha się, ilekroć słyszy „ciotka Zuzanna”, choć słyszał wielokrotnie i sam nieraz używał tego kryptonimowego określenia ich centrali. Podał radiotelegraficznie papierosa, patrzył, jak tamten z lubością wciągnął w płuca porcję dymu. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo ten

człowiek jest zmęczony. Nie mógł się powstrzymać od ostrych słów, już ich żałuje - zegarmistrz przecież nie zawinił. Położył na stole ledwie napoczętą paczkę papierosów junon.

- Umów mnie z Bartkiem — rzekł kierując się do wyjścia - sam z nim muszę pogadać.

### 3

Nie minęło pół godziny, a Edyta wiedziała już niemal wszystko o swojej współlokatorce i nowej koleżance. Greta ucieszyła się, naprawdę się ucieszyła z przyjazdu Edyty Lausch; Edyta jest jej rówieśniczką, a w parę minut po przyjściu do tego kiepsko umeblowanego pokoju, służącego za hotel pracownikom cywilnym, kolejarzom i dziewczętom ze służby pomocniczej, Greta zapraponowała Edycie, żeby mówiły sobie po imieniu. Już naprawdę miała dość poprzedniczki Edyty, kilka dni temu odesłanej do Vaterlandu z powodu rozstroju nerwowego.

- Cieszę się, że będę z tobą - paplała Greta - tak mi zbrzydła tamta wariatka. Wszystko jej przeszkadzało: dym z papierosów, bałagan w pokoju, a raz, gdy wzięłam przez omyłkę jej ręcznik, myślałam, że do mnie strzeli! Sypiała z rewolwerem pod poduszką. Przedtem była w Mińsku, pracowała w gestapo, miała zawsze rewolwer pod poduszką. Chora, zupełnie chora. My wszyscy robimy się tutaj chorzy. To ponure miasto. Bez przerwy słyszymy o jakichś napadach polskich terrorystów. Nie ma dnia, by któryś z naszych nie zginął.

- Wiem - rzekła Edyta - byłam już w tym mieście. Nie lubię tego miasta.

Układając w przydzielonej jej połówce szafy swoje fatalaszki przypomniała sobie znowu tamtą noc sprzed niemal czterech lat. Razem z małym, śmiesznym wiedeńczykiem, kapitanem Schneiderem, gdy zdołał ją wreszcie uspokoić, pobiegli na górę. Na pierwszym piętrze, w reprezentacyjnym apartamencie mieszkał miejscowy amtsleiter. Kilka dni wcześniej wyjechał do Berlina, wezwany prawdopodobnie w sprawie likwidacji problemu żydowskiego. Miasto było już w tym czasie Judenfrei, miejscowych Żydów, stłoczonych początkowo w ciasnych uliczkach dzielnicy Zatorze przesiedlono do getta Warszawy i Łodzi. W domu została żona amtsleitiera, wysoka blondynka o pięknych, upiętych w kok włosach, którą Edyta знаła z widzenia, i ich córeczka, dwuletnia, niebieskooka beksa. Kiedy weszli ze Schneiderem na pierwsze piętro, Edyta zauważyła najpierw, że stojącej w niszy gipsowej rzeźbie odtrącił ktoś dłoń, dopiero potem zobaczyła uchylone drzwi do mieszkania amtsleitiera. Schneider wszedł pierwszy, z odbezpieczonym rewolwerem w dłoni. Reflektor jego latarki wyławiał z mroku zmierzwioną pościel, porozrzucane papiery, przewracane meble. W pewnym momencie zgasił latarkę, chwycił Edytę za ramię.

- Proszę zejść do mnie i zatelefonować do gestapo - a kiedy Edyta zrobiła krok naprzód, jakby chciała się upewnić w swoim przypuszczeniu, zatrzymał ją gwałtownie. - Proszę dalej nie wchodzić. Kobieta i dziecko nie żyją.

- To polscy bandyci — powiedziała wtedy Edyta.

- Wygląda na zwykły rabunek - odparł Schneider i potem dodał: - Amtsleiter dobrze się musiał

obłowić przy likwidacji getta.

Edyta chciała zaprotestować, wtedy nie mogło się jej pomieścić w głowie, żeby wysoki niemiecki urzędnik, wyznaczony na to stanowisko przez wodza i partię, mógł robić to, co sugerował Schneider. Ale nie zaprotestowała, nie mogła wydobyć głosu. Jakże nienawidziła wtedy Polaków, tych dzikich podludzi, którzy wdzierają się nocą, aby mordować niemieckie kobiety i dzieci.

Greta musiała zauważyć, że Edyta jej nie słucha. Zamilkła nagle.

- Mów dalej, słucham - powiedziała Edyta, jakby bała się ciszy. W rzeczywistości równocześnie z obrazem, który tkwił w jej pamięci i przesunął się przed jej wzrokiem jak film, słyszała gadaninę Greta, która opowiadała właśnie, jak realizuje się niezbyt skomplikowaną filozofię życiową: nie pamiętać o wojnie, nie myśleć o niczym, bawić się, pić, używać życia. Była przy tym sentymentalna, jakieś przypadkowe, przelotne związki z mężczyznami nazywała wspaniałymi przygodami, cudownymi przeżyciami, wielkimi miłościami jakby zapominając, że pięć minut temu, gdy opowiadała o Horście, a nie o Fryderyku, także powiedziała: to była największa miłość mojego życia. Greta uważała widocznie, że znalazła w Edycie przyjaciółkę i przysłą współuczestniczkę w jej przekonaniu szampańskich, a w istocie przecież żalonych pijatyk w oficerskim kasynie, a Edyta nie miała ochoty wyprowadzać jej z błędu, pomyślała tylko, że jej poprzedniczka miała istotnie niezbyt lekkie życie z Gretą. Ale była zadowolona, że Greta nie przestaje mówić, że ona może jeszcze raz myśłami wrócić do wydarzeń sprzed czterech lat.

Niedługo już zabawiła w tym mieście. W kilka dni po pamiętnej nocy dostała zalakowaną kopertę z rozkazem wyjazdu. Była w Salonikach, potem w południowej Francji, potem w Wiedniu. Poznawała podbitą Europę - turystyka mimo woli - rzucana to tu, to tam, decyzją anonimowych sztabów, którymi kierował mózg największego wodza w dziejach Niemiec. Tamtego dnia mały, śmieszny kapitan Schneider odprowadzał ją na dworzec, emablował ją z nieco staroświecką galanterią wiedeńskiego radcy sądowego, którym był istotnie w cywilu. Edyta dziwiła się, dlaczego prowadzi ją zakamarkami wąskich uliczek, myślała, że Schneider omija śródmieście, kluczy dłuższą drogą, żeby być dłużej z nią sam na sam, bawiło ją to troszkę; dopiero kiedy doszli do stacji usytuowanej nieco wyżej, tak że widać było rozciągające się miasto z kwadratowym rynkiem, Edyta zrozumiała, jakiego to widoku chciał jej oszczędzić wiedeński eks-prawnik. W przezroczystym powietrzu wznosił się niebieskawy dymek salwy karabinowej, to zwróciło jej uwagę, spojrzała w stronę białych murów kościoła, zobaczyła zбитy tłum padających, podciętych salwą.

- Pięćdziesięciu - powiedział Schneider. - W odwet za żonę i dziecko amtsleiters - dodał.

- Tam było tylko dwóch - powiedziała wtedy Edyta, nie dlatego, aby zamierzała litować się nad skoszonymi salwą, lecz w przebłysku elementarnej sprawiedliwości. Schneider nic wówczas nie odpowiedział, może pamiętał, że wtedy, w noc morderstwa wymknęło mu się zdanie niezbyt pochlebne dla amtsleiters i bał się Edyty, może i dla niego, obytego z wymiarem sprawiedliwości, dysproporcja tych dwóch śmierci i tych pięćdziesięciu była zbyt uderzająca. Spojrzał tylko na zegarek i Edyta zrozumiała, że trzeba się pospieszyć.

Ręczniki były już ułożone, świeża pościel leżała na łóżku, należącym do niedawna do kobiety, która rozchorowała się od pobytu w Rosji i Polsce. Greta gorliwie rzuciła się, by pomóc Edycie w

powlekaniu kołdry. Mówiła przy tym bez przerwy. Teraz o jakimś chłopaku, na którego ma „cholerną chrapkę”. Może dlatego, że, w przeciwieństwie do innych, zupełnie nie zwraca na nią uwagi.

- Wysoki, przystojny blondyn - mówiła Greta - szaleję za blondynami, a on ma coś w twarzy, coś tajemniczego, jest chwilami jakby nieobecny. - W tym roku się nie udało, ale w przyszłym Greta obiecuje, że owinie sobie oberleutnanta Klossa wokół palca.

-Jak on się nazywa? - zainteresowała się nagle Edyta.

- Oberleutnant Hans Kloss. Czyżbyś go znała? - Greta była niemal zdumiona, że Edyta przerwała milczenie, jakby przywykła, że jej monologowanie bywa nie przerywane.

-Mój Boże, Hans! Po tylu latach! Czy on mnie pozna?

- Naprawdę go znasz, Edyto? Błagam, umówmy się gdzieś razem, poznaj mnie z nim! To kamień, nie mężczyzna.

Edyta uśmiechnęła się na wspomnienie czegoś miłego i dalekiego. Nareszcie coś przyjemnego w tym dniu złych wspomnień. Sięgnęła do walizki, wyciągnęła kopertę z plikiem zdjęć, szukała w nich długo, nim znalazła starą, żółkłą już, amatorską fotografię...

- Poznajesz go? - spytała.

- Przecież to jakiś smarkacz.

- Zdjęcie jest z trzydziestego szóstego roku - rzekła Edyta. Odwróciła fotografię, spojrzała na dedykację. Greta czytała, zaglądając jej przez ramię: „Edycie, o której nigdy nie zapomnę - Hans”.

- Podobny?

-Jakby trochę - odpowiedziała Greta. - Oddaję ci go, jest twój. Ja zresztą mam tu chłopaka - dodała z nieco sztucznym ożywieniem - nazywa się Brunner, gestapowiec, też przystojny, wiesz, taki typ silnego mężczyzny... - A widząc, że Edyta ciągle spogląda na dedykację, westchnęła: - Będiesz miała okazję, moja kochana, przekonać się, czy mężczyźni dotrzymują słowa.

#### 4

Kloss miał zwariowany dzień. Najpierw ściągnęli go o świcie do tego pechowego wiaduktu, potem — ledwo zdążył się ogolić i zjeść kromkę chleba ze sztucznym miodem, przygotowaną przez Kurta - otrzymał wezwanie do generała. Parząc usta wypił namiastkę kawy, przebiegł kilka ulic wiodących do sztabu zgrupowania i przez dwie godziny musiał wysłuchiwać pouczeń i dobrych rad dotyczących rozplanowania pól minowych. Taki tylko pożytek z tej konferencji, że Kloss mógł się dowiedzieć o nowej dyslokacji artylerii, a ta wiadomość na pewno zainteresuje „ciotkę Zuzannę”. Zanim dotarł do siebie, do komendantury, musiał pojechać na drugi koniec miasta, do magazynów kwatermistrzostwa, gdzie miały czekać i naprawdę czekały na niego butelki wina, подарowane mu



przez kwatermistrza, mały rewanż za kiedyś oddaną przysługę, ale w magazynach był tłok, pułki fasowały przydziały wódki i papierosów, specjalną, zwiększoną rację z okazji Nowego Roku. Kiedy wreszcie, obładowany niemiłosiernie, wrócił z winem i paroma paczkami dobrych cygar, zapodział się gdzieś Kurt, który miał na niego czekać w komendanturze. Kloss domyślił się, że Kurt polazł do kasyna, gdzie ma dziewczynę, musiał więc wydzwaniać, szukać go, nie bacząc, że stoi mu nad głową feldfelbel Jakobs, jego kancelista, z jakimiś pilnymi papierami, wymagającymi akceptacji oberleutnanta.

- Zanieś te parę butelek do domu — powiedział wreszcie do Kurta, gdy ten się zjawił z miną mocno skruszoną. — Jedną butelkę możesz sobie wziąć, wypijcie z Marge-ntą za moje zdrowie.

- Dziękuję, panie oberleutnant - wyprężył się Kurt zadowolony, że znowu mu się upiekło.

- Ale mieszkanie musi być wypucowane na medal.

- Oczywiście, panie oberleutnant — odwrócił się na pięcie, stuknąwszy przedtem obcasami i omal nie wpadł na sturmfuehrera Brunnera, który jak zwykle niespodziewanie stanął w drzwiach.

- Serwus, Hans. Musimy pogadać. Słyszałeś, że partyzanci zrobili nam brzydki kawał?

- Usiłowali - odparł Kloss podsuwając mu krzesło.

- Po Nowym Roku przetrzepimy im skórę, Ściągamy rezerwy z całego gubernatorstwa - nie skorzystał z krzesła, przeszedł się po pokoju z rękami założonymi do tyłu.

- Więc pogadamy po Nowym Roku - uciał Kloss. Brunner spojrział nań ze zdziwieniem, jeszcze chwilę stał na środku pokoju, jakby na coś czekał.

- Heil Hitler! — powiedział wreszcie z ociąganiem, ale wyszedł dopiero wtedy, gdy na biurku Klossa zadzwonił telefon. Gdyby nie wyszedł, zobaczyłby dziwną zmianę w twarzy Klossa.

- Oberleutnant Kloss? Mówi Edyta Lausch - usłyszał w słuchawce. Poczuł, że drgnęła mu ręka.

- Chwileczkę - rzekł. Odłożył słuchawkę, otarł zroszone potem czoło, zapalił papierosa, dopiero wtedy, gdy poczuł, że potrafi zapanować nad głosem, powiedział:

-To naprawdę ty, Edyto?

-Nie mylisz się, Hans, to ja, nie spodziewałeś się mnie? Ja też nie spodziewałam się, że jeszcze cię zobaczę, że właśnie w tym mieście...

Potem usłyszał jeszcze, że dowiedziała się o jego pobycie zupełnie przypadkowo, że chciałyby się z nim jak najszybciej zobaczyć. Potakiwał, zapewniał, że tak, że marzy o spotkaniu z nią. Wtrącał, gdzie trzeba, że widzieli się podczas wakacji w trzydziestym szóstym roku i na pewno oboje bardzo się zmienili. Potem, sam nie wiedząc, co robi, zaprosił ją na jedenastą wieczór do siebie, podał jej adres, zgodził się, może nawet z nadmiernym zapałem, żeby wzięła ze sobą koleżankę, która marzy o poznaniu go... Jeszcze wiele razy musiał mówić, że się cieszy, że to cudowne spotkać przypadkiem

kuzynkę (chyba więcej niż kuzynkę - to dodała Edyta), zanim wreszcie mógł odłożyć słuchawkę i zastanowić się nad sytuacją. W pierwszej chwili miał ochotę uciekać, zostawić wszystko i uciekać. Potem przyszła refleksja: byłem przecież do niego tak podobny, upłynęło osiem lat, niemożliwe, żeby...

- Edyta Lausch to najmłodsza córka ciotki Hildy -pomyślał chyba na głos, bo gefreiter Jakobs popatrzył nań ze zdumieniem.

- Słucham, panie oberleutnant? — pochylił ku niemu tłustą, babską twarz.

- Nic, nic. — Podeszedł do wieszaka, włożył płaszcz, nie starając się nawet ukryć zasepienia.

- Miał pan porucznik przeczytać i zaopiniować ten projekt instrukcji. - Gefreiter pochylił się ku niemu z typową dla małego urzędniczyny, jakim był zawsze, mieszaniną pokory i natarczywości.

-W przyszłym roku - rzekł Kloss, co Jakobs potraktował jako dobry dowcip. Kloss musiał przyjąć od niego najlepsze życzenia, wejść na moment do gabinetu szefa, aby złożyć mu swoje, pocałować w podstawiony policzek rudą Fredkę, sekretarkę szefa, nie usiłując nawet zerknąć na rozłożone przed nią papiery, bo mózg wypełniała mu jedna myśl: muszę wiedzieć wszystko o Edycie Lausch.

## 5

Kloss przyszedł do domu zmęczony. Powoli przekręcał klucz w zamku swego, zbyt dużego jak dla jednej osoby, pokoju. Kiedyś, przed wojną w tym brzydkim domu z czerwonej cegły mieściła się szkoła rzemieślnicza i oficerów ulokowano w dawnych klasach. Z początku czuł się nieswojo w tym pomieszczeniu, gdzie z łatwością można by zakwaterować dwa plutony żołnierzy, zaczął lubić ten pokój w dość osobliwej sytuacji. Którejś nocy zbudził go łomot do drzwi i krzyk: „Otwierać, gestapo!”.

Potem okazało się, że był to niewybredny dowcip Brunnera, który wdarł się z kamratami w poszukiwaniu alkoholu. Ale przez parę sekund, nim rzecz się wyjaśniła - polubił ten pokój - dziesięciometrowa przestrzeń między drzwiami a jego pościelą pozwoliłaby mu posłać na tamten świat paru gestapowców, zanim oni dosięgliby jego...

Zzuł buty, zrzucił kurtkę munduru i położył się. Zrobił wszystko, co miał do zrobienia - teraz kilka godzin oczekiwania. Uda się, czy się nie uda? Nie lubi czekać. W takich chwilach jak ta po prostu kładzie się i śpi. Dziś przyszło to tym łatwiej, że dzień ten, ostatni dzień 1944 roku, nie oszczędził mu wrażeń.

- Musi się udać! Tyle razy się udawało - zdążył jeszcze pomyśleć przed zaśnięciem.

Obudziło go pukanie do drzwi. Zanim powiedział „Wejść!”, przypomniał sobie to wszystko, przed czym uciekł, szukając schronienia we śnie. Kuzynka Edyta, towarzysza zabaw dziecięcych...

młodzieńcza miłość... W drzwiach stał Kurt.

- Przyniósł chłopak od zegarmistrza - powiedział.

- Dziękuję, Kurt. - Odebrał z rąk ordynansa duży, staromodny budzik. - Zwalniam cię teraz, do jutra masz wolne. Możesz iść do swojej Margeritki. Zaczekaj, należy jej się noworoczny upominek - zawołał go, podając tabliczkę czekolady.

Kurt zsalutował. Nie rozplęwał się w podziękowaniach. Zna swojego szefa nie od dziś. Potrafi wyczuć, kiedy oberleutnant Kloss pragnie zostać sam. Teraz zdarzyła się właśnie taka chwila, więc Kurt po prostu wychodzi, zastanawiając się, czy gdyby zaniósł teraz Margeritce czekoladę, ona zdążyłaby upiec na wieczór tort czekoladowy. Bo Kurt nade wszystko lubił tort czekoladowy.

Tymczasem Kloss poczekał, aż ucichną kroki Kurta w długim, mrocznym, pachnącym pyłochłonom korytarzu. Dopiero wtedy przekręcił klucz w zamku, podszedł z budzikiem do okna. Z nawyku raczej niż z potrzeby położył na parapecie odbezpieczony rewolwer. Jeden ruch i tylna ściana budzika odskoczyła jak naciśnięta sprężyna. Wyjął cienki zwitek bibułki. Gęste rządkami liter: „Ciotka Hilda ma reumatyzm. Ostatni list w trzydziestym ósmym roku, ostatnie spotkanie w trzydziestym szóstym w mająteczku wujostwa Weisenberg. Przejazdźki łodzią. Oświadczyły pod krzakiem bzu. Altanka w ogrodzie. Księżyc”.

- Dużo to nie jest - mruknął - dobre i to.

Zamyślił się. Przypomniały mu się tygodnie spędzone w ciasnych klitkach gmachu mińskiego kontrwywiadu. Oficer radziecki godzinami przesłuchiwał człowieka, do którego szczęściem czy nieszczęściem był tak uderzająco podobny. A on miał tylko słuchać. I przyglądać się przez szybę, która z tamtej strony była lustrem, temu człowiekowi. Śledzić grę mięśni jego twarzy, jego gesty, sposób, w jaki pali papierosa. Któregoś dnia uświadomił sobie, iż mimo że przez dwa miesiące przygląda się Hansowi Klossowi, jeszcze ani razu nie widział, jak tamten się śmieje. Powiedział o tym Griszy, właśnie temu oficerowi kontrwywiadu, który przesłuchiwał Hansa Klossa, i ten podczas następnego przesłuchania czynił nadludzkie wysiłki, aby wykrzesać uśmiech na zatroskanej twarzy Niemca. Wreszcie ni z tego, ni z owego opowiedział jakąś pieprzną anegdotę, ale twarz Hansa Klossa nadal pozostała nieruchoma.

— Trudno — powiedział Grigorij — uśmiechać się musisz po swojemu. Zresztą nie sądzę, żebyś miał tam dużo okazji do śmiechu.

Okazje bywały, ale dzisiejszy wieczór nie dostarczy ich na pewno.

Usiłował sobie przypomnieć, co mówił tamten o Edycie. Mówił niechętnie. Nie rozumiał pytań, jakie mu zadawano, nie rozumiał ich potrzeby i celu. Nie mógł przecież wiedzieć, że tam, za lustrem, bojąc się zmienić pozycję, by nie skrzypnął stary fotel, ktoś siedzi. Ale coś jednak z niego wydobyto...

Teraz właśnie próbuje to sobie przypomnieć. Chwilami ogarnia go przerażenie, gdy nie może sobie uświadomić pory dnia (a może nocy), kiedy podczas przejażdżki łódką po stawie (po pokrytym

rzęsą stawie - myśli, choć nie wie, czy dowiedział się tego wtedy, siedząc we wnęce za lustrem, czy jego wyobraźnia stworzyła właśnie taki obraz stawu w mająteczku Weisenbergów) Edyta, chcąc zerwać lilię wodną, wychyliła się zanadto i z krzykiem wpadła do wody. Hans musiał ją wtedy wyciągać, nie było zbyt głęboko, ale Edyta nie umiała pływać, wyciągnął ją w mokrej, oblepiającej ciało sukience, pokrytej zieloną rzęsą (dlaczego mi ta cholerna rzęsa wlaźła do głowy! -powiedział teraz głośno). Edyta kazała mu się odwrócić (uświadomił sobie w tej chwili, że pomyślał, jakby to jemu kazała się wówczas odwrócić, a nie prawdziwemu Hansowi Klossowi, urodzonemu w Kłajpedzie 5 października 1921 roku). Zdjęła sukienkę, wypłukała ją, rozłożyła na słońcu, żeby wyschła, sama zakopała się w stertę pachnącego ziołami siana i dopiero wtedy go zawołała. Czy to wówczas po raz pierwszy Hans Kloss pocałował Edytę Lausch? A może kiedy indziej? Miał piętnaście lat, ona trzynaście...

Jeszcze raz przeczytał tekst na bibułce. O reumatyzmie ciotki Hildy, o listach, o altance i o księżycu. Potem wyjął zapalniczkę, spalił skrawek papieru, wieczko budzika znalazło się znowu na swoim miejscu i nikt nie mógłby się domyślić, że ten stale psujący się stary zegar, który Kurt przeklął już tyle razy, bo obrzydło mu noszenie go do zegarmistrza, spełnia rolę, jaką w normalnych czasach miałyby do spełnienia zwykła koperta na list.

Ustawiał butelki i kieliszki na stole, jakieś przygotowane przez Kurta kanapki (chleb z mięsną konserwą) i zastanawiał się, dlaczego w trzydziestym ósmym roku urwała się korespondencja Hansa Klossa z Edytą Lausch. Ach, gdyby mógł teraz choćby przez kwadrans porozmawiać z tamtym, który gdzieś w głębi Rosji siedzi w pojedynczej celi, dobrze żywiony i łagodnie traktowany („Będziemy na niego chuchali i dmuchali, żeby nam się, broń Boże, me przeziębili — powiedział Jakubowski, gdy się rozstawali. - Nie wiadomo, kiedy się nam ten Niemiec może jeszcze przydać”). Przydał się. Wyciągnęli od niego znowu parę informacji, ale jak można przekazać uczucia piętnastolatka do trzynastoletniej dziewczyny w krótkim radiotelegramie, w krótkim, bo zbyt długie nadawanie rozszyfrowałoby radiostację. Gdyby wtedy wiedział, że spotka Edytę Lausch, że tamta dziewczyna będzie pamiętać Hansa Klossa... Był przygotowany na spotkanie z wujem Helmuthem, asesorem sądowym z Królewca, godzinami wpatrywał się w poradloną twarz starego, pruskiego biurokraty, żeby poznać go na pierwszy rzut oka. I poznał, gdy zaszła potrzeba. Ale Edyta nie jest starszym panem o ostrym nosie i brodawce na podbródku. Widział co prawda jej zdjęcie, przypomina ją sobie jak przez mgłę. Jasna blondynka z długimi, grubymi warkoczami. Osiem lat... trzynastoletnia dziewczynka stała się dorosłą kobietą. Przeszła najważniejszą przemianę.

Mam prawo jej nie poznać - uspokaja się. - A czy ona mnie pozna? Hans Kloss też miał prawo się zmienić przez osiem lat. Z nieopierzonego wyrostka stał się mężczyzną. A znak szczególny... Podszedł do lustra i przyjrzał się swej szramie pod prawym uchem.

Rozstawił już naczynia, rozłożył sztuce, ma jeszcze co najmniej godzinę do przyjścia gości. Jeśli się nie spóźnią. Nie, Edyta nie spóźni się na pewno. Tak bardzo chciała się z nim zobaczyć, ledwie się wymówił nawałem pracy, kiedy mu zaproponowała, żeby zobaczyli się natychmiast.

Czy jest ładna? Tamten mówił, że piękna. Czy można wierzyć wrażeniu piętnastoletniego chłopca? Ze zdjęcia, zresztą amatorskiego i niezbyt wyraźnego, niewiele można było odczytać. Dość regularne rysy twarzy, jasne, prawdopodobnie niebieskie albo szare oczy, dużo puszystych włosów. Chyba ładna - pomyślał i to jakby go uspokoiło, chociaż w gruncie rzeczy nic go nie obchodzi, czy

kuzynka Klossa, Edyta Lausch, jest naprawdę ładna. Nie po to szkolono go przez kilka miesięcy, nie po to poddawano go morderczym próbom, badano jego wytrwałość, inteligencję, znajomość niemieckich idiomów, żeby teraz miał odświeżać jakieś młodzieńcze wspomnienia, w dodatku nie swoje, lecz człowieka, w którego skórę się wcielił.

Nagle błysk: oczywiście, dlaczego nie wiedział tego od razu? Hans Kloss w trzydziestym ósmym roku zdał maturę i pojechał studiować na politechnice w Gdańsku. On też był na politechnice w Gdańsku, ale właśnie jesienią trzydziestego ósmego roku musiał się przenieść do Warszawy. Rozbestwienie gdańskich hitlerowców, ich nienawiść do Polaków z Pomorza, którzy osiedlili się w formalnie Wolnym Mieście Gdańsku, hitleryzującym się z godziny na godzinę, zaczęła przybierać takie rozmiary, że musiał wyjechać. Kto wie, gdyby wówczas został, może spotkałby się kiedyś z Hansem Klossem. Na pewno zatrzymaliby się obaj, zdumieni nieprawdopodobnym wprost podobieństwem. Dwóch ludzi różnej narodowości, z których jeden uważał się za przedstawiciela rasy panów i chyba me byłby uszczęśliwiony, że jego zwierciadlane niemal odbicie jest Polakiem, człowiekiem narodu skazanego na to, by po wieczne czasy służyć Her-renvolkowi. Hans Kloss był na pewno wśród tych paradujących w brunatnych koszulach z opaskami, budzących miasto rykami i błyskami pochodni, pikietujących polską pocztę i polski urząd celny. Członek tajnej komórki NSDAP w Kłajpedzie i elew równie tajnej niemieckiej podchorążówki nie stał zapewne wtedy na uboczu. A ona? A Edyta? Jaka jest? Do służby pomocniczej wstępuje się dobrowolnie. Ona wstąpiła. Czy dlatego, że chce mieć swoją cegiełkę w budowie gmachu tysiącletniej Rzeszy, czy dlatego, żeby jej matka (chora na reumatyzm moja ciotka Hilda — pomyślał z uśmiechem) mogła dostać lepsze kartki żywnościowe, uprawniające do otrzymywania paru deka masła zamiast margaryny? A więc tak, musiało być tak: Hans Kloss jeszcze z fotografią Edyty w portfelu przyjechał do Gdańska. Musiał tu poznać jakąś inną dziewczynę. Dlatego korespondencja, podtrzymywana przez obie strony przez dwa lata, nagle się urwała. Czy to także była studentka, towarzysząca nocnych pochodów z pochodniami, wykrzykująca do zachrypnięcia antypolskie hasła na nie kończących się wiecach? Czy może córka jakiegoś solidnego kupca, poczciwa mieszczaneczka, a może córka wdowy po urzędniku, wynajmującej pokoje na stancje dla studentów? Kto to był? Czy Hans Kloss coś mówił na ten temat? Czy go o to pytano?

W głowie miał pustkę. Dopiero po chwili zreflektował się: przecież to nie dotyczy Edyty i gdyby był naprawdę Hansem Klossem, właśnie ten temat oboje by instynktownie omijali.

Dość! Kloss, właściwie człowiek, który od czterech lat nosi nazwisko Hansa Klossa, nie potrafi zbyt długo się martwić, wolałby, co prawda, nie czekać, ale teraz, kiedy uświadomił sobie, że dla Edyty Lausch może być Hansem Klossem, że niebezpieczna gra, którą z całą świadomością ryzyka (a może właśnie także dla tego ryzyka?) podjął przed czterema laty, będzie kontynuowana, jest już spokojny.

Przypomniała mu się sprawa wiaduktu. Sprawdził w myśli, czy niczego nie zaniedbał. Ten wiadukt musi być wysadzony! Ciotka Zuzanna (uśmiechnął się do siebie) bardzo nalega. Musi mieć swój cel. Czyżby długo oczekiwana ofensywa? Prości żołnierze, nie krępując się jego obecnością, szcękali zębami mówiąc o wielkiej ofensywie, którą szykuje „Iwan”. Jest wystarczająco długo na wojnie, aby zaufać niezawodnemu instynktowi prostych żołnierzy. A więc tym bardziej wiadukt musi być wysadzony.

Kiedy wprost z komendantury, natychmiast pod wrażeniem rozmowy z Edytą, zaniedbując nawet zwykłej ostrożności, pobiegł do zegarmistrza, aby wydobyć od ciotki Zuzanny te właśnie informacje o reumatyzmie, stawie, łódce i księżycu, czekał już na niego Bartek. Kloss lubił tego inteligentnego chłopca, z którym współpracował nieraz i którego mógł być zupełnie pewien. Za Bartkiem, dowódcą dużego zgrupowania partyzanckiego, wsławionego licznymi brawurowymi akcjami (w niektórych i Kloss miał swój udział), policja i SD rozpięły listy gończe i jeszcze do niedawna jego chłopska, kwadratowa twarz spoglądała na Klossa z parkanów miasta, dopóki jej nie przykryły inne plakaty, poszukujące polskich „zbrodniarzy” albo obwieszające o kolejnej egzekucji „osób, które podniosły rękę na przedstawicieli narodu niemieckiego”... Ale Bartek nic sobie z tego nie robił, nawet w najgorszym czasie przyjeżdżał chłopską furką na targ do miasta, jakby wiedząc, że wtapia się bez reszty w tłum ubrany w kozuchy i długie buty.

Bartek był markotny, zegarmistrz musiał mu powtórzyć cierpką ocenę ostatniej akcji. Nie przyjął papierosa, skręcił sobie w gazecie trochę śmierdzącej machorki, poczekał, aż wszystkie zegary w sklepie wybiją godzinę trzecią i dopiero wtedy powiedział o nieszczęściu. Okazało się, że podczas akcji na wiadukt zagubił się jeden człowiek.

- Kto? - zapytał Kloss. Ludzi Bartka znał tylko z pseudonimów.

- Florian - powiedział Bartek. - Niedobrze, jeśli wpadł, może wygadać, że dysponowaliśmy planem pól minowych.

- Spróbuję się dowiedzieć - powiedział Kloss. - Wiem, że zaraz po akcji nie złapali nikogo. Byłem na miejscu w kwadrans po was...

Przeszedł do najważniejszego:

- Musicie załatwić sprawę z tym wiaduktem w ciągu trzech dni, bez względu na straty. Zresztą powinny być niewielkie. Niemcy nie spodziewają się uderzenia bezpośrednio po nieudanej akcji. Trzeba wykorzystać ten moment uspokojenia. Najlepiej w ciągu najbliższych dwóch, trzech nocy.

Przekazał Bartkowi nowe dane dotyczące zaminowania i to, czego zdążył się dowiedzieć, zerkając na rozłożoną przed Fredką, sekretarką jego szefa, rozkłady jazdy ważniejszych transportów kolejowych. Zaproponował zgranie akcji wysadzenia wiaduktu z likwidacją jakiegoś ważnego transportu...

Bartek natychmiast się ożywił. Kolejówka to jego specjalność. Zaczął od tego, początkowo z ośmioma towarzyszami. Teraz jego oddział liczy niemal dwustu ludzi i ma na koncie prawie dwa tysiące wagonów pełnych zaopatrzenia i sprzętu. Ustalili jeszcze konieczność jakiegoś pozorowanego ataku niewielką grupą ludzi, aby odciągnąć ochronę wiaduktu, omówili termin i miejsce następnego spotkania. Kloss chciałby wiedzieć, kiedy będzie podjęta kolejna próba. On w tym czasie musi mieć absolutne alibi. Na końcu, maskując zdenerwowanie humorem, opowiedział Bartkowi o cudownym odnalezieniu „kuzynki”.

- Uważaj - rzekł Bartek - to może być prowokacja.

- Uważam - odparł. - Uważam już cztery lata.

Bartek napełnił kieliszki samogonem. Wzniesli je w milczeniu, potem mocno uściskali sobie dłonie. Nie potrzebowali słów- znali swoje pragnienia na zbliżający się Nowy Rok.

## 6

Major Broch miał już lekko w czubie. Hałaśliwie wkraczał do pokoju, z uznaniem spojrzął na baterię butelek stojących na stole, postawił obok nich pękata, ciemnozieloną.

- Szampan? Świetnie! - powiedział Kloss.

- O pucharach też nie zapomniałem. To miała być moja niespodzianka. Ale mam dla pana jeszcze lepszą. Drogi przyjacielu, oficjalnie za parę dni, ale w wielkiej tajemnicy mogę już panu powiedzieć. Przed chwilą przeglądałem zatwierdzoną listę awansów. Gratuluję... kapitanie Kloss!

A więc dali mi awans - myślał Kloss. - Prawdopodobnie za sprawę warszawską. Gdyby wiedzieli, że zdemaskował wtedy jako groźnych wrogów Rzeszy najwierniejszych i najbardziej okrutnych oprawców. Gdyby wiedzieli... Gdyby wiedzieli, że nie dalej jak przed kilkoma godzinami popełnił zdradę główną, przekazując ostatnie informacje. Jest wśród nich już cztery lata, uważają go za swego, więc i tych panów świata można nabrać, oszukać, ogłupić do tego stopnia, że nagradzają orderami i awansami swego śmiertelnego wroga. Przypomniało mu się kilka epizodów z minionych czterech lat, błyskawicznie przemknęły mu przez myśl sytuacje, które zdawały się być bez wyjścia, powinny skończyć się nieuchronną klęską, zdemaskowaniem, samobójczą — jeśliby zdążył — śmiercią. Kiedy zaczynał tę robotę, kiedy po raz pierwszy zobaczył się w lustrze w mundurze leutnanta, pomyślał, jak dobrze by było, gdyby mu się udało przedłużyć tę maskaradę choćby do roku. Po dwóch latach, już z dystynkcjami oberleutnanta, przeraził się tamtej swojej myśli. Miał dotąd cholerne szczęście, ale to przecież musi się skończyć. Byle tylko jak najwięcej zaszkodzić, zanim przyjdzie to najgorsze. A teraz Broch, ten sam Broch, który przez całą wojnę, dwukrotnie ranny, uczestniczący we wszystkich ważniejszych kampaniach, jest nadal majorem, przynosi mu wiadomość o awansie.

- Nie cieszy się pan? W pańskim wieku... Ja mam czterdzieści siedem lat, Kloss. Jest pan niemal dwa razy młodszy. Ale nie zazdroszczę panu, naprawdę szczerze panu gratuluję, od dawna się to panu należało.

- Wszyscy wiedzą, panie majorze, że jest pan znakomitym oficerem.

-Tak- skrzywił się kwaśno Broch. -Wszyscy wiedzą, a wkrótce dowie się cały świat. — Pochylił się do Klossa i skończył szeptem: —Już w grudniu trzydziestego dziewiątego roku powiedziałem, co myślę o planie zaatakowania Rosji, o tym szaleństwie gefreitra, opętanego mania grandiosa. Już wiemy, że to ja miałem rację, bolszewicy są teraz nad Wisłą, za miesiąc będą nad Odrą, a za dwa miesiące... Nie łudźmy się, Kloss. Ta wojna jest przegrana, „Iwan” teraz nie popuści,

zażąda, żebyśmy zdali rachunek. I co wtedy?

- Panie majorze - odparł spokojnie Kloss - bardzo pana lubię i myślę, że nie mam tu nikogo bardziej od pana życzliwego. Ale proszę zrozumieć... U progu Nowego Roku nie chciałbym pamiętać, że pracuję w Abwehrze, nie chciałbym, żeby przypominał mi o tym przyjaciel, człowiek, którego szanuję, lubię i cenię.

- Kloss - westchnął Broch - ja kocham Niemcy i wiem, co się stanie.

- Nie trzeba być skrajnym pesymistą. - Kloss starał się nadać swemu głosowi brzmienie ciepłe i ufne. W tej chwili wolał, żeby Broch uznał go za idiotę lub tchórza, niż żeby uważał go za współnika w poglądach, które tylko pomyślane stanowią zbrodnię. - Na szczęście mamy dość alkoholu, majorze, żeby zapomnieć o przykrych rzeczach i pod wpływem chwilowego rozżalenia wypowiedzianych poglądach. - Kloss czuł, że to, co mówi, jest lepsze i dość obrzydliwe.

Oto człowiek rozczarowany, dziś już na pewno wróg systemu, ale on nie może wyciągnąć do mego ręki, przeciwnie - musi stworzyć sytuację, w której Broch będzie słabszy. Nie zapomina się lekkomyślnej szczerości. Broch będzie o tym pamiętał, na przyszłość może będzie ostrożniejszy, ale w przyszłości, gdyby zdarzyła się sytuacja, w której los Klossa mógłby zależeć od Brocha, ten będzie musiał milczeć. Dzięki temu Kloss przetrwał cztery lata we wrogim mundurze, w samym środku ich maszyny wojennej. Nie może sobie pozwolić na gest przyjaźni nawet wobec człowieka, który na tę przyjaźń by zasługiwał, jeśli szkodziłby w ten sposób sprawie najważniejszej - sprawie swojego bezpieczeństwa. Ale Brocha naprawdę lubił. Chciał mu osłodzić gorycz tej rozmowy.

- Moje dziewczęta powinny zaraz nadejść - powiedział.

- Będą kobiety? Niemki! - jak tonący koła ratunkowego chwycił się Broch zmiany tematu.

-To była moja niespodzianka, majorze. Niech pan sobie wyobrazi, że odnalazła mnie tu kuzynka. Co prawda bardzo daleka, w dodatku młodzieńcza miłość. Nie widzieliśmy się osiem lat, mam tremę.

- No, myślę! - zapalił się Broch. - Ładna?

- Usiłuję wyobrazić sobie, jak wygląda - odpowiedział i, widząc zaskoczone spojrzenie Brocha, dodał: - Była wtedy trzynastoletnią dziewczynką. Nie wiem, czy ją poznam.

I właśnie w tym momencie ktoś zapukał, a Klossa nagle olśniło. Położył palec na ustach i jak łobuziak, który zamierza zrobić świetny kawał, ukrył się za drzwiami. Brochowi zabawa zaczęła się podobać. Gestem wskazał Klossowi, by schował się głębiej, a sam otworzył drzwi.

- Proszę, proszę, rozgośćcie się panie! - zawołał do wchodzących dziewcząt. - Kloss wróci za chwilę.

Kiedy w szparze drzwi dostrzegł stojącą doń tyłem jasnowłosą dziewczynę i chciał już wyjść, ukazała się druga - także blondynka. Teraz nie miał już wyboru.



- Edyto! - zawołał, niespodziewanie wychodząc zza drzwi.

Edyta odwróciła się gwałtownie.

- Hans? - W jej głosie zabrzmiała niepewność. Kloss z trudem rozprężył mięśnie twarzy, ułożył je w kształt uśmiechu.

-Tak bardzo się zestarzałem?

- Bardzo się pan zmienił, poruczniku - rzekła Greta.

- To jest Greta, o której ci mówiłam. Poznajcie się. Od dawna o tym marzyłam.

- A skąd pani wie - zapytał lekko Kloss - że się zmieniłem?

-Widziałam zdjęcie.

- Zdjęcie? Jakie zdjęcie? - Był czujny, napięty, choć uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Więc jednak prowokacja? - pomyślał. - Bartek miał rację, kiedy mnie ostrzegał. Czy coś wiedzą, czy poddają go próbie?

- Och, Hans, nie pamiętasz? - dziwiła się Edyta. -To, które mi przysłałeś z wycieczki do Królewca w trzydziestym ósmym...

-Wybacz, Edyto, tyle lat... -powiedział i gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, czy Hans Kloss, tam, w Mińsku, wspominał coś o wycieczce do Królewca. Chyba tak, tuż przed maturą. Wtedy widział wuja Hel-mutha.

Te rozmyślania mu przeszkodziły w dokonaniu aktu prezentacji, jakimś żartem skwitował zdumienie dziewcząt na widok bogato zastawionego stołu. Chciał, żeby Broch czym prędzej wyszedł stąd z Gretą, wydało mu się, że gdyby został sam na sam z Edytą, potrafiłby utwierdzić ją w przekonaniu, że rozmawia z Hansem Klosssem, towarzyszem dziecięcych zabaw, bohaterem szczeniackiego romansu. I tak właśnie się stało; Broch szepnął coś Grecie, krzyknął Klossowi, że wyjdą naprzeciw Schneiderowi i zostali nareszcie sami.

Przez moment było jeszcze gorzej, nie wiedział, co powiedzieć, nie spodziewał się, że kuzynka Hansa Klossa jest tak piękna.

-Jak się czuje ciocia Hilda?

- Pamiętasz mamę? Ona cię często wspomina. Biedna, ostatnio prawie nie wstaje. - Edyta przyglądała mu się, jakby nie mogła odnaleźć czegoś znajomego w twarzy stojącego naprzeciw niej młodego mężczyzny w mundurze oberleutnanta. Czyżby go nie poznawała? A może podejrzewa? Nie, to niemożliwe! A może ten dziecięcy romans pozostawił w niej jakiś ślad? Przez chwilę Kloss czuł się jak złodziej, który buszuje w cudzym domu. Przecież to nie on, to tamten całował ją w stogu siana, przecież to z tamtym przysięgali sobie wieczną miłość.

- Ciągłe ten reumatyzm? - zapytał z troską w głosie. Nie można dopuścić ani do chwili ciszy. Cisza jest niebezpieczna.

- I to pamiętasz, Hans? Myślałam, że zupełnie o nas zapomniałeś.

W tym momencie Kloss poczuł, że jakaś niewidzialna ściana, tkwiąca dotychczas między nimi, nagle runęła. Niby nic się nie zmieniło, stali nadal naprzeciw siebie, przyglądali się sobie, ale tak właśnie powinni stać ludzie, którzy się niegdyś kochali i spotkali przypadkiem po latach rozłąki, którzy mimo oddalenia hołubili w sobie jakieś tkliwe myśli o tym drugim.

- Niczego nie zapominam, Edyto. Bardzo lubiłem ciocię Hildę i jedną z jej córek. — Uznał, że to jest najważniejszy moment, żeby wziąć w swe ręce dłoń Edyty. Nie cofnęła jej. I tak zastali ich roześmiani, zaróżowieni od mrozu Broch z Gretą, którzy trzymali jak cenną zdobycz - opierającego się lub udającego, że się opiera - Schneidera.

-Wyobraźcie sobie, on jeszcze chciał pracować! - zawołał Broch.

- Odświeżyliście wspomnienia? - spytała słodko Greta.

- Więcej - odparł Kloss - poprosiłem Edytę, żeby zechciała pełnić honory gospodyni.

- Jak się domyślacie, przyjęłam z przyjemnością - odpowiedziała bez zmrużenia oka Edyta. I nagle wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Schneidera. Nim tamten zdążył powiedzieć słowo, rzuciła się ku niemu i padła mu w objęcia. Schneider był oszołomiony, ale szczęśliwy. Odsunął ją od siebie, przyglądał się przez chwilę.

- Wypiękniała pani, Edyto.

- Myślałam dzisiaj o panu, właściwie od paru dni wspominam nasze spotkanie.

Opowiadają, przeszkadzając sobie nawzajem, historię spotkania, dzieje owej koszarnej nocy, wypijają pierwszy toast za cudowny zbieg okoliczności. On to przecież umożliwił Edycie, która tak się bała powrotu do tego miasta, spotkanie z dawno nie widzianym Hansem („Moim narzeczonym - powiedziała ze śmiechem Edyta. - Chyba nie zapomniałeś, Hans, że obiecałeś się ze mną ożenić, gdy dorośniesz?”) i człowiekiem, który traktował ją jak córkę, to znaczy uroczym kapitanem Schneiderem. Schneider trochę się skrzywił, usiłował prostować, że nie traktował wówczas Edyty jak córki, jak siostrzenicę raczej, ale po pierwszym kieliszku pogodził się ze swoją rolą, domagał się tylko, żeby Kloss i Edyta uklękli przed nim, a on udzieli im rodzicielskiego błogosławieństwa. Potem Broch nie wytrzymał i w największej oczywiście tajemnicy poinformował wszystkich o awansie Klossa, gratulowali mu kolejno. Edyta podeszła doń z kieliszkiem, rozbawiona Greta zażądała, żeby się teraz pocałowali i w ten sposób pocałowali się po raz pierwszy.

- Pamiętasz, Hans, kiedy i w jakich okolicznościach pocałowaliśmy się ostatni raz?

Powiedział, że przy pożegnaniu, kiedy odjeżdżała z majątku wujostwa Weisenberg, ona twierdziła, że Hans wyjechał wcześniej, przekomarzali się przez chwilę, ale Kloss już wiedział na pewno, że niebezpieczeństwo zniknęło, że Edyta także nie bardzo pamięta, kto z nich tego lata

pierwszy wyjechał. W rozbawieniu omal nie przeoczyli północy; minutę przed dwunastą Broch zaczął odwijać drut z butelki szampana, szło mu to niesporo, z głośnika dobiegały już pierwsze uderzenia radiowego zegara, ale udało mu się z tym wreszcie uporać. Rozlewał musujące wino, a Schneider, który już na dobre przejął się rolą ojca, zawołał:

- Cisza, moje dzieci, za chwilę powitamy Nowy Rok!

- A jeszcze wcześniej sturmfuehrera Brunnera! - To powiedział mężczyzna, który dobrze już pijany, w rozkroku, jakby się bał upaść, stanął w drzwiach.

- Hermann! Fajnie, że jesteś! - zawołała Greta, ale inni nie wyrazili zachwytu na widok niespodziewanego gościa. Gdyby Brunner był cokolwiek mniej pijany, dostrzegłby, że zgasił nastrój. Ale on, cmoknąwszy Gretę, wtaczał się już do pokoju, żądał kieliszka, bełkotał coś o węchu, który go nigdy nie zawodzi, jeśli idzie o alkohol.

- Nie przedstawiłem cię mojej kuzynce - powiedział Kloss i w tym momencie dostrzegł coś nienormalnego w spojrzeniu Edyty. Przyglądała się w skupieniu Brunnerowi, jakby starała się odpędzić od siebie jakąś myśl. Z trudem zdobyła się na uśmiech, gdy Brunner podtoczył się do niej z kieliszkiem.

- Zdrowie pięknych pań! - zaczął i urwał. Wypuścił z ręki kieliszek, niezdarnie pochylił się, żeby pozbierać szkło, ale Edyta dostrzegła, że kiedy wstał, jego spojrzenie stało się jakby trzeźwiejsze. Już była skłonna uwierzyć, że to przywidzenie, że to rezultat ostatnich rozmyślań o owej nocy sprzed czterech lat, ale teraz wydało się jej, że się nie myli.

- Zdaje się, że pana już gdzieś widziałam - powiedziała i dostrzegła zimny błysk w bladych oczach Brunnera. Natychmiast pożałowała tych słów, była zadowolona, że nikt z obecnych nie zauważył tego incydentu.

-Za fuehrera, za zwycięstwo, za Wunderwaffe! - wznosiła właśnie swój kieliszek Greta i nagle zamilkła, bo oto zza okna dobiegł ich niepokojący, ale jakże znany głos syreny przeciwlotniczej. Żarówka nad stołem zachybotała, zgasła na moment, żeby po chwili znów się zapalić. Jednocześnie usłyszeli wybuchy, a dopiero na końcu przydu-szony ryk silników. W milczeniu zbiegali do schronu. Na którymś z podestów Edyta przytuliła się do Klossa.

- Boję się - szepnęła.

- Odwagi, kochanie - powiedział. - Bombardują wiadukt, a może dworzec kolejowy, nie miasto.

Ale ona tylko potrząsnęła głową, nie mogła mu przecież powiedzieć, że nie miała na myśli bombowców.

Greta była wściekła. Przede wszystkim z powodu zmarnowanego sylwestra. Co prawda wrócili po godzinie na górę, tyle że bez Brunnera, który gdzieś się zawieruszył podczas nalotu, ale zabawa się już nie kleiła. Wszyscy udawali, że nic się nie stało. Schneider przypomniał sobie wiedeńskie herbatki i usiłował zabawić ich śpiewem, ale to niewiele pomogło. Po paru minutach wszyscy wiedzieli, że oto w ich życie, życie panów do niedawna całej niemal Europy, wkradł się nowy czynnik. Ktoś inny zdecydował, żeby zepsuć im powitanie Nowego Roku i oni nie mogli temu przeszkodzić.

Gdzie jest nasza artyleria przeciwlotnicza — myślał Schneider, choć wiedział, że prawdopodobnie artylerzyści dostali rozkaz nieujawniania swoich pozycji przed spodziewaną wielką ofensywą rosyjską.

Mówiłem, ile razy mówiłem, że to nie ma sensu — myślał z mściwą satysfakcją Broch.

Chociaż gospodarz wieczoru, oberleutnant, a właściwie już hauptmann Kloss, gorąco zapraszał, aby pozostali, nastawił nawet patefon ze zdobytymi skądś płytami ostatnich berlińskich przebojów, wszyscy z ulgą powitali propozycję Edyty Lausch, aby się rozejść.

Więc ten zmarnowany sylwester to pierwszy powód wściekłości Greta. Drugi - to zimno panujące w ich pokoju. Służąca Polka, która miała napalić, nie przyszła dzisiaj do pracy, w dodatku ukradła Grecie dwie puszki konserw. Edyta chciała napalić w piecu, ale wtedy okazało się, że skończyły się zapasy węgla. Bez namysłu porąbała taboret, na którym stała miednica. Myć się w końcu można stawiając miskę na stole, ale ciepła starczyło tylko na tę godzinkę, gdy szykowały się na sylwestrowy wieczór. Teraz w pokoju panował znowu przeraźliwy ziąb, przez nieszczelne okna wdzierał się wiatr. Leżały na swoich łóżkach szcękając zębami, po-przykrywane wszystkim, co było w domu, ale żadna nie mogła zasnąć.

Dopiero kiedy Greta zaproponowała, żeby Edyta przeniosła się na jej łóżko, dopiero wtedy, przykryte dwiema kołdrami, poczuły się lepiej. Przez chwilę rozmawiały o wrażeniach wieczoru; Edyta jeszcze raz pomyślała, że to dobrze, że nikt nie zauważył incydentu z upuszczonym przez Brunnera kieliszkiem. Gdyby Greta coś spostrzegła, Edyta musiałaby jej teraz wymyślać na poczekaniu jakieś kłamstwo, ponieważ prawda nie potrafiłaby jej przejść przez gardło.

Czy się nie mylę? - myśli Edyta. To pytanie dręczy ją od paru godzin.

Kiedy wracała z Hansem - Broch z Greta i Schneiderem poszli przodem, aby - jak zaznaczył mały kapitan saperów - dać zakochanym szansę powiedzenia sobie wszystkiego, miała ochotę wyznać mu o Brunnerze, o tym nieprawdopodobnym posądzeniu, które załęgło się w jej myślach, ale nawet wobec niego nie potrafiła się na to zdobyć. Zaczęła nawet coś mówić, ale przerwała w połowie zdania, a na jego nalegania odparła, że powie mu innym razem, że chciała go zaintrygować, że pragnęła, żeby z niecierpliwością wyglądał spotkania. Nic wtedy nie powiedział, objął ją tylko mocno i Edycie zaczęło się wydawać, że nie istnieje już ośmioletnia przerwa w ich znajomości, że pożegnali się wczoraj, spotkali dzisiaj i odtąd będą spotykać się codziennie.

Jestem szalona - mówi do siebie - sentymentalna idiotka, ale nie potrafię myśleć o tym człowieku inaczej niż z tkliwością.

Oczywiście zauważyła, że mu się podoba, zauważyła też, że jest jakiś inny niż tamten, którego pożegnała latem trzydziestego szóstego roku; zamiast zapalczywo-ści, nie kończących się potoków słów - zapewnień o uczuciach, które wówczas sprawiały, że długo w noc nie mogła zasnąć - tkliwy gest, uścisk ręki, opiekuńcze objęcie ramieniem.

Wydoroślał po prostu - myśli - dojrzał. A poza tym wojna. Wszyscy się zmieniamy.

Nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie swą poprzedniczkę, o której wspominała rano Greta. Grecie udało się wtedy zdumiewająco trafne sformułowanie: „My wszyscy jesteśmy chorzy od tego kraju...”. Czy Hans też jest chory? Przyglądała mu się wielokrotnie w ciągu tego wieczoru - spokój, starannie odmierzone ruchy, nic tajemniczego, o czym mówiła Greta. Czy zostało w nim coś, co oboje wspominali z uśmiechem, coś z tamtej wakacyjnej, młodzieńczej przygody? Kiedy zaczął mówić o swoich studiach na politechnice gdańskiej i wspominał o atmosferze tamtych dni, miała ochotę go zapytać, kim była osoba, przez którą nie otrzymała odpowiedzi na swój ostatni list, ale powstrzymała się. Edyta Lausch nie była już trzynastoletnią dziewczynką, rozczytaną w romantycznych powieściach, doznającą pierwszego wtajemniczenia. Była dorosłą kobietą, rok temu przeżyła śmierć człowieka, którego kochała. Wiedziała, że to, co łączyło ją kiedyś z piętnastoletnim chłopcem, może być jakimś pomostem do ponownego zbliżenia, niczym więcej, że jeśli chce Hansa, musi go chcieć takim, jaki jest teraz, zapomnieć o tamtym piętnastolatku. Raz już przecież zapomniała. Pół roku życia z Rudolfem, zakończone głupią, samobójczą śmiercią (z przesłuchiwań, jakim ją potem poddawano, zorientowała się, że jej Rudi, który ani razu w ciągu tego pół roku nie zamienił z nią słowa o polityce, miał coś wspólnego ze spiskiem przeciw fuehrerowi) pozwoliło jej - tak jej się wtedy zdawało, zapomnieć o szczeniackiej miłości. Gdy wczoraj rano Greta wymieniła nazwisko oberleutnanta Klossa, zdumiał ją tylko taki, zdawałoby się, nieprawdopodobny zbieg okoliczności, a dedykacja na zdjęciu wzruszyła raczej sentymentalną Gretę niż ją. Dopiero gdy zza drzwi pokoju, do którego weszła z Gretą, wyszedł człowiek, który powiedział: - Edyto - poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Greta oddychała miarowo, zwinięta w kłębek, przytulona do niej jak dziecko.

Chciałabym mieć dziecko — pomyślała Edyta — chciałabym, żeby było podobne do Hansa - i ta myśl ją rozśmieszyła.

- Boże - powiedziała głośno - nie zapytałam go nawet, a może on jest żonaty?

Usłyszała albo zdawało jej się, że usłyszała jakiś szelest za oknem. Na pewno ta polska służąca wróciła - pomyślała w półśnie i postanowiła, że odda Grecie swoje konserwy, żeby ochronić tę biedną, zastrachaną kobiecinę przed oskarżeniem o kradzież. I wtedy rozległ się brzęk tłuczonej szyby, a w chwilę potem seria z pistoletu maszynowego rozdarła ciszę.

Gwałtownie przebudzona Greta usiadła na posłaniu i zaczęła histerycznie krzyczeć; Edyta zerwała się, usiłując przypomnieć sobie, gdzie powiesiła pas z kaburą, pożałowała nagle, że nie trzyma rewolweru pod poduszką jak tamta nie znana jej kobieta, która dostała rozstroju nerwowego. Ale zanim znalazła broń, usłyszała za oknem ciężkie kroki, głośne krzyki patrolu i dobijanie się do drzwi.

— Chwileczkę — powiedziała spokojnie, zarzuciła na ramiona płaszcz, włożyła buty i dopiero wtedy podeszła do drzwi. Grupa wystraszonych sąsiadów, ubranych podobnie jak ona, wtargnęła do pokoju, któryś z nich mówił już w progu:

-Jestem lekarzem, komu mam pomóc?

Inny przekreślił kontakt. I wtedy Edyta zobaczyła: jej łóżko, na którym miała spać i z którego uciekła do Greta w obawie przed zimnem, posiekane było na skos upiornym wielokropkiem - śladami kuł. Zachwiała się, zdążyła jeszcze pomyśleć: Ktoś mnie chciał zabić - a potem zobaczyła pochyloną nad sobą twarz mężczyzny, który mówił, że jest lekarzem.

- Już lepiej, panno Lausch? Nic się nie stało, po prostu omdlenie. Normalna reakcja. Szok.

## 8

Pierwszego stycznia Kloss wstał późno, ogolił się, zjadł jajecznicę na boczku przyrządzoną przez Kurta, pogadał z ordynansem o wczorajszej zabawie. Chłopak miał szczęście, przespał nalot przytulony do swojej rosnącej Margerity, przyniósł kawałek tortu czekoladowego, żeby pan porucznik („Pan kapitan” - poprawił się, o awansie Klossa także już wiedział) spróbował. Kloss jadł tort, chwając zdolności kulinarne dziewczyny Kurta; usłyszał, że Kurt chce się z nią ożenić, oczywiście po wygranej wojnie — powiedział prędko i popatrzył na Klossa, jakby od niego chciał się dowiedzieć, kiedy wojna zostanie wygrana. Potem zaczął relacjonować Klossowi codzienną porcję plotek krążących między ordynansami. Kloss wysłuchiwał ich zawsze z uwagą, nieraz już zdobył cenną informację dzięki paplaninie Kurta.

- Znów był napad bandycki w nocy - powiedział Kurt. - Do dziewczyn strzelali.

- Naprawdę? - zapytał bez ciekawości Kloss.

- Mieszkały w tej bursie kolejarskiej, niedaleko dworca. Jedna dopiero wczoraj przyjechała. Niech pan powie, co za sens, żeby dziewczyny umieszczać w pokoju na parterze?

- Zaraz, zaraz - zaniepokoił się - te dziewczęta pracowały w kantine?

- Nie - mówi Kurt - telefonistki ze sztabu. Pewnie ich pan nie zna. Ta jedna, co tu jest dłużej, kombinuje ze Sturm-fuehrerem Brunnerem - powiedział mrużąc oko.

Kloss już nie słuchał. Prędko pił kawę, przegryzając tortem Margeritki z kasyna, która pewnie będzie świetną żoną, jeśli oczywiście nie będzie czekać z małżeństwem do zwycięstwa.

A więc strzelano do Edyty - myśli. - Kto? Czyżby Bartek posunął swą troskę o Klossa aż tak daleko? Bał się prowokacji. Nie, to niemożliwe, niemożliwe, żeby Bartek przedsięwziął taką akcję bez porozumienia z nim. Chyba, żeby dowiedział się czegoś. W tej chwili uprzytomnił sobie, że nie zapytał, co z dziewczętami. Poraziła go myśl, że Edyta, być może, nie żyje.

- Najadły się strachu - opowiadał Kurt - kto by się nie przestraszył? Ale podobno obie zdrowe i całe.

- Dzięki Bogu - powiedział szczerze. Ubrał się, odesłał Kurta. Powinien zobaczyć się z Bartkiem, ale spotkanie ma umówione dopiero wieczorem. Do zegarmistrza także nie może pójść w biały dzień. A jeśli to rzeczywiście prowokacja? Ale jaki byłby jej cel? Nie widzi żadnego związku między cudownym odnalezieniem kuzynki Edyty a zamachem na jej życie. Powinien oczywiście pójść do niej zaraz, to będzie naturalna reakcja kuzyna, człowieka bliskiego. Ale Kloss czuje, że poszedłby do Edyty nawet wtedy, gdyby nie było to oparte na racjach rozumowych. Naprawdę niepokoił się o Edytę.

Greta jeszcze spała, powiedziała, że nie gniewa się za obudzenie, trochę beładnie opisała mu wydarzenia wczorajszej nocy. Potem zdjęła koc, przykrywający łóżko Edyty, i pokazała osmolone prześcieradło.

- Zmienią nam pokój, będziemy mieszkały na trzecim piętrze.

Nie skorzystał z zaproszenia Greta, żeby wypił z nią kawę. Greta zresztą zbyt nie nalegała, jej kokieteria była dziś przygaszona.

Minął wartownika, którego postawiono przed domem, przeszedł na skos ulicę i ruszył w stronę stacji. W zabudowaniach byłego dworca towarowego mieściła się obecnie centrala telefoniczna sztabu zgrupowania, gdzie Edyta pełniła dyżur. Kiedy zapukał, powiedziała „proszę”, nie odwracając głowy od pulpitu pełnego wtyczek. Dopiero po chwili odwróciła się. Dostrzegła go stojącego w drzwiach. Nie mogła się mylić. Niepokoił się o nią, a teraz z radości, że ją widzi, nie może przemówić słowa. Zdjęła z uszu słuchawki i zrobiła krok w jego stronę. Wtedy i on postąpił naprzód. Spotkali się w połowie drogi. Bez słowa zarzuciła mu ręce na szyję.

— Hans — powiedziała — może to głupie, ale najbardziej przeraziłam się tego, że mogłabym umrzeć i nigdy cię więcej nie zobaczyć. Bałeś się o mnie, prawda?

- Bałem się, Edyto - powiedział i po raz pierwszy od bardzo dawna nie starał się nadawać swemu głosowi tonu szczerości. Naprawdę się o nią bał. Na próżno wracając nocą, gdy pożegnał się już z Brochem i Schneiderem, usiłował myślami o czekających go zadaniach, odgonić obraz jej twarzy. Nie przeraził się, że podoba mu się jego rzekoma kuzynka Edyta, nieraz w czasie tych czterech lat podobały mu się różne dziewczęta, a ponieważ i on na ogół się podobał, sprawy układały się zwyczajnie, bez komplikacji. Wojna wymaga tempa, skraca zaloty, nie miał specjalnych skrupułów; nigdy nie ślubował czystości - mówił sobie w takich chwilach - ale nigdy też nie tracił kontroli nad sobą. Więc nie bał się tego, że podoba mu się Edyta Lausch, lecz tego, że podoba mu się inaczej. Paradoksalne, ale właśnie myśląc o niej nie chciałby stosować „wojennego tempa”, chciałby maksymalnie przedłużyć okres prowadzący do zbliżenia. Myśl, że to nie ma sensu, że sprawę należy traktować jak zwykle albo skończyć ją jak najprędzej, bo musi pozostać samotny, bo nie ma na świecie kobiety, której mógłby powierzyć swoją tajemnicę, tym razem nie przekonywała.

Siedział u niej jeszcze z godzinę. Rozmawiali o różnych sprawach, omijając wczorajszą noc. Edyta mówiła o przebiegu swej służby, z humorem opowiadała o ostatnim zwierchniku, brzydalu i

inwalidzie, zakochanym w niej bez pamięci. Nie wspominali już przeszłości, tej dawnej sprzed ośmiu lat, i Hans był z tego zadowolony. A chociaż podczas tej rozmowy żadne z nich nie powiedziało nic szczególnego, to jednak oboje wiedzieli, że ta chwila zaraz po jego wejściu, kiedy stali obok siebie przytuleni, nie potrafiąc wymówić słowa, zaczynała się liczyć w ich życiu. Zbierając się do wyjścia Kloss zapytał z uśmiechem, cóż to takiego zamierzała mu wczoraj powiedzieć, lecz ona zamiast zareagować, jak się spodziewał, także uśmiechem, odparła szorstko, że nic. A potem, jakby chcąc osłodzić mu tę szorstkość, zapytała, co robi po południu, bo ona ma wolne i chętnie by go odwiedziła.

- Edyto — zapytał — czy to, co chciałaś mi powiedzieć, miało według ciebie jakiś związek z tymi strzałami? Czy domyślasz się, kto mógł do ciebie strzelać?

- Przestań! - krzyknęła niemal, a potem zapytała: -Więc nie chcesz, żebym przysłała do ciebie?

- Czekam - powiedział - będę na ciebie czekał, Edyto - i chciał ją pocałować, ale właśnie zadzwonił telefon i Edyta, nałożywszy słuchawki, musiała połączyć sztab korpusu z jakąś „Niezapominajką”.

## 9

Sturmfuehrer Brunner starannie przycinał cygaro. Nim wetknął je do ust, powąchał, rozkoszując się chwilę aromatem. Brunner był starym, doświadczonym gestapowcem, policyjną służbę zaczął jeszcze w czasach przedhitlerowskich i wiedział, że nic tak nie denerwuje ludzi wezwanych do złożenia zeznań, jak ta umiejętnie przedłużana chwila, zanim padnie pierwsze pytanie. Siedzący naprzeciw niego major Broch miał zaczerwienione oczy, widać źle spał tej nocy.

O to go właśnie zapytam - pomyślał Brunner - nic tak nie zbija z tropu, jak całkiem niewinne pytanie na początku przesłuchania.

- Rzeczywiście - odpowiedział Broch - nie powinienem pić, a trudno się człowiekowi powstrzymać.

- Piliście jeszcze po nalocie? - zapytał.

- Czekaliśmy na pana, ale trochę wypiliśmy. Dla mnie nieco za dużo.

- Obowiązki, obowiązki — roześmiał się nieco za głośno Brunner i zaciągnął się cygarem. - A potem?

- Co potem? - nie zrozumiał Broch.

- Co robiliście po nalocie?



- Razem z Klossem i Schneiderem odprowadziliśmy nasze panie. Potem wróciliśmy wszyscy razem. Kloss był zmęczony, więc od razu poszedł do siebie. Ja chciałem się trochę przewietrzyć, więc odprowadziłem Schneidera, on mieszka w tych koszarach za mostem.

- Kiedy pan się dowiedział o próbie zamachu na pannę Lausch?

- Więc już na pewno wiadomo, że do niej strzelano?

- Nie odpowiedział pan na pytanie, majorze.

- Pół godziny temu na obiedzie w kasynie. Zaraz potem wróciłem do domu i ordynans mi zameldował, że pan mnie wzywa.

- Ordynans się pomylił - mówił Brunner -prosiłem pana majora. Ale wracając do tego wieczoru, więc odprowadziliście dziewczęta, a później zapewne rozmawialiście? O czym?

- Powinien pan raczej zapytać, czy nie spotkaliśmy jakichś podejrzanych osobników w pobliżu domu tych dziewcząt.

- Wiem, o co pytać.

- Nie widzę związku między...

- Najpierw się gada, potem się strzela - powiedział Brunner, przyglądając się badawczo Brochowi. - Strzela - powtórzył - albo - zawiesił głos - stawia teczkę z bombą zegarową.

- Wypraszam sobie! - zerwał się Broch. Brunner siedział nieporuszony, milczał. Broch usiadł po chwili, jakby przytłoczony jego spojrzeniem. Wie, do czego pije Brunner. Do zamachu na Hitlera. Gestapo wie wszystko, a więc wie zapewne i to, że Broch znał paru uczestników niedawnego spisku. To było co prawda dawno, ale... - Nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawialiśmy-powiedział po dłuższej chwili. - Mówiliśmy o czterdziestym pierwszym roku, wspominaliśmy dni, kiedy posuwaliśmy się naprzód po pięćdziesiąt kilometrów w ciągu doby.

- Niebezpieczne tematy — uśmiechnął się Brunner.

Jak długo - pomyślał Broch - tacy ludzie jak ten trzymający w zębach cygaro, nadęty i okropnie ważny, ponieważ wie, że za nim stoi potężny aparat terroru, jak długo ci ludzie będą nami rządzić? To przez nich stało się to wszystko, przez nich klęska, która spadnie niechybnie na kraj. Czy zdołamy się kiedykolwiek podnieść?

- Ci, którzy nie wǳchali prochu - rzekł ostro - przeceniają niebezpieczeństwa. I Schneider, i ja jesteśmy starymi oficerami frontowymi i nieraz byliśmy w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ma pan jeszcze jakieś pytania, sturmfuehrer?

- Schneider był już w tym mieście w czterdziestym pierwszym. Wspominał o tym? - Brunner badawczo przyglądał się Brochowi.

- Nie pojmuję, do czego pan zmierza. Jeśli podejrzewa pan o coś Schneidera, to pragnę oświadczyć...

- To wszystko. Na razie dziękuję, majorze. - Słowa „na razie” zaakcentował w specjalny sposób. Broch nie powinien być zbyt pewny siebie. - Do zobaczenia - wyciągnął do niego rękę.

- Heil Hitler! - odpowiedział Broch, wstając i unosząc prawą dłoń w faszystowskim pozdrowieniu, jakby nie dostrzegł wyciągniętej ręki. Energicznym krokiem skierował się do drzwi. Udawał, że nie widzi uśmiešku błakającego się na ustach sturmfuehrera Brunnera.

Chwilę po wyjściu Brocha rozmyślał o czymś. Do przyjścia Schneidera ma jeszcze z kwadrans. Zaciągnął się wonnym dymem, z przyjemnością spoglądał na popiół cygara, który nie opadał. Tylko w dobrych cygarach popiół trzyma się do końca. Brunner lubi dobre cygara i pali tylko dobre. Podniósł słuchawkę, nakręcił jakiś numer, poprosił o połączenie z oberleutnantem Klossem. To chyba będzie niezły plan - myślał czekając, aż ktoś po drugiej stronie przewodu przyjmie telefon. Wreszcie usłyszał głos Klossa.

- Przepraszam, Hans, że niepokoję cię w świątecznym dniu, ale wiesz, w naszej robocie nie ma świąt. Przede wszystkim chcę ci pogratulować awansu, zapomniałem to wczoraj uczynić, byłem zalany. Mam nadzieję, że nie gniewasz się za wczorajsze najście. Stęskniłem się za tobą, przyjacielu. Wiesz, że długo bez ciebie żyć nie mogę. Ale do rzeczy. Mam coś, co powinno cię zainteresować, co na pewno cię interesuje. Mam u siebie partyzanta, schwytanego podczas akcji na wiadukt przedwczorajszej nocy. Czy mówi? Nawet śpiewa, wiesz przecież, że ja umiem zmuszać ludzi do śpiewu, także tych - roześmiał się - zupełnie niemuzycznych. Wpadnij do mnie, jak będziesz miał chwilę czasu, przeczytasz jego zeznania, a może będziesz miał ochotę go sam przesłuchać?

Odłożył słuchawkę, spojrzął na zegarek. Schneider powinien przyjść lada moment.

Czy ona powiedziała o tym Schneiderowi? - zastanowił się. To by komplikowało sprawę. Trzeba by poszukać czegoś na Schneidera, a coś by się z pewnością znalazło. Jest co prawda jeszcze Kloss - snuł dalej swoje rozmyślenia - ale to mało prawdopodobne, żeby mu się zwierzyła. Kuzynka, dawna miłość. Bzdury! Klossa powinny przekonać zeznania tego partyzanta. Kloss bardzo dba o swoją karierę, nie będzie jej ryzykował w obronie jakiejś tam kuzynki...

Przypomniawszy sobie ranną rozmowę z Edytą. Specjalnie się do niej pofatygował. Musiał to zrobić. On także źle spał ostatniej nocy. A może się myli? Może to nie była ta dziewczyna? Widział ją przecież tylko przez chwilę, w ciemności. A jeśli nawet ona? Czy mogłaby go rozpoznać po tylu latach? I kto by jej uwierzył, że właśnie wtedy dostrzegła go i zapamiętała? Ale Brunner wie, że nie wolno ryzykować postawienia takich zarzutów. Były amtsleiter w tym mieście jest dziś wysoko notowany w berlińskiej centrali RSHA. Akta spoczywające w archiwum wywleczono by znowu na światło dzienne, kto wie, co można znaleźć w starych aktach? Edyta Lausch przyznała wprawdzie, że służyła już w tym mieście w czterdziestym roku, wyjechała dopiero w czterdziestym pierwszym, ale mimo nalegań Brunnera nie mogła sobie przypomnieć żadnego incydentu, nic nie utkwiło jej w pamięci, więc może wczoraj w nocy, kiedy szedł do niej z kieliszkiem, przywidziało mu się, że spojrzała na niego w szczególny sposób? Chociaż dziś patrzyła inaczej, a właściwie czyniła

wszystko, aby uniknąć jego wzroku. Ale wtedy powiedziała, że poznała Schneidera już wcześniej, za pierwszym pobycem w tym mieście, więc musi przesłuchać Schneidera. Od tego, co powie Schneider, zależą dalsze losy młodzieńczej miłości Hansa Klossa. To spostrzeżenie wydaje mu się tak zabawne, że zaczął chichotać, patrząc na całkowicie wypalone cygaro, które jest w tej chwili stożkiem jasnoszarego, niemal białego popiołu. Przestał się śmiać dopiero wtedy, gdy z dołu zatelefonowali, że właśnie przyszedł kapitan Schneider.

## 10

Postanowił pójść na piechotę. Wprawdzie spory kawałek drogi, ale Kloss lubi przechadzki. Jeśli chce nad czymś pomyśleć, zastanowić się, powziąć decyzję - rusza na spacer. Dziś ma parę spraw, które musi rozstrzygnąć.

Właściwie czuł się dobrze, lekko. Sprawiało mu przyjemność, że śnieg chrzęści pod butami, że skończyła się zadymka i blade, styczniowe słońce wyjrzało zza chmur. Byłoby mu zupełnie dobrze, gdyby nie to nieokreślone zupełnie uczucie zagrożenia.

Zwierzęta wykształciły w sobie podobno instynkt uprzedzający o zagrażającym niebezpieczeństwie, czyżbym przez te cztery lata - myślał Kloss - zdołał w sobie stworzyć taki system ostrzegawczy?

Chciałby zbagatelizować te obawy, uznać je za irracjonalne, a więc sprzeczne z jego naturą, która lubi, aby wszystko było proste i zrozumiałe. Ale doświadczenie uczy, że nie wolno lekceważyć nawet tych ledwo uchwytanych obaw.

Zaczął się to już wczoraj po południu, po przyjściu Edyty. Czekał na nią i trochę się bał, zupełnie niepotrzebnie. Było tak, jak powinno było być. Wieczorem zapytała po prostu:

- Chcesz, żebym została u ciebie?

Potem długo milczeli oboje. Patrzył na leżącą obok niego dziewczynę, cieszył się, że jest piękna, że przez parę godzin nie myślał o wojnie, o niebezpieczeństwie, jakie mu zagraża, wyczuwał jej ufność i marzył, żeby odpłacić jej tym samym, choć wiedział, że to niemożliwe. Kiedy obudziła się w środku nocy i oboje zapalili papierosy, najniespodziewaniej dla siebie zaczął recytować wiersz, który od paru godzin tłukł mu się po głowie: „Byłem już rozpaczliwie blisko, czułem, że mi sił już brak...”

- To Heine - powiedziała Edyta - ty znasz wiersze Heinego?

- Rzeczywiście - spieszył się wtedy, jakby przyłapany na gorącym uczynku. - Zostało mi w pamięci chyba jeszcze ze szkoły - powiedział i zaczął gorączkowo liczyć lata, aby upewnić się, czy Hans Kloss mógł znać te wiersze ze szkoły. Na szczęście mógł. Edyty zresztą to nie interesowało.

- Matka lubi te wiersze. Ona nie oddała Heinego, wiesz, wtedy, kiedy palili książki.

- Myślisz, że to bardzo źle? - zapytał.

- Nie wiem - powiedziała - sama nie wiem. - I Kloss jej uwierzył - nie wiedziała.

Potem, gdy znowu usnęła, skłął się za tę chwilę, w której zawiodła samokontrola. Oficer Abwehry, Hans Kloss, mógł znać wiersze Heinricha Heinego ze szkoły, ale nie powinien ich cytować.

Więc może wtedy poczuł po raz pierwszy to zagrożenie, którego istoty nie może zgłębić, ale o którym wie, że istnieje. Tak bardzo chciałby być szczerzy wobec niej. Ta potrzeba nagromadziła się w nim przez lata zakłamania, udawania i maskowania. Ale nie może. Musi wytrwać. Powiem jej po wojnie - pomyślał - jakby nie było rzeczy prostszej na świecie, jak przyznanie się do tego, że przez lata wojny było się śmiertelnym wrogiem narodu, do którego ona należy, wodza, którego ona, jeśli nawet nie kocha i nie podziwia, to uznaje za swego.

A może odczuł to zagrożenie jeszcze wcześniej, późnym wczorajszym popołudniem.

- Edyto, zrób nam kolację - powiedział, stawiając przed nią wszystkie posiadane w domu zapasy - ja muszę jeszcze coś załatwić. - Przyjęła to bez protestu, uznała za normalne, że ona przygotuje kolację swemu mężczyźnie, nie pytała, dokąd musi wyjść jej Hans i jakie sprawy załatwić; były to jego męskie sprawy, do których, jako prawdziwa niemiecka kobieta, nie chciała się wtrącać, a może po prostu sądziła, że sprawy, jakie musi załatwić, dotyczą wojny, a ona nie chciała dzisiaj myśleć o wojnie.

Bartek czekał nań jak zwykle w mrocznym pokoiku za sklepem zegarmistrza. Ćmił swego śmierdzącego skręta. Przygotowali akcję na drugiego stycznia, zdobyli jakieś angielskie miny, podobno niezawodne w działaniu. Bartek był optymistą, wierzył w powodzenie tej akcji, cieszył się z góry na myśl, że razem z wiaduktem wyleci w powietrze transport oznaczony kryptonimem „E-19”, a wszystkie transporty z poprzedzającą numer literą „E” oznaczały, że pochodzą z Zagłębia Ruhry - a więc broń i amunicja. Omówili szczegóły: początek ataku dwudziesta druga pięćdziesiąt osiem, siedem minut przed spodziewanym transportem („Żeby się tylko nie spóźnił” - złożył ręce jak do modlitwy Bartek). Dla odciążenia uwagi pół godziny przedtem wydzielony oddział zaatakował posterunek żandarmerii w Gródkach. Kloss pochwalił wybór miejsca pozorowanego ataku - siedem kilometrów, a więc strzelaninę usłyszą, ale droga trudna, pokonanie jej zajmie sporo czasu. A na końcu Bartek jakby od niechcienia powiedział, że sprawa Floriana okazała się fałszywym alarmem. Florian po prostu podczas odwrotu skręcił nogę i zrobił to, co w takiej sytuacji zrobić należało - w obawie przed obławą odbił w bok, kuśtykając dotarł do zagrody jakichś swoich krewniaków i tam, zaszyty w sąsiedku, przeczekał do rana.

Więc może ta sprawa tak niepokoi Klossa? Kiedy wczoraj zadzwonił Brunner i z nonszalanckim triumfem doniósł, że ma partyzanta, Kloss był przekonany, że właśnie Florian wpadł w ręce gestapo i jedyną rzeczą, jaką może zrobić, to spróbować wyrwać go z łap Brunnera, przenieść do aresztu Abwehry i jak najbardziej zagmatwać sprawę, przeciągnąć ją jak najdłużej, mając nadzieję, że w rozgardiaszu bliskiej ofensywy Florianowi uda się ująć z życiem. Więc jeśli nie Floriana, to kogo ma Brunner? I skąd ten triumf w jego głosie? Może złapał po prostu jakiegoś chłopca, nie mającego nic wspólnego z partyzantką? Ale przecież Brunner powiedział, że schwytany „śpiewa”. I dlaczego

Brunner, tak zwykle zazdrosny o sukcesy, tak ściśle przestrzegający podziału kompetencji, zgadza się, ba, nawet nalega, żeby Kloss przesłuchał „jego” partyzanta?

Nie podoba mu się to. Wie, co sądzić o demonstrowanej przez Brunnera przyjaźni. Nie lubią tu Brunnera.

- Nie mogę zrozumieć, Kloss - powiedział mu dziś Broch - że pan przyjaźni się z tym łajdakiem.

Właśnie, Broch. Co znaczyło to idiotyczne przesłuchanie, te pytania o treść rozmów, prowadzonych przedwczorajszej nocy, kiedy wracali po odprowadzeniu dziewcząt? Czyżby Brunner podejrzewał, że do Edyty mógł strzelać któryś z nich? Może podejrzewa właśnie jego? Kloss nieraz czuł na sobie badawcze spojrzenie wyblakłych, niemal przezroczyстых oczu Brunnera. Czyżby coś wyczuwał? A może jednak prowokacja? Może Edyta jest jego współniczką?

Nie! To odrzuca stanowczo. Nauczył się już chyba trochę, zdobył nieco wiedzy o ludziach, niemożliwe, żeby udawała... A dlaczego właściwie niemożliwe, jeśli on potrafił przez cztery lata żyć wcielony w innego człowieka? Dlaczego ma zakładać, że jest przypadkiem niepowtarzalnym? Kobiety są urodzonymi aktorkami. Edyta jest piękna - to jej jeszcze pomaga. Tak chętnie wierzymy, że wybrała nas piękna kobieta...

A jednak nie. Nie wie dlaczego, ale jest pewien Edyty. Więc może Brunner wpadł na jakiś ślad i po prostu wykorzystuje okazję?

Wtedy, w sylwestrową noc Kloss poprosił Edytę, żeby przyniosła mu zdjęcie, które przysłał jej z wycieczki do Królewca. Wczoraj po południu powiedziała, że nie mogła znaleźć, gdzie je zawieruszyła. Czy naprawdę? Powiedzmy, że ona nie kłamie, ale przecież nie mieszka sama, jest ta druga, Greta, o której jego ordynans mówił, że kombinuje z Brunnerem. Więc jeszcze jedno powiązanie z Brunnerem. Czyżby tak wyglądała sieć zaciskająca się wokół łowionej ryby?

Ale cóż w takim razie znaczyłoby przesłuchanie Bro-cha, a tym bardziej Schneidera? Spotkał małego wiedeńczyka, gdy tamten właśnie wracał od Brunnera. Trząśł się z wściekłości.

- To bydlę zarzuciło mi kłamstwo... - Dopiero gdy wypił kieliszek koniaku, wrócił nieco do równowagi. Opowiedział, że Brunnera bardzo interesowało, w jakich okolicznościach poznał Edytę Lausch, a gdy opowiedział mu historię o napadzie na żonę amtsleitara, wszystko inne przestało go interesować.

- A w jakich okolicznościach zarzucił panu kłamstwo? - spytał go Kloss.

- Zadał mi pytanie, czy po wyjeździe panny Lausch z tego miasta w czterdziestym pierwszym roku spotkałem się z nią później. Odparłem, zgodnie z prawdą, że dopiero u pana, podczas tej nocy sylwestrowej. Ale on miał nasze kartoteki. Na podstawie przebiegu służby panny Lausch i mojej doszedł do wniosku, że w czterdziestym trzecim roku oboje jednocześnie byliśmy w Kijowie. Być może to prawda, ale nie miałem pojęcia, że ona też tam była...

Może Brunner podejrzewa o coś Schneidera, sądzi, że z racji ich znajomości Edyta coś o tym

mogłaby wiedzieć i dlatego Schneider usiłował ją zabić?

- Mało prawdopodobne, choć możliwe - mruknął do siebie, wchodząc na schody gmachu, w którym urzędował Brunner.

- Nareszcie, Hans - powiedział wstając na jego powitanie. - Nie mogłem się ciebie doczekać. Wyobraź sobie, dzwoniłem niedawno, ale miły skądinąd głos kobiecy odparł, że właśnie do mnie wyszedłeś. Nie pochwaliłeś się, że przyjąłeś lokatorkę. Może bym ci to wtedy odradził.

- Zaproszę cię na zaręczyny, Hermann - powiedział Kloss.

- Z lokatorami bywają kłopoty, Hans, posłuchaj rady starszego, bardziej doświadczonego przyjaciela, a już szczególnie z lokatorkami.

- O tym chciałeś ze mną mówić?

- Siadaj, siadaj. To bardzo poważna rozmowa, nie płoche żarty, Kloss. Możesz mieć kłopoty. Chyba nie lubisz mieć kłopotów?

-Daj mi cygaro, Hermann, masz zawsze dobre cygara.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Hans? - wycedził wolno Brunner.

- Nic - powiedział. - Po prostu przy poważnych rozmowach lubię palić dobre cygara. Ale zanim przejdiesz do tych swoich rewelacji, może zechcesz powiedzieć, jakie są wyniki śledztwa w sprawie zamachu na życie funkcjonariuszki służby pomocniczej, Edyty Lausch? Pytanie jest prywatne, pytam jako jej kuzyn i... - zawiesił głos - narzeczony.

- Chciałem cię ostrzec, Hans. Ty chyba nie wiesz, co się wokół ciebie dzieje. Zaklinam cię na naszą przyjaźń, daj sobie spokój z tą dziewczyną. Ja nie powiem nikomu, ale ty ze swojej strony musisz zapobiec rozgłosowi. To się nie może roznieść, że cokolwiek cię z nią łączy.

-Nie rozumiem cię, Hermann, mów jaśniej.

I wtedy Brunner kazał wezwać schwytanego partyzanta. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł Kloss, był jego ubiór. Nie znaczy to, żeby ten lekko łysiejący, trzydziestoparoletni człowiek był jakoś szczególnie ubrany, ale miał całiczyste ubranie. Żadnych śladów pobicia.

Kloss nieraz widział ofiary przesłuchań w tym gmachu. Zaciskał pięści, wściekły z bezsilności. Wiedział, jak wyglądają ofiary takich przesłuchań. Już wtedy zaczęło mu coś świtać. Dostrzegł, że Brunner popełnił błąd. Potem, gdy wysłuchał zeznań tego człowieka, gładkich, nawet zbyt gładkich, zrozumiał więcej. Sprawa napadu na wiadukt niewiele, jak widać, interesowała Brunnera. Rzekomy partyzant podawał się za adiutanta dowódcy partyzanckiego Bartka. Kiedy Kloss poprosił o rysopis i tamten powiedział: „blondyn”, Kloss już wiedział, że ma do czynienia z bluffem, ale jeszcze nie mógł pojąć jego istoty. Bartek na fotografiach z listów gończych był blondynem, od blisko roku ma przyciemnione włosy. Ale jądro zeznań Wasiaka (takie nazwisko i pseudonim „Grzmot” podał zatrzymany) tkwiło w czym innym. Otóż Wasiak twierdził, że Bartek miał się wkrótce spotkać z

kobietą współpracującą od dawna z bolszewickim wywiadem. Ta kobieta jest podobno młoda, niedawno przyjechała do tego miasta, w którym była już kiedyś i właśnie wtedy została zwerbowana. Wasiak zna jeszcze imię tej dziewczyny. Oczywiście - Edyta. Kloss uśmiechnął się. Pedanteria Brunnera jest zabawna.

Kazał odesłać Wasiaka, siadł naprzeciw Brunnera i bez pytania sięgnął po następne cygaro. Chwilę palił w milczeniu, zrozumiał już prawie wszystko, brak mu było tylko jednego elementu. I wtedy przypomniał sobie wydarzenia, błahe na pozór, na które wówczas nie zwrócił uwagi. Brunner z kieliszkiem podszedł do Edyty, nagle upuścił szkło, schylił się i zbierał je niezgrabnie drżącymi rękami. Myślał, że Brunner był po prostu bardzo pijany. Teraz wie, rozumie, że Brunner poznał Edytę i ona jego rozpoznała. Ostatnie ogniwo zagadki. Pojmuje teraz, dlaczego Edyta nie chciała mu powiedzieć o odkryciu, jakiego dokonała. Ciężko jej to odkrycie, ale nie dopuszczała do siebie myśli, żeby oficer gestapo był tym bandytą, który w ową noc przygniótł jej dłoń obcasem. I jeszcze jedno: nagły skurcz twarzy Brunnera przed kilkunastoma minutami, gdy Kloss uczynił niewinną uwagę o dobrych cygarach, jakie zwykle pali sturmfuehrer. To zabawne, uwaga była naprawdę niewinna.

- No i co powiesz teraz? - zmrużył oczy Brunner. Odpędził dłonią niebieskawy dym.

- Należy ci się rewanż - odpowiedział z szerokim uśmiechem. — Ty mnie niedawno ostrzegałeś, teraz ja cię ostrzegę. Widzisz, idziesz sobie, Brunner, drogą, spostrzegasz coś, co wydaje ci się na przykład jajkiem, takie śliczne, okrągłutkie. Bierzesz to do ręki, a to nagle wybucha i urywa ci paluchy. To nie jest jajko, Brunner, to jest granat! Pamiętaj, że ostrzegł cię przyjaciel. Lepiej nie dotykaj tego, poparzysz się ciężko. Czy ta metaforyka nie jest dla ciebie zbyt skomplikowana?

- Nie mogę zlekceważyć zeznań tego partyzanta — rzekł Brunner.

- Możesz mu podyktować inne, tak samo wiarygodne jak te. Zresztą, o ile się znam na rzeczy, ten facet długo nie pożyje.

- Chciałem, żebyś był po mojej stronie, wolisz być przeciwko mnie?

- Nie interesuje mnie ansa, jaką niektóre osoby żywią do blondynek, nie zamierzam się tym interesować. Ale zanim zrobisz lekkomyślny krok, pamiętaj o jajku, które może wybuchnąć w rękę. Tylko tyle, Brunner. I wezmę sobie na drogę jeszcze jedno cygaro, są naprawdę świetne. - Tym razem nie darował Brunnerowi. Zdanie o cygarach musiało brzmieć dwuznacznie, o drogich, bardzo dobrych cygarach, których ceny w czasie wojny dochodzą do astronomicznych rozmiarów. Trzeba być bardzo bogatym człowiekiem, żeby pozwolić sobie na palenie takich cygar. Taką treść chciał przekazać Kloss Brunnerowi. Powinien zrozumieć.

W domu znalazł Kurta zajętego praniem firanek, które, odkąd Kloss tu mieszkał, nigdy chyba nie były prane. Ani on, ani Kurt nie widzieli w tym nic nienormalnego.

- Pani kazała - odpowiedział Kurt na jego pytające spojrzenie, jakby dla nich obu nie mogło być wątpliwości, o jaką panią chodzi. Oddał mu też kartkę pozostawioną przez Edytę. Pisała, że ma dyżur do północy i ma nadzieję, że Kloss ją tam odwiedzi. Zamierzał pójść od razu, natychmiast po zjedzeniu obiadu przyniesionego przez Kurta z kasyna, ale wezwano go do sztabu i harował niemal do dziesiątej przy mapach, na które trzeba było nanieść dane o koncentracji sił rosyjskich nad Wisłą, dostarczone niedawno przez samoloty zwiadowcze. Już w drodze przez tory, kiedy zagapiwszy się omal nie wpadł pod manewrującą lokomotywę, przypomniał sobie, że wcale tego nie planując, znajdzie się w pobliżu przygotowanej akcji na wiadukt. Spojrzał w tamtą stronę, jakby w obawie, czy nie dostrzeże czegoś, co mogłoby pokrzyżować akcję, ale wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie spodziewają się niczego. Co prawda wachman przytupywał przy wjeździe na wiadukt, tam, gdzie z płataniny szyn stacji rozrządowej wyodrębniają się dwa tory przerzucone przez wiadukt, wiodące w stronę frontu.

Łoskot przejeżdżającego parowozu zagłuszył kroki Klossa, kiedy wchodził do pokoju telefonistek. Stał za plecami Edyty i delikatnie dotknął ręką jej twarzy.

-Hans! -zawołała ucieszona.-Jaki jesteś zimny. Cieszę się, że przyszedłeś. Byłam taka niespokojna.

-Teraz możesz już być spokojna, Edyto - powiedział poważnie.

Bez przerwy niemal dzwoniły telefony. Edyta zajęta była wkładaniem i wyjmowaniem wtyczek. Podsunęła mu bloki ołówek.

- Żeby ci się nie nudziło, będziesz moją sekretarką. Kloss otwiera blok, widzi wetknięte tam zdjęcie, chce je włożyć gdzie indziej, ale Edyta nie pozwala.

-Nie poznajesz? Przecież to zdjęcie, które przysłałeś mi z Królewca.

Przyglądał się chwilę temu obcemu chłopakowi. On w tym wieku wyglądał chyba inaczej.

- Jaki byłem wówczas młody - rzekł - nieopierzony szczeniak.

Monotonnie cykający zegar elektryczny wskazywał dziesiątą dwadzieścia cztery. Jeszcze pół godziny. Zamyślony nie zauważył, że ktoś otworzył drzwi. Drgnął dopiero na dźwięk głosu Brunnera.

- Nie spodziewałem się ciebie, Hans.

Odwrócił się powoli w stronę wchodzącego.

- Nie posłuchałeś mojej rady, nie wyciągnąłeś wniosków z bajki o jajku, które okazało się granatem.

- Dość żartów - uciał Brunner. - Panno Lausch, jest pani aresztowana.

Dopiero teraz Kloss dostrzegł, że Brunner nie przyszedł sam. Dwóch SS-manów w hełmach opadających na oczy stanęło przy drzwiach.



Edyta przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Pan oszalał - powiedziała wreszcie.

- Spokojnie, Edyto - włączył się Kloss. - Bądź uprzejma zająć się swoją pracą. A ty, Hermann, odeślij swoich ludzi na dół. Jeśli zechcesz, zawołasz ich za pięć minut. Jeśli tego nie zrobisz, będę mówił przy nich. Ale nie radziłbym. To niebezpieczne.

- Dokładnie pięć minut - zgodził się. Gestem odesłał SS-manów. Odeszli bez słowa, jak automaty. - Pannę Lausch aresztuję pod zarzutem współpracy z bolszewickim wywiadem.

- To kłamstwo! - zerwała się Edyta, ale uspokajający gest Klossa kazał jej wrócić na miejsce.

- Rozumiem, Brunner, teraz aresztujesz pannę Lausch, a kiedy będziecie przechodzili przez tory, ona zacznie uciekać i zginie podczas próby ucieczki. Wasiak, co prawda, także zginie lub już zginął, ale zostanie dokument obciążający Edytę. Do tej pory twoje rozumowanie jest prawidłowe. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że po śmierci Edyty Lausch nie będzie już nikogo, kto by znał nazwisko mordercy sprzed czterech lat, bandyty, który w celach rabunkowych zastrzelił kobietę i dwuletnie dziecko. My obaj wiemy, Brunner, że mordercą jest człowiek, którego jeszcze w cztery lata po tym wydarzeniu stać na palenie wyłącznie pięciomarkowych cygar.

-To on! - krzyknęła histerycznie Edyta. - Teraz wiem na pewno.

- Prosiłem, Edyto - uspokajał ją jak dziecko. Kiedy znowu odwrócił się do Brunnera, ten stał już z bronią wymierzoną w ich stronę. Ale Kloss, nie zrażony tym bynajmniej, rozsiadł się wygodnie, jakby nie dostrzegał lufy rewolweru trzymanej dokładnie na wysokości jego głowy.

- Schowaj to i siadaj - rzekł bardzo spokojnie. - Nie myślisz chyba, Brunner, że jestem idiotą, że nie przygotowałem się do tej rozmowy. Oprócz Edyty Lausch był jeszcze jeden świadek, o którym nie wiesz, dozorca tego domu...

To jest humbug. Ale Kloss wie, że Brunner nie ma żadnych szans sprawdzenia tego w tej chwili. Teraz chodzi tylko o to, żeby jak najszybciej schował rewolwer.

- Jego zeznania - ciągnął dalej - oraz zeznania panny Lausch spoczywają w kopercie, która w wypadku mojej gwałtownej śmierci dotrze do rąk wysokiego funkcjonariusza RSHA, którego to bardzo zainteresuje, ponieważ to on właśnie jest owym amtsleiterem z tego miasta. Zainteresuje go tym bardziej, że wówczas stracił nie tylko złoto i biżuterię, do której posiadania doszedł drogą podobną do twojej, ale także żonę i córeczkę. Rozumiesz zatem, Brunner, że powinieneś jak najszybciej schować ten kawałek żelaza, który trzymasz w ręku, i odtąd dokładać wszelkich starań, abym dożył sędziwego wieku, ponieważ moja śmierć kosztowałaby cię życie.

Brunner już przed chwilą schował rewolwer. Stał teraz przed Klossiem z błaganem w wodnistych oczach, sflaczały jakiś, w mundurze nagle zbyt luźnym, jakby w jednej sekundzie postarzał się o kilkanaście lat. Drżały mu ręce. Nie usiłował nawet ukryć tego drżenia.

- Hans - wybełkotał - byliśmy przyjaciółmi, nie zrobisz tego...

- Nie zrobię - powiedział Kloss - jeśli wyjdiesz natychmiast, zabierzesz swoich SS-manów, zniszczysz kłamliwe zeznania rzekomego partyzanta Wasiaka i zapomnisz, że kiedykolwiek istniały.

- A gwarancje? Jakże będę miał gwarancje?... - zaczął.

- Żadnych gwarancji - skończył zimno - i nie chcę cię więcej oglądać. Ale przedtem przeprosisz pannę Lausch za pomyłkę, jakiej omal nie popełniłeś.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lausch - powiedział, zasalutował niezgrabnie i wyszedł potykając się o próg, nim Edyta zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Rozumiem, Hans - powiedziała - co mi groziło. Znowu uratowałeś mi życie, jak wtedy, gdy się topiłam. Ale nie puszcę tego płazem, nie obowiązują mnie wasze układy.

Zadzwonił telefon. Podała mu blok i ołówek.

-Telefonogram, notuj: Przekazać zawiadowcy rozkaz zatrzymania transportu „E-19”, który wjedzie za dwie minuty. Jako pierwszy przepuścić pociąg specjalny numer 1911, wiozący robotników na budowę umocnień przyfrontowych - dyktowała powoli Edyta. Gdy skończyła, sięgnęła po blok, w którym notował. Przytrzymał jej rękę.

W jednej chwili zrozumiał, co zdarzy się za kilka minut. Kilka tysięcy ludzi, stłoczonych w bydłych wagonach, wiezionych na roboty, poderwanych zostanie wybuchem, runie wraz z wagonami w trzydziestometrowy rów kamieniołomu. Snop ognia, jęki rannych, zmasakrowane zwłoki.

- Nie przekażesz tego zawiadomienia, Edyto - powiedział cicho.

Przez moment myślała, że Klossowi zebrało się na niezbyt mądry dowcip, chciała mu powiedzieć, że nie pora na żarty, że niewykonanie rozkazu grozi jej służbowymi konsekwencjami, że pociąg nadjedzie lada chwila, a zawiadowca musi mieć czas na przełożenie zwrotnic, ale z twarzy Klossa poznała, że nie żartuje. Chwyciła jedną z wtyczek, która wetknięta w gniazdko uruchomi sygnał telefoniczny w biurze zawiadowcy, ale wyrwał jej przewód z brutalnością, jakiej się po nim nie spodziewała. Dostrzegła, że teraz on trzyma w ręku rewolwer, że on, jej Hans, mierzy do niej, a z wyrazu jego twarzy poznała, że jeśli postanowił, żeby nie przekazała tego rozkazu... Dopiero łoskot przejeżdżającego w pędzie pociągu, transportu „E-19”, który miała zatrzymać, a który teraz pędził w stronę wiaduktu, zbudził ją z odrętwienia.

- Hans - zaczęła - nie rozumiem...

Spoglądał na drgającą strzałkę sekundnika: jeszcze trzydzieści sekund, jeszcze dwadzieścia...

- Otwórz usta - poprosił i gdy to uczyniła, potworny wybuch wstrząsnął powietrzem. Przez wybite szyby wpadł nagle wiatr, porywając rozłożone papiery i wpychając do wnętrza tumany śniegu.

On wiedział! - przebiegła jej przez głowę straszna myśl. I w jednej chwili uświadomiła sobie to, czego nawet nie przeczuwała, a co z wiedzą, jaką posiada obecnie, komponuje się w logiczną całość. To, że ukrył się za drzwiami, nim weszła wtedy do jego pokoju, jakąś niechęć, którą wyczuła od razu, do wspomnień, te układy z Brunnerem, a nawet to, że kilka minut temu nie poznał siebie na zdjęciu.

- Słuchaj uważnie - dotarł do niej jak przez warstwę waty głos Klossa. - Teraz nie mamy innego wyjścia, musimy uciekać oboje. Ukryję cię, przeżyjesz wojnę, naprawdę cię kocham, wszystko ci wytłumaczę.

- Strzelaj! - usłyszała swój głos. - Dlaczego nie strzelasz?... Powiedz, jak się nazywasz, jak się nazywasz naprawdę, a potem mnie zabij. A może chcesz mi zaproponować współpracę, zażadasz, żebym razem z tobą wysadzała niemieckie pociągi, zabijała niemieckich żołnierzy? Kim jesteś? Nie jesteś Niemcem..

- To teraz nie ma znaczenia. Kocham cię i chcę uratować. Jeśli zostaniesz, Brunner cię zlikwiduje, nie będę cię mógł ochronić.

- Brunner jest mordercą, jest łajdakiem, ale jest Niemcem. A ty... a ty nie potrafisz mnie nawet zastrzelić. Nienawidzę cię, słyszysz, nienawidzę! - krzyknęła i ze szlochem padła w jego objęcia.

Do Bartka! - myślał Kloss gorączkowo. - Muszę się dostać do Bartka. - Usiłował sobie przypomnieć, czy w mieszkaniu nie zostawił niczego, co mogłoby zaszkodzić jakimś ludziom. Chyba nie, zawsze był ostrożny. Przebiegło mu jeszcze przez myśl, że skończył swą rolę, że nigdy już nie będzie Hansem Klosssem i odczuł coś w rodzaju ulgi.

Przytulona doń Edyta dotknęła dłonią czegoś zimnego. To ją otrzeźwiło. Wyciągnęła rewolwer z kabury i cofnęła się o dwa kroki. Podniosła rękę do strzału, ale ręka jej opadła. Ona także nie potrafiła strzelić do niego.

- Uciekaj! - krzyknęła. - Uciekaj sam! - I nagle odwróciła się gwałtownie, jakby wyczuła, że w drzwiach pojawił się sturmfuehrer Brunner. — Dobrze, Brunner, że jesteś. Chciałam ci właśnie powiedzieć, że wasze układy nic mnie nie obchodzą. Zapłacisz za zamordowanie tej kobiety. A ty, Hans - odwróciła głowę w jego stronę i już nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Moment jej nieuwagi wystarczył Brunnerowi, aby oddać strzał. Schował rewolwer do kieszeni.

- Nie przekazała rozkazu o zatrzymaniu transportu. Sama potwierdziła swoją winę.

Kloss wstał z klęczek, płaszczem okrył bezwładne ciało Edyty. Bez słowa popatrzył w oczy Brunnerowi. Obaj wiedzą, że od tej chwili są dla siebie śmiertelnymi wrogami.

**AKCJA „LIŚĆ DĘBU”**

Z niewielkiego rynku, właściwie placyku pośrodku osady widać było jak na dłoni most na Redze i junkierski pałacyk, w którym mieścił się sztab dywizji. W głębi, aż do ciemniejącego na horyzoncie lasu, ciągnęły się łąki pokryte płatami buroszarego, topniejącego śniegu. Trwała odwilż. W tym roku już pierwsze dni marca zapowiadały nadejście wczesnej wiosny.

Kloss patrzył na most, na rzekę atakującą przybrzeżne pola, na szosę niknącą wśród drzew i myślał o oddziałach pancernych, które właśnie tędy przejść muszą, by otworzyć drogę na Kołobrzeg i Szczecin. Przez rzekę Regę, której me umiał już nazywać inaczej jak jej polską nazwą, przez osadę Forburg, zwyczajnie i prawdziwie — Osiek i dalej przez Dóberitz, czyli po prostu Dobrzyce. Nic dziwnego, że generał Pfister, dowódca dywizji grenadierów, a właściwie jej resztek pozostałych z bojów o Wał Pomorski, przywiązuje taką wagę do mostu na Redze. „Wysadzić albo obronić, w żadnym wypadku nie oddać wrogowi”.

Skądś z daleka doszedł pomruk artyleryjskiej kanonady; każdy niemiecki grenadier wiedział, że wróg jest tuż -tuż i chyba już ani Pfister, ani nawet SS-man Kussau nie wierzyli, że Rega stanie się rubieżą zagrządzającą drogę w głąb Rzeszy. „Wytrzymajcie, fuehrer na was patrzy”

- odczytał dziś generał depezę z OKW. Potem powiedział: „Obronić albo wysadzić”, ale znaczyło to po prostu: wysadzić w odpowiednim momencie, by przez ten most nie mogły przetoczyć się czołgi T-34 budzące postrach na setkach kilometrów od Wisły do Wrocławia i Wału Pomorskiego. Właśnie dlatego rozkazano zaminować most, a dowódca ochrony czeka tylko na telefoniczny rozkaz generała...

Z placyku rozbiegały się gwiazdziście uliczki, jedną z nich powinna być Dóberitzstrasse, czyli Dobrzycka. Kloss dostrzegł z daleka tabliczkę, ale zanim skręcił, rozejrzał się jeszcze dokładnie, sprawdził, czy nie jest śledzony, czynił to jednak raczej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej potrzeby. Nikt w tym Forburgu, który jutro będzie znów Osiekiem, nie zwracał uwagi na kapitana Wehrmachtu. Od mostu na Redze piał się w górę, a potem włókł dalej właśnie Dobrzycka, ponury pochód uchodźców. Drabiniaste wózki, które najczęściej ciągnęły kobiety, tłum starców i dzieci zagląających łakomie do okien nie opuszczonych jeszcze domów, szczęśliwi posiadacze rowerów usiłujący przepchać się na czoło kawalkady... Od czasu do czasu tłum nagle gęstniał, rozlegały się ostrzegawcze krzyki, kto nie zdążył zepchnąć wózka na pobocze, tracił dobytek pod gąsienicami idących na wschód transporterów i dział pancernych. Żołnierze w hełmach spoglądali ponuro na uchodźców. Więc tak wyglądał ich odwrót; Kloss nie czuł litości, oto nadeszło nareszcie to, na co od lat czekał.

Przyspieszył kroku. Numer 64 powinien być gdzieś przy końcu ulicy. „Mieszka samotnie i w dobrym punkcie” - powiedział łącznik podając Klossowi ten adres we Fryburgu. Dywizja Pfistera przybyła tu poprzedniego dnia jako drugi rzut obrony, ale Kloss w ciągu dwunastu godzin zdążył już zebrać sporo informacji mogących zainteresować dowództwo nacierających na tym odcinku polskich formacji. Sądził, że fryburski kontakt umożliwi mu nawiązanie łączności i przekazanie raportu. Więc przede wszystkim system obrony mostu i pułk grenadierów z rezerwy OKW, który w nocy przerzucony zostanie do lasu Weipert... Mówił o tym przed godziną Pfister; gdy wezwał do siebie

Klossa i kapitana Kussau, przydzielonego do nich z rozbitej nad Wisłą dywizji SS. Pfister... typowy Prusak, niemal podręcznikowy okaz oficera Wehrmachtu, dla którego nie istnieje nic poza aktualną sytuacją na powierzonym mu odcinku.

- Oczekuję od panów szczególnie precyzyjnego wykonywania rozkazów - oświadczył.

Obaj, Kloss i Kussau, powiedzieli „tak jest”, ale potem Kloss odważył się zapytać:

- Pan generał sądzi więc, że nieprzyjaciel przełamie naszą obronę na rzece?

-Ja nie sądzę - odrzekł Pfister. -Ja przewiduję każdą możliwość. Ten most nie zniszczony nie może wpaść w ich ręce. Ale rozkaz wysadzenia mogę wydać tylko ja i wydam go dopiero wówczas, gdy stanie się to absolutnie konieczne.

Potem poinformował ich właśnie o pułku przydzielonym z rezerwy i lokującym się w lesie Weipert, a następnie bez pauzy, tym samym obojętnym tonem, zaczął mówić o sprawie porucznika Kahlerta.

- Postawić przed sądem polowym i rozstrzelać - generał nie przewidywał dyskusji ani wątpliwości.

Kloss rozumiał, że nie wolno mu protestować, że los tego oficera jest przesądzony. Dojrzał zadowolenie we wzroku SS-mana Kussau; ten nie lubił Kahlerta. Nic dziwnego! Kahlert, student z Wiednia, był jednym z najprzyzwoitszych oficerów dywizji i niezbyt starannie ukrywał swą pogardę dla ludzi z SS.

- Kahlert - ciągnął generał - wbrew rozkazowi oddał bolszewikom wieś Klaudorf.

- Nie mógł się tam utrzymać - Kloss jednak zareagował. - Zajął lepsze pozycje obronne.

Popatrzyły na niego szklane oczy generała.

- Zna pan rozkaz fuhrera, kapitanie. Trzeba dać przykład.

Kloss już nie protestował. Pomyślał o Simone, drobnej Francuzce, która pracowała w kasynie dywizji i od wielu miesięcy była kochanką Kahlerta. Sądził, że dociągną do końca wojny...

Kloss mijał już ostatnie zabudowania Döberitzstrasse i zobaczył nareszcie numer 64. Niewielki, drewniany domek otoczony ogródkiem, metalowa tabliczka z nazwiskiem właściciela. Przeczytał: Thomala.

Otworzył mu drzwi siwy mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Jego twarz wydawała się tak swojska, że Kloss, wbrew instrukcji, wypowiedział pierwszy człon hasła rozpoznawczego po polsku:

- Czy to pan odwiedza w Berlinie ciotkę Elizę?

- Tak - odrzekł cicho Tomala. - Ciotka Eliza mieszka przy Alexanderplatz.

Wprowadził go do niewielkiego pokoju, jakich Kloss widział setki w tych wioskach i miasteczkach. Haftowane makatki, atlasowe poduszki, wyszywane napisy. Tylko obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na ścianie kontrastował z tym po niemiecku mieszczańskim wnętrzem.

Tomala postawił na stole butelkę i dwa kieliszki. Spoglądał jeszcze na Klossa z odrobiną nieufności, przyzwyczajając się powoli, trochę po chłopsku kluczył i nie od razu przystąpił do rzeczy.

- Dobrze, że jesteś - stwierdził wreszcie. Od pierwszej chwili mówił Klossowi per „ty”. - Jutro rozpoczynamy akcję „Liść dębu”.

- „Liść dębu” - powtórzył Kloss - cóż to za akcja?

- Nie mówiono ci? - W głosie Tomali zabrzmiała znowu nieufność.

Kloss spokojnie zapalał papierosa.

- Jestem na tym terenie od wczoraj. - On też obserwował uważnie Tomalę. Wiedział z doświadczenia, że w konspiracji najniebezpieczniejsze jest zawsze nawiązywanie nowego kontaktu. Tomala od pierwszej chwili budził zaufanie, ale Kloss nie przestawał być czujny.

- Akcja „Liść dębu” planowana jest już od tygodni — wyjaśniał tymczasem Tomala. Chodzi mianowicie o to, by uchwycić most na Redze w momencie rozpoczęcia natarcia i utrzymać go do nadejścia naszych oddziałów. Nie wolno dopuścić, by Niemcy zdążyli zniszczyć most.

- Kto to ma wykonać? - zapytał Kloss.

Tomala milczał sporą chwilę.

- Pojutrze o czwartej rano na polanie na zachód od lasu Weipert wylądować grupa naszych spadochroniarzy - powiedział wreszcie. - Przeprowadzę ich przez las do Fryburga. Zaatakują załogę broniącą mostu w momencie rozpoczęcia natarcia.

Kloss zerwał się z krzesła. Chodził szybkimi krokami po pokoju. Przez las Weipert! Co za szaleństwo! Przecież w tym lesie stacjonuje pułk pancernych grenadierów!

- Akcję trzeba natychmiast odwołać! - krzyknął. - I zmienić plany!

Tomala patrzył na niego nie rozumiejąc.

- Dlaczego?

- Nawet mysz nie prześliźnie się przez las Weipert.

- Był czysty jeszcze dzisiaj. Tę informację sam przekazałem.

- Do dzisiaj - powiedział Kloss.

Tomala sięgnął po kieliszek. Jego ręka drżała.

- Ja już nic nie mogę zrobić.

- Chcesz, żeby chłopcy zginęli?

-Ja już nic nie mogę zrobić - powtórzył. -Widzisz, łącznik zrzucony przed miesiącem z radiostacją ulokował się gdzieś w Dobrzycach. Nawet ja nie wiem, gdzie.

-Jak to nie wiesz?! Nie masz kontaktu?

- Tylko przez naszego człowieka w Dobrzycach. Nazywa się Weiss. Przyjeżdżał tu raz na tydzień. Ale teraz drogi są zajęte, nie ma żadnej komunikacji...

- Trzeba natychmiast kogoś posłać do tego Weissa. Wiesz, gdzie go szukać?

- Znam adres. Właściwie... - Kloss wiedział, że Tomala nie powinien mu mówić, ale sytuacja była wyjątkowa. - Bautzenstrasse 28.

- Trzeba natychmiast kogoś posłać. To wszystkiego dwadzieścia parę kilometrów.

Tomala milczał. Dopiero teraz Kloss dostrzegł, że stary mężczyzna jest zmęczony. Pod oczyma miał sine plamy, wargi wyschnięte. Ciągnie ostatkiem sił - pomyślał.

- Ilu i jakich masz ludzi? - zapytał łagodniej.

- Nowych - powiedział Tomala. - Tylko nowych. Kiedyś mieszkało tu sporo Polaków - zaczął mówić nagle szybciej - cała ulica Dobrzycka to byli właściwie Polacy. Nie doczekali. Ja też pewno nie doczekam.

-Jakich masz ludzi? - powtórzył Kloss.

- Jest Janka, Polka pracująca u sąsiadów. Sąsiedzi już uciekli. Jest mój wnuk Erwin. Ma

dopiero szesnaście lat. Jest jeszcze paru chłopców z Polski wywiezionych tu na roboty, ale nie zdążę ich tak szybko zawiadomić.

- Rozumiem. - Kloss spacerował po pokoju. Stał przed zbiorową fotografią wiszącą nad komodą.

- Miejskowa Polonia - powiedział cicho Tomala. - Z tych na zdjęciu pozostałem tylko ja... Może ktoś przeżyje obóz.

- Nie należało przechowywać tego zdjęcia. A w każdym razie nie należało wieszać go na widocznym miejscu - stwierdził sucho Kloss. Usiadł naprzeciwko Tomali i także poczuł się zmęczony.

Jeszcze dwa miesiące - pomyślał - może trzy miesiące.

- Musisz posłać tę Jankę i swojego wnuka - oświadczył - nie ma innej rady. Niech idą do Dóberitz, do Dobrzyc - poprawił się natychmiast - dwiema różnymi drogami. Jedno z nich musi dojść. I to jeszcze dzisiaj. Weiss zdąży przekazać meldunek.

- Erwin ma szesnaście lat - szepnął Tomala. - Janka niewiele więcej...

- Trudno. Zrobisz, jak powiedziałem. Pamiętaj, że jeśli nie nadamy meldunku, nasi spadochroniarze zginą w lesie Weipert, a Niemcy zdążą wysadzić most.

- Zawołać ich natychmiast?

- Zawezwiesz ich potem. Nie powinni mnie widzieć. W jaki sposób dowiemy się, że meldunek został nadany i akcja odwołana?

- Dwa razy dziennie: o godzinie 7.30 rano i dwudziestej wieczorem w paśmie piętnastu megaherców nasi nadają dziewięć taktów Poloneza As-dur Chopina.

- Co to znaczy?

- Jest polonez, będzie akcja. Nie będzie poloneza, akcja odwołana.

-Rozumiem.

-No dobrze, ale jeśli nasza grupa nie przybędzie, w jaki sposób uniemożliwić wysadzenie mostu?

- Pomyślimy - powiedział Kloss. - W meldunku trzeba zaproponować inne miejsce zrzutu. - Wyjął z torby mapę i długo ją studiował. - Może na południe od Forburga. Od Osieka - poprawił się znowu.

Tomala przetarł okulary.



- Chyba tak - powiedział - chyba tak. Jeśli tam jest czysto.

Na ulicach i polach pokrytych jeszcze śniegiem leżała mgła. Kloss stanął na rynku, rozejrzał się, był to już odruch, zapalił papierosa. Po chwili wiedział już, co go zaskoczyło: cisza. Działa na wschodzie milczały. Oznacza to zapewne - pomyślał - że jutro albo pojutrze... Tak, najdalej pojutrze, parę godzin po lądowaniu spadochroniarzy, lądowaniu, do którego nie wolno dopuścić...

## 2

Prowizoryczne pomieszczenie kasyna sztabu dywizji mieściło się poniżej pałacowego parteru; schodziło się tu po paru schodkach z obszernego hallu, w którym urzędowali stale oficer dyżurny i dwóch służbowych podoficerów. Generał Pfister osobiście wyznaczał pomieszczenie dla kasyna. „Miejsce, gdzie jedzą oficerowie - powtarzał - musi być schludne i przyjemne”. O schludność kasyna dbała właśnie Simone.

Kahlert poznał ją, gdy dywizja stacjonowała we Francji, i uprosił generała, by pozwolił mu wziąć dziewczynę ze sobą i zatrudnić w sztabie dywizji. Ta filigranowa brunetka o dużych oczach zaskakiwała Klossa. Wydawała się nie dostrzegać nikogo oprócz Kahlerta: traktowała wszystkich z tą samą obojętną, nieco suchą, a nawet wrogą grzecznością, z jaką spotykali się w kawiarenkach i bistrach Paryża. Przywykli do tej dziewczyny, nawet polubili ją po swojemu, a szef sztabu, oficer znacznie inteligentniejszy od swego dowódcy, zauważył kiedyś, że ta dziewczyna, która nie chce przyjąć do wiadomości trwania wojny i sądzi, że ze wszystkich spraw na tym świecie naprawdę ważna jest tylko miłość — odgrywa rolę czegoś w rodzaju maskotki dywizji. Kahlert, z którym Kloss zaprzyjaźnił się, jeśli słowo „przyjaźń” było tu właściwe i mogło być użyte, powiedział mu kiedyś, że z Simone nigdy nie rozmawiają o wojnie, a jeśli czasem się pokłócą, to o to tylko, czy potem zamieszkają w Paryżu, czy w jego rodzinnym Wiedniu! Nie będzie żadnego „potem”; Pfister wydał rozkaz rozstrzelania Kahlerta i Kloss wiedział, że nie ma żadnej szansy, by cofnął decyzję.

Gdy wróciwszy od Tomali zszedł na dół, kasyno było jeszcze puste. Simone stała przy barze i wycierała kieliszki. Robiła to bardzo sprawnie, szybko, jakby nie interesowało jej nic oprócz tych kieliszków.

Usiadł przy stoliku, ona przybiegła natychmiast niosąc na tacy porcję gulaszu.

- Mam jeszcze dla pana coś z Francji - powiedziała. Napełniła kieliszek i butelkę natychmiast schowała z powrotem pod ladę. Stała obok niego.

- Niech pani siądzie.

- Nie, dziękuję - szepnęła. Nigdy, podając w kasynie, nie siadała przy stolikach. - Panie kapitanie - mówiła kiepską niemczyzną, nagle przeszła na francuski i zaczęła mówić szybciej tym swoim paryskim dialektem, połykając końcówki i całe słowa. - Panie kapitanie, na miłość boską, co oni chcą zrobić z Rolfem?

Kloss milczał. Wiedział, że musi jej to powiedzieć i nie starczało mu odwagi.

- Hans — szepnęła. Znała jego imię, mówili sobie przecież z Kahlertem po imieniu, ale nigdy do Klossa nie zwracała się w ten sposób. - Hans - powtórzyła - słyszałam, jak Siebert, adiutant generała, mówił, że go rozstrzelają. Czy to prawda?

Milczał.

- Na miłość boską, czy to prawda? .

-Tak, Simone...

- Trzeba coś zrobić - to był prawie krzyk. - Trzeba mu pomóc, prosić generała. On nie chciał mnie przyjąć, generał, wartownik kazał iść raus. Oni nie mogą go rozstrzelać... Niech pan coś zrobi, panie kapitanie, niech pan natychmiast coś zrobi!

Pomyślał o tych, których rozstrzeliwano we Francji i rozstrzeliwano w Polsce. Nie mógł pomóc Kahlertowi i nie chciał kłamać.

- Jestem bezsilny, Simone - powiedział. - Staralem się... - głos uwiązł mu w gardle.

- A Rolf uważał pana za swego przyjaciela. - Powiedziała to po niemiecku i natychmiast przeszła na francuski. - Pan także mną pogardza, prawda? Wyście gardzili i mną, i Rolfem. Francuzką, która poszła z Niemcem! Poszłam z Niemcem - krzyknęła - i nic mnie nie obchodzi oprócz niego. On nie może zginąć, słyszy pan, ta przekłeta, brudna wojna nie może mi go odebrać!

Kloss milczał.

- Pan jest sztywny i zimny jak każdy Prusak - w jej oczach pojawiły się łzy. — A ja myślałam...

W drzwiach kasyna stanął Kussau. Wyrzucił rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i z nietajoną drwiną spojrzał na Klossa i Simone.

- A on? - spytała nagle. - A może on zechce pomóc?

- To beznadziejne, Simone - powiedział Kloss twardo.

Ona oczywiście nie uwierzyła. Po chwili podchodziła już do stolika SS-mana, niosąc na tacy kieliszek i tę samą butelkę francuskiego koniaku wydobytą spod lady. Stała obok kapitana Kussau, podobnie jak niedawno obok Klossa. Dochodziły go strzępy ich dialogu, miękka, szkolna niemczyzna Simone i twardy berliński akcent Prusaka.

- Mam ogromną prośbę, kapitanie, ogromną - mówiła Simone. - Pan wie, oczywiście, że chodzi o Kahlerta. Tylko pan może mi pomóc.

- Pogadamy o tym - Kussau rozparł się wygodnie na krześle - pogadamy, dziecinko. Masz coś

lepszego do żarcia niż ten gulasz? Może parówki? Wczoraj nam dałaś znakomite parówki z musztardą.

- Dla pana będą.

Zniknęła za bufetem, a Kussau wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kloss wstał. Najchętniej podszedłby do niego i powiedział, tak by usłyszała także Simone: „Nie oszukuj tej dziewczyny, nie wykorzystuj sytuacji. Wiesz dobrze, że nie pomożesz Kahlertowi i zrobiłeś wszystko, aby go rozstrzelano”. Milczał jednak, musiał milczeć. Ostre starcie z Kussau'em byłoby zbyt ryzykowne, utrudniłoby wykonanie zadania, a Kloss nauczył się już panować nad sobą; na wojnie nie istnieje nic oprócz tego, co służy wojnie. A jednak...

Simone wniosła parówki. Kussau połykał je, smarując musztardą. Francuzka stała obok niego.

- Jeszcze jeden kieliszek koniaku - powiedział Kussau. -A o Kahlercie, dziecinko, pogadamy później. Później, u mnie w pokoju. Jeśli, oczywiście, będziesz miała ochotę.

Kloss wyszedł.

Przydzielono mu pokój na drugim piętrze w bocznym skrzydle pałacu, przeznaczonym zapewne niegdyś dla służby i gorszych gości. Przez okno widział rzekę Regę, most i skraj lasu. Daleko, na horyzoncie, niebo świeciło, migotliwy blask piął się w górę, opadał, tryskał smugami światła. Tam był front. Jeśliby udało się zachować ten most - myślał Kloss - oddziały pancerne wyjdą natychmiast na przestrzeń operacyjną, znajdą się na tyłach Pommern Stellung, sięgną do morza. Jak ocenia sytuację generał Pfister? Kiedy wyda rozkaz wysadzenia? Gdyby nie bał się śmiertelnie Himmlera, kazałby zapewne zniszczyć most wcześniej, ale wówczas odciąłby drogę odwrotu niemieckim oddziałom czołowym, znajdującym się na tamtym brzegu rzeki. Może już je poświęcił? Wie, że rubież Regi jest nie do utrzymania, ale wie także, że musi opóźniać natarcie.

Spojrzał na zegarek. Mała wskazówka stała już niemal na ósemce. Otworzył radio, znalazł falę; długą chwilę słyszał tylko trzaski, potem poprzez szum i warkot przedarły się pierwsze taktory Poloneza As-dur. Wydawało mu się, że są zbyt głośne, że docierają do wszystkich, w całym pałacu. Zamknął radio. Więc meldunek jeszcze nie dotarł. Nie mógł dotrzeć. Janka i Erwin wyszli przed trzema godzinami, w Dobrzycach będą najwcześniej przed północą, a kiedy Weiss zdąży przekazać polecenie radiostacji? Zdąży. Ściągnął bluzę i rzucił się na łóżko. Po paru minutach obudziło go pukanie. Na progu stała Simone.

- Przyszłam - powiedziała. Wyglądała bardzo ładnie, miała na sobie wieczorową sukienkę, w której nigdy nie pokazywała się w kasynie.

Zerwał się z łóżka.

- Niech pani siada, Simone... Ja zaraz...

- Usiądę obok pana — uśmiechnęła się blado. Zapaliła papierosa. Zobaczył jej twarz bardzo blisko, gdy podawał jej ogień.

- Mogłam pójść do pana albo do niego - szepnęła. -Wiem, że nie lubicie się narażać, wiem, że te niebezpieczne, ale przecież gdyby pan naprawdę chciał... Może się opłaci - dodała. Zauważył, że z trudem wstrzymuje łzy, wargi jej drżą i gdy za chwilę zdobędzie się na uśmiech, odniesie ogromne zwycięstwo nad sobą. Kloss umiał to docenić.

- Simone — zaczął i od razu zrozumiał, że nie uwierzy w nic z tego, co jej musi powiedzieć.

- Może się opłaci - powtórzyła. - On siedzi w podziemiach, prosiłam, żeby mnie do niego puścili, ale oni... Żeby przynajmniej puścili, żebym mogła go zobaczyć. Hans! Nie odmówisz, prawda?... Lubieś Rolfa i ja ci się też trochę podobam.

- Simone - powiedział twardo. - Czego właściwie oczekujesz? Litości?

- Nie - rzuciła ostro. - Nie litości. Tego się nie spodziewam. Wiem, że nic za darmo... Jestem gotowa... Nie musicie go przecież zabijać! To niemożliwe, żebyście go musieli zabić! To nonsens! Bezmyślne głupstwo. Po co ma ginąć Rolf? Ja nigdy nie uwierzę... Jeśli nie można go zwolnić, pozwólcie mu uciec... Hans! Przecież...

- Spróbuj dostać się do generała, Simone. I nie miej wielkich nadziei - musiał to jej powiedzieć.

- Odmawiasz?

Milczał.

- Odmawiasz - powtórzyła. Zerwała się z łóżka. -Będziesz żałował, słyszysz? Wszyscy będziecie żalowali. Za rzeką stoją Rosjanie!

- Nie - zaprzeczył. - Za rzeką stoją Polacy, Simone.

- Wszystko jedno! Wtedy wy będziecie błagać o litość. - Wyjęła puderniczkę, starła łzy i, nie spojrzawszy już na niego, wyszła z pokoju.

Otworzył cicho drzwi na korytarz i stanął na progu. Kussau mieszkał na tym samym piętrze, parę pokoi dalej. Simone stanęła przed drzwiami SS-mana, zapukała, weszła... Kloss czekał. Zapalił papierosa, zgasił światło i usiadł przy półotwartych drzwiach. Nie chciało mu się spać; luna na wschodzie bladła, działa umilkły. Simone nie opuściła pokoju SS-mana Kussau.

### 3

Polecenie Klossa, żeby iść dwiema różnymi drogami, okazało się w praktyce niewykonalne. Do Dobrzyc prowadziły co prawda dwie drogi: szosa i bity trakt przez las Weipert, ale to drugie przejście, ze względu na stacjonujący w lesie pułk grenadierów, wydawało się zbyt ryzykowne. Janka i Erwin postanowili więc iść szosą, nie razem — oczywiście; Erwin ruszył pierwszy, po godzinie poszła Janka. Tomala nauczył każde z nich hasła i kazał wykuć na pamięć meldunek.

Ucałował wnuka, ręce mu drżały, mówił z trudem.

- Twoja matka nie żyje - szeptał - ojciec... módlmy się, żeby wrócił. Uważaj...

- Nic mi się nie stanie, dziadku. - Wydawał się zbyt pewny siebie. W mundurze Hitlerjugend nie różnił się niczym od tysięcy chłopaków wrzeszczących na ulicach i wybijających takt w codziennych marszach podczas ćwiczeń. Wpakował do plecaka chleb i zmianę bielizny; na ulicy Dobrzyckiej włączył się natychmiast w tłum uchodźców, płynący ze wschodu nieprzerwanym potokiem. Mijał wózki konne, dwukółki, przyspieszał kroku, gdy poczuł na sobie czyjś zmęczony wzrok i przeczuwał prośbę o pomoc.

Uchodźcy szli powoli i w milczeniu. Nie słyhać było rozmów, co najwyżej jeśli ktoś, zaprzęgnięty do wózka, stawał, by odpocząć, i tarasował drogę, rozlegał się ostry krzyk, potem płacz dzieci w zepchniętym na pobocze wehikule. Domy przydrożne zamknięto na głucho, a gdy ktoś skręcał w bok, by poszukać schronienia, noclegu, tłoczyli się za nim natychmiast inni; w tej gromadzie nie istniały ani wspólnota, ani samotność. Szli w nieznane i nie mogli jeszcze uwierzyć, że stało się już najgorsze, osaczyły ich rozpacz, przerażenie, nienawiść, oglądali się na wschód i widzieli tylko łuny wiszące nad horyzontem. Z zachodu nadjeżdżał czasem motocyklista lub spychały ich na pobocze ciężarówki i transportery. Widzieli żołnierzy w hełmach, działa i karabiny maszynowe, ale przestali już wierzyć, że cokolwiek powstrzyma nawałę idącą ze wschodu.

Erwin spostrzegł wkrótce, że jego strój wcale nie odwraca uwagi; przeciwnie - wyróżnia go w tym tłumie. Chłopców w jego wieku było niewiele, a mężczyźni, przeważnie starsi, nosili tylko cywilne łachy. Żadnych mundurów, których jeszcze przed paroma dniami widział tyle w swoim miasteczku. Żadnych członków partii, SA, funkcjonariuszy Todta i pracowników kolei. Tłum niemiecki, odarty nagle z uniformu, jakby się przeistoczył, zszarzał; na Erwina spoglądano z odrobiną nieufności, czasem ktoś westchnął, ktoś odwrócił wzrok.

Chłopak przyspieszał kroku. Chciał przedrzeć się na czoło pochodu, rozumiał zresztą, że musi być jak najszybciej w Döberitz. Dotąd dziadek nie powierzał mu żadnego zadania; nauczył go tylko po polsku, opowiadał historię Polski i historię ich rodziny. Erwin żył w świecie dwoistym, między szkołą i domem, Hitlerjugend i dziadkiem, czytał tylko po niemiecku, bo żadnych książek polskich oprócz Biblii dziadek w domu nie trzymał, i miał przyjaciół świętujących zwycięstwa, którymi on nie mógł się cieszyć. Wiedział, że jego ojciec był w Wehrmachcie, a gdy przyszło oficjalne zawiadomienie, że gefreiter Hans Thomala zginął bez wieści, dzidek szepnął, że Janek „jest już na pewno u naszych”. Ojciec był jednocześnie Han-sem i Jankiem, on sam, Erwin, bywał czasem Niemcem i zapominał o swej polskości, która jawiła mu się wówczas jako upośledzenie utrudniające życie. Potem osaczała go nagle wraz z opowieściami dziadka i dźwiękiem słów nie zawsze rozumiałych... Polskość była jednak przeszłością, historią, trochę bajką, rzeczywistość i siłę stanowiły Niemcy i dopiero teraz, gdy świat zmienił się nagle, a łuna na wschodzie świadczyła o zbliżaniu potęgi, która przestała być bajeczką, wszystko, co słyszał i wiedział, nabrało kształtów realnych. Okazało się, że dziadek, spokojny starszy pan, podpisujący się z niemiecka „Thomala”, od wielu lat walczył, by tu była Polska i że on, Erwin będzie mógł niedługo wyzwolić się z dwoistości, mówić i myśleć w tym samym języku. Nie wiedział i nie bardzo umiał sobie wyobrazić, jacy są „tamci”; z tymi, którzy uciekali teraz na zachód, spędził całe życie. Idąc coraz szybciej, myślał o Elsi, piętnastoletniej dziewczynie, która wraz z rodziną wyszła już z Osieku i jest prawdopodobnie gdzieś

tutaj, w tym pochodzie, nie sądził jednak, by udało mu się ją spotkać.

Mrok gęstniał, Erwin zbliżał się już do czoła pochodu, do wozów, które ciągnęły zmęczone konie, gdy nagle uderzyły go w oczy światła reflektorów. Wydobyły z ciemności ludzkie twarze, szperały w wózkach, muskały pobocza i krzaki przydrożne. Zorientował się zbyt późno. Na skrzyżowaniu stały ciężarówki, żandarmi w hełmach zagradzali drogę. Chciał skoczyć w bok, ale światło spływało już po nim, zasłaniał oczy, czuł się bezbronny i bezradny.

- Nie mam jednego płuca - wył jakiś mężczyzna. -Ludzie, nie udźwignę broni. Nie mogę chodzić.

- Dowieziemy cię - roześmiał się żandarm. Wpychał mężczyznę na ciężarówkę, a jego kolega liczył złowionych...

Erwin stanął przed nim i wyrzucił rękę do góry.

- Hei! - powiedział lekceważąco żandarm. - Ten przynajmniej w mundurze. Jak się nazywasz?

- Erwin Thomala.

- Dokąd idziesz?

- Do Döberitz, do wujka.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- W porządku. Nadajesz się. Twoi rówieśnicy już walczą.

- Wujek jest chory - spróbował Erwin.

- Do ciężarówki! — wrzasnął żandarm i chłopak posłusznie wszedł na stopień. Czy miał szansę ucieczki? Ciągle o tym myślał: czy powinien był ryzykować? Gdyby zobaczył ich wcześniej, gdyby od razu skoczył w bok...

Ciężarówka ruszyła. Wzdłuż pochodu uchodźców gnała coraz szybciej na wschód, minęła Forburg, czyli Osiek, przeskoczyła most na Redze i pięła się przez las w kierunku coraz ostrzejszej łuny na wschodzie.

- Na rzeź - powiedział jakiś mężczyzna. — Do rzeźni...

Erwin myślał o Jance. Może jej się uda? Przecież me ruszają dziewcząt.

Janka szła tymczasem szosą w obcym tłumie, myśląc o tym tylko, aby być jedną z nich, niczym się nie wyróżniać, nie przyspieszać zbyt kroku, nie wyprzedzać wózków... Zerwała z sukienki i płaszcza literę „P”, a żałowała tylko, że nie wzięła ze sobą jakiegoś bagażu, choćby plecaka, bo

wszyscy byli objuczeni, ciągnęli walizki i tłumoki, odpoczywali co chwila na poboczu. Powtarzała w myśli słowa meldunku, żeby nic nie zgubić: „Las Weipert obsadzony, lądowanie niemożliwe, proponuję inny teren...” Musi dotrzeć z tym meldunkiem do Han-sa Weissa, Bautzenstrasse 28. Hans Weiss. Obejrzała się i zobaczyła lunę na wschodzie. Jeszcze przed paroma godzinami sądziła, że pójdzie na wschód i niedługo wróci do Lublina, a tymczasem wlecze się na zachód w tłumie kobiet i dzieci, które po raz pierwszy w tej wojnie poznały gorycz klęski. Szła lekkim, swobodnym krokiem, gdy poczuła na sobie czyjś uważny wzrok... Jednak wyróżniała się w tym tłumie! Jakaś kobieta pchała spory wehikuł zaopatrzonego w prowizoryczny, płócienny dach.

-Jesteś sama, dziecko? - zapytała.

- Moi są na przedzie - odpowiedziała natychmiast Janka. Jej niezbyt poprawna niemczyzna nie zwracała jednak uwagi.

- Pomogłabyś trochę!

Janka zaprzęgała się do wózka obok kobiety. Szły po kamienistym bruku, wlokąc swój ciężar, teraz była naprawdę jedną z nich, nikt na nią nie patrzył, potykała się i napinała ramiona, milcząc, jak wszyscy w tym pochodzie.

Stanęli. Gdzieś w oddali wytrysnęły smugi światła, czarna ciężarówka przystanęła na poboczu.

- Chociaż odpoczniemy - powiedziała kobieta.

-Ja chyba wrócę do swoich - szepnęła Janka.

- Pomóż jeszcze - poprosiła. - Daleko przecież nie odejdą. Wszyscy spotkamy się w Döberitz.

W tej chwili spod płóciennej osłony okrywającej wózek wysunęła się kilkuletnia dziewczynka. Przetarła oczy i gdy smuga światła wydobyła na chwilę z ciemności twarze ludzkie, spojrzała na mamę i Jankę.

- Mamo - krzyknęła - a co tu robi ta Polka od Ginterów?

- Polka! - kobieta przywarła do Janki. - Więc jesteś Polką? Dlatego nie chcesz pomóc? Gdzie masz „P”?

-Ja...

- Czekasz na swoich, co? - Zmęczenie i nienawiść znajdowały ujście w krzyku. - Przyglądasz się nam teraz, cieszysz się, że ginimy z głodu i ze zmęczenia?

Z nie oświetlonej ciężarówki stojącej na poboczu wyskakiwał żandarm.

- Tu, tu! - krzyknęła kobieta. - Polka!

Biegł do nich. Janka, nie myśląc, pchnęła kobietę, przeskoczyła rów i zobaczyła tuż przed sobą

czarną ścianę lasu. Musnęło ją światło reflektora; gdy dopadła do pierwszych drzew, usłyszała suchy trzask serii z automatu i głośny niemiecki wrzask. Nie czuła strachu, tylko serce biło mocno i pot zalewał oczy. Grunt był grząski, z trudem wyciągała nogi, gałęzie biły ją po twarzy; żandarmi byli już na skraju lasu, światła latarek błyskały między drzewami. Szli tyralierą. Pośliznęła się nagle i upadła w jamę wypełnioną zeschniętymi liśćmi. Wstrzymała oddech. Mijali ją, szli w głąb lasu, widziała z dołu światło latarek i wydobywane z ciemności fragmenty twarzy w hełmach.

- Przeklęta Polka! - usłyszała.

Przeszli. Po kilkunastu minutach wracali do szosy, omijając już z daleka jej wykrot, zmęczeni i zniechęceni. Ruch na drodze był coraz mniejszy, z rzadka rozlegał się warkot motoru, mijały godziny i dopiero nad ranem usłyszała dochodzący z daleka ze wschodu grzmot dział. Zasypiała i budziła się natychmiast, nie miała zegarka, nie wiedziała, ile minęło godzin...



Ruszyła, gdy świt wydobył już z ciemności sylwetki drzew i błyskającą między nimi taśmę szosy. Wlokła się wolno skrajem lasu, las zapewniał bezpieczeństwo. Urwał się nagle, wyszła na łąkę i zobaczyła przed sobą Dobrzy-ce. Szosa była zupełnie pusta. Dopiero przed samym miastem stało dwóch młodych żołnierzy Wehrmachtu. Przeszła obok nich z bijącym sercem, nie zatrzymali, wydawało się nawet Jance, że starali się nie patrzeć. Po nocy spędzonej w lesie musiała zresztą wyglądać okropnie; podarta i zmięta sukienka, potargane włosy...

Była więc nareszcie w Dobrzycach. Szła wąskimi uliczkami, pustymi o tej porze, chodnikiem pokrytym strzępami papierów, workami, szmatami, gratami wyrzuconymi z mieszkań. Niektóre domy były pootwierane na oścież, opuszczone przez mieszkańców. Czytała tabliczki na rogach ulic. Bautzenstrasse? Nie miała pojęcia, gdzie może być ta ulica.

Starsza kobieta taszczyła na plecach worek. Gdy Janka zapytała ją o drogę, postawiła worek na ziemi i przyglądała się uważnie dziewczynie. Bautzenstrasse? Tak, była taka ulica. Powiedziała „była”.

- Panienska pójdzie prosto, potem na lewo...

Już z daleka zobaczyła rząd wypalonych domów, szła wzdłuż nich parę minut. Czyżby numer 28?... Nie, ten dom ocalał. Dwupiętrowa kamieniczka na skrzyżowaniu, brama wejściowa otwarta. Na pierwszym piętrze zobaczyła miedzianą tabliczkę z nazwiskiem „Hans Weiss”. Udało się! Poprawiła włosy i odpoczęła chwilę, zanim nacisnęła dzwonek. Tak jak polecił stary Tomala: trzy razy krótko, raz długo...

Otworzył jej człowiek w czarnym mundurze. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, cofnąc się lub rzucić do ucieczki, wciągnął ją do przedpokoju. Drugi, z pistoletem w dłoni, czekał już w drzwiach.

-Mamy ptaszynę, co? - wybuchnął śmiechem. - Wiedziałem, że ktoś przyjdzie.

Janka, pchnięta brutalnie, znalazła się w niewielkim pokoju. Na podłodze, wśród wyrzuconej z szaf bielizny? książek i papierów, siedział starszy mężczyzna, po twarzy spływała krew.

- No, panie Weiss - powiedział gestapowiec z pistoletem. - Teraz zaczniesz mówić. Kim jest ta panienska?

Weiss milczał.

Drugi Niemiec w mundurze sturmbannfuhrera podszedł do Janki i lufą pistoletu przejechał po policzku dziewczyny.

- Posłuchaj, moja mała... Nazywam się Knoch. Zapamiętaj to nazwisko, bo jeśli przeżyjesz parę tygodni, będzie ci się śniło po nocach. Zapamiętałaś?

-Tak.

-Jak się nazywasz?

Janka milczała.

- Jak się nazywasz? - ryknął. - I gadaj zaraz, kto cię przysłał.

Przymknęła oczy i zdawało się jej, że jest znowu w lesie. Spadała w jamę, jama była bardzo głęboka i nie poczuła nawet uderzenia, które rzuciło ją na podłogę.

#### 4

Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta rano. Szosą ciągnął znowu sznur uchodźców, niechętnie spychano wózki na pobocze, ustępując przed motocyklem. Kloss jechał powoli, a gdy dotarł do lasu, skręcił w bok, wąską dróżką zanurzył się w gęstwinę. Zatrzymał silnik. Tu na pewno nikt go nie widzi. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wydobyl tablice rejestracyjne. Postanowił zachować jak najdalej posuniętą ostrożność; zdawał sobie sprawę, że gra jest ryzykowna, a stawka bardzo wysoka. Jeśli ktoś w Dobrzycach zanotuje nawet numer jego motocykla, na nic mu się to nie przyda. Zmienił tablice, te właściwe schował do kieszeni płaszcza i ruszył z powrotem do szosy. Musi być w Dobrzycach jak najwcześniej, musi dotrzeć do tego Weissa, bo jeśli kontakt nie istnieje albo meldunek nie może być nadany, trzeba będzie... Miał już plan, właściwie zarys planu, ale zdawał sobie sprawę z rozmiaru ryzyka... Najpierw należy spróbować nawiązać kontakt. Dlaczego łącznicy nie dotarli? Zatrzymano ich po drodze? Nie zastali Weissa? Miał jeszcze nadzieję, gdy o 7.30 rano nastawiał radio na falę piętnastu megaherców. Słyszał szum i trzaski, pomyślał: nie nadadzą, ale już po paru sekundach usłyszał dźwięki Poloneza As-dur. Akcja nie została odwołana! O czwartej nad ranem spadochroniarze wylądują na zachód od lasu Weipert i nieuniknienie zetkną się z żołnierzami pułku grenadierów pancernych. Niemcy wysadzą most. Nie mógł do tego dopuścić! Musiał sam działać.

Dobrzyce nie leżały już w zasięgu ich dywizji, należało więc znaleźć jakiś pretekst motywujący wyjazd. Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy zjawił się feldfelbel wzywający go do generała.

U Pfistera zastał już paru oficerów. Był promieniejący i wyświeżony Kussau, był porucznik Walter i kapitan Koellert, był także dowódca ochrony mostu, saper, major Vogel. Generał pochylał się nad mapą.

-Natarcia przeciwnika spodziewam się w najbliższych dniach — ogłosił. — Może nawet w najbliższych godzinach. Fuehrer przywiązuje ogromną wagę do linii Regi... Otrzymaliśmy rozkaz: ani kroku w tył. - Spojrzał na swoich oficerów. Stali nieruchomo, żaden z nich nie zamierzał zabierać głosu. Tylko Kussau chrząknął aprobująco.

Kloss patrzył przez okno na most i poszukiwał bezskutecznie pretekstu: jak umotywować wyjazd do Döberitz? Nic nie mógł wymyślić, czuł, że to nader wątpliwe, by generał zechciał pozwolić na opuszczenie sztabu. Okazało się jednak, że pretekst był zbyt łatwy. Pfister wydał najpierw, a właściwie powtórzył rozkazy dla dowódcy saperów Vogla. „Most wysadzić wyłącznie na moje polecenie, otrzymacie je, gdy zaistnieje bezpośrednie zagrożenie przedmieścia przez czołgi przeciwnika”. Nie wierzył więc na serio w możliwość utrzymania linii Regi.

Potem odprawił Vogla i zrobił to, czego Kloss się nie spodziewał: polecił Walterowi,

Koellertowi, Kussau'owi i jemu wyjechać na inspekcje oddziałów dywizji. Klossowi przydzielił pułk grenadierów w lesie Weipert. Las Weipert! Zachodni kierunek dobrzycki. Oczywiście nie miał prawa zbaczać do Döberitz, ale musiał ryzykować. Sfałszowane tablice rejestracyjne miał już przygotowane; poprzedniego dnia postanowił je zniszczyć, niebezpiecznie było mieć coś takiego w bagażu, teraz się przydadzą. Posterunki na szosie notują numery... Nikt nie powinien wiedzieć, że był w Dobrzycach.

Zbiegł jeszcze na śniadanie. Kussau właśnie dopijał herbatę, Simone stała obok niego. Usłyszał strzęp dialogu.

- Przyjdiesz dzisiaj — powiedział Kussau.

- Co z Rolfem? Trzeba zaraz iść do generała. Przecież pan obiecał...

Kussau odstawił szklankę, wstał i wybuchnął śmiechem.

-Jesteś fajna dziewczyna, Simone... Wyjątkowo fajna. Ja ci nie wystarczę?

-Nie! - krzyknęła - przecież... - Ale on nie słuchał. Skinął głową Klossowi i opuścił kasyno.

Simone podała bez słowa talerz zupy. Kloss jadł szybko, gorąca ciecz parzyła wargi. Ona stała przy bufecie, skupiona i nieruchoma. Co mógł jej powiedzieć? Że nie ma już żadnej szansy, że Kussau ją oszukał...? Wybiegł bez słowa. Miał bardzo mało czasu. Chciał wstąpić jeszcze do Tomali, potem przejechać przez las Weipert, spojrzeć na ten pułk grenadierów, wrócić znowu do szosy... i do Dobrzyc. Ile czasu musi mieć Weiss na przekazanie meldunku?

Tomala nic nie wiedział. Był nie ogolony, oczy miał podkrążone, postarzał się o parę lat w ciągu tej nocy.

- Nie powinienem był go posyłać - powiedział cicho. - Nie powinienem. Teraz już nikt mi nie został.

Kloss chciałby go pocieszyć, ale tamten machnął tylko ręką.

- Ja nie tracę nadziei — rzucił. — Mnie życie przyzwyczaiło do najgorszego i nigdy nie tracę nadziei. Nie mówmy o tym. Jedno z dwojga: albo Erwin i Janka nie zdołali dotrzeć do Dobrzyc, albo Weiss wpadł...

-Trzeba to ustalić i dlatego jadę do Dobrzyc - oświadczył Kloss.

-Ty?

- Tak. Hasło i adres.

- Nie powinieneś tego robić.

- Muszę, nie ma innej szansy.

- Nie ma już żadnej szansy. Oni wylądają o czwartej nad ranem.

- Akcja musi się udać. Posłuchaj, jeśli znajde Weissa, jeśli Weiss nie wpadł, przekaze mu meldunek. Jeśli jednak to się nie uda...

- Wpadniesz sam.

- Nie wpadnę - powiedział twardo Kloss. - Nie mogę sobie na to pozwolić. Wrócę tu w każdym razie. Zmobilizuj przynajmniej pięciu Polaków spośród przywiezionych na roboty. Rozumiesz? Masz kontakt z tyloma ludźmi?

- Mam. Co mają robić?

- Czekać na mnie u ciebie w domu. Muszą to być ludzie pewni; nie wykluczam, że zdekonspiruję się przed nimi, jeśli Weiss jest nieczynny. -I dodał: -Ja dekonspi-ruję się tylko w sytuacjach ostatecznych. Podczas mojej służby zdarzyło mi się to właściwie raz. A teraz hasło i adres.

Zbliżał się do Dobrzyc. Szosę wypełniał znowu tłum uchodźców, spychany na pobocze przez samochody idące ze wschodu. Wiozły rannych. Wyprzedzali je motocykliści, a z rzadka tylko pojawiały się z kierunku zachodniego transportery pancerne. Kloss, lawirując w tym tłoku, podjeżdżał do skrzyżowania. Widział już Dobrzyce rozciągnięte na płaskiej równinie; dwóch żandarmów z trudem dawało sobie radę z ruchem. Uchodźców spychano na boczną drogę, kontrolowano ciężarówki wojskowe. Kloss wydobył z kieszeni rozkaz wyjazdu i zwolnił, gdy przejeżdżał obok żandarma, z którym wyklócał się własne jakiś jegomość w tyrolskim kapeluszu, dowodzący, że ma rodzinę w Döberitz.

- 148 pancerna! - krzyknął.

Żandarm spojrzał na niego, ale nie zdążył podnieść ręki. Kloss pomyślał, że numer pewno zapisał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dodał gazu i hamował już przy pierwszych domach miasteczka. Wydawało się dość puste. Obok ogromnego gmaszyska stały ciężarówki, na które policjanci i gestapowcy ładowali skrzynie.

Wyprowadzacie się - pomyślał Kloss - i nigdy tu już nie wróćcie. - Pomyślał także, że może wykonuje teraz ostatnie swe zadanie po tej stronie frontu.

Za rynkiem zaczynała się gmatwanina uliczek. Kloss na chybił trafił wjechał w najszerszą i stanął przy skrzyżowaniu. Należało jednak zapytać kogoś, gdzie jest ta przeklęta Bautzenstrasse! Zobaczył młodego chłopca w mundurze Hitlerjugend.

- Bautzenstrasse?

- Właśnie tu - odparł służbiście chłopak, wskazując na lewo.

Teraz należało zachować najwyższą ostrożność. Zakładał co prawda, że jeśli nawet Weiss wpadł, gestapowcy nie urządzili zasadzki w jego mieszkaniu, nie do tego im było, ale musiał przewidywać każdą ewentualność. Jechał wzdłuż wypalonych domów; z daleka dostrzegł, że numer

28 stoi na skrzyżowaniu z jakąś wąską uliczką. Skręcił w tę przecnicę i postawił motocykl pod zasłaniającym go od Bautzenstrasse murem. Nie zgasił silnika. Gdy stanął przed wejściem do domu, nie zauważył nic podejrzanego: żadnych patroli, samochodów. Pusta, wypalona ulica, na chodnikach resztki wyrzucanych w pośpiechu gratów, strzępy afiszów hitlerowskich na murach. Wszedł na pierwsze piętro; miedziana tabliczka z napisem „Hans Weiss”. Wydobył z kabury pistolet, odbezpieczył. Był teraz napięty, czujny, osiągnął ten stan, kiedy refleks zawodził go rzadko. Nacisnął dzwonek: dwa razy krótko, raz długo. Odskoczył natychmiast od drzwi i wyprężył się oparty o ścianę. Ten, kto stanie na progu, zauważy go dopiero po kilkunastu sekundach. Kilkanaście sekund czasu...

Drzwi otwarto gwałtownie. Kloss zobaczył młodego gestapowca z pistoletem w dłoni. Parę sekund wahania... Więc zasadzka! Kocioł!

- Co tam, Franz? - usłyszał głos z wnętrza mieszkania.

Strzelił. Nacisnął cyngiel w momencie, gdy gestapowiec go dostrzegł. Zwalił się bez jęku na posadzkę, a Kloss skoczył w dół. Ten drugi strzelił; kula przeszła nad głową Klossa, posypał się tynk. Odwrócił się na sekundę, zobaczył twarz tamtego, miał go na muszce, ale sturmbann-fuehrer, bo to był sturmbannfuehrer, uskoczył za framugę drzwi.

Widział mnie - pomyślał Kloss.

Siedział już na siodełku motocykla, gnał pustą przecnicą; teraz potrzebny spokój, myślał, należy wy dostać się z miasta, koniecznie inną drogą. Sturmbannfuehrer podniósł alarm, ile trzeba mu było czasu na uruchomienie pościgu? Trzy, cztery minuty... W mieszkaniu Weis-sa ma na pewno telefon; samochody już ruszają, jeśli oczywiście mają jeszcze dyspozycyjne wozy... Należy założyć, że mają... Wydali rozkazy posterunkom, zapewne proste: zatrzymywać motocyklistów. Może porzucić motocykl? Nie.

Stanął, zapalił papierosa, wyciągnął z kieszeni mapę. Uciekając nie należy zbyt się spieszyć - taką wyznawał zasadę. Spieszą się tylko amatorzy. Niepotrzebnie powiedział żandarmowi na szosie: 148 pancerna. Będą szukać w dywizji. Zresztą i tak szukaliby w dywizji, żadna inna jednostka nie stacjonuje w okolicy. Na dalszą metę może liczyć tylko na skuteczne natarcie naszych oddziałów, na bliższą - na znalezienie drogi, której nie zdążyli jeszcze obsadzić. Którędy? Była właściwie jedyna szansa: polna droga w kierunku lasu Weipert. Schował mapę, motocykl skoczył zbyt gwałtownie, po chwili mijał ulice miasteczka, wjechał w szeroką aleję, po obu stronach stały wille, już zapewne opuszczone, dostrzegł wątki lasu po prawej i łąki ciągnące się do szosy.

Na szosę zjadę już w lesie - pomyślał.

Motocykl i żandarma zobaczył nagle, gdy wyskoczył zza zakrętu; ściągnął kaburę na brzuch, odpiął, broń wyślizgiwała się z niej lekko. Czy żandarm otrzymał już polecenie? Niemożliwe, zawiadomili najpierw posterunki na szosach, z takimi nie mają łączności radiowej. Żandarm jeszcze nic nie wie, ale jeśli zażąda papierów, musi zginąć. Niemiec palił papierosa, automat miał przewieszony przez ramię. Dostrzegł motocykl Klossa w ostatniej chwili, nie zdążył podnieść ręki. Kloss widział go jeszcze kilkanaście sekund w lusterku, potem na polnej drodze podniósł się tuman

kurzu.

Należało jednak strzelić - pomyślał - ale gdybym strzelił, mieliby pewność, że tędy pojechałem... Żandarm nie mógł widzieć mojej twarzy, najwyżej numer... -Uśmiechnął się. Miał jednak szczęście, że zmienił tablice rejestracyjne.

Wjechał w las i pierwszą dróżką skręcił do szosy. Po paru minutach zobaczył białą od pyłu drogę, po której sunął nieprzerwany pochód uchodźców.

## 5

U Tomali już czekali. Kloss wstawił motocykl na podwórze i zanim zdążył zastukać, Tomala pojawił się w drzwiach. Weszli do ciemnego przedpokoju i stanęli obok siebie tak blisko, że Kloss czuł na twarzy jego oddech.

- Tam jest kocioł — powiedział sucho. Nie mógł go oszczędzać, nie umiał nawet pocieszać.

Tomala milczał. Kloss powoli przyzwyczajał się do ciemności; zobaczył oczy Tomali, potem stary otarł je rękawem.

- Oni czekają - rzekł.

- Ilu? - zapytał Kloss.

- Trzech. Dwóch nie udało mi się znaleźć.

-Pewni?

- Znam ich parę miesięcy. Wykonywali proste zadania, przynosili informacje. Jeden jest z Warszawy, dwóch z Kielc.

- Mówiłeś im coś?

- Nie. Tylko tyle, że czeka ich poważne zadanie. Są gotowi.

- W porządku, idiemy.

- Więc się zdekonspirujesz?

- Muszę. Posłuchaj... jeśli połączycie się z naszymi, a ja... a ja zostanę jeszcze po tej stronie frontu, tych trzech trzeba będzie odesłać głęboko na tyły i kto wie... może izolować do końca wojny... To twarda konieczność.

- Rozumiem twarde konieczności - powiedział Tomala.

Otworzył drzwi. Słońce, opadające już ku zachodowi, oświetlało pokój. Kloss stanął na progu, w słońcu i zobaczył tych trzech z literami „P” na bluzach, jak zerwali się z krzeseł, oniemieli i przerażeni. Jeden skoczył do okna, ale zatrzymał go rozkazujący głos Tomali:

- Stać! - i po chwili: - Zamknąć okno. Omówimy szczegóły akcji.

Kloss siadł na środku pokoju, poczęstował ich papierosami.

Wszyscy byli bardzo młodzi, najstarszy mógł mieć niewiele ponad dwadzieścia lat.

- Edward Sasik - przedstawił się. - Z Warszawy.

- Co robiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Trochę w warsztacie ślusarskim.

- W konspiracji?

- Przez dziesięć miesięcy - oświadczył z dumą. - Pracowałem w wytwórni.

- Jakiej wytwórni?

- Jak to jakiej? Broń robiliśmy.

Dwaj młodszy pochodzili z jednej wioski, Tomek Pakuła i Bolek Skałka. Nie wychylali nosa poza tę swoją Kielecczynę; dopiero teraz przygnano ich tutaj. Otaczali Klossa ciasnym kołem; widać było z ich twarzy, że chcieliby pytać... Nie ośmielili się, a Kloss nie zamierzał wyjaśniać czegokolwiek...

- Akcja jest niebezpieczna - powiedział. - Możecie zginąć lub wpaść w ręce wroga. Jeśli któryś z was chciałby się wycofać, może zrobić to jeszcze teraz.

Milczeli.

- O czwartej rano nieco na zachód od lasu Weipert lądują nasi spadochroniarze. Osiemnastu ludzi, którzy mają wykonać zadanie niezmiernie ważne dla powodzenia natarcia: uniemożliwić Niemcom wysadzenie mostu na Redze i utrzymać przyczółek mostowy do chwili przełamania frontu i nadejścia naszych czołgów. Powinni dotrzeć nad rzekę około szóstej rano. — Urwał. — Wy ich przeprowadzicie przez las Weipert. W lesie tym stacjonuje niemiecki pułk pancerny.

-Jak chcesz tego dokonać? - zapytał Tomala. Nie znał jeszcze planu Klossa.

- Istnieje tylko jeden sposób. Przeprowadzić ich jako grupę polskich jeńców. .Kto z was zna niemiecki? -Oprócz Tomali po niemiecku umiał trochę Sasik.

- Ryzykowne - powiedział Tomala - bardzo ryzykowne. Jakby Kloss nie wiedział! Ale czy istnieje inne wyjście? Kto w sytuacji frontowej prowadzi jeńców w kierunku pierwszej linii? Powiedzą oczywiście: do sztabu dywizji. Czy posterunki w lesie Weipert uwierzą? Czy nie zażądamy dokumentów? Czy jakiś czujny gestapowiec nie podniesie słuchawki telefonu?

Kloss usiłował wyobrazić sobie tę drogę wśród ukrytych w lesie dział drugiego rzutu. Jakiemu Niemcowi przyjdzie do głowy, że ktoś ważył się na plan tak niesłychanie śmiały?

- Jest szansa, że to się uda. Spora szansa - dodał.

Tomala wzruszył ramionami. Twarz miał nieruchomą, wydawało się, że przestał dostrzegać Klossa i chłopców.

- Gdyby nie było żadnej szansy - powiedział - też bym poszedł. A niemieckie mundury? — zapytał nagle.

- Broń jakąś masz?

- Są dwa automaty w schowku i jeden pistolet.

- Powinno starczyć. Mundury trzeba zdobyć w polowym magazynie dywizji. I jakiś wózek, którym dowieziecie przynajmniej pięć kompletów na miejsce zrzutu. Tych, którzy umieją choć parę słów po niemiecku, przebierzecie.

-Magazyn... mundury... Jak chcesz to zrobić?

„Jak chcesz to zrobić?” - Kloss siedział nieruchomo na krześle i czuł ogarniające go zmęczenie. To był istotnie wariacki plan. A na przygotowania pozostały dosłownie liczone minuty.

- Magazyn mundurowy - powiedział - mieści się na bocznej uliczce, już pod lasem. Pilnuje go jeden wartownik. Sztuka polega na tym, by nie trafić na zmianę warty - spojrzął na zegarek. Ile mógł mieć jeszcze czasu? Był przekonany, że gestapowcy z Dobrzyc zjawią się w sztabie dywizji. Może najpierw będą szukać w pułku i w mieście? Jeśli przyjedzie ten, który go widział na klatce schodowej, powrót do sztabu stanie się zwykłym szaleństwem. „Przekroczeniem granic dozwolonego ryzyka” — jak pięknie mówią w centrali. A jednak musiał wrócić. Musiał przekroczyć tę granicę. Pomyślał, że w ciągu czterech lat służby ani razu nie ratował się ucieczką. Wytrwa do końca.

Chłopcy czekali. Czy mieli dość wyobraźni, by zdać sobie sprawę ze wszystkich trudności akcji? Jak dotrą na zachodni skraj lasu Weipert? Muszą przejść nocą, pchając przed sobą wózek z kompletami niemieckich mundurów i udawać uchodźców, a może lepiej patrol wojskowy? Potem skręcić w las, możliwie najdalej na zachód. Czekać...

Wstał.

- Idziemy - powiedział. - Na końcu Koburgstrasse znajduje się niewielki zagajnik. Wiecie, gdzie to jest?



- Tak - powiedział Tomala.

- Ja podjadę motocyklem. Wtedy wy...

Mundurowy magazyn dywizji był, jak zwykle w wa-dunkach polowych, prowizoryczny. Ogromny namiot otoczony niskim ogrodzeniem z drutu kolczastego. Napis: „Wstęp wzbroniony”. Wartownik w hełmie przechadzał się drogą prowadzącą od Koburgstrasse wzdłuż lasu. Traktował tę służbę na tyłach, jak wszyscy żołnierze frontowi w podobnych sytuacjach, nieco wypoczynkowo. Podjeżdżającego Klossa zdążył zobaczyć jednak dostatecznie wcześniej, by wypluć papierosa i zdusić go butem.

Kloss zatrzymał motocykl, nie gasząc silnika. - Palicie na służbie!... - ryknął.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie...

W tej chwili zza drzew wybiegł Sasik. Żandarm, wlepiając wzrok w Klossa, nie mógł go dostrzec. Parę sekund... Kloss zwiększył gaz i ryk silnika zagłuszył krzyk Niemca.

W namiocie było ciemno. Latarka Klossa oświetliła sterty porządnie poukładanych mundurów.

- Bluzy, spodnie, czapki, płaszcze. Nie zapomnijcie o pasach. Tomala, znajdź płaszcz z naszywkami feldfebla. Taki, co pasuje... Ty będziesz dowodził. Śmiałość... Bądźcie śmiali, na pytania odpowiadajcie krzykiem.. Mamy za mało czasu, żeby wykombinować jakieś papiery. Musi się udać. Pamiętajcie: musi się udać...

Przymierzali płaszcze, gmerali w stertach czapek.

- Szybciej! To powinno wyglądać na rabunkowy napad bandycki. Zanim meldunek dojdzie do sztabu dywizji, minie parę godzin. Możecie być spokojni, nie zdążą uprzedzić patroli w lesie Weipert. Nie przyjdzie im to do głowy.

Nareszcie! Poszli od razu skrajem lasu w kierunku szosy. Kloss skoczył na siodełko i łąką dotarł do ulicy równoległej z Koburgstrasse. Zmierzchało już powoli, na wschodzie trwała cisza; ta cisza wydawała się groźniejsza, niż ciągły pomruk dział, do którego zdążyli już przywyknąć. Jutro rano, gdy desant wylądował na zachód od lasu Weipert, rozpocznie się jeszcze jedno podczas tej wojny przygotowanie artyleryjskie, żelazny deszcz mszczący umocnienia, prasujący okopy, ogłuszający, wgniatający w ziemię... Potem pójdzie piechota, ruszą czołgi. Ale do jutra rana pozostało jeszcze sporo godzin, które trzeba przeżyć, w ciągu których zdecyduje się los mostu na Redze, czyli szybkość natarcia...

Dojeżdżał już do sztabu. Minał wrota prowadzące na podwórzec pałacowy, znający go wartownik zsalutował i w tym momencie Kloss przypomniał sobie o tablicach rejestracyjnych. Zapomniał je zmienić... Więc jednak popełnił ten głupi błąd! Więc jednak każdy popełnia w końcu błąd! Zawrócić? Za późno: zobaczył z daleka kapitana Koellerta, który zeskoczył z motocykla, machnął mu rękę i ruszył do pałacowego wejścia. Kloss jednym spojrzeniem ogarnął podwórzec. Dostrzegł czarnego „Mercedesa” przed wejściem.

Są, zdążyli przede mną - pomyślał. Pusto było jedynie przy bocznej ścianie prawego skrzydła; ściana nie miała okien, tylko poniżej poziomu podwórka wąskie szczeliny piwniczne. Kasyno! Musiał ryzykować. Zatrzymał motocykl przy samej ścianie, zerwał tablice. Rozejrzał się. Co z nimi zrobić, nie mógł ich przecież zabrać ze sobą! Zgiął je, wcisnął w ziemię niedaleko ściany, wdeptał butem. Nie dostrzegł Słmone, która przyglądała mu się uważnie przez wąskie okienko kasyna.

## 6

Dwaj sturmbannfuehrerzy z Dobrzyc: Knoch i Len man, zjawili się w sztabie kilkanaście minut przed przyjazdem Klossa. W ciągu paru godzin zrobili wszystko, co możliwe, by znaleźć mężczyznę występującego w oficerskim mundurze Wehrmachtu, któremu udało się wywinąć z kotła i zabić gestapowca Fritza Schalbe. Obaj rozumieli, że stawka jest wysoka, że wpadli na ślad niebezpiecznego przeciwnika, najprawdopodobniej agenta wroga noszącego niemiecki mundur. Śledztwo w Dobrzy-cach zajęło im sporo czasu. Pierwszych, co prawda dość -wątłych, danych dostarczył chłopak z Hitlerjugend, na którego Knoch natknął się na rogu Bautzenstrasse.

- Nie widziałeś matocyklisty w oficerskim płaszczu?

Widział. Wskazał ulicę, nie był jednak pewien stopnia wojskowego i nie zwrócił uwagi na numer. Był natomiast pewien, że motocyklista przejeżdżał obok niego tylko raz.

Należało wypytać wszystkie posterunki na szlakach wylotowych. Zmieniały się często; Knoch i Lehman musieli rozmawiać z kilkunastoma żandarmami. Oczywiście bardzo niewiele wykonywało polecenie notowania numerów, „Rozkaz nie był zbyt wyraźny - tłumaczyli się. -Właściwie chodziło tylko o podejrzanych.”

- Podejrzanych należy zatrzymywać! - ryczał Knoch.

Oczywiście widzieli wielu motocyklistów. Lehman notował informacje, z których nic nie wynikało. Dopiero dwa meldunki: posterunku z szosy idącej ze wschodu, z Forburga, i traktu z Döberitz do lasu Weipert, wniosły, wydawało się, nieco światła.

Żandarm z szosy wschodniej widział motocyklistę, który z daleka pokazał mu rozkaz wyjazdu i krzyknął „148 pancerna”. Żandarm z traktu zauważył najprawdopodobniej tego samego oficera, który nie zatrzymał się w ogóle.

- Jak to nie zatrzymał się? - ryczał Lehman. - Pójdziecie pod sąd.

Obaj zapamiętali tylko niektóre cyfry numeru: 3, 8 i najprawdopodobniej 7. Było to już jednak sporo.

Posłali natychmiast gestapowców do wszystkich pułków 148-ej, z ogromnym zresztą trudem zdołali zmontować ekipy — ludzie rwali się na zachód; jazdę na wschód traktowali jak wyrok- sami zaś ruszyli do sztabu. Przyjął ich niezbyt chętnie generał Pfister. Wyjaśnili dokładnie sprawę, ale nie

zdołali wywołać zbytniego zainteresowania generała.

- U mnie w dywizji - powiedział stary Prusak - nic takiego nie mogło się zdarzyć. Znam swoich oficerów.

- Jednak się zdarzyło - oświadczył ostro Knoch. - Motocykl był z całą pewnością ze 148-ej. Mamy niektóre cyfry numeru: 3, 8, 7.

- To sobie szukajcie. Ja mam front na głowie!

- Czy pan generał uważa, że powinniśmy się zwrócić do dowódcy frontu reichsfuehrera Himmlera? - zapytał szeptem Knoch.

Pfister zmiękł. Wezwał oficera dyżurnego i kazał mu wymienić oficerów, którzy w ciągu ostatnich godzin korzystali z motocykli służbowych. Notatki oficera były dokładne: kapitan Koellert, kapitan Kloss, porucznik Walter, hauptsturmfuehrer Kussau.

- Kussau nas nie interesuje - oświadczył natychmiast Knoch. - Natomiast pozostałych zechce pan generał wezwać tutaj.

- Wezwę wszystkich - powiedział sucho Pfister. - Jeśli oni są podejrzani, Kussau będzie traktowany tak samo. Za godzinę - dodał. - Teraz nie mam czasu. Mogą panowie zjeść kolację.

Poszli najpierw obejrzyć motocykle. Kloss widział ich wychodzących od generała; poznał natychmiast Knocha i właściwie w tym momencie powinien był opuścić sztab. Jaką miał szansę? Na co jeszcze liczył? Poczęstował oficera służbowego papierosem i zszedł na dół, do pustego kasyna.

Może jednak Knoch go nie pozna? Widział jego twarz parę sekund, Kloss był wówczas w hełmie i wielkich motocyklowych okularach, trudno o jakąkolwiek pewność. Musi ryzykować, nie wolno mu teraz uciekać, musi dotrzeć do chwili, gdy chłopcy z desantu rozpoczną walkę o przyczółek i ruszy natarcie.

Simone stała przy barze.

- Koniak? - zapytała obojętnie. - Kolacja?

- Jeżeli można, koniak. Zjem coś później.

Postawiła przed nim kieliszek.

- Później? - zapytała. - Sądzi pan, że będzie jakieś „później“?

- Nie rozumiem.

- Oficer dyżurny powiedział mi, po co przyjechało tu gestapo z Döberitz.

- Naprawdę? - Kloss spokojnie pił koniak. - Więc po co?

- Nie wie pan?

-Jeszcze nie.

- Podziwiam pana zimną krew — szepnęła. — Kim pan właściwie jest?

- Znamy się dość dawno, Simone.

- Ktoś zabił gestapowca w Döberitz. Ten ktoś jechał motocyklem. Szukają go. Gdyby dowiedzieli się, że pewien oficer zmieniał tablice rejestracyjne po przyjeździe do sztabu, zapewne nie mieliby żadnych wątpliwości - Powiedziała to swoją paryską francuszczyzną. Więc widziała go!

- Interesujące - odstawił pusty kieliszek. -I co dalej?

- Ten oficer nie był zbyt ostrożny. Wdeptał tablice w ziemię tuż pod moim oknem. Mogłabym je pokazać, numer zresztą pamiętam: 3837. Zgadza się?

Milczał.

- Niech pan coś powie!

Wzruszył ramionami.

- Nie mam nic do powiedzenia. Co pani chce zrobić, Simone?

- Nic mnie nie obchodzi ta wasza wojna - szepnęła -ale jak pan sądzi, czy taka informacja byłaby wystarczającą zapłatą za życie Rolfa?

Milczał.

-No, jak pan sądzi? Życie za życie. To się liczy, prawda?

Wstał. Prosić? Przekonywać? Wyjaśniać, że nic nie uzyska? Spojrzał na jej twarz. Oczy miała podkrążone, wargi nie pociągnięte szminką, spierzchnięte.

- A potem? - zapytał. -Jak z tym można żyć potem?

W tej chwili dobiegł ich szum motorów, bliski wybuch wstrząsnął murami zamku.

- Są - szepnęła. - Nieźle poinformowani, prawda?

A jeśli ją zastrzelić? - myślał. - Nie, nie zastrzelę jej.

Usłyszał kłapanie drzwi wejściowych; na progu stał sturmbannfuehrer Knoch. Jeszcze bliższy wybuch; brzęk tłuczonego szkła.

Knoch popatrzył na Klossa, potem sięgnął do kabury.

- To ty! - wrzasnął. - Ręce...

Nie zdążył nic więcej powiedzieć. Kloss był szybszy. Strzelił dwa razy. Knoch zwałił się na podłogę. Kloss podbiegł do niego; gestapowiec nie żył. Oba strzały były celne. Simone znieruchomiała przy barze, dłonią zasłoniła usta, jakby zmuszając się do milczenia.

Z kasyna pobiegł jeszcze na górę; w pokoju miał ukryte parę przedmiotów, których nie powinni znaleźć. Nie wywołany film, szyfr, miniaturowy aparat fotograficzny... Potem trzeba jakoś przejść Regę.

Był już na pierwszym piętrze, gdy zastąpił mu drogę oficer służbowy.

- Generala pana wzywa.

- Będę za pięć minut - powiedział Kloss. - Nie. Generala się niecierpliwi. Powiedział, że to bardzo pilne.

- Dobrze. Za chwilę...

Z korytarza wynurzył się sam Pfister.

- Proszę do mnie, Kloss.

Stało się - pomyślał i poszedł za generałem. W gabinecie było przytulnie i cicho. Pfister zapalił papierosa, nie częstując kapitana.

- Za chwilę — powiedział — będą tu wszyscy. Śledztwo prowadzi sturmbannfuehrer Knoch z Döberitz. Jak pan sądzi, czy to prawdopodobne, żeby któryś z naszych oficerów...

Kloss milczał.

-Jutro, najdalej pojutrze zacznie się natarcie - ciągnął Pfister. — Nie mogę pozwolić na żadne nieporządki w sztabie. Rozumie pan?

-Tak.

- Dlatego też postanowiłem, że z ramienia sztabu pan weźmie udział w prowadzeniu śledztwa. Zakomunikuję to Knochowi.

-Jestem wśród podejrzanych.

- Bzdura - powiedział Pfister. -Jest pan oficerem naszego kontrwywiadu.

Na progu stanął adiutant.

- Oficerowie czekają, panie generale.

- Prosić.

Kloss, nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa. Już na wszystko za późno. Sprawdził językiem, czy kapsułka z trucizną tkwi na swoim miejscu między zębami. Ostatecznie powinien być na to przygotowany; wcześniej czy później musiało się tak skończyć. Odznaczą pośmiertnie - pomyślał - ale w oficjalnym komunikacie nie powiedzą nawet „za co”. O nas się nie mówi.

Weszli. Pierwszy Lehman, za nim wszyscy ci, którzy korzystali w ciągu ostatnich godzin z motocykli: Koel-lert, Kussau, Walter... Kussau był wyraźnie pijany, na twarzy zastygł mu uśmiech, z trudem trzymał się prosto.

- Gdzie jest Knoch? - zapytał generał.

- Zjawi się lada chwila - odpowiedział Lehman. - Posłałem już mojego człowieka...

- Niech pan zaczyna — Pfister niecierpliwie spojrzał na zegarek. - Aha... I z mojego ramienia w śledztwie weźmie udział kapitan Kloss. Będzie mnie informował o rezultatach.

- Jak pan generał sobie życzy - oświadczył obojętnie gestapowiec. - Chciałbym jednak stwierdzić, że kapitan Kloss jest jednym z tych...

- Niech pan już zaczyna - przerwał generał.

- Wolałbym poczekać na Knocha. On widział tego człowieka.

- Mam zbyt mało czasu. - Pfister usiadł za biurkiem.

- Proszę, niech każdy z panów wymieni trasę, jaką dziś przebył - powiedział gestapowiec.

- Byłem w lesie Weipert - pierwszy odezwał się Kloss.

- A ja sobie jeździłem po jednostkach. - Kussau rozstawił szeroko nogi. - Zrobiłem mnóstwo kilometrów, dlatego jestem zmęczony.

- Proszę ściślej... - wtrącił Pfister. Kussau nie zdążył jednak odpowiedzieć. Do gabinetu wbiegł gestapowiec, jeden z ludzi Knocha.

- Panie generale, sturmbannfuehrer Knoch nie żyje!

Generał zerwał się z miejsca.

- Jak to nie żyje? Podczas nalotu?

- Nie, panie generale. Zastrzelony w kasynie.

- Proszę za mną - powiedział Pfister.

Żadnej szansy ucieczki... W hallu gromadzili się już oficerowie sztabu dywizji, tworząc szpaler, którym szedł generał ze swoją świtą. Lehman obok Klossa, kapitan czuł na sobie nieustannie uważne spojrzenie gestapowca.

Na podłodze kasyna leżał Knoch. Lekarz sztabowy pochylał się jeszcze nad nim. Na widok generała stanął na baczność.

- Śmierć nastąpiła przed kilkunastoma minutami, panie generale - zameldował. - Dwa strzały. Oba w okolice serca.

Kloss dopiero w tej chwili zobaczył Simone; stała ciągle przy barze, a obok niej mężczyzna w czarnym mundurze. Powiedziała już? Nie, chyba nie.

Gestapowiec wyprężył się.

- Ona musiała widzieć mordercę, panie generale.

- Zeznała?

- Oświadczyła, że powie w obecności pana generała.

- Więc niech mówi - Pfister nie spojrzał nawet na Simone. Wydawało się, że nie dostrzega jej obecności. Dziewczyna podbiegła do generała.

-Panie generale...

- Więc kogo pani widziała? - mruknął niechętnie. Obok niego stał Lehman i patrzył na Simone jak myśliwy na łatwą zdobycz. Nieco z boku Kussau, za nim Koellert i Walter, a przy oknie, osobno, Kloss... Co zrobić, gdy powie? - Oczywiście - strzelać. Najpierw Lehman, potem Kussau. Przynajmniej... drogo sprzedać... drogo sprzedać...

Trwało milczenie.

- Panie generale - powiedziała wreszcie Simone - proszę o obietnicę darowania kary Rolfowi Kahlertowi. Zznam wszystko, co wiem..

- Niech pan obieca, generale - szepnął Lehman.

Pfister wyprostował się i spojrzał chłodno na dziewczynę.

- Nic pani nie mogę obiecać - warknął. - Porucznik Kahlert został rozstrzelany przed paroma godzinami.

Zdawało się, że upadnie. Patrzyła na hauptsturmfuehrera Kussau, potem spojrzała na Klossa.

- Rozstrzelano go - powtórzyła. - Nie żyje...

- Kto zabił Knocha? - Lehman podniósł głos niemal do krzyku.

- Powiem — krzyknęła nagle Simone — oczywiście, że powiem. Myślicie, że będę milczała? Myślicie, że nie wskażę mordercy? To on, panie generale. - Całą ręką, całą postacią wskazała hauptsturmfuehrera Kussau. - Niech teraz płaci! Byłam tutaj...

Kussau, ciągle chwiejący się na nogach, wyszarpnął pistolet z kabury.

- Kłamiesz! - ryknął. Strzelił nie celując. Walter i Koellert natychmiast wyrwali mu broń z ręki, ale strzał był celny. Simone osunęła się na podłogę... Lehman i lekarz pochylali się już nad nią, Pfister nawet nie spojrział.

- Kussau - szepnęła Simone.

- Nie żyje - lekarz zamknął jej oczy.

Lehman sięgnął do fartuszka dziewczyny. Z kieszeni wydobył zgięte tablice rejestracyjne.

- To te tablice - powiedział.

- Wy jej wierzycie? - Kussau usiłował wyrwać się z rąk Koellerta i Waltera. - To ona była bolszewickim szpiegiem, to ona... pewno zabiła Knocha...

- I jechała dzisiaj motocyklem, co? - szepnął ironicznie Lehman. - Dałeś jej do schowania tablice rejestracyjne. Współpracowała z tobą!

- Lehman, oszalałeś! - wył Kussau.

- Kussau spędził z nią ostatnią noc - powiedział kapitan Koellert.

- Dosyć! - generał nie podnosił głosu. - Zabierzcie go - rozkazał - i przesłuchajcie. Sąd polowy dywizji wyda wyrok. Śledztwo prowadzić, jak powiedziałem...

Kloss i Lehman zostali sami w kasynie.

- Przesłuchamy go razem - powiedział Lehman. - To będzie bardzo długo trwało, Kloss, bardzo długo, bo musimy dowiedzieć się wszystkiego.

Kloss nie słuchał. Patrzył na ciało Simone. Za chwilę je także zabiorą.

Samoloty nadleciały wcześniej, niż przewidywali. Czekali na zachodnim skraju lasu Weipert, ukryci w kępie krzaków. Łąki i nieużytki ciągnęły się stąd aż do Dobrzyc, równinna, pusta płaszczyna, przecięta gdzieś wąskimi pasmami drzew lub wysepkami krzaków. Czy



wylądują, jak planowano? A jeśli wiatr znieśli spadochrony na wschód, na las, gdzie stacjonował niemiecki pułk pancerny, albo na północ do szosy patrolowanej nieustannie przez żandarmów? Gdy udało im się tu przedostać, uwierzyli w powodzenie akcji. Przewieźli mundury na wózku, idąc poboczem szosy, a potem skrajem lasu. Nikt ich nie zaczepił; tłum uchodźców gęstniał z każdą godziną, stanowiąc znakomitą osłonę. Ale wiedzieli, że droga powrotna będzie znacznie trudniejsza: musieli przeprowadzić „jeńców” wzdłuż niemieckich stanowisk. Dotarcie do szosy i potem znowu szosą w kierunku przeciwnym niż fala uchodźców byłoby jeszcze niebezpieczniejsze. Zresztą na tę drogę nie mieli czasu, szosą było o parę kilometrów dalej, a oni musieli uchwycić przyczółek mostowy w momencie, gdy ruszy natarcie.

Tomala rozdał latarki, trzy krótkie sygnały świetlne miały wskazywać spadochroniarzom pozycje czekających.

Samoloty krążyły nad lasem i szosą, a po chwili usłyszeli wybuchy bomb. Zobaczyli pożar, który nagle oświetlił las, usłyszeli serie karabinów maszynowych i trzaskanie działek przeciwlotniczych. Na zachodzie wstała łuna, ogarniając coraz szerszą połać nieba; paliło się w Dobrzycach.

Dopiero po paru minutach zobaczyli czasze spadochronów powoli opadające na ziemię. Desant lądował przy akompaniamencie wybuchów, w centrum okalających ich coraz gęściej pożarów. Lądował niemal dokładnie w przewidywanym miejscu. Ujrzeni światła latarek, błyskały w rozmaitych punktach łąki, zapalały się i znikaly coraz częściej i coraz bliżej siebie. Wybiegli z krzaków; za chwilę zobaczą żołnierzy stamtąd. Powtórzyli swoje sygnały świetlne... Z daleka dochodziły jeszcze wybuchy, zagrał krótką serią karabin maszynowy, potem nastąpiła cisza...

Żołnierze desantu wyrosli przed nimi nagle: ujrzeni najpierw trzech ludzi z automatami gotowymi do strzału. Dalej, na łące, ktoś jeszcze wyplątywał się z czaszy spadochronowej.

Tomala stał wyprostowany, milczący; nie mógł oderwać wzroku.

- Kim jesteście?

- „Liść dębu” - powiedział Tomala.

Tamci opuścili automaty. Młody mężczyzna w hełmie, z mapnikiem na piersi, podszedł do Tomali.

- Porucznik Kozuch - przedstawił się - dowódca grupy - wyciągnął rękę.

Tomala stał wyprostowany, milczący; nie mógł oderwać wzroku od płaszcza, od hełmu z białym orłem.

- Nie myślałem, że doczekam - szepnął. Potem opanował się natychmiast. Precyzyjnie wyjaśnił sytuację. Porucznik słuchał w milczeniu, nieco nieufnie.

- Mówiono nam, że las Weipert jest czysty - spojrział jeszcze raz na mapę.

- Był. Nie zdołaliśmy już skontaktować się z wami i zaproponować innego miejsca lądowania.

- Nie mam wyboru - powiedział porucznik. Spadochroniarze gromadzili się już wokół nich. Sprawdził: cała grupa wylądowała. Osiemnastu ludzi...

- Kto zna niemiecki?

Wystąpili: żołnierz ze Śląska i maturzysta z Lublina. Chłopcy Tomali przynieśli mundury. Sasik i Skałka oraz dwóch spadochroniarzy miało stanowić eskortę. Tomala zapiął starannie wehrmachtowski płaszcz; leżał na nim znakomicie.

- Chłopcy - powiedział porucznik - zdjąć pasy. Pasy i automaty schować pod płaszczami. Granaty do kieszeni. Jeżeli zajdzie potrzeba, strzelam pierwszy.

Ruszyli. Prosto na las Weipert; porucznik spojrzał na zegarek.

- Dwie godziny - mruknął - powinniśmy zdążyć.

Terenowy wóz zaskoczył ich nagle, jeszcze na łące, zanim dotarli do traktu przez las. Błysnęły reflektory, oświetlając Tomalę i dwóch chłopców z eskorty. Silnik jęknął na wysokich obrotach i stanął. Oficer SS ze szpicrutą w ręku wyskoczył z samochodu. Tomala krzyknął „Stój!” i zameldował. Służył kiedyś w wojsku kajzera, jego meldunek był wzorowy.

- Odprowadzacie do sztabu dywizji - powtórzył oficer SS. - A skąd?

- Specjalna grupa dywersyjna - powtarzał Tomala słowa, których przed paroma godzinami nauczył go Kloss. - Schwytano ich na północny wschód od Döberitz. Z dywersyjnego desantu...

Oficer SS oglądał ich nieufnie. Coś mu się jednak nie podobało, coś wzbudzało jego czujność. W wozie pozostał tylko kierowca, podchodził do niego właśnie żołnierz ze Śląska.

SS-man szedł wzdłuż grupy jeńców. Stanął przed porucznikiem.

-Oficer?

Porucznik milczał.

- Odpowiadać!

- Nie rozumiem po niemiecku.

SS-man zerwał mu z ramienia mapnik. Otworzył. Błysnął latarką. Zobaczył las Weipert i zaznaczony niebieskim ołówkiem jego zachodni skraj.

- Co to znaczy?

Porucznik milczał.

- Ktoś mógłby tłumaczyć? - ryknął.

Obok SS-mana wyrósł Sasik. Niemiec oświetlił go latarką. Zobaczył automat Sasika.

- Nosicie rosyjską broń?

Sasik nie zrozumiał pytania.

- Odpowiadać!

- Ja nie wiem — odrzekł chłopak po niemiecku. Było to jedyne zdanie w tym języku, którego był zupełnie pewien.

-Wasze papiery- zwrócił się Niemiec do Tomali. Przesunął kaburę na brzuch, rozglądał się niespokojnie. Teraz nie mieli już wyboru. Porucznik podjął decyzję; nie wyjmując ręki z kieszeni, strzelił do Niemca. Chłopak ze Śląska uderzył kolbą kierowcę. Zapadła cisza...

- Mieliśmy szczęście - powiedział porucznik - bo oni byli sami. Ale tam?

Tomala wzruszył ramionami.

- Musimy ryzykować. To nasza jedyna szansa.

Poszli. Wijąca się, piaszczysta droga wiodła przez las. Na polanach widzieli namioty. Zarysy maszyn i ciemne sylwetki ludzi. Nikt nie palił tu ognisk. Pod drzewami chodzili wartownicy, obrzucając ich uważnymi spojrzeniami. Spadochroniarze starali się nie patrzeć... Rękoma zanurzonymi w kieszeniach płaszczy, które bez pasów wisiały na nich jak worki, obejmowali chropawe powierzchnie granatów... Wydawało się, że ta droga nigdy się nie skończy. Wdrapywali się na piaszczyste wzgórza, zanurzali w coraz głębszą gęstwinę, mijali ciężarówki i samochody osobowe... Porucznik, idąc za Tomalą, starał się zapamiętać wszystko; żadnych umocnień - myślał - nie zdążą się rozwinąć...

Jakiś oficer w płaszczu Wehrmachtu podszedł do Tomali.

- Co to za zbieranina?

- Polacy. Jeńcy, panie oberleutnant.

- Dokąd? Na pierwszą linię? Zwariowaliście?

- Do sztabu dywizji.

-Wykończcie ich tutaj.

- Mam rozkaz: odprowadzić do sztabu - ryknął Tomalą.

Oficer wzruszył ramionami i odszedł. Wlekli się dalej, porucznik coraz niespokojniej spoglądał na zegarek, na wschodzie trwała cisza, ale on wiedział, że gdy minie kilkadziesiąt minut... Mieli przed sobą jeszcze spory kawał drogi przez las Weipert, wzdłuż stanowisk pułku pancernego...

Wyście naprawdę oszaleli! — twarz kapitana Kussau pokrywał gęsty pot. - To nie ja, nie ja, rozumiecie?

Szpieg jest na wolności - z trudem chwycił oddech. - A wy mnie tutaj...

Lehman uderzył go w twarz. Kussau zwałił się ze stołka; po chwili z trudem podnosił się z podłogi. W rozdartej na piersiach koszuli, z krwią na wargach wyglądał strasznie. Przez kilkanaście sekund Kloss sądził, że rzuci się na Lehmana; ale on usiadł z powrotem na stołku i dyszał ciężko.

- Powiesz? - zapytał Lehman. - Jeśli powiesz, masz jeszcze szansę. Od kiedy jesteś na ich służbie?

Kussau milczał.

- Sprawdź, gdzie byłem po południu - szepnął wreszcie.

- Powiedziałeś sam, że pod Döberitz.

- U starego przyjaciela leśnika...

- On jutro wyśpiewa wszystko - powiedział Lehman.

- Dureń! - wrzasnął Kussau. - Przeklęty idiota!

Lehman znowu uderzył, Kussau potoczył się aż pod drzwi i nie wstawał długo. Macał rękoma powietrze jak ślepiec.

Kloss spojrział na zegarek. Powinni już być! Powinien ich za chwilę zobaczyć przez okno wchodzących na dziedziniec. Ochronę sztabu zlikwidują bez trudu. Nie wolno dopuścić, by Pfister zdążył wydać rozkaz wysadzenia mostu... Muszą zdjąć posterunki wcześniej i utrzymać przyczółek nad Regą... Jak długo? Nie sądził, by opór pierwszej linii niemieckiej za rzeką mógł być zbyt twardy... A jeśli nie przeszli przez las Weipert?

- Kloss - powiedział Lehman - ta świnią nie chce się do niczego przyznać. Myślę, że ciągle nie rozumie, co go czeka. A powinien wiedzieć...

- Idiota, przeklęty idiota! - wybełkotał Kussau.

- Teraz ty - oświadczył Lehman. - Zmęczył mnie.

Wtedy Kloss ich zobaczył. Wchodzili właśnie na dziedziniec. Tomala zamienił parę słów z

wartownikiem, potem zatrzymał grupę niedaleko pałacu. Kloss dostrzegł wysokiego mężczyznę, w którym natychmiast rozpoznał oficera; rozglądał się ciekawie, pokazał wzrokiem dwóm stojącym obok niego posterunek niemieckiego kaemu. Za chwilę - pomyślał Kloss. Tomala rozdzielił grupę; pięciu z jednym „wartownikiem” ruszyło w kierunku pałacu. To nie wzbudziło jeszcze podejrzeń...

- Kloss — powiedział Lehman — zaczynaj wreszcie...

W tej chwili do grupy „jeńców” podszedł kapitan Koellert, pełniący właśnie służbę w sztabie. Zwrócił się do „wartownika”.

Już - pomyślał Kloss.

Polski oficer wyrwał pistolet spod płaszcza, strzelił. Wtedy zaczęło się piekło... „Jeńcy” wydobywali automaty... Zanim niemiecki kaemista zdołał się zorientować, granaty zniosły jego stanowisko. SS-mani z ochrony sztabu bronili się z za ciężarówek, z sieni pałacu wybiegali oficerowie nie orientujący się jeszcze w sytuacji i ginęli pod celnymi strzałami. Porucznik z grupą żołnierzy szturmował już okna.

- Polacy! - ryknął Lehman. - Zdrada!

Kussau, siedzący dotąd spokojnie na krzeselku, zerwał się i skoczył do okna; spojrzał w dół, z wysokości pierwszego piętra, na podwórze, na którym bronili się SS-mani, i zanim Lehman zdołał się zorientować, porwał jego pistolet leżący na stole i runął w dół.

- Stój, Kussau! — ryknął Lehman. — Kloss, strzelaj!

Kussau wstawał już na dole z ziemi; wyglądał strasznie; twarz miał zakrwawioną, podarta w strzępy koszula nie okrywała ciała. Strzelił do biegnącego spadochroniarza, nie trafił i po chwili runął przecięty celną serią automatu.

- On jednak — powiedział Lehman — on jednak nie zdradził... więc kto?

Kloss wybiegł z pokoju. Na korytarzu było pusto, na dole jeszcze strzelano, żołnierze z desantu zdobywali już hali. Gabinet generała był na drugim końcu korytarza; gdy Kloss dobiegał do drzwi, pałac nagle drgnął, szyby pękły, potworny, nieustający grzmot szedł ze wschodu.

Zaczęło się! Natarcie!

Pchnął drzwi do gabinetu generała. Pfister siedział przy biurku nieruchomy, skamieniały, jakby wszystko, co działo się na dole i wokół niego, w ogóle go nie dotyczyło. Kloss stał na progu, ciężko dysząc.

- Proszę się zameldować, Kloss - powiedział generał.

Wypowiedział słowa meldunku. Dawno nie przeżył nic równie idiotycznego. Pomyślał, że najważniejsze teraz: nie dopuścić, by Pfister zatelefonował do Vogla i wydał rozkaz wysadzenia mostu. Jeśli Tomala nie zdąży, nie zjawi się tu za chwilę, a ustalili, że to właśnie on wdrze się do

pokoju generała, Kloss będzie musiał sam uniemożliwić Pfisterowi wydanie rozkazu. Wojna trwa! Kloss nie powinien się dekonspirować, ale bywają sytuacje...

- Desant - powiedział generał. Właściwie krzyczał, żeby Kloss mógł go usłyszeć w potwornym huku. Rozpoczęli natarcie. Proszę mnie połączyć z przyczółkiem mostowym.

Kloss podszedł do telefonu. Teraz trzeba wyszarpnąć broń... Rewolwer Pfistera leżał na biurku, nie zdąży sięgnąć...

- Szybciej, Kloss!

Kloss podniósł słuchawkę i otworzył kaburę. W tej chwili odskoczyły gwałtownie drzwi. Na progu stał Tomala, za nim polski oficer.

- Ręce do góry - powiedział Tomala swoją nienaganną niemczyzną: - Ręce do góry obaj! Pfister wykonał polecenie.

- Jestem dowódcą dywizji - powiedział, jakby żądając, żeby tamci się przedstawili.

- Wiem, wiem - mruknął Tomala. - Łączyć z przyczółkiem mostowym! Generale, proszę wziąć słuchawkę i wezwać do sztabu dowódcę saperów. - Szczęknął bezpiecznik pistoletu Tomali. - No, szybciej!

-Nie zrobię tego!

- Zrobi pan to natychmiast!

Pfister podniósł słuchawkę.

- Z czwórką - powiedział.

Było to jednak ryzykowne! Tomali powinno wystarczyć, że Pfister nie wyda rozkazu. Oczywiście... pozbawienie przedmościa dowódcy ułatwiało zadanie, ale jeśli generał zamiast powiedzieć: „Proszę przyjechać do sztabu”, powie: „Wysadzić”? Jeśli nie przestraszy się groźby. .. Czy Pfister wierzy, że zginie? Może jednak Tomala zna lepiej psychikę niemieckich generałów niż on, Kloss.

Czekali kilkanaście sekund.

- Vogel - usłyszeli głos Pfistera - proszę przyjechać natychmiast do sztabu.

Więc jednak Tomala miał rację!

Generał odłożył słuchawkę.

- Zostałem sterroryzowany w sposób niedopuszczalny podczas wojny prowadzonej przez cywilizowane narody.

Cywilizowany naród!

- Zostaniecie tutaj - powiedział polski oficer do Tomali. - Pilnujcie ich.

Wszystko przebiegało tak, jak zaplanowali! Pan generał Pfister odzyska wolność, żeby on, Kloss, mógł dalej działać!

Podszedł do okna. Na podwórze sztabu wjeżdżał właśnie samochód majora Vogla. Otoczyli go natychmiast spadochroniarze. Po chwili wóz z polską załogą jechał już w kierunku przedmościa.

Most był uratowany.

Grzmot artyleryjski powoli słabł, usłyszeli długie serie broni maszynowej.

- Można zapalić? - zapytał Kloss. To był sygnał.

- Palcie — powiedział spokojnie Tomala.

Kloss podszedł do niego i jednym szybkim ruchem zwałił go z nóg. Czy nie uderzył zbyt mocno? Nie, chyba nie... Chwycił automat Tomali.

- Uciekamy, generale!

Zbiegli w dół i przez kasyno wydostali się na tyły pałacu. Potem ścieżką nad Regą, nie zauważeni przez nikogo, w kierunku lasu Weipert.

Gdy stanęli na wzgórzu i zobaczyli w dole rzekę, pałac, pola nad rzeką, do przedmościa podchodziły już czołgi... Polskie czołgi przejeżdżały przez most...

Jaka szkoda - pomyślał Kloss - jaka szkoda, że nie mogłem zostać.

- Uratował mi pan życie - powiedział generał - ale mam nadzieję... - urwał.

Kloss milczał.

Boisz się, że wyda się twoje tchórzostwo - pomyślał. - Bój się, tak trzeba. Ale uratuję cię, bo jesteś mi potrzebny, dajesz mi niezawodne alibi.

- Nikt się nie dowie, panie generale - odezwał się wreszcie - o tym, co się stało. Daję słowo niemieckiego oficera.

Generał Pfister odetchnął głęboko.

**OBLĘŻENIE**

Padał śnieg z deszczem, na morzu szalał sztorm. Kloss podniósł kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku. Z wąskiej uliczki, przy której mieszkał, wszedł na rynek i przecinał go po przekątnej. Plac był niemal pusty, martwy, drzwi kamienic zaryglowane, okna zamknięte; tylko przed „Soldatenheim” zobaczył paru żołnierzy Wehr-machtu. Dziewczyna z literą „P” na płaszczyku przebiegła chodnikiem i zniknęła w jakiejś bramie. Usłyszał chrapliwy głos z megafonu: „Achtung, achtung... Komendant policji i SS miasta Kolberg rozkazuje, by jutro, to jest 18 marca 1945 roku, kobiety z dziećmi do lat piętnastu stawily się o godzinie szóstej rano w porcie, skąd zostaną ewakuowane poza strefę frontową. Powtarzam..”

Głos docierał do niego jeszcze, gdy skręcił w główną Hitlerstrasse i mijał puste, zasłonięte kratami wystawy sklepowe. Postanowili ewakuować miasto... Czy sądzą, że uda im się utrzymać Kolberg? Jak długo? I natychmiast natarczywa myśl: jak długo to potrwa? Wojska radzieckie i polskie przełamały Wał Pomorski. Siódmego marca pierwszy żołnierz polski dotarł nad Bałtyk, ale w miastach nadmorskich utrzymują się wciąż Niemcy. Wykorzystując dawno przygotowany system umocnień, Himmler zabronił myśleć o kapitulacji. To miasto, podobnie jak wiele innych, trzeba będzie zdobywać w ciężkim boju... Kloss pomyślał, że czeka go wiele trudnych dni.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut powinien zameldować się u dowódcy obrony Kolbergu, pułkownika Brocha. Wieczorem musi być znowu na Kaiserstrasse. W piwnicach spalonej podczas nalotu kamienicy umieścił radiotelegrafistę, sierżanta zrzuconego przed tygodniem, jeszcze zanim polskie dywizje podeszły pod Kol-berg. Radiostacja umożliwia codzienną łączność; wszystkie rozkazy obersta Brocha są natychmiast przekazywane polskiemu dowództwu. Pomyślał, że trzeba będzie, może już dzisiaj, przenieść sprzęt w inne miejsce; należałoby właściwie za każdym razem zmieniać punkt nadawania. Nigdy, nawet w ostatnich minutach bitwy, nie wolno nie doceniać wroga.

W adiutanturze Brocha zastał czekającego na dowódcę Brunnera. Sturmbannfuehrer powitał go kordialnie, z nie ukrywanym zadowoleniem. Zakomunikował natychmiast, że pułkownik zjawi się dopiero za parę minut i że oni, Brunner i Kloss, mają trochę czasu dla siebie i mogą spokojnie pogadać. Zachowywał się tak, jakby konieczność tej pogawędki była od dawna wiadoma i oczywista. Poczęstował Klossa cygarem i stanął przed wielkim planem Kolbergu wiszącym na ścianie. Kapitan obserwował sturmbannfuehrera czujnie; z Brunnerem wojenny los zetknął go wielokrotnie. Kloss wygrywał, ale nieraz już zastanawiał się, czy Brunner nie zgromadził dosyć materiału, by przynajmniej podejrzewać... Może jednak nie podejrzewał, po prostu uważał Klossa za kogoś podobnego do siebie: równie cynicznego i równie gotowego na wszystko w sytuacji, w której już nic nie było do stracenia.

- Parszywa zabawa - powiedział wreszcie Brunner.

- Parszywa - potwierdził Kloss.

Brunner podeszedł do okna, stał odwrócony tyłem do Klossa, jakby nie chciał, by kapitan widział jego



twarz.

- Co zamierzasz? - zapytał cicho.

- Nic. A ty, Hermann?

- Nie chcesz odkrywać kart, co? - Głos Brunnera był spokojny i obojętny. -Jutro mogą odciąć drogę morską. Te statki, które odpłyną rano, będą zapewne ostatnie.

- Zapewne... - Kloss nie zamierzał ułatwiać Brunnerowi gry. Należało w każdej sytuacji liczyć się z prowokacją.

Sturmbannfuehrer odwrócił się gwałtownie.

-I co? - zapytał. -I co? Pójdziemy jak barany pod nóż.

-Boisz się?

- A ty? A ty może się nie boisz, Kloss?

- Czego właściwie chcesz, Brunner?

Jeśli teraz powie coś konkretnego, zda się na jego łaskę i niełaskę. Zapewne wpadł na pomysł, którego nie może zrealizować sam, potrzebna mu pomoc. Dlaczego jednak zwraca się właśnie do niego? I co on, Kloss, powinien odpowiedzieć? Jaka pozycja w tej grze jest najlepsza? Wspólnika Brunnera? Lojalnego niemieckiego oficera?

Sturmbannfuehrer milczał. Przyglądał się uważnie Klossowi.

- Mam znakomity pomysł - rzekł wreszcie.

-Jaki?

- Poczekaj... - widocznie jednak wahał się jeszcze. -Pamiętaj, że ja nie lubię żartów. Obserwuję cię od dawna, Hans... I myślę sobie niekiedy, że warto by poszukać w twojej przeszłości...

Najpierw groźby - pomyślał Kloss.

- To nie ze mną - rzucił ostro. - Możesz szukać, czego chcesz. I powiedz swemu Gruberowi, żeby przestał za mną łązić...

-To także wiesz. Nie obrażaj się. Proponuję przymierze, nie wojnę...

- Mów, o co chodzi.

-To dość skomplikowane, mój drogi... Słyszałeś o profesorze Glassie?

Glass? Oczywiście: słyszał. Znany fizyk niemiecki, mieszkał właśnie tu, w Kolbergu. Prowadził

jakieś badania, o których Kloss wiedział stanowczo zbyt mało, i kierował fabryką produkującą elementy sterownicze do V-1 i V-2. O tym Kloss wiedział i pamiętał. Dlaczego Brunner wymienił nazwisko Glassa? Jeśli to nie prowokacja, rzecz wydawała się interesująca.

- Słyszałem - rzekł. - Mów jaśniej.

Nie dowiedział się jednak, na czym polegał pomysł Brunnera. Wszedł oberst Broch i zaprosił ich do swego gabinetu.

Dowódcę obrony Kolbergu Kloss znał niemal równie dobrze jak Brunnera. Służyli razem na froncie wschodnim; Broch, wówczas w stopniu majora, nie ukrywał, że uważa wojnę ze Związkiem Radzieckim za szaleństwo. „To skończy się tragicznie” - powtarzał, ale tylko w kasynie, gdy nieco wypił, a w pobliżu nie było nikogo z SS lub gestapo. Był oficerem zawodowym, dobrym rzemieślnikiem wojny i wykonywał ściśle każdy rozkaz. Jego sucha, pociągła twarz wydawała się teraz, gdy stanął przy swoim biurku i położył dłonie na mapie, niemal drewniana. Poinformował Brunnera i Klossa, że dowódca grupy armii „Weichsel” Himmler odrzucił kategorycznie wszelką myśl o poddaniu Kolbergu. Rozkazał: ani kroku w tył. Było to powiedziane tonem tak obojętnym, jakby Broch przekazywał dane dotyczące kolejnego ćwiczenia taktycznego. Następnie oświadczył równie sucho, że jednostki pancerne przeciwnika wyszły na szosę szczecińską i w ten sposób ostatnia droga na zachód została odcięta. Pozostał szlak morski, przynajmniej jeszcze pozostał. To, co musi być ewakuowane, będzie ewakuowane jutro.

Brunner i Kloss złożyli meldunki. Sturmbannfuhrer, jako dowódca miejscowej SS i policji, dziarsko oświadczył, że pełny porządek panuje w mieście. Rozstrzelano dwudziestu mężczyzn, którzy usiłowali rano wdrzeć się na statek odchodzący z portu.

Byli zdrowi i nadawali się do pełnienia służby wojskowej. Także dwie kobiety usiłujące się panikę.

Broch skwitował ten meldunek skinieniem głowy. Co myślał naprawdę? Czy nie było go stać na żaden bunt, choćby próbę protestu?

Dobiegł ich pomruk artylerii. Zawyła syrena, a szyby zadzwoniły od bliskich wybuchów. Za oknem podniósł się wysoki, ciemnofioletowy słup dymu. Broch usiadł przy biurku i poczęstował ich papierosami. Nie zamierzał schodzić do schronu; przystąpił do rozpatrywania planu ewakuacji ludności cywilnej.

- Ludność cywilna najmniej mnie obchodzi - oświadczył natychmiast Brunner. - Najważniejsza jest fabryka.

- Tak - potwierdził Broch - ale trzeba wprowadzić jakiś porządek. Kobiety i dzieci...

- Zajmę się tym... — przerwał Brunner.

- Pan zajmie się fabryką - rzucił sucho pułkownik. - Mamy wyraźny rozkaz reichsfuehrera: należy ewakuować wszystkie maszyny i urządzenia. I dopilnować, by profesor Glass, cały i zdrowy, znalazł

się na statku.

- SS obsadzi w nocy port...

- Port obsadzi Wehrmacht - powiedział Broch. Patrzyli chwilę na siebie, Kloss już sądził, że Brunner zaprotestuje, ale sturmbannfuehrer skulił się tylko na krześle; wyglądał jak człowiek, który — już gotowy — zrezygnował ze skoku.

- Jak pan woli - mruknął.

- Odpowiada pan za fabrykę i Glassa. To wszystko.

Brunner zerwał się i wyrzucił ramię przed siebie. Spojrzał na Klossa. Gdyby byli sami, powiedziałby zapewne: „Już wiesz, o co chodzi?” Kloss wiedział albo przynajmniej zdawało mu się, że wie. Zawyla znowu syrena; za oknem panowała cisza, dopiero po paru minutach odezwała się artyleria. Broch otworzył okno, usłyszeli megafon: „Achtung, achtung! Wszyscy mężczyźni od 15 do 60 lat zgłoszą się dziś w komendzie miasta”.

- Co pan zamierza, pułkowniku? - zapytał Kloss.

Broch patrzył na niego, jakby nie rozumiał pytania.

- Volkssturm - oświadczył zamykając okno - poślę nad kanał. Tam jest najsłabszy punkt obrony. Luka.

Człowieku, chciałby powiedzieć Kloss, wysyłasz starców i dzieci do rzeźni. Utrzymasz miasto o jeden dzień dłużej. Po co?

- Z wojskowego punktu widzenia... - zaczął.

- Wiem - uciął natychmiast Broch. -I co z tego, kapitanie?

- Wnioski nasuwają się chyba same.

- Nie należało tego mówić - oświadczył pułkownik. I dodał nieco innym tonem: - Nic nie możemy zrobić. Mamy wyraźny rozkaz. Czy pan tego nie rozumie? Każdy z nas może myśleć, co chce, to nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma tylko rozkaz. Ja spełniłem swój obowiązek: zameldowałem reichsfuehrerowi, że obrona miasta jest, moim zdaniem, niecelowa. Reichsfuehrer nazwał mnie defetystą. Będę więc bronił miasta, Kloss, bo to mój żołnierski obowiązek. Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności. Żadnej! - powtórzył i zamilkł, jakby czekając, że Kloss przyzna mu rację. Potem pochylił się znowu nad mapą. - Nic więcej nie mamy sobie chyba do powiedzenia - rzucił. - Czekam na informację o piątym odcinku. Co wiemy o siłach przeciwnika nad kanałem?

Kloss pomyślał, że trzeba jak najprędzej wykorzystać tę lukę w obronie. I pomyślał także, że jeśli los pozwoli mu przeżyć, porozmawia sobie z Brochem w innych okolicznościach...

Sierżant-radiotelegrafista, krępy chłopak o puciołowatej twarzy i zadartym nosie, nie umiał obyć się bez fajki. Twierdził, że niemiecki tytoń, którego dostarczał mu Kloss, jest absolutnie do niczego, rozdlubywał papierosy rozmaitych gatunków i przyrządzał skomplikowane mieszanki. Zajmowało mu to najwięcej czasu; w piwnicy wypalonego domu przy ulicy Kaiserstrasse 30 urządził się zresztą znakomicie. Ze starych mebli znalezionych w gruzach zmontował tapczan, stół, dwa krzesła i nawet fotel na biegunach.

- Takie jest podstawowe wojskowe prawo - tłumaczył Klossowi - żeby urządzać się na każdym miejscu postoju jak w domu. Nawet wtedy, kiedy nie wiadomo, czy za godzinę nie ruszysz dalej. Ja, panie majorze, byłem już szefem kompanii łączności i wiem, co i jak...

Klossowi wydawało się, że sierżant Kosek nie przyjmuje do wiadomości niebezpieczeństwa grożącego mu nieustannie w tej piwnicy, z której co wieczór wołał: „Wisła, Wisła, ja Skra, przechodzę na odbiór”. Wzmocnione patrole żandarmerii krążyły po sąsiednich ulicach, niemiecki nasłuch mógł wykryć już istnienie radiostacji albo wykryje w ciągu najbliższych godzin, a na twarzy Koska, gdy składał Klossowi meldunek - a czynił to wedle wszelkich reguł, choć jak mówił: „Do tego parszywego munduru, panie majorze, nie można przywyknąć” — nie widać było ani śladu niepokoju. Zapalał fajkę, ustępował Klossowi miejsca na fotelu i najchętniej opowiadałby o swych wyczynach na Wale Pomorskim.

Tego wieczoru, gdy Kloss wszedł do piwnicy, sierżant natychmiast podał mu kartkę gęsto wypełnioną czytelnym pismem radiotelegrafisty.

- Rozszyfrowałeś?

- Tak jest.

Tekst nie zawierał właściwie nic nowego poza jedną informacją, której wagę Kloss natychmiast docenił. Syn profesora Glassa, oberleutnant Glass, wzięty nad Wisłą do niewoli, znajdował się w obozie jenieckim. Czy uda się to wykorzystać? Zadania sformułowane prosto i zwięźle były w rzeczywistości niesłychanie trudne: nie dopuścić do ewakuacji fabryki. I teraz jeszcze: nie dopuścić do ewakuacji profesora Glassa. Jak to wykonać, jeśli to w ogóle wykonalne?

Od wielu dni Kloss szukał sposobu dotarcia do fabryki. Wiedział, że pracuje tam sporo robotników rozmaitych narodowości, także Polaków, ale Brunner kazał zamknąć obóz, a Kloss nie mógł znaleźć nawet pretekstu, żeby obejrzeć dokładniej teren zakładu. Miał bardzo mało czasu, właściwie pozostały już tylko liczone godziny... Stał przy maleńkim, zakratowanym okienku wychodzącym na podwórze. Co można zrobić? Co można zrobić oprócz przesłania meldunku, że jutro rano fabryka zostanie ewakuowana. A Glass odpłynie ostatnim statkiem... Podjąć szalone próby?

Zapadł już mrok; podwórze było puste, martwe. Ulicą przejechała ciężarówka, warkot motoru ucichał powoli, może to już koniec?

—Jak długo jeszcze, panie majorze? — zapytał sierżant.

-Trzeba będzie zmienić lokal - powiedział nie odwracając się Kloss. I właśnie wtedy zobaczył dziewczynę. Wbiegła na podwórze; była w rozpiętym płaszczyku oznaczonym literą „P”. Otwartymi ustami chwytiała powietrze. Przystanęła w bramie, bo zobaczyła napis: Ach-tung! Minen!, który zapobiegliwie umieścił tu Kloss, ale nie wahała się zbyt długo. Dostrzegła drzwi prowadzące do piwnic... Usłyszeli jej kroki na schodach. Po paru sekundach zobaczyli w bramie SS-mana. Właściwie najpierw usłyszeli jego głos: Halt! Ich werde schussen. SS-man także się zawahał ujrzawszy ostrzeżenie; ale pobiegł za dziewczyną.

Sierżant, stojący już przy oknie, spojrzął na Klossa. Kapitan skinął głową, wyciągnął broń, odbezpieczył. Kosek uchylił drzwi: w ręku trzymał nóż sprężynowy. Korytarz piwniczny był wąski i długi. Dziewczyna biegła potykając się w ciemnościach; gdy znalazła się przy drzwiach do ich nory, Kosek chwycił ją za rękę i rzucił do środka. Upadła na podłogę. SS-man zobaczył Kosska dopiero wówczas, gdy otrzymał cios; nie zdążył nawet krzyknąć. Kloss słyszał tylko głuchy łoskot ciała uderzającego o kamienną posadzkę.

Przenieśli dziewczynę na fotel. Sierżant pochylił się nad nią, gdy otwierała oczy.

- Co z nią zrobimy? - zapytał.

- Będzie musiała zostać tutaj - powiedział Kloss. -Wypuszczać jej nie wolno. A tamtego trzeba gdzieś schować.

- Zrobi się - mruknął Kosek.

Ostrożnie wlewał dziewczynie do ust wódkę z menażki.

- Masz ci babo pasztet!

Dostrzegła najpierw twarz sierżanta, potem radiostację i pistolet automatyczny na krześle. Dopiero po chwili Klossa stojącego ciągle przy oknie. Wrócił strach, przymknęła oczy i opadła znowu na fotel.

- Nie bój się, głupia - warknął sierżant. - O nic nie pytaj, ale się nie bój. - I dodał: - Tylko mnie mogło coś takiego się zdarzyć! Mam babę do gospodarstwa!

Kloss podszedł bliżej. Dodatkowy kłopot! Nie dość, że trzeba zmieniać miejsce nadawania, ale jeszcze ciągnąć ze sobą tę dziewczynę! Choćby była najuczciwsza, ryzyko wypuszczenia jej wydawało się zbyt duże.

- Skąd jesteś? - zapytał po polsku.

Była jeszcze przerażona i nieufna.

- Z Warszawy - szepnęła.

- Gdzie pracujesz?

- U profesora Glassa. Przedtem pracowałam w fabryce.

Kloss usiadł obok niej. Teraz zaczęła interesować go naprawdę.

Niełatwo przełamywać nieufność, nie mówiąc nic o sobie i niczego nie tłumacząc. Oczywiście: nie mówiąc, ale przecież dekonspirując się, bo Barbara Stecka, tak nazywała się dziewczyna, widziała już dosyć, by zrozumieć prawie wszystko. Musiała zresztą uwierzyć, że są Polakami „stamtąd”, jeśli chciał wydobyć z niej cokolwiek interesującego. Najpierw opowiedziała swą przygodę z SS-manem. Pani, żona profesora Glassa, wysłała ją do apteki. Gdy dobiegała do rynku, zawyła syrena i zobaczyła nasze - to słowo wymawiała z naciskiem i dumą - nasze samoloty.

Przeczekała nalot w bramie, a gdy znowu zawyła syrena, ujrzała na chodniku ulotki. Nikogo nie było, więc podniosła jedną: była pisana po polsku i po niemiecku, wzywała Niemców do zaprzestania walki... Nie zdążyła jej zresztą przeczytać do końca, schyliła się raz jeszcze, by zebrać więcej i zanieść potem do fabryki, gdy zaskoczył ją ten SS-man. Stał widać w jakiejś bramie. Krzyknął: Halt! a ona zaczęła uciekać, skręciła w Kaiserstrasse, potem zobaczyła ten wypalony dom, myślała, że ukryje się gdzieś w gruzach. Przestraszył ją napis: Achtung! Minen! nie miała jednak wyboru, było jej zresztą wszystko jedno...

- Powinnam już wrócić - zaniepokoiła się. - Glassowa jest strasznie podejrzliwa.

Kloss nie podejmował jeszcze decyzji, chciał wiedzieć jak najwięcej, szczegóły, drobiazgi, ona odpowiadała ze zdziwieniem, nie rozumiała sensu tych pytań. Jak wygląda mieszkanie Glassów? Rozkład dnia? O której profesor wraca z fabryki? O której kładzie się spać? Wreszcie - fabryka. Barbara Stecka zawahała się jednak, zanim zaczęła mówić...

- Dziewczyno - powiedział sierżant. - Domyślasz się, po co tu jesteśmy? Nie chcesz nam pomóc?

Więc w fabryce pracują Polacy, Francuzi, Rosjanie, Jugosłowianie... Teraz odcięci od świata, nikomu nie wolno opuszczać baraków obozowych. Ją znają oczywiście wszyscy, i warta także, bywa w fabryce, czasem posyła ją Glassowa do męża, czasem majster Kroll da przepustkę, jeśli jest coś do załatwienia... Powoli dowiadywał się Kloss szczegółów o działającej w fabryce organizacji. I powoli powstawał plan akcji, w której Barbara Stecka miała odegrać niepoślednią rolę.

### 3

Był to, tak przynajmniej sądził profesor Glass, ostatni dzień istnienia fabryki w Kolbergu. Przed wojną wytwarzała radioodbiorniki, teraz stała się jednym z ważnych zakładów przemysłu wojennego. To on, Glass, opracował schematy produkcji, a w swoim laboratorium przygotowywał nowe modele aparatów sterowniczych. Znał tu każdą maszynę i odczuwał niemal fizyczny ból patrząc na rozpoczęty demontaż. Robotnicy z literami „P” i „Ost”, przyszytymi do kombinezonów pracowali

w wielkiej hali pod nadzorem niemieckich majstrów. Obie zmiany, bez przerwy od wielu godzin. Czy zdążą? Glass obserwował demontaż przez oszkloną ścianę dyżurki. Wydawało mu się, że pracują zbyt wolno, że w tym tempie nie zdążą nawet przygotować do transportu najcenniejszych obrabiarek. To zresztą nie jego wina. Rozkaz ewakuacji należało wydać wcześniej. Powiedział to Brunnerowi, gdy sturbannfuehrer zjawił się u niego w gabinecie. Było tu przytulnie i zacisznie, dźwiękochłonne płyty na drzwiach izolowały sanktuarium profesora od hal fabrycznych.

- O trzeciej trzydzieści rano przyślę ciężarówki — oświadczył Brunner.

- Nie zdążę. — Profesor Glass nie patrzył na gestapowca. Pogardzał takimi jak on i to uczucie, starannie zresztą ukrywane, sprawiało mu satysfakcję.

- Musi pan zdążyć. Zniszczymy to, czego nie zdążymy ewakuować.

- Chcecie zniszczyć fabrykę?

- Oczywiście - powiedział Brunner. — Wysadzimy w powietrze. Myślał pan, że przekażemy Polakom?

To, że jutro lub pojutrze mogą tu być Polacy, było dla Glassa ciągle możliwością teoretyczną. Wiedział i nie umiał u wierzyć...

- Co stanie się z załogą? - zapytał.

- O kim pan mówi? O tej cudzoziemskiej hołocie? Co to pana obchodzi? Ja się tym zajmę...

- Chciałbym jednak wiedzieć. -W gruncie rzeczy było to kłamstwo, właśnie nie chciał wiedzieć, lecz chciał odciąć się, odseparować od tego, na co i tak me miał żadnego wpływu. Protestować? Jakie mogą mieć znaczenie protesty?

Brunner uśmiechnął się.

- Niech pan myśli o maszynach. I o sobie. Należy pan do nielicznych szczęśliwców, których ewakuujemy z tego miasta. Proszę przygotować dokumenty. I spalić wszystko, czego nie zdoła pan zabrać. — Sturbannfuehrer zdusił w popielniczce nie dopalonego papierosa i opuścił gabinet.

Kierownika wydziału elektrycznego fabryki, inżyniera Alfreda Krolla, znalazł w dyżurce. Kroll siedział przed mikrofonem, jego głos, przekazywany przez wzmacniacze, rozlegał się w hali fabrycznej.

- Powtarzam - mówił Kroll - że robotnikom cudzoziemskim nie wolno bez specjalnego zezwolenia opuszczać zakładu. Każde wyjście poza teren fabryki będzie traktowane jak ucieczka. Przypominam, że robotnik jugosłowiański Christo Tretniew za próbę ucieczki został wczoraj skazany na śmierć. - Wyłączył mikrofon. Brunner uśmiechnął się i skinął aprobująco głową.

- W porządku, inżynierze Kroll - powiedział. - Trzeba to im powtarzać nieustannie.

Kroll wstał. Poruszał się z trudem, nie przywykł jeszcze do protezy, która od paru miesięcy zastępowała mu prawą nogę, amputowaną w szpitalu polowym pod Mińskiem. Brunner oczywiście wiedział o nim wszystko: i to, że Kroll otrzymał Żelazny Krzyż za bitwę pod Moskwą, i to, że nie wstąpił do NSDAP, i to wreszcie, że jego stryjeczny brat, pracujący w tej samej fabryce majster Kroll, miał matkę Polkę. Należało na inżyniera uważać i trzymać go mocno w garści; był teraz potrzebny, bardzo potrzebny.

- Ukończył pan zaminowanie fabryki?

- Tak jest - powiedział Kroll. I dodał: - Wykonałem rozkaz.

- Teraz niech pan posłucha: o trzeciej trzydzieści przyjadą ciężarówki.

- Za wcześnie.

- O trzeciej trzydzieści. Przedtem należy uzbroić wszystkich Niemców-spojrzał na zegarek-bron jest już dostarczona. Załoga niemiecka odjedzie ciężarówkami.

- A robotnicy zagraniczni?

- Pan żartuje, Kroll. Dlaczego pana także obchodzi los tych ludzi?

- Pracowałem z nimi. Niektórzy z nich to już fachowcy.

- Dosyć! — Brunner nie zamierzał podejmować jakiegokolwiek dyskusji z Krollem. - Oni zostaną tutaj.

- Nie rozumiem.

- Już pan rozumie. Tylko bez głupstw. To jest front, Kroll, a pan wie, że na froncie wykonuje się wszystkie rozkazy.

- Wiem - powiedział inżynier i pokuśtykał na swojej protezie w kierunku drzwi. - Czy to już wszystko?

-Wszystko. Klucz od magazynu z bronią ma dowódca straży fabrycznej.

-Wiem.

Brunner opuścił fabrykę, a Kroll, opierając się na lasce, poszedł halą fabryczną wzdłuż obrabiarek przygotowanych do demontażu. Starał się nie patrzeć na robotników, przyspieszał nawet kroku, co przychodziło mu przecież z trudem, ale czuł ich spojrzenia, ogarniał go jednocześnie strach, nienawiść, litość. Ci ludzie zginą, a ich śmierć obciąży także jego, Krolla, uczciwego frontowego oficera. Czy obciąży naprawdę? Przy końcu hali, przy nieczynnym już pulpicie sterowniczym, odgradzonym od maszynowni szklaną ścianką, zobaczył swego brata stryjecznego, majstra Jana Krolla. Nigdy się nie lubili, a jednak istniała między nimi więź, której nie chcieli lub nie umieli zerwać. Życie ich od lat najmłodszych układało się odmiennie. Matka Jana była Polką, a jego ojciec,



stryj Alfred, twierdził, że także rodzina Krollów jest pochodzenia polskiego, że jeszcze ich dziadek w czasach swej młodości podpisywał się po prostu „Król”. Inżynier Kroll nigdy o tej rzekomej polskości nie myślał, a majster Kroll, wychowany przez matkę, ciągle i zdaniem Alfreda całkowicie niepotrzebnie ją podkreślał. Nic dziwnego więc, że ich losy kształtowały się różnie. Alfred skończył studia, Jana wyrzucono z uniwersytetu. Alfred został oficerem i poszedł na front, Jan był robotnikiem, później majstrem w tolberskiej fabryce. Stał się ostrożniejszy, nie mówił głośno o polskości, a profesor Glass wyreklamował go z wojska.

Jan Kroll był mężczyzną barczystym, wysokim, o włosach już siwiejących. Nabijał właśnie fajkę, gdy w drzwiach sterowni stanął Alfred.

- O trzeciej trzydzieści - powiedział. - O trzeciej trzydzieści przyjeżdżają ciężarówki.

Majster wzruszył ramionami i wskazał Alfredowi miejsce przy pulpicie.

- A co z nimi? — zapytał.

- A jak myślisz? -wybuchnął nagle inżynier. - Ze ich ewakuują? Ze pozwolą im tu zostać?

- Trzeciego wyjścia nie ma.

-Jest! - Alfred wybuchnął nagle śmiechem. Dławiła go złość. Oto przychodzi klęska, a on nic nie osiągnął; stracił tylko nogę, a byle gestapowiec traktuje go jak parobka. I zrobił to, czego mu nie wolno było robić. Powiedział.

Majstrowi zgasła fajka. Wysypał tytoń na podłogę.

- I co ty? - zapytał. - I co ty? - krzyknął nagle, a zdarzało się bardzo rzadko, żeby Jan Kroll krzyczał.

- Nic. - Alfred uspokoił się i ogarnął go natychmiast strach. Jak mógł to powiedzieć? Właśnie Janowi!

- Słuchaj - szepnął - my nie mamy z tym nic wspólnego. Nie nasza sprawa. Zostało jeszcze parę godzin... Nie wolno ci nikomu ani słowa...

Jan milczał.

- Czemu tak na mnie patrzysz? Człowieku, odezwij się... - Alfred tracił panowanie nad sobą. - Nie jestem zbrodniarzem, jestem oficerem...

- A co będzie jutro? - zapytał wreszcie Jan.

- Nie rozumiem.

-Jutro — powtórzył. — Albo za parę dni. Wytrzymasz?

- Nie rozumiem.

- Pytam cię, czy wytrzymasz. To, że wiedziałeś i że widziałeś.

-Widziałem niejedno.

- Wojna jest przegrana i Niemcy za wszystko będą musiały zapłacić.

- Niemcy! - wybuchnął Alfred. - Więc kto? Ja? Ty? Dlaczego ja? Byłem tylko oficerem! Do mnie też nie miano zaufania; ciągle pamiętali o twoich rodzicach...

- Przeszkadzałem ci w karierze?

-Przeszkadzałeś.

- Teraz posłuchaj... -Jan nabił znowu fajkę i zapalił. - Posłuchaj uważnie. Jesteś szmata... Alfred zerwał się ze stołka.

- Siadaj. Masz ochotę przeżyć? Masz oczywiście... Ale jeśli nawet przeżyjesz, to po tym, co tu się stanie, znajdą cię wszędzie, rozumiesz?

- Nikt mnie nie będzie szukał.

- Będzie. Ja daję ci szansę...

-Ty mnie szansę? Oszalałeś?

- Tak. Nic od ciebie nie chcę. Dostarczysz mi szkic zaminowania fabryki.

-Nie!

- Poczekaj. -Jan Kroll nie tracił spokoju. -I powiedz, o której godzinie niemiecka załoga otrzyma broń oraz gdzie broń jest zmagazynowana.

- Nic ci nie powiem. Idę. - Chwycił swoją laskę.

- Zastanów się. Wyjdiesz, jak się zastanowisz... - I dodał łagodniej: - Chcę cię uratować, Alfred. Ciągle wierzę, że jesteś w gruncie rzeczy porządnym człowiekiem. Mogłeś mi nie powiedzieć. Powiedziałeś. Wiesz, co by ci za to groziło w gestapo?

Alfred stukał swoją laską o podłogę.

- Co chcesz zrobić?

- Nie wiem. Może nic.

- Nierówna wymiana. Ja daję ci wszystko, a ty...

- Szansę. Dowiedz się, że nie jesteś na liście ewakuowanych. Profesor Glass nie uznał cię za niezbędnego. Jesteś tylko elektrykiem. Widziałem u niego tę listę.

-Kłamstwo! -Alfred znowu stracił panowanie nad sobą.

-Prawda. Zostajesz tutaj... Rozumiesz, co to znaczy?

Zapadło milczenie.

- Dobrze — powiedział wreszcie Alfred. Usiadł ciężko na stołku przy pulpicie. - Zaminowanie jest ukończone. Wystarczy włączyć kontakt w kasie pancерnej u Glassa, żeby po trzech minutach nastąpił wybuch.

- Kto ma to zrobić?

-Nie wiem. Pozostanie mu jeszcze trzy minuty czasu na opuszczenie fabryki.

- Tobie każą to zrobić, durniu, ale nie wyjdiesz już stąd żywy. Co z bronią?

-W magazynie, u szefa ochrony. O 2.45 ma być rozdana ludziom.

Ciężkie korpusy obrabiarek opuszczały już swoje cementowe łożyska. Dwóch inżynierów w mundurach partyjnych, Koch i Strudel, pilnowali kolejności przygotowań do transportu i popędzali robotników. Głuche uderzenia młotów mieszały się z wrzaskiem płynącym z megafonów. Majster Kroll, idąc powoli środkiem hali, wyłuskiwał z tłoku i zamieszania tych, z którymi natychmiast powinien się zobaczyć. Polak Stanisław Ogniwek, Rosjanin Tołmakow, Francuz Paul Levon... Kierownictwo tajnej organizacji, która powstała przed paroma miesiącami. Zaczęło się właśnie od przyjaźni tej trójki, od długich rozmów wieczornych w baraku. Potem dobierano ludzi, na których można polegać, a gdy Jan Kroll został członkiem kierownictwa, przystąpiono do działania: sabotażu i przygotowywania ucieczek. Nie było łatwo. Glass zorganizował bardzo dokładną kontrolę techniczną, a obóz był ściśle pilnowany. Wiele jednak części wykonanych w fabryce w Kolbergu nadawało się tylko na szmelc.

Stanisław Ogniwek pochodził z Warszawy, był przed wojną studentem politechniki, Tołmakow, człowiek już starszy, pracował w jednej z fabryk Kijowa, a Levon był robotnikiem z Lyonu. Ci trzej rozumieli się doskonale, choć ich rozmowy toczyły się w dziwnym francusko-niemiecko-polskim dialekcie, choć dzieliło ich wszystko: wiek, wychowanie, przeszłość...

Kroll wyłuskał ich wreszcie z tłumu, wskazał palcem.

- Wy trzej - powiedział - chodźcie ze mną.

- Po co pan ich zabiera? — napatoczył się Strudel.

- A rozmontować zegary w sterowni?

- W porządku — machnął ręką Niemiec.

Majster referował ściśle i krótko. Byli właściwie przygotowani na to, co usłyszeli... rozważali niejednokrotnie takie możliwości, ale w głębi duszy wierzyli jednak, że nasze wojska przyjdą szybciej, niż Niemcy zdążą ewakuować fabrykę.

- Cokolwiek byśmy zrobili - powiedział Levon - zginiemy.

- Chesz, żebyśmy nic nie robili? - zapytał Ogniwek.

Levon wzruszył ramionami.

-Jaką mamy szansę?

- Niewielką - przyznał Polak. - Trzeba jednak spróbować.

Kroll i Tołmakow też byli tego zdania. Niski, łysiejący Tołmakow natychmiast stwierdził, że nie ma co filozofować, trzeba się zająć konkretnymi. Ogłosił tę prawdę swoją przeraźliwie niezdarną niemczyzną.

- Kto pilnuje magazynu z bronią? - zapytał.

Plan nasuwał się sam; Ogniwek, który uważał się za specja od spraw wojskowych, ponieważ ukończył przed wojną podchorążówkę, obejmował kierownictwo nad całością. Dokładnie o 2.40, to znaczy pięć minut przed wydaniem Niemcom broni, Ogniwek i dwóch ludzi rozbroi dowódcę ochrony fabryki i odbierze mu klucz od magazynu. Dwudziestu pięciu ludzi pod komendą Tołmakowa weźmie z magazynu broń; Niemców izoluje się natychmiast w podziemnych składach fabryki. Levon i jego Francuzi mają ubezpieczać akcję Ogniwka i zająć się nie zorganizowanymi, aby nie dopuścić do paniki.

Wiele szczegółów było oczywiście jeszcze do omówienia, ale pozostawało przecież pytanie najważniejsze: Co dalej? Zdołają uzbroić robotników i zająć fabrykę; jak długo mogą się bronić? Godzinę, dwie? A potem? Wysadzić się w powietrze? Przecież chodzi im także o to, żeby uniemożliwić ewakuację fabryki i urządzeń. Levon wybuchnął śmiechem.

- Skąd wiecie, czy miny nie eksplodują, jeśli Niemcy zaczną ostrzał artyleryjski? Im przecież wszystko jedno...

- Im też chodzi o maszyny - powiedział Kroll.

- A nam o ludzi.

Więc przebijać się przez front? Pięciuset robotników, a tylko kilkudziesięciu uzbrojonych. Nie istnieje najmniejsza szansa... Może dwóm, trzem udałoby się uratować...

- Gdybyśmy mieli łączność z naszymi z tamtej strony - westchnął Ogniwek.

Patrzyli przez szklaną ścianę na halę produkcyjną, na ludzi pracujących przy stanowiskach obrabiarek. Usiłowali wyobrazić sobie, jak to będzie wyglądało, gdy Ogniwek da sygnał. Dowódca

ochrony przebywa najczęściej w swojej dyżurce. Po terenie fabryki kręci się dwóch, trzech strażników, przed wejściem stoi warta. O 2.40 dowódca ochrony najprawdopodobniej pójdzie już do magazynu... Trzeba go obezwładnić między dyżurką a magazynem, jeśli będzie sam... A jeśli nie będzie sam? Postanowiono więc zwiększyć grupę Ogniwka. Rozważali te szczegóły myśląc ciągle: a co potem?

- Podczas bitwy - powiedział Levon - wszystko przebiega zazwyczaj inaczej, niż to planowano przed bitwą.

- Patrzcie! - krzyknął nagle Staszek. - Baśka od Glas-sa! Jak się tu dostała?

Istotnie, przez halę fabryczną szła Baśka Stecka.

#### 4

Podjął to ryzyko. Nie miał właściwie wyboru: był to jedyny sposób dotarcia do fabryki. Uwierzył w uczciwość tej dziewczyny. Sierżant Kosek miał wątpliwości: a jeśli prowokacja? A jeśli ją złapią i wszystko z niej wyduszą? Jeśli, jeśli... Niebezpieczeństwo groziło na każdym kroku, ale nie od dzisiaj, od pięciu niemal lat, i wydawało się Klossowi wręcz nieprawdopodobne, że nigdy dotąd... Skręcił w szeroką aleję, wzdłuż której stały wille bogatych obywateli Kolbergu. Za chwilę zobaczy profesora Glassa i przeprowadzi rozmowę, której wyniku nie można przewidzieć. Co warte są jego karty? Właściwie tylko jedna: syn Glassa w polskiej niewoli. Wyłoży ją niechętnie, ale wykładając powie Glassowi wszystko i sam znajdzie się wpułapce. Wówczas... Pozostanie tylko jedna możliwość... Nie chciał o niej myśleć, myślał ciągle o Barbarze Steckiej. Czy dotarła do fabryki? Czy nawiązała kontakt z organizacją, jeśli ta organizacja istnieje naprawdę i ma jakąkolwiek możliwość działania.

Na niebo wyskoczyły długie pasma białych światel reflektorów i krzyżowały się nieustannie, próbując złowić niewidoczne samoloty. Z zachodu doszedł pomruk dział i potem, ledwie jeszcze słyszalny, odległy terkot karabinu maszynowego. Kiedy zaczną natarcie? Przez kanał, zanim Volkssturm obsadzi lukę, przez fabrykę... Za dwie godziny Kosek ma czas nadawania. Czy niemiecki nasłuch wpadł już na ślad?

Zbliżał się do willi Glassa. Była bliźniaczo podobna do innych, też okolona ogrodem, cicha i ciemna. Pchnął furtkę, przycisnął dzwonek. Otworzyła mu żona profesora, w szlafroku, rozczochrana...

— Słucham pana — warknęła niechętnie.

- Kapitan Kloss z Komendy Garnizonu - przedstawił się. - Chcę mówić z profesorem.

- Niech pan wejdzie.

Wszedł do pokoju, który wyglądał jak pobojuwisko. Otwarte szafy, na podłodze walizki,

bielizna... W rogu klęczała Basia owijając papierem talerze. Więc już wróciła, pomyślał.

— Pakujemy się — powiedziała pani — to straszne. -I natychmiast zwróciła się do Basi: - Szybciej! W takim tempie nie skończymy do rana.

Profesor przyjął go w swoim gabinecie. Panował tu jeszcze ład, wszystko zostało na swoim miejscu: książki w wielkich, ciężkich szafach, głębokie fotele przy małym okrągłym stoliku, obraz nad biurkiem... Glass zaproponował kieliszek koniaku, okazało się natychmiast, że to Martel, że ostatnia butelka, której nie warto przecież zabierać na statek. Niech więc pan kapitan pije... I może od razu przejdziemy do rzeczy, bo czasu jest mało. On, Glass, nie pojmuje zresztą, czego jeszcze może od niego chcieć kontrwywiad, bo jeśli dobrze zrozumiał, kapitan jest z kontrwywiadu...

Kloss rzucił na stół paczkę amerykańskich papierosów.

- Zapali pan?

- Zapalę - powiedział profesor i ze zdziwieniem oglądał papierosy. - zdobycz wojenna? - zapytał.

- Powiedzmy. - Kloss ważył każde słowo; nawet intonacja, nawet sposób akcentowania miały w tej rozmowie ogromne znaczenie. - Wyjeżdża pan jutro, profesorze?

-Tak.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że ta podróż morska nie będzie zbyt bezpieczna...

-Wiem. Nie wiem tylko, co może być dzisiaj bezpieczne. Ale czemu zawdzięczam wizytę?

- To nie takie proste, profesorze - powiedział Kloss. -Obchodzi pan w tym roku coś w rodzaju jubileuszu, prawda?

- Pan chyba żartuje, kapitanie...

- Nie. Przed dziesięcioma laty docent Glass spędził parę miesięcy w berlińskim Moabie za pomoc udzieloną koledze, który...

- O tym wszyscy wiedzą — przerwał profesor.

- Tak. Oczywiście. Myślę, że tylko pan o tym zapomniał... Potem pańska wiedza znakomitego fizyka służyła bez reszty Trzeciej Rzeszy. Nagrody, odznaczenia... Wreszcie ta fabryka.

- Zdziwiał mnie pan, kapitanie. Czyżby otrzymał pan zadanie sprawdzenia mojej lojalności?

- Zastanawiam się tylko - mówił Kloss wiedząc, że z każdą chwilą ryzykuje więcej - czy nie pozostało w panu nic z tamtych lat... Pański najlepszy przyjaciel, doktor Bort...

- Dosyć. - Glass wstał, podszedł do okna. Cios był widać celny. - Myślałem, że kontrwywiad

Trzeciej Rzeszy ma coś lepszego do roboty, niż zajmowanie się moją osobą.

Więc ciągle nie rozumiał!

- A tak, zapewne - powiedział Kloss. - Doktor Bort, panie profesorze, został rozstrzelany w Hamburgu.

Glass otworzył drzwi prowadzące z gabinetu na werandę. Stał odwrócony do Klossa tyłem, patrząc na pusty ogród.

- Niech pan zamknie drzwi!

Profesor odwrócił się gwałtownie.

- Prowokacja?! — Było to powiedziane zbyt głośno. Potem zamknął jednak drzwi i wrócił na swoje miejsce. Kloss włączył radio: usłyszeli takty wojskowego marsza.

- Rozumiem, że liczy się pan z prowokacją. Istnieje oczywiście taka możliwość. Wyobraźmy sobie jednak, że ktoś powiedziałby panu: profesorze Glass, nie należy się ewakuować. Nie tylko dlatego, że droga jest niebezpieczna, ale także po to, by uratować cokolwiek z własnego życia...

- Wyobraźmy sobie — Glass odzyskał już spokój — że tak postawione pytanie powtórzyłbym w gestapo.

- Pytający miałby zapewne jakieś zabezpieczenie.

- Mógłby po prostu bluffować.

- Jak w pokerze - stwierdził Kloss. - Sprawdza się po odsłonięciu kart, jeśli oczywiście dochodzi do odsłonięcia.

Glass napełnił znowu kieliszki.

- Widzi pan - powiedział - jestem właściwie matematykiem i lubię rozważania teoretyczne. Stwórzmy nową figurę; ten pytający musiałby po pierwsze mieć prawo zadawania pytań a po drugie: ofiarować jakieś gwarancje.

- Myśli pan o gwarancjach przeżycia? Może dawałby tylko szansę? Jedyłą osiągalną w obecnej sytuacji.

- Zbyt to enigmatyczne, kapitanie. Dowodzi raczej braku jakiegokolwiek karty. Powiedzmy jednak, że nie jestem fanatykiem, że teoretycznie byłbym skłonny do rozważenia rozmaitych sytuacji...

\_ To obiecujące - powiedział Kloss.

- Skłonny - powtórzył profesor - ale tylko z ludźmi do tego upoważnionymi. Poza tym wydaje się pan zapominać, że dla Niemca najważniejszy jest obowiązek wierności.

- Obowiązek? I dlatego zgoda na wszystko, profesorze? Wieczna kapitulacja?

- Pan posuwa się zbyt daleko. To ryzykowne, kapitanie.

- Mówimy teoretycznie.

- Teraz pan się wycofuje. - W głosie profesora Kloss usłyszał ton rozczarowania. - Nawet rozmawiając teoretycznie musiałbym wiedzieć, że mam do czynienia z człowiekiem właściwym.

- A gdyby tak? Rozważyłby pan propozycje konkretne?

- W pewnych granicach - powiedział Glass.

- Żądanie jest proste - Kloss odsłaniał karty. - Nie ewakuować się.

- Czyje żądanie? Kto usłyszy moją odpowiedź?

Kloss podszedł znowu do radia. Marsz wojskowy zabrzmiał teraz głośniej.

- Co pan wie o swoim synu, profesorze Glass?

Glass zerwał się z krzesła.

- Na miłość boską! - Teraz był szczery, nie starał się panować nad twarzą. - Nic nie wiem. Zaginął przed czterema miesiącami na froncie wschodnim. Nie chciałem wierzyć w jego śmierć. Żyje? Niech pan szybko mówi, czy żyje?

- Tak - powiedział Kloss. - Jest w niewoli.

Glass upadł na krzesło. Zasłonił twarz dłońmi, potem przetarł chusteczką oczy.

- Czy to pewne? - zapytał. - Skąd ta informacja?

- Odpowiedź wydaje się zbędna. Sądzę, że pan zrozumiał.

- Zrozumiałem — szepnął Glass.

- A gdyby pan zamierzał powtórzyć komukolwiek tę rozmowę...

- Proszę nie kończyć. Zrozumiałem wszystko.

- Wojna jest twardą grą, profesorze - ciągnął Kloss. - Nie produkuje pan zabawek dla dzieci, tylko urządzenia do pocisków spadających teraz na Londyn.

-Wiem.

-I chodzi o to, żeby nie wykorzystano pana więcej do żadnej produkcji.

- Wiem - powtórzył znów Glass.



- Sądzę, że powiedzieliśmy sobie wszystko. Nie jest to jednak takie proste: nie ewakuować się. Jutro nie zostawią pana w spokoju. Dlatego proponuję: za dwie godziny spotkamy się na rogu Pommernstrasse i Hindenburgplatz.

Profesor wstał. Wydawało się, że zapomniał o Klossie.

- Kurt żyje - szeptał - Kurt żyje...

## 5

Siedział w ciemnej, wąskiej klitce na jedynym tu krześle stojącym obok łóżka. Basia zamknęła starannie okno, potem podeszła do drzwi i cicho przekręciła klucz w zamku. Z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy.

Trwała cisza.

- Profesor poszedł spać - szepnęła - on zawsze o tej porze drzemie. Baba jest w stołowym.

Usiadła na łóżku. Nie widział jej twarzy, tylko ręce kurczowo ściskające metalowe pręty, na których spoczywał wąski materac. Po rozmowie z Glassem okrążył wille, wyszedł na ulicę i wrócił tutaj. Basia, jak to ustalili, zostawiła otwarte okno w swoim pokoiku za kuchnią.

- Opowiadaj - powiedział.

Mówiła bardzo cicho. Ci w fabryce, nie wymieniała nazwisk, potraktowali jej relację nieufnie. Twierdzili, że to może być prowokacja, że nawet likwidacja SS-mana o niczym nie świadczy. Przekonywała ich, że nikt nie mógł przecież wiedzieć, dokąd będzie uciekała, przypadek nie do przewidzenia, że jeśli jej wierzą... Przeważyło wreszcie zdanie, że kontakt należy nawiązać. Jedyna szansa. Nie mają właściwie nic do stracenia, jeśli zostaną sami, zginą z całą pewnością, a fabryka będzie zniszczona. Poinformowała Klossa o szczegółach planu. Słuchał uważnie, zadając pytania, na które Basia najczęściej nie umiała odpowiedzieć. Kto z Niemców ma broń krótką? Ilu robotników należy do organizacji? Czy znają plan alarmowy fabryki, bo taki plan musi istnieć?

Doszedł wreszcie do wniosku, że jest szansa powodzenia, ale powstaniem należy pokierować.

Może - myślał - to moja ostatnia akcja i może nadszedł czas...

- Będziesz musiała pójść tam raz jeszcze - powiedział.

Skinęła głową. Była na to przygotowana; umówiła się z majstrem Krollem, że za półtorej godziny jeden z nich, Kroll albo Levon, będzie na nią czekał w miejscu, gdzie mur otaczający fabrykę dochodzi do mokrych łąk biegnących aż do kanału. Nie chciała już ryzykować przechodzenia obok wartownika.

- Powiesz im - ciągnął Kloss - że plan jest w zasadzie słuszny. Ale tylko w zasadzie. Chcę być

osobiście na miejscu i kierować akcją. Dlatego też nie o 2.40, lecz dokładnie o 2.25 grupa dwóch, trzech ludzi zdejmie wartownika przy bramie. Musi to zrobić tak zręcznie, by Niemiec nie zdążył wystrzelić. O 2.30 ty i ja wejdziemy do fabryki. I wtedy rozpocznie się akcja. Powiedz im, że nawiążę kontakt z naszymi. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Spojrzał na zegarek. Powinien jeszcze wstąpić do Bro-cha, a potem pójść na Kaiserstrasse. Kosek musi nadać meldunek i otrzymać odpowiedź. Natarcie przez kanał na fabrykę powinno zacząć się najpóźniej o drugiej. Było to wszystko bardzo ryzykowne, ale nie widział żadnych innych możliwości. Zapalił papierosa. Płomyk zapałki wydobył z ciemności twarz Basi. Ciemne worki pod oczyma, wargi bez kropli krwi.

- Trzymaj się, dziewczyno - powiedział. - Przyjdę po ciebie pod okno o godzinie drugiej. - Zawahał się. Może nie brać jej do fabryki? Musiał. Przecież tamci go nie znają i on ich nie zna.

- Co było po moim wyjściu u Glassów? - zapytał jeszcze.

Profesor powiedział żonie: „Nie pakuj się, zostajemy”. Ona krzyczała i protestowała, a wtedy on położył jej dłoń na ramieniu i rzekł: „Kurt żyje. Jest w niewoli”. I jeszcze coś, czego Basia nie rozumiała. Potem Glassowa popłakiwała siedząc na wielkiej, zapakowanej już walizce, a on wrócił do gabinetu.

Usłyszeli odgłos kroków, ktoś wszedł do kuchni.

- Glassowa - szepnęła Basia. - Przygotowuje ziółka dla męża.

- Pamiętaj - mówił cicho Kloss - niech w fabryce będą gotowi, ale niech czekają na mnie. Najważniejsze: zdjąć wartownika.

Znowu kroki. Kloss wstał, podszedł do okna i właśnie wtedy rozległ się krzyk Glassowej.

- Fritz! - wołała - Fritz!

Po chwili była już w kuchni. Zanim Kloss zdążył wyskoczyć przez okno, biła pięściami w drzwi służbówki.

- Otwieraj! - krzyczała - otwieraj!

Kloss zniknął w ciemnościach ogrodu, Basia stanęła na progu.

- Dlaczego się zamykasz? Kto u ciebie był?

- Nikt, proszę pani.

- Gdzie jest mój mąż?

- Przecież pan profesor śpi w gabinecie - Basia mówiła swoją powolną, szkolną niemczyzną.

- Zniknął! - Glassowa pobiegła znowu przez kuchnię i stołowy. Stały na progu gabinetu. Drzwi od werandy były otwarte, wiatr pozwiewał papiery z biurka, obok kanapki, wciśniętej między szafy biblioteczne, leżały nocne pantofle profesora Glassa.

- Może wyszedł na chwilę - powiedziała Basia.

- Bez butów? - Glassowa wybiegła na werandę, potem do ogrodu. I znowu rozległo się wołanie:

- Fritz! Fritz!

Gdy wróciła do gabinetu, jej oczy pełne były łez.

- Mój Boże, mój Boże - szeptała. - Co z nim się stało?

Podniosła słuchawkę telefonu, z trudem nakręciła numer.

- Tu Glassowa - powiedziała. - Chciałabym mówić ze sturmbannfuehrerem...

Brunner zjawił się w mieszkaniu Glassów po kilkunastu minutach. Nie zdejmując czapki spacerował po gabinecie profesora, niecierpliwie i jakby nieuważnie słuchając relacji Glassowej. Obejrzał nocne pantofle, poszperał w papierach i szufladach, wysłał dwóch ludzi do ogrodu, by dokładnie przeszukali teren.

Potem usiadł na kanapce i wyciągnął przed siebie nogi w znakomicie błyszczących butach.

- Powiedziała pani, Frau Glass, że był tu kapitan Kloss. - Ta informacja od początku wydawała się interesować go najbardziej.

- Tak - szepnęła.

- Rozmawiali w gabinecie. O czym?

- Ja nie podsłuchuję, panie sturmbannfuehrer.

- Szkoda. Co było potem?

- Już mówiłam. - Przyłożyła, chusteczkę do oczu. - Mąż kazał mi przerwać pakowanie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. I nie pytałam, bo powiedział mi, że Kurt żyje. Rozumie pan? Tyle czasu nic nie wiedzieliśmy o naszym chłopcu... Pobeczalam się. Jest w niewoli, ale żyje.

- Skąd ta wiadomość?

Wzruszyła ramionami.

-Może przez Czerwony Krzyż?

- Żarty. O Kurcie powiedział pani po wyjściu Klossa?

-Tak.

-I co było dalej?

- Pobiełam na werandę, do ogrodu, potem do służ-bówki po naszą Polkę. Zamknęła się na klucz. Wydawało mi się, że słyszałam głosy, że ktoś u niej był. Przesłucha ją pan?

- Przesłucham - odpowiedział niecierpliwie Brunner.

- No dobrze, niech pani ją zawoła.

Przyglądał się Basi bez zainteresowania. Ujął ją pod brodę, lekko trzepnął dłonią po policzku.

- - Co wiesz?

- Nic, proszę pana.

- Nie kłam. Miałaś u siebie chłopca?

- Nie, proszę pana... Mój chłopiec pracuje w fabryce. Pani Glass się zdawało.

Znowu ją uderzył. Nieco mocniej.

-Niemcom się nie zdaje, du... Kiedy widziałaś po raz ostatni profesora?

- Pan poszedł spać do gabinetu.

- Sprawdźmy jeszcze, czy nie kłamiesz. Powiedz mi...

Nie zdążył jednak zadać pytania. Do gabinetu wszedł SS-man, szepnął Brunnerowi parę słów do ucha i zniknął. Sturmbannfuehrer zeszywniał, zdjął czapkę...

- Idź stąd - rozkazał Basi i zwrócił się do Glassowej: - Musimy być dzielni - powiedział - jesteśmy Niemcami. Pani mąż nie żyje. Przed chwilą, niedaleko stąd, za ogrodem, znaleziono jego ciało. Musi pani pojechać ze mną. Trzeba zidentyfikować zwłoki.

## 6

Należało złożyć Brochowi sprawozdanie o sytuacji na piątym odcinku. Piąty odcinek - to właśnie kanał, najslabszy punkt obrony, o który pułkownik niepokoił się najbardziej. Następnego dnia, ale dopiero następnego dnia, zamierzał posłać tam dwa bataliony Volksstur-mu, tymczasem

miał nadzieję, że przeciwnik nie będzie zaczynał od forsowania przeszkody wodnej. Należało utrzymać go w tym przekonaniu. Między kanałem i fabryką ciągnęły się łąki i pastwiska pozbawione niemal umocnień; przecinał je tylko rów przeciwpancerzy, skąpo obsadzony przez piechotę uzbrojoną w panzerfausty. Kloss nie sądził, aby ta przeszkoda była zbyt groźna. Jeśli natarcie zacznie się dostatecznie wcześnie, nasze wojska powinny dotrzeć na czas do fabryki.

Broch tkwił nad mapami, nie podniósł nawet wzroku, gdy kapitan wszedł do gabinetu.

Kloss powiedział:

-Na piątym odcinku nie zauważono żadnych ruchów nieprzyjaciela.

- W porządku - pułkownik wskazał mu krzesło. -Myślę, że rozpoczną natarcie na koszary i dworzec. W każdym razie ja bym tak postąpił na ich miejscu. Daje nam to szansę utrzymania portu i fabryki przynajmniej do jutra wieczór. A potem...

Zadzwonił telefon, pułkownik podniósł słuchawkę i słuchał czyjś meldunku.

Sprawa była widać ważna, bo Broch nie przerywał mówiącemu, a na jego twarzy rysowało się napięcie. Może meldują już o Glassie? Co się właściwie stało z profesorem? Kloss, gdy wyskoczył z okna pokoiku Basi, okrążył jeszcze willę i wszedł na pustą werandę. Słyszał głos Glassowej rozmawiającej przez telefon z Brunnerem. Na podłodze werandy pełno było śladów zabłoconych butów. .. Ślady wiodły od drzwi ścieżką do furtki wychodzącej na ulicę. Spenetrował ogród, ale nic nie znalazł, nie miał zresztą czasu, gestapo mogło się zjawić lada chwila. Zamordowano profesora? Porwano? Kto? Dlaczego? Po co?

Usłyszał głos Brocha:

- Dobrze. Wszystko zrozumiałem... Proszę wziąć pluton żandarmerii i pluton z batalionu Falkenhorna. Meldować. - Odłożył słuchawkę.

- Nasłuch ustalił koordynaty nieprzyjacielskiej radiostacji - powiedział. - Działa tu w mieście. Nieprawdopodobne!

Kloss z trudem panował nad twarzą. Najważniejsze: nie dać nic po sobie poznać i być na Kaiserstrasse wcześniej niż Niemcy. A meldunek? Za pół godziny rozpoczynał się czas nadawania; jeśli Kosek nie przekaże, że nacierać trzeba nocą, że o 2.40 robotnicy chwytają za broń, wszystko będzie stracone.

- Falkenhorn rozpocznie za godzinę przeszukiwanie kwadratu - powiedział Broch. Kloss wstał.

- Wracam na piąty, panie pułkowniku. Mogę się od-meldować?

Broch skinął głową i w tej chwili na progu stanął Brunner. Warknął niedbale: Heil Hitler i natychmiast zwrócił się do Klossa:

- Spieszysz się, Hans?

- Spieszę się - chciał wyminąć Brunnera.

- Będziesz musiał jednak zostać. Chciałbym - podszedł do biurka Brocha - złożyć ważny meldunek, panie pułkowniku, i zadać w pana obecności parę pytań kapitanowi Klossowi.

Broch spojrział na niego niechętnie.

- Co się znowu stało? Przypominam, że w tym mieście nie ma nic istotnego poza sprawami walki.

- To dotyczy profesora Glassa. - Brunner zwięźle relacjonował wydarzenia. Oznajmił, że SS-mani znaleźli ciało uczonego niedaleko ogrodu. Zwłoki były straszliwie zmasakrowane.

Broch skrzywił się, ale przyjął wiadomość dość obojętnie. Nic go teraz nie obchodziło oprócz spodziewanego natarcia.

-Czy pan wie, co to znaczy? - mówił Brunner. - Trzeba natychmiast meldować przez radio reichsfuehrerowi.

- Niech pan melduje. A co to ma wspólnego z kapitanem Klosssem?

-Ma. Kapitan Kloss kilkanaście minut przed śmiercią Glassa był w willi profesora.

Broch wzruszył ramionami.

- Był pan tam, Kloss?

- Byłem - odpowiedział obojętnie. - Wracając z piątego odcinka. Przypomniałem sobie, że mam coś do przekazania profesorowi, a został tylko dzisiejszy wieczór. -Myślał szybko: Glassowa na pewno powtórzyła Brunnerowi to, co mąż powiedział jej po wyjściu Klossa...

- O czym rozmawiałeś z profesorem? - pytał Brunner.

- To nie ma nic wspólnego z tą sprawą - rzucił Kloss ostro. Patrzył Brunnerowi prosto w oczy. - Mogę jednak powiedzieć pułkownikowi... W czasie walk o Pom-mernstellung spotkałem pewnego oficera ze 148 dywizji, który był przyjacielem młodego Glassa. Powiedział mi, że syn profesora, ranny, dostał się do niewoli. A ponieważ jechałem właśnie do Kolbergu, prosił o przekazanie tego ojcu. -Wymyślił tę historyjkę na oczekaniu; brzmiała dość prawdopodobnie.

- Długo zwlekałeś, Hans - szepnął Brunner.

- Muszę przyznać, że zapomniałem o tym - Kloss zwracał się ciągle do pułkownika Brocha.

- Po twoim wyjściu - ciągnął sturmbannfuehrer - profesor powiedział żonie, że rezygnuje z ewakuacji...

- Nic mi o tym nie mówił.

- Czyżby, Kloss?

Stali teraz naprzeciwko siebie jak dwaj zawodnicy gotujący się do walki.

- Teraz ja, Brunner, chciałbym ci zadać parę pytań...

- Jakim prawem?

- Panowie - Broch nie podniósł nawet głosu. - Jesteście w gabinecie dowódcy, kontynuujcie tę rozmowę gdzie indziej...

Broch ogłaszał w ten sposób swą obojętność dla sprawy Glassa.

Wyszli do adiutantury.

- Gdzie znalazłeś zwłoki, Brunner? - zapytał Kloss.

- Za ogrodem, niedaleko płotu. Tam, gdzie zaczynają się już łąki.

- Dziwni mordercy... Nie chcieli zabijać w domu, co?

- Nie lubię tego tonu, Kloss.

- Zapomniałeś, Brunner, że wymieniłeś już dzisiaj nazwisko profesora Glassa. Żył jeszcze wówczas.

Sturmbannfuehrer roześmiał się nagle.

- Chcesz grać przeciwko mnie?

- To ty grasz przeciwko mnie. Chcę tylko zobaczyć ciało.

- Możesz - powiedział obojętnie Brunner. - Zidentyfikowała je już Glassowa. Zwłoki były straszliwie zmasakrowane. Kloss nie patrzył długo; rozpoznał tylko bonżurkę. W tej bonżurce Glass przyjmował go w gabinecie. I koszulę... ciemnogrnatową, z miękkim kołnierzykiem.

- Straszny widok, co? - szepnął Brunner. - Nie lubisz takich widoków?

- Przywykłem do rozmaitych śmierci - powiedział sucho Kloss. I zapytał: - Sekcji oczywiście nie przeprowadzono. Ani żadnych dokładniejszych oględzin?

-Nie.

- Glassowa rozpoznała ciało męża po bonżurce i koszuli?

-Tak.

- Mogłeś jej zaoszczędzić tego widoku, Brunner. To było zbyteczne. Jak ci się zdaje, dlaczego profesor ma koszulę naciągniętą na lewą stronę?

Patrzyli na siebie. W oczach Brunnera Kloss dostrzegł strach i nienawiść.

- Może ty na to odpowiesz? - szepnął sturmbann-fuehrer.

- Może odpowiem - powiedział - ale nie teraz. Teraz nie mam czasu.

Wyszedł ze sztabu. Czy zdąży? Ulice były ciemne, puste; na niebie krzyżowały się znowu światła reflektorów, ale nie słychać było ani samolotów, ani pomruku artylerii. Na ziemi i w powietrzu trwała cisza. Przeciął rynek, na Kaiserstrasse już biegł.

Broch powiedział, że Falkenhorn zacznie przeszukiwanie kwadratu za godzinę; spojrzął na zegarek: zbliżała się 21.30, czas nadawania radiostacji Koska. Muszą przekazać meldunek o fabryce, a jeśli zaczną nadawać, nasłuch Falkenhorna natychmiast z ogromną dokładnością ustali ich miejsce pobytu. Co robić?

W piwnicy sierżant już czekał. Kloss wyjaśnił mu zwięźle sytuację. Stał przy okienku zasłoniętym teraz czarną szmatą, z trudem łapiąc oddech.

-Niech pan napisze tekst, panie majorze -powiedział sierżant starannie nabijając fajkę.

- Nadajemy. Niszczymy szyfry, papiery. Radiostacja też nie będzie nam już potrzebna - mówił Kloss układając szybko meldunek. -Wywołuj.

W tej chwili usłyszeli warkot ciężarówek. Samochody jechały Kaiserstrasse.

- Są - powiedział Kloss. - Nie zdążymy.

- Mój czas - sierżant usiadł przy aparaturze. - Niech pan stąd idzie, majorze.

- Oszalałeś!

- Niech pan stąd idzie - powtórzył Kosek. -Ja muszę nadawać, potem nie będę już potrzebny, a bez pana tamci w fabryce przepadną.

Usłyszeli znowu warkot silników.

- Po co ma ginąć dwóch - powiedział sierżant - jeśli wystarczy jeden. - Sięgnął po plecak i wyciągnął z niego granaty. Położył obok siebie automat. Robił to wszystko starannie, bez pośpiechu. - „Raz rodyła maty” - szepnął.

Kloss rozumiał, że Kosek ma słuszość, nie powinien się wahać, powinien natychmiast opuścić piwnicę. Sierżant musiał zginąć wykonując swoje zadanie, on, Kloss, musiał przeżyć dla wykonania swojego. Takie było prawo wojny, ale buntował się przeciwko niemu, czuł, że nie będzie w stanie zostawić w piwnicy tego chłopca, który nałożył właśnie słuchawki i gestem ręki jeszcze raz wskazał



majorowi drzwi. Przyszedł mu nagle do głowy pomysł szaleńczy, jeden z tych pomysłów, które udawały się niekiedy, choć szans powodzenia było trzy, cztery na sto. Nie miał prawa, żaden z jego przełożonych nie zaakceptowałby takiej decyzji, a jednak postanowił ryzykować. Jeszcze otwierając drzwi myślał: „nie, nie zrobię tego, nie wolno mi”. Sierżant już nadawał, nie odwrócił się nawet, gdy Kloss wychodził, major nie zobaczył jego twarzy. Korytarzyk był długi i ciemny. Po obu stronach znajdowały się drzwi do piwnic -wszystkie zamknięte: ich były trzecie od wejścia. Kloss znalazł ciało SS-mana zabitego przed paroma godzinami; było ciężkie, niósł je z trudem. Ciężarówka stała już na Kaiserstrasse; słyszał niemiecki wrzask i tupot butów, gdy kopnięciem otworzył drzwi „ich” piwnicy. Sierżant kończył właśnie nadawanie; spojrzał na Klossa ze zdziwieniem i bez sympatii.

- Po cholere pan tu? - warknął nie przestrzegając już żadnych regulaminów wojskowych.

- Ściągaj z niego mundur i przebieraj się w te SS-mańskie łachy - rozkazał Kloss. Zdmuchnął płomyk lampy naftowej, zerwał zasłonę z okna. Niemcy wpadli już na podwórze; biegli ku oficynie i do drzwi piwnicznych. Kloss nacisnął cyngiel automatu: strzelał celnie, krótkimi seriami. Teraz myślał tylko o walce, widział tylko muszkę, celownik i ciało wroga. Sierżant zapinał SS-mański płaszcz, po chwili stał obok majora. Niemcy zalegli na podwórzu otwierając bezładny ogień. Kule rozłupywały mur nad oknem.

- Dosyć! - rozkazał Kloss.

Tamci strzelali jeszcze; skokami podchodzili do drzwi piwnicznych...

- Granaty — powiedział Kloss. Chwycili po jednym i wybiegli na korytarzyk. Gdy pierwszy żołnierz pokazał się w wejściu, ciemna sylwetka na tle jaśniejszego nocnego nieba, Kloss rzucił swój. Wybuch targnął murami, odłamki uderzały o ściany korytarza. Na chwilę zapanowała cisza. Niemcy odskoczyli od drzwi.

- Teraz ty - powiedział Kloss i wskazał „ich” piwnicę. Dopiero wówczas sierżant zrozumiał plan majora. Cisnął granat; rzucili się na ziemię, w piwnicy przez kilkanaście sekund szalało piekło. Niemcy otaczający podwórze zobaczyli czarny dym wydobywający się z wąskiego okna.

Przebiegli przez korytarzyk i weszli do pierwszej piwnicy od wejścia. Stali przy drzwiach wstrzymując oddech. Minęło kilka minut, zanim Niemcy odważyli się wtargnąć do podziemi. Tak jak przewidział Kloss, ci, co weszli pierwsi, biegli do piwnicy, z której strzelano i którą zniszczył wybuch. Za chwilę znajdują szczątki radiostacji i zmasakrowane ciało. Pomyślał, że radiotelegrafista sam wysadził się granatem.

Ich czekało jeszcze najtrudniejsze... Kloss obejrzał sierżanta, zapiął mu guzik od płaszcza i otworzył drzwi. W korytarzu, pełnym żołnierzy niemieckich, było czarno od dymu. Każdy oddech sprawiał ból. Kloss stanął, rozejrzał się...

- Sprawdzić wszystkie pomieszczenia! - ryknął.

Jak to dobrze - myślał - że mam do czynienia z Wehrmachtem, a nie z SS. SS jest zajęte w porcie.

Jakiś podoficer przy wyjściu spojrzął na niego ze zdziwieniem. Ale natychmiast zastygł w postawie „na baczość”, gdy Kloss podszedł do niego i powiedział niemal szeptem:

- Co to za bałagan? Zaprowadźcie porządek i meldujcie majorowi Falkenhorn.

Przechodzili przez podwórze, a gdy znaleźli się na ulicy i szli powoli wzdłuż kolumny wojskowych ciężarówek, Kloss pomyślał, że znowu spełniło się nieprawdopodobne...

- Przyjęli meldunek? - zapytał sierżanta.

- Przyjęli - odpowiedział Kosek. I dodał: - Myślałem, że to będzie mój ostatni meldunek. Przepraszam, panie majorze...

Kloss spojrzął na zegarek. Zostały jeszcze cztery godziny do akcji w fabryce.

## 7

Inżynier Alfred Kroll szedł pustymi ulicami Kolbergu. Szedł coraz wolniej, wysuwając przed siebie laskę jak ślepiec. Z fabryki do sztabu było ponad trzy kilometry. Znał tę drogę przecież znakomicie, ale teraz wydłużała się niepomierne. Mógł oczywiście zatelefonować, przyjechałby natychmiast, gdyby napomknął, o co chodzi, ale on postanowił jednak iść osobiście, jakby ta godzina marszu była mu jeszcze potrzebna do namysłu. Nie, nie mógł już zmienić decyzji. Nie mógł postąpić inaczej, zaprzeczyć samemu sobie, stać się nagle, ostatniego dnia kimś innym niż ten, którym był przez całe życie. Minął Hindenburgplatz i przystanął na chwilę przed gimnazjum imienia Bismarcka. Tu zdawał maturę, tu wstąpił do Hitlerjugend, tu przychodził później, już jako oficer, by opowiadać młodzieży o przeżyciach frontowych. Za rogiem, w zaułku noszącym dumną nazwę Heldenstrasse, mieszkała Inga. Zginęła w Hamburgu podczas nalotu latem czterdziestego trzeciego roku. Obiecywali sobie, że po wojnie zamieszkają tutaj w Kolbergu, najchętniej w domu nad morzem. Inga wierzyła w zwycięstwo, namawiała go, by wstąpił do NSDAP, ale on nigdy nie chciał zdeklarować się ostatecznie. Potem był front i znowu Kolberg, ale już bez Ingi... I nagle, ostatniego dnia, on oficer frontowy, inwalida wojenny, kawaler Żelaznego Krzyża, miałby odrzucić całą swoją przeszłość, zdradzić, bo to byłaby przecież zdrada, tylko po to, by przeżyć? Zbyt wysoka, nie opłacająca się cena. Może od jutra udawać przeciwnika hitleryzmu, może powoływać się na rzekomo polskie pochodzenie rodziny Krollów? Nie. Nie lubi oczywiście Brunnera, podobnie jak tych wszystkich facetów z trupimi główkami na czapkach, którzy patrzyli na niego z pogardą i nigdy mu naprawdę nie ufali, ale to jednak Niemcy; łączy go z nimi ten sam wojenny los. Jestem ze zwyciężonymi, nie z jutrzejszymi zwycięzcami - powtarzał sobie.

A jednak dręczył go niepokój. Sześciuset robotników fabryki zginie i jego, Alfreda Krolla, obarczy teraz - z całą pewnością — współodpowiedzialność za ich śmierć. Ale potem spłonie fabryka, zginie cały Kolberg i wszystko, co było jego życiem. Ma rację fuehrer rozkazując „zostawiajcie spaloną ziemię”... Przeżyją tylko szczury.

A tamci już myślą, że wygrali. Wtedy, gdy powiedział swemu bratu, powodowany

nieprzemyślanym impulsem - tak to teraz oceniał - to, czego nigdy nie powinien mówić, ogarnęła go natychmiast nienawiść. Widział zaaferowaną, napiętą twarz majstra Krolla, nie uszło jego uwagi spotkanie robotników w sterowni, zauważył Polkę, o której wiedział, że była służącą Glassa. Co zamierzali ci skazani na śmierć? Oczywiście jemu, Alfredowi Krollowi, nie zaufają. On zdradził im powierzona mu tajemnicę, a oni zapomnieli o nim natychmiast, odrzucili go jak przedmiot, który spełnił już swoją rolę. I oto znalazł się w próżni, sam jeden. Kuśtykając po hali widział robotników biegnących od maszyny do maszyny, słyszał szepty w niezrozumiałych językach. Ci trzej, którzy spotkali się w sterowni u majstra Krolla, byli szczególnie ruchliwi. Znał ich, pracowali w fabryce już dawno, Polak, Francuz i Rosjanin. Ten Francuz, Levon, mówił nawet niezłe po niemiecku, znał Paryż, a Kroll lubił wspominać stolicę Francji, którą odwiedzał jeszcze przed wojną. Levon miał piękną dziewczynę, robotnicę imieniem Yvonne. Kroll jej nie cierpiał. Wydawało mu się, że spogląda na niego z pogardą i odrazą. Spróbował kiedyś zwrócić się do niej swą kiepską francuszczyzną, milczała z oczyma wbitymi w ziemię. Musiał to samo powtórzyć po niemiecku, a Levon tłumaczył. Tego wieczoru, po rozmowie z bratem, śledził ich udając, że interesuje go demontaż zespołów elektrycznych.

Nie ulegało wątpliwości, że oboje, należeli do spisku, kto z nich zresztą nie należał? Cała ta ogromna gromada ludzi ze znaczkami „P” i „Ost” wydała się teraz Krollowi potężnym żywiołem, grożącym w każdej chwili wybuchem. Zamierzał wrócić do dyżurki, gdy zobaczył, że Levon, rozglądając się ostrożnie, idzie ku wyjściu z hali.

Pokuśtykał za nim. Na dziedzińcu fabrycznym było pusto. Stojące na rampie, bezużyteczne już wagony zasłaniały horyzont. Ujrzał sylwetkę Francuza przemykającego się między wagonami. Chłopak szedł w głąb dziedzińca, w kierunku kanału. Kroll wiedział, że nad brzegiem, do którego dochodził mur okalający fabrykę, nie ma warty. Dalej były łąki, pola, drugi, tak zwany „właściwy” kanał i już front. Czyżby Francuz zamierzał uciec! Jeśli tak, nie zdoła mu przeszkodzić, choć Levon miał niewiele szans. Jeśli nawet sforsuje mur, po którym biegły przewody wysokiego napięcia, nie przejdzie przecież przez front, a w mieście przecież go złapią...

Nie mógł oczywiście iść tak szybko jak Francuz, ale widział ciągle jego sylwetkę, rysującą się na tle jaśniejszego nieba. Levon niedaleko brzegu skręcił w prawo i podszedł do muru. Kroll, ostrożnie kuśtykając, dotarł nad samą wodę; z trudem wyciągał nogę z błota, zdawało mu się, że Francuz musi go usłyszeć, dostrzec, dyszał ciężko i sam sobą pogardzając, stwierdził, że się boi. Tamten był zdrowy, silny... Levon usiadł na kamieniu i dopiero podchodząc bliżej, Kroll zobaczył wyrwę w murze; była zbyt mała, by człowiek mógł się przez nią prześliznąć, chyba dziecko, ale wystarczająca, aby rozmawiać z kimś z zewnątrz.

Więc po to tu przyszedłeś - pomyślał Kroll. Nie opodał tego miejsca rosły krzaki. Inżynier usiadł na ziemi i ukryty, mógł nareszcie odpocząć. Czekał. Czekanie trwało długo, widział plecy Francuza, teraz wstawał, chodził wzdłuż muru, podszedł nawet tak blisko krzaków, że Kroll ścisnął już laskę, zdecydowany uderzyć, broni nie miał przy sobie, ale tamten go nie zobaczył. Wreszcie! Usłyszał kobiecy głos, który wydał mu się znajomy. Czyżby tylko randka, pomyślał z rozczarowaniem. Ale nie była to randka. Głos stamtąd zapytał: „Levon?”. „Tak” odpowiedział Francuz. Rozmawiali po niemiecku! Kroll już wiedział, kim jest ta kobieta za murem: dziewczyna od Glassów. Nie znała francuskiego, a Levon oczywiście nie mówił po polsku.

Była to śmieszna, powolna niemczyzna, najzupełniej jednak zrozumiała. Tak jak należało się spodziewać, przygotowywali powstanie. Dziewczyna tłumaczyła, że należy rozpocząć od zdjęcia wartownika; dopiero gdy przyjdą do fabryki, a stanie się to o 2.30, zajmą magazyn i rozbiją Niemców.

- Czy ten twój niemiecki oficer jest zupełnie pewny? - zapytał jeszcze Levon..

- Zupełnie - powiedziała dziewczyna. - Możemy mu wierzyć.

- To nasza jedyna szansa - rzekł Francuz. - Inaczej zginiemy wszyscy. Rozumiesz, co się stanie, jeśli gestapo dowie się wcześniej?

- Rozumiem - szepnęła.

Niemiecki oficer! Kroll myślał o nim, przecinając rynek i skręcając w ulicę, przy której mieścił się sztab. Więc jednak znalazł się Niemiec, który uwierzył, że można zdradą oszukać wojnę i śmierć. A jeśli gestapo już wie? A jeśli tamten zameldował szybciej, niż to zdoła uczynić on, Kroll?

Wartownik zastąpił mu drogę; Kroll wymienił nazwisko sturmbannfuhrera, ale minęło dobre piętnaście minut, zanim wpuszczono go do środka.

Brunner przyjął go stojąc na środku pokoju w czapce i płaszczu. Spieszył się.

- O co chodzi? - rzucił ostro. - Dlaczego pan opuszcza fabrykę? Dlaczego pan nie telefonuje? Czy pan wie, że profesor Glass został zamordowany?

Zachwiał się, nie czekając na zaproszenie usiadł na krześle. Glass nie żyje? Zabili go. A on się jeszcze wahał! Krótko, ściśle, jak na froncie przed bitwą, referował fakty. Podał nazwiska, powtórzył rozmowę przy murze fabrycznym. Nie oszczędzał nikogo. Nie oszczędzał także brata. Czuł się niemal szczęśliwy; po raz pierwszy od wielu dni był spokojny.

Brunner słuchał nie przerywając; na twarzy sturmbannfuhrera gościł ironiczny półuśmiech, ni to aprobaty, ni to drwiny.

- Spełnił pan swój obowiązek, inżynierze Kroll - powiedział - jest pan uczciwym Niemcem. - I potem zapytał od razu: - Kto poinformował tych ludzi o szczegółach planu ewakuacji fabryki?

-Ja - rzekł Kroll natychmiast. - Powiedziałem to mojemu bratu.

-W porządku - machnął ręką Brunner. - Rzesza panu wybaczy. Nie mógł pan zresztą przypuszczać, że brat jest zdrajcą.

Zaprowadził go do pułkownika Brocha. Kroll musiał jeszcze raz powtórzyć swoją relację. Nie widział twarzy dowódcy obrony Kolbergu, dopiero gdy skończył, spojrzały na niego chłodne, puste oczy.

- Zarobił pan na ewakuację - rzekł Broch - jeśli nie było pana na liście. - Zabrzmiało to jak

drwina. - Co pan o tym sądzi, Brunner?

- Myślę, że wiem, kim jest ten oficer - powiedział sturmbannfuehrer. - Pan także wie, pułkowniku.

-Kto?

- Właśnie on. Kloss.

- Nie ma pan podstaw...

- Ale będę miał podstawy - spojrzął na zegarek i ruszył ku drzwiom. - Biorę ludzi i jadę do fabryki.

- Chwileczkę - pułkownik chciał coś powiedzieć, może wydać inny rozkaz, ale zrezygnował. - Niech pan jedzie. - Potem, gdy byli już przy drzwiach, dodał: - Nie wierzę, nie wierzę, że to on... - I znowu pochylił się nad mapą.

Ciężarówki z SS-manami czekały już przed sztabem. Brunner i Kroll wsiedli do osobowego wozu; jechali w milczeniu, bez świateł przez puste miasto. Trwała cisza; umilkła artyleria, reflektory nie przecinały ciemnego nieba. Minęli bramę fabryczną; SS-mani wyskakiwali z samochodów, okrążali hale produkcyjne gęstą tyralierą. Brunner wydawał jeszcze rozkazy. Kroll usłyszał: „Zwolnijcie wartownika, ukryjcie ludzi przy wejściu. Potem już wiecie...”

Weszli do wielkiej hali fabrycznej; Brunner prowadził kilkunastu SS-manów, którzy natychmiast skoczyli do środka jak psy spuszczone z łańcucha.

- Pod ściany, pod ściany! - rozległ się wrzask. - Niemcy do środka, reszta pod ściany.

Bili robotników kolbami, obalali na posadzkę, szybkimi, sprawnymi ruchami obmacywali mężczyzn. Rozszarpując ogarnięty paniką i strachem tłum, wyłuskiwali ukrytych za obrabiarkami i urządzeniami przygotowanymi do załadunku, spychając ich pod mur. Krzyczeli, ale w potwornym wrzasku słów nie można było rozróżnić... Kroll pomyślał, że tak wyglądać musi piekło. Brunner, stojący obok niego, obserwował z uwagą działalność swych ludzi. Wyrwał nagle z kabury pistolet i dwukrotnie wystrzelił... Rozległ się krzyk, potem zapadła cisza, a przynajmniej Krollowi wydało się, że jest cicho, bo zaczął słyszeć. W hali panował już porządek. Robotnicy stali już pod ścianami z rękoma założonymi na kark, a w środku, w grupce Niemców - majstrów i inżynierów Kroll zobaczył swego brata.

- Idziemy - powiedział Brunner. I dodał natychmiast: - Pokazujcie.

Kroll nie wiedział, że jeszcze to go czeka. Szedł z trudem, bardzo wolno, stukając laską o podłogę.

- Tych, których wymieniliście - rozkazał Brunner.

- Przecież i tak wszyscy...

- Pokazujcie... - powtórzył ostrzej sturmbannfuehrer.

Musiał to robić, musiał być konsekwentny.

Najpierw zobaczył twarz Polaka Ogniwka. Z policzka przeciętego uderzeniem kolby płynęła krew.

- Ten — powiedział.

Potem był Francuz Levon o twarzy martwej i niemal białej, Rosjanin Tołmakow plujący krwią, wreszcie Yvonne... Musiał ją wskazać, bo wspomniał o niej Brun-nerowi.

- Pana brat?

Chciał powiedzieć, że sturmbannfuehrer zna przecież majstra Krolla, ale podszedł do grupki Niemców.

-Ten.

-Ja - powiedział Jan Kroll - ty durna szmato...

Brunner uderzył go w twarz. SS-mani zaprowadzili wszystkich do dyżurki. I tu także sturmbannfuehrer ustawił ich przy ścianie i przechadzał się w milczeniu wzdłuż szeregu, jakby chciał, żeby go dobrze zapamiętali, nauczyli się na pamięć jego twarzy, zanim zaczną przesłuchanie...

Staął przed Ogniwkim.

- Nazwisko? - warknął.

Ogniwek milczał.

- Nazwisko! - powtórzył Brunner łagodnie, a nie otrzymawszy odpowiedzi uderzył kolbą. Ogniwek osunął się na ziemię...

- Oblej go wodą - rozkazał sturmbannfuehrer SS-manowi. Staął przed Krollem.

- Wiesz, co cię czeka?

-Wiem.

- U nas umiera się powoli.

- Będę umierał powoli.

- Mógłbyś szybciej... Jak nazywa się oficer, z którym spiskowałeś?

- Nie znam żadnego oficera.

- Żal mi cię. Za chwilę będziesz mówił inaczej.

- Nie będę.

Znowu uderzenie kolbą. Jan Kroll zachwiał się, ale nie upadł.

- To tylko wstęp - powiedział Brunner - tylko niewinny początek.

Stanął przed Francuzem Levon.

- Co ci powiedziała Polka od Glassów?

- Nie widziałem jej.

- Kroll, niech mu pan powtórzy. Niech pan podejdzie bliżej.

Alfred Kroll podszedł. Mówił z trudem.

- Ustalili godzinę - mówił. - Dziewczyna miała tu przyjść z niemieckim oficerem.

- Jak się nazywa ten oficer? - ryknął Brunner.

- Nie wiem - szepnął Levon.

Sturmbannfuehrer podszedł do Yvonne.

-To twoja dziewczyna, prawda? Pomyśl, co z nią mogę zrobić, jeśli nie będziesz mówił. - Ujął Yvonne pod brodę. - Pomyśl, co ją czeka.

## 8

Dochodziła druga, gdy Kloss podszedł do okienka pokoiku Basi. Willa Glassów pogrążona była w ciemnościach, na ulicy, którą obserwował długo, zanim pchnął furtkę, pusto i spokojnie. Sierżant Kosek, ciągle w mundurze SS-mana, został przed domem. Dziewczyna już czekała.

- Wszystko w porządku - oświadczyła, gdy znaleźli się znowu na ulicy. - Rozmawiałam z Levonem, przekazałam polecenia. Będą gotowi o drugiej trzydzieści.

- Byłaś w fabryce? - zapytał Kloss.

- Nie. Spotkaliśmy się przy wyrwie w murze.

- Nikt cię nie obserwował? Nikt za tobą nie szedł?

- Nie - powiedziała. - Na pewno nie.

Kloss spojrział na zegarek. Powinni dojść do bramy fabrycznej dokładnie o drugiej trzydzieści. Czasu było dosyć, nawet niewielka rezerwa...

- Nasi powinni już zacząć - szepnął sierżant.

- Mam nadzieję, że niedługo ich usłyszymy. - Zwolnił kroku.

Czy organizacja fabryczna dobrze przygotowała akcję? Może, ogarnęły go teraz wątpliwości, należało wcześniej przedostać się na teren fabryki? Wydało mu się nagle, że popełnił jakiś błąd, że coś przeoczył...

- Od kogo - zwrócił się do Basi - dowiedzieliście się o planie ewakuacji fabryki?

Dziewczyna nie ukrywała już teraz nazwisk.

- Od majstra Jana Krolla.

- Niemiec?

- Polskiego pochodzenia.

Taka szkoda, że było tak mało czasu! Ze nie mógł zobaczyć tego Krolla, porozmawiać z ludźmi z fabryki.

Basia prowadziła ich zaułkami, potem dotarli do wąskiej uliczki biegnącej wzdłuż muru fabrycznego. Trwała ciągle cisza i ta cisza, spokój nad kanałem zaczynały niepokoić Klossa. Niebo nieco pojaśniało, na północy, nad morzem, wydawało się zupełnie białe. Podchodzili do wartowni...

- Kosek - powiedział Kloss. - Zostajecie parę kroków za nami, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego, wiejcie. . - A potem sami wiecie...

- Tak jest, panie majorze.

Stanęli, obserwowali bramę. Pusto, cicho, ani śladu straży.

- W porządku - westchnęła Basia. - Idziemy... Zdjęli wartownika.

- A oni? - szepnął Kloss. - Nie zostali przy bramie? Wrócili do środka?

Poszedł jednak. Rozpiął kaburę, odbezpieczył pistolet.

Gdy znalazł się na wysokości budki wartowniczej, z ziemi, zza krzaków rosnących wzdłuż drogi prowadzącej do fabryki zerwali się SS-mani. Runęli na Klossa, nie zdążył wyszarpnąć pistoletu, uderzenie kolbą w tył głowy obaliło go na ścieżkę... Zaterkotały serie automatu. To Kosek, wbrew rozkazowi, otworzył ogień. SS-mani wybiegali już na ulicę. Trzech wlokło Klossa w kierunku hali fabrycznej, dwóch prowadziło Basie, reszta otaczała Koska przypartego do muru. Sierżant rzucił granat. SS-mani odskoczyli, potem znowu otworzyli ogień. Pierwszy pocisk trafił Koska w rękę,



drugi był celniej-szy. Sierżant tracił przytomność. Zdążył jeszcze pomyśleć, że po raz pierwszy w życiu nie wykonał rozkazu...

W dyżurce Brunner czekał już na Klossa. Gdy go wprowadzono, słaniającego się jeszcze, na twarzy sturm-bannfuhrera zakwitł triumfujący uśmiech.

- No co, Hans - powiedział - miałem rację. Ze mną się nie wygrywa. Dziewczynę pod ścianę! - ryknął. Nie spojrzał na nią nawet. Interesował go tylko Kloss...

- Ty szmato - cedził przez zaciśnięte zęby. - Ty szczurze uciekający z tonącego okrętu. Myślałeś, że przeżyjesz, co? I zagrałeś jak amator... Od kiedy im służysz, gadaj?!

Kloss milczał. Jeszcze się wahał, minęło trochę czasu, zanim podjął decyzję. Tak: konspiracja była zbyt cenna. Nie musiał już udawać niemieckiego oficera; po raz pierwszy od pięciu lat mógł przestać grać tę rolę...

- Od początku, Brunner - powiedział głośno. - Od chwili, gdy włożyłem wasz mundur. Nie domyślałeś się, co? Jestem oficerem polskiego wywiadu.

W dyżurce zapanowała cisza. Patrzyli na Klossa ludzie stojący pod ścianą, zmasakrowani, skazani na śmierć... Ten człowiek w poszarpanym niemieckim mundurze wzbudzał podziw i szacunek. Reprezentował potęgę, której bliskość czuli już wszyscy: i oni, i SS-mani, i Brunner, milczący teraz, zaskoczony, okradziony ze swego triumfu. Gdyby Kloss powiedział, że dał się kupić przed dwoma dniami, że grał na własną rękę po prostu po to, by przeżyć, sturmbannfuhrer poczułby smak sukcesu. Ale ten człowiek wygrywał z nim przez tyle lat. Polak oszukiwał Niemców, polski wywiad...

- Jesteś Polakiem? - zapytał, choć znał już odpowiedź.

-Tak. - Kloss zobaczył twarz majstra Jana Krolla.

Wyczytał w jego oczach wdzięczność i podziw.

Brunner tracił już panowanie nad sobą.

- Zapłacisz za to - ryczał - ale najpierw wyśpiewasz mi wszystko! Łączność! Kontakty! Siatka!

-Po co ci to, Brunner? -w głosie Klossa dźwięczała nie ukrywana drwina. - Za parę godzin sam będziesz śpiewał.

Sturmbannfuhrer rzucił się na niego, ale nie zdążył uderzyć... Pękały szklane ściany, wydawało się, że dyżurka, jak wagonik na karuzeli, zatoczyła łuk w powietrzu...

Wybuchy pocisków, coraz bliższe, osaczały fabrykę ze wszystkich stron... Potem ucichły nagle i ta cisza zaskoczyła ich; zastygli, oczekując następnego uderzenia...

Wbiegł SS-man.

- Panie sturmbannfuehrer - zawołał, nie przestrzegając już żadnej tajemnicy - telefonowali ze sztabu. Ich flota i lotnictwo zablokowały port...

Twarz Brunnera stężała.

- Pilnować ich - powiedział. - Potem wydam rozkazy. - Wyjął z kabury broń, odbezpieczył. - A ty - zwrócił się do Klossa - pójdiesz ze mną.

Prowadził go do gabinetu Glassa. Przez szklaną ścianę Kloss widział halę fabryczną, robotników stojących wzdłuż muru, SS-manów pilnujących ich z automatami gotowymi do strzału.

Nie doceniłem przeciwnika - myślał Kloss - ten błąd mści się zwykle najboleśniej.

W sanktuarium profesora było przytulnie i spokojnie. Głębokie skórzane fotele stały przy małym stoliku obok kasy pancерnej.

- Siadaj - powiedział Brunner. Sam usiadł także, rewolwer położył na stole, nie zdejmując z niego dłoni.

- Chcesz zapalić?

-Tak.

- Nie masz już szans, mój drogi — mówił Brunner. — Przyznaję, że to długo trwało. Zbyt długo. Ty z pochodzenia jesteś jednak Niemcem, prawda?

-Nie.

- Nie wierzę... Zresztą... Myślisz, że nie zdążę? -zmienił nagle ton. - I ciebie... i ich... - wykonał nieokreślony ruch ręką. - Mam jeszcze dość czasu. Polacy nie poleżą przez kanał...

- I co z tego? - zapytał Kloss. - Powiedzmy, że zdążysz. Nie wydostaniesz się już stąd. Zaskoczyła cię blokada portu; nie masz którejdy uciekać...

Brunner milczał. Usłyszeli znowu wybuchy, jakby bliższe. Kanonada trwała parę minut, potem dobiegł ich stłumiony, odległy jeszcze terkot broni maszynowej. Na twarzy sturmbannfuehrera pojawił się niepokój.

- Hans - powiedział. -Twoja sytuacja jest bardzo kiepska, ale... w końcu znamy się tyle lat... Dwaj oficerowie tej samej służby, choć wrogich armii, mogą się przecież dogadać. - Obserwował pilnie twarz Klossa.

- Zmieniłeś ton.

- Okoliczności zmieniają się co chwila. Nie jestem głupi...

Czas! Kloss rozumiał, że przede wszystkim trzeba wygrać na czasie, od tego zależało życie tamtych i jego...

W drzwiach stanął SS-man.

- Przyjechały ciężarówki - zameldował.

- Precz! - ryknął Brunner. - Po co mi teraz ciężarówki? Mam wozić maszyny do zablokowanego portu? -SS-man zniknął.

- Co zamierzasz zrobić z fabryką? - zapytał Kloss.

Brunner uśmiechnął się.

-To zależy od wielu rzeczy... Od ciebie także... Mam pewną propozycję...

- Sądzisz, że będę z tobą handlował?

- Chyba tak, Hans.

- Chodzi o fabrykę i tych ludzi?

-Nie tylko, Kloss. Nie tylko. Mam jeszcze coś równie cennego... Czy możesz dać mi gwarancje?  
Milczenie.

- Gwarancje - powiedział Brunner. -Ja nie mam złudzeń, mój drogi... Wiem, co warte są obietnice oficerów wywiadu. - Machnął ręką. - Ale jestem skłonny ci wierzyć. Pomyśl, że mogę zastrzelić ciebie, zlikwidować sześciuset waszych i wysadzić w powietrze fabrykę. Dużo wart jest Brunner, co? A poza tym...

- Masz także Glassa - powiedział spokojnie Kloss.

- Skąd wiesz?

- Sfingowałeś morderstwo i schowałeś gdzieś profesora. Zręczne! Ale robota niezbyt dokładna...

-Ta koszula, co? Głupstwo... Amerykanie lub Anglicy ozłociliby mnie za Glassa...

-Już nie ozłocą - rzekł Kloss: - Nam mniej na nim zależy. Chodziło o to, aby się nie ewakuował...

- Żartujesz. Pomyśl dobrze: robotnicy, fabryka i Glass. Czy to nie warte życia Brunnera? Czy nie war-te? \_ powtórzył. - A tylko ja wiem, gdzie jest profesor. Zapał jeszcze papierosa. Proszę bardzo, nie krępuj się...

Kloss sięgnął do kieszeni.

- Ręce na stół! - ryknął Brunner.

Kloss wyjął zapalniczki.

-Jesteś cholernie nerwowy-powiedział. -Twoi SS-mani obmacali mnie dokładnie. Sądysz, że mogłem schować broń? Nawet oficerowie polskiego wywiadu, mój drogi, nie rozporządzają nadludzkimi możliwościami.

- Więc jak będzie? - zapytał Brunner.

- Jesteś wyjątkowa kanalia, Hermann. Już wczoraj schowałeś profesora, żeby móc dzisiaj handlować. I mnie chciałeś zrobić w sfingowane morderstwo.

Sturmbannführer uśmiechnął się krzywo. Słowa Klossa potraktował jak pochwałę.

- Nawet aliantom - stwierdził - będą potrzebni dobrzy specjaliści.

- Łudzisz się, Brunner.

W tej chwili mocny wybuch targnął murem fabrycznym. Terkot broni maszynowej, bliski już, nieustanny, osaczał ich ze wszystkich stron...

Przeszli przez kanał - myślał Kloss. - Przeszli przez kanał i zaskoczyli!

Pękła szyba, tynk posypał się na podłogę; światło zgasło na chwilę i zabłysnęło znowu. Brunner skoczył z fotela. Kloss wykorzystał to natychmiast. Pchnął z całej siły stół na gestapowca i chwycił jego broń.

- Nie ruszaj się, Brunner, ja też nigdy nie pudłuję...

- Oszalałeś - powiedział sturmbannführer. - Przecież się dogadujemy.

Na dole w hali strzelono parokrotnie. Potem rozległ się krzyk, długi, ucichający powoli...

- Mam Glassa - szepnął Brunner.

Terkot broni maszynowej, wybuchy granatów stawały się z każdą chwilą bliższe...

- Słuchaj, Brunner - mówił cicho Kloss. - Włączysz teraz mikrofon stojący na biurku Glassa. Widzisz?

-Tak...

-Wezwiesz tutaj inżyniera, który minował fabrykę.

-Tak...

-Jak on się nazywa?

-Kroll...

-Także Kroll... Teraz rozumiem... Kazesz wyłączyć zespół zaminowania. Jeśli tego nie zrobisz, zastrzelę cię.

Brunner podszedł do biurka. Nie spuszczać z oczu Klossa trzymającego gotową do strzału broń, włączył mikrofon. Krzyczał, ale jego głos ginął w terkocie broni i wybuchach granatów...

- Nic z tego, Hans, nic z tego - szeptał Brunner. -Czego się zresztą boisz? Dogadamy się... Fabryka nie wyleci w powietrze.

- Nie chcę niespodzianek. Gdzie to jest?

Sturmbannfuehrer nie zdążył odpowiedzieć... Otwarte gwałtownie drzwi odsłoniły widok na korytarz pełen dymu i szkielet dyżurki pozbawiony szklanych ścian. Na progu stał inżynier Alfred Kroll. Przyszedł tu bez wezwania. Kloss zdążył jeszcze cofnąć się za Brunnera; lufę pistoletu wpychał w plecy gestapowca. Kroll od progu widział tylko sturmbannfuehrera i stojącego za nim więźnia. Mógł się nie domyślić...

- Czy to Kroll? - szepnął Kloss. - Mów!

- Gdzie jest centrala zaminowania? - zapytał Brunner.

- W kasie pancernej. Ale możemy także uruchomić z dziedzińca, po opuszczeniu fabryki. Dołączyłem dodatkowy przewód...

- Niech pan zniszczy - rozkazał Brunner.

-Co?

-Wyłączyć! - krzyknął sturmbannfuehrer czując ciągle pod łopatką lufę pistoletu. W tej chwili bardzo bliski wybuch wstrząsnął murami; przez okno wdarły się tumany dymu i kurzu. Krótkie serie broni automatycznej zaterkotały na dziedzińcu. Brunner zachwiał się, zatoczył i odsłonił Klossa. Alfred Kroll zobaczył broń w ręku człowieka, o którym wiedział, że jest wrogiem Niemiec. Zrozumiał...

- Tchórz! - krzyknął. - Tchórz!

Wyrwał z kieszeni pistolet, który przed paroma minutami otrzymał od dowódcy ochrony fabryki. Nie celując strzelił do Klossa.

Korytarzem biegł SS-man.

- Die Polen - ryczał. - Die Polen... - Zniknął na schodach prowadzących do hali. Brunner skoczył do okna, wybił sobą futrynę i zniknął w ciemnościach.

Alfred Kroll, nie patrząc już na Klossa, podszedł do kasy pancernej. Wyłuskał z kieszeni klucz.

Za chwilę połączy przewody i wszyscy, atakujący i obrońcy, SS-mani i robotnicy zginą zmiażdżeni i spopieleni w gruzach fabryki. Kloss z trudem wstawał z ziemi: prawa ręka zwisała bezwładnie, nie czuł bólu, nie słyszał wybuchów granatów, widział tylko plecy Krolla i otwierające się ciężkie pancerne drzwi... Lewą ręką sięgnął po broń leżącą na podłodze, nie zdążył, bo inżynier odwrócił się nagle... Runął na niego, wymierzył cios, potoczyli się po ziemi...

Nacierająca polska piechota osiągnęła już dziedziniec. Serie karabinów maszynowych zmiatały SS-manów z płaskiego terenu. Łamiąc kratki ogrodzenia ukazał się czołg T-34. Mijał budynki fabryczne i krusząc mur wjechał na ulicę. Żołnierze atakujących oddziałów wdzierali się już do hali. SS-mani bronili się jeszcze, bez nadziei, zażarcie, strzelając do ostatniego naboju. Tłum robotników atakował ich wewnątrz... Ogniwek i Levon, już uzbrojeni, bo odebrali pistolety inżynierom niemieckim, torowali sobie drogę do gabinetu Glassa. W dymie i kurzu nie rozróżniali twarzy, postaci, widzieli tylko sylwetki ludzkie, cienie pojawiające się i niknące w półmroku... Ta walka, zacięta i bezładna, trwała jeszcze, gdy stanęli na progu gabinetu profesora. Zobaczyli otwartą kasę pancerną, przewody i Krolla, który leżąc na ziemi usiłował dosięgnąć pistoletu. Na próżno... Kloss wybił mu broń z ręki. Wtedy Kroll ostatkiem sił zerwał się z podłogi i skoczył w kierunku kasy... Zawisł na chwilę w powietrzu, jakby pokonując niewidzialną przeszkodę i wówczas Levon strzelił... Alfred Kroll opadł na ziemię. Był to ostatni strzał w bitwie o fabrykę.

Do gabinetu Glassa wchodzili już żołnierze w polskich mundurach. Wbiegł młody oficer w stopniu kapitana. Zobaczył Klossa, który właśnie przy pomocy Levona i Ogniwka wstawał z podłogi.

- Kto to jest? - zawołał.

Nie zdążono mu odpowiedzieć. Do gabinetu wchodził pułkownik, kapitan wyprężył się natychmiast, chciał meldować, ale pułkownik machnął tylko ręką.

- Zostawcie nas samych — rozkazał.

Kapitan dopiero po chwili zrozumiał, że pułkownik ma na myśli siebie i ранego niemieckiego oficera.

- Myślę - rzekł Kloss z trudem - że będę mógł zdjąć już ten mundur.

Pułkownik podszedł do okna.

- Nie złapaliśmy Brunnera - powiedział.

Profesor Glass obudził się rano. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą niski, źle otynkowany sufit. Łóżko, na którym leżał, w niczym nie przypominało kanapki z jego domowego gabinetu. Było wąskie, żelazne, z rozprutego siennika sypała się słoma. Nic nie rozumiał, niczego nie mógł sobie przypomnieć... Skąd tu się wziął? Ile czasu minęło od chwili, gdy położył się spać w swoim gabinecie?

Wstał z trudem. Podszedł do wąskiego, zakratowanego okienka. Zobaczył uliczkę, którą znał... biegła od rynku w kierunku portu. Była zupełnie pusta... Ze wszystkich okien kamienicy naprzeciwko

zwisały białe prześcieradła.

Usłyszał stukot butów. Dołem szedł oddział wojska, ale to nie byli Niemcy. Śpiewali. Profesor nie rozumiał słów. Wsunął rękę między kraty i pchnął futrynę okna. Szkło rozbijało się na chodniku...

## SPOTKANIE NA ZAMKU

### 1

I Wojska szły na zachód. Szesnastego kwietnia dywizje 2 armii sforsowały Nysę Łużycką, korpus pancerny nacierał w kierunku Drezna, a na wschód wlokły się tłumy jeńców. Wojna nie była jednak skończona. Pancerne dywizje SS stawiały rozpaczliwy opór, w sztabach Wehrmachtu myślano o kontruderzeniach, które powstrzymać by mogły ofensywę na Berlin, feldmarszałek Schörner przygotowywał natarcie na północ.

W niewielkim niemieckim miasteczku, położonym na zachód od Nysy, mieścił się sztab 2 armii Wojska Polskiego. Na rynku postawiono tablicę z drogowskazami: kierunek Drezno, kierunek Budziszyn. Ciężarówki mijały wrak niemieckiego „tygrysa” i sunęły nieco pod górę, krętą szosą wijącą się jak biała wstążka po szczytach wzgórz. Z okna domku położonego niedaleko drogi widać było tę szosę, miasteczko i linię lasów, w których jeszcze trwały walki.

Oficer w mundurze majora odwrócił się od okna i spojrzał na jeńca, którego właśnie przesłuchiwał. Przesłuchania ciągnęły się już wiele godzin, major był zmęczony, ale gdy zadawał pytania po niemiecku i odnajdywał w oczach jeńca zawsze to samo lęklive zdziwienie, ogarniała go szczególna radość, jakiej w sztabie armii nikt chyba poza nim nie doznawał.

Oto po tylu latach noszenia niemieckiego munduru mógł być nareszcie sobą; nie grał, nie udawał, pozbył się dokuczliwej świadomości, że zdradzić go może byle gest, byle nieostrożne słowo.

Jeniec tkwił nieruchomo na krześle i oczekiwał na następne pytanie. Jeniec był oficerem w stopniu kapitana, nazywał się Broll i gdyby major wymienił nazwisko, które nosił był w armii niemieckiej, gdyby powiedział: Hans Kloss, okazałoby się niechybnie, że mają wspólnych znajomych, że już się gdzieś spotykali. Kapitan Broll pracował bowiem w Abwehrze i mógł dostarczyć informacji o ogromnym znaczeniu. Przesłuchanie wymagało więc uwagi i cierpliwości.

Tego samego zdania był na pewno siedzący przy biurku pułkownik; rozpiął mundur, ten kwiecień był niemal upalny, i ocierał pot z czoła.

- Powtórz pytanie — mruknął, zwracając się do majora.

- Pytani raz jeszcze — głos majora był twardy i ostry — gdzie Ring ukrył dokumenty?

Broll milczał. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Przejechał dłonią po nieogolonych policzkach.

- Pan major mówi po niemiecku jak...

- Mówię - przerwał mu sucho. Zastanawiał się, czy ten Broll naprawdę nie wie, czy udaje. Jego odpowiedzi wydawały się szczere, mógł jednak grać. Major wiedział, że ci ludzie umieją grać. Broll orientował się przecież, jakie znaczenie dla polskiego kontrwywiadu mają dokumenty Ringa. Archiwum Abwehrstelle Breslau.

Major słyszał o nim w czasie swej służby wywiadowczej; pułkownik Ring (spotykali się kiedyś z panem pułkownikiem) zajmował się werbunkiem agentów na ziemiach polskich. Przygotowywał ludzi, którzy mieli pozostać, dobrze zakonspirowani czekać na rozkaz, na sygnał, by rozpocząć pracę. Kloss musiał zdobyć to archiwum...

- Przysięgam, że nie wiem - powtórzył Broll.

Major słuchał brzmienia głosu. Niemiec mówił spokojniej, wydawał się teraz pewniejszy siebie.

-Więc twierdzi pan, że z pułkownikiem Ringiem spotkaliście się po raz pierwszy w Bischofsfelde?

- Tak - powiedział Broll.

- Pan kłamie! - krzyknął. -Wstać! - podniósł jeszcze głos i poczuł na sobie uważny wzrok pułkownika. -W styczniu uczestniczył pan w odprawie oficerów służby wywiadowczej we Wrocławiu...

- Tak - szepnął Broll. - Skąd pan wie? - Teraz się znowu bał. -Ale...

- Gadać prawdę!

- Wtedy zamieniliśmy tylko parę słów. Obojętnych. Spotkałem go dopiero w Bischofsfelde, parę godzin przed przyjściem waszych wojsk. Miał własną obstawę...

-I wiózł archiwum?

- Tak. Dostarczyłem mu benzyny. Powiedział mi tylko, że archiwum ukryje gdzieś w pobliżu. Nie powiedział, gdzie.

- Domyśla się pan?

- Panie majorze - głos Brolla załamywał się na wysokich nutach. -Ja chcę mówić prawdę... Pan i tak dużo wie, a ja...

- Co jeszcze powiedział?



- Że zostawia kogoś, kto będzie pilnował - wyduślił z siebie Niemiec.

- Gdzie się zatrzymał w Bischofsfelde?

- U swojego krewnego. Też Ringa. Aptekarza. To znaczy u jego rodziny, bo aptekarza powołano do wojska. Był tam ze dwie godziny...

Major zadał jeszcze kilka pytań. Broll powtarzał w kółko to samo; może istotnie nie wiedział? Ring był doświadczonym oficerem Abwehry. Po co miałby informować tego człowieka?

Pułkownik również doszedł do wniosku, że jeniec powiedział wszystko, co mu było wiadome. Gdy Brolla wyprowadzono, podsunął majorowi szklankę z herbatą. Herbata była zimna i zbyt słodka. Milczeli, żaden z nich nie chciał pierwszy powiedzieć tego, co im obu jednocześnie przyszło na myśl. Pułkownik wyciągnął spod stołu flaszkę i rozlał wódkę do kubków. Z daleka doszedł pogłos artylerii.

- Z południa - powiedział major.

- Porucznik Nowak - stwierdził pułkownik - przeszukał okolice Bischofsfelde. Jest tam zamek, jezioro, sporo lasów... Nic nie znalazł. Żadnych śladów...

Obaj o tym wiedzieli. Wiedzieli także, że jeśli ten albo ci, których Ring zostawił do pilnowania archiwum, dojdą do wniosku, że dokumenty są w niebezpieczeństwie, raczej je zniszczą, niż pozwolą, żeby wpadły w ręce polskie.

- Musimy mieć to archiwum - powtórzył nie wiadomo po raz który pułkownik.

Major podszedł do okna. Patrzył na drogę biegnącą na zachód i myślał, że znowu się zaczyna, że znowu trzeba wrócić do roli, o której najchętniej by zapomniał.

- Kiedy mogę jechać? — zapytał.

Nareszcie zostało to powiedziane...

- Pamiętaj, że nie wydaję ci takiego rozkazu - oświadczył pułkownik. - Jesteś u nich spalony...

- W Bischofsfelde są nasze oddziały...

- Nasze - burknął pułkownik. - Nie jedziesz do dowództwa korpusu pancernego. Tam jest front! Diabli wiedzą, co może się zdarzyć.

Major wybuchnął śmiechem. Jak zwykle, gdy przystępował do planu akcji, opuszczały go wahania i niepokoje; myślał o szczegółach, do których przywiązywał ogromną wagę, albowiem od nich najczęściej zależało wykonanie zadania.

- Muszę mieć dobrą legendę - powiedział. - Zwiewałem z okrążenia, oczywiście po cywilnemu, idę do sztabu Schórnera. Chyba coś takiego.

- Do pomocy dam ci porucznika Nowaka. Będzie utrzymywał kontakt z dowództwami jednostek. Udzielisz mu instrukcji. To zręczny chłopak, nie zdekonspiruje cię.

Major milczał. Był już znowu kapitanem Hansem Klossem, wcielał się powtórnie w tę skórę; spojrzął na zegarek. Niedługo zapadnie mrok, porucznik Nowak podwiezie go bliżej Bischofsfelde, do miasteczka wejdzie już oczywiście sam. Potarł dłonią policzki. Dobrze, że rano nie zdążył się ogolić — powinien mieć zarost, powinien być zmęczony i głodny; oficer, który od wielu dni włóczy się po lasach...

-My oczywiście nic nie wiemy o tej rodzinie Ringa? -zapytał jeszcze.

Pułkownik przecząco pokręcił głową.

## 2

„Apotheke Johann Ring" mieściła się na jednej z wąskich uliczek Bischofsfelde, niezbyt daleko od rynku. Na rynku stał teraz polski czołg, a przed gmachem, w którym niedawno jeszcze stacjonował niemiecki sztab, spacerował wartownik z orłem na hełmie. Z okien kamienic zwisały białe flagi, mieszkańcy siedzieli w domach i z trwożliwym niepokojem wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z ulicy. Przejeżdżały ciężarówki, turkotały po bruku działa, czasami rozległa się piosenka; niezrozumiałe słowa wydawały się groźne i niosące zapowiedź zemsty: „Za górami, za lasami tańczyła Małgorzatka z huzarami”.

Inga Ring stała przy oknie i przez szparę w zasłonie widziała twarze żołnierzy. Wszyscy wydawali się jednakowi i groźni; szli na zachód, w głąb Niemiec, a ich marsz, ich triumf były chyba nieodwracalne. Inga poczuła się nagle bardzo stara; miała dopiero siedemnaście lat, ale w ciągu ostatnich paru dni przeżyła dwukrotnie trzęsienie ziemi.

Najpierw przyszli oni. Właściwie najpierw przeżyła to, w co jeszcze przed paru tygodniami nie byłaby w stanie uwierzyć: strach.

Stryj przyjechał na kilka godzin. Przywiózł list od ojca, powiedział, że ojciec został w obleżonym Wrocławiu, a potem spoglądał co chwila na zegarek i wybiegł z domu, nawet się z nią nie zegnając, gdy tylko odjechały ciężarówki z obstawą.

Schenk, który objął po ojcu aptekę i jeszcze tego samego dnia rano wykrzykiwał, że zwycięstwo jest pewne, ściągnął ze ściany portret fuehrera i wywiesił w oknach prześcieradła. Anna-Maria Elken (może zresztą nazywała się inaczej) zakopała w ogródku swój SS-mański mundur i oświadczyła, że jest pielęgniarką z Hamburga i ma odpowiednie dokumenty. Berta zgodziła się, by Anna-Maria zamieszkała tymczasem u nich; właściwie tylko Berta się nie zmieniła; w kuchni nad jej łóżkiem wisiała maleńka fotografia wodza. To znaczy wisiała do obiadu, bo panna Elken, nie pytając Berty, zdjęła ją potem i rzuciła do ognia.

Wydawało się, że wszystko, czym żyli przez tyle lat, przestało nagle istnieć. Inga nigdy nie

zapomni tych paru godzin przed wkroczeniem Polaków: w miasteczku panowała cisza, jakby wojna o nich zapomniała, a na ulicach, pod domami gromadzili się w trwożliwym oczekiwaniu ludzie, którzy jeszcze wczoraj nosili mundury partii, Volkssturmu lub SA. Nikt nie myślał o obronie. Fuehrerka Bund Deutsche Madel w jaskrawej sukience ciągnęła ze sklepu do piwnicy worek kartofli. Blockfuehrer NSDAP paradował w połatanej kurtce i w podartych butach. Wyglądał jak włóczęga.

- Co się stało z Niemcami? - zapytała Inga. Machnął tylko ręką.

Od szosy wrocławskiej nadciągali oni. Czujnie, z bronią gotową do strzału. Ulice już były puste, domy zawarte na głucho. Potem pojawił się czołg; stanął, Inga widziała jego kopułkę i obracające się działo.

Ale to wszystko nie było jeszcze najgorsze, najgorsze miało dopiero nadejść. Noc minęła bezsennie; słyszeli tupot butów na ulicach, serie z automatów, ostre głosy w nieznanym języku. Siedzieli wszyscy w dużym pokoju: Berta, Schenk, Anna-Maria i ona, bojąc się zapalić światło, a nawet głośniej rozmawiać. Inga pomyślała, że Niemcy niedawno byli w Polsce, że chodzili tak nocami po polskich miastach, ale ta myśl nie przyniosła ulgi. Wzmogła tylko strach.

- Dlaczego tak się stało? - szepnęła. - Powiedzcie mi, dlaczego tak się stało?

Tamci milczeli. Anna-Maria paliła bez przerwy papierosy, spacerowała nerwowo po pokoju, a nawet podeszła do okna.

-Niech pani uważa - ofuknął ją Schenk - mogą zobaczyć.

Rano Inga wybiegła do ogrodu. Dzień był piękny, prawdziwie wiosenny, szczyty wzgórz kolorowe, jak zwykle o tej porze. Zajrzała do altanki, najbardziej lubiła tę altankę, i stanęła jak wryta. Krzyk zamarł jej na wargach. Na ziemi leżała Marta. Miała podartą suknię, a lewe ramię przewiązane szmatami. Gdy Inga pochyliła się nad nią, otworzyła oczy.

-Marto, Marto... - szepnęła.

Nie mogła jeszcze uwierzyć, że to ona. Widywała ją przynajmniej raz na tydzień; w każdą niedzielę biegła do zamku Edelsberg. W oficynie, w maleńkim, schludnym pokoiku, mieszkała Marta.

Mieszkała tam chyba od początku świata. Kiedyś, w czasach, których Inga już nie pamiętała, jej mąż był rządcą w majątku hrabiego. Mąż umarł, a Marta została na prawach wiecznej rezydentki. Gdy hrabia z rodziną opuścił zamek i zwolnił całą służbę, ona jedna nie chciała wyjechać. Nie miała dokąd. Inga namawiała ją, żeby przeniosła się do miasta, do nich, była podobno daleką krewną Ringów, ale Marta nie chciała. Przywykła do zamku.

- Polacy - szepnęła Inga - ranili cię Polacy. Zabiorę cię zaraz do domu, zrobimy opatrunek...

— Nie do was — powiedziała Marta. — Nie chcę do was.

Inga nie rozumiała, myślała, że Marta majaczy, ale stara kobieta odzyskała jakby siły.

- Dziecko - szeptała - nikt nie może wiedzieć, że tu jestem. Słyszysz: nikt prócz ciebie. — I potem stało się to najstraszniejsze. Marta opowiadała z trudem, powtarzając niektóre zdania, nieskładnie i niezręcznie, ale sens był jasny. To nie Polacy do niej strzelali. Strzelał pułkownik Ring, stryj Ingi, ten sam Ring, którego Marta знаła niemal od dzieciństwa...

Było tak: w południe Marta usłyszała warkot motorów. Stała w drzwiach oficyny, przygotowana na najgorsze, bo myślała, że to już Rosjanie albo Polacy.

Zobaczyła Niemców. Wyskakiwali z ciężarówki, a z samochodu osobowego wysiadł oficer, którego poznała natychmiast: Ring. Chciała biec ku niemu, ale zawahała się, sama nie umie wyjaśnić dlaczego, i pozostała na progu, a nawet cofnęła się nieco w głąb ciemnej sieni.

SS-mani trzymali w garściach pistolety maszynowe, a cywilni robotnicy wynosili skrzynie z ciężarówek. Marta zobaczyła, że Ring wskazuje im, znane tylko hrabiemu i jeszcze może dwum, trzem osobom, wejście do lochów zamkowych, starannie ukryte w ogrodzie. Odwalili płytę, a potem, gdy robotnicy wyszli z lochów, Marta usłyszała krótkie serie z automatów. Nie chciała wierzyć, nie mogła ciągle uwierzyć... Mężczyźni w cywilnych łachach opadali na ziemię, jeden jeszcze czołgał się po ścieżce, pułkownik dobił go z pistoletu. Ciała ładowali na transporter.

Stłumiła krzyk, a potem zobaczyła SS-mana, który podbiegł do Ringa i wskazywał mu drzwi prowadzące do oficyny. Słów nie słyszała, ale była już pewna, że SS-man ją zobaczył.

I wtedy pomyślała, że najbezpieczniej będzie w parku, wybiegła z oficyny, usłyszała krzyk Ringa i dostrzegła podniesiony pistolet. Rzuciła się do ucieczki, do parku gęstego jak las było jeszcze parę kroków, ale nie zdążyła; poczuła uderzenie, które nic a nic nie bolało, i upadła na ziemię. To ją pewnie ocaliło, że straciła przytomność, bo Ring nie sprawdzał już, czy żyje. Nigdy nie wątpił o celności swych strzałów, Marta pamiętała to z czasów, kiedy hrabia urządzał polowania. Gdy się ocknęła, panowała już cisza, ale ona bała się wrócić do zamku i przysła tutaj.

W głębi ogrodu znajdował się opuszczony domek, w którym mieszkał kiedyś ogrodnik. Inga przeniosła tam Martę, przysięgając, że nikomu, ani Bercie, ani Schenko-wi, ani Annie-Marii nie wspomni o niej. Ukradkiem wyniosła z domu koce i przygotowała Marcie coś do jedzenia; potem zrobiła jej opatrunek. Znała się trochę na tym, bo w BDM skończyła kursy sanitarne.

Mrok już zapadł, po bruku zaturkotały znowu działa, przejeżdżały ciężarówki, a żołnierze na ciężarówkach śpiewali. Inga stała przy oknie i patrzyła przez szparę w zasłonie. Starła się nie myśleć.

- Odejdź od okna - usłyszała głos Schenka. - Wczoraj u Poznerów znaleźli broń. Chodzą po mieszkaniach.

- Niech przyjdą - powiedziała. Ich strach, ich niepokój wzbudzał w niej teraz tylko nienawiść. Niechże wreszcie przyjdą i niech to się skończy.

Anna-Maria Elken stanęła za nią. Inga poczuła jej dłoń na ramieniu. Otrząsnęła się gwałtownie.

- Przestań, opanuj się. - Głos Anny-Marii był cichy, ale natarczywy. - Jesteś dorosłą dziewczyną.

Jakże ich teraz nienawidziła! Schenka, Anny-Marii, Berty i stryja, który uciekając strzelał do Marty. Odwróciła się od okna, widziała ich twarze, białe w gęstniejącym mroku.

- Czy wszyscy Niemcy - powiedziała spokojnie - są takimi tchórzami jak wy? Mam nadzieję, że nie wszyscy.

- Histeryzujesz - na twarzy Anny-Marii pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. - Chcemy po prostu przeżyć. Nic więcej...

- Przeżyć! Przeżyjecie, jeśli nie umrzecie ze strachu. Pani się też bez przerwy boi, że ktoś panią pozna. Pielęgniarka z Hamburga!

- Moje papiery są w porządku - oświadczyła Anna.

-Maria.

- A tak, oczywiście, w porządku! Wszyscy jesteście w najlepszym porządku... - Chciała coś jeszcze dodać, ale w tej chwili usłyszeli pukanie do drzwi. Nie było to pukanie natarczywe, raczej grzeczne, a nawet nieśmiałe, jednak znieruchomieli, przekonani, że nadeszło już najgorsze...

- Niech pan otworzy, panie Schenk - odezwała się wreszcie Anna-Maria.

-Dlaczego ja? Lepiej, żeby kobieta...

Inga spojrzała na nich pagardliwie i wyszła do przedpokoju. Sekundy wlokły się nieskończenie długo, wreszcie usłyszeli rozmowę po niemiecku, a potem na progu, wsparty o ramię Ingi, ukazał się młody mężczyzna, nie ogolony, w ubraniu podartym i zabłoconym. Odetchnęli z ulgą; ten człowiek, kimkolwiek był, nie wydawał się niebezpieczny. Zrozumieli jednak od razu, że stanowił niebezpieczeństwo. Wyprostował się z trudem, a potem wyrzucił rękę przed siebie. .

- Heil Hitler - powiedział. Milczeli. Jeszcze przed trzema dniami każde z nich odpowiedziałoby mechanicznie tym samym gestem.

- Czego pan chce? - zapytał Schenk odzyskując głos.

- Zobaczyłem szyld: Johann Ring - rzekł mężczyzna.

- Nie miałem siły iść dalej. Dziś wtorek?

- Czwartek — powiedziała Inga przyglądając mu się uważnie. W jego twarzy było coś, co wzbudzało zaufanie. Pomyślała, że ten człowiek na pewno nie jest tchórzem.

- Straciłem rachubę czasu - ciągnął. - Jeśli czwartek, to już dziesięć dni, i zawsze tylko nocami, jak złodziej we własnym kraju...

- Kim pan jest? - Głos Schenka zabrzmiał natarczywiej.

Mężczyzna popatrzył na niego i Schenk cofnął się odruchowo.

- Kim jestem? - powtórzył. - Gdyby mnie złapali Rosjanie, nie zadaliby takiego pytania. Dawno tu są Rosjanie?

- Tu są Polacy. I szukają takich jak pan. Sprowadzi pan nieszczęście na to dziecko. - Schenk wskazał Inge.

- O mnie proszę się nie martwić! - krzyknęła dziewczyna.

Mężczyzna zbliżał się do Schenka.

- A kim ty jesteś? Jak się właściwie nazywasz? — Powiedział to tonem dowódcy, przyzwyczajonego do wydawania rozkazów i otrzymywania ścisłych odpowiedzi.

Schenk wyprostował się odruchowo.

Wie, jak rozmawiać z takimi jak on - pomyślała Inga.

- Schenk. Wilhelm Schenk.

- Jesteś Chińczykiem?

-Nie. Jestem Niemcem.

- Więc pokaż, jak wygląda niemieckie powitanie! No, pokaż! - Był to już niemal krzyk.

Schenk zwarł obcasy i wykrzyknął: - Heń Hitler! -Wydawał się teraz innym człowiekiem. To ciągle działało. Berta była także wzruszona; podsunęła mężczyźnie krzesło i oświadczyła, że przyniesie coś do zjedzenia.

W mieszkaniu Ringów zapanował nagle inny nastrój; warkot motorów i głosy dobiegające z ulicy zdawały się mniej straszne i bardziej odległe. Tylko na wargach Anny-Marii Elken zawitał ironiczny uśmiech; przyglądała się nowo przybyłemu z ciekawością, z jaką patrzy się na egzotyczne zwierzę.

- Powiedzmy - zaczęła spokojnie - że udzielimy panu gościny...

- W którym imieniu... - przerwała Inga.

- Chcesz go wypędzić?

- Nie.

- Więc siedź cicho. - Anna-Maria zwróciła się znowu do mężczyzny. - Chciałabym jednak

wiedzieć, z kim mamy przyjemność...

Berta postawiła na stole talerz z zupą i mężczyzna wziął się łapczywie do jedzenia. Nie odpowiedział. Dopiero gdy wyskrobał resztę kaszy z talerza, zwrócił się do Anny-Marii:

-Najpierw- stwierdził cicho -powie pani, kim pani jest.

- Pielęgniarką z Hamburga! - wykrzyknęła Inga.

Anna-Maria wahala się, potem podjęła decyzję. Wstała.

- Anna-Maria Elken, sturmfuehrer SS. Ostatni przydział służbowy: Goerlitz.

Mężczyzna otarł usta szmatką przypominającą chusteczkę.

- Kapitan Hans Kloss - powiedział. - Ostatnio oficer kontrwywiadu przy sztabie 175 dywizji.

- Grupa Armii „Środek” - stwierdziła Fräulein Elken.

-Jest pani dobrze poinformowana.

- A tak. Dlaczego przedzierał się pan właśnie wtedy?

- Śledztwo? — Kloss uśmiechnął się. — Byłem w okrążeniu. Do Odry — w mundurach, potem — każdy na własną rękę.

-I przypadkowo znalazł się pan w tym domu?

- W domu, w którym wcale nie jest bezpiecznie - wtrącił Schenk.

- Pułkownik Helmuth Ring jest z tej samej służby co ja, wiedziałem, że stąd pochodzi. U kogóż, jak nie u jego rodziny, mogłem szukać schronienia? Wystarczy?

- Pan znał mojego stryja? - zapytała Inga.

- Znałem. To wspaniały człowiek.

Nikt na pewno nie spodziewał się takiej reakcji Ingi.

Zerwała się z krzesła.

- Wspaniały! - krzyknęła. - Pan też mówi, że wspaniały! Wszyscy jesteście tacy sami! Tchórze!

- Nie wolno tak mówić o stryju! - Berta podniosła głos.

- Nie wolno? - Inga nie panowała już nad sobą. - Czy sądzisz, że strzelanie do starych kobiet jest zajęciem godnym Niemca i mężczyzny?

- Co ty wygadujesz? Kto ci to powiedział? -W głosie Schenka dźwięczała nie tajona groźba. - Twój stryj nigdy nie strzelał do kobiet.

- Owszem, strzelał. Do kobiety! Do Niemki! - Cofała się do ściany; ogarnął ją nagle strach, nie poznawała ich: Schenka, Berty, Anny-Marii... Zbliżali się do niej groźnie.

- Kto ci mówił? - Schenk chwycił ją za ramię.

- Opowiedz natychmiast wszystko! -W głosie Anny-Marii pojawiły się metaliczne tony.

- Masz przed nami tajemnice! Kłamiesz albo fantazjujesz... - to Berta.

- Nie, nie! - krzyknęła Inga. - Nie kłamię! Strzelał w zamku Edelsberg... -Natychmiast zamilkła, bo zrozumiała, że powiedziała zbyt dużo. Ale oni zasypali ją pytaniami.

Milczała, przyciśnięta do ściany. Kloss, który przyglądał się tej scenie początkowo dość obojętnie, nagle zareagował.

- Skończyć z tym śledztwem - nie podnosił głosu, po prostu wydał rozkaz.

Odwrócili się do niego natychmiast.

- Proszę się nie wtrącać! To są sprawy rodzinne - wykrzyknął Schenk.

- Powiedziałem: skończyć z tym śledztwem - powtórzył Kloss. - Inga nikomu niepowołanemu nie zdradzi żadnej tajemnicy. Prawda, Inga?

- Prawda - powiedziała cicho i spojrzała z wdzięcznością na Klossa.

### 3

Zaprowadziła go do gabinetu ojca. Rozesała pościel na tapczanie. Przyglądał się jej uważnie. Co naprawdę wiedziała? Co zaszło w zamku Edelsberg? Mógł to sobie wyobrazić, należało tylko uzyskać potwierdzenie.

Więc jednak zamek! Reakcja tamtych: Berty, Schenka, Anny-Marii świadczyła, że oni także coś wiedzą albo chcą wiedzieć. Jedno z nich może być pozostawionym tu przez Ringa psem łańcuchowym, pilnującym archiwum. Które?

Wyciągnął papierosy. Inga także poprosiła o papierosa.



- Już palisz? - zdziwił się. Zrozumiał natychmiast, że popełnił pierwszy poważny błąd. Ludzie ukrywający się w lasach nie miewają papierosów.

- Zapas - powiedział - uratowaliśmy z magazynów pułkowych.

Można by kazać dokładnie przeszukać zamek. Nowak nawiązał już kontakt z dowództwem jednostki stacjonującej w miasteczku. Oczywiście nic nie powiedział o Klossie; zameldował tylko dowódcy pułku, że przybył tu z zadaniem specjalnym. Kloss spotkał się z nim przed przyjściem do Ringów; rozmawiali parę minut w bramie opuszczonego domu. Ta brama wydała się zresztą Klossowi dobrym miejscem, pozostanie jako punkt kontaktowy.

Nowak był niespokojny, opowiadał o rozmowie w dowództwie. Pułkownik stracił kontakt z dywizją, sytuacja na froncie komplikowała się, na południu stwierdzili obecność większych niemieckich jednostek pancernych. Nie wiadomo, skąd tam się wzięły. Nic więc dziwnego, że dowódca pułku przyjął Nowaka niechętnie. Palnął mówkę na temat działalności różnych wysokich sztabów, które zamiast 76-tek przysyłają oficerów do zadań specjalnych.

Nie będzie pewno zachwycony, gdy każe mu się wyznaczyć ludzi do przetrząsania zamku, ale zadanie oczywiście wykona... Tylko czy należy postawić mu to zadanie? Jeśli nic nie znajdą, a poszukiwania na ślepo zajmą im na pewno sporo czasu, ostrzegą tamtych... Nie można przecież wykluczyć, że Niemcy przygotowali się do zniszczenia archiwum.

Kloss postanowił przeprowadzić najpierw rekonesans osobiście. Jeśliby mógł ustalić, co wie naprawdę Inga? I kto jest psem łańcuchowym jej stryja?

Palila papierosa stojąc przy drzwiach. Kloss podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Nie cofnęła się.

- Dlaczego nie usiądziesz?

-Ja już sobie pójdę.

- Poczekaj. Czy ta kobieta, o której mówiłaś, żyje?

Inga milczała. Jej oczy spoglądały teraz nieufnie.

- Dlaczego pan pyta?

Więc żyje - pomyślał Kloss. - W przeciwnym wypadku Inga zareagowałaby inaczej. Ona przecież nie boi się zdrady tajemnicy Ringa, bo nic o niej nie wie. Boi się o tę kobietę.

- Pytam - powiedział - bo jeśli ona żyje, grozi jej niebezpieczeństwo. Mieszkała na zamku?

- Tak - szepnęła Inga.

-I widziała - ciągnął Kloss, starając się wyobrazić sobie tę scenę. Pamiętał przesłuchanie jeńca. Ten Niemiec, Broll, mówił o dwóch ciężarówkach i samochodzie osobowym. - I widziała -

powtórzył - jak przyjechały dwie ciężarówki i samochód osobowy. Wyładowano paki...

- Skąd pan wie? — krzyknęła dziewczyna. Spoglądała na mego z lęklwym zdumieniem.

Ta kobieta wie, gdzie Ring schował dokumenty — myślał Kloss. Rozumiał jednak, że zadawanie dalszych pytań nie miało już sensu. Zamek - to obszerny kompleks budynków, ogród, park, przystań nad rzeką, zapewne jakieś lochy i przejścia podziemne. Ilu trzeba ludzi, żeby to dokładnie przeszukać... My nie musimy się spieszyć, ale Niemcy... mogą zniszczyć archiwum, kiedy zechcą. Uświadomił to sobie raz jeszcze i pomyślał, że odnalezienie kobiety z zamku jest jednak sprawą ogromnej wagi.

Inga wie, gdzie jej szukać. Powie? Nie, raczej nie, straci tylko zaufanie, jeśli on teraz o to zapyta. Może kazać Nowakowi przesłuchać Ingę w dowództwie jednostki? Także zbyt ryzykowne... Wymaga dużo czasu i cierpliwości, a rezultaty...

- O czym pan myśli? - zapytała Inga.

- Uważaj na siebie - powiedział. - I jeśliby potrzebna ci była pomoc...

- Dziękuję - szepnęła. Zniknęła w ciemnym korytarzu.

Po paru sekundach usłyszał jej krzyk. Szarpnął drzwi i namacał w kieszeni bezpiecznik broni. Smuga światła z pokoju przecięła korytarz.

- Nic, nic się nie stało. — Głos Berty był spokojny, a nawet nieco drwiący. - Fräulein Inga jest po prostu zbyt nerwowa. Nie poznała mnie w ciemnościach.

Wrócił do pokoju, zgasił światło i otworzył okno. W domu panowała cisza, ale Kloss był przekonany, że przynajmniej dwie osoby czuwają, Inga i ten ktoś, kogo zostawił Ring. Czy nie mylił się sądząc, że człowiek Ringa mieszka w tym domu? Nie, chyba nie popełnia błędu. Zakłada zresztą, że jeszcze ktoś może być na zamku.

Usiadł na tapczanie i wsłuchiwał się w ciszę. Gdzieś szcęknęły drzwi, może okno; na ulicy panowała nieprzenikniona ciemność. Klossowi zdawało się, że dostrzegł cień przytulony do muru kamieniczki. Inga? Może Berta? Chociaż... Przecież nie tylko ona chciała wiedzieć, gdzie jest kobieta z zamku. Człowiek Ringa musi naprawić błąd swego przełożonego.

Nagle, gdy tak oparty o framugę okna wsłuchiwał się w panującą wszędzie ciszę, zobaczył na wzniesieniach otaczających miasteczko ostre, podłużne pasma światła. Potem zaterkotały gdzieś bardzo blisko działka przeciwpancerne i rozwrzeszczał się, plując gęstymi seriami, ciężki karabin maszynowy. Oznaczało, to, że front, który jeszcze przed paroma godzinami był daleko na zachód od Bischofsfelde, nagle znalazł się tuż pod miastem.

Kloss zrozumiał, że musi się bardzo spieszyć. Wyskoczył przez okno i przylgnął do muru; ulica była pusta i ciemna. Tylko południowa strona nieba jaśniała migotliwym blaskiem. Grzmot dział narastał i już nie milkł.

Od szosy - ciemna aleja okolona drzewami. Czarny kontur zamku Edelsberg przypominał kiczowaty rysunek z bajki o duchach i czarownicach... Zarys murów i baszt na tle płonącego nieba.

Wyciągnął z kieszeni broń, odbezpieczył. Na dziedzińcu żwir chrzęścił pod butami. Kloss zrobił parę kroków w kierunku podjazdu, potem uskokzył za drzewo. Obserwował zamek z uwagą i napięciem. Okna były zamknięte i ciemne, ale gdy mijał bramę, zdawało mu się, że w jednym z nich, na pierwszym piętrze, pojawiło się migotliwe światelko. Czekał. Błysnęło znowu w oknie prawego skrzydła. Na zamku ktoś był.

Kloss zrozumiał, jak bardzo trudnego podjął się zadania. Przeszukiwać zamek? Nonsens... Gdyby można było zmusić do mówienia tego, kto pilnował archiwum? Jedyne szansa! Może należało jednak wziąć ze sobą Nowaka?

Rozmawiał z porucznikiem, zanim tu przyszedł. No-wak czekał w „ich” bramie; zameldował natychmiast, że sytuacja jest bardzo zła. Dowódca pułku nie chciał z nim w ogóle gadać! Tam jest zresztą sądny dzień, w pułku. Udało im się uzyskać łączność z dowódcą dywizji dopiero za pośrednictwem artylerii; trwają ciężkie walki obronne z nacierającymi z południa niemieckimi dywizjami pancernymi. Pułk prawdopodobnie opuści Bischofsfelde.

- Trzeba było powiedzieć dowódcy, jakie masz zadanie - stwierdził Kloss.

- Nie miałem rozkazu, panie majorze - szepnął Nowak. A potem zapytał, jakby Kloss mógł wiedzieć: - Co się właściwie stało na froncie?

- Prawdopodobnie Schórner usiłuje przebić się na północ - rozważał Kloss. - Ta kotłownina może potrwać parę dni.

- A jeśli wrócą tu Niemcy?

- Nie na długo. Ja zostanę. Ty wycofasz się razem z pułkiem. - Od razu podjął tę decyzję. Nie miał zresztą innego wyboru.

- Pan major zostanie sam?

- Zawsze byłem sam - uśmiechnął się. - Jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, będziesz mi jeszcze potrzebny rano. Zapytaj dowódcy pułku, czy istnieją możliwości przydzielenia do naszej dyspozycji dwóch plutonów na parę godzin.

- Wątpię - powiedział Nowak

- Gdybym był na jego miejscu, też bym nie dał - mruknął Kloss.

Światelko nagle zgasło, potem pojawiło się znowu. Kloss ruszył ostrożnie przez dziedziniec.

Drzwi wejściowe, ciężkie drzwi do głównej sieni zamku, były uchylone. Minał je jednak i obszedł budynek wokoło: znalazł to, czego szukał: wejście służbowe, oczywiście zamknięte, ale on nie rozstawał się ze swoim scyzorykiem, zawierającym komplet wytrychów.

Wąskim korytarzykiem dotarł do głównej sieni; szedł po omacku, zapalenie latarki byłoby zbyt niebezpieczne. Nie zamierzał zresztą przeszukiwać zamku; chciał zaskoczyć człowieka, którego, był tego pewien, pozostawił tu Ring. Wąty płomyk zapalniczki oświetlił szerokie schody; skradał się po nich na palcach.

Na korytarzu pierwszego piętra było już znacznie widniej. Duże okna wychodziły na południe. Kloss zobaczył znowu płonące niebo. Rakiety padały niedaleko miasta, wydobywając z mroku linię lasu i zarysy budynków. Długi rząd zamkniętych drzwi. Kloss mijał je ostrożnie, przystając i nasłuchując. Wszędzie panowała cisza. Wreszcie, już na końcu korytarza, spostrzegł jedne drzwi lekko uchylone. Przez szparę zobaczył światelko, potem światelko zgasło. Ktoś, podobnie jak on, posługiwał się zapalniczką. Bardzo krótko, parę sekund widział zarys postaci. Człowiek z tamtej strony zbliżał się do drzwi, szedł dość pewnie, nie podejrzewając, że gdy stanie na progu... Kloss, przytulony do ściany, czekał... Drzwi skrzypnęły, zobaczył dłoń z pistoletem, uderzył kolbą, broń upadła na podłogę...

- Ręce do góry — powiedział.

Przed nim stała Anna-Maria Elken w płaszczu deszczowym i berecie na głowie. Pomyślał, że spodziewał się jednak kogoś innego, choć właściwie od początku powinien był podejrzewać, że Ring powierzy zadanie strzeżenia archiwum właśnie kobiecie. Panna Elken spoglądała na niego z pogardą i nienawiścią.

- Przypadkowy gość Ringów - szepnęła. - No, strzelaj, na co czekasz?

Kloss wepchnął dziewczynę do pokoju, który przed chwilą opuścił. Oświetlił ją latarką i trzymając ciągle pod pistoletem, podszedł do okna, by zasunąć zasłony. Przekreślił kontakt, zapłonęły żarówki w żyrandolu... Sam był zdziwiony. Elektrownia w Cottbus ciągle działała. Pokój był niewielki i dość przytulny. Pod oknem stało niewielkie biurko, w rogu kanapa i foteliki. Na ścianie wisiał wielki portret Bismarcka.

- Siadaj - powiedział Kloss - i mów. - Był zdecydowany wyciągnąć z niej wszystko. Jeśli zostawił ją Ring, musiała znać miejsce, w którym schowano archiwum. - Zapalisz? - zapytał.

- Zapalę - odpowiedziała, przyglądając mu się uważnie. - Jak na oficera służby Ringa zachowuje się pan dość grzecznie.

- Dziękuję - mruknął. Nie chowając pistoletu, podał jej ogień. —Jeśli powie pani wszystko i prawdę — oświadczył \_ istnieje pewna szansa.

Zaciągnęła się dymem i nagle wybuchnęła śmiechem.

-Wszystko i prawdę! Wy nie wypadniecie nigdy z roli! A mogłabym sobie łatwo wyobrazić, że

to ja zadawałabym pytania...

Co wie? Czego się domyśla? Za kogo go bierze? Jaką rolę powinien grać, żeby wyciągnąć z niej jak najwięcej?

Strząsnęła ostrożnie popiół.

- Mogłabym - rzekła powoli - spróbować jeszcze gry w ciuciubabkę. Podać panu parę rozmaitych historyjek wyjaśniających, dlaczego wybrałam się na spacer właśnie do zamku Edelsberg. Rezygnuję. Zakładam, że Ring powierza ważne zadania inteligentnym oficerom.

Teraz Kloss był zaskoczony. Bierze go za człowieka Ringa? Prowokuje? Kim jest ta dziewczyna?

- Po co pani tu przyszła?

Wydawała się zniechęcona. Rzuciła papierosa na podłogę.

- Już powiedziałam... Nie mam ochoty na wymyślanie historyjek. Postanowiłam zagrać z panem w otwarte karty. W końcu nie ma innego wyboru, Herr Kloss. Czy uważa się pan za uczciwego Niemca?

- Co to znaczy?

- Proste... Czy postanowił pan być lojalny do końca? A potem zginąć, oddać się do niewoli lub palnąć sobie w łeb?

To zaczynało być interesujące. Kloss już się domyślał, ale jeszcze nie był pewny. Czyżby Fräulein Elken?... Myśl wydała mu się nagle zabawna i z trudem powstrzymał się od śmiechu. Musiała zauważyć...

- Pan się uśmiecha, panie Kloss. Wolalabym, żeby schował pan pistolet, ale pan oczywiście tego nie zrobi. A ja mówię bardzo poważnie. Proszę sobie wyobrazić, że kapitan Hans Kloss, zamiast wykonywać do końca i bez powodzenia zadanie powierzone mu przez Ringa, znajdzie się w przyjemnym, neutralnym kraju z portfelem wypchanym prawdziwymi pieniędzmi...

Zaczynasz dość prymitywnie — pomyślał Kloss.

- Interesujące - mruknął. - Z jakiego to tytułu sturm-fuehrer Elken roztacza przede mną tak zachwycające perspektywy?

Była nawet niebrzydka, ta dziewczyna. I spokojnie patrzyła na pistolet, który ciążył już Klossowi w dłoni.

- Wyobraźmy sobie - ciągnęła - że zwróciłby się ktoś z propozycją handlową. Tak to nazwijmy.

-Kto?

- Ktoś, kto kupiłby chętnie trochę papierów, zupełnie w tej chwili bezwartościowych dla Niemiec... i bezwartościowych dla pułkownika Ringa, który je schował w tym zamku.

Intensywnie myślał. Prawdopodobnie pracowała dla Amerykanów lub Anglików. Oczywiście Amerykanów interesowało archiwum Abwehry; chcieliby je mieć i to nie po to, żeby przekazać Polakom. Nie można jednak także wykluczyć prowokacji.

- Dlaczego pani sądzi — zapytał ostro — że archiwum jest tutaj?

- Niech pan nie udaje, kapitanie. Tę informację zawdzięczam głupiej Indze, a pańska obecność na zamku potwierdza ją ostatecznie. Ring zlecił panu pilnowanie archiwum.

Kloss milczał.

- Proponuję transakcję korzystną.

- W mieście są Polacy - powiedział Kloss. Nie zamierzał oczywiście dekonspirować się przed tą dziewczyną. Gra wydawała się zabawna, ale niestety, nie zbliżała go do rozwiązania zagadki. Zdobył tylko jedną dodatkową informację: archiwum Ringa należy strzec także przed wywiadem amerykańskim.

- Wystarczy - ciągnęła - że pan powie, gdzie to jest. Polaków proszę się nie obawiać.

- A skąd wiesz - rzucił ostro - że z tą propozycją handlową zwracasz się do właściwej osoby?

- Wiem. Przybiegł pan tu, bo podejrzewał, że ktoś wykorzysta informację Ingi. Zlikwidował pan już tę kobietę, o której opowiadała?

- Nie masz złudzeń, co?

- Nigdy nie miałam złudzeń - powiedziała obojętnie. - Więc jak? Jaka jest twoja odpowiedź? Tylko bądź tak uprzejmy i oszczędź mi zbytecznego gadania.

Istotnie... nie mieli już o czym rozmawiać. Człowieka Ringa nie było widocznie w zamku. Jeśli nie jest nim Fräulein Elken, to...

- Jazda- rzekł Kloss, starając się nadać swemu głosowi dostatecznie stanowcze brzmienie. - Wracamy.

Anna-Maria spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co to znaczy?

- Po prostu: wracamy. Szybko. Idź pierwsza.

- Jeżeli chcesz mnie zabić po drodze, zrób to tutaj.

-Idź...

Szła bardzo powoli. Korytarz, potem główny hali... Gdy znaleźli się za drzwiami, Fräulein Elken stanęła.

-Wy lubicie strzelać z tyłu, co?

Czyżby była Amerykanką? - pomyślał Kloss. Walczyli przeciwko wspólnemu wrogowi, a przecież...

- Nie zatrzymuj się - burknął.

- Zastanów się jeszcze. Robisz cholerne głupstwo.

- Idź! - wrzasnął.

Poszła przed siebie dziedzińcem, żwir znowu chrząścił pod butami. Gdy znaleźli się na drodze, skoczyła nagle w bok, zrobiła to zręcznie, ale nie dość zręcznie, by nie zdążył strzelić, gdyby zechciał; ale on właśnie na to czekał; sądził, że spróbuje ucieczki. Schował spokojnie pistolet do kieszeni i zwolnił kroku. Trzeba jej dać trochę czasu, ciekawe, co teraz robi.

Gdyby mógł przewidzieć jej następne posunięcie, nie byłby taki spokojny...

## 5

Front był coraz bliżej. Gdy Kloss doszedł do domku Ringów, słyszał już bardzo wyraźne serie automatów. Gdzieś niedaleko, na łąkach, wybuchła mina z moździerza; żółty słup ognia piął się wysoko w górę. Pomyślał, że sytuacja musi być istotnie trudna, nie sądził jednak, by Niemcom udało się przedrzeć na północ.

Okno do jego pokoju było uchylone, w domu panowała cisza, ale Kloss nie wierzył tej ciszy. Nie śpią. Czekają. Mają nadzieję raz jeszcze zobaczyć hitlerowski Wehrmacht.

Pomyślał o kobiecie, o której mówiła Inga. Raniono ją na zamku Edelsberg, ale ona widocznie przyczołgała się do miasteczka, skontaktowała z Ingą i ukryła się gdzieś tutaj. Gdzie? Zapewne człowiek Ringa też chciałby to wiedzieć. Może on, Kloss, popełnił błąd, nie każąc Nowakowi przeszukać sąsiednich domów? Należało odnaleźć tę kobietę. Oznaczałoby to jednak dekonspirację, a jeśli Niemcy naprawdę wrócą? Choćby na parę godzin...

Okrzyknął dom i znalazł się w ogrodzie. Jeszcze tu nie był. Wąska ścieżka prowadziła do altanki. Zajrzał do środka, zapalił na chwilę latarkę. Na ziemi, wśród zeschniętych liści, leżała zakrwawiona szmata. Ta kobieta była tutaj? Z altanki ścieżka prowadziła dalej, w głąb ogrodu... gęste krzaki bzu, a gdy je minął, zobaczył ogrodzenie i maleńki domek, zapewne ogrodnika.

W oknie było ciemno. Drzwi otwarte. Kloss wszedł do wnętrza. Światło z okna padało na łóżko, na którym leżała kobieta. Zobaczył szeroko otwarte oczy, twarz zastygłą w grymasie strachu.

Kobieta nie żyła; niemiecki bagnet wbito po rękojeść.

Kloss poczuł się nagle winny; nie przewidział. Nie przewidział, że ten człowiek, którego zostawił Ring, będzie szybszy i sprawniejszy. Nie należało chodzić do zamku Edelsberg; należało czekać w domu aptekarza na następny ruch przeciwnika.

Kobieta z zamku domyślała się zapewne, co jej grozi. Przyszła do Ingi i prosiła o zachowanie tajemnicy. Gdyby on, Kloss, zdążył... Ogarnął go ten sam chłodny spokój, który odczuwał zawsze wtedy, gdy czekała go walka ze sprawnym i gotowym na wszystko przeciwnikiem. Teraz nie popełni już błędu.

Opuścił ogród i przez okno wrócił do swego pokoju. Siadł na tapczanie, zapalił papierosa. Nie chciało mu się palić, ale był bardzo zmęczony i czuł, że za chwilę zaśnie. Nie wolno mu było spać. Grzechotały 76-tki, a w domu trwała cisza, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek był pewien, że cisza jest tylko złudzeniem.

Co robi Fräulein Elken? Dlaczego zapytała o tę kobietę? Które z nich? Berta? Schenk? A może ktoś zupełnie inny? Powoli mijały minuty; zaczynało już świtać, szarość wypełniała ulice. Zamknął oczy, na chwilę stracił przytomność i zerwał się natychmiast z tapczanu, gdy usłyszał ciche kłapanięcie drzwi... Potem znowu cisza... Nad łąkami leżała mgła, bitwa jakby ucichła, mogło to oznaczać, że Niemców odrzucono, ale mogło to także oznaczać, że nasze oddziały opuszczają miasteczko.

Nagle - trzaśnięcie drzwiami tak ostre, że musiało zbudzić cały dom, jeśli ktokolwiek spał. Kloss usłyszał krzyk Ingi.

Skoczył natychmiast ku drzwiom, ale stanął w połowie drogi i bez pośpiechu ściągnął marynarkę i rozpiął koszulę. Pistolet wsadził do kieszeni, drugi - małego waltera - miał w bucie. Usłyszał kroki na korytarzu, po chwili był już na progu, w otwartych drzwiach.

Zobaczył ich wszystkich: Inge z bladą twarzą i nieprzytomnymi oczyma, Schenka - całkowicie ubranego, Annę-Marię, Bertę, wyglądającą zupełnie zwyczajnie - w sukni i fartuchu.

Inga krzyczała. Gdy Berta chciała do niej podejść, odskoczyła gwałtownie pod ścianę.

- Jesteście wszyscy - powiedziała spokojniej - nikt z was nie spał. - Zwróciła się nagle do Anny-Marii. - To ty! Ty wychodziłaś z domu. Słyszałam!

- Ingo, na miłość boską, co się stało?

-Jeszcze pytacie? A może to pan? Pan nawet nie zdążył się rozebrać?

Oczy Schenka patrzyły chłodno. Wzruszył tylko ramionami.

- Chciałam jej zanieść coś do jedzenia - mówiła Inga. -A ona...

- Kto?! - zawołała Berta.



- Marta Stauding. Teraz mogę już mówić. Ukryłam ją w domu ogrodnika, ale któreś z was widziało. Zamordowano ją. To moja wina - odwróciła się nagle do ściany i wybuchnęła płaczem.

- Tak — oświadczyła Berta. — To twoja wina. Należało nam wszystko powiedzieć, wzięlibyśmy ją do domu. Zabili ją widocznie Polacy.

- Polacy! - wybuchnęła Inga: - To nie Polacy strzelali do niej w zamku. To Niemcy!

Kloss poczuł na sobie uważny wzrok Anny-Marii.

To ty zabiłeś - mówiło jej spojrzenie.

- Każde z was mogło to zrobić! - krzyczała znowu Inga.

- Nie histeryzuj! - Bercie udało się jednak do niej podejść. - Teraz nie ma już sprawiedliwości. Teraz są Polacy...

Nagle ucichli wszyscy. Zesztywnieli. Usłyszeli stukot butów, a potem łomot do drzwi wejściowych.

- Otwierać! - krzyknął ktoś po polsku.

Czyżby Nowak zdecydował się na taki krok bez rozkazu? - pomyślał Kloss. - Sytuacja jest widocznie bardzo zła i postanowił mnie w jakiś sposób wyciągnąć. -Poczuł na sobie spojrzenie Anny-Marii. Ogarnął go nagle niepokój.

Inga otworzyła drzwi. Kloss zobaczył na progu sierżanta i dwóch szeregowych. Byli w hełmach, z automa-

tami gotowymi do strzału. Myślał, że za chwilę wejdzie Nowak; ale porucznik się nie pojawił.

- Fryce, rączki na kark! - powiedział sierżant i uśmiechnął się. - Po waszemu: Hande hoch!

Wykonali rozkaz. Sytuacja zaczynała być wyjątkowo idiotyczna. Kloss myślał już tylko o tym, co powie Nowakowi. Ale go pułkownik ubrał!...

Sierżant pochodził zapewne ze Śląska, wtrącał co chwila niemieckie słowa.

- No, szwaby... tylko bez szwabskiego kręcenia. Który z was nazywa się Kloss?

-Ja-powiedział.

Obszukano go dość bezceremonialnie. Nie, w tym nie było żadnej gry, działali zupełnie serio. Żołnierz wyciągnął mu pistolet z kieszeni, potem waltera z buta. Zabrał dokumenty. Kloss spojrzał na Annę-Marię i nagle zrozumiał; w każdym razie zdawało mu się, że rozumie. Ona przecież musiała się go pozbyć. Jak to zrobiła?

- Cały arsenał - oświadczył sierżant. - No, marsz, marsz do drzwi... Kto tu jest właścicielem mieszkania? Ty? - zwrócił się do Schenka.

-Ja jestem tylko pomocnikiem aptekarza, panie oficerze - stwierdził Schenk. - Gospodynią jest ta panna - wskazał Inge.

Sierżant wziął ją pod brodę.

- No, jeśli jeszcze jednego u ciebie znajdę, to się nie pozbierasz. Macie szczęście, że nie jesteśmy szwaby. Oni za takie rzeczy wszystkich pod mur. - Uderzył Klossa w plecy i wyszli z mieszkania.

Było już zupełnie jasno. Gdy znaleźli się na ulicy, zagrzecotała znowu artyleria. Niedaleko, na rynku, wybuchnął pocisk; fontanna ziemi i piasku wytrysnęła w górę.

Przywarli na chwilę do muru, ale gdy ruszyli w kierunku sztabu, rozszalało się piekło. Niemiecka artyleria ostrzeliwała rynek; zobaczyli osuwającą się ścianę narożnej kamienicy, na chwilę zapanowała ciemność, czuli w gardle i płucach piasek, potem kurz opadł, a przez rumowisko przedarł się polski czołg. Odchodził na północ...

- Panie sierżancie - szepnął jeden z żołnierzy - major powiedział, żeby fryca zastrzelić, jeśli nie zdążymy doprowadzić do sztabu. Kulka w łeb i koniec.

Sytuacja z idiotycznej stawała się naprawdę niebezpieczna. Klossa opanowała chłodna wściekłość; mogło przyjść to, czego zawsze obawiał się najmocniej: śmierć od polskiej kuli. Nie zamierzał przecież rezygnować; nigdy dotąd nie rezygnował z walki. Czuł na plecach dotyk lufy automatu; ręce kazano mu trzymać ciągle na karku. Jeśliby nawet powiedział tym chłopcom, jeśliby się nawet zdekonspirował, czy uwierzą?

Sierżant wahał się jednak. Widać było, że to chłopak obeznany z frontem i nie podejmujący pochopnych decyzji.

- Może zdążymy - powiedział.

Ruszyli naprzód. Artyleria umilkła, zaterkotały kaemy, trzaskały kule karabinowe, usłyszeli bliskie wybuchy granatów. Ulica, jeszcze przed chwilą pusta, stanie się za chwilę terenem boju. Przez miasto odchodziła polska artyleria. Żołnierze przystawali za załomkami murów, klękali na kamiennych płytach i znowu odskakiwali w tył. Zobaczyli dwóch chłopców z rusznicą ppanc.

- Nie ma rady - oświadczył spokojnie sierżant. – Sztab już pewno zmienił m.p. Nie zdążymy Weszli do najbliższej bramy.

Kloss pomyślał, że w zasadzie sierżant miał rację. Gdy jazgot automatów umilkł na chwilę, słyszał już wyraźnie warkot motorów. Niemieckie jednostki pancerne wchodziły do miasteczka. Należało działać. Zdjął ręce z karku, wsadził je do kieszeni.

- Chłopcy - powiedział po polsku - musicie mnie jednak doprowadzić do sztabu. Jeśli zmienił

m.p., znajdziemy go później na północ od miasta.

- Ty mówisz po polsku! - krzyknął sierżant.

- A mało to fryców mówi po polsku - zawołał ten sam żołnierz, który znalazł waltera w bucie. - Chce się wykpić od śmierci. Gdzie go teraz będziecie ciągnąć za sobą!

- Zrobicie głupstwo - Kloss zwracał się tylko do sierżanta. - Nikt was za to nie pogłodzi po główce.

Bliski wybuch. Kloss rozpoznał natychmiast: strzelało niemieckie działo pancerne.

Sierżant przyglądał mu się uważnie.

- Mam rozkaz - oświadczył wreszcie. - To jest już front, człowieku...

- Pryśnie nam po drodze - zawołał ten sam żołnierz. Szczęknął zamkiem automatu. - Stawaj pod murem, fryc...

Kloss patrzył na ulicę. Widział tylko skrawek chodnika; co chwila przebiegali polscy żołnierze.

- Chłopcy - rzekł - jestem...

Tamten mu przerwał:

- Sam powiedziałeś: kapitan Hans Kloss.

Jeszcze parę sekund; trzeba uderzyć sierżanta i wyskoczyć na ulicę. Czy zdąży? Niewielka szansa, prawdopodobnie obaj żołnierze strzelą i któryś z nich musi trafić. W tej chwili, gdy już podejmował decyzję, zobaczył biegnącego środkiem jezdni Nowaka.

- Nowak! - ryknął.

Tamten zatrzymał się natychmiast i skoczył do bramy. Oddychał z trudem.

- O Boże - wyszeptał zupełnie nie po wojskowemu. - Już straciłem nadzieję.

- Ładnie mnie ubezpieczałeś!

Terkot automatów wzrastał się i nagle ucichł; granat wybuchł na ulicy, pokrywając ich twarze czarnym pyłem. Na nic nie było czasu. Nawet na zwymyślanie Nowaka.

Sierżant i obaj żołnierze, nic nie rozumiejąc, wykonywali rozkazy porucznika: oddali Klossowi broń i dokumenty.

Potem Nowak kazał im zaczekać w bramie. Oficerowie weszli do sieni; nawet tu słychać było warkot motorów.

- Zwiewaj - powiedział Kloss. - Ja zostaję. Zameldujesz, że dokumenty Ringa interesują także amerykański wywiad. Są z całą pewnością na zamku; postaram się ustalić dokładne miejsce.

- Niech pan pozwoli mi zostać - szepnął Nowak.

- Bzdura. Zajmiesz się sierżantem i tą dwójką. Trzeba ich odesłać na tyły. I żeby nie gadali.

-Rozkaz.

- Teraz szybko: jak to było?...

Nowak najchętniej opowiedziałby obszernie, ale pozostały liczone sekundy. Dopiero nad ranem udało mu się dostać do dowódcy pułku; wszedł razem z gońcem batalionu, broniącego południowego skraju miasta. Na przedmieście docierały już niemieckie ferdynandy, telefoniści ściągali linię, dowódca i szef sztabu, pochyleni nad mapą, nie zwracali na nikogo uwagi.

Wreszcie major go dostrzegł.

- Jeszcze tu jesteście? - ryknął. - Zęby za piętnaście minut... Chcecie wpaść w ich ręce?

Nowak zameldował natychmiast, że otrzymał rozkaz wyjaśnienia dowódcy pułku zadania, z jakim go tu przysłano.

- Trzeba było wcześniej — stwierdził major. — Teraz za późno. Nie chcę o niczym wiedzieć, mam dość własnych kłopotów.

Jakby na potwierdzenie tych słów, przed sztabem wybuchł pocisk. Usłyszeli brzęk szyb, dym i kurz wdarły się do pokoju; mapy i papiery poleciały na podłogę.

Major zaklął i wszyscy we trójkę przystąpili do zbierania z ziemi pułkowej kancelarii. Szef sztabu ubijał dokumenty w skrzynce. Nowak podniósł z podłogi zmięty karteluszek. Zobaczył parę słów po niemiecku, ale zanim je zrozumiał, przeczytał: Hauptmann Hans Kloss...

W aptecce Ringa ukrywa się oficer niemieckiego wywiadu hauptmann Hans Kloss.

Poczuł, że blednie. Oparł się o stół.

- Co to jest? - zapytał.

- To? Aha.. - major machnął ręką. - Zabawne. Ktoś podrzucił taki donos. Karteczka przywiązana do kamienia. Przyniósł wartownik. Kazałem przyprowadzić tego Klossa... a jeśli nie zdążą...

Nowak stracił panowanie nad sobą.

- Panie majorze - krzyknął - to... zdrada!

- Co wyście powiedzieli? - dowódca pułku przesunął kaburę na brzuch.

- Ten Kloss, panie majorze...

Major zrozumiał.

- Niech was diabli! Nie mogliście powiedzieć? Biegnijcie - ryknął - może zdążycie...

Zdążył. Nie chciałby jednak przeżywać raz jeszcze tych paru minut; biegł środkiem ostrzeliwanej ulicy, nie słysząc wybuchów ani gwizdu kul. Ktoś ryknął: „padnij”; ktoś chciał go zatrzymać... Gdy usłyszał warkot motorów i pocisk z działa pancernego rozwalil ścianę narożnej kamienicy, stracił nadzieję... I właśnie wtedy...

Klossa nie interesowały przeżycia Nowaka. Skwitował je krótko.

- W porządku - powiedział. - I zwiewaj. - Interesował go tylko ten donos. Anna-Maria Elken działała zdecydowanie, przyznawał, z jej punktu widzenia sensownie. Musiała dojść do wniosku, że jeśli wrócą tu Niemcy, Kloss będzie dla niej groźny. Kloss jako człowiek Ringa. Uśmiechnął się. Nieunikniona rozgrywka z panną Elken fascynowała go.

- Zwiewaj - powtórzył, a potem dodał łagodniej: -Postaraj się wyjść z tego cało, wolałbym, żebyś wrócił do sztabu armii. -Nie zabrzmiało to najlepiej, ale Kloss nie umiał odnaleźć teraz żadnych cieplejszych słów. Wiedział, że oczekuje go gra przynajmniej równie niebezpieczna, jak odchodzenie z polską tyralierą na północ.

Stanął w bramie i spojrzał na ulicę. Ulica była już pusta. Nowak i trzej żołnierze zniknęli za rogiem. Z tumanów kurzu i dymu wychynał niemiecki czołg.

Stało się - pomyślał Kloss i ruszył w kierunku, z którego nadciągali grenadierzy ostatniego walczącego marszałka Rzeszy.

## 6

Miasto było już inne, zniknęły białe prześcieradła, okna otwarte szeroko, na rynku powiewała flaga ze swastyką. Kloss w niemieckim mundurze z dystynkcjami kapitana szedł powoli ulicą, którą przed paroma godzinami odchodziła polska tyraliera.

Na rogu, niedaleko zburzonej kamienicy, leżał trup kobiety. Widział, jak do niej strzelano; oberst, z którym rozmawiał, powiedział krótko: erschossen. Nie zdążyła ściągnąć białego prześcieradła. SS-mani zatrzymali transporter i wyciągnęli ją z domu.

— Musimy być bez litości — powiedział pułkownik — przedtem nie byliśmy dostatecznie twardzi.

Była to trudna rozmowa. Teraz, gdy szedł powoli w kierunku apteki Ringa, mijając wozy pancerne i transportery, sądził, że najgorsze ma już za sobą. Pułkownik z dywizji pancerniej, do którego zaprowadzili go SS-mani, nie należał ani do łatwowiernych, ani do naiwnych. Miał suchą,

nieruchomą twarz pruskiego oficera, z której nic nie można było wyczytać. Przyjął Klossa tak, jakby już na niego czekał.

Teraz, gdy analizował raz jeszcze przebieg rozmowy, był nawet pewien: oberst już coś o nim wiedział. Sprawdził dokumenty, a potem zadał wszystkie niezbędne pytania: którędy Kloss przedzierał się z okrażenia, jakie nieprzyjacielskie jednostki spotkał na drodze, dlaczego pozostał w Bischofsfelde. Kloss odpowiadał krótko i precyzyjnie. Okazało się zresztą, że oberst służył kiedyś w 175 dywizji i zna dokładnie jej kadrę. Rozmawiali chwilę o Brunnerze.

-Więc nie wie pan, co się z nim stało? - zapytał oberst.

Kloss pomyślał, że także chciałby wiedzieć... Miał zresztą nadzieję, że Brunner nie zdąży dotrzeć do sztabu Schórnera...

- Nie wiem - powiedział. - Nie przedzieraliśmy się razem.

Najtrudniej było wyjaśnić, jak udało mu się wyrwać z rąk Polaków. Kloss miał żelazną zasadę: starał się zawsze, by jego relacje możliwie ściśle odpowiadały faktom. Zakładał, że pułkownik może przesłuchać kogoś z domu Ringa, jeśli nie przesłuchał dotąd... Opowiedział więc dokładnie o aresztowaniu, oświadczył, że udało mu się uciec w momencie, gdy pocisk z działa strzaskał narożną kamienicę.

— Miał pan szczęście — mruknął pułkownik. — Jak pan sądzi, kto mógł o panu donieść?

Interesowała go Anna-Maria Elken. Nie powiedział oczywiście, że zna to nazwisko, ale polecił Klossowi wymienić wszystkich, z którymi się zetknął w kamienicy Ringa. Każde słowo w tej rozmowie wydawało się znaczące. Było nawet dość dziwne, że dowódca frontowej jednostki wymaga relacji tak skrupulatnej. Wreszcie pułkownik oświadczył, że skieruje Klossa do sztabu zgrupowania. Dopiero wówczas kapitan odważył się zapytać o sytuację na froncie. Prusak popatrzył na niego szklanym wzrokiem.

— Nie ma żadnej sytuacji — mruknął. — Już me ma. Proszę załatwić swoje sprawy i jechać do sztabu.

Otrzymał mundur, ogolił się. Gdy zobaczył się w lustrze znowu w tym mundurze, odniósł wrażenie, że patrzy na kogoś obcego. Tak mocna była w nim pewność, że już nigdy więcej, że już nie będzie grał tej roli, a tymczasem znowu... Mundur leżał zresztą kiepsko, był zbyt obszerny, buty uciskały.

SS-mani z transporterów nie oddawali honorów wojskowych, udawali, że nie dostrzegają oficera. Spoglądali na północ, skąd dobiegała nieustannie artyleryjska kanonada. Teraz znowu bliższa niż przed godziną. Jak długo to jeszcze potrwa? Tydzień? Dwa? Zupełnie wystarczy, żeby parę razy zginąć, a Kloss nie miał ochoty ginąć na progu zwycięstwa.

Staął przed domkiem Ringów. Kogo zastanie w mieszkaniu aptekarza? Czy człowiek pułkownika Ringa zameldował się już w dowództwie jednostki? A Anna-Maria?

Drzwi wejściowe zastał otwarte. Na korytarzu starał się zachowywać jak najciszej. Z dużego pokoju, nazywanego tu stołowym, dochodziły głosy Berty i Ingi. Któraś z nich włączyła patefon... Horst Wessel Lied ze zdartej płyty... Parę taktów przerwanych nagłym zgrzytem...

- Dlaczego wyłączasz? - to głos Berty.

- Daj mi spokój.

- Nie cieszysz się?

- Nie wiem - to Inga. - Zdawało mi się, że ktoś wszedł.

Może Anna-Maria?

- Wolałabyś Klossa, co?

Więc panny Elken jeszcze nie ma... Kloss nacisnął klamkę drzwi prowadzących do jej pokoju. Nie były zamknięte na klucz, tu zresztą nie zamykano drzwi na klucz.

Zajrzał do szafy, potem dostrzegł walizkę ukrytą za tapczanem. Otworzył ją bez trudu, posługując się małym wytrychem ze swojego kompletu.

Szybko badał zawartość; miał nadzieję znaleźć coś, co potwierdziłoby ostatecznie podejrzenia i wykluczyło ewentualność prowokacji. Bielizna, kosmetyki, „Mein Kampf”, puszką z kawą... Walizka nie miała drugiego dna. Badał wszystkie przedmioty po kolei. Najważniej oczywiście kosmetyki. Rozkręcał szminki, oglądał grzebienie, otwierał buteleczki z wodą kolońską. Nic. Obejrzał także puszkę z kawą. Znał systemy stosowane w polskim i niemieckim wywiadzie, z Amerykanami nie spotkał się dotąd, a w każdym razie nie grał dotąd przeciwko nim. Opukując „Mein Kampf” upuścił na podłogę puszkę z kawą; potoczyła się na środek pokoju. Gdy ją podnosił, już wiedział. .. Boczna ścianka odskoczyła, odsłaniając schowek...

Niezbyt pewne - pomyślał.

Zobaczył cieniutki zwitek mikrofilmu; wymagał oczywiście dokładniejszych badań, ale tak na oko zawierał zdjęcia jakichś konstrukcji przemysłowych. Pochylił się nad walizką, by wszystko zostawić w jakim takim porządku, gdy nagle szcęknęły drzwi. Odwrócił się gwałtownie, ale nie zdążył wyciągnąć pistoletu... Zresztą sam nie był pewien, czy powinien to uczynić. Na progu stała Anna-Maria Elken, w mundurze sturmfuehrera, z bronią gotową do strzału.

- Rzuć tę pukawkę - powiedział obojętnie Kloss.

- Zdążyłeś już zameldować, co? Myślałeś, że dam się złowić jak idiotka?

- Podziwiam twoją odwagę - mówił teraz zupełnie szczerze. — Jak dawno pracujesz dla Jankesów?

Strzeli czy nie? Tak, z całą pewnością strzeli. Sekundy rozciągały się jak guma, a sytuacja

wyglądała beznadziejnie.

Widział dłoń Anny-Marii, palec na cynglu, i...

W tej chwili w otwartych gwałtownie drzwiach zobaczył Inge. Dziewczyna mocnym uderzeniem wybiła Annie-Marii broń z ręki. Pistolet upadł na podłogę.

- Słyszałam - szepnęła Inga, z trudem łapiąc oddech -słyszałam, jak pan powiedział: „Pracujesz dla Jankesów”...

- Dziękuję, Ingo - mruknął Kloss i podniósł pistolet.

Spojrzał na Annę-Marię. Najchętniej by powiedział:

„Widzisz, co narobiłaś, idiotko?”.

- Uratowałam panu życie - Inga wyraźnie oczekiwała podziękowań. - Tak się cieszę, że Polacy pana puścili.

- Zwiąłem - burknął. Bawił się pistoletem Anny-Marii i nie spuszczał jej z oczu. Co powiedzieć Indze? Że żartowali... Oczywiście nie uwierzy. Zresztą panna Elken zrezygnowała z wszelkich prób obrony.

- Hitlerowska zmija - szepnęła patrząc na Inge. Inga nie zwracała na nią uwagi.

- Pan się tak zachowuje... jakbym... - Nie dokończyła. - Ona przecież chciała pana zabić!

Była to święta prawda, ta dziewczyna uratowała mu życie.

Trudno o coś bardziej idiotycznego - pomyślał i pocałował Inge w policzek. Zarumieniła się.

W tej chwili usłyszeli wartkot motoru; przed domem stanął samochód. Inga skoczyła do okna.

- Stryj! - krzyknęła.

Nie, tego było stanowczo za wiele, nawet dla Klossa. Amerykańska agentka, Niemka z BDM ratująca mu życie i wreszcie ten wytrawny lis z Abwehry, który niełatwo da się wykiwać. Przyszło mu do głowy tysiąc pomysłów, a żaden z nich nie był wart nawet funta kłaków.

Inga wybiegła z pokoju, zostawiając drzwi otwarte; Anna-Maria usiadła na tapczanie i zażądała papierosa. Tej już przynajmniej wszystko jedno! Będzie grała swoją ostatnią grę!

Kloss został przy drzwiach; słyszał rozmowę Ingi i Ringa - nie była to zresztą zbyt serdeczna rozmowa. Pan pułkownik usiłował nawet być miły, przynajmniej na początku.

-Jak się masz, Ingo! Wróciłem wcześniej, niż przypuszczałem. - Pochylił się, żeby ją pocałować. Dziewczyna odskoczyła.



- Nie podchodź do mnie!

Był naprawdę zdziwiony.

- Zwariowałaś? Co się stało?

- Strzelałeś do starej Marty!

Kloss przez uchylone drzwi zobaczył twarz Ringa. Pułkownik był wyraźnie zaskoczony; milczał.

- Powiedz - powtórzyła Inga - strzelałeś do Marty!

- Ona żyje?

- Nie wiesz? Kazałeś ją przecież dobić dzisiejszej nocy.

- Ach tak. - Ring znowu chciał położyć dziewczynie dłoń na ramieniu, ale Inga cofnęła się gwałtownie. - W porządku - rzucił. - Potem ci to wyjaśnię. Bądź mądrą dziewczyną...

Kloss pomyślał, że istotnie byłoby najmądrzej, gdyby Inga milczała, ale dziewczyna me chciała milczeć.

- Jak możesz tak mówić! Ona mi wszystko powiedziała, stryju!

Jeszcze i to. Kloss zrozumiał, że życiu Ingi grozi teraz niebezpieczeństwo; wystarczyło spojrzeć na twarz Ringa. Pułkownik z Abwehry podejmował już jakąś decyzję. Kloss otworzył szeroko drzwi i stanął na progu. Postanowił przerwać tę scenę. Ring dostrzegł go natychmiast.

-Kto to jest?

-To kapitan Kloss - powiedziała Inga. - Rozmawia właśnie z amerykańskim szpiegiem, panną Elken. Uratowałam mu przed chwilą życie, ale nie okazał zbytniej wdzięczności. Piękne towarzystwo, nie ma co mówić - dodała.

-Wróć do swego pokoju i nie wychodź - rzucił ostro Ring. Potem, nie witając się z Klossem, wszedł do pokoju Anny-Marii.

- Witam panią, sturmfuehrer Elken - powiedział. -Poznaliśmy się w sztabie przed wyjazdem z Bischofsfel-de. Pamiętasz?

Anna-Maria oglądała Ringa bez niepokoju, w jej oczach zapłonęły jakieś iskierki. Kloss bardzo był ciekaw, jak się zachowa ta dziewczyna, czy zagra va banque, czy spróbuje zaprzeczać.

- Kapitanie Kloss — Ring zwrócił się do niego po raz pierwszy — rozpoczął pan przesłuchanie?

-Nie, jeszcze nie. Chciałem zameldować... - nie skończył. Ring jakby znowu zapomniał o jego

obecności.

- My się nie cackamy z wrogami, panno Elken. Jesteś Niemką?

- Nie - Anna-Maria wstała. - Jestem oficerem amerykańskiego wywiadu.

Kloss uśmiechnął się mimo woli. „Koleżanka”. Trzeba przyznać, że na odwadze jej nie zbywa. Postanowiła jednak zagrać *va banque*. A Ring? Jak się zachowa Ring?

Był zaskoczony. Spodziewał się widać zaprzeczeń i próśb. Tacy jak on często wypadają z roli, gdy znajdują się w sytuacji nieprzewidzianej.

- Ach tak - mruknął - oficer amerykańskiego wywiadu! Od kiedy w naszej armii? — I nie czekając na odpowiedź zwrócił się znowu do Klossa: — Umieszczali ich w SS, bo tam było trudniej nam dotrzeć. I jak mogliśmy wygrać wojnę?

Kloss, mimo powagi sytuacji, znowu z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Pomyślał, że nie chciałby być jednak w skórze Ringa.

- Nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania — oświadczyła Anna-Maria.

- Już ja z ciebie wyduszę... Po co przyjechałaś do Bischofsfelde?

- Na randkę z tobą - brzmiała odpowiedź.

Ta dziewczyna nie wypada jednak z roli. Kloss spojrzał na twarz Ringa, była purpurowa. A mimo to pułkownik nie wybuchnął. Kloss rozumiał znakomicie, że gdyby to nie był rok czterdziesty piąty, los Anny-Marii Elken byłby straszny. Zresztą ona też zachowywałaby się na pewno inaczej.

- Co za poufałość - szepnął tylko Ring. - My oduczmy cię bezczelności, piękna panno.

- Nie zdążycie. Moi szefowie - ton Anny-Marii był teraz spokojny, rzeczowy - polecili mi poznać pułkownika Ringa. Wtedy w sztabie mieliśmy zbyt mało czasu, by się dobrze poznać.

- Interesujące.

- Moi zwierzchnicy liczą na rozsądek pułkownika Ringa - ciągnęła Anna-Maria. - Wiedzą zresztą o panu sporo i cenią doświadczenie, które zdołał nabyć pan na wschodzie. - Ponieważ Ring milczał, dodała: - Daj mi papierosa.

Gdy Ring bez słowa wyciągnął z kieszeni pudełko i podsunął Annie-Marii, Kloss zrozumiał, że w sytuacji nastąpił zwrot i to zwrot, którego nie przewidywał i którego zaczynał się obawiać. Panna Elken była zręcznym graczem, natychmiast wykorzystywała każdą sytuację.

- W zamku Edelsberg - przystąpiła bez wstępów do rzeczy - ukryłeś archiwum Abwehrstelle Breslau.

Ring zareagował natychmiast. To uderzenie okazało się jednak zbyt mocne. Odpiął kaburę i sięgnął po pistolet. Kloss uczynił natychmiast to samo, nie wiedząc jeszcze, co zrobi, jeśli Ring zechce strzelić do dziewczyny. Anna-Maria panowała jednak nad sytuacją, bardziej niż przypuszczał.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała tylko. - Wiedziałeś, że Bischofsfelde należy do strefy rosyjskiej. Jak mogłeś dokumenty tak ważne ukryć w zasięgu Rosjan? Chciałeś im zostawić archiwum, czy co? - Teraz ona usiłowała grać rolę przesłuchującego.

- Nikt się nie dowie o istnieniu archiwum - powiedział Ring. - A ty zginiesz.

- Głupstwo. Polacy je znajdą i ciebie też znajdą. Oni mają na te sprawy nieco inny pogląd niż moi przełożeni. Jeśli przekażesz nam archiwum, otrzymasz gwarancję bezpieczeństwa i twój oficer także.

- Bezcelność! Chcesz zdyskontować naszą robotę, co? Polacy także chętnie zapłacą za te papierki.

Kloss podszedł do okna. Wynik tej rozmowy stawał się dla niego coraz bardziej jasny. Myślał teraz o własnych szansach uchronienia archiwum już nie tylko przed zniszczeniem przez Niemców, ale przed Amerykanami. Anna-

-Maria Elken, którą chciał ratować, którą traktował dotąd jak nieprzewidziany i zbyt cenny kłopot, stawała się groźnym przeciwnikiem.

Miała szansę. Ring rozporządza na pewno dostateczną eskortą i transportem, by odkopać archiwum i przewieźć je na tereny, które zajmą Amerykanie. Do tego Kloss nie mógł dopuścić. Zanim to się jednak stanie, Ring musi przeciągnąć jego, Klossa, na swoją stronę: albo opłacić albo zlikwidować - innego wyjścia nie ma. Był pewien, że pułkownik za chwilę zechce z nim mówić sam na sam.

Tak też się stało. Stryj Ingi przerwał rozmowę z Anną-Marią, wezwał Bertę i kazał zamknąć Amerykankę w składziku, którego drzwi wychodziły na korytarz.

- Pilnuj jej, żeby ci przypadkiem nie związała - powiedział Bercie. - I potem jeszcze zapytał: - A gdzie jest Schenk?

- Nie pokazał się od rana - stwierdziła Berta i położyła ciężką dłoń na ramieniu Anny-Marii.

Zostali sami. Pułkownik długo milczał, potem podszedł do Klossa. Na jego twarzy pojawił się łaskawy uśmiech.

- Sporo o panu słyszałem, kapitanie. Jest pan podobno świetnym oficerem, jednym z tych, na których można liczyć. Skąd pan się tu właściwie wziął?

- Przedzierałem się.

- Tak, oczywiście, ale skąd pan się wziął w tym domu?

- Byłem pewien, że rodzina pułkownika Ringa udzieli mi schronienia.

- Tylko tyle?

- Tyle. - Kloss spostrzegł, że dłoń pułkownika Ringa wędruje do kabury pistoletu. Zanurzył dłoń w kieszeni, przesunął bezpiecznik waltera. - Sądzę, panie pułkowniku - oświadczył sucho - że teraz pan się mnie nie pozbędzie.

- Nie zamierzam - odpowiedział Ring, nie zdejmując dłoni z kabury. - Pana zdanie?

- Nie mam własnego zdania. Jestem oficerem niemieckim. - Nie zabrzmiało to zbyt mądrze, ale Kloss nie miał nic innego w zanadrzu. Mógł tylko udawać uczciwego Niemca. Dzień paradoksalnych sytuacji!

- Proszę się nie wygłupiać! - Ring podniósł nieco głos. - Obaj dobrze wiemy, że archiwum nie może wpaść w ręce Polaków. Zawiera informacje o ludziach, którzy mogą być jeszcze przydatni. Czyba pan to rozumie?

- Świetnie rozumiem. Zaczynam także rozumieć, że chce pan je przekazać Amerykanom. Długą chwilę trwało milczenie.

- Czy widzi pan inne wyjście? - odezwał się wreszcie Ring. - Nie grajmy w ciuciubabkę. Wojna zbliża się ku końcowi albo też w wojnie nastąpi niespodziewany zwrot. Kto wie, czy prędzej lub później ta dziewczyna nie zostanie naszym sojusznikiem.

Na to liczysz - pomyślał Kloss. - Stare niemieckie marzenie o zmianie sojusznika.

- Wierzy pan w amerykańskie gwarancje?

- W nic nie wierzę. Ale jeśli istnieje szansa, to tylko ta jedna.

Cóż mógł zrobić? Trzeba było dalej grać dość niewygodną rolę uczciwego Niemca.

- Ta szansa nazywa się po prostu zdradą - powiedział.

Czy Ring wyrwie pistolet z kabury? Nie, nie zdecydował się; odparował dość spokojnie:

- Nie lubię wielkich słów, Kloss. Pan tego nie powiedział.

- Dobrze, nie powiedziałem. - Kloss przygotowywał sobie nowe stanowisko. - Rozumiem, że musi pan ze mną pertraktować - ciągnął - bo przypadkowo wiem dość dużo. Ale proszę mi powiedzieć, jakie ja mam gwarancje?

- Te same co ja.

- Nie. Pan jest w lepszej sytuacji. Mnie chodzi o gwarancje osobiście dla mnie.

Teraz Ring sięgnął do kabury; Kloss był szybszy. Trzymał już walera w dłoni.

- Strzelam szybciej niż pan - powiedział. - Nie sądzę, pułkowniku Ring, by takie rozwiązanie było dla pana najlepsze.

Ring z trudem odzyskiwał spokój.

- Obaj jesteśmy zdenerwowani i nie panujemy nad sobą. Niech pan wreszcie powie konkretnie, o co panu chodzi.

- O gwarancje - powtórzył Kloss. - Takie, które by mnie upewniły, że nie zechce się pan mnie pozbyć. Inaczej: proszę mi podać dokładne miejsce, w którym schowano archiwum.

- W innej sytuacji kazałbym pana rozstrzelać. Archiwum odkopimy razem.

- To mi nie wystarcza, pułkowniku. Jeśli nie dowiem się, gdzie jest archiwum, amerykańska agentka wraz z odpowiednim meldunkiem zostanie przekazana do sztabu grupy Schórnera. - Szantażował Ringa na zimno, ale bez jakiegokolwiek pewności, że szantaż będzie naprawdę skuteczny.

- Bluff - mruknął Ring.

- Nie, handel. Muszę mieć gwarancje, że nie zostawi mnie pan na lodzie.

- Słowo niemieckiego oficera.

Tym razem Kloss roześmiał się naprawdę szczerze.

- Pan żartuje, pułkowniku Ring.

- Archiwum jest w zamku Edelsberg.

- To wie już nawet amerykański wywiad - odpowiedział Kloss.

- Od Ingi, co? Ta Marta wszystko wygadała... Czy Inga wie, kto dobił Martę?

- Nie, ona nie wie - odpowiedział Kloss.

- A pan?

-Ja tak. Chociaż ten człowiek dobrze grał swoją rolę. Nie boi się go pan?

Patrzyli na siebie w milczeniu. Ten człowiek, o którym obaj teraz myśleli i który gdzieś tu był w tym mieście, stanowił zagrożenie dla Ringa i pewną szansę dla Klossa.. .Tak, na pewno szansę, ale taką, po jaką się nie sięga.

- Bzdura! - rzucił Ring. Nie chciał brać już pod uwagę żadnych możliwych komplikacji.

-Więc gdzie jest archiwum?

Pułkownik wahał się jeszcze.

- Dobrze, powiem. W parku Edelsberg, ukryte w piwnicach szesnastowiecznej kapliczki. Wystarczy panu?

- Dowód?

- Tym razem pan żartuje, kapitanie Kloss.

Czy wygrał tę rundę? Nie miał żadnej gwarancji, że Ring powiedział prawdę, a jeśli nawet tak, to jak wykorzysta tę informację, jak zdąży ją wykorzystać, zanim Ring i panna Elken wywiozą stąd dokumenty?

Z północy dobiegła znowu silniejsza kanonada artyleryjska; ulicą przejeżdżały niemieckie działa pancerne, a potem szła piechota; ale ta piechota, gdy Kloss popatrzył na nią z okna, wyglądała już znacznie gorzej niż czołowe oddziały, które zajmowały Bischofsfelde. Starzy ludzie w źle dopasowanych mundurach, wlokący się z trudem, w milczeniu w kierunku pola walki, niezbyt odległego od miasta.

Ring kazał Bercie przyprowadzić Annę-Marię. Amerykanka, gdy weszła do pokoju, od razu domyśliła się, że targ został ubity. Oświadczyła, że chętnie napiłaby się kawy, a także i czegoś mocniejszego; bo w składziku było obrzydliwie i duszno. Zwracała się zresztą tylko do Ringa, traktując go trochę jak podwładnego.

Kloss szczerze podziwiał jej pewność siebie, a Ring nie protestował. Wezwał Bertę i wydał polecenie. Potem siedli przy stole i rozpoczęli rozmowę o sprawach konkretnych. Anna-Maria lubiła ścisłość i rzeczowość. Pytała Ringa o ciężarówkę, o eskortę i możliwość poruszania się w kierunku południowo-zachodnim. Wyraziła mimochodem niezadowolenie, że Niemiec nie orientuje się zbyt dobrze w sytuacji na froncie i nie wie, gdzie można spotkać oddziały polskie. Ring nawet dość nieśmiało, potem nieco ostrzej powracał do sprawy gwarancji! Gwarancje to było to, co interesowało go najbardziej.

- Przewieziecie archiwum i oddacie się w ręce amerykańskie - oświadczyła sucho Anna-Maria.

- Musimy mieć pewność.

- Nikt nie ma pewności, panie Ring, ja też. A pan w dodatku me ma wyboru.

- Możemy walczyć do końca - oświadczył pułkownik.

- Proszę bardzo. - Anna-Maria znakomicie grała obojętność. -Walczcie sobie, jeśli macie ochotę, za fuhrera i Trzecią Rzeszę.

- Możemy zniszczyć archiwum i zlikwidować panią.

- To wam się także nie opłaci.

- Bluff! - szepnął Ring.

- Wszyscy trochę bluffujemy - roześmiała się Anna--Maria. -Ja mam przynajmniej nie fałszowane karty.

W tej chwili Berta wniosła na tacy dzbanek z kawą, butelkę, dwie filiżanki i dwa kieliszki. Ogarnęła zdziwionym spojrzeniem siedzących przy stole.

- Proszę podać trzecie nakrycie - polecił Ring, nie patrząc na Bertę.

To był błąd. Kloss od razu zrozumiał, że pułkownik Ring popełnił pierwszy poważny błąd. Wystarczyło spojrzeć na Bertę, żeby pojąć, co się działo w duszy starej kucharki. Opuściła pokój bez słowa, by po chwili wrócić z trzecią, filiżanką i z trzecim nakryciem.

Kloss był niemal pewien, że Berta, która znowu nad swoim łóżkiem w kuchni powiesiła portret fuehrera, pójdzie teraz do komendantury niemieckiej na rynku. Przez chwilę wahał się, czy nie ostrzec Ringa, ale zrozumiał, że wówczas on popełniłby błąd. Los pana pułkownika nic nie obchodził Klossa; obchodziło go archiwum i jeszcze...

Wiedział, że zależy mu na tym, by mimo wszystko uratować pannę Elken. A panna Elken wydawała się go w ogóle nie dostrzegać. Nie zauważyła również twarzy Berty, nie zobaczyła nienawiści w oczach starej kobiety.

Moja sojuszniczka - myślał Kloss - jest groźnym przeciwnikiem, ale popełnia zbyt wiele drobnych błędów, które mogą bardzo dużo kosztować.

Wychylił swój kieliszek i wstał od stołu. Ruszył ku drzwiom.

- Dokąd to, kapitanie Kloss? - zapytał groźnie Ring. - Niedługo wyjdziemy stąd wszyscy, gdy tylko nadjedzie ciężarówka.

- Zdążył pan już załatwić ciężarówkę? - uśmiechnął się Kloss.

- Proszę się o to nie martwić.

- I o mnie może pan być spokojny, pułkowniku Ring.

7

Inga była w swoim pokoju. Gdy wszedł, zerwała się gwałtownie z tapczanu; w oczach miała łzy.

- Proszę mi dać spokój! - krzyknęła.

Kloss usiadł na tapczanie i przyciągnął ją do siebie. Żał mu było tej dziewczyny. Widział, jak

przeżywała śmierć Marty Stauding, potem uratowała mu życie. Wychowywał ją ojciec hitlerowiec, uczyła się w hitlerowskiej szkole i chodziła na zebrania BDM, ale przecież pozostało w niej coś, co rodziło nadzieje...

- Widziałaś Bertę? - zapytał.

Tak, kucharka zaglądała do niej, a potem wyszła do miasta. Bardzo niedawno. Nie rozmawiała z nią. Inga w ogóle nie ma ochoty z nikim rozmawiać; chce być sama.

- Słuchaj, Ingo - powiedział Kloss. - Idź stąd. Idź z tego domu i schowaj się u jakiejś koleżanki, u znajomych.

-Ja? Dlaczego? - jej oczy błyszczały. - Po co ta troska? Pan udaje troskę o mnie.

- Nie udaję, dziewczyno. Uratowałaś mi życie, a teraz ja chcę ci uratować życie. Grozi ci niebezpieczeństwo.

- Mnie? Niech pan mi da spokój. Ja już nikomu nie wierzę. Wierzyłam ojcu i wierzyłam stryjowi. Teraz mi wszystko jedno.

- Wiesz, dlaczego zginęła Marta?

Inga wtuliła głowę w poduszkę. Poglądził ją po włosach; pomyślał, że dużo trzeba będzie czasu i wysiłku, aby naprawdę uratować takie dziewczyny jak ona.

- Marta za dużo widziała - mówił powoli. - Widziała, jak Ring mordował robotników, a potem, co ważniejsze, jak zakopywali paki pod kapliczką w parku.

- Nieprawda! - krzyknęła Inga. - Wrzucali paki do lochów. Wejście jest na dziedzińcu, na prawo od bramy... - urwała gwałtownie, patrząc z przerażeniem na Klossa.

Więc jednak Ring go okłamał; oznaczało to, że pułkownik był zdecydowany wykończyć Klossa przed wydobyciem archiwum. Oznaczało to także, że Inga musi zginąć.

- Zwiewaj stąd jak najszybciej - powtórzył - i to postaraj się wyjść z domu tak, by nikt cię nie zauważył.

- Pan oszalał - szepnęła.

- Nie, nie oszalałem. Masz do czynienia z ludźmi zdolnymi do wszystkiego. Ten, który zabił Martę, nie będzie cię oszczędzał.

- Kto dobił Martę?

Kloss wstał.

-I tak wiesz zbyt dużo, Ingo. Zwiewaj.



-Nie.

- To są zbrodniarze.

- O kim pan mówi, panie kapitanie? - powiedziała nagle bardzo spokojnie. - Czy pan mówi o Niemcach?

- Tak- rzekł - o Niemcach.

Skoczyła do drzwi. Stała jeszcze w progu i patrzyła na niego pałającymi oczyma.

- Ja też jestem Niemką. I pan także. Muszą być Niemcy, którzy nie mordują, nie spiskują z Amerykanami; nie sprzedają tajemnic, którzy walczą...

- Ingo! - krzyknął.

Już jej nie było. Zobaczył ją jeszcze przez okno; biegła ulicą, środkiem jezdni w kierunku rynku, zapewne do niemieckiej komendantury. Żołnierze z transportera oglądali się za nią. Pomyślał, że znowu poniósł klęskę; tej dziewczyny nie udało mu się uratować.

Wyszedł na korytarz. Sądził, że pozostało mu już niewiele czasu do pojawienia się człowieka, którego Ring dobrze znał, a o którym postanowił zapomnieć. Wiedział, że rozegranie ostatniego aktu będzie bardzo trudne. Nie miał jeszcze żadnego planu, tylko parę pomysłów, parę pomysłów wykonalnych w pewnej bardzo określonej sytuacji...

Podszedł do drzwi prowadzących do pokoju Anny-Marii. Ring i panna Elken rozmawiali dość głośno, tak głośno, że rozumiał niemal wszystko. Rozmawiali o nim.

- Kiedy Inga powiedziała o zamku Edelsberg? - usłyszał głos Ringa.

- Wczoraj wieczorem.

- Schenk był przy tym?

-Był.

-A Kloss?

- Także. - W głosie Anny-Marii dosłyszał drwinę. -Brak zaufania, co? - powiedziała Amerykanka. - I brak lojalności. W waszej armii to zresztą typowe.

Krótki śmiech Ringa.

- Kloss nie zobaczy już zamku Edelsberg, moja droga.

Potem śmiech Anny-Marii. Kloss stwierdził ze zdziwieniem, że jej reakcja sprawiła mu przykrość. Czego się właściwie spodziewał? Że będzie go broniła, że ostrzeże przed Ringiem?

Amerykanka nie miała żadnych powodów, by czuć sympatię lub wdzięczność dla oficera Abwehry, Hansa Klossa.

Wrócił do pokoju Ingi i zostawił uchylone drzwi. Z kabury wyciągnął pistolet służbowy, odbezpieczył i czekał. Był pewien, że Ring zacznie go szukać. Nie mylił się. Po paru minutach usłyszał kroki na korytarzu. Pustka w domu musiała zaskoczyć pułkownika.

- Berta! - krzyknął. - Inga! Gdzie wy jesteście? -A potem: - Kapitanie Kloss!

Milczał. Czekał z bronią gotową do strzału. Usłyszał głos Anny-Marii; zorientowała się poniewczasie.

- Zdaje się, że popełniliśmy błąd, pułkowniku. Nie należało nikogo stąd wypuszczać.

- Bzdura! - ryknął. Otwierał po kolei drzwi prowadzące do wszystkich pokoi; Kloss zobaczył go z pistoletem w dłoni stojącego na progu.

Cisnął w pułkownika krzesłem, broń potoczyła się po podłodze; Ring zdążył strzelić, ale już nie trafił.

- Przeliczył się pan - powiedział Kloss. - Mnie nie tak łatwo zlikwidować.

- Za parę minut będzie ciężarówka - Ring usiłował odzyskać panowanie nad sobą. - Pojedziemy razem. Obiecuję panu bezpieczeństwo, Kloss.

- Pan już nigdzie nie pojedzie, pułkowniku Ring.

- Gdzie jest Inga?

Kloss wzruszył ramionami.

- Boję się o Inge - powiedział szczerze. -Jeśli nie będzie mądra... - urwał. Zobaczył w drzwiach Annę-Ma-rię. Amerykanka od razu zrozumiała sytuację.

- Panowie jednak nie zdołali się dogadać - stwierdziła.

- Kapitan Kloss zwariował - mruknął Ring.

- Pułkownik Ring postanowił mnie zlikwidować -Kloss uśmiechnął się - o czym pani zresztą wiedziała. Ale nie zdążył.

Amerykanka przyglądała się im dość obojętnie. Popatrzyła na pistolet Klossa wymierzony ciągle w pułkownika.

- Mnie, moi panowie, jest wszystko jedno, kto wydobędzie archiwum. Jeśli wiesz - zwróciła się do Klossa -gdzie je schowano, zastrzel go i pojedziemy we dwójkę.

- Durnie! - wrzasnął Ring. - Na ciężarówce są moi ludzie. A gdzie jest archiwum, wiem tylko ja.

- Pułkownik Ring zapomniał o paru drobiazgach -szepnął Kloss - o takich drobiazgach jak Berta i Schenk.

- Doniosłeś?! - Wydawało się, że Ring rzuci się na Klossa nie zważając na niebezpieczeństwo. - Ten przekłety idiota doniósł!

- Zrobiła, to już zapewne Berta.

Anna-Maria postanowiła jednak włączyć się do gry. Niepostrzeżenie podchodziła do miejsca, gdzie leżał pistolet Ringa. Schyliła się.

- Nie próbuj - powiedział Kloss - nie radzę.

- Chcesz nas oddać w ręce gestapo? - patrzyła teraz na kapitana z nienawiścią.

Odpowiedź wydawała się zbędna. Usłyszeli warkot motoru, samochód stanął przed domem, a po chwili rozległy się ciężkie kroki. Trzasnęły drzwi wejściowe.

Na progu w mundurze sturmbannfuhrera stanął pomocnik aptekarza — Wilhelm Schenk.

Kloss pomyślał, że nic tak nie kształtuje Niemców jak mundur. To był inny człowiek, a przecież ten sam, któremu jeszcze wczoraj Kloss kazał pokazywać, jak wygląda niemieckie pozdrowienie. To jego zostawił pułkownik Ring, by strzegł archiwum Abwehrstelle Breslau: Wilhelm Schenk postanowił wykonać swoje zadanie do końca. Sterczał na progu, trzymając niedbale pistolet. Od razu właściwie ocenił sytuację i na jego twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech.

- Pan kapitan Kloss - rzekł - zachował się jednak jak przyzwoity Niemiec... A ty zdradziłeś, Ring. Nie spodziewałem się, że nie wytrzymasz. Okazuje się, że brakło ci wiary w fuhrera i w Rzeszę. Potem zwrócił się do Anny-Marii: - Domyślałem się, kim jesteś, ścierwo. Ring milczał; nie umiał jednak grać do końca.

- Archiwum będzie bezpieczne - ciągnął dalej Schenk.

- Twoja Inga - zwracał się znowu do Ringa - nie żyje. Właściwie to jej nawet trochę żal, bo była uczciwsza od ciebie. Musiałem sam ją zlikwidować. Za dużo wiedziała. Pułkownik Ring rzucił się na ziemię i chwycił pistolet. Nie zdążył. Wilhelm Schenk wystrzelił nie celując.

- Tak kończą zdrajcy — stwierdził.

Kloss wiedział, że teraz strzeli do Anny-Marii. I Anna-Maria też o tym wiedziała. W jej oczach nie dojrzał strachu, tylko rezygnację. Oparła się o ścianę i czekała. Na północy coraz mocniej dudniła artyleria.

Kloss widział rękę Schenka i palec spoczywający na cynglu. Musiał podjąć decyzję natychmiast. Na nic nie było czasu, należało po prostu celnie strzelać. Strzelił celnie.

Schenk osunął się na podłogę i Kloss zobaczył ogromne zdziwienie w oczach Amerykanki. Zdziwienie, a potem nieprzytomną radość: ta kobieta zdążyła już pożegnać się z życiem..

Usłyszeli kroki. Ludzie Schenka, których sturmbannfuehrer zostawił w samochodzie na ulicy, wchodzili do domu. Było ich dwóch.

Kloss spojrzął przez okno. Zobaczył stojący przed domem pusty terenowy wóz. Pan sturmbannfuehrer nie przyjechał ze zbyt liczną obstawą.

Podał Annie-Marii pistolet Ringa.

- Strzelaj celnie, a potem szybko do samochodu!

- Rozumiem - szepnęła.

Kloss znał to uczucie, gdy sekundy wloką się jak minuty... Powinni już być, powinni już wejść do pokoju, słyszał ich głosy na korytarzu. Spojrzął na Annę-Marię.

Ta dziewczyna umiała jednak panować nad sobą. Broń nie drżała w jej ręku.

Są? Anna-Maria i Kloss strzelili jednocześnie. SS-mani zwalili się na podłogę.

W pokoju wypełnionym dymem i kurzem nie widzieli już własnych twarzy. Zobaczyli je znowu, gdy znaleźli się na szosie prowadzącej do zamku Edelsberg. Kloss nacisnął mocniej pedał gazu, szosa była pusta, błyszcząca w zachodzącym słońcu.

Wjechali na drogę zamkową okoloną starymi drzewami. Kloss zatrzymał samochód. Dopiero teraz mógł spokojnie zapalić papierasa. Poczęstował Annę-Marię. Palili w milczeniu, patrząc na zamek Edelsberg, ostro zarysowany na tle błękitnego nieba.

- Co zamierzasz teraz robić? - zapytała Anna-Maria. - W jaki sposób przewieziemy archiwum do strefy amerykańskiej?

- Żartujesz - powiedział Kloss.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie wiesz, gdzie jest archiwum - domyśliła się.

Wybuchnął śmiechem.

- Archiwum, droga sojuszniczko, dostanie się we właściwe ręce. Jeszcze nie zrozumiałaś?

Zobaczył szeroko otwarte oczy Anny-Marii.

- Przegrałam tę rundę - szepnęła. - Ale wiesz co, Hans, czy jak ci tam na imię, zupełnie tego nie żałuję. Zupełnie nie żałuję - powtórzyła. - Cały zamek jest do naszej dyspozycji. Pójdziemy?

## POSZUKIWANY GRUPPENFUEHRER WOLF

### 1

Było to w pierwszych dniach maja tego pamiętnego roku, w którym skończyła się wojna. Długo nie nadchodząca wiosna wybuchła nagle przed paroma dniami i jakby chcąc wynagrodzić trwające niemal do końca kwietnia zimno, nastąpiły gwałtowne upały.

Żołnierze rozbitych dywizji porzucali niepotrzebne już płaszcze, szli całymi gromadami w porozpinanych, sukiennych mundurach, nie otrzymali jeszcze drelichów, bo niespodziewana wiosna zaskoczyła kwatermistrzów. Trudno zresztą się im dziwić — rozgardiasz nadchodzącej klęski, oczywistej już nawet dla najbardziej zaślepionych, był dostatecznym usprawiedliwieniem. Ci, którzy jeszcze parę dni temu heilowali na ulicach, dławiąc dziarskimi okrzykami ogarniające ich zwątpienie, teraz, nie umawiając się, przygotowywali białe prześcieradła. Za parę dni przyczepione do kijów od szczotek staną się symbolem kresu paranoicznych rojeń o zwycięstwie nad całym światem. Ale chociaż białe flagi w większości domów czekały już przygotowane na zwycięzców, chociaż gdzieś pozdejmowano portrety wodza i usunięto z widocznych miejsc ozdobne wydanie „Mein Kampf”, chociaż od zachodu słychać było podobny do jednostajnego brzęczenia trzmiela łomot strzałów i wybuchów, w tym niewielkim mieście zachodnich Niemiec nadal trwały instytucje powołane przez dogorywający reżim.

W czerwonym budynku obok katedry urzędowało ciągle gestapo, flaga ze swastyką zwisała nad bramą urzędu kreisleitera, a płoty i ściany domów oklejone były plakatami wzywającymi do walki o każdy dom i ulicę, grożącymi śmiercią każdemu, kto ośmieli się zwątpić w zwycięstwo. Te groźby nie były przechwałkami. Czarne, gotyckie litery podawały nazwiska „przeklętych zdrajców i wrogów narodu niemieckiego”, to jest żołnierzy, którzy porzucili broń, albo starych, schorowanych ludzi, którzy usiłowali uniknąć wcielenia do Volkssturmu.

W sztabie mieszczącym się w budynku szkoły urzędował generał Willmann, dowódca dywizji, a właściwie resztek dywizji, którym powierzono obronę tego miasta. Nie wyglądał na człowieka zdecydowanego „na walkę do końca”. Wstał właśnie z fotela, w którym drzemał, przetarł oczy podpuchnięte, zaczerwienione i zaczął dość niemrawo wdziawać kurtkę munduru. Kłossowł zrobiło się żal tego starca. Odwrócił się od okna i pomógł generałowi włożyć mundur.

Znalazł się tutaj przypadkiem. Jednym z ostatnich samolotów startujących z okrażonego Berlina wydostał się z miasta, które tylko z nazwy było miastem, a teraz przypominało krajobraz księżycy. Samolot wypełniony oficerami, którym udało się wyzebrać fikcyjne przydziały do nie istniejących już najczęściej jednostek, wylądował właśnie tutaj. Przygodna ciężarówka podrzuciła go z lotniska do centrum, gdzie gdyby nie trzeszczące pod nogami szkło, walające się strzępy papieru jakiegoś

ewakuowanego amtu i fruujące pierze z rozprutych poduszek, nie widać byłoby śladów wojny. Domy stały nietknięte.

Myślał właśnie, że powinien teraz skombinować jakiś samochód lub chociażby motocykl, żeby czym prędzej ruszyć na wschód, bliżej swoich. Perspektywa spotkania się z Amerykanami, którzy będą tu wkrótce, nie nęciła go zbyt, chciał wrócić, żeby raz na zawsze pozbyć się znieawidzonego munduru. A jednak został. Przechodząc koło słupa z ogłoszeniami, machinalnie powiódł wzrokiem po afiszach. I to nazwisko u dołu największego plakatu sprawiło, że zawrócił i przeczytał cały afisz: „Żadnej kapitulacji. Walczymy do ostatniego żołnierza. Z rozkazu fuehrera nie ustąpimy ani pędzi ziemi, póki choć jeden żołnierz niemiecki będzie żył. Spełnimy swój obowiązek. Śmierć zdrajcom i dezerterom! Z mojego rozkazu powieszono dziś trzech zdrajców. Następnym czeka ten sam los. SS-gruppenfuehrer Wolf”.

Fakt, że SS-gruppenfuehrer Wolf podpisał tę odezwę, oznaczał, że jest tutaj, a to zmieniało plany Klossa. Jednym z ostatnich zadań, powierzonych mu przez centralę, było właśnie ustalenie miejsca pobytu kilkunastu zbrodniarzy wojennych, którzy powinni za swe przestępstwa odpowiedzieć przed polskim sądem. Wolf był na tej liście. Zajmował na niej jedno z czołowych miejsc. Więc jeszcze nie teraz, jeszcze nie może zdjąć munduru feld-grau. Musi wykonać ostatnie, chyba już naprawdę ostatnie polecenie centrali.

Bez trudu znalazł sztab i zameldował się u generała Willmanna. Stary człowiek z wysadzoną przez jakąś narośl prawą stroną szyi nie zadawał zbędnych pytań.

-Potrzebuję oficera łącznikowego, zostaje pan u mnie — powiedział wczoraj.

Całą noc jeździli wzdłuż frontu na motocyklu prowadzonym przez kapitana Klossa, generał usiłował zorientować się, czym dysponuje dowodzona przez niego jednostka, nosząca ciągle w sztabowych papierach nazwę dywizji. Teraz zdrzemnął się godzinkę i znów ma ochotę na przejażdżkę. Czyżby naprawdę zamierzał bronić się w tym mieście? - myślał Kloss.

Z rozpoznania wynikało, że Amerykanie zajęli wczoraj miejscowość położoną dwadzieścia pięć kilometrów od nich na zachód i zatrzymali się, choć nie napotkali żadnego oporu. Ale to znany system Jankesów. Mają program i realizują go skrupulatnie, jak dzienną normę w fabryce. Dziś, a najpóźniej jutro, dotrą tutaj.

Generał narzucił na ramiona skórzany płaszcz bez dystynkcji i ruszył przodem.

- Dokąd, panie generale? - zapytał Kloss, gdy silnik motocykla wreszcie zaskoczył.

Tamten brodą wskazał kierunek. Kloss ruszył ostro, ale nie ujechał więcej niż trzysta metrów, gdy Willmann kazał stanąć. Byli na małym trójkątnym placu koło poczty. W głębi, gdzie plac się rozszerzał, stało kilka czołgów. Paru czołgistów leżało pokotem w cieniu swych pomalowanych ochronną barwą olbrzymów, inni, rozebrani do pasa, polewali się wodą pod starą pompą. Jakiś skurczony żołnierz, zdjąwszy koszulę, uważnie oglądał jej szwy, inny, podłożywszy sobie pod głowę skórzany hełm, zażywał słonecznej kąpieli.

- Co jest, u diabła? Dlaczego stoicie? — zaskrzeczał po swojemu Willmann.

- Gównu cię to obchodzi - powiedział jeden z czołgistów i dostrzegłszy dystynkcje generała, gdy ten odchylił skórzany płaszcz, poprawił się: - Gównu to pana obchodzi, panie generale!

- Kloss! — zawołał generał nie oglądając się. — Proszę zapisać nazwisko i stopień tego łobuza.

- No, proszę pisać, kapitanie. Czemu pan nie pisze? Pułkownik Leutzke, dowódca brygady pancernej, składającej się obecnie z pięciu „tygrysów”, odznaczony Krzyżem Żelaznym z liśćmi dębowymi, trzykrotnie ranny - wybuchnął histerycznym śmiechem. - Proszę pisać!

- Jeśli nie ruszycie natychmiast - pienił się Willmann - każę rozstrzelać bez sądu!

- Ruszymy - powiedział tamten nagle uspokojony. Otarł dłonią czoło, rozmazując brud. - Ruszymy - powtórzył. - Każę ludziom wlać wody do baków. Jeśli silniki strawią, to odjedziemy, bo benzyny nie mam nawet kropli.

Willmann odwrócił się na pięcie i nie rzekłszy już ani słowa, poszedł w kierunku motocykla. Kiedy sadowił się w koszu, Kloss zobaczył jego twarz. Stary płakał.

Pięć lat -pomyślał Kloss -pięć lat czekałem na tę chwilę. - Teraz już nie czuł litości.

Znaleźli się na głównej ulicy. W kierunku mostu biegło kilkunastu szczeniaków w mundurach Hitlerjugend, każdy dźwigał pod pachą ogromną pięść pancerną. Kloss minął chłopców, wjechał na chodnik, tarasując im motocyklem przejście. Zeskoczył z siodełka. Najstarszy, biegnący na czele, miał może szesnaście lat, pozostali nie więcej jak trzynaście — czternaście.

- Dokąd? - zapytał.

- Otrzymaliśmy rozkaz nie dopuścić Amerykanów do mostu - wyprężył się przed nim ten najstarszy. - Podobno na przedmieściu pojawiły się już amerykańskie czołgi.

- Wracajcie - powiedział spokojnie. - Odwołuję ten rozkaz. Kto go wydał?

- Gruppenfuehrer Wolf! - wrzasnął najstarszy. - Walczymy do ostatniego człowieka.

- Ja jestem dowódcą obrony tego miasta - generał niepostrzeżenie stanął za Klosssem — a wy nie jesteście żołnierzami. Jesteście kupą zwariowanych szczeniaków. Wasze panzerfausty nie uratują już nic. Najwyżej czołgi zrobią z was marmoladę. Wracajcie do domu i żeby żaden nie ośmielił mi się wychylić nosa spod pierzyny.

- Przecież rozkaz fuehrera... - zapiszczał mały okularnik.

- Liczę do trzech — powiedział Kloss. — Złożyć panzerfausty pod ścianą i uciekać do domu. W przeciwnym razie — ojcowskim gestem zaczął rozpinać klamrę pasa. — W przeciwnym razie każdy dostanie po dziesięć razy na goły tyłek.

Chłopcy kładli panzerfausty pod ścianą. Niektórzy z ociąganiem, niektórzy z widoczną ulgą.

Generał odwrócił się, trącił coś, co wisiało w wybitej witrynie sklepu. Odwrócił twarz ze wstrętem. Kloss zobaczył żołnierskie buty. U haka, który przytrzymywał kiedyś markizy, wisiał człowiek w podartym mundurze feldgrau. Ktoś zdarł z jego kurtki naramienniki, oderwał hitlerowskiego orła znad kieszeni. Do zabłoconych butów wisielca przyczepiono kartkę: „Powieszony z rozkazu gruppenfuehrera Wolfa. Taki los czeka wszystkich dezertów”.

Motocykl ruszył ostro, ale po kilku sekundach silnik zaczął się krztusić, by wreszcie zamilknąć.

- Nie ma benzyny, panie generale.

Willmann skinął głową i ruszył w stronę budynku sztabu. W milczeniu minął zdziadziałego volkssturmistę, który nawet nie usiłował udawać, że jest żołnierzem. Pałac papierosa rozmawiał z drugim wartownikiem, jakby w ogóle nie znał tego starca w skórzanym płaszczu. Dopiero gdy zapadłszy się w fotel, ciągle w tym swoim płaszczu, generał sięgnął po butelkę i wypił jednym haustem pół szklanki alkoholu, zwrócił się do Klossa:

- Zna pan tego Wolfa?

- Nie - odparł Kloss. - Podobno wczoraj przyleciał z Berlina.

- Pan przecież także przyleciał z Berlina. - Zamilkł na dłuższą chwilę. Podsunął Klossowi butelkę i szklankę z grubego szkła. - Wygląda na to, że on chce bronić tego miasta.

- Amerykanie są podobno piętnaście kilometrów stąd — powiedział Kloss. — A jeśli prawdą jest, co mówili ci chłopcy, wkrótce będziemy mieli parlamentariuszy. Jeśli wówczas padnie choć jeden strzał...

- Dość! - zerwał się niespodziewanie Willmann. Huknął pięścią w stół, aż zadźwięczało szkło. — Dość tego świństwa! - wrzeszczał. - Nie padnie ani jeden strzał więcej! - Przeszedł się kilkakrotnie po przekątnej pokoju, machinalnie przekręcił gałkę radia.

- Czy jest jakaś szansa porozumienia się ze sztabem armii, Kloss? - zapytał. Z radia wydobył się dźwięk dziarskiego marsza, który zagłuszył odpowiedź Klossa. Stary podszedł do aparatu, przyciszył muzykę.

- Radzłści od wczoraj nie mogą nawiązać łączności. Na naszym paśmie nadaje jakaś rosyjska radiostacja.

- Zatem podejmę decyzję sam - powiedział Willmann takim tonem, jakby decyzję już podjął. Otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, ale nagle gestem nakazał Klossowi milczenie. Przytknął ucho do głośnika radiowego. Wzmocnił głos.

- Tu radio Hamburg. Tu radio Hamburg — usłyszeli. Głos spikera był uroczysty i napszony. - Do wszystkich Niemców, do całego narodu niemieckiego, do żołnierzy i ludności cywilnej. Za chwilę podamy do wiadomości doniosłe i uroczyste oświadczenie...



Huknęły kotły i trąby. Kloss rozpoznał pierwsze takty VII Symfonii Bruecknera. Muzyka stopniowo cichła. Na jej tle usłyszeli ten sam uroczysty głos spikera.

- Dziś w godzinach rannych zakończył życie fuehrer wielkoniemieckiej Rzeszy Adolf Hitler. Zginął na posterunku, walcząc do końca przeciw bolszewizmowi. Zginął jak przystało na żołnierza, broniąc z orężem w dłoni stolicy Niemiec — Berlina. Na mocy testamentu fuehrera władzę obejmuje admirał Doenitz. Wielki admirał Doenitz jest od dzisiaj prezydentem Rzeszy, doktor Goebbels obejmuje stanowisko kanclerza; reichsleiter Bormann mianowany został ministrem partii, a Seyss-Inquart - ministrem spraw zagranicznych...

Jakieś trzaski zagłuszyły dalsze słowa spikera.

- A więc koniec - powiedział generał. - Koniec - powtórzył. - Przyjmę warunki Amerykanów. Zresztą - roześmiał się nerwowo - oni postawią tyłka jeden warunek: bezwzględną kapitulację.

- Ale zanim zjawi się ich parlamentariusz, gruppen-fuehrer Wolf zdąży posłać na śmierć jeszcze kilkuset tych ogłupiałych szczeniaków - odezwał się Kloss. - W tym mieście jest jeszcze trochę latarni, na których można powiesić żołnierzy mających już dość tego piekła.

- Koniec. Taki koniec... - powiedział jakby do siebie generał. Wydawało się, że nie dotarły do niego słowa Klossa. A jednak musiał je słyszeć. - Ani jeden Niemiec więcej - powtórzył - nie zginie w tym mieście. Daję panu na to moje słowo. - Wrócił na fotel i zaczął sam napełniać szklanki. - A teraz - powiedział - chcę pana o coś prosić. Mógłbym panu dać rozkaz, ale wolę, żeby pan to traktował jako moją prośbę. Niech pan zbierze możliwie jak najwięcej ludzi, ściągnie, kogo się da, byle z bronią. Czoł-gistów sprzed poczty i saperów, którzy biwakują przed kościołem Świętego Sebastiana. Pójdą z panem, jeśli pan powie im, o co chodzi. Otoczą ten czerwony, wysoki budynek koło katedry, tam teraz siedzą ci z SD, tam powinien być gruppenfuehrer Wolf. Nie pozwolicie wyjść nikomu. Jasne?

-Tak - powiedział Kloss. - Jasne, tylko trochę spóźnione.

Willmann zamrugał oczami, jakby nie rozumiejąc.

- Śmierć fuehrera zwalnia nas od przysięgi. Ja podpiszę kapitulację miasta i ja ich wydam Amerykanom. Uniemożliwię Wolfowi działanie. To będzie mój prywatny prezent dla Jankesów. Prędzej czy później muszą zrozumieć, że Wehrmacht był zawsze przeciw tym wściekłym psom.

- Zawsze? - Kloss nie ukrywał już ironii. - Odkąd stało się jasne, że wojna jest przegrana.

- Kapitanie Kloss, za takie gadanie...

- Przecież pan generał przysiągł, że nie zginie ani jeden Niemiec w tym mieście.

-Jestem zmęczony - machnął ręką - pan jest też zmęczony. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Amerykanie muszą nas potraktować inaczej niż tych z SS. Skapitulujemy, bo dalsza walka nie ma sensu, ale będzie to kapitulacja honorowa.

- Panie generale - przerwał mu Kloss - przy tutejszej fabryce amunicji jest niewielki obóz. Znajduje się tam około pięciuset jeńców pracujących w tej fabryce, przeważnie Rosjan i Polaków, ale są także Włosi. Tego obozu pilnuje SS. Fabryka podlega rozkazom Wolfa. Jeśli nie zdołamy przeszkodzić, lękam się o życie tych ludzi.

- Najpierw czerwony budynek, potem obóz. Rozbroicie załogę. Armia walczyła i tylko armia może rozmawiać z Amerykanami. Słyszysz pan, Kloss?

Ale kapitana Klossa już nie było. Pobiegł, by wykonać ostatni rozkaz swoich niemieckich zwierzchników i pierwszy, który wykona ściśle i sprawnie.

## 2

Siedzieli wszyscy czterej w podziemiach gmachu gestapo, w piwnicy, do której w ciągu ostatnich jedenastu lat wrzucano skatowanych więźniów, czekających na śmierć lub wysyłkę do obozu koncentracyjnego. Podziemie mogło być ostatnią redutą oporu w tym mieście. Jedyne, co im pozostało. Wiedzieli już, że ucieczka jest niemożliwa. Co prawda, przezorny sturmbannfuehrer Ohlers zamelinował w niszy za piecem centralnego ogrzewania kilka mundurów szeregowców Wehrmachtu, ale zdawali sobie sprawę, że mają niewielkie szanse. Tatuaż z grupą krwi, do niedawna znak przynależności do wybranej kasty „najlepszych i najwierniejszych”, zdemaskuje ich przy dokładniejszym badaniu. Byli zresztą tutaj zbyt znani.

SS-man w ceratowym płaszczu przecisnął się z trudem przez wąskie drzwi zastawione do połowy workami z piaskiem.

- Panie sturmbannfuehrer - zwrócił się do Fahrenwir-sta - melduję posłusznie...

- Skończ z tym wygłupianiem i zapomnij, jaki kto z nas miał stopień. Gadaj!

- Wehrmacht otoczył budynek - powiedział SS-man. - Zabarykadowali główną bramę.

- Co robimy? - spytał Wormitz. Przeciągnął dłonią po zarośniętych rudą szczeciną policzkach. Gestem odesłał SS-mana.

- Pan generał Willmann chce zasłużyć się Amerykanom - rzekł Ohlers.

- To jasne — skinął głową Wormitz. — Ale to nie zmienia faktu, że musimy coś przedsięwziąć. Co pan proponuje, von Lueboff?

- Obawiam się, że pospieszyliśmy się z tymi jeńcami. Jeśli Willmann sprzeda nas Amerykanom, bekniemy za to.

- Co pan plecie, Lueboff, co za głupstwa pan wygaduje? Przecież taki był rozkaz. Rozkaz gruppenfuehrera Wolfa. Myśmy nie mieli nic do gadania. Zresztą, jeśli idzie o rozstrzelanie jeńców, gruppenfuehrer zlecił to bezpośrednim wykonawcom. Myśmy nawet nie wiedzieli. Zapomniał pan,

czy co, u diabła?!

- Słusznie. - Fahrenwirst pogłaskał się po nie ogolonej szczecinie. - Wykonywaliśmy tylko rozkazy, nie odpowiadamy za naszych przełożonych. Niech znajdą gruppenfuehrera Wolfa.

- Od roku - prychnął Ohlers - jest na wszystkich listach tych, których oni nazywają zbrodniarzami wojennymi. Sąd, a potem śmierć.

- Muszą go wpierw złapać - przerwał Wormitz. - To nie będzie takie proste. Czy nie sądzicie, panowie, że szofer, który go przywiózł wczoraj z lotniska — skrzywił wargi w uśmiechu — powinien umrzeć, zanim wkroczą tu Amerykanie, podobnie jak kancelista, który mógłby coś wiedzieć o gruppenfuehrerze.

- Wezmę to na siebie - von Lueboff podniósł się ze skrzynki, na której siedział, i wyjął z kabury rewolwer.

Poszedł ku wąskiej szparze w drzwiach, zastawionej workami z piaskiem. - Zastanówcie się, moi kochani przyjaciele - rzekł jeszcze - ale moim zdaniem w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, obrona nie ma sensu. Trzeba pomyśleć o sobie, ratować, co się da.

- Racja - skinął głową Fahrenwirst. - Wywieszamy białą flagę i proponuję - żadnych bohaterskich gestów. Oferujmy Amerykanom lojalną współpracę. Powiedzmy im wszystko, co wiemy o gruppenfuehrerze Wolne. W końcu nie ma żadnych powodów, żebyśmy go dalej kryli.

### 3

Kloss spojrzął z okna korytarza na kwadratowy dziedziniec byłych koszar. Amerykański porucznik stał na stopniach swego jeepa, jakby przyjmował defiladę ustawionych trójkami żołnierzy niemieckich bez pasów, za to z wiadrami i miotłami. Dał im znak ręką i ruszyli w jego stronę, wysoko podnosząc nogi w paradenmarszu. Uniósł się obłok kurzu, gdy oddział zarył się przed autem amerykańskiego porucznika. Za chwilę odbędzie się uświęcona trzydniową tradycją uroczystość. Porucznik o nazwisku Lewis (przedstawił im się przez tłumacza zaraz pierwszego dnia) wyciągnie z jeepa karton z czekoladą i papierosami i będzie obdzielał tych, którzy nie lenili się przy sprzątanii dziedzińca, szorowaniu schodów i innych robotach porządkowych, wynajdywanych przez amerykańskiego komendanta obozu z ogromną pomysłowością.

Kloss odwrócił się od okna. Widok poniżenia, któremu podlegali ci ludzie, nie cieszył go, jak się tego spodziewał. Bardzo szybko - pomyślał - stało się to codziennym rytuałem; czymś, co oprócz trzech posiłków wyznacza rytm monotonnego, jenieckiego dnia. Cztery dni temu, wykonując ostatni rozkaz generała Willmanna, otoczył czerwony budynek koło katedry, a dziś...

Wrócił myślą do jakże odległego czasu sprzed czterech dni. Nie zapomni tej chwili nigdy. Najbardziej utkwiał mu w pamięci nie moment, w którym generał Willmann w towarzystwie swoich sztabowców przed wystawionym na środek rynku stołem czekał na amerykańskich oficerów,

mających przyjąć od niego kapitulację, ani ta chwila, gdy odpiął pas z kaburą i podał go amerykańskiemu kapitanowi, który nie bardzo wiedział, co z nim zrobić, ani nawet, gdy ten symboliczny gest generała zwielokrotnił się w rosnącym z sekundy na sekundę stosie karabinów i pistoletów maszynowych, panzerfaustów i rewolwerów, rzucających bezładnie, byle jak, z nie tajoną przez wielu radością, że oto już to świństwo dobiegło końca, a oni żyją. Najbardziej wstrząsnął Klossem moment, gdy zza zakrętu wyjechał pierwszy amerykański czołg i sunąc powoli, jakby się skradał, dotarł do rynku, a wtedy ze wszystkich okien równocześnie, jakby na dany przez kogoś znak, wysunęły się białe flagi, zrobione z obrusów i prześcieradeł, przyczepionych do lasek, wędzisk, kijów od szczotek.

Warto było - pomyślał wtedy Kloss - przeżyć tę wojnę choćby po to, żeby to zobaczyć.

Było to cztery dni temu, a przedwczoraj do późna w noc nadchodziły ich radosne śpiewy. Amerykanie czcili zwycięstwo. Nie tak wyobrażał sobie ten dzień Kloss. Myślał, że będzie wśród swoich. Oczywiście bez trudu mógłby uniknąć niewoli i w pierwszych godzinach po wkroczeniu Amerykanów przedrzeć się za Łabę. Dzielilo go od mej osiemdziesiąt kilometrów. Ale choć ciągnęło go, do swoich, postanowił zostać. Doszedł bowiem do wniosku, że pobyt w tych koszarach zamienionych na obóz jeniecki, gdzie pomieszano ich wszystkich - szeregowców i oficerów, Wehrmacht 1 SS, a także paru cywilów, burmistrza, kreisleitera i kogoś tam jeszcze - daje mu niepowtarzalną szansę odnalezienia gruppenfuehrera Wolfa. Z paru przypadkiem zasłyszanych rozmów między Ohlersem i Fahrenwirstem wnioskował, że Wolf jest w obozie. Najdziwniejsze jednak, że żaden z oficerów, których niby przypadkiem o to pytał, nigdy nie widział gruppenfuehrera.

Kloss znów spojrzał w okno. Obdarowani żołnierze rozbiegli się ze swą zdobyczą; być może handlują już papierosami i czekoladą w korytarzu koło latryn, w obozie bowiem powstał natychmiast czarny rynek. Ci, dla których nie starczyło papierosów albo których porucznik Lewis nie uznał za godnych nagrody, snuli się pojedynczo lub małymi grupkami po ogromnym dziedzińcu. Kloss zauważył, że podniósł się szlaban przy bramie wjazdowej, a czarnoskóry wartownik w białym kasku zasalutował niedbale wjeżdżającemu samochodowi. Zobaczył także, iż z budynku nie opodał wartowni, zajmowanego przez Amerykanów, wybiegł porucznik Lewis, którego charakterystyczną, zwalistą sylwetkę Kloss rozpoznał nawet z tej odległości, i potrząsał teraz dłońmi dwóch oficerów gramolących się z ciasnego wnętrza samochodu.

Odwrócił się od okna i ruszył w kierunku sali, w której od trzech dni sypiał. Rzucił się na swoją pryczę, nie odpowiadając nawet na przyjazną zaczepkę pułkownika czołgistów, tego samego, co tak nieparlamentarnie potraktował generała Willmanna parę dni temu. Stary mu dotąd tego nie zapomniał, ale pułkownik Leutzke niewiele sobie z tego robił.

- Nie zagrałby pan ze mną, Kloss, partyjki? - powtórzył.

- Może później — odparł.

- Chandra? - zapytał pułkownik. - Na chandrę najlepsza partyjka warcabów.

Luetzke pierwszego dnia skombinował jakąś deskę, na której wyrysował szachownicę, nabierał mundurowych guzików, jedyne go towaru, który można było znaleźć w obozie w nadmiarze, i

zameczał teraz wszystkich propozycjami partyjki. Na domiar złego grał kiepsko, popełniając stale te same błędy.

-Nie wolno nam poddawać się rozpaczy-powiedział z emfazą, naśladowując starczy, chrapliwy głos Willmanna. - Musimy myśleć o przyszłości Niemiec.

- Żeby pan wiedział, Luetzke, że tak - usłyszał Kloss za plecami! W drzwiach ich sali stanął właśnie generał, któremu, odkąd mianowano go niemieckim komendantem obozu, zwrócono pas.

- Stary idiota - mruknął Leutzke i odwrócił się do Willmanna plecami. Generał udał, że nie dosłyszał.

- Kapitanie Kloss - rzekł - chciałbym zamienić z panem parę słów, ale wolałbym... — wymownie spojrzął na odwróconego pułkownika.

-Jeśli idzie o wczorajszą propozycję pana generała, to stanowczo odmawiam - powiedział Kloss. Willmann, gdy amerykański porucznik zaproponował mu objęcie funkcji zwierzchnika obozu, natychmiast zwrócił się do Klossa z ofertą, by kapitan, zechciał być jego oficerem łącznikowym do spraw porozumiewania się z Amerykanami. Wydawało mu się bowiem rzeczą nader niestosowną, by on, niemiecki generał, zniżał się do rozmów z jakimś tam poruczniczyzną, choćby nawet zwycięskiej armii. Kloss wówczas odmówił, ale Willmann nie wziął mu tego za złe. Niespełna dwa dni spędził w towarzystwie kapitana, ale zdążył nabrać do niego sympatii.

- Nie, Kloss - powiedział teraz - nie zamierzam wracać do tamtej sprawy, ale mimo to będę rad, jeśli zechce się pan udać ze mną na przechadzkę.

- Nie trzeba. - Leutzke ociągając się wstał ze swego łóżka, podrapał się po owłosionej piersi. Pod nie zapiętym mundurem nie miał koszuli. - Możecie sobie gadać tutaj, ja pójdę się trochę przewietrzyć. - Wyjął spod pociuszki szachownicę i woreczek z guzikami i najniespodziewaniej stuknął obcasami przed Willmannem. - Panie generale, proszę o pozwolenie odejścia! - wrzasnął przykładając dłoń do skroni. Potem roześmiał się chrapliwie i wybiegł.

Stary usiadł ciężko na łóżku Leutzkego i ze smutkiem pokiwał głową.

- Niech mi pan wierzy, Kloss, że to był znakomity oficer. Jeśli tacy jak on tracą głowę... Chciałbym z panem pomówić w pewnej sprawie, która nie daje mi spokoju.

- Słucham - rzekł Kloss.

- Pamięta pan, było to w dniu kapitulacji, parę godzin przedtem. Kazałem panu otoczyć gmach gestapo. Pan wówczas wspomniął o jakimś obozie jeńców, którzy pracowali w fabryce amunicji.

- Tak - powiedział Kloss i usiadł na łóżku.

- Pan się pomylił, w tym obozie prócz Rosjan, Polaków i Włochów byli także Anglicy... — generał zamilkł. Cisza trwała dłuższą chwilę. Przerwał ją Kloss:

- Czy to uzupełnienie ma jakieś znaczenie?

- Tak - powiedział generał. - To, że w tym obozie byli Anglosasi, czyni naszą sytuację jeszcze bardziej niekorzystną. - A na pytające spojrzenie Klossa dodał: - Czy nie wie pan jeszcze, że ci jeńcy zostali rozstrzelani, wszyscy, co do jednego? Ze egzekucję wykonano trzy godziny przed przyjściem Amerykanów? Że przysypano ich cienką warstwą piachu, tak cienką, że dwudziestu paru żołnierzy z naszego obozu, których rano zawieziono w to miejsce ciężarówką, potrafiło odkopać w pięć godzin pięćset zwłok?

- Partacze, co? - zerwał się Kloss. - Myślę o tych, co tak płytko zakopali. Ma pan im za złe, że nie wykazali niemieckiej akuracności w tym stopniu, by porządnie zamaskować zbrodnię, i jeszcze byli na tyle głupcami, że pozwolili do grupy Słowian przyplątać się panom Anglosasom. Pal diabli Polaków i Rosjan, ale Anglicy! I to nas postawi w niekorzystnej sytuacji. Dopiero to.

- Kloss - powiedział Willmann mitygujące - pan mnie nie zrozumiał. Ja potępiam tę zbrodnię.

- Zawsze pan potępiał, czy od pewnego czasu?

- Nie robiłem nigdy nic, co było sprzeczne z prawem wojennym, nigdy nie wydałem rozkazu zastrzelenia jeńca.

Kloss powoli uspokajał się. Zły był na siebie, że dał się ponieść emocji. Przecież jeszcze chwila, a zdemaskowałby się. Nie groziło mu z tego powodu żadne niebezpieczeństwo, ale wtedy na pewno nie znalazłby gruppenfuehrera Wolfa.

Wytrzymałem pięć lat - pomyślał. - Muszę wytrzymać jeszcze parę dni.

- Przepraszam, panie generale, mam stargane nerwy.

Tamten ojcowskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Wszyscy mamy stargane nerwy, mój chłopcze.

- Rozkaz rozstrzelania jeńców wydał gruppenfuehrer Wolf? - zapytał.

Generał kiwnął głową potakująco.

- Trzeba myśleć o przyszłości tego narodu, o przyszłości tego kraju.

- Co pan zamierza? - zapytał Kloss. Nie chciał już wdawać się w dyskusję.

- My im będziemy wkrótce potrzebni. - Generał nie rezygnował ze swoich abstrakcyjnych rozważań. - My im, a oni nam.

- O kim pan myśli? - Znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć.

- O nich - pogardliwym ruchem brody wskazał okno, za którym stał amerykański żołnierz z MP.

- O Amerykanach. I dlatego - dodał- musimy być możliwie czyści. Trzeba się odciąć od takich jak Wolf. Niemiecki Wehrmacht - zawołał nagle piskliwie - nie rozstrzeliwał jeńców. To ci zbrodniarze, tacy jak Wolf...

Przecież sam w to nie wierzy - pomyślał Kloss. - Tym krzykiem chce zagłuszyć własne sumienie.

- Chcę - ciągnął generał - żebyśmy wskazali Amerykanom gruppenfuehrera Wolfa, który, jak przypuszczam, jest w tym obozie. Powinniśmy im pomóc. Ale uważam, że nie powinna być to moja jednostkowa decyzja, tylko stanowisko całego korpusu oficerskiego. Co pan na to, Kloss?

- Czy pan widział kiedykolwiek Wolfa? Czy wie pan, jak on wygląda? - Kloss był zdecydowany wykorzystać każdą informację. Po to tu został.

- Nie - odparł generał. - I cóż z tego?

- A może wie pan, pod jakim nazwiskiem jest w obozie i w jakim mundurze?

- Nie mam pojęcia - odparł generał. - Ale myślę, że powinniśmy go wspólnie odszukać. I wtedy...

- Najpierw trzeba go znaleźć...

Z rozmachem trzasnęły drzwi. Pułkownik Leutzke wracał ze swoją szachownicą. Cisnął ją na łóżko, widocznie nie udało mu się znaleźć partnera.

- Omówiliście panowie swoje tajemnice? Niedługo będziecie może musieli zdradzić je byłemu wrogowi. Przyjechało dwóch takich bubków, którzy mi na kilometr śmierzdzą wywiadem. Zebrali już wszystkich oficerów w tej sali na dole, brak tylko panów. Otrzymałem polecenie, by zawiadomić was właśnie, że jesteście z utęsknieniem oczekiwani. Wzywają kolejno - jednego już zaczęli maglować. Sturmbannfuehrera Fahrenwirsta, jeśli się nie mylę.

- Chodźmy, Kloss - podniósł się Willmann. - Swoją drogą dziwne mają maniery ci Amerykanie. Powinni przesłuchanie zacząć ode mnie, mam najwyższy stopień oficerski w tym obozie. Nie sądzi pan, Kloss?

- Trzeba było mnie rozstrzelać tam przy poczcie - wtrącił się kwaśno Leutzke. - Wtedy by się panem zainteresowali w pierwszej kolejności. Bo ich przede wszystkim interesują mordercy.

#### 4

Mniej więcej w tym samym czasie jeden z amerykańskich oficerów, captain Karpinsky, prawie w ten sam sposób wyjaśnił porucznikowi Lewisowi cel ich przybycia do obozu.

- Interesują mnie mordercy - powiedział.

Było to w chwilę potem, jak Lewis ściskając w dłonie przedstawił się:

- Porucznik Lewis, tymczasowy boss tej składnicy złomu.

Roberts i Karpinsky wymienili swoje nazwiska.

-Jesteśmy ze służby specjalnej - powiedział Roberts.

- Okay-pokwitował to Lewis. -Zawiadomiono mnie o waszym przybyciu. Cały parter jest do waszej dyspozycji. Ta duża sala i przylegające do niej pokoje.

- Przygotował pan coś na nasze przybycie poza pokojami? - zapytał Roberts.

- Znajdzie się parę buteleczek ze starego zapasu - rzekł, ale od razu zauważył, że oficerowie nie są w nastroju do żartów. Spoważniał w jednej chwili. - Wiecie już o tych wykopaliskach w lesie za fabryką?

- Wracamy stamtąd - rzekł Karpinsky.

- Wyodrębniłem oficerów, są w tym skrzydle. W pozostałych zwykli żołnierze. Oczywiście nie wykluczam, że wśród żołnierzy są oficerowie, którzy zmienili mundury. Rozumie się, mam na myśli SS.

- Niewykluczone - potwierdził Karpinsky. - Tym się zajmiemy później. Podobno miejscowe SD ma pan w komplecie?

- Tak. Generał Willmann zrobił z nich pęczek i ofiarował mi go w prezencie. Otrzymał za to nagrodę: został niemieckim komendantem obozu.

- Zaczniemy od wyższych oficerów- powiedział Karpinsky.

- Ma pan jakąś listę?

- Tak, w moim pokoju. Może przy okazji napilibyśmy się po kieliszku?

- Ale tylko po jednym - powiedział Karpinsky.

- Strasznie ci się spieszy do tych morderców- z odrobiną ironii powiedział Roberts.

- Interesuje mnie przede wszystkim jeden - odparował poważnie Karpinsky. -Jeśli on jest w tym obozie...

- Myśli pan o gruppenfuehrerze Wolfie, kapitanie? -wtrącił się Lewis. - Co pan na to, żeby ogłosić, że za wskazanie go damy dużą nagrodę, na przykład parę kartonów papierosów. Odnoszę wrażenie, że z każdym otrzymanym papierosem Niemcy stają się coraz mniej nazistami, a paczka napędza ich miłością do demokracji.



Oficerowie ze służby specjalnej nic nie odpowiedzieli.

Pierwszym przesłuchiwanym był sturmbannfuehrer SD Fahrenwirst. Ledwo siedli przy dwóch zsuniętych biurkach, a żołnierz ubrany tylko w półkoszulek, wkręcał w maszynę pierwszą kartkę, wprowadził go żandarm.

- Nazwisko, imię, stopień? - warknął Roberts. Był trochę zły na Karpinsky'ego, że ten nie chciał skorzystać z propozycji Lewisa, aby przesunąć przesłuchanie na wieczór. Po obejrzeniu wykopanych z płytkiego rowu zwłok miał ochotę wyłącznie na alkohol.

- Fahrenwirst Otto, sturmbannfuehrer. - Rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu krzesła, ale nie było w pobliżu nic, na czym mógłby usiąść.

- Od którego roku w partii?

- Od 1934, w SS-od 1936.

- Stan rodzinny?

- Żonaty, sześćoro dzieci.

- Przebieg służby?

- W trzydziestym szóstym przeniesiony z SA do SS, w czterdziestym - do SD. Podczas wojny działałem wyłącznie w Rosji i w Polsce. Nigdy - rzekł patrząc na obu oficerów - nie strzelałem do Anglików i Amerykanów. Wykonywałem rozkazy przełożonych, a panowie wiedzą, co to znaczy rozkaz w wojsku. Jeśli chodzi o własną inicjatywę...

- Dość! - przerwał Karpinsky ten potok gadulstwa. -Czy znaliście gruppenfuehrera Wolfa?

- Tak jest - odparł szybko, jakby czekał na to pytanie.

-Rysopis?

- Blondyn o pociągłej twarzy, szczupły, bez znaków szczególnych - meldował ochoczo Fahrenwirst. —Wzrost około 180 centymetrów, lat mniej więcej czterdzieści.

-Jest w obozie?

- Nie wiem, nie widziałem go. W obozie są setki ludzi.

- Kłamiesz! - krzyknął Roberts. - Gadaj! Ukrywa się pod obcym nazwiskiem, tak? W cudzym mundurze?

- Nie wiem - powiedział tamten z wyczuwalną ulgą.

- O tym też nie wiesz? - Karpinsky rozrzucił plik zdjęć z porannej ekshumacji.

- Nie wiem. Nie wiem - szepnął gestapowiec - co przedstawiają te zdjęcia.

- W mieście było pięciuset jeńców wojennych. Co się z nimi stało?

- Nie zajmowałem się cudzoziemskimi robotnikami.

- A jednak wiesz, że pracowali w fabryce amunicji?

- Stwierdzam tylko, że nie zajmowałem się żadnymi cudzoziemcami. Wykonywałem rozkazy mojego bezpośredniego przełożonego, gruppenfuehrera Wolfa.

- Kto zajmował się jeńcami? - zapytał Karpinsky. Słowo „zajmował” zaakcentował w specjalny sposób.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Radzę się dobrze namyślić, Fahrenwirst. W waszym interesie leży, byśmy znaleźli waszego szefa.

- On też miał szefów — powiedział po wyjściu Fahrenwirsta Karpinsky. - Wiem, jak będzie, gdy go wreszcie złapiemy. Powie również, że wykonywał rozkazy.

- Kto? - nie zrozumiał w pierwszej chwili Roberts.

- Gruppenfuehrer Wolf.

- Myślisz tylko o nim - powiedział jakby z niechęcią Roberts: - Czy dlatego, że ci zamordowani to w większości Polacy i Rosjanie?

Karpinsky wzruszył tylko ramionami. Cóż odpowiedzieć na to pytanie? Języka swych polskich przodków prawie nie znał, choć jego ojciec mówił jeszcze całkiem niezłe po polsku. Szukałby gruppenfuehrera Wolfa z taką samą zaciętością, gdyby zamordowani jeńcy byli na przykład Sudańczykami. Przyzwyczajony do racjonalnego myślenia, nie mógł pojąć, dlaczego Niemcy zastrzelili tych jeńców dosłownie na kilka godzin przed kapitulacją miasta, a na trzy dni przed ostateczną i bezwarunkową kapitulacją Niemiec. Ogrom tej zbrodni, jej „zbędność” przerastał możliwości pojmowania. Wiedział oczywiście, że Wolf jest na liście zbrodniarzy wojennych, że jego ekstradycji domagają się przede wszystkim Rosjanie i Polacy, wschodnia bowiem Polska i zachodnia Ukraina były sceną największych zbrodni sygnowanych jego nazwiskiem. Chociaż nazwisko to pojawiło się stosunkowo niedawno, w drugiej połowie czterdziestego trzeciego roku, uzyskało niemal natychmiast ponurą sławę. Ale zanim odda gruppenfuehrera Rosjanom czy Polakom, on, kapitan Karpinsky ze służby CIC armii USA, chciałby spotkać go twarzą w twarz i zażądać wyjaśnienia, dlaczego wydał rozkaz rozstrzelania pięciuset jeńców dosłownie na pięć minut przed końcem. Wbrew podstawowej ostrożności, przeciw elementarnemu instynktowi samozachowawczemu, bo przecież, choć niełatwo go będzie znaleźć, to musiał, a przynajmniej powinien liczyć się z tym, że może nadejść dzień, gdy stanie przed zwycięzcami.

Te myśli towarzyszyły Karpinsky'emu przy przesłuchiwanie innych oficerów Wehrmachtu i SS.

Wkrótce doszli z Robertsem do wniosku, że znacznie przyspieszą tok wstępnych przesłuchań, jeśli podzielią się robotą. Roberts przeniósł się do drugiego nie zajętego pokoju, a zawsze skłonny do uprzejmości porucznik Lewis szybko wyszukał wśród swoich chłopców protokolanta.

Już po kilku godzinach ustalili rzecz niezwykłą. Spośród stu kilkudziesięciu SS-manów, wyciągniętych z piwnicy gmachu gestapo, tylko cztery osoby widziały gruppenfuehrera i tylko one mogły podać jego rysopis. Poza Fahrenwirstem Wormitz, Ohlers i Lueboff opisywali Wolfa niemal tymi samymi słowami. Wysoki, kościsty blondyn koło czterdziestki, około 180 centymetrów wzrostu. Karpinsky postanowił, że rozkaże Lewisowi, aby zaostrzył czujność straży obozowych (jeśli doniosą Wolfowi, że on jest najbardziej poszukiwany, mógłby tej nocy próbować ucieczki) i jutro z samego rana, zebrawszy wszystkich na kwadratowym dziedzińcu, zajmą się specjalnie tymi, którzy odpowiadają temu rysopisowi. Dziwna zbieżność, niemal jednakowość nawet w doborze słów, zeznań tych czterech wysokich oficerów SS napawała go nieufnością. Niewykluczone, że ci czterej umówili się, żeby kryć szefa i podają rysopis mylący. Nikt, ale to naprawdę nikt poza tymi czterema nie mógł opisać wyglądu Wolfa. Szofera, który jeździł na lotnisko po gruppenfuehrera, znaleziono w jednym z pokoiów na piętrze w gmachu gestapo z kulą wpakowaną w tył czaszki. To także nie mógł być przypadek.

- Mam coś - Roberts wszedł do pokoju potrząsając protokołem przesłuchania- coś, co cię zainteresuje. Rozkaz rozstrzelania tych pięciuset jeńców wydał osobiście gruppenfuehrer Wolf.

- Masz kogoś, kto widział Wolfa? - Karpinsky aż zerwał się z miejsca. Zauważył równocześnie, że oficer niemiecki w stopniu kapitana, którego wezwał właśnie na przesłuchanie, uważnie przysłuchuje się ich rozmowie. Może on wie coś o Wolfie - przemknęło mu przez myśl. - Trzeba go będzie dobrze przycisnąć - postanowił.

- Niestety, nie widział go - odparł Roberts. - To oficer łączności. Był przypadkiem na linii, gdy Wolf rozmawiał z którymś z oficerów batalionu wartowniczego w obozie. Słyszał tylko głos. Niestety nie pamięta nazwiska rozmówcy Wolfa. Tamten facet się bał, nie chciał wykonać rozkazu bez potwierdzenia go na piśmie, na co Wolf miał wrzasnąć, że należy zlikwidować obóz natychmiast, na jego, Wolfa, osobisty rozkaz, a pisemne potwierdzenie zaraz prześle przez motocyklistę... Tyle ten oficer łączności.

- To rzeczywiście niewiele - odezwał się płynną angielszczyzną niemiecki oficer w mundurze kapitana. - Czy znaleźliście panowie kogoś, kto widział Wolfa?

Spojrzeli nań z takim zdumieniem, jakby był gościem z Marsa.

- Czyżby pan także go szukał? - zapytał wreszcie Karpinsky.

- To dziwne - powiedział znów ten Niemiec - nikt go nie widział.

- Przepraszam - wtrącił Roberts - a ci czterej?

- Fahrenwirst, Ohlers, von Lueboff i Wormitz, tak? Tego się można było spodziewać - mruknął.

- Przepraszam - zerwał się Karpinsky, który miał już dość tej wymiany zdań po angielsku, nadającej rozmowie jakiś charakter poufałości. - Kto zadaje pytania? Kim pan właściwie jest? Nazwisko?

- Hans Kloss.

- Świetnie pan mówi po angielsku - wtrącił Roberts i niespodziewanie dla Karpinsky'ego podsunął niemieckiemu kapitanowi krzesło. - Abwehra, co?

- Tak - odparł Kloss.

- Niech pan siada, kapitanie. - Roberts wyciągnął papierosy. - Zapali pan? Jesteśmy w pewnym sensie kolegami, chociaż działaliśmy przeciwko sobie. Pan jest zawodowcem - ciągnął - a my cenimy zawodowców. Mam nadzieję, że dowiemy się od pana wielu interesujących rzeczy.

- Nie sędzę - wtrącił grzecznie Kloss - bym naprawdę mógł być użyteczny. Przynajmniej w tym sensie, jak pan to rozumie.

- Przekonamy się - powiedział Roberts. - Gdzie pan działał?

- Głównie w Polsce i w Rosji. Ze względu... - zawahał się. Nie chciał mówić zbyt wiele, ale nie chciał też zrażać do siebie tych oficerów. - Ze względu na znajomość języków słowiańskich.

- Mieliście niezłą siatkę na wschodzie?

- Mieliśmy - odparł Kloss. Bardzo źle czuł się teraz w skórze niemieckiego oficera. - Mieliśmy najpotężniejszą armię, prawie całą Europę i największego wodza...

Roberts uprzejmym uśmiechem pokwitował ten dowcip-

- Zostańmy przy siatce - powiedział. - Czy ma pan dobrą pamięć?

- Niezbyt — mruknął Kloss. I pomyślał, że tych informacji, o które sprzymierzeńcom chodzi, na pewno od niego nie uzyskają.

- Na tym nie najlepszym ze światów- powiedział nie-zrażony Roberts, a powinien poczuć się dotknięty, jeśli nie słowami, to przynajmniej tonem Klossa - nic nie dzieje się zbyt szybko. I nie za darmo. Rozumiem doskonale, że pańska pamięć wymaga odświeżenia, kapitanie. Chyba nie uśmiecha się panu zbyt długie przebywanie w tym obozie?

Zapadła długa cisza. Karpinsky, który udawał, że przerzuca jakieś papiery na biurku, nie ukrywając niechęci, spojrział na swego kolegę.

- Myślę, że porozmawiamy z kapitanem Klossem na interesujące cię tematy - powiedział kwaśno. - Ja wolę inny temat.

- O gruppenfuehrerze Wolfie? Ja także wolę ten temat - powiedział Kloss. - Przynajmniej teraz...

- Nikt pana nie pyta, co pan woli - Karpinsky uderzył dłonią w blat biurka. Poczł do tego siedzącego naprzeciw mężczyzny niczym nie wyjaśnioną sympatię i chciał czym prędzej przeciąć cieniutką nić konfiden-cji, jaka powstała między nimi. Zły był na siebie, że dał się wciągnąć w tę nieszablonową rozmowę z niemieckim oficerem, a jeszcze bardziej na Robertsa, który nie darował sobie oczywiście okazji zademonstrowania swej politycznej dalekowzrocności. Kłócili się nieraz zawzięcie o stosunek do Rosji w okresie powojennym. Karpinsky wierzył w Rooseveltowską ideę porozumienia Ameryki i Rosji, Roberts był przeciwnego zdania. „Utuczylismy Rosję, żeby mogła pokonać Niemców, ale kto nam pomoże pokonać Rosję?” - zwykł być mawiać. - Kapitanie Kloss - zwrócił się do siedzącego naprzeciw mężczyzny — czy znał pan gruppenfuehrera Wolfa?

- Niestety nie - odpowiedział szczerze Kloss.

- Dlaczego Niestety?

- Wolf jest zbrodniarzem wojennym - odpowiedział Kloss powoli. - Wydał rozkaz zamordowania jeńców polskich i radzieckich.

- Także kilkudziesięciu Włochów i paru Anglików -wtrącił Roberts.

- Przede wszystkim byli to Rosjanie i Polacy.

- Więc wie pan o tym? - zdziwił się Karpinsky. -Skąd?

- Usiłowałem temu zapobiec, Niestety za późno. Przyjechałem do tego obozu w parę godzin po masakrze. Proponowałem generałowi zacząć od obozu, a dopiero potem zająć się otoczeniem gmachu gestapo. Willmann wybrał inną kolejność. Boję się zresztą, że gdybyśmy zaczęli od obozu, też byśmy nie zdążyli.

-Widzę -uśmiechnął się promiennie Roberts - że jest pan przeciwnikiem hitlerowców. Od kiedy?

- Wolf - powiedział spokojnie Kloss, jakby nie dosłyszał tego pytania - znajduje się na pewno w tym obozie. Tych czterech, o których pan wspominał, trzyma się razem, jakby bali się wzajemnie jeden drugiego. Prawdopodobnie oni właśnie wiedzą, kim jest Wolf. Muszą go znać, muszą wiedzieć, pod jakim nazwiskiem się ukrywa. A może... - zawahał się i zamilkł.

- Nie jestem pewien, czy Wolf jest w tym obozie. W zamieszaniu pierwszych godzin po naszym wkroczeniu do miasta mógł się łatwo wymknąć. Ale dlaczego zależy panu na znalezieniu Wolfa? Czyżby stare porachunki Abwehry i gestapo?

- Myślałem, że wam zależy.

- Oferta współpracy? - Roberts nie ukrywał ironii. - Ofertę współpracy bylibyśmy zapewne gotowi przyjąć, ale nie tylko i nawet nie przede wszystkim w sprawie Wolfa. Rozumiemy się?

- Pan wspomniał o pewnej możliwości, ale nie wypowiedział jej pan głośno. Mówił pan o tych czterech, którzy od dawna znają Wolfa i...

- Rozumiem - powiedział Kloss. - To tylko przypuszczenie na niczym nie oparte, bez cienia dowodów. Może jeden z nich jest Wolfem?

- A może to pan? - roześmiał się Roberts. - Nawet pasuje pan do tego rysopisu, jaki podali. Dość! - Jego głos stwardniał. - Zastanowimy się nad pańską ofertą pomocy w sprawie Wolfa. Ale proszę też pamiętać, o czym mówiliśmy przedtem. I radzę to, o czym mówiliśmy, potraktować poważnie. Może pan odejść.

Po jego wyjściu wysłał protokolanta po piwo.

- Należy nam się trochę przerwy - powiedział tonem wyjaśnienia. A potem, otwierając puszkę, zapytał wprost:

-Jak ci się podoba nasz kolega z Abwehry?

- Kto wie? Może on naprawdę chciałby nam pomóc w znalezieniu Wolfa? W końcu, do diabła, nie wszyscy Niemcy... A zresztą może wszyscy. Czy można było żyć w takim państwie i mieć czyste ręce? To znaczy normalnie żyć, pracować, służyć w wojsku, nie myśląc o więźniach obozów koncentracyjnych? Jak sądzisz?

- Pamiętasz tę tablicę, którą stary Patton kazał postawić, kiedy przekroczyliśmy granicę holenderską? „Uwaga, przekroczyliście granicę cywilizacji europejskiej. W tym miejscu zaczyna się kraj barbarzyństwa”. Ty cierpisz na manię prześladowczą. Ten Wolf rzucił ci się na mózg. Będziemy go mieli, dostaniemy go wcześniej czy później. Ale nie wolno zapominać o innych sprawach. Ten Niemiec, ten kapitan Abwehry, chce się bardzo drogo sprzedać, wziąć najwyższą cenę za to, co wie, a może...

- zawiesił głos.

- O czym ty myślisz, Roberts?

- Niemcy nie doceniali Słowian i ich wywiadu. Drogo za to zapłacili.

- To ty cierpisz na manię prześladowczą - roześmiał się Karpinsky. - Wszystkich sądzisz swoją miarą. Przypuszczasz, że oficer przegranej armii powinien okazać radość z oferty współpracy ze zwycięzcami. Może jest patriotą i nas nienawidzi. A może po prostu ma dość, ma wszystkiego dość. Mnie też to grozi - powiedział po chwili. - Długo nie zagrzeję miejsca w tej robocie.

- Przesadzasz, stary - stwierdził Roberts nieszczercze. Wstał. - No, trzeba się zabrać do roboty. Tam na tej sali czeka jeszcze ze trzydziestu.

## 5

Po paru godzinach i Robertsowi, i Karpinsky'emu wszyscy przesłuchiwani oficerowie niemieccy wydawali się dokładnie tacy sami. Nawet twarze: pochmurne, czasem obojętne, czasem

tylko wrogie twarze ludzi, z których większość niewiele spodziewała się od życia. Jednym z ostatnich przesłuchiwanym tego dnia był pułkownik Leutzke. Karpinsky zaczął od pytań, które zadawał już machinalnie:

- Co pan wie o Wolfie?

- Nic - powiedział Leutzke. - Tyle tylko, że rządził ostatnio w tutejszym gestapo i że go poszukujecie. Nie mam żadnych powodów — dodał po chwili — osłaniać teraz takich ludzi jak Wolf. Nie przynosili zaszczytu armii niemieckiej.

- Szkoda, że wcześniej nie doszedł pan do takich konkluzji - zauważył Karpinsky.

Leutzke milczał; obojętnie przyglądał się oficerom amerykańskim.

- Pan jest oczywiście antyfaszystą - roześmiał się Roberts.

Na twarzy pułkownika nie drgnął ani jeden muskuł.

-Jestem oficerem niemieckim – powiedział - i nigdy nie lubiłem Hitlera. Wykonywałem tylko swoje obowiązki.

-Wszyscy mówicie to samo - stwierdził zniechęcony Karpinsky i zwrócił się do Roberta: - Masz jeszcze jakieś pytania?

Roberts zapytał o Klossa. Co pułkownik wie o tym oficerze Abwehry? Gdzie go spotykał? Czy nie dostrzegł nic dziwnego w jego zachowaniu?

Leutzke nie rozumiał tych pytań. Zna Klossa niedawno, wie o nim tylko tyle, że działał w Polsce i w Rosji, że otrzymał Krzyż Żelazny, co w Abwehrze nie było zbyt częste.

- Nic więcej? A co pan o nim myśli?

- Nic nie myślę - powiedział Leutzke. - Nie mogę o nim wydać żadnej opinii, ponieważ nie był moim podwładnym.

Roberts popatrzył na niego z nie ukrywaną ironią.

- Niech pan już idzie - powiedział. - Sporo czasu upłynie, zanim nauczymy was czegokolwiek.

Leutzke wyprostował się jeszcze na progu i złożył obu amerykańskim oficerom sztywny, wojskowy ukłon. Zniknął za drzwiami. Zostali sami. Roberts rozlał koniak do dwóch szklanek.

- Wypij, Karpinsky - powiedział. - Rozmawiałem przed chwilą telefonicznie z generałem. Był w sztabie oficer z misji rosyjskiej. Oświadczył, że według ich informacji, na naszym terenie znajduje się z całą pewnością ten gruppenfuehrer Wolf. Mają zbyt dobre informacje. Co o tym sądzisz?

- Jeśli tu jest — oświadczył Karpinsky — musimy go znaleźć.

- Oczywiście. - Roberts przełknął potężną porcję koniaku: - Ale skąd Rosjanie o tym wiedzą? To musimy ustalić.

Karpinsky usiadł przy biurku, wertował jakieś papiery.

- Nie mogę zapomnieć - szepnął nagle - jak wydobywano zwłoki jeńców zamordowanych w fabryce. Te twarze ludzi uduszonych albo rozstrzeliwanych w pośpiechu.. . Po co on to kazał zrobić? , F

- Zostaw tę makabrę - powiedział Roberts.

- Ten człowiek jest tutaj. I o tym przede wszystkim powinniśmy pamiętać.

- Zdaje się - powiedział Roberts - zdaje się, że popełniłeś błąd wstępując do CIC.

- A może to ty popełniłeś błąd? - szepnął Karpinsky. t Roberts nie odpowiedział. Stał przy oknie i patrzył na wielki dziedziniec koszarowy, na którym porucznik Lewis ćwiczył swoich podopiecznych. Były to owe codzienne zajęcia. Lewisa, którym komendant obozu oddawał się zresztą z ogromną pilnością. Stał przed nim długi dwuszereg jeńców uzbrojonych w wiadra, szczotki, miotły. Dwuszereg był znakomicie wyrównany i zapewne nawet najbardziej wymagający kapral nie miałby mu nic do zarzucenia.

- Prezentuj broń! - krzyczał Lewis.

Jeńcy podnosili na wysokość ramienia miotły, szczotki i wiadra. Lewis przechadzał się wzdłuż szeregu, z wyraźną satysfakcją przyglądając się wyprężonym postaciom.

- Nieźle, nieźle — mrucał. — Będą z was jeszcze ludzie. Może kiedyś zrobię z was wojsko.

Potem jeńcy skakali naokoło dziedzińca, czołgali się, nacierali na budynek koszarowy.

- Lewis jest niezły - stwierdził Roberts.

- Wyżywa się - powiedział Karpinsky podchodząc także do okna. - To nie jest metoda edukacji.

- A jaką ty byś zaproponował metodę? - zapytał Roberts: — Co chciałbyś z nich zrobić? To oni wykonywali rozkazy Wolfa. Zapomniałeś? Może nadają się tylko do tego, żeby stać w dwuszeregu. Może nie możemy dla nich zrobić nic innego poza dobozem odpowiednich kaprali?

Tymczasem pułkownik Leutzke wrócił do swojej izby i zastał Klossa przyglądającego się przez okno ćwiczeniom na dziedzińcu.

- Widziałem te zabawy Lewisa - powiedział Leutzke. - Obrzydliwe. Odbiera im ludzką godność.

-A co z nimi robiono przez cały czas? - zapytał Kloss, odwracając się gwałtownie od okna. - Przez tyle lat wojny. Gdyby zamiast Lewisa stał niemiecki kapral, nie miałby pan żadnych pretensji.



Leutzke milczał. Usiadł na łóżku i starannie dzielił papierosa na trzy części.

- Niech pan zostawi, Kloss - mruknął. - Ja także wiem, że to było wielkie świństwo.

- Od kiedy pan wie? Od Stalingradu? Od pierwszego dobrego lania?

- A pan? - zapytał Leutzke. - A pan kiedy zmienił poglądy?

- Nie mówmy o mnie - szepnął Kloss.

- Zostawmy w ogóle ten temat. - Leutzke podał Klossowi jedną trzecią papierosa. - Wojna jest przegrana, ale nie jest to ostatnia wojna naszego narodu. Nie możemy pozwolić, żeby upodlano niemieckich żołnierzy. Będą jeszcze potrzebni.

- Ciągle to samo - w głosie Klossa brzmiało zniechęcenie - Czy naprawdę niczego nie zdołał się pan nauczyć? Czy naprawdę nic pan nie rozumiał?

- To pan nic nie rozumie — powiedział Leutzke. — A zresztą nic dziwnego: szok po klęsce. Przegrał hitleryzm, pociągając w przepaść armię niemiecką. Ale armia niemiecka nie została stworzona przez Hitlera. Istniała wcześniej i będzie istniała potem. Nie wolno odbierać narodowi rzeczy najcenniejszej: szacunku dla własnych żołnierzy.

- Bzdura — powiedział Kloss. — Mówi pan: żołnierzy, a myśli o szacunku dla bandytów i morderców.

- Myślę - stwierdził Leutzke - o oczyszczeniu naszych szeregów z morderców.

-Za późno.

- Nigdy nie jest za późno. Amerykanie szukają Wolfa, trzeba im dać tego Wolfa, żeby tych, co zostaną, traktowali tak, jak na to zasługują. Musimy dowiedzieć się - ciągnął - gdzie on jest i pod jakim nazwiskiem się ukrywa.

- Pan także - roześmiał się Kloss. - Zęby mieć w ręku jakiś atut, co?

- Nie. Żeby ocalić honor niemieckiej armii.

- Pan żartuje, pułkowniku. Nic pan nie zdoła ocalić. Nic.

## 6

Gdzie jest gruppenfuehrer Wolf? To pytanie nie dawało spokoju Klossowi, to pytanie nie dawało także spokoju Karpinsky'emu. Kloss włóczył się po dziedzińcu koszarowym, po korytarzach budynków, zaglądał w twarze oficerom i szeregowym, słuchał rozmów, częstował papierosami. Który z nich jest Wolfem? Wielu noszących teraz mundury szeregowców służyło z pewnością w SS i

SD, zabijało i wydawało rozkazy mordowania. Wolf miał szansę. Mógł ukryć się w tym tłumie; wysokich blondynów było tu dziesiątki i nawet wyselekcjonowanie wszystkich z tatuażem SS nie rokowało zbyt wielkich nadziei.

Karpinsky przesłuchiwał. Wszystkie odpowiedzi były niemal identyczne. Obaj amerykańscy oficerowie tracili cierpliwość i jednocześnie nadzieję, że zdobędą jakieś informacje. Wolfa widziało tylko tych czterech, nikt poza nimi, a ci czterej wydawali się kpić z przesłuchujących.

Sturbannfuehrer Ohlers na większość pytań odpowiadał po prostu „nie wiem”.

- Zajmowałem się sprawami gospodarczymi - powtarzał. - Nie wiedziałem o rozkazie wysadzenia fabryki. Wolf polecił to osobiście.

- Niewiniątko! - krzyczał Karpinsky. - A kto dostarczał cyklon do obozu. Kto obliczał, ile potrzeba gazu i ile kosztuje zamordowanie jednego człowieka?

- Byłem urzędnikiem - szeptał Ohlers - Pracowałem przy biurku. Zajmowałem się tym teoretycznie.

Karpinsky zerwał się i z rozmachem uderzył go w twarz.

- Ty urzędniku! Gadaj, pod jakim nazwiskiem ukrywa się Wolf?

- Nie wiem.

- Zeznałeś, że przyleciał z Berlina dwa dni przed kapitulacją. Gdzie jest teraz?

- Nie wiem.

-Widywałeś go?

-Rzadko. Miał dużo pracy. -W głosie Ohlersa brzmiała tym razem nie tajona ironia.

-Pracy! - krzyczał Karpinsky, nie panując już nad sobą. - Podpisywał wyroki śmierci! Na dwie godziny przed naszym przyjściem dwadzieścia dziewięć wyroków!

-Ja nie podpisywałem - mruknął Ohlers. - Dlaczego pan na mnie krzyczy?

Karpinsky poczuł się nagle bezradny. Ten człowiek, podobnie jak jego przyjaciele, Wormitz, Lueboff i Fahrenwirst, wyślizgiwał się, wyłgiwał, nie było sposobu, by zmusić go do mówienia. Powinien zaprowadzić go do piwnic gestapo, pomyślał. I tak jak oni... Wiedział, że tego nie zrobi. Odzyskiwał panowanie nad sobą i znowu zadawał pytania.

- Powiedziałeś - mówił - że Wolf jest blondynem o pociągłej twarzy, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, w wieku około czterdziestu lat. Pokażesz mi go.

Na twarzy Ohlersa pojawił się uśmiezek, który zgasł natychmiast.

- Odmawiasz? — zapytał Karpinsky. — Drogo cię to będzie kosztowało.

- Nie odmawiam — mruknął Ohlers. — Pokażcie mi go.

Karpinsky otworzył drzwi. W sąsiedniej sali stało kilkunastu mężczyzn, których wybrał spośród setek jeńców. Odpowiadali mniej więcej rysopisowi podanemu przez czterech gestapowców. Większość w mundurach Wehrmachtu, tylko trzech nosiło odznaki SS.

- Który? - zapytał Karpinsky.

Jeńcy patrzyli na Ohlersa przerażonymi oczyma.

Gestapowiec milczał.

-Który? - wrzasnął Karpinsky. - Który z nich?

- Przysięgam - powiedział Ohlers - że żaden nie jest gruppenfuehrerem Wolfem.

W drzwiach stanął Roberts, przyglądając się w milczeniu tej scenie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Podszedł do Ohlersa.

- Słuchaj, Ohlers - szepnął. - A skąd ty wiesz, że przeżyjesz jeszcze trzy dni, jeśli nam nie wskażesz Wolfa?

Gestapowiec stracił nagle spokój.

- Chcecie mnie zamordować?! - krzyknął nagle. - Bez sądu, bez wyroku, bez winy? Nigdy nie będziecie mieć Wolfa! Nigdy!

- Teraz pokazałeś swoją prawdziwą twarz — szepnął Karpinsky. - Wyprowadzić tych ludzi! - rozkazał i podszedł do telefonu. - Porucznik Lewis ? - zapytał. - Kiedy będzie gotowy karcer? Mam dla was pierwszego pensjonariusza. Niejaki Ohlers, sturmbannfuehrer. Na jak długo? Do odwołania, aż nie zaczniesz gadać.

Porucznik Lewis prowadził także przesłuchania na własną rękę. Nazywał je „prywatnym remanentem w składnicy". Gdy zadzwonił Karpinsky, Lewis rozmawiał właśnie z mężczyzną, który nosił nazwisko Vogel i był, według własnego oświadczenia, kapralem Wehrmachtu. Lewis zameldował Karpinsky'emu, że karcer będzie gotowy dopiero za parę dni, odłożył słuchawkę i kazał Voglowi podejść bliżej do biurka.

- No co, Vogel? - zapytał. - Co z tobą zrobić? - Bawiła go przerażona twarz jeńca.

- Nie wiem, panie poruczniku - usłyszał.

- Twierdzisz, że nazywasz się Vogel i jesteś kapralem Wehrmachtu?

-Tak.

- Powtórz to raz jeszcze.

- Ernst Vogel - powtórzył jeniec cicho.

- Przegrałeś, brachu - oświadczył Lewis. -Jeden z twoich kamratów cię sypnął. Nie nazywasz się wcale Vogel, lecz Schickel, nie jesteś kapralem Wehrmachtu, ale funkcjonariuszem pięknej służby nazywanej SD.

Vogel vel Schickel zbladł i pochylił się nad biurkiem. Wydawało się, że za chwilę runie na podłogę.

- Mógłbym ci kazać zdjąć mundur - ciągnął Lewis -podnieść do góry rękę i obejrzeć twój diabelski, eses-mański tatuaż. Pokazałbyś mi go, prawda? Ale mnie to nie bawi, ja i tak wiem, że jesteś policjantem. Znam się na ludziach, bracie. Jeśli ktoś jak ja był piętnaście lat właścicielem knajpy w Teksasie, to wystarczy mu popatrzeć na człowieka, żeby wiedzieć z kim ma przyjemność.

- Wykonywałem rozkazy - szepnął Schickel. - Byłem podoficerem.

- Tak, tak, nawet wiem, gdzie wykonywałeś te rozkazy. W obozie koncentracyjnym... Nie zaprzeczaj. Na parterze urzędują dwaj faceci ze służby specjalnej i wyłapują takich jak ty. Mogę cię tam odesłać, słyszysz?

- Słyszę.

- Ale mógłbym cię także nie odsyłać, gdyby okazało się, że spełnisz jeden mały warunek i będziesz umiał to zrobić. Nie pytasz, jaki to warunek?

-Domyślam się, panie poruczniku - powiedział Schickel.

- To jest odpowiedź, jakiej spodziewałem się od policjanta. Jesteś bystry, Schickel. Musisz wiedzieć i słyszeć jak najwięcej. Ja tu chcę mieć spokój i porządek. Żadnych prób ucieczki. Jeśli trzech ludzi będzie próbowało gadać ze sobą na osobności, ty musisz być tym trzecim; jasne?

- Jawohl, panie poruczniku.

-Jeśli się postarasz - dodał Lewis - może się zdarzyć, że będziesz nie w ostatniej grupie zwalnianych. A teraz znikaj mi z oczu. Wyznaczę cię do sprzątanego mego gabinetu.

Schickel zniknął. Lewis został sam i rozparł się wygodnie na krześle; był zadowolony z siebie. Miał już swoją własną służbę wywiadowczą i był przekonany, że komu jak komu, ale jemu, chłopcu z Teksasu, uda się utrzymać porządek w tym zwariowanym obozie.

go, że uda mu się znaleźć Wolfa tylko w tym wypadku, jeśli stworzy sytuację, w której gruppenfuehrer będzie się musiał sam ujawnić. Opracował szczegółowy plan i jak zwykle, gdy podjął już decyzję, przystąpił natychmiast do realizacji. Potrzebna mu była pomoc Amerykanów. Po długich rozważaniach zdecydował się na rozmowę z Karpinsky, szukał tylko okazji. Nadarzyła się pewnego wieczoru, gdy spacerując po pustym dziedzińcu, niedaleko komendantury, zobaczył wychodzącego z gmachu Amerykanina.

- Chciałbym z panem porozmawiać, kapitanie - Kloss stanął obok niego.

- O co chodzi? - Karpinsky przyglądał mu się ze zdziwieniem. - Wejdźmy do mnie.

- Nie, nie - szepnął Kloss - tylko parę słów. W sprawie Wolfa. Chciałbym wam pomóc w jego ujęciu.

- Dlaczego? — Karpinsky nie ukrywał nieufności. Zapytał „dlaczego”, a nie „jak”.

- Motywy nie są istotne — powiedział Kloss.

- Proszę wziąć pod uwagę — stwierdził sucho Amerykanin - że nie ufam tak zwanym dobrym Niemcom, którzy wczoraj przestali być hitlerowcami.

- W porządku.

- Niech pan powie, co pan wie - ciągnął Karpinsky - a resztą ja się zajmę.

- Nic nie wiem - szepnął Kloss.

- Więc o co panu chodzi?

- O dokonanie małego eksperymentu. Dość niebezpiecznego, przynajmniej dla mnie. Karpinsky przyglądał mu się uważnie.

- Eksperymentu? - powtórzył. - Mam panu zaufać?

- Ja ryzykuję znacznie więcej, ufając panu - powiedział Kloss. - I żądam tylko, żeby rzecz została między nami.

- Nie zwierzam się żadnym oficerom niemieckim - mruknął Karpinsky.

- Chodzi mi nie tylko o oficerów niemieckich - powiedział Kloss.

- Niech pan wreszcie gada.

Kloss przedstawił swój pomysł. Był prosty, ale ryzykowny. Karpinsky słuchał ze zdziwieniem: ten młody oficer niemiecki, mówiący świetnie po angielsku, odznaczał się nie byle jaką odwagą. I chyba nienawidził Wolfa... bo tylko nienawiść...

Już tego samego wieczoru Kloss przystąpił do działania. Niełatwo było przekonać czterech nieufnych gestapowców: Ohlersa, Wormitza, Lueboffa i Fahrenwirsta, że on, były kapitan Abwehry, ma im do zakomunikowania coś niezwykle ważnego i że powinni się spotkać w miejscu, gdzie można spokojnie pogadać. Znalazł takie miejsce. W jednym ze skrzydeł gmachu było otwarte wejście na strych. Szło się w górę po ciemnych, krętych, drewnianych schodach. Amerykańscy wartownicy, nawet ci, którzy dokonywali nocnego obchodu korytarzy, nie zaglądali nigdy na strych. Był niski, długi, ciemny, wypełniony wszelakimi rupieciami. Kloss wdrapał się po schodach, ci czterej czekali już na niego. Na starym stole stała świeca, a wąskie okienko w dachu było szczelnie zasłonięte.

- Czego pan od nas chce? - zapytał Ohlers, gdy Kloss usiadł na podłodze i zapalił papierosa.

Zaczynało się najtrudniejsze. Od tego, czy ich przekona, zależało powodzenie jego planu.

- Przyszedłem, żeby was ostrzec - powiedział bez wstępów.

- Nie bardzo mamy się czego obawiać - mruknął Fahrenwirst: — Przynajmniej nie więcej niż wszyscy inni w tym obozie.

- Niech pan nie żartuje - głos Klossa był suchy i spokojny. - Chodzi zresztą nie tylko o was. Grupa oficerów z Willmannem na czele chce się zasłużyć Amerykanom.

- Willmann - warknął Wormitz - chciał się zasłużyć już przed kapitulacją. Zamknął nas jak szczury w gmachu gestapo. Czy nie wie pan przypadkiem, który z jego oficerów dowodził tą ostatnią akcją generała?

- Sądzi pan, że to teraz ważne? - odpowiedział pytaniem Kloss.

Czy mogą wiedzieć? - myślał. Przypuszczał, że wiedzą.

- Ważne, nieważne — szepnął tamten — warto ustalić.

- Nie zajmujmy się drobiazgami. Otóż ci oficerowie zamierzają wydać Amerykanom gruppenfuehrera Wolfa. - Kloss sądził, że jego słowa wywołają jakieś wrażenie, ale na twarzach czterech gestapowców pojawił się niemal jednocześnie ten sam ironiczny uśmiech.

- Niech go najpierw znajdą - mruknął Ohlers. Wormitz zgromił go natychmiast wzrokiem.

- Dlaczego przychodzi pan z tym do nas? - zapytał Klossa.

Kloss miał przygotowaną odpowiedź.

- Z dwóch powodów. Byliście panowie najbliższymi współpracownikami gruppenfuehrera i tylko wy możecie mu pomóc.

- Taki pan jest pewien, że wiemy, gdzie ukrywa się Wolf? - zapytał Ohlers. Na jego twarzy znowu pojawił się ten sam uśmiech.

-Jeśli jest w obozie, wiecie - powiedział Kloss. - Istnieje niebezpieczeństwo, że Willmann go znajdzie. Prędzej czy później albo on, albo Amerykanie ustalą, kto jest Wolfem. Dlatego też ucieczka wydaje się jedynym rozwiązaniem. Wy możecie uciekać także.

- Ucieczka - roześmiał się Wormitz. - Pan chyba oszalał! Brama jest strzeżona dniem i nocą, odrutowali cały obóz.

- Nie przychodziłbym do panów - ciągnął Kloss - gdybym nie miał pewności, że ucieczka jest możliwa. Zaraz wyjaśnię. Jednego z moich żołnierzy przydzielono do pracy w kotłowni. Wsyp koksu jest już poza ogrodzeniem. Rozumiecie? Wystarczy odrzucić tonę koksu, wspiąć się około trzydziestu metrów i jest się na wolności. Dostyc stromo, ale są haki i jest o co zaczepić linę. Wczoraj byłem w mieście - dodał.

Musiał ich przekonać; sądził, że jeśli uwierzą, iż ucieczka jest możliwa, zawiadomią Wolfa i wtedy Wolf razem z nimi zjawi się o oznaczonej porze w kotłowni. Plan wydawał się niezwykle prosty i z szansami powodzenia. Przecież ci czterej też nie mogli się spodziewać, że Amerykanie ich wypuszczą. Nawet jeśli żadnego z nich nie można było obciążyć zbrodniami Wolfa, każdy miał dosyć własnych grzechów na sumieniu.

Milczeli. Rozważali propozycję Klossa. Przyglądał się ich twarzom, próbując cokolwiek z nich wyczytać. W ciągu wielu lat nauczyli się ukrywać myśli. Na twarzy Wormitza nie drgnął ani jeden muskuł.

- No cóż - powiedział. - A jakie są szansę tej ucieczki, jeśli panu zaufamy, panie Kloss?

- Duże - stwierdził kapitan. - Mówiłem, że byłem w mieście. W mieszkaniu moich przyjaciół będą nas czekać cywilne ubrania i jakieś papiery. Możemy tam przesiedzieć kilka dni, a potem...

Przyglądali mu się dość nieufnie.

- Dlaczego pan to robi? - rzucił Ohlers. - Dlaczego nie ratuje pan własnej skóry? Po co pan wrócił, jeśli już pan wyszedł z obozu?

I na to pytanie miał przygotowaną odpowiedź.

- Mnie nie grozi żadne niebezpieczeństwo - stwierdził - denerwują mnie te świny, które w ciągu dwóch dni zmieniły front, podlizują się Amerykanom, gotowe lizać im buty za paczkę papierosów lub tabliczkę czekolady.

Ohlers wzruszył ramionami.

- Tak - mruknął - nikt nie chce obrywać po mordzie.

- Powiem wam coś więcej - ciągnął Kloss. Postanowił teraz być „szczery”. - Pytaliście, który oficer wykonał ostatni rozkaz generała Willmanna. To byłem ja...

- Co? - teraz zareagował Fahrenwirst. - Ty świnió!

- Spokój! - wrzasnął Wormitz. - Wiedziałem o tym i czekałem, czy pan to powie. Dlaczego pan to zrobił?

- Rozkaz, panowie — powiedział Kloss i przestraszył się, czy aby nie usłyszeli drwiny. - Rozkaz - powtórzył - a wiecie chyba, co to znaczy dla Niemca. Poza tym - dodał - sądziłem, że Willmann chce walczyć dalej. Myliłem się.

Znowu milczeli sporą chwilę, rozważając odpowiedź Klossa. Wreszcie zabrał głos Wormitz, który, wydawało się, uzurpował sobie rolę przywódcy tej czwórki.

- Zgoda - rzekł. - Kiedy możemy uciekać?

- Jutro. Jutro wieczorem na nas czekają. Poza panami i gruppenfuehrerem będę uciekał ja i ten żołnierz, który wskazał mi drogę. Proponuję natychmiast po apelu wieczornym zamelinować się w kotłowni. Czy zdążą panowie zawiadomić gruppenfuehrera Wolfa?

Żaden z nich nie odpowiedział.

Pierwsza runda jest wygrana - myślał Kloss schodząc ostrożnie po krętych schodach. - Jeśli uwierzyli, jutro wieczorem będę miał Wolfa. To znaczy, Amerykanie będą go mieli, ale przekażą go nam. Nie wykręcą się.

Nie zauważył skulonej pod drzwiami strychu ciemnej postaci. Vogel vel Schickel, szpicel porucznika Lewisa, słyszał, gdy Kloss wychodząc mówił: „Jutro wieczorem w kotłowni”.

## 8

Lewis triumfował. Nowo zwerbowany szpicel sprawdził się niemal natychmiast, doniósł o ucieczce planowanej przez wysokiego oficera Wehrmachtu. Lewis postanowił nie meldować ani Karpinsky'emu ani Ro-bertsowi, ale aresztowania dokonać osobiście i z nikim nie dzielić się sukcesem. Był miłośnikiem kina, lubił dramatyczne końcówki i dlatego też zdecydował, że poczeka do wieczora, a gdy planujący ucieczkę zgromadzą się w kotłowni, wkroczy na czele swoich żandarmów. Wkroczył jednak zbyt wcześnie.

Kloss był w kotłowni już przed apelem i z niecierpliwością spoglądał na zegarek. Czy przyjdą? Czy zobaczy wreszcie gruppenfuehrera Wolfa? Czy Wolf to po prostu któryś z nich, z tych czterech? Omówił z Karpin-skym system sygnalizacyjny, ale wiedział, że najdrobniejszy błąd może obrócić wniwecz cały plan. Nieuchwytny Wolf był przeciwnikiem, którego nie wolno lekceważyć. Czy zaufa swoim podkomendnym? Czy uwierzy, że istnieje naprawdę szansa ucieczki?

Chwycił łopatę i odgarniał koks; nie chciał budzić zbyt wcześnie podejrzeń Wolfa. Usłyszał szczęknięcie drzwi, odwrócił się i zobaczył na progu amerykańskich żandarmów. Czyżby Karpinsky zrezygnował z akcji? Niech ich diabli... Uśmiechnięty porucznik Lewis stał na szeroko rozkraczonych nogach, trzymając się pod boki.



- Mamy cię, brachu - powiedział. - Zachciało się powietrza, co?

Wywlekli go z kotłowni, ciągnęli po dziedzińcu. Nie widział nawet Wormitza i Ohlersa, którzy wyszli właśnie z koszar i zawrócili natychmiast ujrawszy pod kotłownią Klossa i Amerykanów.

Wprowadzono go do gabinetu Lewisa. Porucznik kazał Klossowi stanąć na środku pokoju z rękoma na karku.

- Gadaj, kto z tobą miał uciekać?

- Nic nie powiem. - Kloss był wściekły. Cały wysiłek poszedł na marne.

- Gadaj! - ryczał Lewis; przekonany, że za chwilę niemiecki oficer zacznie zeznawać, a on, Lewis, osiągnie swój pierwszy sukces w tej wojnie. Ale na progu stanął kapitan Karpinsky.

- Zwolnić go - powiedział cicho, ale głosem, który przeraził Lewisa. - Zwolnić go natychmiast.

Kloss zrozumiał, że to nie Karpinsky, tylko Lewis, bez wiedzy przełożonych, pokrzyżował jego plany. Wszedł, a knajpiarz z Teksasu miał się przekonać, że nigdy nie należy zbyt wcześnie cieszyć się sukcesami.

- Pan jest idiotą, Lewis! - krzyczał Karpinsky. - Kto panu kazał zamykać tego Klossa? Dlaczego nie zameldował pan przedtem?

- Planowano ucieczkę — szepnął Lewis.

- Nie było żadnej ucieczki — ryczał Karpinsky — słyszy pan, nie było!

Teraz Lewis już nic nie rozumiał. Dyszał ciężko, wybałuszając na kapitana czerwone oczy.

- Chce pan powiedzieć, że mnie okłamano? Ze mój szpicel mnie nabrał? Już ja mu pokażę!

Karpinsky machnął ręką. Wiedział już, że ten człowiek nic nie rozumie.

- Na przyszłość - rzucił jeszcze - niech pan nie podejmuje żadnych samodzielnych akcji.

Wszedł z gabinetu trzaskając drzwiami. Czekala go jeszcze przykra rozmowa z Robertsem, który nie lubił, gdy cokolwiek w obozie działo się bez jego wiedzy.

- Mieliśmy pracować wspólnie i lojalnie - szeptał. - Co to za historia z tym Klosssem?

- Mały eksperyment - wyjaśnił Karpinsky - który tym razem się nie udał. Może spróbujemy go powtórzyć.

- Nie informując mnie?

- Będiesz o wszystkim poinformowany - stwierdził sucho Karpinsky.

- Mam nadzieję. A jeśli chodzi o Klossa, pozwolisz, że ja także się nim zajmę. Nieco inaczej. Ten człowiek może być dla nas cenny, ale trzeba mu wyjaśnić, że nam chodzi nie tylko o Wolfa, a może nawet nie przede wszystkim o Wolfa. Rozumiesz?

- Wolałbym nie rozumieć - powiedział Karpinsky.

Oczywiście Lewis nie zapomniał o Schicklu. Miał przynajmniej kogoś, kogo mógł obarczyć winą za zmarnowaną okazję. Wezwał go do siebie.

- Ty durniu, ty idioto! - pastwił się nad nim. - Nie było żadnej ucieczki, słyszysz? Okłamałeś mnie. Jeśli chcesz wyjść z tego obozu, nie pozwalaj sobie nigdy na coś podobnego!

- Ależ panie poruczniku - protestował Schickel - ich tam było pięciu. Znam już wszystkie nazwiska: Kloss, Wormitz...

Nie zdążył skończyć. Potężne uderzenie rzuciło go na podłogę. Lewis, knajpiarz z Teksasu, bardzo nie lubił, gdy go oszukiwano.

## 9

Czy dadzą się raz jeszcze namówić na ucieczkę? Czy uwierzą, że wpadka Klossa była przypadkowa, że droga przez kotłownię nie jest raz na zawsze odcięta? Kloss nie szczędził gorzkich słów kapitanowi Karpinsky'emu. Gdyby nie Lewis i jego żandarmi, mogli mieć Wolfa. Powiedział Amerykaninowi, że spróbuje raz jeszcze, choć nie żywił zbyt wielkich nadziei. Jakieś dziwne przypuszczenie, myśl, która wydawała się ciągle nieprawdopodobna, nie dawała mu spokoju. Dlaczego tylko tych czterech? Dlaczego nikt inny spośród dziesiątków pracowników SS i gestapo nie widział nigdy Wolfa? Sądził, że będzie miał poważne trudności ze skłonieniem gestapowców do nowego spotkania, ale Ohlers, którego zobaczył następnego dnia rano na dziedzińcu koszarowym, zgodził się nadspodziewanie łatwo.

- Tak, tak - powiedział z dziwnym uśmiechem. - Myśmy także chcieli porozmawiać z panem, Kloss.

Umówili się znowu wieczorem na strychu. Kloss poinformował o tym spotkaniu Karpinsky'ego, ale wydało mu się, że Amerykanin nie wykazywał wielkiego zainteresowania.

- To się nie może udać - powiedział i dodał natychmiast: - Dlaczego pan, panie Kloss, tak bardzo chce znaleźć Wolfa? Wyraził jednak zgodę na jeszcze jedną próbę.

Było już zupełnie ciemno, gdy Kloss wszedł na najwyższe piętro budynku i, rozglądając się uważnie, rozpoczął wspinaczkę po krętych schodach. Drzwi na strych były zamknięte; gdy zapukał, otworzono mu natychmiast i zobaczył całą czwórkę siedzącą nieco w głębi na starych stołkach i skrzyniach. Powiedział: „dobry wieczór”. Nie otrzymał odpowiedzi i patrząc na ich twarze

zrozumiał, że szykują dla niego jakąś niespodziankę, że coś tu się stanie; przez chwilę ogarnęła go chęć wycofania się, ale było już za późno, a zresztą on, Kloss, nigdy nie przerywał raz rozpoczętej gry. Na wąskim okienku wisiała ciemna szmata, pomyślał, że wystarczy zerwać tę szmatę, aby zjawił się Karpinsky ze swymi ludźmi, ale była to ostateczność, miał ciągle nadzieję, że uda mu się zrealizować jeszcze swój pomysł.

- Czekaliśmy na pana, Kloss - przerwał wreszcie milczenie Ohlers. W jego głosie pobrzmiwały złowrogie nuty.

- Byliśmy pewni - dodał natychmiast von Lueboff - że pana wypuszczą.

- Udało mi się wykaraskać - rzekł Kloss, jakby nie dostrzegając tonu Lueboffa. - Po prostu przyszli za wcześnie. Nic mi nie udowodnili. Nikt też nie podejrzewa ani panów, ani gruppenfuehrera.

Dostrzegł uśmiechy na ich twarzach. Czyżby zagrał zbyt naiwnie? Czyżby nie docenił tym razem przeciwnika?

- Wierzmy panu, Kloss, wierzmy, że jest pan dobrym Niemcem i świetnym kolegą - Wormitz nie ukrywał już nawet ironii. - I że zrobił pan z tych Amerykanów skończonych osłów, na co zresztą całkowicie zasługują...

-Nie rozumiem tego tonu! - Kloss podniósł głos. Wiedział, że w tym towarzystwie krzyk bywa zawsze najskuteczniejszy. - Sytuacja jest bardzo poważna. Musimy opracować nowy plan ucieczki. Nie mamy innego wyboru.

- Bywa tak, że w ogóle nie ma już wyboru - rzekł poważnie Wormitz.

- Panowie - Kloss postanowił zaatakować pierwszy - tylko nas pięciu znało dokładnie termin ucieczki - popatrzył na nich i zobaczył znowu uśmiechy na twarzach. - Tylko nas pięciu - powtórzył - jeden z nas więc zdradził. Musimy wiedzieć, kto. Uratowanie życia gruppenfuehrera Wolfa jest sprawą tak ważną, że należy wyeliminować zbędne ryzyko.

Czy dobrze zagrał? Wydawało się, że są zaskoczeni. Po chwili zabrał głos von Lueboff.

- Z ust nam pan to wyjął - powiedział. - Niech pan sobie wyobrazi - ciągnął - że myśmy też doszli do wniosku, iż wśród nas jest zdrajca. Nawet wiemy, kto jest zdrajcą. Nie interesuje to pana, Kloss?

W tej chwili z ciemnej głębi strychu wynurzył się mężczyzna, którego Kloss poznał natychmiast, zanim tamten zdążył dotknąć jego ramienia i zanim zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Brunner! Więc to była ta niespodzianka! Więc w tym obozie, zapewne w skórze szeregowca Wehrmachtu, ukrywał się jego najdawniejszy i najbardziej zacięty przeciwnik.

- Poznaje pan? - zapytał Ohlers. - Mieliśmy wyjątkowe szczęście. Dzisiaj rano spotkałem mojego starego znajomego Brunnera, który okazał się także pana znajomym, Kloss, i który wyjaśnił nam, dlaczego tak bardzo chciał pan pomóc w ucieczce gruppenfuehrerowi

Wolfowi.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Stój spokojnie, Hans, drogi przyjacielu - szepnął tymczasem Brunner. - Jeśli zaczniesz krzyczeć, zastrzelę natychmiast.

Kloss milczał. Sytuacja była właściwie beznadziejna. Rozumiał, że muszą go zastrzelić, wiedział już zbyt wiele. Nie miał żadnej szansy dotarcia do okna, zerwania zasłony i zaalarmowania w ten sposób Karpinsky'ego. Wydawało się, że w ogóle nie ma żadnej szansy.

- Kończ - powiedział Wormitz.

Brunner zapalił papierosa.

- Zaraz, za chwilę... Zbyt długo na to czekałem - i zwrócił się do Klossa: - Masz twarde życie, Hans, udało ci się oszukiwać nas przez pięć lat, ale nie wyjdiesz z tego żywy.

- Ciebie powinni powiesić już piętnaście razy - rzekł Kloss. - Ale w końcu cię to nie minie. - I dodał: - Żałuję, że nie złapałem gruppenfuehrera Wolfa, ale to, co nie udało się mnie, uda się komuś innemu.

- Nigdy go nie złapiecie - stwierdził Wormitz.

Kloss usiadł na skrzynce tyłem do okna. Zachowywał się tak, jakby nie istniało niebezpieczeństwo, jakby nie wiedział, że za chwilę musi zginąć. Czy uda mu się zyskać trochę czasu?

- Chcecie mnie zastrzelić od razu - zapytał - czy wolicie porozmawiać? Mógłbym wam powiedzieć coś interesującego.

-Nic nas nie interesuje - przerwał Brunner. - Nie ocalisz swego brudnego życia.

- Może na przykład opowiedzieć coś o tobie, Brunner?

- Głupstwa! - przerwał Ohlers. - Że też Amerykanie chcą współpracować z polskim wywiadem. To jedno mnie dziwi.

- Czy niepokoi? - zapytał Kloss. Mówił powoli, patrząc na nich uważnie. - Pamiętajcie, że moja śmierć nikogo nie uchroni od kary i że nie ukryjecie Wolfa.

- A może mu powiedzieć, gdzie jest Wolf? - zapytał nagle Fahrenwirst. -To już taka tradycja. Ci, którzy giną, dowiadują się przed śmiercią.

- Nie trzeba - warknął Wormitz.

Kloss patrzył na nich, stojących jeden obok drugiego -Wormitz, Ohlers, von Lueboff,

Fahrenwirst i nagle zrozumiał. Zrozumiał za późno.

- Hans - szeptał Brunner pochylając się nad nim - pamiętasz wszystko? Podsumowałeś nasze rachunki? I to miasto nad Wisłą? I twoją kuzynkę Edytę? I Kol-berg? Koniec, Hans.

Brunner przeżywał swój wielki dzień, swój triumf.

- Strzelaj, Brunner! - krzyknął Kloss. Nagle się pochylił i zanim tamten zdołał się zorientować, celnym uderzeniem wytrącił Brunnerowi pistolet z ręki.

Wszystko, co nastąpiło potem, trwało parę sekund. Potężny cios zwałił Brunnera na podłogę, czterech gestapowców skoczyło na Klossa, ale on miał już broń w ręku. Szybkim ruchem ściągnął zasłonę z okna i cofał się ku drzwiom, trzymając ich na muszce, a oni podchodzili do niego, gotowi na wszystko, nieprzytomni z wściekłości, zdecydowani mordować nawet za cenę własnej śmierci. Kloss ściągnął tłumik i ruszył cyngiel. Strzelił w okno, potem nad ich głowami, plecami pchnął drzwi strychu i stoczył się po schodach w dół, w ostatniej chwili chwytając za drewnianą poręcz. W obozie wyła już syrena alarmowa. Na dziedzińcu rozległ się krzyk amerykańskich żandarmów, potem tupot ludzi biegnących po kamiennych schodach. Za chwilę będzie tu Karpinsky ze swymi żandarmami, ale Kloss nie miał teraz zamiaru ani rozmawiać z Amerykaninem, ani zostawać w obozie. Wiedział to, co chciał wiedzieć. Spełnił swoje zadanie.

Gdy MP wbiegli na korytarz ostatniego piętra, Kloss ukrył się w ciemnej niszy pod schodami na strychu i stał przytulony do muru. Żandarmi pod wodzą Roberta i Karpinsky'ego wbiegli na górę. Kloss odczekał chwilę, potem ruszył przed siebie ciemnym korytarzem i w dół, po schodach, których nikt nie pilnował.

Powinni jednak byli obstawić gmach - pomyślał. - Ja bym na wszelki wypadek kazał zamknąć wszystkie wejścia.

Znalazł się na pustym dziedzińcu. Reflektory, zapewne zgodnie z planem alarmu, oświetlały druty i bramy obozu. Gmach komendatury był jednak ciemny; tylko w paru oknach na piętrze paliło się światło. Jak uciec? I to w czasie alarmu? Kloss pilnie obserwował komendaturę; w drzwiach stał żołnierz; ale jedno z ciemnych okien na parterze było otwarte. Kloss obszedł dookoła gmach i nie myśląc, nie mając jeszcze planu, skoczył przez okno do wewnątrz. Najbardziej ryzykowne pomysły przychodziły mu do głowy wtedy, gdy sytuacja wydawała się szczególnie trudna. Wiedział, gdzie są gabinety Roberta i Karpinsky'ego. Tak jak przypuszczał, drzwi były otwarte. Spieszyli się, pomyślał. Na wieszaku przy drzwiach wisiał amerykański płaszcz oficerski i czapka. Było to to, czego szukał.

Po paru minutach szedł znowu przez dziedziniec. Panował już spokój, tylko po drutach okalających obóz ślizgały się ciągle światła reflektorów. Kloss w amerykańskim płaszczu i czapce, wolnym, spokojnym krokiem podszedł do bramy; przystanął niedaleko wartownika, zapalił papierosa. Potem, nie przyspieszając kroku, minął bramę salutując niedbale wyprężonemu MP. Przed nim otwierała się ciemna, pusta przestrzeń. Był wolny. Od Łaby dzieliło go osiemdziesiąt kilometrów.

Tymczasem na strychu czterech gestapowcowi Brunner stali pod ścianą w ostrym świetle latarek elektrycznych. Kapitan Roberts bez czapki i bez płaszcza, z bronią w ręku, zadawał pytania.

- Gadajcie, kto strzelał?

Odpowiedziało mu milczenie. Przestraszeni gestapowcy patrzyli na Amerykanów nic nie rozumiejąc.

- Gdzie jest broń? - krzyczał Roberts.

- Wy przecież wiecie - szepnął wreszcie Wormitz.

- Nie udawać idiotów! - Roberts stracił panowanie nad sobą. - Odpowiadać na pytania! Kto ma broń?

- Broń zabrał pan hauptmann Kloss — rzekł Ohlers, starając się wymawiać to nazwisko z należnym szacunkiem.

Roberts spojrział na stojącego obok Karpinsky'ego, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, do czego doprowadziłeś!”.

- Pan hauptmann Kloss - powtórzył Wormitz - przecież wiecie.

- Gdzie on jest? - krzyknął Roberts.

Gestapowcy naprawdę nic nie rozumieli.

- Wszedł - odezwał się wreszcie Ohlers. - Dlaczego nas o to pytacie?

Roberts stanął przed Brunnerem.

- A jak ty się nazywasz? - zapytał. - Ciebie nie znam.

Brunner wiedział, że ukrywanie prawdziwego nazwiska nie ma już sensu.

- Sturmbannfuehrer Brunner - zameldował.

- Ach tak! A może gruppenfuehrer Wolf?

- Nie! - krzyknął Brunner. - Nie! Zapytajcie zresztą Klossa.

- Zapytamy go także - powiedział Karpinsky - ale ty najpierw powiesz nam wszystko.

-Ja nie mam nic do powiedzenia - szepnął Brunner. -Wykonywałem rozkazy. Nie zabiłem przecież Klossa.

Teraz Amerykanie nic nie rozumieli. Patrzyli na Brunnera jak na wariata.

Pewnego dnia po południu do obozu przyjechał osobiście generał Harris. Roberts i Karpinsky czekali już przed drzwiami komendantury. Harris, niski, muskularny mężczyzna, o twarzy przypominającej buldoga, przywitał się z nimi bez słowa.

- Wszystko przygotowane? - warknął.

- Tak jest - zapewnił go Roberts.

Weszli do dużej sali, w której kiedyś mieściła się jakaś pracownia naukowa. Pod ścianą stała jeszcze tablica, a na środku pokoju postawiono ogromny stół. Lewis przygotował przyjęcie z wprawą knajpiarza z Teksasu. Harris przyjrzał się uważnie trunkom, podniósł nawet jakąś butelkę, nalał nieco płynu do kieliszka, spróbował.

- W porządku - powiedział. - Za chwilę powinni tu być. Siadajcie, panowie - rozkazał. - Sztab naszej armii wyraził zgodę na przyjazd dwóch oficerów z ich misji zza Łaby. Oni twierdzą, że gruppenfuehrer Wolf, którego obiecaliśmy im wydać, znajduje się tutaj, w obozie.

- Nic o tym nie wiem — powiedział Roberts. — Myśmy też szukali Wolfa, ale niestety, bez rezultatu.

Harris patrzył na nich chłodnym wzrokiem.

- Nie jestem z was zadowolony - oświadczył. - Daliście się wykiwać jak niemowlęta.

- Zrobiłem wszystko, żeby znaleźć Wolfa - stwierdził Karpinsky.

Harris machnął ręką.

- Nie o to chodzi - warknął. - To skandal! - krzyknął nagle tracąc spokój - żeby oni rozpoznali człowieka, który jest w naszym obozie! Oni, me my! Mieli tu kogoś? — Napełnił znowu swój kieliszek. - Oczywiście, jeśli mieli lub mają, to wy i tak nie wiecie, bo ten pan nie zgłosił się przecież do was. Po co? Na jego miejscu też bym nie przyszedł. - Zwrócił się do Karpinsky'ego: - Jeśli Wolf jest naprawdę tutaj, panie Karpinsky, wróci pan do Stanów.

- O niczym innym nie marzę - odpowiedział kapitan.

W tej chwili w drzwiach stanął podoficer.

- Przyjechali - zameldował.

Twarz Harrisa zmieniła się nie do poznania, gdy na progu stanęło dwóch oczekiwanych oficerów. Serdeczny, jowialny uśmiech generała miał świadczyć o radości, z jaką spotykał sojuszników.

Radziecki oficer był w stopniu pułkownika, za nim stał Kloss w mundurze polskim z oznakami majora. Karpinsky i Roberts patrzyli na niego jak na zjawę z tamtego świata.

- To pan! - krzyknął wreszcie Karpinsky. - Ładna historia!

Roberts wybuchnął śmiechem.

- Tę rundę pan wygrał - rzekł. - Nie ma co, daliśmy się nabrać.

- I następną chyba też wygram - odpowiedział Kloss i dodał: - Odwiozłem panu pański płaszcz i czapkę.

Siedzieli przy stole już długo. Generał Harris, który wysłuchał opowieści Karpinsky'ego o Klossie, nie spuszczał wzroku z młodego polskiego oficera.

- Więc pan twierdzi - rzekł, gdy wymienili już wszystkie przewidziane na taką okazję toasty - że w naszym obozie ukrywa się gruppenfuehrer Wolf. My o tym nic nie wiemy.

- Proszę wezwać - powiedział Kloss - czterech SS-

-manów: Wormitza, Ohlersa, Lueboffa i Fahrenwirsta.

Roberts wyszedł z pokoju, a Harris napełnił znowu kieliszek Klossa.

- Wolałbym - powiedział - nie mieć nigdy w panu przeciwnika.

- To z pewnością zależy tylko od pana, panie generale - oświadczył Kloss.

Do pokoju wszedł najpierw MP, za nim czterech gestapowców i znowu dwóch MP.

— Więc który z nich? — zapytał Harns. — Który z nich, pana zdaniem? I jakie ma pan dowody?

- Chwileczkę — powiedział Kloss i podszedł do gestapowców. Patrzyli na niego z nie ukrywaną nienawiścią. -Staniecie w innej kolejności - rozkazał - tak jak wówczas na strychu, kiedy rozwiązałem waszą tajemnicę. Pierwszy Wormitz, drugi Ohlers, trzeci Lueboff, czwarty Fahrenwirst.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Roberts.

Kloss podszedł do tablicy, znalazł kawałek kredy i wypisał jedno pod drugim te cztery nazwiska: Wormitz, Ohlers, Lueboff, Fahrenwirst, potem w każdym nazwisku wytarł wszystkie litery z wyjątkiem pierwszej. Na tablicy pozostało słowo WOLF.

— Oto — rzekł, wskazując całą czwórkę — jest gruppenfuehrer Wolf, który nigdy nie istniał. Żądamy wydania tych panów; nie uda im się obciążyć własnymi zbrodniami mitycznego szefa.